R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

SZKICE I ROZPRAWY.

TOMASZ B. MACAULAY.

SZKICE I ROZPRAWY

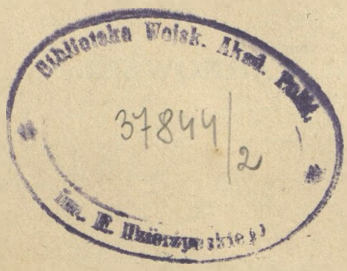
tłómaczył

ST. TARNOWSKI.

TOM I.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1892.

93(100)



W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

PRZEDMOWA TŁÓMACZA.

Wielki historyk angielski Macaulay, nie jest u nas bardzo znanym. Nie przekładów nam brakło. *Dzieje Anglii*, niektóre *Szkice i Rozprawy (Essays)* wyszły w Warszawie w polskim języku. Ale nie dość zwróciły na siebie uwagę, a dziś, wyczerpane, poszły w zapomnienie.

A jednak jest Macaulay jednym z największych historyków, i pisarzy najświetniejszych, jakich świat wydał; czytanie jego uczy myśleć, uczy rozumieć sprawy i zjawiska polityczne, może uczyć pisać tych, co się do pisania sposobią, a zająć musi każdego myślącego i oświeconego człowieka.

Dlatego po niejakiem wahaniu odważyliśmy się oddać na użytek publiczności kilka z jego Szkiców. Przekład to dawny, robiony dla wprawy i dla zabicia czasu, w więzieniu; robiony piórem, które do owego czasu nic, prócz szkolnych zadań, nie było pisało. Bardzo niedoskonały zapewne? trudno przypuszczać iżby mógł być innym. Jednak treść rzeczy da się z niego poznać i ocenić; a więc, jakikolwiek jest, niech idzie pomódz, ile zdoła, do rozszerzenia znajomości i sławy dzieł znakomitych. Małą tylko liczbę *Szkiców* możemy dać czytelnikom *Biblioteki;* żałujemy, że nie mamy ich więcej; ale i te wystarczą, by dać bodaj ogólne wyobrażenie o talencie, sposobie myślenia i pisania Macaulaya.

Niektóre z nich, a mianowicie *Fryderyk Wielki*, *Barrère*, *Pitt*, były już tłómaczone na język polski i ogłoszone w warszawskiem wydaniu; ale gdy tamto dawno już wyszło z obiegu, drugie ich tłomaczenie może przynieść pewien pożytek.

Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom, że Macaulay był protestantem; tem tłomaczyć należy wiele pojęć lub uwag dla katolickiego czytelnika rażących.

FRYDERYK WIELKI.

(Frederic the Great and his Times. Edited With an Introduction by Thomas Campbell[1]*). Esq. 2. vols. 8-vo,* London 1842).

Dzieło to, które ma ten zaszczyt, że wychodzi na świat pod opieką autora *Lochiela* i *Hohenlinden*, nie zupełnie jest niegodnem tak znakomitego patrona. Nie chce ono wprawdzie niczem być więcej, jak prostą tylko kompilacyą, ale jest kompilacyą niezmiernie zajmującą, i radzibyśmy widzieć ją dalej doprowadzoną. Opowiadanie bowiem dochodzi na teraz tylko do początku Siedmioletniej wojny, nie zawiera zatem najciekawszej połowy panowania Fryderyka.

Nie będzie to może z przykrością dla czytelnika, że pokusimy się przy tej sposobności skreślić lekki szkic żywota tego króla, największego ze wszystkich, jacy w nowszych czasach z prawa urodzenia siedzieli na tronie. Lękamy się tylko, że żywot tak długi i tak pełen wypadków nie da się wtłoczyć w ciasne szranki, w których trzymać się musimy. Jeśliby nam wypadło urwać rzecz w połowie, będziemy się starali podjąć ją na nowo, skoro się ukaże dalszy ciąg niniejszego dzieła.

Królestwo Pruskie, najmłodsze z wielkich mocarstw Europy, ale piąte z rzędu pomiędzy niemi co do ludności i dochodów, a co do oświaty, sztuki i nauki uprawnione do trzeciego jeźli nie do drugiego między niemi miejsca, powstało ze skromnych nader początków. W początkach wieku XV-go nadał cesarz Zygmunt Margrabstwo Brandenburskie

[1]) Tomasz Campbell, poeta, ur. 1777, umarł 1844.

szlachetnemu domowi Hohenzollernów; w wieku XVI-ym dom ten przeszedł na wyznanie luterskie, a w początkach XVII-go [1]) dostał od Króla polskiego Inwestyturę na księztwo Pruskie. Ale pomimo tego nawet przybytku posiadłości, nie mógł jeszcze dom Brandenburski dorównać Elektorom Saskim lub Bawarskim. W Margrabstwie ich grunt był ponajwiększej części jałowy; nawet stolica Berlin i Potsdam, ulubiona rezydencya Margrabiów, leżały w szczerej pustyni. W niektórych miejscach głęboka warstwa piasku wskutek tylko bardze starannej uprawy, chude wydawała kłosy żyta i owsa, a w innych, odwieczne puszcze, z których zeszli kiedyś nad Dunaj zdobywcy państwa rzymskiego, stały jeszcze ręką ludzką nie tknięte. Gdzie zaś ziemia była żyzna, to była i bagnista, zatem niezdrowa, co odstraszało od niej tych, których wabiła jej urodzajność. Polityce Fryderyka Wilhelma, zwanego Wielkim Elektorem, zgodnie swoją wielkość przypisują następcy. On to pokojem Westfalskim nabył ważne i szacowne niektóre posiadłości, między któremi był bogaty Magdeburg z przyległym okręgiem, i zostawił synowi Fryderykowi państwo udzielne, od samych już tylko królestw pośledniejsze.

Fryderyk ten wzdychał do królewskiego tytułu. Rozrzutny, próżny, niedbały ani o istotne korzyści, ani o wysokie swoje obowiązki, a marnych i płochych zaszczytów wiecznie chciwy i nienasycony, nie zwiększył niczem rzeczywistej swego państwa potęgi; może nawet zostawił dzieciom uszczerbione raczej niż przysporzone dziedzictwo. Ale dosiągł tego, czego najwięcej pragnął: tytułu królewskiego. Nową tę godność przybrał w r. 1700, i musiał przy tej sposobności znieść wszystkie przykrości i upokorzenia, jakie los zwykle chowa dla próżnych dorobkowiczów. Obok reszty koronowanych głów Europy, wyglądał on tak, jak kupnym tytułem ozdobiony Nabob wyglądałby w gronie Parów, których przodkowie oskarżeni byli o spisek przeciw Plantagenetom. Zazdrość tej klasy, z której

[1]) Pomyłka autora.

się Fryderyk wydobył, i grzeczna pogarda tej do której się wepchał, dawały mu się uczuć w sposób bardzo wyraźny. Elektor Saski nie chciał zrazu uznać go w nowej godności, a Ludwik Czternasty patrzał tak z góry na swego *brata króla*, jak patrzy Hrabia w komedyi Moliera na pana Jourdain świeżo po ceremonii mniemanego uszlachcenia. Austrya zażądała w zamian za uznanie znacznych z jego strony poświęceń, i uznała go w końcu w sposób kwaśny i mało uprzejmy.

Po Fryderyku nastąpił syn jego Fryderyk Wilhelm, człowiek któremu przyznać trzeba pewne zdolności administracyjne, ale który miał charakter szkaradnemi zeszpecony wadami, a przytem dziwactwa jakie dotąd widziały się chyba tylko w domu waryatów. O sprawy państwa pilny i dbały, pierwszy on powziął zamiar postawienia Prus na równi z wielkiemi mocarstwami Europy za pomocą silnej organizacyi wojskowej, która wszakże nie była w mierze ani w stosunku z rozległością i ludnością pruskiego państwa. Przy najsurowszej oszczędności mógł on utrzymywać sześćdziesiąt tysięcy stałego wojska na stopie pokojowej, a wojsko to było tak wyćwiczone, że Wersalskie i Angielskie pułki królewskiego domu wyglądałyby przy niem jak zbieranina niezgrabnych rekrutów. Pan takiej siły zbrojnej, uchodzić musiał w oczach wszystkich sąsiadów za strasznego nieprzyjaciela, a pożądanego sprzymierzeńca.

Ale umysł miał Fryderyk Wilhelm tak źle uorganizowany, że wszystkie skłonności stawały się u niego namiętnościami, a każda namiętność przechodziła w umysłową i moralną chorobę. Upodobanie w wojskowych musztrach i paradach stało się taką u niego manią, jak tulipany u holenderskiego jakiego burmistrza, lub druki Caxtona u jakiego członka klubu Roxburgskiego [1]). Posłowie dworu Berlińskiego w takiej żyli nędzy, że śmiały się z nich zagraniczne stolice;

[1]) Roxburgh, starodawne niegdyś znaczne miasteczko w Szkocyi. Caxton, drukarz angielski, ur. 1410, um. 1491. Kluby ich imieniem nazwane istniały za czasów Karola I i II-go.

księżniczki i książęta z królewskiego domu tak skąpe dostawali pożywienie, że nie mieli czem głodu zaspokoić, a tak złe, że nawet głód odwracał się od niego z obrzydzeniem. Ale na wysokich rekrutów żadna cena nie była królowi za wysoką. Ambicyą jego było, złożyć brygadę olbrzymów; a agenci jego ściągali ze wszystkich krajów haracz ludzi więcej niż zwyczajnej miary. I nie na samą tylko Europę ograniczały się te zaciągi. Żadna głowa wystająca ponad tłumy w bazarach Kairu, Aleppu lub Suratu, nie mogła ujść werbownikom Fryderyka Wilhelma. Irlandczyk pewien mający więcej nad siedm stóp wysokości, złapany na bruku Londyńskim przez pruskiego posła, dostał gratyfikacyi tysiąc trzysta funtów, więcej nierównie niż wynosiła płaca ambasadora. Szaleństwa takie były tem niedorzeczniejsze, że tęgi chłopak mierzący pięć stóp i ośm cali, jakiego można było zwerbować za kilka talarów, byłby się nierównie lepiej zdał na żołnierza. Ale dla Fryderyka Wilhelma był ten potwór Irlandzki tem, czem dla zbieracza innego rodzaju jest bronzowe popiersie Othona lub jaka rzadkość bibliograficzna. Rzecz szczególna, że pomimo, iż głównym celem rządów tego króla było wyrobić sobie wielką siłę wojenną, pomimo że panowanie jego ważną stanowi epokę w dziejach karności i ćwiczeń wojskowych, pomimo że parady i musztry były górującą jego namiętnością, był on przecież jednym z najbardziej pokojowych książąt na świecie. Wstręt ten do wojny atoli, nie był, lękamy się, skutkiem ludzkości króla, ale tylko jednym z niezliczonych jego dziwactw. Dla swego wojska miał on uczucie takie, jak skąpiec dla swoich pieniędzy; lubił je zbierać, liczyć, oglądać, pomnażać, ale nie mógł się na to zdobyć, by skarbów tych nadpocząć. Widział zawsze we mgłach przyszłości patagońskie swoje bataliony, gnające przed sobą nieprzyjacielską piechotę jak trzodę owiec, ale przyszłość ta coraz dalej w głąb się usuwała, i bardzo być może, że gdyby pożył był dłużej o lat trzydzieści, przepyszne jego wojsko nie byłoby cięższej zaznało służby, jak udana bitwa na polach pod Berlinem. Ale przeznaczonem było, że z wielkich środków

wojennych przez niego nagromadzonych, inny umysł, śmielszy i płodniejszy, miał zrobić użytek.

Fryderyk przezwany Wielkim, syn Fryderyka Wilhelma, urodził się w styczniu roku 1712. Śmiało rzec można, że dostał on od natury pojęcie bystre i silne, niezachwianą stałość i wolę stanowczą i potężną. Co do innych zaś stron jego charakteru, trudno orzec, czy przypisać je trzeba naturze, czy też osobliwszemu wychowaniu jakie odebrał. Historya jego dzieciństwa jest zajmująca, bo bardzo przykra. Oliver-Twist [1]) w parafialnym domu roboczym był zepsutym pieszczochem, w porównaniu z tym biednym następcą tronu. Fryderyk Wilhelm był z natury zły i twardy, a przyzwyczajony nieograniczoną wykonywać władzę, stał się dzikim i strasznym. Wściekłość jego ustawicznie dawała sobie folgę miotanemi na wszystkie strony przekleństwami i razami. Kiedy wychodził na przechadzkę, ludzie uciekali, jak żeby tygrys był się wyłamał z menażeryi; jeźli na ulicy spotkał kobietę, kopał ją nogą i kazał wracać do domu pilnować *młodych;* jeźli dostrzegł księdza zapatrzonego na jego żołnierzy, napominał go, by myślał o nauce i modlitwie, a pobożnej tej radzie dodawał nacisku laską, którą zaraz na miejscu grzbiet przewielebnego okładał. Najniedorzeczniejszym atoli i najsroższym był w swoim własnym domu. Pałac jego był piekłem, a on sam najstraszniejszym z szatanów, jak żeby połączeniem Molocha i Pucka. Nienawidził zaś nadewszystko syna Fryderyka i córki Wilhelminy, późniejszej margrabiny Bayreuckiej. Umysł jego był zupełnie nieoświecony; literaturę miał w pogardzie, a niewiernych papapistów i metafizyków w nienawiści, nie wiedząc dobrze czem się oni między sobą różnili. Celem życia podług niego było: musztrować i być musztrowanym. Rozrywkami zaś jakie książętom przystały, było: siedzieć w obłokach tytoniowego dymu, ciągnąć naprzemian szwedzkie piwo i knaster z cybucha, grać

[1]) Oliver Twist, bohater powieści Dickensa, chowany w domu podrzutków.

w trick-track po półtora pensa rober, polować na dziki, i strzelać kuropatwy na tysiące. Królewicz mało okazywał skłonności tak do poważnych zajęć jak i do rozrywek ojca. Wymykał się jak mógł od obowiązków parady i musztry, nie cierpiał tytoniu, nie lubił ani trick-tracku ani polowania. Ucho miał za to dobre i nieźle grał na flecie; za pierwszych nauczycieli miał Francuzów, i ci obudzili w nim zapał do francuzkiej literatury i upodobanie w towarzystwie Francuzów. Fryderyk Wilhelm zaś gardził zniewieściałemi temi skłonnościami, a dręcząc i prześladując za nie syna, zakorzenił je sam tem mocniej. Rzeczy szły coraz gorzej; a kiedy książę dożył tego wieku, w którym następuje stanowcze przekształcenie w ludzkim umyśle i ciele, doszły one do najokropniejszego stanu. Fryderyk popadł był w pewne błędy młodości, na które żaden ojciec dobry i roztropny surowo patrzeć nie może. W późniejszym wieku oskarżono go słusznie lub niesłusznie o sprosności, od których historya odwraca oczy, a których satyra sama nazwać się wstydzi; sprosności, na które, żeby użyć silnego wyrażenia Lorda kanclerza Coventry: »skażona natura, która do każdego innego grzechu sama człowieka ciągnie, wzdryga się z obrzydzeniem.« Ale wykroczenia jego młodości nie odznaczały się żadną szczególną sprosnością, a przecież wprawiły w uniesienie wściekłości króla, który nienawidził wszystkich błędów oprócz swoich własnych, a sądził, że za zwierzęcą i okrutną swoją gwałtowność aż nadto panu Bogu czynił zadosyć, jeżeli prześladował namiętności mniej szkodliwe. Oprócz tego jeszcze, należał królewicz do tych ludzi, którzy wiary swojej nie lubią przyjmować na słowo; stawiał on często pytania, na które trudno było odpowiedzieć, i wyrywał się z argumentami, które trąciły czemś odmiennem od czystego Luteranizmu. Zaczął tedy król podejrzywać, że syn jego chylił się do jakiejś herezyi: do Kalwinizmu, czy też do Atheizmu, o tem jego Królewska Mość nie miała jasnego pojęcia. Zwykła srogość Fryderyka Wilhelma była już dość zła: cóż dopiero teraz, kiedy srogość uważać zaczął za obowiązek swój jako dobrego Chrze-

ścijanina, i kiedy co miał sumienia, to podżegać zaczęło jego wrodzone okrucieństwo. Połamał flet, francuzkie książki powyrzucał z pałacu, księcia kopał nogami, walił kijem i targał za włosy; przy obiedzie rzucał na niego półmiskami, to znów skazywał go na chleb i wodę, lub na strawę tak obrzydliwą, że żołądek nie mógł jej ani na chwilę zatrzymać. Jednego razu powalił go o ziemię, zawlókł za włosy do okna, i byłby go udusił sznurem od firanki, ale mu przeszkodzono. Królowa, winna tej zbrodni że nie chciała by jej mąż zamordował syna, znosić musiała najniegodniejsze obelgi; księżniczka Wilhelmina, która się ujęła za bratem, doznała brutalnego obejścia. Nieszczęśliwy młodzieniec, doprowadzony tem wszystkiem do rozpaczy, postanowił uciec; a wtedy wściekłość starego tyrana doszła do szaleństwa. Królewicz był oficerem w wojsku, jego ucieczka była zatem zbiegostwem, a w kodeksie moralnym Fryderyka Wilhelma, zbiegostwo było największą ze wszystkich zbrodni. »Zbiegostwo pochodzi z piekła« — mówi ten koronowany teolog w jednym ze swoich szalonych listów — »Jest ono dziełem dzieci Szatana; dziecko Boga popełnić go nie może.« Jeden z wspólników księcia, pomimo iż go sąd wojenny łasce króla polecał, straconym został bez miłosierdzia; a zdawało się przez czas jakiś, że los taki spotka i samego księcia. Wstawienie Stanów Holenderskich, Króla Polskiego i Szwedzkiego, i Niemieckiego Cesarza, zaledwo uratować zdołało Dom Brandenburski od plamy przeciwnego naturze zabójstwa. Po kilku miesiącach bolesnej niepewności dowiedział się Fryderyk, że miał zostać przy życiu; a choć długi czas jeszcze zostawał w więzieniu, to przecież z tego względu nie ma go co żałować, bo u stróżów więziennych znalazł litość, której ojciec nigdy dla niego nie miał. Pożywienie miał nie wykwintne ale zdrowe, i dostateczne by głód zaspokoić, nikt go nie kopał nogami kiedy czytał Henryadę, a kiedy grał na flecie, nie potrzebował się obawiać, że mu go ktoś na głowie połamie.

Z więzienia tego wyszedł Fryderyk dorosłym człowiekiem; miał lat dwadzieścia jeden i nie mógł już dłużej trzymanym

być w tych karbach, które pierwszą jego młodość tak opłakaną uczyniły. Umysł jego dojrzał w cierpieniu, ale z drugiej strony stwardniało w niej serce i zgorzkniał temperament. Nauczył się panować nad sobą i udawać, stósował się napozór we wszystkiem do woli ojca, i ulegle przyjął z rąk jego żonę, która żoną była mu tylko z imienia. Służył także pod rozkazami księcia Eugieniusza i zyskał sobie uznanie, choć nie mógł zyskać wielkiej sławy, dla braku sposobności w kampanii, której żadne wielkie nie odszczególniły wypadki. Odtąd wolno mu było osobny dom prowadzić; mógł zatem, choć zawsze ostrożnie, folgować swoim upodobaniom. Częścią dla przejednania sobie króla, częścią zapewne za własną idąc skłonnością, odkładał odtąd kilka godzin czasu na prace polityczne i wojskowe, i nabył stopniowo takiej zdatności do spraw politycznych, jakiej nigdy przedtem nie dostrzegali w nim najpoufalsi jego towarzysze.

Z największem upodobaniem przesiadywał w Rheinsberg, na samej granicy Prus i Meklemburskiego księztwa. Jest to zakątek żyzny i wesoły wśród piaszczystych puszcz Brandenburgii; pałac, otoczony dębowym i bukowym lasem, leży nad dużem jeziorem. W tem więc ustroniu zabawiał się Fryderyk zakładaniem ogrodów w regularne aleje i zawikłane labirynty, wznosił obeliski, świątynie i szklarnie, zbierał rzadkie owoce i kwiaty. Samotne życie słodził mu pobyt kilku towarzyszów, z których najmilsi byli mu ci, którzy jeźli nie z urodzenia, to przynajmniej z pochodzenia byli Francuzami. Z tymi tedy jadał dobrze i pijał swobodnie, czasami bawił się koncertami, czasami odbywał kapituły Bractwa, które nazwał był Zakonem Bayarda, ale przedewszytkiem zajmował i bawił się literaturą.

Wychowanie odebrał zupełnie francuzkie. Długoletnia przewaga Ludwika XIV, niepospolite zalety tragicznych i komicznych pisarzów, kaznodziei i satyryków, którzy za wspaniałego tego króla kwitnęli, sprawiły, że język francuzki stał się panującym w całej Europie. Te nawet kraje, które miały swoją własną narodową literaturę, które szczycić się mogły

imionami większemi nierównie od imienia Racina Moliera i Massillona, nawet ojczyzna Danta, ojczyzna Cervantesa, ojczyzna Szekspira i Miltona, przejęły prawie powszechnie literackie i umysłowe mody z Paryża. Niemcy nie były jeszcze do owego czasu ani jednego wydały arcydzieła poezyi lub wymowy; panował tam więc smak francuzki bez najmniejszego znikąd oporu ani ograniczenia. Każdy młodzieniec z wyższych klas uczył się mówić i pisać po francuzku, czy zaś własnym językiem umiał władać, jeżeli nie pięknie to przynajmniej znośnie i z łatwością, to uchodziło za rzecz podrzędną. Sam nawet Fryderyk Wilhelm, pomimo wszystkich swoich szorstkich i nieokrzesanych niemieckich przesądów, wymagał, by dzieci jego umiały po francuzku, a nie uważał za potrzebne, by umiały dobrze po niemiecku. Łacina zakazaną była najsurowiej. »Mój syn« — mawiała Jego Królewska Mość — »nie będzie się uczył po łacinie, a co więcej, zakazuję, żeby mi ktokolwiek wspominał o czemś podobnem«. Jeden z nauczycieli księcia wziął się raz na swoje nieszczęście do czytania z nim Złotej Bulli w oryginale; wtem wpadł do pokoju Fryderyk Wilhelm i zapytał zwykłym swoim królewskim stylem?

— Nad czem to; galganie?

— Proszę łaski Waszej królewskiej Mości — odpowiada nauczyciel — tłomaczę Złotą Bullę Jego Królewiczowskiej Mości.

— »Dam ja ci Złotą Bullę, galganie ty jeden! ryknął na to pruski Majestat, wznosząc laskę do góry; preceptor uciekł w śmiertelnym strachu, a klasyczne studya Fryderyka skończyły się na zawsze. Od czasu do czasu lubił on popisywać się łacińskiemi cytacyami i sentencyami i wyjeżdżał z cycerońskiemi frazesami, jak następujące: »*Stante pede morire*« — «*De gustibus non est disputandus*« — »*Tot verbas tot spondera*« i tam dalej. Po włosku nie dosyć umiał, by przeczytać z łatwością kartkę Metastazyusza, a o ile wiemy, nie rozumiał ani jednego słowa po angielsku ani po hiszpańsku.

A ponieważ najwyższemi ze wszystkich przystępnych jemu były utwory pisarzów francuzkich, nic dziwnego, że

uwielbienie jego dla tych pisarzów nie miało granic. Umysł jego żywy, czynny i ambitny, popchnął go zaraz do naśladowania tego co uwielbiał; a najdroższem teraz jego żądaniem było, by mógł kiedyś stanąć w rzędzie mistrzów francuzkiej retoryki i poezyi. Pisał on wierszem i prozą tak niezmordowanie, jak żeby był obdartym i głodnym pismakiem; ale natura, która tak hojnie zlała na niego zdolności wodza i administratora, odmówiła mu tych darów rzadszych, bez których praca sili się nadarmo na wydanie nieśmiertelnej wymowy lub pieśni.

A gdyby nawet otrzymał był od natury więcej niż otrzymał rzeczywiście wyobraźni, dowcipu, i twórczości myśli, byłoby mu zawsze przecież bardzo wielkiej jednej rzeczy niedostawało, bez której nie mógł między pisarzami wysokiego zająć stanowiska. Żadnego języka nie miał on zupełnie w swojej mocy. Żadną z tych maszyn myśli nie mógł posługiwać się z łatwością, pewnością siebie, i swobodą. Po niemiecku umiał dosyć, by łajać służących lub dać hasło grenadyerom, ale gramatyki nie umiał, a wymowę miał jak najgorszą. Nie mógł bez trudności zrozumieć znaczenia najprostszych, najłatwiejszych wierszy niemieckich. Jednego razu, gdy mu czytano niemieckie tłomaczenie Ifigenii Racina, trzymał ciągle oryginał przed oczami, ale wkońcu musiał wyznać, że nawet z tą pomocą nie mógł zrozumieć tłomaczenia. A przecież, choć tak zaniedbał język ojczysty, by francuzkiemu wszystkie siły poświęcić, francuzczyzna jego, była zawsze tylko francuzczyzną cudzoziemca. Potrzebował zawsze mieć pod ręką literata jakiegoś z Paryża, któryby mu wskazywał solecyzmy i fałszywe rymy, w które aż do ostatka wpadał co chwila. Gdyby zatem był i posiadał tę zdolność poetyczną, na której, o ile sądzić możemy, zbywało mu zupełnie, to jeszcze nie byłby mógł zostać wielkim poetą, dla braku języka. Nikt nigdy ile wiemy nie napisał prawdziwie pięknego i szlachetnego dzieła natchnienia i wyobraźni, w języku innym, jak ten którego nauczył się nie wiedząc sam jak i kiedy, i którym mówił z zupełną łatwością, zanim jeszcze

analizować zaczął jego budowę. Rzymianie niepospolitych zdolności pisywali greckie wiersze, a czyż które z tych wierszy zasłużyły na to by żyć? W nowszych czasach pisało wiersze łacińskie wielu poetów wzniosłego nawet geniuszu, ale żadnych, nawet łacińskich poematów Miltona, nie można stawiać w pierwszym rzędzie dzieł sztuki, ani nawet bardzo wysoko w rzędzie drugim. Nic dziwnego zatem, że we francuzkich wierszach Fryderyka nie znajduje się nic, czegoby nie mógł był napisać pierwszy lepszy, przy pracy i jakiej takiej zdolności, nic coby wychodziło ponad poziom najlichszych poetów. Najlepsze jego utwory stoją może na równi z najgorszymi Dodsleja [1]). W obszernych jego Pamiętnikach nie znajdujemy nigdzie ani uwag głębokich ani żywych obrazów; opowiadanie za to odznacza się jasnością, treściwością, zdrowym rozsądkiem i pewnym zakrojem prostoty i prawdy, nie bez wdzięku u człowieka, który dokonawszy wielkich rzeczy zabiera się do opisywania tego co zrobił. Wszystko razem wziąwszy, Listy są ze wszystkich dzieł jego najwięcej może powabne, te zwłaszcza, które pisał poważnie i których nie ozdobił wierszami.

Rzecz prosta, że młody człowiek pełen zapału dla literatury, a obeznany z jedną tylko literaturą francuzką, z głęboką czcią spoglądał na geniusz Voltaira. Powiedział Calderon w jednej ze swoich ślicznych komedyj, że, kto nie widział nigdy słońca, temu nie można brać za złe, jeżeli światło księżyca ma za najpiękniejsze, a kto nie widział ani słońca ani księżyca, tego trudno ganić, że wysławia nieporównany blask jutrzenki. Gdyby Fryderyk mógł był czytać Homera lub Miltona, a choćby tylko Virgiliusza lub Tassa, w takim razie uwielbienie jego dla Henryady byłoby dowodziło, że zupełnie niezdolnym był poznać się na tem, co jest w sztuce doskonałem. Gdyby był znał Sofoklesa i Szekspira, możnaby słusznie od niego żądać trafniejszego sądu o Zairze; a gdyby był czytał Tacyta i Thucydidesa w łacińskim i greckim oryginale, byłby

[1]) Dodsley Robert, poeta i księgarz ur. 1703, um. 1764.

się przekonał, że są pewne szczyty historycznej wymowy, do których żadną miarą wspiąć się nie mógł autor Żywota Karola Dwunastego. Ale najpiękniejszym poematem bohaterskim, jaki Fryderyk czytał, był poemat Voltaira; najpiękniejszemi tragedyami, tragedye Voltaira; najświetniejszem, najbardziej obrazowem z dzieł historycznych, było znowu dzieło Voltaira. Doskonałość tak różnorodna i tak wysoka wprawiła też młodego księcia w uwielbienie. Publiczność nie znała jeszcze podówczas w całej pełni wyobrażeń Voltaira o rzeczach religii i filozofii. W późniejszych latach, wygnany z ojczyzny i w otwartej wojnie z Kościołem, wypowiedział on wszystko co miał na myśli. Ale kiedy Fryderyk przemieszkiwał w Rheinsbergu, Voltaire był jeszcze dworakiem; a choć nie zawsze umiał trzymać na wodzy niepohamowany i swawolny swój dowcip, nie wydał przecież nic, coby mu zamknąć mogło było wstęp do Wersalu, czegoby nie mógł był czytać z przyjemnością każdy teolog z łagodnej i wyrozumiałej szkoły Tillotsona lub Grotiusa. Pobożność chrześciańska przedstawiona jest w formie nader powabnej w Henryadzie, w Zairze, i w Alzyrze, a w kilka lat później od czasu o którym teraz mówimy, Papież pozwolił sobie przypisać Mahometa. Istotne atoli uczucia poety łatwo bystremu oku dostrzedz się dają pod przyzwoitą zasłoną jaką je pokrywał, i nie mogły ujść przenikliwości Fryderyka, który takie same skrycie wyznawał przekonania i do takiej samej przyzwyczaił się obłudy.

Książę pisywał do swojego bożyszcza stylem czciciela, Voltaire odpowiadał z niesłychaną zręcznością i wdziękiem. Wywiązała się z tego korespondencya, którą z pożytkiem czytać może, kto chce postępu w niegodnej sztuce pochlebstwa. Nikt nigdy nie prawił komplementów lepiej od Voltaira. Najsłodsze jego konfekta miały zawsze jakiś smak subtelny i zaostrzający, niezmiernie miły dla delikatnego podniebienia zbrzydzonego pospolitemi przyprawami pośledniejszych sztukmistrzów. Z jego tylko ręki można było tyle połknąć cukru a nie rozchorować się. Przyjaciele zamieniali nawzajem podarunki, jako to, wiersze,

pularesy, rożne drobiazgi z bursztynu; Fryderyk posyłał Voltairowi swoje pisma, a Voltaire chwalił, jak żeby Fryderyk był połączonym Racinem i Bossuetem w jednej osobie. Jedno z pism jego królewiczowskiej Mości miało być refutacyą Macchiavela. Voltaire wziął na siebie wydawnictwo tego dzieła. Nazywało się ono Anti-Macchiavel, i było budującem kazaniem przeciw łupiestwu, zdradzie, samowładnym rządom, niesprawiedliwym wojnom, słowem, przeciw wszystkiemu, czemu autor zawdzięcza swoją sławę u ludzi.

Stary król wydawał od czasu do czasu dziki i groźny mruk na takie syna w Rheinsbergu zabawy, ale zdrowie jego było stargane, koniec się zbliżał, siła opadała. Jedna mu już tylko pozostała pociecha, patrzeć na wysokich żołnierzy. Podarunkiem grenadyera mającego sześć stóp i cztery lub pięć cali wysokości, zawsze można go było przeblagać i ułagodzić; to też syn przezornie składał mu od czasu do czasu takie podarunki.

W początkach roku 1740 umarł Fryderyk Wilhelm z odwagą i stałością godną lepszego i mędrszego człowieka; a Fryderyk, który właśnie też kończył był rok dwudziesty ósmy, został królem pruskim. Ludzie znali go bardzo mało. Że miał wielkie zdolności, o tem nie mógł wątpić nikt, kto z nim mówił, lub znosił się przez listy; ale wygodny epikurejski jego rodzaj życia, jego upodobanie w dobrej kuchni, w dobrych winach, w muzyce, w pogadance, w lekkiej literaturze, sprawiało, że wielu uważało go za zmysłowego i umysłowego sybarytę. Prawiąc zaś ciągle o umiarkowaniu, pokoju, wolności, o szczęściu jakie umysł szlachetny znajduje w szczęściu drugich, oszukał on wielu takich, którzy powinni byli znać go lepiej. Ci, którzy mieli o nim najlepsze wyobrażenie, spodziewali się jakiegoś Telemaka podług Fenelonowego wzoru; inni wróżyli nową erę Medyceuszów, błogosławioną dla sztuk i nauk, nie nielaskawą dla rozkoszy; nikt się nie domyślał, że na tron wstąpił tyran nadzwyczajnych politycznych i wojskowych zdolności, nadzwy-

czajniejszej jeszcze czynności, tyran bez trwogi, bez wiary, bez czci, i bez litości.

Rozczarowanie Falstaffa przy koronacyi dawnego koleżki [1]), nie więcej było gorzkiem, jak rozczarowanie członków niektórych Rheinsberskiego kółka. Długi czas czekali oni na wstąpienie na tron swojego patrona, jako na wypadek, od którego zacząć się miała własna ich pomyślność i wielkość; dostali się wreszcie do tej ziemi obiecanej, która mlekiem i miodem płynąć im miała, i znaleźli, że była pustynią. »Dość już tych głupstw«— napomniał raz Fryderyk jednego z nich krótkiemi a ostremi słowy. Niebawem pokazało się, że w najważniejszych razach król nowy wielkie miał podobieństwo rodzinne ze swoim poprzednikiem. Była wprawdzie ogromna między ojcem i synem różnica co do obszerności i siły umysłu, co do filozoficznych pojęć, zabaw, zajęć, i zewnętrznego układu, ale rdzeń charakteru był ten sam u obydwóch. Obudwom wspólne było zamiłowanie porządku i pracy, wojskowość, oszczędność, duch rozkazujący, i temperament drażliwy aż do srogości; obadwa jednakową znajdowali przyjemność w cierpieniu i upokorzeniu drugich. Ale u Fryderyka Wilhelma odbiła się w tych skłonnościach wrodzona chorobliwość jego umysłu; w połączeniu zaś z potężnym i wykształconym rozumem jego następcy, wyglądały one zupełnie inaczej. I tak naprzykład, dbał Fryderyk jak tylko można najwięcej o dobro wojska, ale dbałość ta nie przeszła u niego nigdy w monomanią, jak u ojca, który szalone płacił ceny za olbrzymów. Fryderyk był tak oszczędny i gospodarny jak tylko można najbardziej, ale nie sądził przecież, jak ojciec, żeby warto było jeść niezdrową kapustę, by oszczędzić kilka talarów na rok. Fryderyk miał serce równie złe jak ojciec, ale miał dowcip, który pozwalał mu złość swoją wywierać w sposób przyzwoitszy od tych, które ojciec miał na rozkazy, i zadawać ludziom wstyd i cierpienie, szyderstwami nie razami. Fryderyk wprawdzie nie zrzekł się bynajmniej dzie-

[1]) W Henryku V Szekspira.

dzicznego swego przywileju bicia i kopania nogami, ale w wykonywaniu tego przywileju różnił się od ojca pod wieloma względami. Fryderyk Wilhelm, jeżeli dosięgnąć mógł laską lub obcasem jakąkolwiek ludzką istotę, mężczyznę czy kobietę, dorosłego czy dziecko, Prusaka czy cudzoziemca, widział w tem dostateczny powód, by go kijem okładać. Fryderykowi niewystarczało mieć kogoś pod ręką, trzeba mu było zaczepki; i nie słychać, by udzielił był kiedykolwiek ojcowskiej tej korrekcyi komu innemu jak rodowitym swoim poddanym. Raz tylko jeden przez kilka sekund groziło panu Thiébaut[1]) niebezpieczeństwo zostania zaszczytnym w tej regule wyjątkiem.

Poddani jak sąsiedzi bardzo jeszcze niedokładne mieli pojęcie o charakterze Fryderyka, kiedy zaszły wypadki, które na charakter ten prawdziwe i silne rzuciły światło. W kilka zaledwo miesięcy po jego wstąpieniu na tron umarł Karol VI, cesarz Niemiecki, ostatni z linii męzkiej potomek Domu Austryackiego.

Nie zostawił on syna, a na długo przed śmiercią wyrzec się musiał nadziei męzkiego potomstwa. Przez cały ciąg drugiej połowy swego życia myślał wciąż o tem tylko, by potomstwu swojemu w linii żeńskiej zapewnić dziedzictwo mnogich koron Habsburskiego Domu. W tym celu wydał on nowe prawo następstwa, sławne w całej Europie pod nazwą Sankcyi Pragmatycznej. Na mocy tego prawa spuścizna przodków spaść miała na córkę jego arcyksiężnę Maryę Teresę, żonę Franciszka Lotaryńskiego.

Żaden panujący nie objął nigdy tronu na mocy oczywistszego prawa. Cała polityka Dworu Austryackiego przez lat dwadzieścia do jednego tylko zmierzała celu, którym było zabezpieczenie tego następstwa. Od wszystkich, którzy mogli następstwem tem uważać się za pokrzywdzonych w swoich prawach, wyjednano zrzeczenia się jak najuroczystsze. Stany

[1]) Thiébaut ur. 1733, profesor w szkole wojskowej w Berlinie, autor pamiętników o *Fryderyku, jego rodzinie i jego dworze,* um. 1805.

wszystkich księstw i królestw, składających rozległe państwo austryackie, potwierdziły nowe prawo; Anglia, Francya, Hiszpania, Polska, Prusy, Szwecya, Dania, Rzesza niemiecka i Rosya, zobowiązały się traktatami do zachowania Sankcyi Pragmatycznej. Akt ten złożony był pod opieką uczciwości publicznej całego cywilizowanego świata.

A gdyby żadne nawet nie były zaszły w tej mierze formalne układy, rozporządzenie to przecież było tego rodzaju, że żaden człowiek uczciwy nie powinien był go naruszać. Nie naruszało ono pokoju, nie dawało powodu do wojny, zgodne było z dobrem mnogich ludów, o których szczęście głównie tu chodziło; nie zmieniało w niczem dotychczasowego rozdziału potęgi między chrześciańskiemi państwami. A z drugiej strony do zwalenia było jedynie z pomocą powszechnej wojny, a skutkiem zwalenia, gdyby do tego było przyszło, byłoby zachwianie europejskiej równowagi, srogi gwałt zadany patryotycznym uczuciom milionów, i rozerwanie przemocą krajów, które od wieków były z sobą połączone.

Królowie Europy zatem obowiązani byli wszystkiem co tylko świętem być winno dla tych, którzy mają władzę nad swoimi bliźnimi, szanować prawa Arcyksiężnej i praw tych bronić. Położenie jej i osobiste przymioty prócz tego, były takie, że musiały każdego szlachetnego człowieka pobudzać do współczucia, jeżeli nie do uwielbienia i rycerskiego zapału. Miała ona rok dwudziesty czwarty, miała postawę majestatyczną, oblicze piękne, wyraz łagodny i ożywiony, głos dźwięczny, obejście dostojne i uprzejme. W domowem życiu nie było na niej najmniejszej skazy; miała męża którego kochała, a niebawem spodziewała się dziecka, kiedy jej śmierć ojca zabrała. W odmiennym tym stanie zdrowia za wiele jej było straty ojca i nowych trosków królowania; upadła na duchu, z lica jej zeszła świeżość i rumieniec. A przecież zdawałoby się, że nie miała się o co troszczyć; zdawało się, że sprawiedliwość, ludzkość, i wiara traktatów powinna była mieć jakąś wagę, i że następstwo tronu tak uroczyście poręczone i ubezpieczone wejdzie przecież

w życie łatwo i spokojnie. Anglia, Hollandya, Polska i Rosya oświadczyły na piśmie, że chcą się trzymać przyjętego zobowiązania; ministrowie francuzcy dali ustne w tym samym duchu zaręczenie; ale z żadnej strony nie doszły młodej królowej węgierskiej silniejsze zapewnienia przyjaźni i pomocy, jak od króla pruskiego.

A w tym samym czasie postanowił już był i wiedział dobrze ten sam król pruski, ten Anti-Macchiavel, że popełni wielką zbrodnię złamania wiary, że złupi sprzymierzeńca którego poprzysiągł bronić, że całą Europę popchnie w wojnę krwawą, długą i zgubną, a to wszystko w jednym tylko celu, by rozszerzyć granice swego państwa i widzieć imię swoje wydrukowane w gazetach. Postanowił on szybko i tajemnie zebrać wielkie wojsko, napaść na Szlązk, zanimby jeszcze Marya Teresa dowiedziała się o jego zamiarach, i bogaty ten kraj przyłączyć do swego królestwa.

Nie raczymy zbijać tu szeroko i długo tych wszystkich argumentów za królem Pruskim, które kompilator mniejszych pamiętników przepisał z Doktora Preuss. Kończą się one na tem, że dom Brandenburski rościł sobie przedwieczne jakieś do Szlązka pretensye, których zrzec się musiał w wieku poprzednim wskutek przemocy dworu Wiedeńskiego. Faktem jest, że ktokolwiek początkowo mógł mieć słuszność, Prusy się owych praw zrzekły, a obecny stan rzeczy przyjmował każdy jeden po drugim książę z Brandenburskiego domu. Co więcej, dwór Berliński świeżo był się z Wiedeńskim sprzymierzył, i poręczył mu całość jego posiadłości. Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że gdyby przedawnione prawa stawiać się miały przeciw świeżym traktatom i długiemu posiadaniu, świat nie miałby pokoju ani przez dzień jeden? Prawa wszystkich narodów przezornie oznaczyły pewien termin czasu, po którego upływie prawa wątpliwego nawet początku, stają się niewątpliwemi. Każdy przecież rozumie, że wydarcie komuś majątku na podstawie niesprawiedliwości jakiejś popełnionej za czasów Tudorów, pociągnęłoby za sobą wszystkie złe skutki samo-

władnej konfiskaty, i zniweczyłoby wszelkie bezpieczeństwo własności. »Dla dobra publicznego« mówi zasada prawna »musi sporność mieć jakiś koniec i termin«, a zasada ta da się niezaprzeczenie zastósować równie słusznie do publicznego dobra państw: bo gdzie chodzi o państwa, tam spór znaczy tyle, co spustoszenie krajów, zatamowanie przemysłu i handlu, oblężenia takie jak w Badajoz i San Sebastiano, pola bitwy takie jak pod Eylau i Borodino. Zdaje nam się, że oderwanie Norwegii od Danii a przyłączenie jej do Szwecyi nie da się usprawiedliwić; ale czyż król Duński miałby słuszność, gdyby wylądował bez żadnego powodu w Norwegii i rozpoczął tam kroki nieprzyjacielskie? Król Holenderski musi zapewne myśleć, że niesprawiedliwie odebrano mu Belgią — dajmy nawet, że tak jest — czyż pomimo tego miałby słuszność, gdyby wyprawił się z wojskiem na Bruxellę? W tym zaś przypadku, Fryderyk miał sprawę o tyle jeszcze gorszą, że krzywda o którą się niby upominał, stała się przed stoma z górą laty; a i tego jeszcze zapominać się nie godzi, że miał dla domu Austryackiego najsilniejsze osobiste obowiązki wdzięczności; bo rzeczą jest bardzo prawdopodobną, że winien był życie przyczynie tego samego cesarza, którego córkę teraz złupić się zabierał.

Należy jednak mu oddać tę sprawiedliwość, że nie udawał uczciwości, której nie miał. W manifestach swoich mógł on dla formy wtrącić próżne gadaniny o swoich odwiecznych prawach do Szlązka, ale w rozmowach i w Pamiętnikach inaczej zupełnie przemawiał. Oto jego własne słowa: »Ambicya, interes, chęć, żeby ludzie o mnie mówili, przemogły, — i postanowiłem wojnę«.

A postanowiwszy ją w ten sposób, postępował sobie roztropnie i sprężyście. Przygotowania wojenne żadną miarą zupełnie ukryć się nie dały, bo pułki, działa i rynsztunki w ustawicznym były ruchu w pruskich posiadłościach. Poseł austryacki ostrzegał o tem dwór swój z Berlina, i domyślał się poczęści zamiarów Fryderyka; ale ministrowie Maryi Teresy nie chcieli wierzyć tak czarnym posądzeniom rzuconym

na młodego księcia znanego głównie z wysokich swoich pojęć o prawości i filantropii, i odpisywali, że nie chcą i nie mogą dać temu wiary.

A tymczasem wojska pruskie już były zgromadzone, i Fryderyk bez żadnego wypowiedzenia wojny, bez żadnego poprzedniego żądania zadośćuczynienia, w tej samej chwili kiedy sypał komplementa i oświadczenia przyjaźni, rozpoczął nieprzyjacielskie kroki. Zanim jeszcze dowiedziała się królowa węgierska, że rościł on sobie prawa jakieś do jej posiadłości, już tysiące jego żołnierzy były na Szlązku. Nakoniec posłał jej pismo, które nie było niczem więcej jak prostą obelgą. Mówił bowiem, że jeżeli ustąpi mu Szlązka, to pomagać jej będzie przeciw każdemu mocarstwu, któreby chciało obedrzeć ją z innych posiadłości, jak żeby nie był aż nadto obowiązanym do tej pomocy, i jak żeby nowa jego obietnica więcej od dawniejszych zasługiwała była na wiarę.

Działo się to w samym środku zimy. Zimna były wielkie, a drogi dla błota bardzo uciążliwe, ale Prusacy śpiesznie postępowali naprzód. Wojsko austryackie nie było ani liczne, ani zdolne do skutecznego oporu. Mała jego część rozłożona w Szlązku, nie była wcale przygotowaną na kroki nieprzyjacielskie, i musiała oddać Wrocław, opuścić Olawę, a w Głogowej wytrzymywać oblężenie. Trzymały się wprawdzie tu i owdzie rozproszone po miastach załogi, ale kraj cały był w ręku Prusaków, a nikt nie ośmielił się w otwartem polu zaczepić króla, który przed końcem Stycznia r. 1741 powrócił do Berlina, chciwy powitań i powinszowań swoich poddanych.

Gdyby sprawa Szlązka rozgrywała się była między Fryderykiem jedynie i Maryą Teresą, już nie możnaby uniewinnić go od najhaniebniejszej zdrady; ale jeżeli weźmiemy na uwagę skutki, jakie polityka jego wywrzeć musiała i wywarła na całą cywilizowaną Europę, to będziemy musieli wydać na niego wyrok o wiele jeszcze surowszy. Dopokąd bowiem on wojny nie rozpoczął, utrzymanie pokoju zdawało się możliwem a nawet prawdopodobnem. Grabież ogromnej spuścizny austryackiej

była wprawdzie nie małą pokusą, i nie jednemu dworowi snuły się po głowie zdobywcze zamysły. Ale traktaty warujące Sankcyę Pragmatyczną były wyraźne, i były tak jeszcze świeże, że zdawało się rzeczą niełatwą zakłócić całą Europę dla celu tak oczywiście niesprawiedliwego. Anglia wierną była swoim przyrzeczeniom, a kardynał Fleury zawsze za pokojem przemawiał. Miał on sumienie; a oprócz tego doszedłszy bardzo podeszłego wieku, nie rad był na życie swoje, dziwnie czyste jeżeli położenie jego zważymy, rzucić plamę wielkiej zbrodni i zanieść ją w całej świeżości przed trybunał Boga. Sam nawet próżny i żadnych nie mający zasad marszałek Belle-Isle, choć życie jego całe było szalonym snem na jawie o zdobyczach i grabieżach, czuł przecież, że Francya uroczystemi traktatami związana, nie mogła bez wstydu napaść wprost na posiadłości austryackie. Elektor Bawarski Karol, utrzymywał wprawdzie, że miał prawo do większej części tego spadku, który Sankcya Pragmatyczna oddała królowej Węgierskiej, ale nie miał dość siły, by się ruszyć bez obcej pomocy. I dlatego, można było rozsądnie przypuszczać, że po krótkiej chwili niepokoju wszystkie mocarstwa Chrześcijaństwa przystaną na rozporządzenie zmarłego cesarza. Wtem drapieżne samolubstwo króla Prusskiego dało hasło wszystkim jego sąsiadom; przykład jego uśpił w nich uczucie wstydu, a jego powodzenie sprawiło, że lekko sobie ważyć zaczęli trudności rozszarpania państwa austryackiego. Cały świat rzucił się do broni, a na głowę Fryderyka spada wszystka krew przelana w wojnie, która przez długie lata srożyła się po wszech częściach świata, krew żołnierzy z pod Fontenoy [1]) i krew szkockich górali wyrżniętych pod Culloden [2]). Klęski jakim niegodziwość jego dała początek, spadły na takie nawet kraje, które nigdy nazwiska Prus

[1]) Fontenoy. Zwycięztwo Maurycego Saskiego na czele wojsk francuzkich nad koalicyą Anglików, Austryaków i Holendrów, 1745.

[2]) Zwycięztwo księcia Cumberland nad Karolem Edwardem Stuartem, ostatnim pretendentem do korony angielskiej, 1746.

nie znały, i dlatego, żeby Fryderyk złupić mógł sąsiada, którego przyrzekł był bronić, musieli bić się czarni ludzie na wybrzeżach Coromandelu, a czerwoni zdzierali sobie skórę z czaszek u Wielkich Jezior północnej Ameryki.

Fryderyk zajął wprawdzie Szlązk bez jednej bitwy, ale wojska austryackie szły na odsiecz twierdzom, które się jeszcze trzymały. Z wiosną pośpieszył i Fryderyk do swego wojska. Dotychczas tak dobrze jak nie widział on wojny, a nie dowodził nigdy większą siłą w polu. Nic więc dziwnego, że w pierwszych jego operacyach nie znać tej zręczności, którą w późniejszych latach podziwiała cała Europa. To co znawcy mówią o obrazach Rafaela z pierwszej jego młodości, da się także powiedzieć o pierwszej wyprawie Fryderyka; to jest, że była z pierwszej, złej maniery. Szczęściem dla niego, jenerałowie, z którymi miał do czynienia, byli bardzo nieudolni, kiedy karność i wyćwiczenie jego własnego wojska, zwłaszcza piechoty, niezrównane były w owym wieku, a pod ręką miał kilku zdolnych i doświadczonych wojskowych, którzy go wspierali radami. Najznamienitszym między tymi był Feldmarszałek Schwerin, tęgi awanturnik, rodem z Pomorza, który sługiwał wszystkim niemal z kolei rządom w Europie, bywał oficerem w służbie książąt Meklenburskich i Generalnych Stanów Hollandyi, bił się pod księciem Marlborough pod Blenheim, a z Karolem XII był w niewoli w Benderze.

Pierwszą swoją bitwę stoczył Fryderyk pod Mollwitz; a nigdy jeszcze wielki wódz nie rozpoczął swego zawodu pod nieszczęśliwszemi wróżbami. Wojsko jego zwyciężyło; ale on sam, nie tylko że nie dowiódł prawa do tytułu zdolnego jenerała, ale miał nawet to nieszczęście, że podał w wątpliwość, ażali ma najpospolitszą odwagę prostego żołnierza. Jazda, którą osobiście dowodził, poszła w rozsypkę. Król, nieprzyzwyczajony do zgiełku i rzezi pola bitwy, stracił przytomność, i zbyt łatwo usłuchał tych, którzy go naglili, by się ratował. Siwy angielski koń uniósł go daleko, o kilka mil z pola, podczas gdy Schwerin, choć ranny dwa razy, dzielnie chwałę dnia tego

utrzymał. Sztuka starego Feldmarszałka i stałość żołnierza przemogła, a wojska austryackie spędzone zostały z pola ze stratą ośmiu tysięcy ludzi.

Późno w nocy doszła wieść ta do młyna, w którym król znalazł schronienie, i gorzką zadała królowi boleść. Zwyciężył; ale zwycięztwo swoje zawdzięczał rozkazom wydanym przez kogo innego, i męztwu ludzi którzy się bili, podczas gdy on uciekał. Tak niepoczesne były pierwsze początki największego wojownika owego czasu.

Bitwa pod Mollwitz stała się hasłem powszechnej zamieszki w Europie. Bawarya chwyciła za broń, Francya, nie śmiąc jeszcze wmieszać się do wojny na swój własny rachunek, wzięła w niej udział jako państwo sprzymierzone z Bawaryą. Dwaj politycy, którym świat zawdzięczał długie lata pokoju, zeszli z widowni właśnie około tego czasu; ale zanim z niej zeszli, zawinili obadwa tem, że poświęcili swoje uczucie sprawiedliwości i swoją miłość pokoju, próżnej nadziei zatrzymania władzy w swem ręku. Fleury, złamany wiekiem i dolegliwościami, uległ porywczości Marszałka Belle-Isle; Walpole porzucił służbę niewdzięcznej ojczyzny i powrócił do swoich lasów i obrazów w Houghton, a władzę objął po nim śmiały i niestateczny Carteret. Jacy zaś ministrowie, takie były i narody. Przez trzydzieści lat nieprzerwanego prawie w Europie pokoju, przysposobiły się umysły do wielkich przedsięwzięć wojennych; dorosło nowe pokolenie, które nie pamiętało oblężenia Turynu ani rzezi pod Malplaquet, które wojnę z trofeów jedynie znało, które patrząc na kobierce w Blenheim i na posąg na placu Zwycięztw, nie myślało o cierpieniach, o zgubie prywatnych majątków, i o gorzkich łzach, któremi okupują się podboje.

Los zdawał się przez czas jakiś nie sprzyjać królowej Węgierskiej. Fryderyk wpadł na Morawy, Francuzi i Bawarowie wtargnęli do Czech, gdzie przyłączyli się do nich i Sasi. Zajęto Pragę, a Elektor Bawarski wybranym został głosami współelektorów na ów tron cesarski, który dom Austryacki

odwiecznem posiadaniem za swoje niemal dziedzictwo nauczył się uważać.

Ale dumna córa Cezarów nie upadła przeto na duchu. Węgry niezaprzeczonem prawem zawsze jeszcze do niej należały; a choć za przodków jej bywały zawsze najburzliwszem z ich królestw, postanowiła ona przecież powierzyć się wierności tego ludu nieokrzesanego, burzliwego, niecierpliwego na ucisk, ale dzielnego, szlachetnego, i uczciwego. Wpośród wszystkich swoich nieszczęść i niebezpieczeństw urodziła ona syna, późniejszego Józefa II, a zaledwie wstała z połogu, pośpieszyła do Presburga. Tam, wobec nieprzeliczonych tłumów koronowała się koroną i odziała płaszczem św. Szczepana. Żaden z widzów nie mógł wstrzymać się od łez, kiedy młoda i piękna matka osłabiona jeszcze swoim połogiem, dawnym zwyczajem swoich przodków wjechała konno na pagórek Pogróżki, dobyła z pochew koronacyjnego miecza, i z rumieńcem na twarzy pogroziła nim czterem stronom świata, wyzywając, by spróbowały targnąć się na prawa jej własne i jej małego synka. Potem, na pierwszem posiedzeniu sejmu ukazała się w grubej żałobie po ojcu, i w słowach godnych i rzewnych prosiła swego ludu, by się ujął za jej dobrą sprawą. Zerwali się na to z krzeseł magnaci i posłowie, do pół szabel dobyli, i hucznie przyrzekli bronić ją życiem i mieniem. Aż do tej chwili moc nad sobą nigdy przed okiem ludzi nie opuściła Maryi Teresy, ale na ten odgłos upadła ona na swój tron i rozpłakała się wgłos. W kilka dni później widok był jeszcze bardziej rozrzewniający, kiedy powtórnie ukazała się zebranym Stanom królestwa z małym arcyksięciem na ręku. Wtedy to zapał Węgrów wybuchnął tym okrzykiem wojennym, który niebawem rozgrzmiał się po Europie: *Moriamur pro rege nostro Maria Theresia.*

Fryderyk tymczasem przemyśliwał nad zmianą swojej polityki. Nie miał on żadnej ochoty kosztem Domu Habsburgów dopomódz Francyi do najwyższej na kontynencie potęgi. Głównym jego zamiarem było złupić królowę Węgierską, a drugim zaraz, przeszkodzić jeźli można, by jej nikt inny prócz

niego nie złupił. Był on się związał wprawdzie z mocarstwami skojarzonemi przeciwko Austryi, ale zobowiązania te nie miały dla niego więcej wagi jak dawniejsze jego poręczenie Sankcyi Pragmatycznej. Umyślił tedy zdradzić swoich wspólników, by sobie zapewnić swoją część grabieży. Marya Teresa nie miała ochoty wdawać się w żadne z nim układy; ale rząd angielski tak silnie jej wystawiał konieczność przekupienia Fryderyka, że w końcu przystała na porozumienie. Porozumienie to wszelako nie byłoby skończyło się pokojem, gdyby oręż Fryderyka nie był powtórnego odniósł zwycięztwa. Książę Karol Lotaryński, brat męża Maryi Teresy, wojownik śmiały i czynny ale nieszczęśliwy, wydał Prusakom bitwę pod Chotusitz i został pobitym. Król i w tej drugiej bitwie był dopiero początkującym uczniem w sztuce wojennej. W późniejszych latach sam przyznawał, że zwycięztwo dnia tego przypisać należy nie jego dowództwu, ale waleczności i wytrwałości żołnierza. Własną atoli odwagą i dzielnością zmazał zupełnie tę plamę, jaką na sławie jego zostawiła bitwa pod Mollwitz.

Następstwem tej bitwy był pokój zawarty za pośrednictwem Anglii. Marya Teresa odstąpiła Szlązka, a Fryderyk odstąpił swoich sprzymierzeńców. Za przykładem jego poszła Saksonija, a królowa mogła teraz całemi siłami obrócić się na Francyę i Bawaryę. Oręż jej wszędzie teraz był zwycięzkim; Francuzi, zmuszeni uchodzić z Czech, z trudnością tylko zdołali odwrót wykonać, a całą linię ich odwrotu można było wyśledzić po trupach tysięcy ludzi padających z zimna, ze znoju i z głodu. Z tych nawet, którzy wrócili do ojczyzny, wielu przyniosło w sobie zarody śmierci. Do Bawaryi wpadły zgraje dzikich wojowników z tej krwawej spornej ziemi, która leży na pograniczu Chrześciaństwa i Islamizmu. Groźne nazwy Pandurów, Kroatów, Huzarów, po raz pierwszy wtedy doszły do zachodniej Europy. Nieszczęśliwy Karol Bawarski zwyciężony przez Austryę, zdradzony przez Prusy, porzucony przez sprzymierzeńców, i wypędzony z dziedzicznych swoich krajów, ze wstydu i zgryzoty przedwczesnej uległ śmierci. W samem

sercu Niemiec ukazało się wojsko angielskie i pobiło Francuzów pod Dettingen, a wodzowie austryaccy zaczęli już natrącać o uzupełnieniu tego, czego nie dokonał Marlborough i Eugieniusz, to jest, o wydarciu Francyi trzech biskupstw i Alzacyi.

W takich kłopotach dwór Wersalski obrócił się do Fryderyka o pomoc. Dwa razy dopuścił się on tak haniebnej zdrady, że dałby się może nakłonić do niej po raz trzeci. Księżna Chateauroux miała podówczas największą przewagę nad słabym umysłem Ludwika. Postanowiła ona wysłać tajnego posła do Berlina, a do spełnienia tego poselstwa wybrała Voltaira. Voltaire z ochotą podjął się tej sprawy, bo gdy cała Europa grzmiała jego literacką sławą, jego paliło ustawicznie dziecinne pragnienie sławy politycznej. Próżny, i nie bez słuszności, ze swej zręczności i przekonywującej wymowy, pochlebiał sobie prócz tego, że nad umysłem króla Pruskiego nieograniczoną miał przewagę. Tymczasem, znał on dotychczas jedną tylko stronę charakteru Fryderyka. Znał wszystkie nędzne próżności i udawania wierszoklety: ale nie wiedział, że słabości te łączyły się ze zdolnościami i z wadami, które w czynnem życiu zapewniają ludziom powodzenie; nie wiedział, że ten opłakany wierszokleta, który prześladował go furami lichych alexandrynów, był zarazem najczujniejszym, najpodejrzliwszym, najtwardszym z polityków.

Fryderyk przyjął Voltaira ze wszelkiemi oznakami przyjaźni i poważania, umieścił go w pałacu, i zapraszał codzień do swego stołu. Negocyacya dyplomatyczna była istotnie osobliwszego rodzaju. Nic komiczniejszego, nic dziwaczniejszego, jak konferencye między pierwszym owego czasu człowiekiem pióra, a pierwszym człowiekiem czynu, których niepojęta słabość ciągnęła do zamiany ról właściwych. Poeta o niczem nie chciał mówić jak tylko o gwarancyach i traktatach, a wielki król o niczem tylko o rymach i metaforach. Jednego razu oddał Voltaire królowi memoryał o stanie Europy, i odebrał go napowrót zabazgrany wierszami na marginesach. W duszy

śmiał się jeden z drugiego; Voltaire nie oszczędzał poematów króla, a król zostawił dla pamięci takie zdanie o dyplomacyi Voltaira: »Voltaire nie miał listów wierzytelnych, zatem cała jego misya była tylko żartem i zabawką«.

Ale czego wpływ Voltaira wskórać nie zdołał, to zrobił szybki postęp wojsk austryackich. Gdyby Marya Teresa i Jerzy Drugi mogli byli Francyi dyktować warunki pokoju, jakież wtedy byłoby dla Prus podobieństwo zatrzymania Szlązka? Sumienie mówiło Fryderykowi, że postąpił sobie zdradziecko i nie po ludzku z królową Węgierską; że ona krzywdę swoją czuła głęboko, tego dała ona dostateczne dowody, o jej zaś uszanowaniu dla traktatów sądził Fryderyk podług swojego własnego. Gwarancye, mawiał, są jak filigranowe roboty, ładne na oko, ale tak kruche, że nie wytrzymują najmniejszego pociśnienia. Uznał zatem za rzecz najbezpieczniejszą sprzymierzyć się ściśle z Francyą, i na nowo uderzyć na Cesarzowę. W skutku tego więc w jesieni roku 1744 rozpoczął kroki nieprzyjacielskie. Bez wypowiedzenia wojny, bez żadnego choćby tylko dla formy pozoru, wkroczył do Saksonii, nie pytając o pozwolenie Elektora, wtargnął do Czech, wziął Pragę, i samemu nawet Wiedniowi zagroził.

W tym samym atoli czasie doznał on po raz pierwszy niestałości losu. Wojsko austryackie pod Karolem Lotaryńskim zagrażało komunikacyom jego ze Szlązkiem; na jego tyłach Saksonia wzięła się do broni, i nie pozostało mu nic jak szukać ratunku w odwrocie. W późniejszych czasach przyznawał on, że niepowodzenie to było skutkiem jego własnych błędów, i mawiał, że żaden jenerał nigdy większych nie popełnił. Niepowodzeniu swemu atoli w tej kampanii, przypisywał późniejsze swoje zwycięztwa, wśród porażek bowiem i trudności, poznał on po raz pierwszy wielkie zasady sztuki wojennej.

Nastąpił pamiętny rok 1745. Wojna srożyła się na lądzie i na morzu, w Niemczech, we Włoszech, we Flandryi, a nawet Anglia, po długich latach głębokiego wewnętrznego pokoju,

ujrzała po raz ostatni dwa przeciwne u siebie pod bronią obozy. Rok ten pamiętnym jest w życiu Fryderyka, jako ten, w którym rzec można, ukończył swoje terminatorstwo w sztuce wojennej. Byli na świecie wojownicy, których przedwczesna i samouczna biegłość w sztuce wojennej, była niemal intuicyjną. Za dowód służyć może Kondeusz, Clive i Napoleon; ale Fryderyk nie należał do tych świetnych wyjątków. W sztuce wojskowej uczynił on takie tylko postępy, jakie uczynić może każdy człowiek wielkich zdolności w każdej umiejętności, do której przyłoży się wszystkiemi siłami swego umysłu. Pod Hohenfriedberg pokazał on po raz pierwszy, ile korzystać umiał ze swoich błędów i ich następstw. Zwycięztwo dnia tego zawdzięczał on jedynie wybornym swoim planom, i przekonał Europę, że ten król, który przed kilkoma laty stracił zupełnie głowę w bitwie pod Mollwitz, do takiej teraz doszedł doskonałości w sztuce wojennej, że nikt z współczesnych, a jeżeli kto to jeden chyba Maurycy Saski, nie mógł mu w sztuce tej dorównać. Po zwycięztwie pod Hohenfriedberg nastąpiło niebawem drugie zwycięztwo pod Sorr.

W tym samym czasie broń francuzka odnosiła korzyści w Niderlandach. Fryderyk nie potrzebował już obawiać się, że Marya Teresa będzie mogła dyktować prawa Europie, i zaczął przemyśliwać o czwartem z kolei złamaniu przyrzeczeń. Dwór wersalski wielce tem był zmartwiony i zakłopotany; Ludwik XV posłał własnoręczny list do Berlina, ale napróżno. W jesieni roku 1745 zawarł Fryderyk pokój z Anglią, a przed końcem tegoż roku zawarł go także i z Austryą. Uroszczenia Karola Bawarskiego nie stały już na zawadzie porozumieniu, bo książę ten nieszczęśliwy już nie żył, a Franciszek Lotaryński mąż Maryi Teresy, z powszechną zgodą Rzeszy Niemieckiej, wyniesionym został na tron cesarski.

I tym sposobem Prusy znowu miały pokój, ale wojna europejska trwała aż do roku 1748, w którym ukończyła się pokojem akwizgrańskim. Ze wszystkich, którzy w wojnie tej brali byli udział, jedynym, który coś na niej skorzystał, był

Fryderyk. Nietylko, że do korony swojej przyłączył piękny kraj Szlązki, ale jeszcze nieuczciwą swoją przebiegłością tak zręcznie umiał chylić szale to na stronę Francyi, to na stronę Austryi, że uważano go powszechnie za pana europejskiej równowagi; zaszczyt niemały dla kogoś, kto ostatnim był między królami a za pradziada miał prostego tylko Markgrafa. U publiczności uchodził król pruski za polityka, nietylko bez uczciwości ale nawet bez pozornej godności, za polityka drapieżności nienasyconej i bezwstydnego fałszu, i nie można powiedzieć, żeby się publiczność była myliła. Przyznawano mu obok tego wielkie zdolności, uznawano w nim obiecującego wojownika, przebiegłego administratora i dyplomatę. Tych przymiotów, któremi Fryderyk wszystkich innych ludzi przewyższał, jeszcze podówczas nieznano, bo te jaśnieć zwykły tylko na tle ciemnem i ponurem, a dotychczas cały jego zawód z małemi przerwami był zawsze szczęśliwy. Istotna zaś jego wielkość w przeciwności jedynie mogła się okazać, i to w przeciwności, która zdawała się bez nadziei i bez ratunku: w przeciwności, która byłaby złamała ludzi najsławniejszych nawet ze stałości i mocy ducha.

Od początku swojego panowania przykładał on się do spraw publicznych sposobem niezwykłym między królami. Ludwik XIV był wprawdzie sam swoim pierwszym ministrem i ścisły wykonywał nadzór ogólny nad wszystkiemi wydziałami rządu, ale Fryderykowi to nie wystarczało. Nie dość mu było być pierwszym ministrem chciał jeszcze być sam jedynym swoim ministrem. Pod nim nie mógł znaleźć miejsca nietylko żaden Richelieu ani Mazarin, ale nawet żaden Colbert, Louvois lub Torcy. Zamiłowanie pracy dla pracy, niezmordowana, nienasycona żądza rozkazywania, wtrącania się we wszystko, namiętność by siłę swoją dać uczuć, głęboka pogarda i nieufność do ludzi, sprawiały, że nie lubił zasięgać zdania, powierzać tajemnic lub obszernej zlecać władzy. Najwyżsi urzędnicy pod jego rządami nie byli niczem więcej jak pisarzami, i nie mieli u niego tego nawet zaufania, jakiego doznają zwykle dobrzy sekretarze od naczelników wydziałów. On sam był swoim

podskarbim, hetmanem, ministrem robót publicznych, sprawiedliwości, handlu, spraw wewnętrznych i zagranicznych, koniuszym, marszałkiem dworu, szambelanem. Rzeczy, na które w żadnym innym rządzie nie byłby spojrzał żaden naczelnik wydziału, w osobliwszej tej monarchii rozstrzygał sam król osobiście. Jeżeli podróżujący jaki cudzoziemiec chciał dostać dobre miejsce na przegląd wojska, musiał pisać do Fryderyka i odbierał nazajutrz królewskim posłańcem odpowiedź jego z własnoręcznym podpisem. Czynność taka była chorobliwą, była dziwactwem. Sprawy publiczne byłyby niezawodnie szły lepiej, gdyby król powierzył był każdy wydział ludziom zdolnym i uczciwym, a sam poprzestał był na ogólnym tylko nadzorze. Tym sposobem byłby połączył korzyści właściwe jedności kierunku z korzyściami podziału pracy, ale system taki nie dogadzał usposobieniu Fryderyka. Nie mógł on znosić w państwie żadnej innej woli, żadnej innej myśli, prócz swojej; nie chciał żadnej zdolniejszej, wyższej pomocy, prócz mechanicznych pisarzów zdolnych jedynie do tłomaczenia i przepisywania, do wypełniania nabazgranych jego notatek, do ułożenia zwięzłych jego odpowiedzi w urzędową formę. Wyższych zdolności umysłowych tyle tylko żądał od sekretarzów gabinetu, ile ich ma maszyna do kopiowania lub prasa litograficzna.

Własna jego praca była taka, jakiej trudno wymagać od ludzkiego umysłu i ciała. W Potsdamie, gdzie najwięcej przemieszkiwał, wstawał w lecie o trzeciej, w zimie o czwartej godzinie. W tej chwili wchodził paź z wielkim koszem listów, ostatnim przybyłych kuryerem, depesz od ambasadorów, raportów, planów budowli lub osuszenia bagien, skarg od osób, które się pokrzywdzonemi mniemały, próśb od takich, którzy chcieli tytułów, stopni wojskowych lub posad w służbie cywilnej. Król bystrem okiem oglądał naprzód pieczęcie, bo podejrzywał zawsze, że go ktoś chce podejść i oszukać; następnie czytał listy, rozgatunkowywał je na kilka pakietów, i oznaczał wolę swoją najczęściej jakimś znakiem, czasem kilkoma sło-

wami, niekiedy uszczypliwą uwagą. Około ósmej kończył zazwyczaj tę robotę, a wtedy przychodził na służbę jeneral-adjutant i odbierał instrukcye na każdy dzień co do wszystkich rzeczy wojskowych w całem państwie. Potem przeglądał król swoją gwardyę; nie tak, jak królowie przeglądać je zwykli, ale z ścisłą i drobiazgową uwagą starego sierżanta instruktora. Tymczasem czterech sekretarzów gabinetowych odpowiadało na listy stosownie do oznaczonej na nich myśli królewskiej. Nieszczęśliwi ci ludzie harować musieli przez cały rok, jak murzyni w czasie zbioru trzciny cukrowej; nigdy nie wiedzieli co to święto, nie wiedzieli nigdy co obiad, bo nie wolno im było ruszyć się, zanim całej nie ukończyli roboty. Król, zawsze podejrzliwy i na ostrożności, brał na los szczęścia garść listów i przeglądał je dla przekonania się, czy wykonano wiernie jego polecenia. A był to wcale niezły sposób zabezpieczenia się od podstępów ze strony sekretarzy, bo któryby z nich złapanym został na jakiem nadużyciu, mógłby mieć się za szczęśliwego, jeżeliby się było skończyło na pięciu latach fortecznego więzienia. Nakoniec król podpisywał odpowiedzi, które odchodziły zawsze tego samego wieczora.

Ogólne zasady, których trzymał się Fryderyk w swoich rządach, zasługują na uwagę. Polityka jego była co do istoty tasama co jego ojca, z tą różnicą, że rozszerzając ją do rozmiarów, o jakich się ojcu nigdy nie śniło, oczyścił ją Fryderyk z tych niedorzeczeństw, jakiemi ją tamten zawalił. Pierwszym jego celem było, mieć wojsko wielkie, waleczne, karne i wyćwiczone. Królestwo jego pod względem rozległości i ludności zaledwo w drugim mogło stanąć rzędzie, a pragnął on pomimo to stanowiska takiego, jak mieli monarchowie Francyi, Anglii, i Austryi. Na to potrzeba było, żeby całe Prusy były pod bronią. Ludwik XV, który miał pięć razy tyle poddanych, a więcej niż pięć razy tyle co Fryderyk dochodów, nie miał przecież groźniejszego wojska. Stosunek żołnierzy do mieszkańców w Prusiech w owym czasie jest prawie nie do uwierzenia. Z mężczyzn w sile wieku siódma część była niezawodnie pod

bronią, a nie szczędząc kija i rózgi tak wyuczono ogromną tę siłę, że wszystkie obroty wykonywała z dokładnością, na którą byłby się zdumiał Villars i Eugieniusz. Wzniosłych uczuć niezbędnych najlepszemu nawet wojsku, niedostawało wojsku pruskiemu; nie było w jego szeregach tego politycznego i religijnego zapału, którym oddychali żołnierze Cromwella; nie było tej miłości ojczyzny, tej żądzy sławy, tego uwielbienia dla wielkiego wodza, któremi wrzała stara gwardya Napoleona; ale co do strony mechanicznej wojskowego zawodu, przewyższali Prusacy w owym czasie Francuzów i Anglików o tyle, o ile Francuzi lub Anglicy wiejską jakąś ruchawkę.

Jakkolwiek żołd był bardzo nizki, jakkolwiek Fryderyk ważył każdy talar nadzwyczajnych dodatków tak skrupulatnie, tak pilnie, tak podejrzliwie, jak nigdy najzaciętsza opozycya nie ważyła budżetów ministerstwa wojny, to przecież wydatek na to wojsko był w stosunku do środków kraju niesłychanie wielkim, a chcąc żeby nie zniszczył kraju do szczętu, trzeba było wszystkie inne wydatki sprowadzić do najskromniejszej jaka być mogła cyfry. Dlatego też, choć państwo Pruskie graniczyło z morzem, nie miał Fryderyk marynarki; nie miał żadnych, i nie pragnął, kolonij; sędziów płacił bardzo źle, a posłowie jego u zagranicznych dworów chodzili piechotą lub jeździli obdartemi staremi karocami, dopóki się osie nie połamały. Najwyżsi nawet dyplomatyczni jego agenci, nawet ci, których utrzymywał w Paryżu i w Londynie, dostawali mniej jak tysiąc funtów sterlingów na rok. Na dworze królewskim panowała oszczędność niezwykła w domach zamożniejszych poddanych, a bezprzykładna po pałacach królewskich. Król lubił wprawdzie dobrze jeść i pić, i przez większą część życia lubił mieć gości przy stole, ale pomimo tego roczny wydatek na jego kuchnię wynosił zaledwo dwa tysiące funtów szterlingów. Każde *item* w rachunkach rozstrząsał z pilnością, która byłaby przystała lepiej gospodyni utrzymującej stołowników, jak władcy wielkiego państwa. Jeżeli za setkę ostryg policzono mu więcej jak cztery talary, wściekał się przynajmniej tak, jak

żeby który z jego jenerałów wydał był twierdzę jaką cesarzowej. Nie odkorkowano nigdy ani jednej butelki szampana bez wyraźnego jego rozkazu. Ogrody i lasy koronne, które gdzieindziej nie małą stanowią rubrykę wydatków, były dla niego źródłem dochodów. Wszystko to było wydzierżawione, a choć dzierżawcy najokropniej tracili, król nigdy im nic nie opuszczał. Garderoba jego składała się z jednego odświętnego ubioru, który miał na całe życie, z dwóch lub trzech starych surdutów prawie na tandetę, z kilku zatabaczonych żółtych kamizelek, i z wielkich butów zrudziałych od starości. Jedna tylko żyłka uwiodła go czasem poza granice oszczędności, może nawet poza granice rozsądku, żyłka budownictwa. Pod wszystkiemi innemi względami oszczędność jego była taka, że dalibyśmy jej ostrzejsze miano, gdyby nie uwaga, że fundusze swoje wyciskał on z ludu srodze obciążonego podatkami, i że nie mógł bez strasznego ucisku, utrzymywać razem wielkiego wojska i świetnego dworu.

Jako administrator miał Fryderyk niewątpliwie wielkie prawa do pochwały. W państwach jego porządek ściśle był przestrzegany, własność była bezpieczna, wolność mówienia i pisania nie mała. Zaufany we wielką siłę, jaką daje liczne wojsko, patrzał z pogardą na malkontentów i paszkwilistów, a szpiegom i donosicielom mało dawał zachęty. Gdy mu mówiono raz, że ktoś z jego poddanych jest źle myślącym, zapytał tylko, wiele tysięcy ludzi może postawić pod bronią. Raz ujrzał wielki tłum ludzi przypatrujący się czemuś na murze; dojechał tam i przekonał się, że przedmiotem ciekawości był uszczypliwy plakat na niego samego; plakat ten przylepiony był tak wysoko, że nie łatwo było go czytać. Fryderyk kazał komuś ze swojej świty zdjąć go i przylepić niżej. »Ja z moim ludem« rzekł, »zrobiliśmy układ, który obydwom stronom dogadza: im wolno mówić co im się podoba, a mnie wolno robić co chcę«. Nikt nie byłby się ośmielił wydawać w Londynie na Jerzego Drugiego satyr tak krwawych, jak sprzedawane bezkarnie po berlińskich księgarniach satyry na Fryderyka. Jeden z księgarzów

posłał do króla najuszczypliwszy z paszkwilów, jakie tylko były na świecie, to jest Pamiętniki Voltaira wydane przez Baumarchais, i zapytał, co król każe z niemi zrobić. »Nie robić ogłoszeń w duchu nieprzychylnym«, odpowiedział król, »ale sprzedawać; powinny się dobrze opłacić«. Taka stałość umysłu rzadką jest nawet między politykami przyzwyczajonymi do wybryków wolnej prasy.

Należy się i tę jeszcze oddać sprawiedliwość pamięci Fryderyka, że pracował szczerze, by zapewnić ludowi swemu dobrodziejstwo taniej i rychłej sprawiedliwości. Jeden z pierwszych pomiędzy panującymi zniósł on okrutne i niedorzeczne używanie tortur. Bez jego potwierdzenia nie wolno było wykonać żadnego wyroku śmierci wydanego przez zwyczajne sądy, a potwierdzenie to dawał bardzo rzadko, wyjąwszy gdzie chodziło o zabójstwo. Dla wojska zato był bardzo surowym. Przestępstwa wojskowe karane były chłostą tak okrutną, że rozstrzelanie uchodziło u żołnierzy za karę podrzędną. Rzec można, że cała polityka Fryderyka na tej opierała się zasadzie: że im surowiej trzymane jest wojsko, tem bezpieczniej można obchodzić się łagodnie z resztą ludności.

Prześladowanie religijne nie było znane pod jego panowaniem, chyba że uważać będziemy za wyjątek niektóre głupie i niesprawiedliwe prawa o Żydach. Polityka jego względem katolików Szlązkich zaszczytnie odbija od tej, jakiej w podobnych okolicznościach trzymała się Anglia względem katolików Irlandzkich. Religie, lub bezreligijność pod jakąkolwiek postacią, zarówno w państwach jego znajdowały przytułek. Bluźniercа skazany na śmierć przez parlamenta francuzkie, dostawał na pociechę posadę w służbie pruskiej, a Jezuita, który nigdzieindziej w Europie nie śmiał się pokazać, który w Anglii zawsze jeszcze podpadał prawom karnym, Jezuita wypędzony z Francyi, z Hiszpanii, z Portugalii, z Neapolu, odstąpiony nawet przez Watykan, znajdował w Prusiech bezpieczeństwo i sposób do życia.

Wszystkie niemal złe strony administracyi Fryderyka dadzą się sprowadzić do jednej, a tą było, że musiał zawsze mieszać się do wszystkiego. Niezmordowana czynność jego umysłu, jego despotyczne usposobienie, jego zwyczaje wojskowe, wszystko się składało, by w nim tę wadę wyrobić. Musztrował on swój naród tak samo, jak musztrował swoich grenadyerów. Kapitał i przemysł zepchnięte zostały z naturalnego swego kierunku tysiącem przepisów, które je uregulować miały; był monopol na kawę, na tytoń, na rafinowany cukier. Grosz publiczny, którego król tak oszczędzał, rozchodził się bez rachunku na daremną uprawę bagnisk, na zasadzanie morwami Brandenburskich piasków, na nagrody za najcieńszą przędzę i wełnę, na fabryki porcelany, dywanów, żelaza, koronek, i tak dalej. Ani własne, ani innych królów doświadczenie, nie zdołało nigdy nauczyć Fryderyka, że trzeba czegoś więcej jak rozkazów i posiłków pieniężnych, by stworzyć Lugdun, Brukselle, lub Birmingham.

Handlowa atoli jego polityka, ma niejaką wymówkę w przykładach najznakomitszych ludzi, i w powszechnym owego czasu przesądzie. Mylił się on grubo, ale mylił się z całym swoim wiekiem. Mieszanie się zaś jego w inne wydziały spraw, nie ma żadnej obrony. Wtrącał się on do sprawiedliwości tak samo jak do handlu, i naprzeciw prawu jak je tłomaczyli jednogłośnie najznakomitsi prawnicy, stawiał swoje własne niewykształcone pojęcie słuszności. Nie przeszło mu nigdy przez głowę, że urzędnicy, którzy całe życie strawili na rozsądzaniu spraw cywilnego prawa, lepsze mogli mieć o tych rzeczach pojęcie, niż król, którego uwaga rozstrzelona była zawsze na tysiące przedmiotów, i który nigdy nie przeczytał do końca ani jednej prawniczej książki. Opór trybunałów, jeżeli te stawiały mu opór, doprowadzał go do wściekłości; kanclerza swego łajał grubemi słowy, a sędziów kopał nogą. Nie chciał on, co prawda, popełniać niesprawiedliwości; i owszem, przekonany był że robi dobrze, i że broni sprawy ubogich przeciw bogatym; ale to wtrącanie się w nie swoje rzeczy, acz

w dobrej myśli, więcej niezawodnie zrobiło złego, niż wszystkie wybuchy jego złych namiętności przez cały ciąg jego panowania. Można w ostatnim razie znieść rządy rozpustnika lub tyrana, ale rządy wścibskiego, to więcej niż ludzka natura wytrzymać zdoła.

Ta sama namiętność urządzania i kierowania daje się widzieć we wszystkich gałęziach polityki Fryderyka. Każdy chłopiec takiego a takiego stanowiska społecznego, musiał chodzić do takiej a takiej prawem przepisanej szkoły w państwie Pruskiem; jeżeli zaś jaki młody Prusak udał się choćby tylko na kilka tygodni do Leydy lub Gettyngi na naukę, to za to przestępstwo stawał się niezdolnym do służby publicznej, a niekiedy podpadał konfiskacie majątku. Bez królewskiego pozwolenia nikt nie śmiał podróżować; a jeżeli król pozwolenia takiego udzielił, to musiał oznaczyć ilość pieniędzy, jaką podróżnemu wolno było wydać. Kupiec mógł wziąć z sobą w podróż dwieście pięćdziesiąt talarów w złocie, szlachcic czterysta talarów; bo wspomnieć należy mimochodem, że Fryderyk starannie utrzymywał dawne różnice między szlachtą a pospólstwem. W teoryi był on filozofem francuzkim, ale w praktyce był książęciem niemieckim najczystszej krwi. Mówił i pisał o przywilejach krwi stylem Sieyès'a, ale w praktyce żadna kapituła w całej Rzeszy nie miała bystrzejszego od niego oka na genealogię i herby.

Takim był Fryderyk jako panujący; ale był jeszcze inny Fryderyk, ów Fryderyk z Rheinsbergu, muzykant i fletnista, wierszokleta i metafizyk. Pośród trosków panowania zachował król swój zapał do muzyki, do czytania, do pisania, i upodobanie w towarzystwie literatów. Tym to zabawom poświęcał wszystek czas, jaki urwać mógł sprawom wojennym i rządowym, a to co robił w tych godzinach wczasu, więcej może rzuca światła na jego charakter, niż jego bitwy i prawa.

Słusznie miał Schiller, kiedy się szczycił, że w ojczyźnie jego żaden August, żaden Lorenzo, nie czuwał nad niemowlęctwem poezyi. Bogata i jędrna mowa Lutra, wypędzona

przez łacinę ze szkół, przez francuzczyznę z królewskich pałaców, znalazła schronienie u ludu. O zaletach tej mowy nie miał Fryderyk ani pojęcia, i mówił o niej, jak o tych którzy nią mówili, z pogardą niewiadomości. Biblioteka jego składała się z samych książek francuzkich, u stołu jego francuzką tylko można było słyszeć rozmowę. Towarzyszami jego wczasów i rozrywek byli po największej części cudzoziemcy. Anglia dostarczyła do tego kółka dwóch ludzi niepospolitych, zrodzonych w najwyższej sferze, a w skutku domowych zatargów wypędzonych z kraju, któremu w innych okolicznościach, przymioty ich i zdolności stać się mogły nowem źródłem potęgi i chwały. Jerzy Keith, Lord Marszałek Szkocyi, podniósł broń w sprawie Stuartów w roku 1715, a młodszy brat jego Jakób, siedemnastoletni podówczas młodzieniec, potykał się walecznie przy jego boku. A kiedy sprawa ich ostatecznie upadła, wynieśli się oba na kontynent, błądzili od kraju do kraju, sługiwali pod różnymi kolejno sztandarami, i zachowywali się tak, że jednali sobie szacunek i przychylność tych nawet, którzy do sprawy Stuartów żadnego nie mieli pociągu. Długie ich wędrówki znalazły wreszcie kres w Potsdamie, a Fryderyk nie miał towarzyszy, którzyby w równej mierze zasługiwali na jego szacunek i w równej go mierze posiadali. Obadwa byli nietylko wysoko wykształconymi ludźmi, ale byli panami; byli zdolni służyć mu wojskowo i dyplomatycznie, nie mniej jak bawić go przy kolacyi. Oni jedni ze wszystkich jego towarzyszy nie mieli nigdy jak się zdaje powodu uskarżać się na jego obejście, a ludzie niektórzy najlepiej z pałacem obeznani, utrzymywali, że Lord Marszałek był jedynym człowiekiem, którego Fryderyk kochał naprawdę.

Dowcipny i miły Algarotti przedstawiał Włochy na Potsdamskich zebraniach, a prócz niego Bastiani, najchytrzejszy, najprzebieglejszy, najwysłużniejszy z Abbatów. Ale największą część tego towarzystwa, które Fryderyk zbierał koło siebie, składali Francuzi.

Maupertuis zyskał był niejaką sławę podróżą swoją do Laponii, przedsięwziętą w celu przekonania się za pomocą rachunku o kształcie naszej planety, i został za to prezesem Akademii Berlińskiej, słabej kopii słynnej Akademii Francuzkiej. Baculard d'Arnaud, młody poeta, po którym wówczas spodziewano się wielkich rzeczy, dał się nakłonić do opuszczenia rodzinnego kraju i zamieszkał na dworze Pruskim. Do najulubieńszych zaś towarzyszy króla, należał Margrabia d'Argens, z powodu chyba zupełnej sprzeczności ich charakterów. D'Argens miał głowę dobrą i układ dobrze wychowanego francuzkiego szlachcica, ale wszystkie siły jego duszy roztworzone były gnuśnością, nieśmiałością, i folgowaniem sobie we wszystkiem. Należał on do tych nikczemnych umysłów które mają zabobony i przesądy, choć nie mają religii. Nienawidzący Chrześcijaństwa tak zażarcie, że nie mógł rozumnie się nad niem zastanowić, niezdolny dostrzedz śladów boskiej mądrości i potęgi w piękności i harmonii świata, był niewolnikiem snów i prognostyków; nie byłby za nic usiadł do stołu w trzynastu, bladł, jeżeli się sól na jego stronę rozsypała, gości swoich prosił, by nic składali na krzyż noży i widelców, a za wszystkie skarby świata nie byłby w Piątek rozpoczął podróży. O zdrowie swoje drżał nieustannie. Jeżeli go głowa zabolała, jeźli się puls przyśpieszył, zaraz cały Berlin miał powód do śmiechu w tchórzliwych jego obawach i zniewieściałych ostrożnościach. Wszystko to przecież dogadzało wybornie królowi, który chciał mieć koło siebie kogoś, ktoby go bawił, a kimby mógł pogardzać. Jeżeli mu się zachciało zabawić się łatwą i wykwintną pogadanką, to d'Argens był jedynym do tego towarzyszem, a jeżeli chciał dać folgę swojej cierpkości i pogardzie, d'Argens był stworzonym na to celem.

Z tymi to, i z innymi tego samego rodzaju towarzyszami, lubił Fryderyk przepędzać czas wolny od spraw publicznych. Chciał on, żeby wieczorem jego zebrania i kolacyjki były wesołe i swobodne, zalecał gościom, by odłożyli na bok wszelkie względy i ceremonije, żeby zapomnieli, że miał on sto sześć-

dziesiąt tysięcy żołnierzy i że był samowładnym panem życia i śmierci swoich współbiesiadników. Miały zatem te zebrania wszystkie pozory swobody; dowcipem i nauką popisywano się na wyścigi; rozprawy o historyi i literaturze bywały niekiedy bardzo zajmujące. Ale głównym przedmiotem wszystkich rozmów była zawsze niedorzeczność wszystkich znanych na świecie religij; a zuchwałość z jaką mówiono o rzeczach i imionach szanowanych przez całe Chrześcijaństwo, zdumiewała nawet ludzi przyzwyczajonych do towarzystw angielskich i francuskich filozofów. Ale prawdziwej swobody, prawdziwej przyjaźni, nie było w tem świetnem kole. Królowie samowładni rzadko mają przyjaciół, a Fryderyk miał wady, obok których nawet przy zupełnej równości przyjaźń udać się nie mogła. Miał on, co prawda przymioty, na pierwszy rzut oka bardzo pociągające, miał żywą rozmowę, miał obejście ujmujące, z tymi ma się rozumieć, którym chciał się podobać; nikt lepiej od niego nie umiał wmówić w ludzi, że od jego łaski mogli się niesłychanych spodziewać korzyści. Ale pod temi wszystkiemi pięknemi pozorami był on tyranem podejrzliwym, pogardliwym i złośliwym. Miał jedno upodobanie, które małemu chłopcu możnaby jeszcze przebaczyć, ale które u człowieka dojrzałego wieku i wielkiego rozumu, dowodzi zawsze złego serca: to jest upodobanie w dotkliwych figlach. Jeżeli który z dworzan lubił się pięknie ubierać, niechybnie skropiono mu olejem najpiękniejsze jego przybory; jeżeli inny lubił pieniądze, natychmiast wymyślono coś na to, żeby musiał wydać więcej niż mógł wydać, nie robiąc sobie krzywdy; jeżeli jeszcze inny był hypochondrykiem, wmawiano w niego, że ma wodną puchlinę; jeżeli ktoś pragnął zwiedzić jakie miejsce, zmyślano listy, by go od podróży odstraszyć. Powié ktoś, że to drobnostki? prawda, ale drobnostki te są zarazem niemylnemi oznakami natury, dla której cierpienie i upokorzenie drugich jest przyjemną rozrywką.

Fryderyk miał oko nader bystre na słabości drugich, a co dostrzegł, to natychmiast rozgadał. Miał on pewien rodzaj

talentu do szyderstwa, a wielką biegłość w odkrywaniu u ludzi miejsc dotkliwych, gdzie szyderstwo najgorzej mogło zaboleć. Próżność i złośliwość jego znajdowała rozkosz w zawstydzeniu i przykrości tych, którzy syczeli z bólu pod gryzącemi jego żartami. Ale powodzenie tych swoich żartów zawdzięczał on przynajmniej tyle swojej królewskiej godności, ile swojemu dowcipowi. Czytamy, że cesarz Commodus wystąpił raz z mieczem w ręku na arenie przeciwko nieszczęśliwemu gladyatorowi uzbrojonemu ołowianym rapierem, a zamordowawszy bezbronną ofiarę, kazał bić medale na pamiątkę haniebnego zwycięztwa. Tryumfy Fryderyka w walce na dowcipy, były tego samego rodzaju. Jak się względem niego zachować, było to zagadnienie nader trudne do rozwiązania. Być wymuszonym i sztywnym, znaczyło to sprzeciwić się jego woli i popsuć mu zabawę; a z drugiej strony, jeżeli ktoś z towarzyszy dał się jego poufałością uwieść do poufałości zwykłej między dobrymi znajomymi, król natychmiast karał go za to zuchwalstwo dotkliwem jakiem upokorzeniem. Uczuć jego obelgę, było rzeczą niebezpieczną; nie uczuć jej, znaczyło tyle co zasługiwać na nią i wywoływać więcej podobnych. W pojęciu Fryderyka bowiem, kto się na zniewagę obruszył, był zuchwalcem i niewdzięcznikiem; kto ją zniósł, był jak pies co z równą czołgającą cierpliwością przyjmuje kości i razy. Trudno pojąć, jak cokolwiek prócz ostatniego głodu mogło skłonić jakiekolwiek ludzkie istoty do znoszenia takiej nędzy jaką było towarzystwo wielkiego króla. Do zyskania nie było tam wiele, bo król był równie oszczędnym w swoich przyjaźniach jak we wszystkich innych swoich wydatkach, i równie nie skorym do wydania jednego talara nad konieczną potrzebę. Summa jaką wyznaczał każdemu filozofowi i poecie była najmniejszą, za jaką taki filozof lub poeta mógł się zaprzedać w niewolę; a niewolnik mógł jeszcze mieć się za szczęśliwego, jeżeli po latach udręczeń nie odjęto mu gwałtownie i samowolnie tego, co mu tak skąpo było wyznaczonem.

Potsdam był istotnie, jak go jeden z najznakomitszych jego mieszkańców nazywa Pałacem Alciny. Na pierwszy rzut oka wydawał się rajem, w którym szczęśliwy wędrowiec znajdował wszelkie umysłowe i zmysłowe rozkosze. Każdego nowego przybysza przyjmowano tam z najmilszą gościnnością, upajano pochlebstwem, łudzono nadziejami szczęścia i wielkości. Długi szereg ulubieńców którzy weszli tam z radością i nadzieją, a po krótkim czasie złudnej szczęśliwości, pokutować musieli za swoje szaleństwo przez całe lata poniżenia i nędzy, nadarmo przestrzegał nowych przybyszów, by nie przestępowali zaklętego progu. Niektórzy mieli tyle rozumu, że rychło poznali się na prawdzie, i tyle odwagi, że uciekli nie oglądając się poza siebie; inni ślęczeli tam aż do smutnej i nieszanownej starości. Nie wachamy się twierdzić, że najbiedniejszy w owym czasie pisarz w Londynie, śpiący gdzieś na poddaszu, obiadujący w piwnicy, noszący papierowe krawaty a w koszuli mosiężne szpilki, szczęśliwszym był od wszystkich literatów na dworze Fryderyka.

Ale ze wszystkich, którzy weszli do tego zaczarowanego ogrodu wszech radości, a wyszli z niego w konwulsyach wściekłości, najznamienitszym był Voltaire. Zapragnął on wskutku wielu okoliczności, poszukać sobie domu zdala od ojczyzny. Sława jego zjednała mu wielu nieprzyjaciół, a jego drażliwość dawała tym nieprzyjaciołom wielką nad nim wyższość. Napastnicy ci byli wprawdzie pogardy tylko godnymi; ze wszystkiego, co przeciw Voltairowi pisali, to tylko przechować się zdołało, co on sam przechował. Ale umysł jego podobną miał naturę jak te ciała, które po najlżejszem draśnięciu cierniem, po najmniejszem ukąszeniu komara, zaraz się jątrzyć muszą. Choć szkalowania pisarzów takich jak Fréron lub Desfontaines [1]) wychodziły raczej na dobre niż na złe jego sławie, choć pomścił się na nich tak, że chłosta, piętnowanie, pręgierz nie

[1]) Fréron, publicysta i dziennikarz, urodzony 1719, umarł 1776. Desfontaines, ksiądz, towarzysz poprzedniego w pracach publicystycznych, ur. 1685, krytyk ostry, prześladowany zawzięcie przez Voltaira.

byłyby niczem w porównaniu, zawsze przecież dokuczyli mu oni więcej, niż on im zdołał dokuczyć. Choć cieszył się za życia sławą klasyka, choć współcześni wynosili go nad wszystkich poetów, filozofów i historyków, choć dzieła jego czytane były w Moskwie, w Londynie, we Florencyi i w Stockholmie z taką samą jak w Paryżu czcią i rozkoszą, żarła go przecież przez całe życie zazdrość taka, jaka właśnie należyćby winna do umysłów palonych żądzą sławy a świadomych swego niedołęztwa. Dla literatów, którzy żadnym sposobem nie mogli wyróść na współzawodników, bywał on, jeżeli mu się zasługiwali, nietylko sprawiedliwym, nietylko uprzejmym, ale często szczodrym dobrodziejem i serdecznym przyjacielem. Ale każdemu pisarzowi, którego sława dochodziła jego własnej sławy, stawał się natychmiast jawnym lub ukrytym nieprzyjacielem. Podstępnie usiłował podkopać sławę Buffona i Monteskiusza, a Jana Jakóba Rousseau szarpał otwarcie, gwałtownie i zelżywie. Nie miał nawet tyle mocy nad sobą, by uczucia swoje ukryć pod pozorami dobrego humoru lub pogardy; wogóle, pomimo całego swego talentu, pomimo całej swojej znajomości świata, nie więcej umiał on nad sobą panować, jak zepsute dziecko lub spazmatyczna kobieta. Dotknięty w czemkolwiek, wyczerpywał całą retorykę gniewu i żalu, by dać wyraz swojej żółci, a potoki gorżkich słów jakie w takich razach wylewał, przekleństwa, tupania nogami, wściekłe miny i łzy, pożądaną i obfitą były pastwą dla tych natur nikczemnych, dla których nie ma rozkoszy nad boleść potężnych umysłów i nad poniżenie nieśmiertelnych imion. Ludzie tacy znaleźli nareszcie sposób, żeby mu dopiec do żywego. Zazdrość sama przyznawać musiała, że w jednej gałęzi literatury nie miał on równego sobie między współczesnymi. Odkąd zwłoki Racina spoczęły między temi popiołami wielkich ludzi, które uświęcają jeszcze święte przybytki Port-Royal [1]), nie zjawił się ani jeden poeta

[1]) Port-Royal. Sławne opactwo, które po przeniesieniu zakonnic do Paryża stało się przytułkiem świeckich uczonych (między innym Pascala), i głównem ogniskiem Jansenismu.

tragiczny, któryby mógł był iść o lepsze z autorem Zairy, Alzyry i Meropy. Teraz wyszukano mu współzawodnika. Stary Crèbillon [1]) który przed laty miewał niejakie w teatrach powodzenie, ale oddawna już poszedł był w niepamięć, wychylił się znowu na świat z poddasza swojego na jednej z najlichszych uliczek na przedmieściu św. Antoniego, i powitany został z niesłychanemi oklaskami przez zmienny gmin i przez zazdrosnych literatów. Catilina, lichota którą napisał był w ukryciu, przedstawioną została wśród nieskończonych oklasków. O sztuce tej dość powiedzieć, że intryga obraca się około miłości zawiązanej podług wszystkich reguł panny Scudéry, między Catiliną którego powiernikiem jest Praetor Lentulus, a córką Cicerona Tullią. Teatr trząsł się od oklasków; król wyznaczył pensyę szczęśliwemu poecie, a kawiarnie orzekły, że Voltaire miał wprawdzie trochę sprytu, ale że prawdziwe natchnienie tragiczne, ten święty ogień którym gorzał niegdyś Corneille i Racine, miał jeden tylko Crébillon.

Cios ten ugodził Voltaira w samo serce. Gdyby miał był tyle roztropności i stałości umysłu, ile miał dowcipu i żywości, byłby się spostrzegł, że nie było w mocy wszystkich razem chwalców i obmowców w Europie, wynieść tego Catilinę nad jego Zairę; ale brakło mu tej wielkodusznej cierpliwości, z jaką Milton i Bentley zostawił czasowi sąd o swoich dziełach. Rzucił się raczej na oślep w niegodne współzawodnictwo z Crébillonem, i napisał cały szereg sztuk tej samej treści, którą tamten był obrobił. Publiczność zimno sztuki te przyjęła; a Voltaire, zły na dwór, zły na stolicę, zaczął z rozkoszą przemyśliwać o wygnaniu. Stosunek z panią du Chatelet stał mu długo na zawadzie w wykonaniu tego zamiaru, aż nareszcie z jej śmiercią odzyskawszy wolność, postanowił szukać przytułku w Berlinie.

Do Berlina bowiem zapraszał go długi szereg listów, napisanych w stylu najgoretszej przyjaźni i uwielbienia. Twarda

[1]) Crèbillon, poeta dramatyczny, ur. 1674, um. 1762.

nawet oszczędność Fryderyka zdawała się na ten raz miękнąć; w zamian za zaszczyt i przyjemność jakie spłynąć nań miały z zażyłości pierwszego geniuszu wieku, ofiarował on ordery, dostojeństwa, hojną pensyę, wytworny stół, i wspaniałe mieszkanie pod królewskim dachem. Na koszta podróży posłał król tysiąc ludwików; żaden ambasador wyjeżdżając z Berlina nie był nigdy tak hojnie zaopatrzonym. Ale Voltairowi było to za mało. W późniejszych latach, jako pan wielkiego majątku, był on najhojniejszym z ludzi; ale dopokąd nie miał środków odpowiednich zachceniom, ani rozsądek, ani wstyd nawet, nie zdołały poskromić jego chciwości. Miał on bezczelność zażądać jeszcze tysiąc ludwików więcej, aby mógł przywieźć z sobą swoją siostrzenicę, panią Denis, najbrzydszą z kokietek. Natrętna ta drapieżność poety wywarła konieczny swój skutek na umyśle twardego i oszczędnego króla, i za całą odpowiedź posłał on Voltairowi suchą odmowę. »Nie prosiłem — pisał — o honor odwiedzin tej pani«. Voltaire wpadł we wściekłość prawdziwie dziecinną. »Czy to słychane skąpstwo! mieć w piwnicach setki beczek z dukatami, a żałować nędznych tysiąca ludwików.« Układy zdawały się zerwane, ale Fryderyk zręcznie bardzo udał, że mu to wszystko jedno, i że uwielbienie swoje przenosi na młodego poetę Baculard d'Arnaud [1]). Napisał nawet w tym celu liche jakieś wiersze; których myśl jest ta, że Voltaire jest zachodzącem, Arnaud zaś wschodzącem słońcem. Dobrzy przyjaciele pośpieszyli się donieść to natychmiast Voltairowi. Znaleźli go w łóżku; skoro rzecz usłyszał, wyskoczył w koszuli jednym susem, skakał ze złości po pokoju, i w tej chwili posłał po pasport i po konie. Łatwo było przewidzieć koniec przyjaźni pod taką zawartej wróżbą.

W roku tedy 1750 opuścił Voltaire to miasto, do którego wrócić miał dopiero po upływie lat blisko trzydziestu, w zgrzybiałej starości, na to, by umrzeć w niem wśród świe-

[1]) Baculard d'Arnaud, pisarz małego talentu ur. 1718.

tnego lecz dreszczem przejmującego tryumfu. Przyjęcie jakiego doznał w Prusiech byłoby mogło pochlebić człowiekowi mniej nawet próżnemu i drażliwemu. Pisał on do swoich przyjaciół w Paryżu, że przyjęto go z uprzejmością, ze względami nie do opisania, że król był najmilszym z ludzi, a Potsdam rajem filozofów. Został on Szambelanem, a wraz z kluczem otrzymał gwiazdę jakiegoś orderu, i patent zapewniający mu pensyę dożywotnią ośmiuset funtów szterlingów. Siostrzenica jego, jeżeliby go przeżyła, miała pobierać rocznie sto sześćdziesiąt funtów. Kucharze i woźnice dworscy mieli być na jego rozkazy; oddano mu na mieszkanie te same pokoje, które zajmował był Marszałek Saski, kiedy na szczycie swojej sławy i wielkości odwiedzał Prusy. Przez czas jakiś zniżać się raczył Fryderyk aż do płaskiego pochlebstwa: przycisnął raz do ust kościstą rękę tego suchego wydrzeźniającego szkieletu, który uważał za rozdawcę nieśmiertelnej sławy. Do tytułów po przodkach i orężem nabytych, dodać miał, jak mówił, jeden jeszcze, od ostatniej i najchwalebniejszej swojej zdobyczy, i miał się pisać: »Fryderyk król Pruski, Margrabia Brandenburski, książę Szlązki, posiadacz Voltaira«. Ale dotkliwa próżność Voltaira niepokoić się zaczęła wśród pierwszych zaraz rozkoszy miodowego miesiąca. W kilka zaledwo dni po przyjeździe powiedział swojej siostrzenicy, że najmilszy król sławnie umié zadrapnąć zcicha jedną ręką, kiedy drugą i łaskocze i głaszcze. Niebawem objawiły się i inne wskazówki, tajemnicze, a przeto tem więcej zastraszające. »Kolacyjki są rozkoszne; król jest duszą towarzystwa; ale .... Mam opery i koncerta, komedye i przeglądy wojsk, mam swoje książki i zajęcia... ale... ale... Berlin jest śliczny, księżniczki czarujące, damy honorowe piękne, ale...« Osobliwsza ta przyjaźń stygła pośpiesznie. Nie było nigdy dwóch ludzi bardziej na to stworzonych, by sobie wzajemnie dokuczać. Każdy z nich miał tę właśnie wadę, która drugiego najbardziej niecierpliwiła, a byli obadwa, każdy w swoim rodzaju, najniecierpliwszymi z ludzi. Fryderyk był oszczędny, był nawet sknerą; mając już zabawkę swoją w ręku, zaczął

myśleć, że kupił ją za drogo. Voltaire znowu był chciwy, aż do bezczelności i brudoty, i rozumiał, że jako ulubieniec króla, który miał w piwnicach beczki złota i srebra, powinien był zrobić majątek, któregoby mu pozazdrościł każdy generalny poborca podatków we Francyi. W krótkim czasie obadwa poznali się na sobie, obadwa byli źli na siebie wzajemnie, i wszczęła się wojna, w której Fryderyk zniżył się do roli Harpagona, a Voltaire do roli Scapina. Wstyd powiedzieć, że wielki wojownik i polityk rozkazał obciąć gościowi swojemu racyę cukru i czekolady; wstyd jeszcze większy wyznać, że Voltaire wynagradzał to sobie chowając do kieszeni świece woskowe w przedpokoju króla. Pieniądze nie były jednak największym powodem zwady między osobliwszymi tymi przyjaciółmi. Szyderstwa króla rozjątrzyły niebawem dotkliwy umysł Voltaira. D'Arnaud, d'Argens, Guichard, la Mettrie, mogli za kawałek chleba znosić zuchwalstwa i grubijaństwa swego Pana, ale Voltaire był człowiekiem innego rodzaju. Wiedział on, że był mocarzem tak dobrze jak Fryderyk, że europejska jego sława i nieporównany dar obrócenia w śmieszność wszystkiego co nienawidził, strasznym go robiły dla tych nawet, którzy władali wojskami i narodami. I rzeczywiście, między wszystkiemi broniami, jakiemi walczył kiedy umysł ludzki, nie było nigdy straszniejszej nad żart Voltaira. Na jego imię bledli tyrani i bigoci, których nie wzruszyły nigdy łzy i przekleństwa milionów. Zasady, których rozum nie mógł nigdy zachwiać, zasady, które wytrzymały najsroższe władz prześladowania, prawdy najświętsze, najszlachetniejsze uczucia, najwdzięczniejsze, najmilsze obrazy, imiona najczystsze, najszanowniejsze instytucye, więdły i brzydły, skoro zawiało je zabójcze tchnienie Voltaira. A kto zaufany w swoją dobrą sprawę i zdolność, w swój charakter i stanowisko, poważył się zmierzyć z tym wielkim szydercą, do tego zastósować można śmiało tę przestrogę daną zdawna Archaniołowi:

»Przestrzegam cię unikaj
»Jego zabójczych pocisków, i nie spodziewaj się próżno
»że cię zasłoni od rany ta jasna zbroja
»choć niebiańskiego jest hartu. Bo śmiertelnego jego cięcia
»nie wytrzyma nikt, prócz tego, który króluje w niebiosach.«
(Milton — Raj utracony).

Nie mamy czasu wyliczać tu, jak często rzadkiego tego talentu używał Voltaire przeciw godnym szacunku współzawodnikom; jak często używał go na to, by zgnieść i zamęczyć nieprzyjaciół godnych jedynie milczącej pogardy, jak często obracał go na cel gorszy jeszcze, na obalenie ostatniej pociechy ludzkiej nędzy, ostatniej przeciw ludzkiej potędze zapory. Nie mamy też czasu wyliczać jak często używał Voltaire tego daru na to, by pomścić sprawiedliwość, ludzkość, tolerancyę, by bronić zasad zdrowej filozofii i zasad wolnego rządu, bo nie tu jest miejsce na obraz całego charakteru Voltaira.

Powody kłótni mnożyły się coraz więcej. Voltaire, który częścią z chciwości, częścią z upodobania w silnych wzruszeniach lubił zawsze spekulować na papierach, zawikłał się w różne interesa pieniężne, wątpliwej, w najlepszym razie, czystości. Król uszczęśliwiony z tak dobrej sposobności upokorzenia swego gościa, nie szczędził mu gorżkich wyrzutów, na które tamten odpowiadał równie gorżkiemi skargami. Oprócz tego, niebawem zaczął Voltaire prowadzić wojnę ze wszystkimi otaczającymi króla literatami, co tego znowu gniewało nie pomału, choć właściwie sam sobie był winien, bo dla przyjemności dręczenia i dokuczania, która była główną jego namiętnością, zasypywał wiecznie niedorzecznemi pochwałami liche książki i pospolitych ludzi, dlatego tylko, by cieszyć się wściekłością Voltaira, której ten ukryć ani umiał ani próbował. Wkrótce jednak pożałował król, że rozniecił zazdrość między mieszkańcami swego dworu, bo cały dwór trząsł się od kabał i intryg literackich. Ten głos rozkazujący, który trzymał w karbach sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, nadarmo

podnosił się, by zaprowadzić pokój między zwaśnionymi synami Apollina. Łatwiej było rozdmuchać taką burzę niż ją uciszyć; a sam nawet Fryderyk musiał nie jedną znieść przykrość i nie raz był srodze dotkniętym w swoim charakterze literata i poety. Posłał on raz Voltairowi stosy swoich wierszy, żądając poprawek i uwag. »Proszę patrzeć« zawołał na to Voltaire, »ile mi król przysyła swoich brudów do prania.« Znaleźli się naturalnie plotkarze, którzy przycinek ten powtórzyli królowi, któremu to tak podchlebiło, jak podchlebiało pismakowi jakiemu londyńskiemu, jeźli wyczytał imię swoje w »Duncyadzie« [1]).

Długo tak iść nie mogło. Okoliczność, która w pierwszem zaraniu wzajemnej miłości byłaby obu przyjaciołom dostarczyła tylko powodu do śmiechu, sprowadziła teraz wybuch gwałtowny. Ze wszystkich literatów i uczonych cieszył się Maupertuis największą może życzliwością Fryderyka. Był on prezesem Berlińskiej akademii, a w literackim kole które zbierało się na pruskim dworze, szedł pierwszy po Voltairze, choć w dalekiej za tym odległości. Fryderyk igrając sobie dla zabawki z uczuciami obu zazdrosnych a próżnych Francuzów, doprowadził do gwałtownej między nimi zawiści. Voltaire postanowił wybić swoje piętno, to piętno niezatarte, na czole swego nieprzyjaciela, i napisał najpocieszniejszą w świecie Diatrybę o Doktorze Akakia. Pokazał ją Fryderykowi, który tyle miał smaku i złości, że nie mógł nie zasmakować w żarcie tak wybornym. Dziś jeszcze, ktokolwiek ma choć trochę zmysłu dla śmieszności, musi śmiać się do łez czytając o Łacińskiem mieście, o Patagończykach, i o dziurze przewierconej aż do środka ziemi. Ale Fryderyk, choć się sam cieszył pociesznym tym paszkwilem, nie chciał przecież, żeby się on rozszedł, bo chodziło tu o jego miłość własną. Przez niego Maupertuis powołanym został na prezesa akademii, a gdyby stał się pośmie-

[1]) Dunciada, poemat heroi-komiczny Popego (po polsku znaczy tyle co *Oślada).*

wiskiem całej Europy, cierpiałaby na tem sława owej akademii, a po części nawet i godność królewskiego jej patrona. Prosił zatem Fryderyk Voltaira, żeby zniszczył to dziełko, a Voltaire obiecał i .... nie dotrzymał. Diatryba, ogłoszona drukiem przyjętą została z szalonym śmiechem i oklaskiem przez wszystkich, którzy tylko czytali po francuzku. Król się wściekał; Voltaire ze zwykłem sobie uszanowaniem dla prawdy zaręczał go o swojej niewinności, i zmyślił mu coś o nadużyciu drukarza lub przepisywacza; ale Fryderyk nie dał się wywieść w pole. Nieszczęśliwy pamflet kazał spalić publicznie ręką kata, a od Voltaira żądał przeprosin w najpodlejszych ułożonego wyrazach. Voltaire na to odesłał mu swoją gwiazdę, klucz szambelański, i patent na pensyę. Po tym wybuchu wściekłości dziwni ci przyjaciele zaczęli się wstydzić swojego zapomnienia i odbyli formę pojednania. Ale zerwanie już się naprawić nie dało, i Voltaire pożegnał Fryderyka na zawsze. Rozjechali się z pozorami grzeczności, ale z żalem i gniewem w sercu. Voltaire miał był u siebie jakiś tom wierszy króla i zapomniał go oddać; było to jak się zdaje jedno z tych roztargnień, jakie zdarzają się często ludziom wybierającym się w podróż. Niepodobna przypuścić, żeby Voltaire chciał był popełnić literacką kradzież, bo niezawodnie za całe królestwo Fryderyka nie byłby chciał przyjąć Fryderyka wierszy za swoje. Król jednak, który pisma swoje cenił nad wartość, a wszystkie Voltaira uczynki w najgorszem świetle widzieć był gotów, wściekał się na myśl, że najulubieńszy jego utwór znajdował się w ręku nieprzyjaciela, który kradł jak sroka a robił psoty jak małpa. Tą myślą zajęty i do największej doprowadzony złości, stracił rozsądek i uczucie przyzwoitości, i postanowił popełnić gwałt równie haniebny jak śmieszny.

Voltaire dojechał do Frankfurtu; siostrzenica jego pani Denis przybyła tamże na jego spotkanie; i miał się on już za wyswobodzonego ostatecznie z pod mocy swojego byłego pana, kiedy niespodzianie uwięzionym został na rozkaz pruskiego rezydenta. Drogocenny tom poezyi został odzyskanym, ale

agenci pruscy mieli snać rozkaz, by nie wypuścili Voltaira bez dotkliwej jakiej obelgi. Dwanaście dni trzymali go w nędznej jakiejś izbie; straż z nabitą bronią pilnowała go u drzwi; siostrzenicę prowadzili żołnierze przez miasto i po błocie pod strażą, a na dobitek wyciągnęli od niego bezczelni agenci tysiąc sześćset talarów. Mówić, że król nie był temu winien, jest niedorzeczeństwem. Czyż ukarał kogo za ten gwałt? czy oddał kogo pod śledztwo — czyż nie było to do Fryderyka podobne — czy nie było zgodne z postępowaniem jego w wielu podobnych wypadkach? Czyż nie jest rzeczą dowiedzioną i wiadomą całemu światu, że oficerom swoim dawał tajne rozkazy, by rabowali i palili domy osób, do których miał złość jakową, zalecając im tylko, by robili tak, żeby jego imię nie zostało na sztych wystawionem? nie inaczej przecież postąpił z hrabią Brühl za siedmioletniej wojny; i dlaczegoż mielibyśmy przypuszczać, że uczciwszym był względem Voltaira?

Kiedy nareszcie wielki więzień wydobył się na wolność, miał przed sobą smutne tylko widoki. Był on wygnańcem zarówno z rodzinnego jak z przybranego kraju; rząd francuzki bowiem urażony wyjazdem jego do Prus wzbraniał mu powrotu do Paryża, a zostać gdzieś wpobliżu granic pruskich, było niebezpiecznie.

Obrał więc schronienie nad brzegiem pięknego Genewskiego jeziora, i tam rozpętany ze wszystkich względów, jakie go dotychczczas krępowały, nie mając się czego bać ani spodziewać od dworów i kościołów, rozpoczął ową długą wojnę z tem wszystkiem, co złe lub dobre, było dotąd dla ludzi powagą; bo to co Burke powiedział o konstytuancie, było zupełną prawdą o wielkim jej poprzedniku: »Voltaire nie zdolny był budować, umiał tylko walić«, był Vitruviuszem zwalisk i gruzów. Nie zostawił on ani jednej zasady, ani jednej nauki, którąby nazwać można jego imieniem, nie dodał ani joty do zapasu naszej istotnej wiedzy. Ale żaden z ludzkich mistrzów i nauczycieli nie zostawił tyle za sobą gruzów prawd i fałszów, rzeczy podłych i szlachetnych, pożytecznych i zgubnych. Odkąd

zamieszkał pod Alpami, zniknął w nim dramatyk, historyk i satyrysta, a zjawił się w nowej, uroczystszej postaci. Został on odtąd patryarchą, założycielem sekty, głową sprzysiężenia, królem wielkiego państwa umysłów. Nieraz doznał on tej rozkoszy, miłej dla lepszych stron jego natury, że pomścił bezbronną niewinność, że naprawił ciężkie krzywdy, że wywarł zemstę na niedosięglej przedtem tyranii. Miał i tę pociechę, niemniej miłą dla żarłocznej jego próżności, że słyszał jak potrwożeni kapucyni Antychrystem go nazywali. Ale wśród jakichkolwiek zatrudnień, czy to zgubnych czy dobroczynnych, nie zapomniał on ani na chwilę Potsdamu i Frankfurtu, i pilnie nadstawiał ucha na każdy szmer zapowiadający, że w Europie zbiera się burza, i że chwila zemsty dla niego niedaleka.

Niebawem dostał czego pragnął. Marya Teresa także ani na chwilę nie zapomniała o krzywdzie jaką jej Fryderyk wyrządził. Młoda i wątła, tylko co zostawiona sierotą, tylko co matką zostać mająca, uciekać musiała ze starej stolicy swoich przodków, musiała patrzeć jak drapieżni rabusie szarpali między siebie jej dziedzictwo, a między tymi rabusiami najpierwszym, najgorszym, był Fryderyk. Bez pozoru, bez zaczepki, wbrew najuroczystszym zobowiązaniom napadł na bezbronną sprzymierzoną sobie królową, której powinien był bronić. Cesarzowa królowa miała wady równie jak przymioty, które chodzić zwykły w parze z żywością uczuć i wyniosłością umysłu. Gotowa była puścić się na największe niebezpieczeństwa, sprowadzić największe nieszczęścia na siebie, na swoich poddanych i na cały ród ludzki, byle pokosztować słodyczy zemsty. A nadto jeszcze umysłowi jej ciasnemu i zabobonnemu przedstawiała się zemsta pod postacią obowiązku. Szlązk oderwanym został nietylko od korony austryackiej, ale i od Rzymskiego Kościoła. Nowy zdobywca pozwalał wprawdzie swoim poddanym chwalić Boga jak im się podoba, ale na tem nie było dosyć. Bigotyzmowi zdawało się to uciskiem nie do zniesienia, że Kościół katolicki tak długiej używający przewagi, musiał teraz poprzestać tylko na równości.

I nie z tego tylko jednego powodu uważała Marya Teresa swego nieprzyjaciela za nieprzyjaciela Pana Boga. Bezbożne Fryderyka pisma i rozmowy, i pogłoski o haniebnej sprosności prywatnego jego życia, przejmować musiały zgrozą kobietę, która wierzyła święcie we wszystko co jej spowiednik powiedział, a która choć otoczona pokusami, choć młoda, piękna, namiętna i dzierżąca nieograniczoną władzę, umiała przecież sławę swoją w takiej utrzymać czystości, że sama potwarz targnąć się na nią nie śmiała.

Odzyskać Szlązk i dom Hohenzollernów ugiąć aż do ziemi, to było wielkiem zadaniem jej życia. W tym celu pracowała ona długie lata z zapałem tak usilnym i niezmordowanym, jak ten, który poeta przypisuje owej bogini, co podszczuwając narody na Troję, uznoiła swoje nieśmiertelne rumaki, i gotowa była poświęcić zniszczeniu ukochaną swoją Spartę i Myceny, byle odetchnąć raz dymem płonącego domu Priama. Z taką samą zaciętością siliła się dumna Juno Austryacka nad uszykowaniem przeciw nieprzyjacielowi swemu takiej koalicyi, jakiej nigdy jeszcze nie widziała Europa. I nic jej nie zaspokoi, chyba że cały świat cywilizowany, od Adryatyku do Białego Morza, od zatoki Biskajskiej po Dońskie pastwiska dzikich tabunów, połączy się zbrojno na zgubę jednego małego królestwa.

Pomoc moskiewską rychło różnemi sposobami zapewnić sobie zdołała; królowi Polskiemu obiecała spory udział zdobyczy, i król ten owładnięty przez ulubieńca swego Brühla, chętnie przyrzekł posiłkować ją Saskiem swojem wojskiem. Najtrudniejsza rzecz była z Francyą. Wspólne działanie domu Burbońskiego i Habsburskiego w jakiejkolwiek wielkiej sprawie europejskiej, zdawało się przez długie czasy takiem niepodobieństwem, że, by użyć jędrnego wyrażenia Fryderyka, »raczej ogień z wodą«. Przez półtrzecia wieku cała historya stałego lądu Europy, była historyą wzajemnej nienawiści i zazdrości Francyi i Austryi. Od czasów Richelieugo zwłaszcza, uchodziło za konieczną politykę królów chrześciańskich, poni-

żać dwór wiedeński przy każdej sposobności, i brać w opiekę każdego książęcia Rzeszy, któryby stawiał czoło potędze Cezarów. Przeciwko zakorzenionej tej nienawiści nie mogło nic nawet wspólne wyznanie. Władcy Francyi, nawet kiedy rzymską odziani purpurą, nawet kiedy prześladowali heretyków w Auwernii i Roszelli, sprzyjali zawsze luterskim i kalwińskim książętom walczącym z Cesarzem. Gdyby ministrowie francuzcy chcieli byli trzymać się tradycyjnej polityki, którą sobie pokolenia podawały w spuściźnie, byliby się tak zachowali względem Fryderyka, jak się zachował największy z ich poprzedników względem Gustawa Adolfa. To, że Prusy były w śmiertelnej nieprzyjaźni z Austryą, było samo przez się dostatecznym powodem do ścisłej przyjaźni między Francyą a Prusami. Z Fryderykiem nie mogła Francya w żadne nigdy wejść zatargi większej wagi. Przy całej swojej drapieżnej i niesumiennej chciwości, nie mógł on nigdy, z samego położenia geograficznego swoich krajów, zaczepić Francyi w swoich własnych widokach. Był on nadto przez pół Francuzem; po francuzku tylko mówił, pisał i czytał, podziwienie Francuzów miał za najwyższą swoich czynów nagrodę. Zdawało się niepodobieństwem, żeby jakikolwiek rząd francuzki, choćby najbardziej nawet lekkomyślny i ograniczony, mógł odepchnąć z pogardą takiego sprzymierzeńca.

A przecież dwór Wiedeński, pomimo to nie rozpaczał. Dyplomaci austryaccy wymyślili nowy system polityki, który wyznać trzeba, nie był bez powabu i zalet. Wielkie mocarstwa, mówili oni, zostawały oddawna pod szczególnem złudzeniem; patrzały na siebie wzajemnie jak na naturalnych nieprzyjaciół, kiedy naprawdę były właśnie naturalnymi sprzymierzeńcami. Nieprzerwany szereg krwawych wojen pustoszył Europę, wytrzebił ludność, wyczerpał zasoby, obciążył rządy nieznośnem brzemieniem długów, a jeżeli po dwustu latach morderczych wojen lub pozornych rozejmów, wielkie dwory, które współzawodnictwem swojem zawichrzyły Europę, wzięłyby się do obliczenia zyskanych korzyści, to pokazałoby się że zyskały,

to jedynie, iż wzajemnie nie dopuszczały się do pomyślnego i kwitnącego stanu. Owoców wojny trzydziestoletniej lub wojny o sukcessyą austryacką, nie zebrał ani cesarz ani król francuzki; owoce te zagarnęły państwa drugiego i trzeciego rzędu, które bezpieczne od wszelkich zazdrości, bo nie znaczące, umiały zręcznie rozszerzyć swoje granice, udając jakoby służyły wielkim mocarzom Chrześciaństwa. Lew i tygrys pasowali się z sobą, a szakal tymczasem uciekł z łupem w zarośla. Na wojnie trzydziestoletniej zyskała nie Francya, nie Austrya, ale Szwecya; na wojnie o sukcessyę austryacką nie zyskała ani Francya, ani Austrya, ale Brandenburski Maleparta. Francya takie ogromne porobiła wysilenia, dodała tyle blasku swojej wojennej chwale i tyle wagi swoim publicznym ciężarom, i na cóż to wszystko? Na to tylko, żeby Fryderyk mógł sobie w Szlązku panować. Na to, na to jedynie przepadło w Czechach jedno wojsko francuzkie wyniszczone mieczem i głodem, na to okupiło drugie potokami krwi jałową chwałę pod Fontenoy. Czyż przynajmniej ten król, dla którego Francya tyle znosiła, był dość wdzięcznym i uczciwym sprzymierzeńcem? Bynajmniej; zdradzał on bowiem dwór wersalski tak samo, jak wiedeński. Czyliż nie odgrywał on na wielką skalę tej samej roli, jaką w życiu prywatnem odgrywa czasem podły agent pokątny, który waśni sąsiadów, wikła ich w kosztowne, nieskończone spory prawne, i obu po kolei zdradza i zaprzedaje, pewien, że ktokolwiek straci, on zawsze na tem zarobi. Wielkie mocarstwa, gdyby miały rozum, powinnyby wziąć się nie do siebie nawzajem, ale do tego pokątnego adwokata, który rozdmuchując obopólne ich zawiści, udając że służy obudwom a obadwa zdradzając, wynieść się już umiał ponad stanowisko w którem się urodził. Pierwszym celem Austryi było odzyskać Szlązk, pierwszym celem Francyi rozszerzyć granice swoje ku Flandryi. Jeżeliby stały po przeciwnych stronach, to skutek prawdopodobnie byłby ten, że po długoletniej wojnie, po rzezi tysięcy ludzi, po wyrzuceniu wielu milionów dukatów, złożyłyby broń obiedwie nie dopiąwszy tych celów;

gdy przeciwnie, jeżeliby się mogły porozumieć, dopięłyby ich bez trudności i niebezpieczeństwa. Austrya gotowaby była ustąpić Francyi w Belgii więcej, niż ta zdobyćby mogła dziesięcioma nawet najzaciętszemi bitwami; Szlązk łatwo dałby się przyłączyć napowrót do państwa, którego przez czas tak długi był częścią. Jedność dwóch tak potężnych mocarstw musi zastraszyć króla Pruskiego; a jeżeliby próbował się opierać, los jego rozstrzygnąłby się w jednej krótkiej kampanii. Francya i Austrya, które oddawna zawsze od gry wojennej wstawały jako przegrane, po raz pierwszy byłyby wygrywającemi. Do zazdrości między niemi nie mogło być najmniejszego powodu, bo potęga obudwóch wzmogłaby się zarówno, a równowaga pozostałaby nienaruszona; jedynym zaś któryby na tem stracił byłby szkodliwy i niecny rozbójnik, niegodzien żeby go żałować.

Polityka ta pociągająca nowością i subtelnością niebawem stała się modą w Paryżu, tak po kawiarniach jak na kolacyjkach wielkiego świata; przejął się nią każdy pusty markiz, każdy dowcipny abbé, który tylko miał przywilej asystować pani Pompadour przy fryzowaniu i pudrowaniu. Nie politycznym atoli teoryom zawdzięczało początek swój szczególne to przymierze Francyi z Austryą; właściwym powodem, dla którego obadwa wielkie mocarstwa kontynentalne zapomniały o dawnych zasadach swojej polityki, była osobista nienawiść do króla pruskiego. U Maryi Teresy uczucie to było najsilniejszem; ale podzielali je z nią i inni, bo Fryderyk, w pewnym względzie dobry król dla poddanych, był najgorszym w świecie sąsiadem. Nie było to jeszcze jego największą wadą, że we wszystkich sąsiedzkich stosunkach był nader twardym, a nader skorym do korzystania z każdej sposobności, byle coś urwać. Gorżkie i szydercze jego przycinki boleśniejsze jeszcze zadawały rany niż jego ambicya. Złośliwy swój język hamował on mniej jeszcze, niż swoją żądzę władzy; jemu przypisywano satyryczne wiersze na wszystkich królów i ministrów Europy; w listach swoich wyrażał się o największych potentatach wieku,

w słowach, które przystałyby raczej Collému [1]) w wojnie na dowcipy z młodym Crébillonem u stołu Pelletiera, niż wielkiemu monarsze mówiącemu o wielkich monarchach. O kobietach mówił w sposób, jakiego najpokorniejsza z kobiet nie mogła mu przebaczyć: a na nieszczęście jego, rządziły podówczas całym niemal stałym lądem Europy kobiety, które pokorą nie odznaczały się wcale. Sama nawet Marya Teresa nie uszła uszczypliwym jego pociskom. Cesarzowa rosyjska Elżbieta wiedziała doskonale, że jej zaloty były ulubionym jemu przedmiotem sprośnych i dokuczliwych żartów; a pani Pompadour która stała na czele rządu francuzkiego, zadrażniéta była jeszcze dotkliwiej. Próbowała ona zjednać sobie króla pruskiego najwyszukańszemi podchlebstwy, ale zyskała tylko suchą i szyderską odpowiedź. Cesarzowa królowa wcale inaczej sobie z nią poczęła. Choć najdumniejsza z królowych i najsurowsza z matron, w pragnieniu zemsty zapomniała o godności swego rodu, o nieskalanej czystości swojej sławy, i zniżyła się do schlebiania tej nałożnicy nizkiego pochodzenia i nizkiego umysłu, która doszedłszy do władzy skażeniem siebie samej, utrzymywała się przy niej tem, że inne wydawała na skażenie. Pomimo tego wszystkiego, Marya Teresa napisała list własnoręczny, pełen wyrazów szacunku i przyjaźni do swojej »kochanej kuzynki«, córki rzeźnika Poisson, żony celnika d'Etiolles, stręczycielki młodych dziewcząt do haremu starego wszetecznika; dziwna zaiste kuzynka dla córy tylu cesarzów zachodnich! Oczywiście cesarzowa pozyskała zupełnie ulubienicę, a ta ze swojej strony łatwo zrobiła co chciała z Ludwikiem, który prócz tego miał i swoje własne krzywdy na sercu. Nie miał on żywych uczuć; ale pogarda, mówi wschodnie przysłowie, przebija nawet żółwia skorupę, a ani roztropność, ani zmysł przystojności nie zdołały nigdy wstrzymać Fryderyka od wyjawienia nieo-

[1]) Collé, ur. 1709, um. 1783, literat znany z dowcipu. Crébillon młodszy, syn starszego, autor powieści rozpustnych, ur. 1707, um. 1777. Pelletier, chemik, ur. 1761, um. 1797.

graniczonej pogardy dla gnuśności, niedołęztwa, i nikczemności Ludwika. Tym sposobem Francya wciągniętą została do koalicyi, a przykład Francyi pociągnął za sobą Szwecyę, podległą naówczas zupełnie francuzkiemu wpływowi.

Nieprzyjaciele Fryderyka byli niezawodnie dość silni, by zaczepić go otwarcie; ale do wszystkich swoich korzyści chcieli dodać i tę jeszcze, żeby napaść na niego znienacka. Nie był on jednak człowiekiem, którego możnaby było zejść niespodzianie, i miał się na ostrożności. Na wszystkich dworach miał swoje kreatury, i odbierał z Drezna, z Wiednia, i z Paryża doniesienia tak szczegółowe i tak między sobą zgodne, że nie mógł wątpić o swojem niebezpieczeństwie. Dowiedział się, że naraz zaczepić go miały Francya, Austrya, Szwecya, Rosya, Saksonia i Rzesza Niemiecka; że sprzymierzeni zamierzali podzielić się większą połową jego posiadłości, że Francya, która z geograficznego położenia nie mogła wprost z łupów jego korzystać, miała wziąć odpowiednie wynagrodzenie w Niderlandach, że Austrya miała dostać Szlązk, carowa Prusy Wschodnie, Saksonia Magdeburg, a Szwecya część Pomorza. Jeżeliby się zamiary te powiodły, dom Brandenburski spadłby w rzędzie państw europejskich na stanowisko niższe od książąt Wirtemberskich lub Margrabiów Badeńskich.

A czyż można było przypuszczać, że się te zamiary nie udadzą? Od wieków nie widziano takiej koalicyi mocarstw kontynentalnych. Mniej potężna zawojowała w przeciągu jednego tygodnia wszystkie posiadłości Weneckie, i to kiedy Wenecya stała jeszcze na szczycie potęgi, chwały i bogactwa! mniej potężna zmusiła Ludwika Czternastego ugiąć dumną głowę aż do ziemi! mniej potężna zawojowała za naszej własnej pamięci większe jeszcze państwo, upokorzyła dumniejsze jeszcze imię. Walki tak nierównej nigdy jeszcze dotąd nie widziano. Naród nad którym Fryderyk panował, liczył zaledwo pięć milionów, a ludność krajów skojarzonych przeciw niemu dochodziła stu milionów. W takim samym stosunku miały się do siebie środki i zasoby stron wojujących. Drobne państwa

zapalone silnem uczuciem patryotyzmu, mogły niekiedy stawić opór skuteczny wielkim królestwom szarpanym fakcyami i zatargami; ale w królestwie Fryderyka, choć było tak małe, więcej niezawodnie było zawistnych i źle myślących poddanych, niż we wszystkich razem państwach jego nieprzyjaciół. Szlązk sam stanowił czwartą część jego posiadłości, a od Szlązaków, przyzwyczajonych do rządów austryackich, mógł w najlepszym nawet razie spodziewać się co najwięcej obojętności, od Szlązkich zaś katolików mógł obawiać się otwartego oporu.

Trafiało się także, że państwa niektóre zdołały bronić się skutecznie przeciw najazdom ogromnej przemocy, w skutku geograficznego swego położenia. Anglię nie raz obroniło morze od wściekłości całego kontynentu; rząd wenecki, gdy stracił wszystkie swoje kraje na stałym lądzie, mógł jeszcze stawić opór Cambrayskim sprzymierzonym ze swojego arsenału na Lagunach; w alpejskich wąwozach zginęło niejedno wielkie wojsko regularne, któremu szwajcarscy pasterze łatwą zdawali się zdobyczą. Ale Fryderyk nie miał takiego ratunku. Kształt i położenie jego państwa, sam nawet rodzaj ziemi, wszystko było przeciw niemu. Terrytoryum jego długie, rozerwane, rozkawałkowane, zdawało się jak żeby umyślnie złożone dla wygody najezdników, a na obronę nie miało ani morza, ani najmniejszego nawet pasma pagórków; z którejkolwiekbądź strony mógł nieprzyjaciel wedrzeć się do niego jednotygodniowym marszem. Stolica sama, w razie wojny, musiała być nieustannie wystawioną na wszystkie przypadki i klęski. To też nie wątpił żaden w Europie wojskowy ani polityk, że spór ukończy się w przeciągu jednego tygodnia zupełnym upadkiem Brandenburskiego domu.

Sam nawet Fryderyk miał to przekonanie. Nie spodziewał się on niczego innego, jak zguby swojego domu i swojej własnej. Zostawała mu jedna tylko i to bardzo słaba nadzieja ratunku. Miał on tę przynajmniej korzyść, że zajmował pozycyą środkową, podczas gdy nieprzyjaciele jego, wielce od siebie oddaleni, nie mogli tak łatwo zebrać na jednym punkcie

sił swoich przemagających. Przychodzili oni nadto z różnych stref klimatu, mogło się zatem zdarzyć, że pora stósowna do wojennych operacyj dla jednych, mogła być niepomyślną dla drugich. Oprócz tego nie miało królestwo Pruskie niedostatków i usterków niektórych, na jakie cierpiały większe i wspanialsze państwa. Siła, jaką Prusy rozwinąć mogły w rozpaczliwej walce, nie dała się mierzyć podług samych tylko mil kwadratowych lub liczby ludności. W ciele tem, chudem, ale związanem i zahartowanem, nie było nic, tylko same muszkuły i kości. Nie było tam czekających na dywidendy publicznych wierzycieli, nie było dalekich kolonij, wymagających obrony, nie było dworu pełnego pochlebców i zalotnic, któryby pochłaniał koszta pięciudziesiąt batalionów. Wojsko pruskie, choć na liczbę mniejsze nierównie od wojsk z któremi zmierzyć się miało, było przecież ogromnie silnem, niestosunkowo do rozległości pruskiego państwa. Było prócz tego doskonale wyćwiczone, miało doskonałych oficerów, przywykło było doskonale słuchać i podbijać. Dochody nietylko nie rozchodziły się na procenta od długów, ale w czasie pokoju przewyższały zwyczajne wydatki. Sam jeden między koronowanemi głowami Europy miał Fryderyk fundusz zaoszczędzony na wypadek złych czasów. Nadewszystko zaś, on był sam jeden, a nieprzyjaciół było wielu. Rachował zatem, że w ich obozach nie obejdzie się bez zazdrości, zatargów, opieszałości i niedołęztwa, właściwego wszystkim koalicyom, kiedy po jego stronie była sprężystość, jedność, i tajemnica dyktatorskiej władzy. Brak środków wojennych da się do pewnego stopnia zastąpić fortelami sztuki wojennej; wojsko Fryderyka było małe, w porównaniu zwłaszcza z sześciuset tysiącami, które sprzymierzeni mogli w pole wyprowadzić, ale spieszny ruch zdołałby może zastąpić w części to, co schodziło na massie wojska. Możliwem było, żeby gieniusz, rozsądek, śmiałość, wytrwałość, szczęście, przeciągnęły walkę przez jedną, może i przez dwie kampanije: a zyskać choćby tylko miesiąc czasu znaczyło już bardzo wiele, bo przyrodzone wielkim koalicyom przywary, musiały odezwać się w krótkim czasie. Każdy

ze sprzymierzeńców musiał niebawem zacząć się skarżyć, że miał udział za wielki w wojnie, a za mały w łupach; niebawem musiały zacząć się żale, narzekania i wyrzuty. Tymczasem może Turek ruszy się nad Dunajem, politycy francuzcy poznają może, jak gruby błąd popełnili, odstępując zasad narodowej swej polityki? a nadewszystko, śmierć mogła oswobodzić Prusy od najzaciętszych i najstraszniejszych nieprzyjaciół. Wojna była wynikiem osobistej nienawiści kilku monarchów do Fryderyka; zejście jednego z nich, mogłoby może w szczęśliwym razie sprowadzić zupełny zwrot w stanie Europy.

Na horyzoncie burzliwym i ponurym, jeden tylko punkt jasny mógł Fryderyk dostrzegać. Pokój zawarty w roku 1748 między Francyą i Anglią, nie był niczem więcej, jak prostem zawieszeniem broni, a nawet ten nie we wszystkich był częściach świata. W Indyi dwa domy Muzułmańskie walczyły o panowanie nad Karnatykiem; po stronie jednego z nich stała angielska osada Fort St. George, Pondichery po stronie drugiego; a Lawrence i Clive z jednej, Dupleix z drugiej strony, stoczyli z sobą cały szereg potyczek. Walka mniej ważna co do skutków, ale nie mniej mogąca wywołać rozjątrzenie, stoczyła się między tymi francuzkimi i angielskimi awanturnikami, którzy na wybrzeżach Gwinei łowili złoty piasek i murzynów. Współzawodnictwo atoli i manewra obu narodów, nie występowały nigdzie tak wyraźnie i jasno, jak w północnej Ameryce. Francuzi chcieli opasać angielskich kolonistów łańcuchem wojskowych pozycyj, rozciągających się od Wielkich Jezior aż do Missisipi. Anglicy wzięli się do broni, a pierwotne plemiona mieszały się do walki po obu stronach wespół z białemi twarzami. Przyszło do bitew, do szturmów, a do Europy dochodziły okropne powieści o wbijaniu na pal i obdzieraniu ze skóry, i jątrzyły wzajemną nienawiść obu narodów, owoc wiekowego współzawodnictwa. Zatargi między Francyą i Anglią dojrzały do przesilenia w tej samej właśnie chwili, kiedy pęknąć miały chmury zgromadzone nad Prusami. Usposobienie

i interes byłyby ciągnęły Fryderyka na stronę Burbońskiego domu, gdyby był miał wolny wybór; ale wyboru nie miał, nie zostawiły mu go szaleństwa Wersalskiego dworu. Skoro Francya była narzędziem Austryi, Fryderyk musiał zostać sprzymierzeńcem Anglii. Nie mógł on robić sobie nadziei, żeby państwo, którego floty trzymały wszystkie morza, a które miało wojnę naraz nad brzegami Ohio i Gangesu, mogło przeznaczyć większe siły na operacye wojenne w Niemczech; ale Anglia, choć uboga w porównaniu z Anglią naszych czasów, bogatszą była zawsze od wszystkich państw kontynentalnych. Dochody jej i środki jakich dostarczał jej kredyt, choć pokolenie, które widziało jednoroczny dochód stu trzydziestu milionów funtów, mogą wydać się szczupłemi, były przecież bajeczne zdaniem owoczesnych polityków. A bardzo skromna cząstka jej bogactw mogła w ręku oszczędnego i zdolnego księcia i w tanim kraju, wystarczyć na postawienie i utrzymanie ogromnego wojska.

W takiem położeniu znajdował się Fryderyk. Widział on doskonale swoje niebezpieczeństwo; widział, że była słaba nadzieja ratunku, i mądrze a śmiało postanowił uprzedzić nieprzyjaciela. W sierpniu tedy roku 1756 rozpoczęła się wielka wojna Siedmioletnia. Król zażądał od cesarzowej jasnego tłomaczenia, oświadczył bez ogródki, że »nie chce odpowiedzi w stylu wyrocznie«, i że odmowę weźmie za wypowiedzenie wojny. Cesarzowa dała mu na to odpowiedź dumną i niejasną. W tej samej chwili sześćdziesiąt tysięcy pruskiego żołnierza zajęło bogaty Elektorat Saski. August Trzeci zajmował z wojskiem swojem silne stanowisko pod Pirną; królowa Polska została w Dreźnie. W kilku dniach Pirna została oblężoną a Drezno wzięte. Pierwszą teraz rzeczą dla Fryderyka było dostać Saskie papiery państwa, wiedział bowiem, że w tych papierach znajdą się obfite dowody na to, że choć pozornie zaczepiał, w rzeczy występował tylko we własnej obronie. Królowa Polska, znając ważność tych papierów tak dobrze jak Fryderyk, spakowała je, ukryła w sypialnym swoim pokoju, i miała już wysłać je do Warszawy, kiedy stanął przed nią pruski

oficer. W nadziei, że nikt nie ośmieli się znieważyć damy, królowej, córki cesarza i świekry Delfina, Marya Józefa zasłoniła sobą kufer, a wkońcu na nim usiadła. Ale wszelki opór był daremny. Papiery wpadły w ręce Fryderyka, który znalazł w nich jak się spodziewał obfite dowody zdradliwych zamiarów koalicyi. Najważniejsze dokumenta natychmiast ogłoszone drukiem, zrobiły nie małe wrażenie, bo stało się jawnem dla całego świata, że jakiekolwiek były dawne grzechy króla pruskiego, teraz on był stroną pokrzywdzoną, i że zaczynając wojnę uprzedził tylko cios, który w niego samego miał ugodzić.

Obóz Saski pod Pirną w ścisłem tymczasem zostawał oblężeniu, ale nie był bez nadziei odsieczy. Marszałek Brown lada chwila miał ukazać się na górach rozgraniczających Saksonię i Czechy. Ale Fryderyk, zostawiwszy pod Pirną siłę dostateczną do trzymania Sasów w szachu, pośpieszył do Czech, spotkał Browna pod Lowositz i pobił go na głowę. Bitwa ta rozstrzygła o losie Saksonii. August i zausznik jego Brühl uciekli do Polski, a całe wojsko saskie kapitulowało. Od tej chwili aż do końca wojny uważał Fryderyk Saksonię za swoją własną posiadłość, a raczej obchodził się z nią w sposób, który służyć może za przykład i komentarz tej straszliwej sentencyi: *subjectos tanquam suos, viles tanquam alienos*. Saksonię miał tak samo w swojej mocy jak Brandenburgię, a nie zależało mu tyle na dobrym bycie Saksonii, ile na dobrym bycie Brandenburgii. Zaciągał też wojska i nakładał podatki na ten kraj podbity surowiej nierównie, niźli to czynił w innych swoich posiadłościach. Siedemnaście tysięcy ludzi z Pirnajskiego obozu częścią przemocą, częścią namową dało się zaciągnąć pod sztandary swojego zwycięzcy, i tak w kilka zaledwie tygodni po rozpoczęciu nieprzyjacielskich kroków, jeden ze sprzymierzonych był już rozbrojonym, a broń jego obrócona przeciwko pozostałym.

Zima sprowadziła przerwę w operacyach wojennych; dotychczas wszystko szło Fryderykowi po myśli; ale prawdziwa

wojna dopiero się zacząć miała. Łatwo było przewidzieć, że rok 1757 pamiętną stanie się epoką w dziejach Europy.

Ułożony przez króla plan kampanii był prosty, rozsądny i śmiały. Książę Cumberland stał w zachodnich Niemczech z wojskiem angielskiem i hanowerskiem, i mógł przeszkodzić Francuzom w marszu na Prusy. Moskale zasypani śniegami, trudnoby mogli się ruszyć przed wiosną; Saksonia była już pobita, Szwecya nic strasznego zrobić nie mogła, a zatem mógł Fryderyk rachować, że przez kilka miesięcy będzie miał do czynienia z samą tylko Austryą. I tak nawet jeszcze miał przemagające siły przeciwko sobie, ale odwaga i zdolność dały sobie nieraz radę z groźniejszemi jeszcze siłami.

W początkach zaraz roku 1757 zaczęły się ruszać wojska pruskie w Saksonii, i czterema przesmykami górskiemi weszły do Czech. Pierwszym celem wyprawy była Praga, dalszym, prawdopodobnie Wiedeń. W Pradze stał feldmarszałek Brown z wielkiem wojskiem, a na czele drugiego wojska zbliżał się Daun, najostrożniejszy i najszczęśliwszy z jenerałów austryackich. Fryderyk postanowił napaść na Browna, zanimby Daun miał czas nadejść, i pod murami tego miasta, które przed stu trzydziestu laty widziało zwycięztwo Ligi katolickiej i ucieczkę nieszczęśliwego Palatyna, stoczyła się na dniu 6 Maja najkrwawsza bitwa, jaka się zdarzyła w długim przeciągu czasu, między Malplaquet i Eylau. Król i książę Brunszwicki Ferdynand odznaczyli się w niej męztwem i dzielnością; ale największą chwałę zjednał sobie marszałek Schwerin, bo kiedy pruska piechota chwiać się zaczęła, wyrwał sztandar od jednego z chorążych, i wznosząc go w górę, stary wódz sam poprowadził ją napowrót do ataku, i padł w najgęstszym ogniu w siedemdziesiątym drugim roku życia, trzymając skostniałą ręką chorągiew z czarnym orłem w srebrnem polu. Zwycięztwo zostało przy królu, ale było drogo okupione; poległy bowiem całe szeregi najtęższych żołnierzy, jak sam przyznawał, ośmnaście tysięcy ludzi. Nieprzyjaciel zaś w zabitych, rannych i wziętych w niewolę, stracił dwadzieścia cztery tysiące.

Część pobitego wojska zamknęła się w Pradze, część uszła, chcąc połączyć się z Daunem, który był już blizko; a Fryderyk postanowił powtórzyć ten sam manewr, który mu się już raz poszczęścił pod Lowositz. Zostawił pod Pragą znaczne siły oblężnicze, a sam na czele trzydziestu tysięcy ludzi poszedł na spotkanie Dauna. Ostrożny marszałek, choć miał siłę przemagającą, nie chciał się w niczem narazić, i zająwszy niezdobyte prawie stanowisko, czekał na króla pod Kollinem.

Był to dzień 18 Czerwca, dzień, który byłby poświęcony Nemezie, gdyby greckie zabobony miały jeszcze jakie na świecie znaczenie, bo w tym dniu przekonali się ze smutnego doświadczenia dwaj najwięksi wojownicy nowszych czasów, że ani sztuka, ani męztwo nie mogą nic przeciwko niestałości fortuny. Bitwa zaczęła się przed południem; część wojska pruskiego trzymała się aż do zachodu słońca, lecz nareszcie musiał król uznać, że żołnierz jego odepchnięty kilkakrotnie z okropną stratą, nie mógł już iść do ataku. Z trudnością dał się on nakłonić do zejścia z pola bitwy. Oficerowie z przybocznego sztabu musieli robić mu uwagi, a jeden z nich ośmielił się zapytać: »czy Jego Królewska Mość myśli sama jedna iść na baterye?« Trzynaście tysięcy najdzielniejszego żołnierza zostało na placu; nie pozostawało więc nic, jak cofnąć się w porządku, odstąpić od oblężenia Pragi, i różnemi drogami coprędzej wojska z Czech wyprowadzić.

Cios ten zdawał się stanowczym. Położenie Fryderyka było tego rodzaju, że chyba nieprzerwane pasmo pomyślności, mogło, jak rozumiano, ocalić go od ostatecznej zguby; a teraz na samym początku wojny, poniósł on klęskę, która nawet w walce z równemi siłami, zawsze byłaby wielką. Wiele także zawdzięczał on temu wyobrażeniu, jakie o jego wojsku miała cała Europa; od samego jego wstąpienia na tron, wojsko to w wielu z kolei bitwach zwyciężało zawsze Austryaków, a teraz chwała odpadła od jego sztandarów. Wszyscy ci, których zranily kiedykolwiek jego szyderstwa, pośpieszyli teraz

pomścić się i natrząsać z szydercy; właśni żołnierze przestali wierzyć w jego szczęśliwą gwiazdę; wojskowi wszelkich stopni naganiali jego plany, nawet w łonie własnej rodziny nie brakło mu na obmowach. Drugi brat jego Wilhelm, domniemany następca tronu, pradziad dzisiejszego króla, nie mógł powstrzymać się od opłakiwania losu swojego i całego swego domu, który tak dotychczas wielki i szczęśliwy, teraz, z winy niepohamowanej ambicyi swojej głowy, stał się pośmiewiskiem całego świata. Skargi te i pomyłki niektóre popełnione przez Wilhelma podczas odwrotu z Czech, poruszyły żółć nieubłaganego króla, a książę rozżalony ostremi wymówkami brata, opuścił obóz, ukrył się w wiejskiem jakiemś ustroniu i umarł wkrótce ze zmartwienia i wstydu.

Zdawało się, jak żeby nieszczęśliwe położenie króla nie mogło się już pogorszyć. Ale w tej samej chwili spadła na niego klęska druga, nie mniejsza jak pod Kollinem. Francuzi pod marszałkiem d'Estrées wtargnęli do Niemiec. Książę Cumberland wydał im bitwę pod Hastembeck i został pobitym; a bojąc się, by Elektorat Hanowerski nie został zdobytym, zawarł w Kloster-Sewen z francuzkimi jenerałami pokój, który pozwalał tym ostatnim całe swoje siły obrócić na Fryderyka.

I jak żeby dla tego, by nic już do nieszczęść jego nie brakło, w tym samym czasie umarła mu matka; a stratę jej uczuł żywiej, niż się można było spodziewać po twardem i surowem jego sercu. Nieszczęście dopiekło mu już do żywego. Ten szyderca, ten tyran, ten najdespotyczniejszy i najcyniczniejszy z ludzi, był teraz naprawdę bardzo nieszczęśliwym. Tak spadł z ciała i tak wynędzniał na twarzy, że kiedy wracając z Czech przejeżdżał przez Lipsk, ludzie zaledwie go poznać mogli. Stracił sen, łzy pomimowoli często stawały mu w oczach, a w stroskanej duszy myśl o grobie, jako o jedynem schronieniu od zgryzoty i wstydu. Miał on silne postanowienie w żadnym razie nie wpaść żywcem w ręce nieprzyjaciela, i nigdy nie zawrzeć pokoju pod warunkiem zrzeczenia się stanowiska swojego między mocarstwami Europy. Myślał zatem,

że nie pozostawało mu nic jak umierać, i z namysłem obrał sobie zawczasu rodzaj śmierci; nosił zawsze na sobie niezawodną i prędką truciznę we flaszeczce, a przed zaufanymi swoimi nie robił żadnej z tego tajemnicy.

Ale stan jego umysłu opisalibyśmy bardzo niedokładnie, gdybyśmy spuścili z oka te śmieszności, które tak dziwnie odbijają od tęgości powagi i niezłomności jego charakteru. Trudno powiedzieć, czy w tym dramacie, który on właśnie odgrywał, przeważał żywioł tragiczny czy komiczny. Wpośród bowiem klęsk najstraszniejszych, rosła i wzmagała się nieustannie namiętność jego do pisania lichych wierszy. Otoczony nieprzyjaciołmi, z rozpaczą w sercu, z pigułkami zabójczego sublimatu w kieszeni, płodził tysiącami wiersze obmierzłe bogom i ludziom, niesmaczne męty Voltairowskiej Hippokreny, słabe echa lutni Chaulieu [1]). Ciekawe jest porównanie tego co on zrobił w ciągu ostatnich miesięcy roku 1757, z tem co w tym samym czasie napisał. Można wątpić, czy równa przestrzeń czasu w życiu Hannibala, Cezara lub Napoleona, wytrzymałaby porównanie z tą krótką epoką w życiu Fryderyka, najświetniejszą w jego i w całych Prus historyi. A w tym samym czasie, wielki wojownik obracał rzadkie swoje wczasy na pisanie Od i Listów, mało co lepszych od Od Cibbera [2]), mało co gorszych od listów Hayleya. Gdzieniegdzie męzkie jakieś uczucie, które zasługiwałoby wyrażonem być w prozie, zjawia się w towarzystwie Orfeusza, Prometeusza, Acherona, Elysium, żałosnej Filomeli, maków Orfeusza, i wszystkich tym podobnych łachmanów, które jak suknię rzuconą przez dumną piękność pokojówce, dawno już gieniusz z pogardą zostawił mierności. Nie znamy może przykładu ludzkiej siły i słabości razem, tak uderzającego, tak dziwacznego, jak ten dumny,

[1]) Chaulieu, ur. 1639, umarł 1720, poeta wesoły i lekki, przez współczesnych nazywany Anakreonem.

[2]) Cibber, pisarz i aktor ur. 1671, um 1757. Hayley ur. 1745, um. 1820, poeta. Jego listy wierszem były bardzo cenione.

czujny, przebiegły pokątny literat, pół Mitrydates, pół Trissotin, który stawia czoło całemu światu z uncyą trucizny w jednej kieszeni a z pliką lichych wierszy w drugiej.

Na jakiś czas przedtem robił Fryderyk niejakie kroki do pojednania z Voltairem; kilka uprzejmych listów zamienili oni nawzajem między sobą, a po bitwie pod Kollinem korrespondencya ich stała się, na pozór przynajmniej, poufną i przyjacielską. Nie znamy drugiego zbioru Listów, któryby tyle rzucał światła na najciemniejsze i najzawikłańsze strony ludzkiej natury, jak listy tych dwóch szczególnych istot, po obopólnem przebaczeniu. Czuli oni obadwa, że kłótnia owa poniżyła ich w oczach świata; obadwa podziwiali się wzajemnie, obadwa potrzebowali się nawzajem. Wielki król pragnął być uwiecznionym i podanym do potomności przez wielkiego pisarza; wielkiemu pisarzowi pochlebiały hołdy królewskie. Ale rany, jakie sobie nawzajem zadali, były tak głębokie, że ani się zatrzeć, ani nawet dobrze wygoić nie dały; blizny zostały, a zranione miejsca często się jeszcze krwawiły i jątrzyły na nowo. W listach pełno było komplementów, dzięków, zapewnień przyjaźni i zalecań służb, ale jeżeli okoliczność jaka przypomniała Fryderykowi dotkliwe żarty, jakiemi mu Voltaire dokuczył, wyrywało mu się zaraz wśród pochwał jakieś słowo urazy i wzgardy; jeszcze gorzej zaś bywało, jeżeli Voltairowi przypomniały się obelgi, jakie z siostrzenicą swoją znieść musiał we Frankfurcie. W jednej chwili płynne panegiryki zmieniały się w ostre wyrzuty: »Pomnij Najjaśniejszy Panie, jak się ze mną obszedłeś. »Dla Twojej miłości straciłem łaski mojego własnego króla; »dla Twojej miłości jestem wygnańcem z własnej ojczyzny. »Kochałem cię, zawierzyłem ci, nie pragnąłem niczego, jak ży»cie skończyć na Twoich usługach, i jakąż za to wszystko do»stałem nagrodę? Odarty ze wszystkiego co mi było danem, »z klucza, z orderu, i z pensyi, musiałem uciekać z twoich »krajów. Wtedy kazałeś mnie ścigać, jak żebym był zbiegłym »grenadyerem, uwięzić, zelżyć i zrabować. Żołnierze Twoi wle»kli moją siostrzenicę po błocie frankfurckiem, jak żeby była

»obozową włóczęgą. Wasza Królewska Mość masz wielkie »zdolności i wiele dobrych przymiotów, ale masz szkaradną »jednę wadę. Upokorzyć drugiego jest dla Ciebie największą »rozkoszą, a przez to hańbę przynosisz imieniu filozofa i da»jesz pewien pozór prawdy potwarzom szerzonym przez bi»gotów, że nie można ufać ludzkości i sprawiedliwości tych, którzy odrzucają Chrześciańską wiarę.« Król zaś odpowiadał jak następuje: »Wiesz, żeś się haniebnie zachowywał pod»czas swojego pobytu w Prusiech. Szczęście twoje, że miałeś »do czynienia z człowiekiem tak wyrozumiałym na słabości »gieniuszu jak ja, bo wart byłeś zwiedzić wnętrze jakiego wię»zienia. Talent twój nie jest sławniejszym od twojej złośliwości »i przeniewierstwa, a przed twojem szyderstwem sam nawet »grób nie zasłania. Maupertuis nie żyje, a ty go jeszcze czer»nisz i wyśmiewasz, jak żebyś go nie był uczynił dość nie»szczęśliwym za życia. Nie mówmy więc o tem, a nadewszystko »nie mów mi nigdy o swojej siostrzenicy; słabo mi się robi, kiedy »słyszę jej nazwisko. Twoje wady mogę znosić przez wzgląd »na twoje zasługi, ale ona nie napisała Mahometa ani Meropy.«

Zdawałoby się, że wybuch tego rodzaju powinienby był przeciąć wszelkie przyjazne stosunki, ale stało się inaczej. Po każdem takiem starciu osobliwsza ta para kochała się bardziej jak przedtem, i wymieniała dalej komplementa i oświadczenia szacunku, z najdoskonalszemi pozorami szczerości.

Łatwo się domyśleć, że ludzie, którzy w powyższy sposób do siebie pisywali, mówiąc o sobie, nie byli zbyt oględni. Poseł angielski Mitchell, który wiedział że król pisywał ustawicznie do Voltaira o rzeczach najważniejszych, z zupełną otwartością i swobodą, nie mógł przyjść do siebie z podziwienia, słysząc jak król wybranego korrespondenta opisywał jako człowieka ze złem sercem i największego pod słońcem łajdaka. Poeta ze swojej strony nie z większem uszanowaniem wyrażał się o królu.

Voltaire sam byłby się może zakłopotał, gdyby mu przyszło było powiedzieć, jakie właściwie miał dla Fryderyka

uczucie. Była to jakaś mieszanina wszystkich uczuć, od przyjaźni do nienawiści, do uwielbienia do wzgardy, a proporcya, w jakiej uczucia te wchodziły w skład tej mieszaniny, zmieniała się co chwila. Stary patryarcha był jak zepsute dziecko, które w przeciągu jednego kwadransa wrzeszczy, tupie nogami, drapie, śmieje się, łasi i całuje naprzemian. Gniew jego nie ucichł, ale obok niego był tam i pociąg jakiś do dawnego przyjaciela. Jako Francuz, życzył Voltaire zwycięztwa francuzkiemu orężowi; jako filozof pragnął ocalenia tego tronu, na którym zasiadał filozof; pragnął on razem poniżenia i ocalenia Fryderyka, a wszystkie te uczucia razem dały się zaspokoić w jeden tylko, jeden jedyny sposób. Gdyby Fryderyk ocalał przez pośrednictwo Francyi, i gdyby wiadomem było powszechnie, że pośrednictwo winien był przyczynie Voltaira, toby to była zemsta rozkoszna, toby dopiero było naprawdę zbierać żarzące węgle nad tą dumną głową! I sądził naprawdę próżny a niespokojny poeta, że ze swojego ustronia pod Alpami, zdoła dyktować pokój Europie. D'Estrées opuścił był właśnie Hannower, a najwyższe dowództwo francuzkiego wojska przeszło w ręce księcia Richelieu, którego największą sławą było szczęście u kobiet. Był on istotnie najznakomitszym z tego plemienia uwodzicielów z profesyi, z których Crèbillon młodszy i La Clos brali wzory na bohaterów swoich romansów. Za młodych jego lat, sam nawet dom królewski nie był bezpiecznym od zuchwałej jego zalotności; podboje swoje miał on posunąć jak mówiono, aż do rodziny Orleańskiej, a domyślali się niektórzy, że jego się tyczyły owe tajemnicze wyrzuty sumienia, które zatruły ostatnie chwile uroczej matki Ludwika XV. Teraz atoli miał książę lat sześćdziesiąt; z sercem nawskróś zepsutem, z głową nawykłą oddawna myśleć tylko o fraszkach, z nadszarpanem zdrowiem, z nadszarpanym majątkiem, a co najgorzej z nosem strasznie czerwonym, rozpoczynał on starość czczą, płochą, i niegodną poszanowania. Bez żadnego tytułu do wojskowego dowództwa, prócz tej odwagi osobistej, która wspólną mu była z całą szlachtą francuzką, stanął on

na czele wojska w Hanowerze, i robił co tylko mógł, by zdzierstwem i przekupstwem podłatać fortunę uszczerbioną przez rozpustę i marnotrawstwo.

Książę Richelieu nienawidził do śmierci sekty filozofów; nie za to co w systemie ich potępiać mógł każdy człowiek uczciwy i mądry, ale właśnie za to co mieli dobrego, za ich zapał do wolnego badania, i za nienawiść do tych nadużyć społecznych, których sam był jak żeby wcieleniem. Ale jak wszyscy niemal ludzie jego sposobu myślenia, wyjmował on Voltaira z listy wyklętych pisarzów. Często pisywał do Ferney najpochlebniejsze listy; robił patryarsze ten zaszczyt, że pożyczał od niego pieniędzy, a nawet tak daleko posuwał łaskawą swą przyjaźń, że raczył nie płacić mu procentów. Voltaire tedy sądził, że będzie w jego mocy zawiązać stosunki między księciem a królem Fryderykiem; pisał w tym celu do obudwóch w sposób nalegający, i dopiął swego o tyle, że istotnie zaczęły się między nimi listowne stosunki.

Ale ocalenie swoje miał Fryderyk innym zupełnie zawdzięczać wpływom. W początkach listopada zdawało się, że sieci były już zupełnie obstawione naokoło niego. Moskale wyszli w pole i pustoszyli wschodnie prowincye jego państwa; Austryacy napadli Szlązk; od zachodu zbliżało się wielkie wojsko francuzkie pod dowództwem marszałka Soubise, książęcia z wielkiego Bretońskiego domu Rohanów; a sam nawet Berlin był wziętym i zrabowanym przez Kroatów. Z takiego to położenia wywikłał się Fryderyk w przeciągu dni trzydziestu, z najświetniejszą dla siebie chwałą.

Poszedł naprzód naprzeciw marszałka Soubise, i piątego Listopada spotkały się obadwa wojska pod Rossbach. Francuzów było dwóch na jednego, ale byli źle wyćwiczeni, a jenerała mieli do niczego. Taktyka Fryderyka i sforne męztwo pruskiego żołnierza odniosły zupełne zwycięztwo. Siedem tysięcy najezdników dostało się do niewoli, działa ich, sztandary i furgony, wpadły w ręce zwycięzców. Ci którzy zdołali umknąć, uciekali w nieładzie, jak tłum ludu rozbity przez jazdę. Król,

zwycięzki na zachodzie, zwrócił oręż swój na Szlązk. Tutaj, wszystko zdawało się już stanowczo straconem. Wrocław upadł, a Karol Lotaryński z potężnem wojskiem zajmował cały kraj. Piątego Grudnia, w miesiąc okrągło po bitwie pod Rossbach, spotkał się Fryderyk na czele czterdziestu tysięcy z księciem Karolem, który ich miał najmniej sześćdziesiąt, pod Leuthen, tuż koło Wrocławia. Król, który jako jenerał miał może tę wadę, że prostego żołnierza zanadto uważał za maszynę, uciekł się na dniu owym do tego środka, którego poźniej Bonaparte z tak świetnym używał skutkiem, do rozbudzenia zapału w żołnierzach. Zwołał on wszystkich wyższych oficerów, przemówił do nich z wielkiem przejęciem i siłą, i polecił im przemówić do żołnierzy tak, jak on sam do nich przemówił. Gdy zaś wojska stanęły w szyku bojowym, Prusacy rozgrzani byli zapałem, ale zapał ich objawiał się jak zwykł się objawiać u ludzi ciężkich i spokojnych. Kolumny szły do ataku śpiewając przy odgłosie bębnów i piszczałek stare hymny. Nigdy jeszcze nie bili się tak dobrze, i nigdy gieniusz ich wodza w takiem nie zajaśniał świetle. Napoleon mawiał, że »bitwa »ta była arcydziełem, i że sama jedna wystarczała, by posta»wić Fryderyka w pierwszym rzędzie wojowników«. Zwycięztwo było zupełne. Austryacy stracili dwadzieścia siedm tysięcy ludzi, rannych, zabitych i wziętych w niewolę; Prusacy zabrali pięćdziesiąt chorągwi, sto armat, i cztery tysiące furgonów. Wrocław otworzył im bramy; Szlązk był odzyskany na nowo; Karol Lotaryński schronił się do Brukselli, by ukryć tam swój wstyd i zmartwienie, a Fryderyk po kampanii, która co do zmienności losów z żadną inną w dziejach świata porównać się nie da, pozwolił wojskom swoim nieco spoczynku na zimowych leżach.

Sława jego brzmiała po całym świecie. Wytrzymywał on w ciągu ostatniego roku walkę z trzema państwami, z których najsłabsze trzy razy tyle co on miało środków, i wyszedł z niej z korzyścią. Stoczył cztery wielkie bitwy z przemagającemi siłami; trzy z nich wygrał, a przegrana pod Kollinem, tak

świetnie naprawiona, nietylko nie szkodziła jego sławie wojennej, ale ją raczej podnosiła. Do dziś dnia zwycięztwo pod Leuthen najświetniejszem jest zawsze w dziejach pruskiej broni. Lipsk i Waterloo więcej zaiste wpłynęły na losy świata, ale pod Lipskiem bili się prócz Prusaków Moskale i Austryacy, a pod Waterloo angielska piechota wytrzymała największy ogień i utrzymała chwalę dnia. Zwycięztwo pod Rossbach mniej zaszczytne ze stanowiska wojskowego, bo odniesione nad nieudolnym jenerałem i bezładnem wojskiem, sprawiło jednak niesłychane wrażenie. Wszystkie bowiem poprzednie zwycięztwa Fryderyka, odniesione nad samymi nietylko Niemcami, nie mogły poruszyć w Niemczech uczucia narodowej dumy. Nie mógł Hessyjczyk ani Hanowerczyk patryotyczną unieść się radością na wiadomość, że Pomorczycy wymordowali Tyrolczyków, lub że Saskie sztandary zawieszono w Berlińskim kościele. Aż dotąd, choć sława ich wojskowa stała wysoko między ludźmi, nie mogli Niemcy pochlubić się żadną wielką wyprawą, którąby należała do nich jako do narodu; nie mieli nic podobnego do bitwy pod Agincourt[1]) lub pod Bannockburn[2]). Większą część swoich zwycięztw odnieśli oni sami nad sobą, jedni nad drugimi, a najświetniejsze swoje bitwy przeciw cudzoziemcom, staczali pod Eugieniuszem, który sam był cudzoziemcem. Ale wieść o bitwie pod Rossbach poruszyła krew w żyłach całego tego mnogiego narodu od Alp do Baltyku, od granic Kurlandyi, aż po Lotaryngią. Ćma cudzoziemców, których język był Niemcom niezrozumiały, a swawolne i rozpustne obyczaje budziły w nich niechęć i odrazę, zalała Westfalię i Niższą Saksonię; a teraz ćma ta pierzchła przed małą garstką niemieckich żołnierzy pod wodzą króla Niemca po ojcu i matce, na którym czysta krew niemiecka wybiła swoje piętno w jasnych włosach i jasno niebieskich

[1]) Zwycięztwo Henryka V nad Francuzami 1415.

[2]) Zwycięztwo Roberta Bruce nad Edwardem II i wyswobodzenie Szkocyi 1314.

oczach. Od czasów Karola Wielkiego, nigdy jeszcze plemię Teutońskie nie wygrało takiej na Francuzach bitwy; nic więc dziwnego, że wieść o niej wywołała szał radości i dumy w całej tej wielkiej rodzinie, mówiącej różnemi narzeczami dawnej mowy Hermana. Sława Fryderyka zastępowała Niemcom poniekąd brak jednego rządu i wspólnej stolicy; stała się ona dla wszystkich prawych Niemców jakoby hasłem, ogniskiem, w którem się wszyscy łączyli, a Westfalczycy, Bawarzy, obywatele Frankfurtu i Norymbergi, winszowali jej sobie nawzajem. Wtedy to okazało się po raz pierwszy, że Niemcy są na prawdę narodem; wtedy po raz pierwszy objawił się tam duch patryotyzmu, który w roku 1813 dokonał oswobodzenia środkowej Europy, a który strzeże do dziś dnia i długo jeszcze strzedz będzie starej wolności Renu, od cudzoziemskich najazdów.

Skutki owego dnia wielkiego nie były też czysto tylko polityczne. Najwięksi mistrze niemieckiej poezyi i wymowy przyznali, że aczkolwiek wielki król ojczystego języka ani cenił ani rozumiał, aczkolwiek na Francyę się obzierał jako na jedyne siedlisko wykształconego smaku i filozofii, to przecież przyczynił się on nie mało do wyswobodzenia ducha swoich współziomków z pod obcego jarzma, i że, kiedy zniósł marszałka Soubise, mimowolnie podniósł zarazem tego ducha, który zachwiał niebawem literackiem panowaniem Boileau i Voltaira. Tak to dziwnie krzyżują wypadki zamysły i dążności ludzi. Król, który po francuzku tylko mówił czytał i pisał, który niczego tak nie pragnął, jak stanąć w rzędzie francuzkich klasyków, stał się bez wiedzy swojej i woli, środkiem do wyzwolenia kontynentu z pod przemocy tej francuzkiej krytyki, której sam niewolnikiem był aż do śmierci. Zapał atoli Niemców dla Fryderyka, ledwo że dorównywał zapałowi Anglików. Urodziny jego obchodzono tak uroczyście, jak urodziny własnego króla; Londyn gorzał od illuminacyi, w każdym domu musiał być portret bohatera z pod Rossbach z szczególnym jego kapeluszem i długim harcapem, a do dziś dnia jeszcze

uważny dostrzegacz przekonać się może, że w staroświeckich domach zajezdnych i w kartolarzach rycin, na jeden portret Jerzego II, znajdzie się najmniej dwadzieścia portretów Fryderyka. Malarze szyldów sklepowych na gwałt musieli przerabiać admirała Vernon [1]) na króla pruskiego; zapał ten porwał nawet ludzi wyłącznie religijnych, Metodystów naprzykład, którzy wiedząc, że Austryacy i Francuzi byli papistami, dobrodusznie brali Fryderyka za jakiegoś Jozuego lub Gedeona reformowanej wiary. Jeden ze słuchaczów Whitefielda [2]) następujący robi pocieszny zapisek w sam dzień nabożeństwa dziękczynnego za bitwę pod Leuthen, w dzienniku, którego wyjątki doszły do rąk naszych: »Pan wzbudził do modlitwy »króla pruskiego i jego żołnierzy; i pościli dni trzy, a przed »samą bitwą modlili się i śpiewali psalmy przez godzinę. O jak »dobrze jest modlić się i walczyć.« Kilku młodych Anglików z wielkich domów chciało pójść do Niemiec na ochotnika, by wyuczyć się sztuki wojennej pod największym z wodzów. Ten ostatni jednak dowód angielskiej czułości i uwielbienia, odrzucił Fryderyk grzecznie ale stanowczo. W obozie jego nie było miejsca dla dyletantów sztuki wojennej; karność wojskowa była tam surowa aż do okrucieństwa, a oficerowie musieli w polu żyć tak skromnie i twardo jak mnichy najostrzejszej reguły. Pomimo najszlachetniejszego urodzenia, pomimo najwyższych w służbie stopni, nie wolno im było jeść nic wykwintniejszego na czemś wykwintniejszem od cyny? Mieć srebrną łyżkę między rzeczami, było wielką zbrodnią nawet dla Feldmarszałka i Hrabiego. Do takiej Spartańskiej karności nie łatwo byłby się włożył młody Anglik mający dwadzieścia tysięcy funtów dochodu, przyzwyczajony do swobody i rozpusty, a król nie mógł trzymać ich w takich karbach jak swoich własnych poddanych, bo w takich stosunkach jak były jego

[1]) Admirał Vernon ur. 1684, umarł 1757, wsławiony zwłaszcza wojną przeciw flotom hiszpańskim w roku 1739 i 1740.

[2]) Whitefield, ur. 1714, um. 1770, był głową sekty Metodystów.

z Anglią, nie byłoby roztropnie rozstrzelać lub uwięzić jakiego niesfornego Cavendisha lub Howarda. Oprócz tego, przykład kilku paniczów z furgonami, ze służbą w liberyi, jedzących na srebrze, a pijących szampańskie i tokajskie wina, byłby wystarczył na to, by zepsuć całe jego wojsko. Uznał zatem, że najlepiej zapobiedz złemu odrazu i oświadczył grzecznie, że nie wpuści między swoje wojsko tak niebezpiecznych kolegów.

Otrzymał on za to pomoc od Anglii, nierównie dogodniejszą i pożyteczniejszą. Roczne posiłki w sumie około siedmiu kroć sto tysięcy funtów pozwalały królowi powiększyć wojsko o jakie pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Pitt, na szczycie podówczas chwały i potęgi, postanowił bronić Niemiec zachodnich przeciwko Francuzom, i prosił tylko Fryderyka, żeby mu dostarczył jenerała. Wybór padł na księcia Ferdynanda Brunświckiego, który w służbie pruskiej chwalebnie się był odznaczył. Oddano mu pod dowództwo siłę złożoną częścią z Anglików, częścią z Hanoweranów, częścią z najętego od różnych małych książąt żołnierza, a niebawem usprawiedliwił on wybór sprzymierzonych dworów, i okazał się drugim z rzędu jenerałem owego wieku.

Zimę przepędził Fryderyk na czytaniu, pisaniu i na przygotowaniach do następnej kampanii. Uszczerbek, jaki ostatnia wojna siłom jego przyniosła, naprawił on prędko, i z wiosną roku 1758 na nowo gotów był do walki. Książę Ferdynand trzymał w szachu Francuzów, a król tymczasem po niejakich krokach wojennych przeciwko Austryakom, które do wielkich żadnych skutków nie doprowadziły, poszedł naprzeciw Moskali, którzy paląc, rabując, mordując i pustosząc wszystko naokoło siebie, wtargnęli byli w sam środek jego państwa. Pod Zorndorf niedaleko Frankfurtu nad Odrą wydał im bitwę; była ona krwawa i zacięta, żadna strona nie dawała pardonu, bo Niemcy i Scythowie wzajemną pałali dla siebie nienawiścią, a król i wojsko jego oburzeni byli widokiem tych mordów i pożog, których dopuszczali się pół dzicy ci najezdnicy. Moskale pobici zostali z wielką stratą, tak, że na kilka miesięcy był Fryderyk zupełnie bezpiecznym od Wschodu.

Król rozkazał obchodzić wszędzie nabożeństwa dziękczynne, a naród obchodził je z radością i z dumą. W Anglii radość nie była mniej powszechna ani mniej szczera. Była to może chwila, w której sława wojskowa Fryderyka doszła do zenitu, bo w krótkim przeciągu trzech kwartałów, odniósł on trzy zwycięztwa nad wojskami trzech mocarstw potężnych i wojowniczych, Francyi, Austryi i Rosyi.

Ale takie snać było przeznaczenie, że umysł ten potężny doświadczyć miał wszystkich ostateczności losu w zmianach nagłych i szybko po sobie idących. Zaraz po tym szeregu zwycięztw nastąpił szereg klęsk takich, że byłyby zaćmiły sławę i złamały ducha każdego innego wodza. Ale Fryderyk, wśród największych niepowodzeń, był zawsze przedmiotem podziwienia dla poddanych swoich, dla sprzymierzeńców i dla nieprzyjaciół. Przywalony przeciwnościami, przesycony życiem, prowadził on przecież walkę, większy jeszcze w porażkach, w ucieczkach, i w tem co się ostateczną zgubą zdawało, jak na polu najświetniejszych swych zwycięztw.

Pobiwszy Moskali pospieszył on do Saksonii, aby tam stawić opór wojskom Cesarzowej pod dowództwem Dauna najprzezorniejszego, i Laudona najbardziej przedsiębiorczego, najpłodniejszego w pomysły z austryackich jenerałów. Słynni ci wojskowi zgodzili się na plan, w którym łączyła się nader szczęśliwie ostrożność jednego z dzielnością drugiego. O pierwszym brzasku napadli króla pod Hochkirch; przytomność jego uratowała wojsko od zupełnej zguby, ale nie zdołała uratować go od porażki i od strat ogromnych. Między poległymi znajdował się także Lord Marszałek Keith. Na pierwsze strzały zerwał się szlachetny tułacz ze spoczynku i w jednej chwili stanął w największym ogniu. Ranny ciężko, nie chciał zejść z pola, ale zbierał i szykował złamane swoje szeregi, kiedy kula austryacka przerwała życie jego pełne przygód i dziwnych wypadków.

Poniesiona klęska była niemała, ale żaden nigdy jenerał nie umiał lepiej od Fryderyka naprawić porażki, a żaden gorzej

od Dauna nie umiał korzystać z wygranej. W kilku dniach wojsko pruskie było znowu tak groźne, jak przed bitwą; przyszłość jednak była ponura i chmurna. Korpus austryacki pod jenerałem Harsch wtargnął na Szlązk i oblegał twierdzę Neisse. Daun po zwycięztwie swojem pod Hochkirch tak pisał do Harscha z całą pewnością siebie: »Oblegaj dalej Neissę; króla się nie bój, ja mu tu już dam radę.« I w istocie położenie Prusaków było bardzo trudne. Pomiędzy nimi a Szlązkiem stało zwycięzkie wojsko Dauna; przedrzeć się na Szlązk nie było wcale łatwo, a gdyby nawet przedrzeć się tam zdołali, to Saksonię znowu zostawiali otworem Austryakom. Ale sprężystość i tęgość Fryderyka przemogła wszystkie trudności. Wykonał on marsz boczny z niesłychaną szybkością, wyminął Dauna, dostał się na Szlązk, pośpieszył na odsiecz Nissie, i wypędził jenerała Harsch do Czech. Daun skorzystał z nieobecności króla, żeby uderzyć na Drezno. Prusacy bronili się rozpaczliwie; ludność tego bogatego i cywilizowanego miasta nadarmo prosiła o litość załogi i oblegających; piękne przedmieścia poszły z dymem, i oczywistem było, że jeżeli Austryjacy miasto dostaną, to będą musieli brać bagnetem dom po domu i ulicę po ulicy. W takim stanie rzeczy doszła wieść, że Fryderyk oczyściwszy Szlązk z nieprzyjaciela, pośpiesznym marszem wracał do Saksonii. Daun odstąpił od oblężenia i cofnął się na terrytoryum austryackie, a król po gruzach i zwaliskach odbył wjazd tryumfalny do nieszczęśliwej stolicy, która tak strasznie odpokutowała słabą i podstępną politykę swojego Elektora. Działo się to 20 Listopada; zimna przerwały dalsze kroki wojenne, a król na nowo udał się do Wrocławia na zimowe leże. Tak skończył się trzeci rok z owych strasznych siedmiu, a Fryderyk zawsze trzymał się silnie. Spadły na niego w tym roku domowe równie jak wojenne nieszczęścia. W sam dzień porażki jego pod Hochkirch, 14-go Października, w ten sam dzień, w którym w czterdzieści ośm lat później straszniejsza nierównie przegrana, rozbiła w puch całe państwo Pruskie, umarła Wilhelmina Margrafina Bajrajcka.

Z tego co o niej wiemy, tak przez jej własne pisma, jak przez najtrafniej sądzących współczesnych, rzeklibyśmy o niej, że była zła, namiętna, szorstka, niedelikatna, że sławnie umiała nienawidzić, ale że nie musiało jej zbywać na dobrych i szlachetnych uczuciach. Umysł jej z natury bystry i silny, wykształcony był starannie, i godną była być najukochańszą siostrą Fryderyka, którą też była w istocie. Stratę jej uczuł on najsilniej, jak tylko żelazna jego natura uczuć mogła stratę czegoś, co nie było prowincyą lub bitwą.

W Wrocławiu z niezmordowanym zapałem oddawał się przez całą zimę poetycznym pracom. Najdowcipniejsze może ze wszystkich jego wierszy znajdują się w uszczypliwym paszkwilu na Ludwika XV i panią Pompadour, który to paszkwil w tym właśnie czasie Fryderyk napisał i posłał Voltairowi. Wiersze te były istotnie tak dobre, że Voltaire zląkł się, by jego nie posądzono że je napisał, a przynajmniej że poprawił, i częścią ze strachu, a częścią z pasyi dokuczania, posłał je księciu Choiseul podówczas pierwszemu ministrowi we Francyi. Choiseul bardzo mądrze postanowił walczyć z Fryderykiem jego własną bronią, i udał się w tym celu do niejakiego Palissot, który jako wierszopis nie był bez zręczności, ani bez talentu jako satyryk. Palissot napisał wiersze bardzo uszczypliwe na Fryderyka jako człowieka i jako pisarza, a Choiseul posłał je znowu Voltairowi. Ta wojna na wierszyki i epigrammata zaraz po bitwie pod Zorndorf i po spaleniu Drezna, ciekawe rzuca światło na osobliwszy charakter króla Pruskiego.

W tej samej chwili nowy jeszcze zagroził mu nieprzyjaciel. Umarł Benedykt XIV, najlepszy i najmędrszy z dwustu pięćdziesięciu następców śgo Piotra, a pomiędzy panowaniem jego i jego ucznia Ganganellego, zajmował stolicę Rzymską Klemens XIII, Rezzonico. Ten postanowił spróbować, coby mogła jego powaga w sprawie prawowiernej Maryi Teresy przeciw heretyckiemu królowi. Przy uroczystej więc sumie, w sam dzień Bożego Narodzenia, poświęcił papież miecz z bogatą pochwą i pendentem, czapkę aksamitną czerwoną z gro-

nostajową obwódką, i perłowego gołąbka, godło boskiego Parakleta, i posłał to wszystko z wielkiemi ceremoniami marszałkowi Daun, zwycięzcy z pod Kollina i Hochkirch. Dawniejszemi czasy często dawali papieże rycerzom Wiary taki dowód swojej łaski; przed sześcioma wiekami zrobił Urban II zaszczyt taki Godfrydowi de Bouillon; podobny zaszczyt dostał Alba za zniszczenie Niderlandzkich wolności, i Sobieski za oswobodzenie Wiednia. Ale dary takie, które w XI wieku z największą czcią przyjmował Baron świętego Grobu, które w wieku XVII nie straciły jeszcze zupełnie wartości swej i uroku, musiały wydać się śmiesznemi do najwyższego stopnia pokoleniu, które czytało Voltaira i Monteskiusza. Fryderyk napisał sarkastyczne wiersze na dar, na obdarowanego, i na dawcę, ale zbyteczną było rzeczą pobudzać publiczność do śmiechu, bo sam z siebie podniósł się jeden wielki śmiech od Petersburga do Lizbony, i przypomniał Watykanowi, że czas wojen Krzyżowych przeszedł już dawno i na zawsze.

Zaczęła się teraz kampania czwarta, najnieszczęśliwsza z całej tej strasznej wojny. Saksonia pełna była Austryaków, którzy zagrażali samemu nawet Berlinowi; Moskale pobili jenerałów Fryderyka nad Odrą, grozili Szlązkowi, połączyli się z Laudonem i oszańcowali się silnie pod Kunersdorf. Fryderyk napadł na nich nie czekając. Wypadła wielka bitwa; do połowy dnia wszystko cofało się przed natarczywością Prusaków i sztuką ich wodza; wzięto połowę dział moskiewskich, przełamano ich szyki, król wyprawił do Berlina gońca z wiadomością o zupełnem zwycięztwie, gdy tymczasem zacięci Moskale, pobici ale nie złamani na duchu, zajęli niezdobyte prawie stanowisko na pagórku, na którym Żydzi Frankfurccy grzebali swoich umarłych. Bitwa zaczęła się na nowo. Wojsko pruskie zmordowane sześciugodzinną walką pod skwarem zwrotnikowego prawie słońca, szło kilkakrotnie do ataku, ale napróżno. Król sam osobiście trzy razy prowadził je do szturmu, padło pod nim dwa konie, wokoło niego wszyscy bez mała oficerowie sztabu, w płaszczu miał kilka kul; wszystko napróżno.

Piechota jego po straszliwej rzezi musiała się cofnąć, postrach padł na żołnierzy, a w tej samej chwili dzielna jazda Laudona, świeża zupełnie, wpadła na zachwiane szeregi. Zaczęła się powszechna rozsypka. Fryderyk sam omal nie wpadł w ręce zwycięzców; uratował go dzielny jeden oficer, który na czele garstki huzarów, zrobił chwilową dywersyę. Złamany na siłach i na umyśle dopadł król na noc do jakiejś wioski zrabowanej przez Kozaków, i tam w spustoszonym i opuszczonym jakimś folwarku rzucił się na słomę. Ztamtąd to posłał drugą depeszę do Berlina, odmienną nieco od pierwszej: »Królewska »rodzina ma opuścić miasto; archiwa przewieźć do Potsdamu; »miasto może układać się z nieprzyjacielem.«

Klęska ta była istotnie okropna. Z pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy rano jeszcze szli razem pod znakiem czarnego orła, nie zostało się razem ani trzy tysiące. Królowi znowu przyszedł na myśl ów zabójczy sublimat; napisał on do przyjaciół z pożegnaniem i poczynił pewne rozporządzenia na przypadek swej śmierci. »Nic mi już nie pozostaje« pisał w jednym z tych listów — »wszystko stracone. Ja nie przeżyję upadku mojego kraju. Żegnam was na zawsze.«

Ale wzajemna zazdrość nie dozwoliła sprzymierzonym korzystać ze zwycięztwa. Kilka dni zmitrężyli oni na zwadach i zwłokach, a kilka dni użytych przez Fryderyka, znaczyło więcej niż kilka lat w ręku innych ludzi. Nazajutrz po bitwie zebrał ośmnaście tysięcy swoich rozbitków, a w krótkim czasie urosła ta siła do trzydziestu tysięcy; z poblizkich fortec sprowadzono działa, i stanęło wojsko na nowo. Berlin jak na teraz był bezpiecznym, ale pomimo to klęski waliły się na króla jedna po drugiej. Jeden z jego jenerałów ze znacznym oddziałem dostał się do niewoli pod Maxen, inny dał się pobić pod Meissen, a kiedy w środku srogiej zimy skończyła się kampania roku 1759, położenie Prus zdawało się rozpaczliwem. Jedyną pociechą i nadzieją była ta okoliczność, że Ferdynandowi Brunświckiemu wiodło się lepiej jak królowi, i że

szeregiem zwycięztw, między któremi najświetniejsze odniósł pod Minden, usunął wszelkie ze strony Francyi niebezpieczeństwo.

Zaczynał się rok piąty. Zdawało się niepodobieństwem, żeby ziemie Pruskie, pustoszone tylokrotnie przez krocie najezdzców, mogły dalej wojnę prowadzić. Ale król prowadził wojnę tak, jak nie prowadził jej żaden nigdy rząd w Europie, z wyjątkiem chyba Komitetu Bezpieczeństwa, kiedy Rewolucya francuzka walczyła na śmierć lub życie. Rządził on swojem królestwem tak jak oblężonem miastem, nie pytając ani o zniszczenie własności, ani o zawieszenie wszystkich spraw potocznego i społecznego życia, byle tylko opierać się dalej nieprzyjacielowi. Dopóki był w Prusiech choćby jeden człowiek, ten jeden musiał dźwigać karabin; dopóki był w Prusiech choć jeden koń, ten koń musiał ciągnąć armaty. Bił złą monetę, nie płacił urzędników cywilnych, w niektórych prowincyach nie było wcale żadnego rządu, ale był jeszcze chleb żytni i ziemniaki, był ołów, był proch, a dopóki to było, dopóki miał jakie takie środki utrzymania i odbierania życia, dopóty postanowił Fryderyk bić się do ostatka.

Pierwsza połowa kampanii roku 1760 niepomyślnie dla niego wypadła. Nieprzyjaciel Berlin zajął po raz drugi, na mieszkańców nałożył wielkie kontrybucye i splądrował pałac królewski.

W końcu jednak, po dwóch latach klęsk nieustannych, wróciło zwycięztwo do sztandarów Fryderyka. Pod Lignicą wygrał on wielką bitwę nad Laudonem, pod Torgau, po zaciętej walce, pobił Dauna. Przeszedł rok piąty, a wypadek wojny był zawsze jeszcze w zawieszeniu. W krajach nawiedzonych wojną, nędza i wyniszczenie straszniejsze były jak kiedykolwiek, ale byli jeszcze zawsze ludzie, były bydlęta, była broń i żywność, Fryderyk więc bił się dalej. Był on teraz naprawdę doprowadzonym do wściekłości; serce jego jątrzyło się nienawiścią. Nieubłagana zawziętość nieprzyjaciół, którą sam niegodziwą swoją chciwością był wywołał, budziła w nim pragnienie zemsty, którego nawet ukryć nie próbował. »Ciężko to dla

»człowieka« — pisze w jednym ze swoich listów — »znosić to »co ja znoszę. Zaczynam rozumieć co mówią Włosi, że zemsta »jest rozkoszą Bogów. Przeciwność i cierpienie przemogły moją »filozofię. Nie jestem takim świętym jak ci, o których się czyta »w legendach, i umrę szczęśliwy, jeżeli zdołam przedtem zadać »choć część tego bolu, jaki mnie samego dręczy.«

Takiemi ożywiony uczuciami, walczył z różnem szczęściem, ale z tą samą zawsze chwałą przez rok 1761. Wszystko razem wziąwszy, wypadek tej kampanii nie był dla Prus szczęśliwym. Nieprzyjaciel nie odniósł wprawdzie ani jednego wielkiego zwycięztwa, ale pomimo wszystkich rozpaczliwych skoków szczutego tygrysa, koło obławników coraz to bliżej go opasywało. Laudon ubiegł ważną twierdzę Świdzińską, a z nią wpadło w ręce Austryaków panowanie nad połową Szlązka i nad najważniejszemi przesmykami w górach. Moskale przemogli jenerałów królewskich na Pomorzu, a kraj wyniszczony już był do tego stopnia, że Fryderyk, jak sam wyznaje, z rozpaczą zaczął oglądać się dokoła, nie wiedząc zkąd wziąć jeszcze zapasów, koni i ludzi.

I w tej to właśnie chwili zaszły dwa wypadki, które zmieniły wszystkie niemal wzajemne stosunki państw europejskich. Jednym z nich było wyjście Pitta z ministeryum, drugim była śmierć carowej Elżbiety.

Zdawało się, że dymisya Pitta stanie się hasłem ostatecznej zguby Brandenburskiego domu. Umysł jego wyniosły i namiętny nie zdolnym był niczego coby wyglądało na strach lub na zdradę. Oświadczył on, że jak długo on przy władzy, Anglia nie zawrze takiego pokoju jak w Utrechcie, i nie odstąpi dla samolubnych widoków sprzymierzeńca, choćby nawet w najostateczniejszej nędzy. Wojna kontynentalna była jego dziełem. Miał on odwagę, on, który dawniej z nieporównaną siłą wymowy powstawał przeciw Hannowerskiej polityce Cartereta i posiłkom ks. Newcastle, oświadczyć, że Hanower winien tak nam być drogim, jak Hampshire, i że podbije Amerykę w Niemczech. Teraz on upadł, a władza jaką sprawował

nie zawsze może w należnych granicach, ale zawsze gienialnie i silnie, dostała się w ręce zausznika, przedstawiciela partyi Torysów, tej partyi, która wiecznie stawała w drodze Wilhelmowi, która prześladowała księcia Marlborough, która wydała Katalończyków na zemstę Filipa V. Zawrzeć pokój z Francyą, wyrwać się tak śpiesznie jak tylko pozwalała przyzwoitość, lub jeszcze śpieszniej, ze wszystkich kontynentalnych przymierzów i zamieszek, było jednym z głównych celów nowego ministra. Polityka taka natchnęła Fryderyka niesprawiedliwą ale gorzką nienawiścią do Anglii, i wydała skutki, które do dziś dnia jeszcze ciążą na Europie. Ta to polityka była powodem, że w ostatecznej swej potrzebie nie mogła Anglia znaleść na całym kontynencie ani jednego sprzymierzeńca przeciwko domowi Burbonów; ta polityka winna, że Fryderyk zrażony do Anglii, w późniejszych swoich latach złączył się ściśle z Moskwą, i że pomagał do tej wielkiej zbrodni, płodnej rodzicielki mnogich innych zbrodni, do pierwszego Rozbioru Polski.

Zaledwo atoli dymissya Pitta pozbawiła Prusy jedynego przyjaciela, kiedy śmierć Elżbiety sprowadziła zupełny zwrot w polityce Północy. Siostrzeniec carowej, wielki książę Piotr, który po niej nastąpił, nie tylko wolnym był zupełnie od jej uprzedzeń do Fryderyka, ale był fanatycznym czcicielem i niewolniczym naśladowcą wielkiego króla. Rządy nowego cara były krótkie i złe, ale wystarczały na to, by wpłynąć stanowczo na stan całego Chrześcijaństwa. Jeńców pruskich wypuścił on na wolność, ubrał ich przystojnie i odesłał królowi; wojska swoje odwołał z krajów, które Elżbieta wcielić chciała do swego państwa, i uwolnił od przysięgi wszystkich pruskich poddanych, którzy carowej musieli byli przysięgać na wierność.

A nie dość na tem, że zawarł pokój pod korzystnemi dla Prus warunkami, ubiegał się on jeszcze o stopień w służbie pruskiej, ubierał się w pruski mundur, nosił zawsze Czarnego Orła na piersiach, gotował się odwiedzić Prusy dla spotkania przedmiotu swojej czci bałwochwalczej, i posłał zaraz

pietnaście tysięcy ludzi na wzmocnienie skołatanego wojska pruskiego. Tak wspomożony, naprawił Fryderyk rychło zeszłoroczne klęski, odebrał Szlązk na nowo, pobił Dauna pod Burkersdorf, obległ i odebrał Świdnicę, i z końcem roku stawił naprzeciw Maryi Teresie siły tak groźne, jak przed swojemi wielkiemi klęskami w roku 1759. Przyjaciel jego car Piotr, który niezliczonemi szaleństwami gwałt zadawał instytucyom, obyczajom i uczuciom swoich poddanych, oburzył ich tak przeciwko sobie i swoim rządom, że jeszcze przed końcem tej kampanii został złożonym z tronu i zamordowanym. Carowa, która teraz pod imieniem Katarzyny II objęła najwyższą władzę, w początkach swojego panowania nie chyliła się wcale na stronę Fryderyka i odwołała swoje wojska z pod jego rozkazów. Mimo to jednak dochowywała ona zawartego przez męża pokoju, wskutku czego nie groziło Prusom żadne od Wschodu niebezpieczeństwo.

W tej samej chwili Francya i Anglia pogodziły się z sobą, i zawarły pokój, mocą którego zobowiązały się obiedwie do neutralności w wojnie niemieckiej. Tym sposobem z obu stron rozwiązały się koalicye, a pozostali tylko w zapasach pierwotni nieprzyjaciele, Austrya i Prusy.

Austrya miała niezawodnie o wiele większe środki jak Prusy, i mniej była od nich wycieńczona wojną; niepodobieństwem było atoli, żeby sama jedna zrobiła to, czego nie mogła zrobić z pomocą Francyi z jednej, a Moskwy z drugiej strony. Oprócz tego, z innej jeszcze strony grozić zaczęło niebezpieczeństwo cesarskiemu domowi. Porta Ottomańska znowu zaczęła podnosić głowę, postawiła sto tysięczne wojsko na granicy węgierskiej. Dumny i mściwy umysł Maryi Teresy musiał w końcu ustąpić, i pokój Hubertsburski zakończył w Lutym roku 1763 tę walkę, która niszczyła Niemcy przez lat siedm. Fryderyk nic nie ustąpił. Siła całej Europy nie zdołała wydrzeć Szlązka z żelaznych jego szponów.

Wojna się skończyła, Fryderyk ocalał; chwale jego nawet zazdrość nic ująć nie mogła. Jeżeli nie dokonał on podbojów

tak wielkich jak Aleksander, Cezar lub Napoleon, jeżeli na polu bitwy nie był tak stale i niezmiennie szczęśliwym jak Marlborough lub Wellington, to za to największy w historyi dał przykład tego, co może zdolność i stałość przeciw największej nawet sile i największej zawziętości losu. Po sześciu latach nieobecności odprawił on wjazd do Berlina; miasto było wspaniale oświetlone, a kiedy z księciem Brunświckim po boku przejeżdżał król w otwartym powozie, lud witał go głośnemi okrzykami uwielbienia i błogosławieństwa. Wzruszony temi oznakami przywiązania, odpowiadał Fryderyk kilkakrotnie okrzykiem »Niech żyje mój lud, niech żyją moje dzieci!« Ale nawet wśród tego radosnego widoku spotykały go wszędzie ślady zniszczenia i upadku. Stolica kilka razy była zrabowaną, ludność zmalała znacznie, a w porównaniu z całem niemal królestwem, Berlin mało jeszcze ucierpiał. Upadek majątków prywatnych, nędza wszystkich warstw społeczeństwa były takie, że najstalszy umysł mógł wobec nich stracić odwagę. Każda niemal prowincya była z kolei teatrem wojny, i to wojny prowadzonej z niemiłosiernem okrucieństwem. Chmury Kroatów uwijały się były po Szlązku, na Brandenburgię i Pomorze spuszczono krocie Kozaków, a same kontrybucye nałożone przez zwycięzców dochodziły, jak mówiono, do stu milionów talarów; to zaś co wycisnęli mniej jeszcze wynosiło, niż to co zniszczyli. Pola leżały odłogiem; z głodu nie zostawiono nawet na zasiew; głód, i z głodu powstałe zarazy zmiotły do szczętu stada i trzody, a do tego jeszcze należało się obawiać, by za straszliwą tą wojną nie przyszła jaka zaraza na ludzi. Domów spalonych do gruntu było około pietnastu tysięcy; ludność całego królestwa zmniejszyła się przez tych lat siedem o ogromny procent dziesięciu na sto; szósta część zdatnej pod broń ludności męzkiej została na pobojowiskach, a w niektórych okolicach, nawet w czasie żniwa same tylko kobiety pracowały w polu. W innych znowu dreszcz przejmował podróżnego, kiedy przejeżdżał przez wymarłe osady, w których ani jednej żywej duszy nie zostało. Moneta była zła, powaga praw

i urzędników zawieszona, cały system społeczny był zachwiany. Bo w ciągu tej konwulsyjnej walki, gdzie nie było wojskowej surowości, tam była zupełna anarchia. Samo nawet wojsko było w nieładzie. Poległo kilku niepospolitych jenerałów i mnóstwo doskonałych oficerów, którzy się zastąpić nie dali. Pod koniec wojny tak już trudno było o rekruta, że niepodobieństwem było przebierać lub odrzucać. Składano całe bataliony z samych zbiegów i więźniów; i trudno było się spodziewać, żeby trzydzieści lat pokoju i pracy naprawić mogło, co zrobiło siedem lat spustoszenia i rzezi. Jedna tylko zostawała pocieszająca okoliczność: nie było długów. Ciężary wojenne były niezmierne, nie do zniesienia, ale po wojnie nie zostało za to żadnych zaległości, któreby obciążały skarb na czas pokoju.

W tem miejscu jak na teraz, wypada nam stanąć. Doprowadziliśmy Fryderyka do końca jego wojowniczego zawodu. Jeśli Pamiętniki niniejsze zostaną kiedy uzupełnione, to i my może podejmiemy na nowo studyum jego charakteru i opiszemy jaką była jego domowa i zagraniczna polityka, jakiemi jego domowe zwyczaje w ciągu długich lat pokoju, jakie nastały po wojnie Siedmioletniej.

BERTRAND BARÈRE.

(*Mémoires de Bertrand Barère; publiés par M. M. Hippolite Carnot Membre de la Chambre des Députés, et David d'Angers, membre de l'Institut: précedés d'une notice historique par H. Carnot.* 4 tomes. Paris 1843).

Książka ta z wielu względów zasługuje na uwagę.

Człowiek, który brał udział znamienity w wielkich wypadkach, a który pokrzywdzonym się mniema, odwołuje się w niej uroczyście do sądu potomnych od doraźnego i uprzedzonego wyroku współczesnych. Takiej skargi zawsześmy wysłuchać gotowi. Nie masz obowiązku, którybyśmy spełnić mogli wedle sił naszych, z większym pożytkiem dla społeczeństwa, z większem dla własnego uczucia zaspokojeniem, jak wymierzyć sprawiedliwość spotwarzonym i prześladowanym dobroczyńcom ludzkości. I dlatego wzięliśmy zaraz pod rozwagę tę obszerną obronę Bertranda Barère. Doszliśmy wreszcie do pewnego o nim zdania, i zamierzamy teraz, przy Bożej pomocy, wyrządzić mu zupełną i świetną sprawiedliwość.

Trzeba wiedzieć, że pokrzywdzony nie sam jeden staje w tej sprawie przed sądem. Prowadzi go przed kratki publicznej opinii dwóch obrońców, wysokie i zaszczytne zajmujących stanowisko. Jednym jest pan Dawid d'Angers, znakomity rzeźbiarz, członek Instytutu, i, jeżeli dobrze wiemy, ulubiony uczeń choć nie krewny, malarza tegoż nazwiska. Drugim, któremu zawdzięczamy biograficzną przedmowę, jest pan Hipolit Carnot, członek Izby Deputowanych i syn słynnego dyrektora [1]).

[1]) Ojciec dzisiejszego Prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej.

Według tych panów, Barère choć nie był bez winy, był przecież człowiekiem, dobrze zasłużonym a niesłusznie osławionym; był człowiekiem któremu, jeżeli zważymy siłę okoliczności i słabość ludzkiej natury, przyznamy, wszystko razem wziąwszy, zupełne prawo do ludzkiego szacunku. Rzeczą będzie publiczności, osądzić, po wysłuchaniu stron obu, czy wydawcy, zasłaniając Barèra swojemi imionami, podnieśli jego imię, czy też swoje poniżyli.

Otwierając rzeczoną książkę, nie byliśmy, ile wiemy pod wpływem żadnego uprzedzenia, któreby sąd nasz mogło było skrzywić. Zdawna wprawdzie mieliśmy najgorsze o onym człowieku wyobrażenie, ale żadna namiętność ani żaden wzgląd osobisty nie przywiązywał nas do tego zdania. Niechęć nasza była wyrozumowaną i rozsądną — rozsądek i rozumowanie mogły ją pokonać. Spodziewaliśmy się nawet, że Pamiętniki te, choć w pewnej części oczyszczą imię Barèra. Wiedzieliśmy, że żadną miarą nie mógł okazać się niewinnym wszystkich zbrodni o jakie go oskarżono, i sami jego wydawcy przyznają, że tego nie dokazał. Ale wydawało nam się prawdopodobnem, że odeprze niektóre z ciężkich zarzutów, a że inne, z których uniewinnićbyśmy go przecież nie mogli, znacznie przynajmniej wytłomaczyć i osłabić zdoła. Do surowości nie byliśmy skłonni. Przyznajemy zupełnie, że takie pokusy, na jakie narażeni byli członkowie Konwencyi i Komitetu Bezpieczeństwa, są ciężką próbą dla niezłomnej nawet cnoty. Zaprawdę, zwykliśmy zawsze patrzeć z pobłażaniem (zbytecznem według niektórych surowych moralistów), na błędy, w które popaść może umysł dzielny i szlachetny, porwany walką, uniesiony zapałem, otumaniony osobistym pociągiem, lub olśniony źle zrozumianą gorliwością o dobro publiczne.

Z takiem uczuciem czytaliśmy tę książkę i porównywaliśmy ją z tem, co mówią inne źródła o wypadkach, w których Barère grał rolę. Winniśmy teraz wypowiedzieć zdanie, do którego nas badanie to doprowadziło.

A zdanie nasze jest, że Barère zbliżał się bardziej niż jakakolwiek inna postać, historyczna czy zmyślona, szatan czy

człowiek, do ideału doskonałej i skończonej niegodziwości. Te wady, które wywoływać zwykły oburzenie i zgrozę, i te które wywołują wzgardę i odrazę, układają się w nim do zupełnej równowagi, do pięknej harmonii. W każdej niemal szczególnej gałęzi zepsucia, miał współzawodników, to prawda. Zmysłowość jego nie znała granic, ale wada ta wspólną mu jest z niejedną wielką i uroczą postacią. Było wielu ludzi równie jak on tchórzliwych, byli równie okrutni, zdarzali się niekiedy równie podli i równie bezwstydni. Być może nawet, że byli i równi jemu kłamcy, choć o nich aniśmy czytali kiedy ani słyszeli. Ale jeżeli to wszystko razem złożymy, lubieżność, tchórzostwo, podłość, bezczelność, fałsz i okrucieństwo, to utworzy się całość, którą w powieści potępilibyśmy jako karykaturę, a której, twierdzić możemy, nie znajdzie równej sobie w historyi.

Mierzyć podług surowej skali człowieka w położeniu Barera, byłoby, przynajmniej, bardzo niesprawiedliwie. Nie popełniliśmy też tej niesprawiedliwości. Sąd o nim wyrobiliśmy sobie, porównywując go nie z ludźmi stanu nieposzlakowanego charakteru, jak kanclerz d'Aguesseau [1]), Washington, Wilberforce [2]) lub hrabia Grey [3]), ale z jego własnymi współbraćmi, członkami Góry. Stronnictwo to mieściło w sobie wielu ludzi najgorszych jacy kiedykolwiek być mogli, ale w niem nawet nie znajdujemy nic tak złego jak Barère. Obok niego Fouché wydaje się uczciwym, Billaud ludzkim, a sam nawet Hebert ledwie że nie nabiera godności. Pan Carnot mówi, że każdy inny naczelnik stronnictwa znalazł obrońców: jedni wynoszą Żyrondistów, drudzy bronią Dantona, są którzy ubóstwiają

[1]) D'Aguesseau, kanclerz (Henryk), ur. 1668, zmarły 1751.

[2]) Wilberforce, William, ur. 1759, um. 1833 r., przyjaciel Pitta, członek parlamentu. Pierwszy wniósł (1787) sprawę zniesienia handlu niewolników i doprowadził ją do szczęśliwego końca.

[3]) Lord Grey, Karol, ur. 1714, um. 1845. Kilkakrotnie członek rządu, jeden z głównych sprawców emancypacyi katolików (1829) i reformy wyborczej (1832).

Robespierra — Barère tylko jeden nie ma nikogo, ktoby się za nim ujął. Ośmielamy się wytłómaczyć ten fenomen sposobem bardzo prostym. Wszyscy inni przywódzcy stronnictw mieli niejakie dobre przymioty, Barère nie miał żadnych. Zdolności, odwaga, miłość ojczyzny i ludzkość Żyrondistów, przeważają o wiele to co znaleźć można błędnego w ich czynach, i powinny były zasłonić ich przed zniewagą zestawienia z czemś takiem jak Barère. Danton i Robespierre byli źli w istocie, ale w jednym i drugim zostały pewne strony duszy niezepsute. Danton był dzielny i śmiały, gonił wprawdzie za rozkoszą, za zaszczytem, za władzą, namiętności miał gwałtowne a zasady słabe, ale miał także pewne uczucia męzkie i poczciwe; zdolny do wielkich zbrodni, zdolnym był także litości i przyjaźni. Rzecz prosta, że dla tych przymiotów zawsze znajdzie wielbicieli między ludźmi zuchwałego i sangwinicznego usposobienia. Robespierre był próżny, zazdrosny, podejrzliwy, serce miał twarde, nerwy słabe, a temperament ponury; ale nie można zaprzeczyć, że w powszedniem słowa znaczeniu, nie myślał o sobie, że jego życie prywatne nie było gorszącem, że wreszcie szczerze był przejęty swoim politycznem i moralnem wyznaniem i szczerze dla niego gorliwym. Znowu rzecz prosta, że dla tych przymiotów może znaleźć wielbicieli z uczciwych, lecz żółciowych i cierpkich demokratów. Jeżeli żadne stronnictwo nie wzięło czci Barèra pod swoją obronę, to przyczyna jest prosta: Barère nie miał ani jednej cnoty, nie miał nawet ani jednej cnoty pozoru.

Co prawda, to że z natury, ile dziś sądzić można, nie był skłonnym do okrucieństwa; ale okoliczność ta, zdaniem naszem, powiększa tylko jego winę. Zdarzają się niekiedy nieszczęśliwi ludzie, z natury, fizycznie niejako usposobieni do ponurych namiętności, ludzie którzy zamiast krwi żółć mają w żyłach, a którym cierpkie słowa i srogie uczynki tak są wrodzone, jak złemu brytanowi warczenie i kąsanie. Przyjść na świat z taką okropną chorobą umysłu, to większe nieszczęście, niż urodzić się ślepym lub głuchym. Człowiek z takiem uspo-

sobieniem, jeżeli je zdoła podbić i tak przełamać, żeby po ludzku i sprawiedliwie obchodzić się z podwładnymi, wydaje nam się godnym uwielbienia. Zdarzały się przykłady takiej mocy nad sobą, i można je policzyć do najświetniejszych tryumfów religii i filozofii. A przeciwnie, człowiek obdarzony od natury błogosławioną łaską łagodnego usposobienia, jeżeli stopniowo dochodzi do tego, że może bliźniego skazywać na nieszczęście naprzód obojętnie, potem z przyjemnością, nareszcie z ohydną rozkoszą, taki człowiek słusznie może być uważanym za dziwotwór zepsucia, a takim człowiekiem był Barère. Historya jego postępów w przewrotności jest bardzo nauczająca. Słabość, tchórzostwo, zmienność, były mu wrodzone; najlepszym przymiotem jaki mu natura dała, było łagodne usposobienie. Prawda, że nie są to materyały bardzo obiecujące, ale głębokie uczucia pobożności i honoru zrobiły nieraz bohaterów i męczenników z materyałów nie więcej obiecujących. Surowe zasady są często dla słabych umysłów tem, czem są bandaże i sznurówki dla ciał słabych. Ale Barère nie miał wcale zasad. Charakterowi jego zbywało zarówno na wrodzonej jak na wyrobionej tęgości. Ani w życiu, ani w książkach nie napotkaliśmy nigdy umysłu tak chwiejnego, tak zupełnie pozbawionego stałości — tak niezdolnego do zdań niepodległych i rzetelnych przekonań umysłu, któryby tak łatwo wrażenia przyjmował i tak łatwo się ich pozbywał. Był on jak te pnące rośliny, które zawsze muszą się czegoś uczepić, a jak tylko usunąć im podporę, bezwładnie opadają na ziemię. On tak nie mógł w żadnej sprawie stać prosto i o własnej sile, jak bluszcz nie może rozróść się w dęba, jak nie może dzikie wino wystrzelić w górę jak cedr na Libanie. Bardzo być może, że taki człowiek pod dobrym kierunkiem i przy pomyślnych okolicznościach, byłby się bez wstydu prześliznął przez życie. Ale to czółno nie stworzone do morza, które na spokojnych nawet wodach byłoby może poszło na dno przez własną spróchniałość, spuszczono na rozhukany ocean, i na burze których całe flotty silnych statków wytrzymać nie mogły. Najsłabsza,

najbardziej służalcza z ludzkich istot, dostała nagle rolę w Rewolucyi, która całym światem zatrzęsła. Zrazu pod wpływem ludzi dobrych i umiarkowanych, przemawiał Barère językiem ludzkości i umiarkowania. Ale niebawem wpadł w otoczenie ludzi gwałtownych i gotowych na wszystko, których żadne niebezpieczeństwo nie odstraszało, żaden skrupuł nie krępował. Musiał wybierać, czy zostanie ich ofiarą czy wspólnikiem. Nie namyślał się długo. Pokosztował krwi, i nie uczuł odrazy — pokosztował znowu, i zasmakowała mu. Okrucieństwo stało się u niego zrazu zwyczajem, potem namiętnością, w końcu szaleństwem. Upadek jego był tak nagły i tak zupełny, że kiedy przed kilkoma miesiącami uchodził za dobrego człowieka, w kilka miesięcy później tak się przerobił, że mógł patrzeć na rozpacz i nędzę ludzi z dziką radością przypominającą tych szatanów, których Dante widział strzegących stawu z wrzącej smoły. W zbrodni miał wielu wspólników, ale odszczególniał się między nimi tem, że w morderstwach rozkoszował jak na Bacchanaliach; upajał się krwią niewinną i szlachetną, mordował ze śmiechem i z okrzykiem radości, a wśród rzezi dziwne wykrzykiwał pieśni i w dziwnych zataczał się tańcach. Potem nastała zmiana nagła i gwałtowna, zdmuchnęła nędznika ze szczytu władzy i wtrąciła go w bezdeń upadku i hańby. Wstrząśnienie to wytrzeźwiło go odrazu; szum jego ohydnego upojenia ucichł; ale już był wtedy tak bez ratunku zepsutym, że nawet szkoła nieszczęścia zamiast zatrzymać, pchnęła go tylko dalej na drodze podłości. Władza wyrobiła w nim srogie skłonności, o jakie przedtem niktby go nie był posądził; ubóstwo i nieszczęście rozwinęły w nim wady inne, nie tak może okropne, lecz więcej nikczemne. Napełniwszy cały świat odgłosem zbrodni popełnionych rzekomo w obronie wolności, stał się teraz najpodlejszym ze sług despotyzmu. Nie łatwo jest oznaczyć i ustanowić hierarchię między jego wadami, ale, wszystko razem wziąwszy, zdaje nam się, że jego podłość była czemś jeszcze rzadszem i jeszcze osobliwszem, jak jego okrucieństwo.

Dawno już mieliśmy takie wyobrażenie o charakterze Barèra, ale, aż do przeczytania tych Pamiętników trzymaliśmy się tego zdania oględnie i z niedowierzaniem, jak przystało sędziemu, który tylko jednej strony wysłuchał. Sprawa zdawała się trudną, obrona nieraz niepodobną, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, co obwiniony może na swoją korzyść przytoczyć. Niepohopni brać ludzi za aniołów światła, ani też za aniołów ciemności, nie mogliśmy opędzić się podejrzeniu, że występki jego były przesadzone. To podejrzenie ustało. Obronę mamy teraz przed sobą; jest ona dziełem czterdziestu lat i zawiera cztery tomy. Przypuścić, że nie odpiera wszystkich zarzutów, które tylko odpartemi być mogą, byłoby niedorzecznością. I wieleż tedy odparł tych zarzutów? Ani jednego. Największą część oskarżeń pomija zupełnie; wynika samo z siebie, że co do tych wyrok musi wypaść przeciw niemu, zaocznie.

Nic mniej zajmującego, nic bardziej jałowego, jak jego sprawozdanie z wielkich przejść, w które był wplątany. Nic nam nie powié nowego o postępowaniu Komitetu Bezpieczeństwa; ale za to, na pociechę, rozpowiada długo i szeroko o rzeczach zaszłych, zanim on jeszcze wypłynął na wierzch, i o takich które się zdarzyły, kiedy dawno napowrót zanurzył się był w ciemnościach. Gdybyż jeszcze tylko tyle. Ale zaledwo przestanie pisać o bagatelach, zaczyna pisać kłamstwa, i jakie kłamstwa! Kto nie był nigdy pod zwrotnikami, nie zna co to burza i pioruny; kto nie widział Niagary nie ma dostatecznego pojęcia wodospadu, a kto nie czytał Pamiętników Barèra, nie wié co to znaczy kłamać. Między rozlicznemi klasami, które składają wielki *Genus* kłamstwa, *Mendacium Vasconicum* czyli kłamstwo Gaskońskie, przez wiele wieków szczególnie było cenione jako osobliwie dokładne i osobliwie bezczelne; *species* zaś najświetniejsza jaką *Mendacia Vasconica* poszczycić się mogą, stanowi niezaprzeczenie *Mendacium Barrerianum*. Jest to istotnie przepyszna odmiana, zaćmiewająca zupełnie wszystkie *Mendacia*, jakie dotychczas najbardziej były poszukiwane. Naprawdę zdaje nam się, że Pan Hipolit Carnot

grubo tu pobłądził. Nie możemy przypuścić, żeby był mniej od nas oczytanym w Historyi Konwencyi, skoro ta historya tak żywo musi go obchodzić, nie tylko jako Francuza, ale jeszcze jako syna. Musi zatem wiedzieć doskonale, że Barère pisze o najważniejszych rzeczach fałsze takie, jakichby się wstydził Dorante Corneill'a, Scapin Molier'a i Monsieur de Crac Collin d'Harlevill'a [1]). Nie myślimy wcale czynić Pana Carnot odpowiedzialnym za kłamstwa Barèra. Ale Pan Carnot układał te Pamiętniki, wydał je na świat z pochwalną przedmową, ogłosił je za dokumenta wielkiej historycznej wartości, i ozdobił przypisami. Tak czyniąc, sądzimy, przyjął pewne obowiązki, których zdaje się nie dostrzegać wcale; nie powinien był pozwolić, aby potworne zmyślenia wychodziły na świat pod zasłoną jego nazwiska, bez odsyłacza nawet, któryby mógł przestrzedz czytelnika.

Przestaniemy na dwóch przykładach rozmyślnego kłamstwa Barèra; przytoczymy jego opowiadanie o śmierci Maryi Antoniny i o śmierci Żyrondistów. O śmierci Maryi Antoniny mówi co następuje: »Robespierre wniósł z kolei, aby wysłać »na wygnanie członków rodziny Capetów, i aby wytoczyć śledz»two przeciw Maryi Antoninie przed Trybunałem Rewolucyj»nym. Byłby lepiej zrobił, gdyby był radził nad sposobami »naprawienia porażek naszych w Belgii, i nad położeniem tamy »postępom nieprzyjaciół Rewolucyi na Zachodzie.« Vol. II, p. 312. Otóż, co do tego, wiadomo jest powszechnie, że Marya Antonina stawiona była przed Trybunałem nie na poduszczenie Robespierra, ale wręcz przeciw jego woli. Przytoczymy na dowód jedno tylko świadectwo, ale stanowcze. Bonaparte, który nie miał, nie mógł mieć żadnego powodu zatajenia prawdy, który miał najlepszą sposobność poznania prawdy, i którego wreszcie, po ożenieniu z arcyksiężniczką, żywo mogły obchodzić losy blizkiej krewnej jego żony, Bonaparte stanowczo twierdził, że Robespierre opierał się śledztwu królowej. Któż

[1]) Collin d'Harleville, autor komedyi, ur. 1755, um. 1806.

więc? Kto naprawdę wniósł wygnanie rodziny Capetów i śledztwo przeciw Maryi Antoninie? Wiadomość dokładną znaleźć można w Monitorze. Pokazuje się tedy z tych sprawozdań współczesnych i urzędowych, że na dniu 1 Sierpnia 1793 r., mowca jeden, wysłany przez komitet publicznego Bezpieczeństwa, miał przed Konwencyą mowę długą i wypracowaną. Zapytywał w tej mowie gwałtownie i namiętnie, jak się to dziać mogło, że nieprzyjaciele Rzeczypospolitej jeszcze mogli robić sobie nadzieję wygranej. »Czy nie dlatego się to dzieje« wołał, »że za długo przepominaliśmy o zbrodniach Austryaczki? Czy »nie dlatego, że tak niepojęte okazujemy pobłażanie dla ple»mienia naszych dawnych tyranów? Czas już aby się skończyła »ta nieroztropna niedbałość — czas wydrzeć z gruntu Rzeczy»pospolitej ostatnie korzenie królewskości. Dzieci spiskowca »Ludwika niech zostaną zakładem w ręku Rzeczypospolitej. »Koszta ich utrzymania niech się ograniczą na tem, co jest »koniecznie potrzebnem do wyżywienia dwojga osób. Skarb »publiczny nie może dłużej być trwonionym na istoty, które »niegdyś uchodziły za uprzywilejowane. Ale po za niemi zacza»jona czyha kobieta, przyczyna wszystkich nieszczęść Francyi, »kobieta, której udział w każdym zamiarze uknowanym prze»ciw Rewolucyi, od dawna wszystkim wiadomy. Sprawiedli»wość narodowa ma prawa do tej kobiety, i tych praw się »domaga. Stawia ją przed trybunał wyznaczony do śledze»nia sprzysiężonych. Tylko tym jednym sposobem, tylko jeżeli »ugodzicie śmiało w Austryaczkę, tylko wtedy zrozumié Fran»ciszek, Jerzy, Karol i Wilhelm, jakie występki popełniły ich »wojska i ich ministrowie.« Mowca zakończył wnioskiem: aby Maryę Antoninę stawiono przed sądem, a w tym celu aby ją przeniesiono do więzienia Conciergerie — i, ażeby wszyscy członkowie rodziny Capetów, z wyjątkiem dwojga dzieci Ludwika i tych, którzy należeli już do publicznej sprawiedliwości, wygnani byli z granic francuzkich. Wniosek przeszedł bez dyskusyi.

Któż teraz był owym mowcą, kto powiedział tę mowę, kto postawił ten wniosek? Nie kto inny, jak sam Barère.

Widoczna jest zatem, że swoją własną podłą niegodziwość i barbarzyństwo przypisuje innemu, który, jakiekolwiek mogą być jego zbrodnie, w tej sprawie był niewinnym. Pozostaje nam tylko rozstrzygnąć pytanie, czy Barèra pamięć zawiodła, czy też skłamał z zamiarem i świadomością.

Jesteśmy przekonani, że skłamał z zamiarem i świadomością. Wydawcy jego świadczą, że pamięć miał bardzo dobrą; w istocie pamięć ta musiałaby była być bardzo słabą, gdyby takiego jak ten faktu nie była zatrzymała. To prawda, że liczba morderstw do których się przyczynił była tak ogromna, że łatwo mogło mu się jedno z drugiem pomieszać — że mógł zapomnieć jaką część codziennej hekatomby on sam posłał na śmierć, a jaką jego koledzy. Ale z dwóch powodów niepodobna uwierzyć, żeby udział jaki miał w śmierci Maryi Antoniny, uszedł był jego pamięci. Była ona jedną z pierwszych jego ofiar, i była jedną z najznakomitszych. Najzatwardzialszy zbójca pamięta, kiedy przelał krew po raz pierwszy, a wdowa Ludwika nie była powszednią ofiarą. Gdyby było chodziło o jaką biedną szwaczkę zarżniętą za to, że gdzieś pod strychem ukryła brata, któremu się wymknęło słówko przeciw klubowi Jakobinów — gdyby chodziło o starą zakonnicę powleczoną na śmierć za to, że mruczała na paciorkach różańce, lub odbywała inne jakieś praktyki, które fanatycznemi nazywano — gdyby chodziło tylko o to, pamięć mogła była zawieść Barèra. Żądać od niego żeby pamiętał wielu ludzi zamordował, byłoby również nierozsądnem, jak żądać, żeby pamiętał ile razy zażył tabaki. Ale, chociaż Barère zabił ludzi na setki — zabił przecież tylko jednę królowę; a to, że on, jakiś tam prawnik z prowincyi, który nie dawno jeszcze byłby sobie miał za największy zaszczyt jedno spojrzenie córki tylu Cezarów, że mógł ją teraz nazywać Austryjaczką, przerzucać z więzienia do więzienia, i wydać w ręce oprawcy, to było niezawodnie wielkim w jego życiu wypadkiem. Czy miał powód się tem szczycić, czy wstydzić, to kwestya, w której się nie zga-

dzamy z wydawcami Pamiętników — ale na to przecież, sądzimy, muszą się oni zgodzić, że nie mógł tego zdarzenia zapomnieć.

I dla tego z wszelką i zupełną pewnością oskarżamy Barèra o rozmyślne napisanie fałszu — i twierdzimy śmiało, że nigdy, w żadnem z historycznych badań jakieśmy robić mogli, nie napadliśmy na kłamstwo tak zuchwałe, z wyjątkiem chyba tylko tego kłamstwa, o którem teraz powiemy.

Barère mówi ze słusznem oburzeniem o śledztwie przeciw Żyrondystom. Nazywa je okropną niesprawiedliwością spełnioną na Prawodawcach Rzeczypospolitej; ubolewa, że ludzi tak znakomitych, że posłów narodu którym wrócić należało krzesła w konwencyi, posłano na rusztowanie jak zdrajców. Dzień ten, mówi, był dniem żałoby dla Francyi; wytrzebił Reprezentancyę narodu, i zgwałcił świętą zasadę nietykalności posłów. — Protestuje, że jest niewinnym tej zbrodni. »Miałem cierpliwość« pisze »przejść wszystkie numera Monitora i wypisać wszystkie »oskarżenia, wszystkie zarzuty przeciw deputowanym, wszystkie »dekreta uwięzienia deputowanych i wytoczenia im procesu. »Mojego nazwiska nikt tam nie znajdzie. Ja nigdy nie oskarżyłem »żadnego z moich kolegów, nigdy nie wnosiłem na ukaranie »żadnego — na żadnego nigdy nie żądałem sądu.« Vol. II, 407.

Otóż, my twierdzimy, że to kłamstwo. Twierdzimy, że Barère był przywódcą Konwencyi w postępowaniu przeciw Żyrondystom; twierdzimy, że 28 Lipca 1793 zrobił wniosek, aby wytoczyć śledztwo przeciw dziewięciu z nich, a szesnastu innych skazać na śmierć bez żadnego śledztwa. Twierdzimy, że kiedy oskarżonych stawiono przed sądem i kiedy powstała niejaka obawa, aby wymowa ich nie zrobiła wrażenia na Trybunał rewolucyjny, Barère 8-go Brumaira zrobił wniosek, mocą którego Trybunał mógłby wydać wyrok nie słuchając obrony. A na świadectwo prawdy tego wszystkiego co twierdzimy, odwołujemy się do tego samego *Monitora*, na którego Barère śmiał się powołać [1]).

[1]) *Monitor* z 31 Lipca 1793 r. z Nonidi pierwszej Dekady Brumaira roku II.

Co sobie myślał pan Hipolit Carnot, kiedy wydając tę książkę, i wiedząc, nie wiedzieć nie mógł, że ona takie mieści fałsze i kłamstwa, opisywał ją jako bardzo cenne źródło do naszej historycznej wiadomości, to przechodzi nasze pojęcie. Jeżeli się ktoś nie wstydzi prawić kłamstw o zdarzeniach, które się działy wobec tysiąca świadków, które są opisane w książkach powszechnie znanych i każdemu przystępnych, jeżeli ktoś o tych nie wstydzi się kłamać, jakżeż mu wierzyć, jak mówi o rzeczach, które się działy po kątach? Żaden historyk jeżeli się nie zechce sam na śmiech wystawić, nie przytoczy nigdy samej jednej powagi Barèra jako dostatecznej do rozświecenia jakiegokolwiek faktu; a jedną rzeczą na którą ta książka, ile dostrzedz możemy, rzuca jakieś światło, jest nieograniczona nikczemność autora.

Tyle o rzetelności i historycznej prawdzie Pamiętników. Sądzone ze stanowiska wartości literackiej, są poniżej krytyki. Są tak czcze, tak krzykliwe i przesadne, jak wymowa Barèra w konwencyi — są prócz tego, czem jego wymowa w konwencyi nie była, zupełnie bezbarwne. Poprostu męty i popłuczyny z butelki, która od początku zawierała napój bardzo podejrzanego smaku i zapachu.

Spróbujemy teraz dać czytelnikom rys życia tego człowieka. Jego pamiętników, ma się rozumieć, jak najmniej będziemy brać do pomocy, i zawsze tylko z niedowierzaniem; chyba, że gdzieindziej jeszcze znajdziemy potwierdzenie tego co pamiętniki podają.

Bertrand Barère urodził się w Tarbes w Gaskonii w roku 1755. Ojciec jego był właścicielem małego majątku Vieuzac w pięknej dolinie Argelès. Bertrand lubił nazywać się i być nazywanym Barère de Vieuzac; bo sądził, że z pomocą tego feudalnego przyrostku do nazwiska będzie mógł uchodzić za człowieka dobrego towarzystwa. Uczył się prawa w Tuluzie, siedlisku jednego ze słynniejszych francuzkich parlamentów, praktykował jako adwokat z wielkiem powodzeniem, i pisał kilka urywków, które posyłał wszystkim literackim towarzy-

stwom południowej Francyi. Pomiędzy prowincyonalnemi miastami, odznaczała się jak się zdaje Tuluza wielką liczbą lichych rymopisów i krytyków. Szczyciła się zaś przedewszystkiem szanowną jedną instytucyą, która się nazywała Akademią *des Jeux Floraux*. Korporacya ta miewała co roku wielkie posiedzenia, przedmiot niezmiernego zajęcia dla całego miasta, na których rozdawano złote i srebrne kwiaty w nagrodę za Idylle, Ody, i za coś co miano za wymowę. Nagrody te miały taki sam skutek jak wszystkie nagrody, to jest, kierowały na lichych literatów, ludzi, którzy mogli byli być dobrymi prokuratorami lub pożytecznymi aptekarzami. Barère jak się zdaje nie miał szczęścia i nie dostąpił zaszczytu ani najmniejszego kwiatka, ale jeden z jego utworów wspomniany był z pochwalnem uznaniem. W Montauban za to lepiej mu się poszczęściło. Akademia tego miasta przyznała mu jednę nagrodę za Panegiryk Ludwika XII, w którym wynosił pod niebiosa błogosławione korzyści Monarchii i wierność francuzkiego narodu; drugą za Panegiryk biednego Lefranc de Pompignan [1]), w którym, można można się domyślać, zajadle szarpał filozofię ośmnastego wieku. Później znalazł gdzieś Barère jakiś stary kamień, na którym były wyryte trzy łacińskie słowa, i napisał o nim rozprawę, za którą dostał krzesło w uczonem towarzystwie Tuluzańskiem, zwanem Akademią Nauk, Napisów i pięknej Literatury. Przed taką zasługą same nawet bramy *des Jeux Floraux* otworzyć się wreszcie musiały. W trzydziestym trzecim roku zajął Barère miejsce w tem prześwietnem gronie, i wystąpił z mową inauguracyjną, która się niezmiernie podobała. W pamiętnikach swoich przeprasza za to, że wspomina o tych tryumfach młodzieńczego geniuszu. Co do nas, nie możemy mu brać za złe, że się szeroko rozpisuje o najmniej szkodliwej epoce swego życia. Sadzi się na deklamacye dlatego, żeby zdobyć nagrodę prowincyonalnych akademij, to zaprawdę nie bardzo pożyteczne

[1]) Poeta, członek Akademii, prześladowany przez Voltaira za przekonania katolickie, ur. 1709, um. 1784.

zajęcie, i nie bardzo stósowne dla człowieka, który już miał wąsy i brodę, ale byłoby szczęśliwie, gdyby Barère był się zawsze tem tylko zajmował.

W roku 1785 ożenił się z młodą dziewczyną znacznego majątku. Czy ona zkądinąd miała przymioty potrzebne do szczęśliwego pożycia, o tem nie mamy dokładnych wiadomości. W małem dziełku napisanem w roku 1797, a wydanem pod tytułem *Smętne Karty*, mówi Barère, że ożenił się bez żadnego przekonania, pod naciskiem okoliczności, że stanął przed ołtarzem z sercem obciążonem najsmutniejszemi przeczuciami — że pobladł, gdy wymawiał uroczyste słowa przysięgi, że mimowolnie łzy potoczyły się po jego licach, że jego matka podzielała jego przeczucia, i że, nareszcie, przeczucia te się sprawdziły. »Małżeństwo moje, mówi, »było jednem z najnieszczęśliwszych.« Romansowa ta historya, rozpowiedziana przez tak dowiedzionego kłamcę, nie bardzo nam się wiarogodną zdawała. To też nie zdziwiliśmy się tak bardzo, wyczytawszy w tych samych pamiętnikach, że żona jego była najmilszą z kobiet, i że po sześciu latach pożycia zawsze ją równie pociągającą znajdował. Skarży się wprawdzie, że była zanadto przywiązana do królestwa, do dawnych zabobonów, ale zapewnia, że przez uszanowanie dla jej cnót znosił jej przesądy. Otóż teraz, prosimy nie zapominać, że Barère kiedy się żenił, był sam Royalistą i katolikiem. Jedną nagrodę dostał za to że pochlebiał tronowi, drugą za to że bronił Kościoła. Spory zatem polityczne i religijne nie mogły zatruć jego domowego życia tak zaraz po ślubie, co najwięcej w jakiś czas później.

Nasze zdanie lub raczej domysł jest, że jego żona była istotnie jak sam mówi, dobrą i miłą kobietą, i że przez kilka lat robiła co mogła, żeby go uczynić szczęśliwym. A kiedy okoliczności rozwinęły ukryte jego okrucieństwo, wtedy jak się zdaje, nie mogła już z nim wytrzymać, nie chciała go widywać, i odsyłała jego listy nierozpieczętowane. Wtedy to, sądzimy, wymyślił on ową bajkę o swoich smutnych przeczuciach przy ślubie.

W roku 1788 Barère po raz pierwszy odwiedził Paryż; bywał na przeglądach wojsk, słyszał Laharpa w Lyceum i Condorceta w Akademii Nauk, patrzał na posłów Tippo Saiba, przypatrywał się obiadowi królewskiej rodziny w Wersalu, i prowadził dziennik, w którym spisywał wszystkie swoje przygody i pomysły. Wyjątki z tego dziennika przedrukowane są w dziele o którem mowa, i są bez wątpienia niezmiernie charakterystyczne. Najgorsze przywary autora jeszcze się w nich nie pokazują, ale rodzicielka ich, słabość, przebija się w każdym wierszu. Jego lekkomyślność, niestałość i służalstwo, już pod ten czas były tem, czem je w późniejszych latach widzimy i czem zostały do końca. Wszystkie jego uczucia, wszystkie przekonania kręcą się w kółko jak chorągiewka na wichrze. Wrażenia nawet które mu się udzielają za pośrednictwem zmysłów, i te nawet z każdym dniem się zmieniają. Wierność poddańcza tak go zaślepia, że widząc Ludwika XVI znajduje go pięknym. »Z żywem zajęciem wlepiłem oczy w jego oblicze, które mi się otwartem i szlachetnem wydało.« Kiedy po raz drugi król się ukazuje, już wszystko inaczej. Oczy jego królewskiej Mości nie mają najmniejszego wyrazu; śmiech bezmyślny przypomina idyotów, twarz pospolita, chód i ruchy niezgrabne, powierzchowność wielkiego, ciężkiego, źle wychowanego chłopaka. Tak samo w rzeczach ważniejszych; za Parlamentami w poniedziałek, we wtorek jest Barère przeciw Parlamentom; rano za feudalnością, powstaje na feudalność po południu. Raz wysławia konstytucyą angielską, drugi raz przejmuje go zgroza na myśl, że w walkach z tej konstytucyi zrodzonych barbarzyńscy wyspiarze zamordowali swego króla, i daje pierwszeństwo konstytucyi takiej, jaka była w Béarn. Béarn, powiada, ma piękną, ma wspaniałą konstytucyą. Tam szlachta i duchowieństwo zbierają się w jednej izbie, posłowie gmin w drugiej. Jeżeli izby się nie zgadzają, król ma votum rozstrzygające. W parę tygodni później wpada znowu we wściekłość na tę piękną i wzniosłą konstytucyą. Przypuścić do wła-

dzy prawodawczej reprezentantów szlachty i duchowieństwa, jest to samo, mówi, co przypuścić do niej nieprzyjaciół narodu.

W takim stanie umysłu, bez jednego ustalonego przekonania, bez jednej stałej dążności, niewolnik ostatniego słowa regalista, arystokrata, demokrata, stósownie do tonu kawiarni lub salonu z którego tylko co wyszedł, wstąpił Barère w życie publiczne. Zwołano zebranie Stanów Generalnych. Barère udał się do swojej prowincyi i obrany jednym z reprezentantów Trzeciego stanu, powrócił do Paryża w Maju 1789.

Nadeszła wreszcie wielka, zdawna przepowiadana kryzys. W żadnym kraju, o ile wiemy, wolność intellektualna i polityczna niewola nie istniały obok siebie tak długo, jak we Francyi przez siedmdziesiąt lub ośmdziesiąt lat, które poprzedziły zwołanie stanów. Dawne nadużycia i nowe teorye z równą bujnością kwitły obok siebie. Naród ogołocony z wszelkich prawnych środków postawienia oporu najgorszym nawet rządom, miał za to w nagrodę za ucisk, nieograniczoną wolność nurzania się z rozkoszą w anarchicznych spekulacyach — wolno mu było zaprzeczać lub wyśmiewać wszystkie zasady, na których opierało się państwo i jego instytucye. Zdaje nam się, że tak ci którzy upadek dawnych instytucyj francuzkich przypisują zadawnionym nadużyciom, jak i ci którzy go wywodzą z doktryn ówczesnych filozofów, połowę tylko prawdy obejmują. Były nieraz nadużycia równie nieznośne, a nie sprowadziły rewolucyi; były nieraz doktryny równie śmiałe, a nie sprowadziły rewolucyi. Czy Francuzi zniechęcili się do swoich dawnych ustaw wskutku szaleństw i występków Wezyrów i Sułtanek, którzy ich rabowali i pchali w nędzę, czy wskutku pism Voltaira i Jana Jakóba, to kwestya luźna, do niczego nie prowadząca. Sama jedna żadna z tych przyczyn nie byłaby wystarczyła. Tyrania może się trzymać przez wieki, gdzie nie ma wolnej dyskusyi; wolnej dyskusyi można bezpiecznie zostawić wszelką swobodę, gdzie się rząd trzyma wolnomyślnych zasad. Ale wyobrazić sobie wolną prasę jak w Londynie obok rządu takiego jak w Petersburgu, a nieuniknionym skutkiem

tego połączenia będzie wybuch, od którego się świat zatrzęsie. A tak było we Francyi. Despotyzm i swoboda fatalnym skojarzone związkiem spłodziły tę potężną rewolucyą, nacechowaną podobieństwem obojga rodziców. Długa ciężarność dochodziła do końca, a Europa patrzała napół z nadzieją, pół z trwogą, na śmiertelne boleści tego kolosalnego porodu.

W tłumie prawodawców, którzy z tego powodu ze wszech stron ściągali do Paryża, Barère zajął stanowisko wcale niepoślednie. Przekonania, które w tej chwili wyznawał, były wolnomyślne, ale nie skrajne. Usposobienie miał nie złe, a obejście się przyjemne, przytem niepospolite powierzchowne zalety. Sądząc z wizerunku umieszczonego na początku Pamiętników, na którym jest takim jakim był za czasów Konwencyi, musiał być bardzo pięknym, choć zdaje nam się, że czytamy w tem obliczu tchórzostwo i podłość wyraźnie palcem bożym wypisane. Rozmowę miał łatwą i żywą, układ bardzo dobry jak na prawnika z prowincyi. Kobiety wielkiego świata i nie mniejszego dowcipu, utrzymywały, że on jeden, za przybyciem z dalekiej prowincyi, miał ten nieopisany polor, który, jak mówiono, sam tylko Paryż mógł nadać. Prawda, że wymowa jego wcale nie była tak podziwianą w stolicy, jak niegdyś przez znakomitych akademików w Montauban i Tuluzie. Styl jego uchodził za bardzo zły, i bardzo złym, jeżeli cudzoziemcowi sądzić o tem wolno, pozostał do końca. Nie można jednak bez niesprawiedliwości zaprzeczyć, że miał pewien talent do mówienia i pisania. Wymowa jego, choć zeszpecona wszystkiemi możliwemi błędami smaku, od napuszystości aż do rubaszności, nie była zupełnie pozbawioną żywości i siły. Oprócz tego miał jeszcze jeden przymiot, który w czynnem życiu często daje ludziom czwartego rzędu korzyść nad ludźmi pierwszego rzędu. Co tylko w ogóle mógł powiedzieć lub napisać, to był w stanie zrobić bez żadnego wysilenia, w najobszerniejszych rozmiarach i z jakiegokolwiek stanowiska. Co tylko w ogóle był w stanie powiedzieć lub napisać, to mógł napisać i powiedzieć bez najmniejszego wysilenia i w jak największych rozmiarach.

Z jakiego zaś stanowiska miał się zapatrywać na kwestyę, czego w niej miał dowodzić, co mówić, czy czarno, czy biało, to mu było zupełnie wszystko jedno. Pod tym względem charakter jego umysłu zupełnie odpowiadał charakterowi jego moralnemu. Przy usposobieniu fagasa miał zdolności takie właśnie, które nie pozwalały być sprawnym i użytecznym fagasem. Zupełnie niezdolny myśleć o czemkolwiek poważnie i z celem, z dziwną łatwością umiał układać i wyrażać myśli, których mu kto inny dostarczył.

W Zgromadzeniu Narodowem nie mógł z braku sposobności rozwinąć w całej świetności ani talentów ani wad swoich. Zdolniejsi ludzie zaćmiewali go zupełnie. Szedł z prądem podług swego zwyczaju; przy sposobności czasem mówił z niejakiem powodzeniem i wydawał dziennik zwany *Point du Jour*, w którym zdawał sprawę z posiedzeń Zgromadzenia.

W początkach nie liczył on się wcale do gwałtownych reformatorów. Nie sprzyjał nowemu podziałowi kraju (jednej z najważniejszych zmian wprowadzonych przez Rewolucyę), a nadewszystko nie chciał podziału swojej własnej prowincyi. Zgromadzenie zleciło mu ułożyć sprawozdanie o lasach koronnych. Król Ludwik niezmiernie się troszczył o tę kwestyę lasów, bo jako zapalony myśliwy, byłby wolał obejść się bez veto lub prerogatywy wydawania wojny i zawierania pokoju, niż bez strzelania i konnych polowań. Wyprawiono tedy różnych panów z królewskiego dworu do Barèra, aby się wstawiali do niego za bażantami i jeleniami. Instancya ta nie pozostała bez skutku. Raporta były tak ułożone, że Barèra oskarżono później, jakoby korzyść publiczną poświęcił był upodobaniom dworu. Jednemu z nich z niepojętym brakiem wszelkiego rozsądku i smaku, dał *godło* z Virgiliusza, stósownie co najwięcej do takich rozprawek, jakie zwykł był pisywać dla swoich *Jeux Floraux:*

Si canimus sylvas — sylvae sunt consule dignae.

Literacka fanfaronada i głupie popisywanie się były jedną z niewielu rzeczy, co do których się nie zmieniał. Royalista,

czy Żyrondysta — Imperyalista lub Jakobin, zawsze był Trissotinem [1]).

W miarę jak partya królewska coraz słabszą się stawała, oddalał się od niej Barère, a przysuwał coraz bliżej i bliżej do Republikanów. Zdawałoby się, że w tej epoce przejścia zostawał przez czas jakiś w bliskich stosunkach z familią Orleańską. To pewna, że powierzono mu wychowanie słynnej Pameli [2]) późniejszej żony Lorda Edwarda Fitzgerald, i że głośnem było, że przez lat kilka pobierał z Palais Royal pensyę tysiąca dwóchset franków.

Z końcem Września 1791 ukończyły się prace Zgromadzenia Narodowego, a zebrało się natomiast pierwsze i ostatnie Zgromadzenie Prawodawcze.

Uchwalono, że żaden z członków Zgromadzenia Narodowego nie będzie mógł zasiadać w Zgromadzeniu Prawodawczem; nierozważnej tej i zgubnej uchwale przypisać trzeba znaczną część późniejszych nieszczęść. Cobyśmy w Anglii pomyśleli o Parlamencie, którego żaden członek nigdy jeszcze w Izbie nie zasiadał? A przecież, śmiało twierdzić można, że Anglików uzdolnionych przez wychowanie i życie do pewnego udziału w prawodawstwie, choć nigdy przedtem w Izbach nie zasiadali, jest przynajmniej sto razy tyle, ile było Francuzów tak uzdolnionych w r. 1791. Inaczej być nie może. W Anglii całe wieki systemu reprezentacyjnego sprawiły to, że każdy wykształcony człowiek jest do pewnego stopnia politykiem. We Francyi, Zgromadzenie Narodowe składało się niezawodnie z żywiołów najlepszych jakie tylko znaleźć się dały. Zniosło ono zaprawdę ogromną massę nadużyć; niektórzy jego członkowie wiele bardzo czytali i myśleli o teoryi Rządu — inni

[1]) Śmieszny literat z *Sawantek* Molièra.

[2]) Pamela, chowana na dworze ks. Orleańskiego (Filipa Egalité) uchodziła za jego córkę. Jej mąż Lord Fitz-Gerald, par Irlandzki, zapalony zwolennik rewolucyi francuzkiej. Skazany na śmierć za usiłowane wylądowanie wojsk francuzkich w Irlandyi, umarł przed wykonaniem wyroku 1798.

pokazali wielką zdolność wymowy. Ale wprawy i zręczności potrzebnej do zbudowania, spuszczenia na wodę polityki Państwa, do sterowania tą polityką, tej nie dostawało im zupełnie, bo zręczność tę nabywa się z praktyki nie z książek. Książki są bez wątpienia potrzebne mężowi stanu, tak jak są potrzebne żeglarzowi lub chirurgowi. Ale prawdziwym żeglarzem można zostać tylko na morzu — tylko w klinikach dobrym chirurgiem — a tylko zapasy polityczne jak bywają w wolnych krajach, wyrobić mogą konstytucyjnego męża stanu. Jakkolwiekbądź jednak, Zgromadzenie Narodowe już było przeszło szkołę, terminowało przez dwa lata ciężkie i obfite w wypadki; nie wyrobiło się wprawdzie zupełnie i doskonale, ale nie było, jak w chwili pierwszego zebrania, zupełnie surowem i nieobeznanem z politycznemi robotami.

Późniejsze jego posiedzenia dowodzą dostatecznie, że członkowie wiele skorzystali z doświadczenia. Niema wątpliwości, że w całej Francyi nie było równej liczby ludzi posiadających w równym stopniu przymioty potrzebne do rozumnego kierowania publicznemi sprawami. I w tej właśnie chwili, ci prawodawcy, otumanieni dziecinną chętką popisania się z własnem zaparciem siebie, odbiegali obowiązków, których oni przez pół byli się wyuczyli, których nikt inny nie nauczył się wcale, i ustępowali miejsca drugiemu zastępowi nowicyuszów, którzy dopiero sobie rudimenta spraw politycznych przyswajać musieli. Niedorzeczność tej uchwały i tego zaparcia się siebie stwierdził już skutek, i uznały ją oddawna wszystkie możliwe stronnictwa, kiedy Barère pisał swoje pamiętniki. Toteż, ze zwykłą sobie prawdomównością daje do zrozumienia, że się uchwale owej sprzeciwiał. »Każdy dobry obywatel, mówi, opłakiwać musiał tę fatalną ustawę — co więcej wszyscy ludzie roztropni pragnęli, aby Zgromadzenie Narodowe obradowało nadal jako Zgromadzenie Prawodawcze. Ale nikt nie zważał na przestrogi światłych przyjaciół wolności, i wielkoduszne lecz nieszczęsne samobójstwo dokonanem zostało. W rzeczy samej zaś, faktem jest, że Barère nie tylko się nie sprzeciwiał owemu

wnioskowi, ale był jednym z tych, którzy go najmocniej, najgorliwiej popierali; z trybuny przedstawiał on krok zgubny, jako mądry i wspaniałomyślny; a na usprawiedliwienie swojego zdania przytoczył kilka frazesów, w jakich lubować się zwykli mowcy jemu podobni, a które sprawiają skutek podobny jak Ipekakuana na każdym człowieku choć cokolwiek z polityką obeznanym. »Ci, zawołał, którzy dla swego kraju ułożyli kon»stytucyą, są że tak rzekę, po za obrębem stanu społecznego »który stworzyli — bo siła twórcza nie może znajdować się »w jednej sferze z siłą przez siebie stworzoną.«

Pan Hipolit Carnot dostrzegł ten fałsz w Pamiętnikach, i złożył go na karb zapomnienia; powinienby nas objaśnić, jak się to litościwe przypuszczenie da pogodzić z doskonałą pamięcią Barèra, o której mówi na innem miejscu.

Dobrowolne zrzeczenie się władzy prawodawczej wynagrodzono wielu członkom Zgromadzenia Narodowego znakomitemi stanowiskami w innych gałęziach służby publicznej. Z liczby takich szczęśliwych był i Barère. Ustanowiono właśnie co tylko wielki sąd apellacyjny; sąd ten zasiadać miał w Paryżu, ale władza jego rozciągać się miała na całe królestwo; sędziów zaś wybierały Departamenta. Barère wybrany przez Departament Wyższych Pyreneów zajął krzesło w Palais de Justice. Około tego to czasu, utrzymuje Barère, a czytelnik może mu wierzyć jeżeli chce, noszono się z myślą powierzenia mu Wydziału spraw wewnętrznych w Ministeryum, ale on, aby uniknąć tak ciężkiej odpowiedzialności, postarał się o urlop i odwiedził rodzinne swoje strony. Tyle w tem wszystkiem pewnego, że z początkiem roku 1792 opuścił był Paryż i przez kilka miesięcy bawił na południu.

W ciągu zaś tego czasu okazało się jawnie, że konstytucya roku 1791 się nie utrzyma. I w istocie, nie można było sobie pochlebiać, żeby konstytucya zupełnie nowa tak co do zasad, jak co do szczegółowych postanowień, dała się odrazu we wszystkiem zastósować i przeprowadzić. Gdyby nawet pierwszy urzędnik posiadał był zupełne zaufanie narodu, gdyby

był obowiązki swoje wypełniał z największą gorliwością, zdolnością i wiernością, gdyby Reprezentacya narodu składała się była z samych co najmędrszych polityków, jeszcze i wtedy trudności byłyby prawdopodobnie były nie do przezwyciężenia. Ale tak nie było; przeciwnie, próba konstytucyjnego systemu odbywała się pod najnieszczęśliwemi warunkami. Król, rzecz bardzo naturalna, nienawidził konstytucyi; w Zgromadzeniu prawodawczem zasiadało wielu ludzi genialnych, jeszcze więcej ludzi najlepszych zamiarów, ale nie zasiadał ani jeden człowiek doświadczony. Pomimo tego jeszcze, gdyby Francya, zostawiona sama sobie, mogła była sama sprawy swoje załatwić bez wmieszania się obcych, możeby była zdołała uniknąć klęsk które się na nią zwaliły. Król, który przy wielu dobrych przymiotach był gnuśny i lubił dobrze żyć, byłby się pocieszył po stracie swoich prerogatyw swoją ogromną listą cywilną, swoimi pałacami, polowaniami, wieczerzami, perigorskiemi pasztetami i szampańskiem winem. Naród, zabezpieczony co do posiadania ważnych reform i instytucyj, uchwalonych przez Zgromadzenie Narodowe, nie łatwo byłby się dał porwać demagogom do czynów krwawych i okrutnych; a gdyby nawet czyny takie były się pojawiły, to prawdopodobnie byłyby sprowadziły rychłą i stanowczą reakcyą. Gdyby choć kilka lat jakiego takiego spokoju, Konstytucya roku 1791 może byłaby mogła zapuścić korzenie, wzmódz się stopniowo w siłę, którą czas tylko nadaje, i, ze zmianami jakieby się potrzebnemi były okazały, może byłaby dotrwała aż do naszych czasów. Koalicya całej Europy przeciw Rewolucyi uniemożebniła taki obrót rzeczy. Złożenie Ludwika z tronu było, zdaniem naszem, koniecznem następstwem tej koalicyi. Wobec niej nie o to już chodziło, czy król mieć będzie veto absolutne czy zawieszające, nie o to, czy będą dwie Izby czy jedna, nie o to, czy posłowie będą mogli być powtórnie wybieranymi lub nie, ale chodziło o to, czy Francya będzie należeć do Francuzów. Chodziło o całość granic i o niepodległość narodu. Wyznajemy otwarcie, że całem sercem pochwalamy tych Francuzów, którzy

w takim stanie rzeczy, podobnie jak niegdyś nasz Blake [1]), postanowili bronić Ojczyzny bądźcobądź, jakikolwiek byłby Rząd w tej Ojczyźnie.

Dla nas jest to zupełnie jasnem, że wojna z koalicyą, była dla Francyi wojną odporną, a zatem słuszną i sprawiedliwą. Nie była też wojną o błahe fraszki, a nieprzyjaciel nie był taki, żeby go lekko można było ważyć. Wypadek tej wojny rozstrzygać miał o najdroższych prawach francuskiego narodu. W pierwszym rzędzie groźnych napastników, stanęły dwa państwa wielkie i wojownicze, z których każde osobno, w ówczesnem położeniu Francyi, uważanem być musiało za strasznego nieprzyjaciela. Rzecz oczywista, że w takich okolicznościach nie mogli Francuzi bez największej nieroztropności, zostawić steru rządów w ręku człowieka, którego przywiązanie do sprawy narodowej było wątpliwem. Ludwik zaś, nie chcemy z tego robić zarzutu jego pamięci, nie był przywiązanym do sprawy narodu. Gdyby był takim, byłby musiał być czemś więcej jak człowiekiem. Władzy najwyższej dostąpił nie przebojem, ale przypadkiem urodzenia, prawem zasadniczych podówczas ustaw królestwa. Sprawował tę władzę, wszystko razem wziąwszy, po ludzku; szczerze pragnął dobra swojego ludu. Z własnego popędu chętnie ustąpił mu tyle, ile każdy inny monarcha byłby ustąpił chyba pod naciskiem. Teraz pokutował za winy nie swoje, za wyniosłość i dumę jednych swoich poprzedników, za rozwiozłość i nikczemność drugich. Zwyciężony, wzięty w niewolę, oprowadzany w tryumfie, oddany był pod straż. Uciekł, został złapanym i przywleczonym napowrót, jak zbiegły galernik do wiosła. Od tego czasu był więźniem stanu; spokój jego przerywały codziennie ustawiczne obelgi i paszkwile. Od kolebki przyzwyczajony do czci i uszanowania, musiał teraz zadawać gwałt swoim uczuciom, wobec ludzi, którzy przed kilkoma miesiącami byli najemnymi pismakami, lub

[1]) Blake, admirał angielski ur. 1599, zmarł 1658; głosował przeciw śmierci Karola I.

prawnikami po małych miasteczkach, a dziś siedzieli przed nim z nakrytemi głowami i przemawiali poufałym tonem równości. Im bardziej przeświadczony był o swoich dobrych zamiarach, tem boleśniej czuć musiał złe, tembardziej z twardego obchodzenia, bez wątpienia nienawidził Rewolucyi — a powołany z urzędu i zmuszony do prowadzenia wojny ze sprzymierzonymi, czyhał tylko, ażali nie dojrzy niemieckich orłów, ażali niemieckiego bębna nie posłyszy. I nie bierzemy mu tego za złe. Ale czyliż możemy brać za złe tym, którzy mieli bronić od cudzoziemców dzieła Zgromadzenia Narodowego, że nie chcieli jego mieć wodzem tej strasznej walki, która rozpocząć się miała. Nie mamy nic do powiedzenia na obronę, ani nawet na wytłomaczenie, grubijaństw, niesprawiedliwości i okrucieństw, których ofiarą stał się król i jego rodzina po wygranej Republikanów. Ale to tylko mówimy, że Francuzom zostawała tylko jedna alternatywa — albo odebrać królowi rządy, albo rzucić broń o ziemię i poddać się cierpliwie pod prawa narzucone przez obcych. Wypadki dziesiątego Sierpnia były koniecznem i nieuniknionem następstwem Pillnitzkiego przymierza. Wzięto szturmem pałac królewski, królewskie gwardye wyrżnięto — króla samego zawieszono w urzędowaniu, a Zgromadzenie Prawodawcze wezwało Naród do wybrania nadzwyczajnej Konwencyi z takiem umocowaniem i z taką władzą, jakiej wymagały okoliczności. Do tej Konwencyi, członkowie Zgromadzenia Narodowego mogli byli być wybieranymi, i Barère został wybranym przez swój rodzinny departament.

Konwencya zebrała się na dniu 23 Września 1792 roku. Pierwsze jej uchwały były jednomyślne. Władza królewska obaloną została przez aklamacyę. Nikt nie powstał przeciw tej zmianie i nikt jej nie motywował; bo nie możemy zaszczycić mianem powodów, frazesów takich, jak że królowie są tem w porządku moralnym, czem są potwory w porządku fizycznym, lub że historya królów jest martyrologią narodów. Rozprawy w tej materyi godne były co najwięcej jakiego klubu studentów; ale uchwały konwencyi były takie właśnie, jakie zdrowa

polityka przyjąć nakazywała. Nie chcemy przez to powiedzieć jakoby Rzeczpospolita jako taka była najlepszą formą rządu, ani też, jakoby była, w zwyczajnych okolicznościach formą rządu najstósowniejszą dla francuzkiego narodu. Naszem zdaniem, najlepszemi rządami jakie kiedykolwiek istniały, bywały ograniczone monarchie, Francya w szczególności, pod żadnym rządem nie była, zdaje nam się tak szczęśliwą i tak wolną, jak właśnie pod ograniczoną monarchią. Pomimo tego jednak, pochwalamy uchwałę Konwencyi, która obaliła władzę królewską. Interwencya państw zagranicznych wywołała przesilenie, które wymagało nadzwyczajnych środków. Tron dziedziczny może być, i sądzimy że jest doskonałą instytucyą dla kraju takiego jak Francya. Maszt także jest bardzo pożyteczną częścią okrętu; a przecież trzeba go zwalić kiedy się okręt waży na bok i przewraca. Jak znowu stanie prosto, może z tymczasowym masztem dobić do portu, a raz w porcie uzupełnić się i naprawić. Ale, jeżeli maszt, choć istotna i konieczna część budowy, miałby w chwili ostatecznego nieszczęścia przeważyć i statek na dno pociągnąć, to go trzeba zwalić. Tak samo, zdarzają się w polityce takie stosunki, że trzeba koniecznie zepsuć i okaleczyć skład i proporcyę rządu, bo inaczej wszystko przepadłoby na zawsze — i w takiem to położeniu znalazła się Konwencya. Pierwszym obowiązkiem każdego Francuza było nie dopuścić, aby Francyą spotkał los Polski — pierwszym obowiązkiem rządu było zupełne poświęcenie dla sprawy narodowej. Ludwik nie miał poświęcenia, a braku jego żadne cnoty domowe ani publiczne zastąpić nie mogły. Jeżeli zaś król miał być złożonym z urzędu, to władza królewska żadną miarą ostać się nie mogła. W ówczesnym stanie umysłów nie można było myśleć o czemś takiem jak Anglicy zrobili w roku 1680, jak zrobili sami Francuzi w roku 1830. Pomysł taki byłby tylko był celem powszechnego pośmiewiska i zgrozy. Żarliwi ludzie wszelkich przekonań byliby się odwrócili od niego ze wstrętem, a któż wtedy nie był żarliwym. Stronnictwa znużone długiemi zapasy, i wychowanie w surowej karności owej szkoły,

która sama jedna tylko może ludzkość wykształcić, często gotowe są nakłonić ucha słowom pośrednika. Ale kiedy stronnictwa są w pierwszej swojej gorącej młodości, kiedy doświadczenia nie mając żadnego, rwą się do czynu, kiedy rozpromienione nadzieją rozpłomienione są zawiścią, wtedy jeżeli im kto stanie na zawadzie, jeżeli się między niemi chce rozeprzeć i próbuje je ukrócić, wtedy wszystkie się godzą, wszystkie razem uderzają na niego pospolu, i z pogardą zmiatają go z drogi. Taki był stan Francyi w roku 1792. Po jednej stronie wielkie imię syna Capetów, trzydziestego trzeciego króla trzeciej dynastyi, po drugiej wielkie imię Rzeczypospolitej — pomiędzy niemi żadnej zgody, żadnego środka, żadnego pośredniego sztandaru. Trzeba było wybierać; a zdaniem naszem ci wybrali najlepiej, którzy pomijając na chwilę względy poboczne, przenieśli niepodległość nad niewolę, ziemię ojczystą nad obóz Koblencki.

Co do obalenia władzy królewskiej i sprężystego prowadzenia wojny, cała Konwencya była zgodna jak jeden człowiek; ale we wszystkich innych kwestyach dzieliła się na dwa wielkie obozy, między któremi leżała przepaść głęboka i szeroka.

Po jednej stronie stali ci posłowie, którzy po dziś dzień od wyborczego swego departamentu zowią się Żyrondystami, a Bryssotistami od jednego z najznakomitszych swoich przywódców. Brissot i Gensonné górowali między nimi dzielnością i zdolnościami; w wymowie parlamentarnej Vergnaud tak przewyższał wszystkich współczesnych Francuzów, że żaden nie mógł się z nim równać. Dziś w obcym kraju, i po upływie pół wieka czasu, czytamy jeszcze jego mowy z uwielbieniem i z żalem. Nikt nigdy, zdaje nam się, nikt nigdy tak szybko nie wzniósł się na taką wysokość krasomówczej doskonałości. Cały jego zawód publiczny trwał tylko dwa lata, i tem właśnie różni się Vergnaud od wielkich mowców angielskich takich jak Fox, Burke, Pitt, Sheridan, Windham i Canning. Czy wiedzielibyśmy co dzisiaj o którymkolwiek z tych sławnych, gdyby był umarł we dwa lata po wejściu do Izby Gmin?

Innej natury siłą wspierał znowu Condorcet stronnictwo Żyrondystów. Publiczność uważała go słusznie za znakomitego matematyka, i za wielkiego, co mniej słusznie, mistrza moralnych i politycznych umiejętności; filozofowie zaś czcili w nim swoją widomą głowę, czcili w nim prawego następcę, prawem duchowej spuścizny i uroczystej adopcyi, swojego zmarłego króla d'Alemberta.

W szeregach zaś tego stronnictwa stali Guadet, Isnard, Buzot; Louvet znany aż nadto jako autor bardzo dowcipnej i bardzo nieobyczajnej powieści, a znany zaszczytniej z wspaniałomyślności, z jaką bronił nieszczęśliwych, i z odwagi z jaką stawiał czoło nikczemnym a potężnym. Dwóch ludzi miernych zdolności, ale wysoko szanowanych dla wielkiej prawości i miłości ojczyzny, Petion i Roland, dodawało imionami swojemi wagi i powagi stronnictwu Żyrondystów.

Pani Roland uczestniczyła w obradach przyjaciół swego męża z męzką odwagą i pomysłem, z niewieścią żywością i wdziękiem. I nawet na blasku wielkiej sławy wojskowej nie zbywało słynnemu stronnictwu; Dumouriez, pogromca obcych najezdników, Dumouriez na szczycie chwały, ulubieniec podówczas narodu, liczył się także do sprzymierzeńców i przyjaciół Żyrondy.

Nie da się zaprzeczyć, że błędy Brissotystów były liczne i nie małe; ale, jeżeli bezstronnie porównamy ich postępowanie z zachowaniem wszystkich innych stronnictw, które w Rewolucyi francuzkiej działały lub cierpiały, musimy przyznać im wyższość nad wszystkiemi i we wszystkiem, prócz jednego tylko względu, ale prócz tego właśnie, który w takich czasach wszystkie inne przeważa. Popierali oni gorliwie wielkie społeczne reformy dokonane przez Zgromadzenie Narodowe i mieli słuszność, bo jakkolwiek reformy te posunięte były za daleko, to przecież były takiem błogosławieństwem, że warto było opłacić je nawet tak straszną ceną, jak ta którą kosztowały. Chcieli oni bronić niepodległości swej ojczyzny przeciw obcej napaści, i mieli słuszność, bo najcięższem z jarzm jest jarzmo

cudzoziemca. Rozumieli, że z Ludwikiem na czele nie mogli z należytą sprężystością walczyć przeciw koalicyi, i dlatego przyczynili się do utworzenia Rzeczypospolitej — i jeszcze mieli słuszność, bo w tej walce na śmierć i życie powierzyć się źle myślącemu, a choćby tylko niepewnemu wodzowi, byłoby było szaleństwem.

Aż do tego punktu szli Żyrondyści z ruchem rewolucyjnym; na tym punkcie stanęli, i zdaniem naszem mieli słuszność że stanęli, jak przedtem mieli słuszność że szli naprzód. W wyjątkowych okolicznościach i dla wielkich celów uczestniczyli w krokach, które sprowadziły wiele dobrego, ale też i wiele złego, bo rozhukały umysły, pomieszały wszystkie wyobrażenia o Rządzie, i zachwiały wszystkie posady prawa i własności. Żyrondyści mieli teraz za obowiązek, podeprzeć to co byli podkopali. Kochali oni wolność, ale wolność połączoną z porządkiem, ze sprawiedliwością, z ludzkością, z cywilizacyą. Byli Republikanami, ale Republikę swoją ozdobić chcieli wszystkiem, co dawnej monarchii dodawało godności i uroku. Roili sobie, że ludzkość, smak, wytworne obyczaje, które w znacznej mierze łagodziły dawną niewolę, dodadzą nowych wdzięków wolności. Ze zgrozą zaś patrzali na zbrodnie spełniane w imię rozumu i filantropii, a straszniejsze od wszystkiego czem się skalać i skrwawić mogły rozbestwione stronnictwa religijne XVI-go wieku. Żądali równie wymownie jak gwałtownie, żeby sprawcy bezprawnych mordów spełnionych tylko co przed zebraniem Konwencyi po paryzkich więzieniach, należytą ponieśli karę; ze słuszną pogardą słuchali obrony tej zbrodni. Przyznawali że ojczyzna była w niebezpieczeństwie, ale przeczyli, aby to mogło usprawiedliwić pogwałcenie wszystkich zasad moralności, na których społeczeństwo stoi. Bronić zaprawdę niepodległości i honoru Francyi, ale zwycięztwami, nie rzeziami ich bronić!

Naprzeciw Żyrondystów stał obóz drugi, obóz, przez długie lata wzgardzony przez cały świat cywilizowany, a dziś (taka to zmienność opinii), znajdujący nietylko obrońców, ale panegirystów. Nie chcemy zaprzeczyć, że niektórzy z Montanjardów

byli szczerymi patryotami, którym chodziło tylko o dobro publiczne; ale najlepsi nawet, jak Carnot lub Cambon, byle tylko dopiąć własnego celu, byli mało i bardzo mało sumienni w wyborze środków. A za plecami tych zapaleńców (fanatyków) tłoczyła się hałastra złożona ze wszystkiego tego, co z brudnych lub złośliwych powodów pragnęło złotych czasów nieograniczonej swawoli.

Przy otwarciu Konwencyi większość trzymała z Żyrondystami, a Barère z większością. W procesie króla jednak, opuścił stronnictwo z którym szedł dotychczas, głosował z Górą, i mówił przeciw oskarżonemu z zaciekłością, jaką niewielu nawet członków Góry popisać się mogło.

Postępowanie Żyrondystów w tej sprawie nie wiele przynosi im zaszczytu. Okrucieństwa, rozumie się zupełnie są niewinni; ale nie można ich uniewinnić z występnego braku odwagi i zręczności. Krwi Ludwika nie pragnęli bynajmniej; przeciwnie gorąco pragnęli go ratować. Ale bali się, czy idąc prosto do celu, nie podadzą w podejrzenie przywiązania swego do Rzeczypospolitej. Chcieli ocalić króla, a dać sobie pozór i wpływ królobójców. I stósownie do tego wytknęli sobie drogę krzywą, która spodziewali się, miała ich doprowadzić do obudwóch celów.

Naprzód, gdy głosowano czy król jest winnym czy niewinnym, głosowali przeciw niemu. Potem wnieśli, aby co do dalszego jego losu, odwołać się do całego ludu; a pobici w tem usiłowaniu ocalenia króla, niechętnie i ze wstydem wotowali na śmierć. I jeszcze raz potem kusili się go ratować, i wnieśli, aby odłożyć wykonanie wyroku. Ta kręta polityka sprawiła skutek łatwy do przewidzenia dla każdego, kto się mieszał do spraw publicznych. Żyrondyści zamiast dopiąć obudwóch celów, chybili oba. Górą zarzucała im nie bez słuszności, że chcieli ocalić króla pokątnemi sposobami, a własne sumienie wyrzucało im, z równą słusznością, że zbroczyli ręce we krwi najdobroduszniejszego i najnieszczęśliwszego z ludzi. Prosta droga, była w tym razie jak zwykle, nietylko najuczciwszą, ale

najbezpieczniejszą. Stronnictwo Żyrondystów wychodziło z tego stanowiska, że czas rewolucyjnych gwałtów powinien się był skończyć, że powinno było zacząć się panowanie prawa i porządku. Ale postępowanie sądowe przeciw królowi było z natury swojej rewolucyjnem, było przeciwnem prawu, a jedynym argumentem na jego obronę było niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej, przed którem ustąpić musiały wszystkie względy i prawidła prawa i moralności. Tym samym argumentem broniła Góra rzezi wrześniowej, a Żyrondyści nie chcieli go słuchać. Teraz, głosując za śmiercią króla, ustępowali w najważniejszej ze wszystkich zasad, o które toczył się spór między oboma stronnictwami. Gdyby byli głosowali odważnie przeciw karze śmierci, królobójcy byliby pozostali w mniejszości. Prawdopodobnie byłoby natenczas przyszło do krwawego starcia, z którego Żyrondyści mogli byli wyjść zwycięzko, a w najgorszym razie bez zmazy. Co pewna, to że wystąpieniem odważnem i uczciwem nie byliby sprowadzili skutków gorszych od tych, które sprowadzili nieśmiałością i wykrętami.

Barère, jak powiedziano, stanął w tej sprawie po stronie Góry. Głosował przeciw odwołaniu się do ludu i przeciw odłożeniu wyroku. W mowach swoich i w całem zachowaniu różnił się też zupełnie od Żyrondystów. Ich serca były ciężkie, a smutek i przygnębienie przebijało się w całem zachowaniu. Do prezydenta należało ogłosić rezultat głosowania. Vergnaud pobladł i drżał, kiedy cichym i drżącym głosem musiał oznajmić, że Ludwik skazanym jest na śmierć. Barère, jeszcze wprawdzie nie posiadał zupełnie sztuki przeplatania wyroków śmierci błazeństwami i konceptami, ale już zapowiadał, że dojdzie do szczytu doskonałości w tej świetnej gałęzi Jakobińskiego krasomówstwa. Mowę swoją zakończył sentencyą godną takiego serca i głowy. »Drzewo wolności, zawołał, »mówi pewien pisarz starożytny, kwitnie tylko, jeżeli je podlewać krwią wszelkiego rodzaju tyranów.« Pan Hipolit Carnot zacytował ten wyjątek, jak rozumiemy, ażeby uczcić swego bohatera. Żałujemy, że żaden przypisek nie objaśnia nas, jakiego to staro-

żytnego pisarza Barère zacytował ten frazes. Nie wiele obeznani z pisarzami greckimi i łacińskimi, nie napotkaliśmy w nich nigdy nic podobnego do drzew wolności i do konewek ogrodniczych napełnionych krwią; a nasza nieznajomość klasycznej starożytności idzie tak daleko, że nie możemy nawet pojąć, jakby Ateńczyk który lub Rzymianin, mógł użyć takiego obrazu. Mówiąc po prostu, Barère kiedy mówił o mniemanym starożytnym pisarzu, kłamał, jak zawsze kłamał, ile razy mówił o wielkich czy małych rzeczach. Dlaczego w tym razie kłamał, tego już odgadnąć nie możemy, chyba dlatego żeby nie wyjść z wprawy.

Być może, że Barère byłby także głosował za odwołaniem do ludu i za odwłoką jak ci, z którymi się dotąd trzymał, gdyby nie jedna okoliczność. Właśnie przed rozpoczęciem śledztwa znalazły się były papiery dowodzące, że jeszcze jako członek Zgromadzenia Narodowego, zostawał był w porozumieniu z dworem w kwestyi lasów koronnych, której był sprawozdawcą. Konwencya uznała go niewinnym; ale zaciekli Republikanie widzieli w nim narzędzie upadłego monarchizmu, i długo powtarzali ten zarzut w dzienniku Marata i w klubie Jakóbinów. Rzecz prosta, że człowiek taki jak Barère, pod takim zarzutem, starał się odznaczyć szczególną srogością w tłumie królobójców. Właśnie dlatego, że był dawniej regalistą, stanął teraz w pierwszym rzędzie tych, którzy pragnęli krwi przelewu.

Nareszcie stracono króla. Żyrondyści postępowaniem swojem w jego sprawie poniżyli się wobec przyjaciół i przeciwników, ale zawsze jeszcze prowadzili walkę z Górą, wołali o pomstę na wrześniowych morderców, i protestowali przeciw krwawym i anarchicznym doktrynom Marata. Czas jakiś zdawało się, że przeważą; jako pisarze i mowcy nie mieli równych w Konwencyi, a mieli za sobą większość nie tylko posłów, ale narodu. Wszystko to powinno było rozstrzygnąć spór na ich korzyść. Ale strona przeciwna miała za to siłę innego rodzaju. Przywódzcy Góry nie odznaczali się ani wielką

wymową, ani wielką nauką, ale za to mieli śmiałość, sprężystość i gotowość na wszystko. Konwencya, Francya, były przeciwko nim; ale za nimi był paryzki motłoch, były kluby paryzkie, i paryzki Rząd Municypalny.

Polityka Jakobinów w tej epoce zmierzała do tego, aby Francyę poddać arystokracyi, sto razy gorszej od tej, która wyemigrowała z hrabią d'Artois, arystokracyi nie rodowej, nie pieniężnej, nie umysłowej, ale czysto miejscowej. O uprzywilejowanych stanach nie chcieli słyszeć, ale chcieli mieć uprzywilejowane miasto. Nie można było ścierpieć, aby dwadzieścia pięć milionów Francuzów, rządzone było przez sto tysięcy szlachty i duchownych; ale żeby dwadzieścia pięć milionów Francuzów było rządzone przez sto tysięcy Paryżanów, to było w porządku rzeczy. Na to żeby być członkiem tej nowej oligarchii, trzeba było tylko mieszkać niedaleko sali posiedzeń, wcisnąć się codzień w czasie obrad na galeryę i od czasu do czasu stanąć we drzwiach z dzidą i nikogo nie puszczać.

Z zasadami Góry zgadzało się to zupełnie, żeby kilku parobków z browaru Santerr'a, kilku zecerów z drukarni Héberta, zagłuszało ludzi zesłanych dla wypowiedzenia myśli miast takich jak Lyon, Bordeaux lub Marsylia; żeby zgraja pół nagich tragarzy z przedmieścia św. Antoniego miała prawo unieważniać uchwały postanowione za zgodą posłów wszystkich departamentów. Dla tak obmierzłej i głupiej tyranii trzeba było wynaleźć jakiś pretext; wynaleziono nową zbrodnię, i nazwano ją Federalizmem. Do dawnych haseł wolności i równości dodano teraz szumno brzmiące słowa jedności i niepodzielności. Zaczęto wołać, że Żyrondyści chcą rozbić jedność narodową na wielką liczbę niepodległych małych Rzeczypospolitych, połączonych ze sobą na wzór szwajcarskich kantonów lub Stanów północnej Ameryki. Główną zawadą w przeprowadzeniu tego zgubnego zamiaru był Paryż ze swojem ogromnem znaczeniem. Wzmacniać zatem wpływ Paryża i podnosić jego znaczenie, miało być teraz głównem zadaniem i pierwszym obowiązkiem każdego prawego patryoty.

Oskarżenie to rzucone na Żyrondystów było czystą potwarzą. Bez wątpienia pragnęli oni nie dopuścić do tego, aby stolica rządzić miała Rzeczpospolitą, i radziby byli przenieść Konwencyę na czas jakiś do którego z miast prowincyonalnych, lub otoczyć ją strażą pewną i zaufaną, któraby mogła trzymać w karbach motłoch paryzki — ale nie ma najmniejszego powodu posądzać ich o jakiekolwiek zamiary przeciwne jedności Państwa. Ale Barère to co innego; ten był Federalistą, jedynym, zdaje się Federalistą w całej Konwencyi. O ile człowiek tak niestałego i służalczego charakteru może być przywiązanym do jakiejkolwiek formy rządu, o tyle on był przywiązanym do rządu Federalnego. Urodzony u stóp Pyreneów, był Gaskonem najczystszej krwi, kość z kości tego plemienia, różniącego się od Francuzów z nad Sekwany lub Ligiery nietylko usposobieniem moralnem i umysłowem, ale układem, sposobem mówienia, wymową, samem nawet obliczem — nosił na sobie wszystkie odrębne i właściwe cechy tego plemienia. Kiedy po raz pierwszy opuszczał swoją prowincyę, w trzydziestym czwartym roku życia, z wielką miejscową sławą mowcy i pisarza, kiedy po raz pierwszy zajechał do Paryża, znalazł się tam w świecie zupełnie nowym, uczuł się obcym, cudzoziemcem, wygnańcem. Rzecz prosta, że nie mogły go tam ominąć drobne zawody i upokorzenia, jakie tak często znosić muszą literaci, którzy wzbici w dumę powiatowym aplauzem pokazać się zechcą przed wybredną krytyką stolicy. Za to, skoro tylko powracał do swoich stron rodzinnych, widział się znowu przedmiotem powszechnego podziwu. Z tego wynikło, że niechęć do Paryża, a uprzedzenie dla rodzinnej prowincyi były u niego tak silne i stałe, jak tylko mogły być silnemi i stałemi jakiekolwiek uczucia u takiego jak on człowieka. Utrzymywał on przez długie czasy, że przewaga jednego miasta jest zgubą Francyi, że wyższość umysłowa, wyższość smaku, przypisywana mieszkańcom tego miasta, była czczem urojeniem; że nareszcie naród dopóty nie będzie miał prawdziwie dobrego rządu, dopóki Alzacya, Prowancya, Bearn i t. d. nie będą

miały odrębnej niezależnej exystencyi i praw własnych, zastósowanych do swoich zwyczajów i usposobień. Wszystkie te społeczeństwa chciał mieć połączone węzłem podobnym do tego, który wiąże surowych Purytanów z Connecticut z rozwiozłymi dozorcami niewolników z Nowego Orleanu. Paryżowi nie rad był zostawić nawet takiego znaczenia, jakie ma Washington w Stanach Zjednoczonych; a kongres francuzkiej Federacyi nie powinien był podług niego mieć stałego miejsca posiedzeń, ale raczej miałby się przenosić z miejsca na miejsce i zasiadać to w Rouen, to w Bordeaux, to wreszcie w jego rodzinnej Tuluzie.

Takiemi ożywiony uczuciami, był Barère do końca Maja 1793 Żyrondystą, jeżeli nie ultra Żyrondystą. Piorunował na ludzi nieczystych i krwiożerczych, którzy niebezpieczeństwo Ojczyzny użyć chcieli za pozór rabunków i okrucieństw. »Niebezpieczeństwo, mówił, nie może być wymówką dla zbrodni. Kiedy wicher się rozhuka, kiedy się piętrzą bałwany, wtedy największa potrzeba kotwicy. A kiedy rozszaleje się Rewolucya, wtedy najpotrzebniejsze wielkie prawa moralności, bo w nich ratunek i bezpieczeństwo państwa.« O Maracie wyrażał się ze zgrozą i wzgardą; o municypalnych władzach Paryża z zasłużoną surowością. Skarżył się głośno, że niektórzy ludzie Górze oddawali tę cześć, która się należała całej Konwencyi, i jej tylko jednej. Kiedy po raz pierwszy wniesiono, aby ustanowić Trybunał Rewolucyjny, on silnie powstawał przeciwko tej ohydnej instytucyi, podobnie jak Vergnaud i Buzot. »Nie może być, wołał, żeby ludzie prawdziwie przywiązani do wolności, naśladowali najstraszniejsze bezprawia despotyzmu.« Dowiódł Konwencyi z Salustyusza, bez cytacyi obejść się bowiem nie mógł, że takie arbitralne sądy, mogą przez czas jakiś karać winnych, ale muszą koniecznie wyrodzić się w narzędzie prywatnej chciwości i zemsty. Dziesiątego Marca, kiedy najgorsza część ludności Paryzkiej po raz pierwszy bezskutecznie próbowała zgubić Żyrondystów, Barère gwałtownie żądał surowych środków poskromienia i kary. Dru-

giego Kwietnia Jakobini próbowali znowu opanować najwyższą władzę w Rzeczypospolitej, a skoro to doszło do wiadomości Konwencyi, Barère znowu gorąco mówił przeciw tej nowej tyranii, która uciskała Francyę, i oświadczył, że Departamenta nie poddadzą się pod władzę jednego miasta. Co więcej, postawił w tym celu wniosek, aby Konwencya użyła przeciw demagogom stolicy tej samej surowości i sprężystości, jakiej użyła niegdyś przeciw tyranowi Ludwikowi. Wszystkie świadectwa przekonywują, że publicznie jak prywatnie, z największym wstrętem mówił zawsze o Górze.

Ta pozorna gorliwość o sprawę ludzkości i porządku odniosła nagrodę. W początkach Kwietnia nadeszła wiadomość o zdradzie jenerała Dumouriez. Dla Żyrondystów był to cios bardzo ciężki. Zwycięztwa jego rzucały blask na całe stronnictwo, a jego wojsko, mogło było w najgorszym razie obronić posłów narodu od przemocy motłochu. Dziś, Dumouriez był zbiegiem i wygnańcem, a ci, którzy przed chwilą na niego głównie liczyli, musieli zarówno z jego śmiertelnymi nieprzyjaciołmi potępiać jego zdradę. W położeniu tak zatrważającem postanowiono utworzyć Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, i uzbroić go władzą, małą zaiste w porównaniu z tą którą sobie następnie przywłaszczył, ale zawsze wielką i straszną. Partya umiarkowana uważając Barèra za przedstawiciela swoich uczuć i przekonań, wybrała go do Komitetu. Wkrótce umiał stać się użytecznym na tem nowem stanowisku. Nie miał wprawdzie ani wiedzy, ani zdolności męża stanu, ale miał pióro i język, którym nigdy nie brakło na słowach, byle kto inny myśli dostarczył. Umysł jego był tylko drogą komunikacyi pomiędzy umysłami innych ludzi; nic nigdy nie zdołał począć, nic nigdy nie zatrzymał, ale wszystko umiał wyrazić i podać. Stanowisko wyznaczone mu przez kolegów, nie było w gruncie nader ważnem, ale było widocznem i ściągało uwagę całej Europy. Kiedy wnoszono jaką ważną uchwałę, kiedy przyszło zdawać sprawę z jakiego wielkiego wypadku, Barère bywał zwykle mowcą Komitetu.

I dlatego wszyscy ci, którzy byli zdaleka od siedliska Rządu, a przed wszystkimi cudzoziemcy którzy znali Francyę tylko z dzienników, uważali go za naczelnika tej administracyi, której w istocie był tylko sekretarzem i oratorem. Autor Historyi Europejskiej, w naszych własnych rocznych Regestrach (Annual Registers), zdaje się, że także był zupełnie pod złudzeniem.

Spór między dwoma przeciwnemi obozami coraz tymczasem zbliżał się do przesilenia. Usposobienie Paryża stawało się z każdym dniem dzikszem i sroższem. Trzydzieści pięć z czterdziestu ośmiu sekcyj miasta wysłało delegatów, którzy stanąwszy przed kratkami Konwencyi, żądali, żeby Vergniaud, Brissot, Guadet, Gensonné, Barbaroux, Buzot, Petion, Louvet i wielu innych, zostali skazani na wygnanie. Przynajmniej trzy czwarte części Konwencyi sprzeciwiały się temu żądaniu, które po departamentach wywołało powszechny krzyk oburzenia. Miasto Bordeaux oświadczyło, że poprze swoich posłów, i jeżeli będzie potrzeba, mieczem bronić ich będzie przeciw tyranii Paryża. Podobnemi uczuciami ożywiony był Lyon i Marsylia, a objawy takie publicznej opinii dodały ducha większości Konwencyi. Zawotowano podziękowanie dla obywateli Bordeaux za ich patryotyczne oświadczenie, i wyznaczono komisyę z dwunastu członków, która miała wglądnąć w postępowanie władz municypalnych Paryża. Komisya ta miała moc i prawo uwięzić każdego, ktoby należał do jakiegokolwiek spisku przeciw Konwencyi. Uchwałę tę przyjęto na wniosek Barèra.

Nastąpiło kilka dni wielkiego wzburzenia i bolesnej niepewności; a potem przyszedł wybuch. Trzydziestego pierwszego Maja motłoch paryzki powstał; czerniawa zbrojna w piki i dzidy oblegla Tuilerye; większość deputowanych po próżnym oporze uległa przemocy, i Góra przeprowadziła dekret, mocą którego posłowie oskarżeni przez sekcye Paryża, zostali zawieszeni w urzędowaniu i oddani do więzienia.

W ciągu tej walki Barère rzucany był jak piłka tu i tam między dwoma zaciekłemi fakcyami. Uczucia słabe i niestałe

jak zawsze, ciągnęły go ku Żyrondystom, ale siła i determinacya Góry przejmowała go strachem. Raz przemawiał śmiało i dumnie, skarżył się, że Konwencya nie była wolną i protestował przeciw prawomocności uchwał wydanych pod przemocą; drugi raz wnosił, aby uspokoić umysły Paryżanów zniesieniem owej Komisyi Dwunastu, której sam przed kilkoma dniami był twórcą, i ułożył akt potępiający uchwałę przyjętą na jego własny wniosek, a wysławiający gorliwość burzycielów o dobro publiczne. Ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nie bez wstydu czytał ten dokument z tej samej trybuny, z której tylekroć przeciwne głosił przekonania. W niektórych miejscach miał się nawet zarumienić; być może, bo wtedy jeszcze odprawiał dopiero nowicyat infamii.

W kilka dni później wnosił, aby Departamentom posłać zakładników za całość osobistą oskarżonych posłów, i sam ofiarował się za takiego zakładnika. Nie wątpimy bynajmniej w szczerość tej ofiary; byłby się czuł o wiele bezpieczniejszym w Bordeaux lub w Marsylii, jak w Paryżu. Ale wniosek pozostał bez skutku, a wnioskodawca w mocy zwycięzkich Jakobinów.

Teraz nastąpił wielki zwrot w jego życiu. Dotychczas nie zrobił był nic czegoby nie mógł był naprawić i odpokutować; głos jego odzywał się dotychczas za umiarkowanemi środkami. Gdyby był odważnie dzielił los z Żyrondystami, gdyby był z nimi śmierć poniósł, byłby przy nich zajął wcale zaszczytne miejsce w historyi. Gdyby był, jak większa część deputowanych dobrze zresztą myślących lecz nie gotowych na męczeństwo, ugiął się spokojnie pod przemocą tryumfującej mniejszości, i milczkiem, bez oporu, przepuszczał wszystko co wnosił Billaud lub Robespierre, nie byłby się naraził na szczególną sromotę. Ale droga ta, prawdopodobnie była dla niego zamkniętą. Zanadto się odznaczał między przeciwnikami Góry, żeby mógł był dostać pardon bez żadnego zadośćuczynienia. Jeżeli chciał przebaczenia od swoich nowych panów, musiał zostać czemś więcej jak milczącym i biernym niewolnikiem.

Co tam między nimi zaszło potajemnie, to się dziś dokładnie opowiedzieć nie da, ale rezultat wkrótce stał się jawnym. Przekształcono Komitet Publicznego Bezpieczeństwa; w miejsce umiarkowanych polityków weszło do niego kilku najsroższych z pomiędzy zwycięzkiej fakcyi, jak Couthon i Saint Just naprzykład, ale Barère zatrzymał swój wydział w komitecie.

Pobłażanie to wywołało szemranie niektórych surowych i zagorzałych zelotów. Marat, w ostatnich słowach jakie w życiu napisał, w słowach ogłoszonych dopiero kiedy sztylet Karoliny Corday pomścił już był ludzkość i Francyą, żalił się, że powierzono urząd tak ważny i taki wielki udział w administracyi, człowiekowi bez żadnych zasad, człowiekowi, który zawsze stał po stronie mocniejszego, który bywał dawniej regalistą, a był gotów, jak się koło obróci, zostać nim na nowo [1]). Ale naczelnicy Góry sądzili rzeczy zdrowiej. Wiedzieli oni tak dobrze jak Marat, że Barère był człowiekiem bez czci, bez wiary, i bez stałych przekonań; wiedzieli, że jeżeli w polityce w ogóle nachylał się na jaką stronę, to nie nachylał się na ich stronę; że ten rodzaj słabej i chwiejnej skłonności, do której jedynie zdolnym był z natury, miał właśnie do stronnictwa Żyrondystów; i że, gdyby był mógł wybierać, byłby wolał zamordować Dantona i Robespiera niż Vergniauda i Gensonné. O tem wszystkiem wiedzieli. Ale oceniali trafnie tę lekkość, która go czyniła niezdolnym zarówno prawdziwej miłości i prawdziwej nienawiści; i tę nikczemną słabość, która sprawiała, że mieć Pana było dla niego koniecznością. W istocie, to co plantatorowie z Caroliny lub Louisiany mówią o czarnych ludziach z płaskiemi nosami i wełnistym włosem, to zastósowane do Barèra, będzie czystą prawdą. Ciężyło na nim przekleństwo Chanaana; na niewolnika stworzony miał podłość wrodzoną. Popęd który go pędził od stronnictwa powalonego do stronnictwa zwycięzkiego, był tak wszechwładny, tak wrodzony, tak

[1]) *Le Publiciste* 14 Lipca 1793 roku. Marat został zabity 13-go w wieczór.

nieprzezwyciężony, jak ten który ciągnie jaskółki ku słońcu, kiedy nastają ciemne i zimne miesiące. Prawo które go zmuszało być służalcem silniejszych umysłów, było podobne do tego, które każe małym rybkom nie odstępować rekinów.

»Żako? — rzekł raz pewien przebiegły szkocki Lord, zapytany coby myślał o Jakóbie Pierwszym, — czy znasz tę małpę Żako? Jak ja ją trzymam za kark i każę, to Żako ciebie ugryzie; ale jakbyś ty go wziął za kark, a kazał mnie ukąsić, Żako mnie zaraz ukąsi.« Co do słowa takiem stworzeniem był Barère. W ręku Żyrondystów gotówby był skazywać Jakobinów, a w szponach Jakobinów był tak samo gotów skazywać Żyrondystów. Na wierność takiego człowieka przywódzcy Góry oczywiście liczyć nie mogli; ale cenili tę zdobycz tak, jak nader łatwy i niezbyt wybredny kochanek, o którym mówi Congreve w swojej wesołej piosence, cenił sobie zdobycie sprzedajnej istoty innego rodzaju. Barère, zupełnie jak Chloe, był niewierny i był dla każdego, ale był, znowu jak Chloe, stały jak długo posiadany; a więcej też od niego nie żądano. Żądane usługi doskonale mógł oddawać; bez żadnych zdolności czynnego lub teoretycznego męża stanu, z największą łatwością umiał ułożyć sprawozdanie i mówić o każdym przedmiocie z jakiegobądź stanowiska. Byle tylko kto inny dostarczył faktów i myśli, on zawsze gotów był dostarczyć frazesów, i ten talent był na jakiś czas zupełnie na rozkazy jego właścicieli. Nie ściągnął też na siebie gwałtownego gniewu swoich dawnych przeciwników; nie mieli oni więcej nienawiści do niego, jak do koni, które ciągnęły działa księcia Brunświckiego lub Koburgskiego. Te konie robiły tylko to, co z prawa natury było ich powołaniem; gdyby wpadły w ręce Francuzów, ciągnęłyby działa Rzeczypospolitej z takiem samem posłuszeństwem, i dlatego należało nietylko ich oszczędzać, ale dobrze je paść. Tak samo było z Barèrem. Był on z natury czemś tak nizkiem i płaskiem, że wątpiono ażali mógł być celem nieprzyjaźni dla istot obdarzonych rozumem. Jak nie

był przedtem wrogiem, tak dziś nie był przyjacielem; przedtem był tylko kłopotem, a dziś mógł być pomocą.

Naczelnicy Góry przebaczyli wprawdzie temu człowiekowi i przypuścili go do spółki, ale żądali przecież rękojmi, któreby mu nie pozwoliły już nigdy, pomimo jego zmienności i fałszywości, powrócić w szeregi z których zbiegł. Straszliwym Sakramentem stwierdzić kazali apostacie przejście na swoją wiarę. Zażądali od niego, aby wziął na siebie główną rolę w morderstwie dawnych przyjaciół. Odmowa byłaby kosztowała życie; ale cóż życie warte, jeżeli się stanie niczem więcej jak długą agonią zgryzoty i wstydu? Tylko nie można mówić o takich uczuciach, gdy się rozważa postępowanie takiego Barère. Podjął się, wstąpił na trybunę, i powiedział Konwencyi, że czas już raz przecie przyjąć surową postawę sprawiedliwości, i ugodzić we wszystkich zdrajców bez różnicy. Potem wniósł, aby Buzot, Barbaroux, Pétion i trzydziestu innych byli wyjęci z pod prawa, czyli innemi słowami, ścięci bez śledztwa, a żeby Vergnaud, Guadet, Gensonné z sześciu innymi byli oddani pod sąd Konwencyi. Wniosek przeszedł bez dyskusyi.

Widzieliśmy już jak bezczelnie Barère wypiera się w Pamiętnikach jakiegobądź udziału w sprawie Żyrondystów. Zdaniem naszem nie dostawało tylko tego zaparcia do jego zupełnej infamii. Najbezwstydniejsze z kłamstw dobrze przystaje do najhaniebniejszego z morderstw.

Barère przecież przebaczenia jeszcze nie dostąpił. W stronnictwie Jakobinów mieściła się szajka, która nawet tam odszczególniała się podłością, dzikością, i innemi przywarami; szajka tak nikczemna i zajadła, że Robespierre w porównaniu mógłby się nazwać ludzkim i wspaniałomyślnym. Hébert był najlepszym przedstawicielem tych nędzników. Ulubioną jego zabawką było dręczyć i znieważać biedne pozostałe szczątki tego wielkiego domu, który rządził Francyą przez ośm wieków, a teraz zeszedł na przedmiot politowania najbiedniejszego wyrobnika lub wieśniaka. Wpływ tego człowieka i ludzi jemu podobnych sprawił, że Komitet Bezpieczeństwa postanowił

posłać na rusztowanie Marią Antoninę. Barère znowu został zawezwanym do pełnienia swego obowiązku. We cztery dni zaledwo po wniesieniu dekretu przeciw Żyrondystom, wyszedł znowu na trybunę i wniósł, aby królowa stawioną była przed Trybunałem Rewolucyjnym.

W towarzystwie swoich nowych sprzymierzeńców robił szybkie, zadziwiające postępy. Kiedy się dopominał o głowy Żyrondystów, mówił jak człowiek, któremu zostało jeszcze jakieś uczucie własnego występku i spodlenia; mówił nie wiele, i to nie wiele nie było gwałtownem; nie rozwodził się szeroko nad zbrodniami swoich przyjaciół, pozostawiając to Saint Justowi. Ale drugi jego występ w charakterze oskarżyciela był już o wiele świetniejszy. Wołał o krew namiętnym pożądliwym głosem prawdziwego, palącego pragnienia, i zajadał się na Austryaczkę z wściekłością, naturalną tchórzowi, kiedy widzi, że mu wolno znieważać to czego się bał i zazdrościł. Wspomnieliśmy już o bezczelności, z którą w tych Pamiętnikach usiłuje winę swoją zwalić na niewinnych.

Tego samego dnia, kiedy upadłą królowę, na pół już umarłą, zawleczono na śmierć, Barère dawał ucztę dla Robespierra i kilku innych Jakobinów. Ci, którzy znali Robespierra i wiedzieli jak długo i jak zawzięcie śmiał nienawidzieć, dziwili się, że przyjął zaproszenie na ten obiad. »Robespierre także? mruknął Saint Just; »Barère jest jedynym człowiekiem, któremu on przebaczył.« Jeden z gości zostawił opis tej szczególnej uczty. Robespierre potępiał bezrozumną i zwierzęcą zajadłość, z jaką Hébert prowadził proces Austryjaczki, i mówiąc o tem tak się oburzył, że stłukł swój talerz w zapale. Barère zaś utrzymywał, że gilotyna przecięła węzeł dyplomatyczny, który inaczej trudno byłoby było rozplątać, a w przestankach między burgundzkiem a szampańskiem winem, między potrawką z kwiczołów i kuropatwą z truflami, gorliwie głosił zasady swojej nowej wiary politycznej. »Nawa Rewolucyi, mówił, tylko na falach z krwi dopłynąć może do portu. Zacząć

wypadnie od członków Zgromadzenia Narodowego i Prawodaawczego; te śmiecie musimy wymieść najpierwej.

W Konwencyi mówił tak samo jak przy stole. Wyrobił on sobie swój właściwy styl i rodzaj wymowy, nie zupełnie ogołocony z żywości i zręczności, ale taki, który w każdym innym wieku i kraju byłby uchodził za niegodny rozpraw poważnego zgromadzenia a tembardziej urzędowych dokumentów, co najwięcej uszedłby styl taki na meetyngu Stowarzyszenia Protestanckiego w Exeter-Hall, albo na politycznym bankiecie w Irlandyi, w chwili, kiedy już całe zebranie dobrze się rozochociło. Ale za czasów Konwencyi były dawne prawa mówienia i pisania w takiej pogardzie u Francuzów, jak dawny Rząd i dawna Wiara. Poprawny i szlachetny język należał do przeszłości, tak jak etykieta Wersalska lub nabożeństwo w Notre Dame. Tak samo jak rój jednodniowych konstytucyj, demokratycznych, dyrektoryalnych, konsularnych wylągł się z upadku dawnej monarchii, tak samo jak z upadku dawnego Kościoła wylągł się rój nowych zabobonów, cześć bogini Rozumu i błazeństwa Theofilantropów, tak samo, z upadku dawnej francuzkiej wymowy powstały nowomodne oratorskie zwroty, do których zrozumienia potrzeba było nowych gramatyk i słowników. Ten sam duch nowatorstwa, który pozmieniał wszystkie używane dotychczas sposoby mówienia i pozdrowienia, który tysiące Janów i Piotrów przerobił na Scaevolów i Aristogitonów, który wygnał z kalendarza Niedzielę i Poniedziałek, Zwiastowanie i Boże Narodzenie, a wprowadził na ich miejsce Decadi, Primidi, Nivose, Pluviose, święta Opinii i święto Najwyższej Istoty, ten sam duch nowatorstwa poprzekształcał także wszystkie formy urzędowych korespondencyj. W miejsce spokojnego, ostrożnego i sztywnie grzecznego języka, którym Rządy od dawna zwykły były wzajem do siebie przemawiać, nastała teraz gra wyrazów, ossyaniczna przesada i napuszystość, wykrzykniki, słowem Retoryka godna chyba studentów, i rubaszność godna jedynie przekupek. Barère władał lepiej niż ktokolwiek z współczesnych tą frazeologią, która

uchodziła teraz za szczególnie stósowną do sprawozdań i manifestów — to też przez ciąg krótkiego ale gwałtownego rewolucyjnego delirium uchodził za wielkiego mówcę. Lecz skoro paroxyzm ustał, uchodził i uchodzi znowu za to czem był, za człowieka bystrego objęcia i płynnej swady, bez żadnej oryginalności, z bardzo małym zasobem wiadomości, i ze smakiem tak zepsutym, że się chyba tylko do jego własnego serca da porównać. Raporta jego nazywały się podówczas powszechnie Carmagnoles. Przed niedawnym czasem [1]) bylibyśmy się znaleźli w niemałym kłopocie, jak angielskiemu czytelnikowi dać dokładne wyobrażenie o rodzaju urzędowych aktów, które tym wyrazem ochrzczono. Na szczęście ułatwił nam zadanie jeden z bardzo szlachetnych i znakomitych ludzi, który uznaniem ministrów Jej Królewskiej Mości godnym był piastować najważniejszy w państwie urząd. Ktokolwiek czytał proklamacye Lorda Ellenborough, może sobie dziś zrobić dokładne wybrażenie o tem, co to jest Carmagnole.

Wrażenia, jakie mowy Barèra w owym czasie robiły, nie należy kłaść wyłącznie na karb zepsucia smaku w narodzie; mawiał on najczęściej w okazyach, które najgorszemu nawet mowcy byłyby dostarczyły słuchaczów. Jeżeli odniesiono jaką znaczną korzyść na polu bitwy, on zwykle z polecenia Komitetu Bezpieczeństwa obwieszczał szczęśliwą nowinę; sala trzęsła się od oklasków, gdy z depeszami w ręku wstępował na mownicę, a posłowie i publiczność słuchali go z rozkoszą, gdy mówił, że zwycięztwo było na porządku dziennym, że Pitt napróżno roztrwonił gwinee na najem sześć stóp wysokich maszyn dźwigających karabiny, że Tyrteusza by trzeba, by wysławić ucieczkę angielskiej Pantery, że saletra wydobyta z piwnic paryzkich zamieniła się w grom, który to grom zgruchocze bliźnich tytanów, Franciszka i Jerzego.

Postępowało tymczasem śledztwo oskarżonych Żyrondystów uwięzionych w Paryżu. Ludzili się oni przez czas pewien

[1]) Szkic niniejszy po raz pierwszy wyszedł w Kwietniu 1844 r.

próżną nadzieją ratunku. Pokładali niejaką ufność w swej niewinności, niejaką także w swojej wymowie. Sądzili, że sam wstyd wystarczy, aby każdego, choćby najdzikszego, najokrutniejszego, wstrzymać od tak krzyczącej niegodziwości jak skazanie ich na śmierć. Trybunał Rewolucyjny był świeży jeszcze w urzędowaniu i niewprawny; żaden członek Konwencyi nie był dotąd straconym; i mogło istotnie wydawać się prawdopodobnem, że najzaciętszy Jakobin zawahałby się, gdyby mu przyszło być pierwszym do zgwałcenia nietykalności, która miała być przywilejem posłów narodu.

Proces ciągnął się kilka dni. Nędzny Hébert i Chaumette stawali jako oskarżyciele; Gensonné i Brissot bronili się przeciw nim z wielką zdolnością i przytomnością umysłu. Vergnaud po raz ostatni dał słyszeć swój głos wymowny. Z taką siłą dowodów, z taką wzniosłością uczuć bronił sprawy swojej i swoich przyjaciół, że słuchacze podnieśli szmer podziwu i współczucia; a co więcej, sam sąd, ten sąd nawykły brodzić we krwi codziennie, dawał pewne oznaki wzruszenia. Sessya została odłożoną; po mieście gruchnęła pogłoska, że sąd uniewinni oskarżonych, a Jakobini, dyszący zemstą, zebrali się na naradę; Robespierre podjął się być ich organem. Nazajutrz zabrał głos w Konwencyi i wniósł uchwałę tak barbarzyńską, że nawet między uchwałami owego roku trudno dobrać do niej pary. Na mocy tej uchwały, Trybunał miał prawo przerwać obronę oskarżonych, ogłosić sprawę za dostatecznie wyjaśnioną i natychmiast przystąpić do wydania wyroku. Jeden z posłów stawiał słaby opór; natychmiast poskoczył Barère na pomoc i poparł Robespierra; Barère Federalista, Barère twórca tej Komisyi Dwunastu, która głównie przyprawiła Żyrondystów o nienawiść Paryża; Barère ten sam, który w Pamiętnikach wypiera się wszelkiego udziału w ich sprawie; Barère wreszcie, który ma czoło mówić, że kochał i szanował Vergnaud'a! Uchwała przeszła; Trybunał nie dał obwinionym dokończyć tego co mieli jeszcze powiedzieć, i uznał ich winnymi.

Dzień następny był najsmutniejszym w historyi Rewolucyi. Ofiary były tak niewinnne, tak dzielne, tak wymowne, tak wykształcone, tak młode! Byli między nimi wdzięczni i piękni młodzieńcy po lat dwadzieścia sześć i dwadzieścia siedem; Vergnaud i Gensonne mieli mało co nad trzydzieści. Kilkanaście miesięcy zaledwo wmieszani byli do spraw publicznych, a w tym krótkim przeciągu czasu napełnili Europę sławą swego gieniuszu. I mieli zginąć! zginąć za tę jedną zbrodnię tylko, że z wolnością połączyć chcieli ludzkość, porządek i sprawiedliwość. Największą ich wadą był brak odwagi, to jest odwagi politycznej; tej odwagi, która stawia czoło krzykom i potwarzom, a w wielkich niebezpieczeństwach chwyta się śmiałych i stanowczych środków. Że im na innej odwadze nie zbywało, tego niestety dowiedli aż nadto, ponosząc z męzką stałością i pogodą to, nad co tyrani i nędznicy tacy jak Barère i St. Just nic już gorszego zrobić nikomu nie mogą.

Nie byli to jedyni męczennicy dobrej sprawy; z równie bohaterskim umysłem poszła za nimi pani Roland na rusztowanie. Jej mąż schronił się był w bezpiecznem ukryciu, ale nie mógł jej przeżyć; przebitego znaleziono go gdzieś na gościńcu niedaleko Rouen. Condorcet połknął truciznę. Śmiały i bystry Guadet, i Barbaroux, dowódca tych zapaleńców z nad Rodanu, którzy odwagą swoją, w wielkiem zamieszaniu dziesiątego Sierpnia zwrócili prąd walki od Luwru na Tuilerye, w Bordeaux dali głowy pod topór. Na jakiemś polu nad Garonną znaleziono wszystko co wilki zostawiły z Petiona, sławionego niegdyś, nad zasługę, jako wzór republikańskiej cnoty. Dalecy jesteśmy zaprawdę od bezwzględnego uwielbienia dla najlepszych nawet z pomiędzy Żyrondystów; ale historya winna im to zaszczytne świadectwo, że kiedy mieli wolny wybór, czy zechcą zostać ofiarami czy oprawcami, woleli ponieść niesprawiedliwość niż ją wyrządzić.

A teraz, po ich śmierci nastał ten czas dziwny, znany pod nazwiskiem Panowania Terroryzmu. Do Jakobinów, którzy przemogli, należał ten czas, i nastało panowanie ciemności.

Ujarzmiona Konwencya milczeć musiała w najważniejszych sprawach kraju. Władza najwyższa przeszła w ręce Komitetu Bezpieczeństwa, a Reprezentacya Narodu nie śmiała rozkazom jego stawić nawet tego słabego oporu, jaki dawne Parlamenta często stawiały Edyktom królewskim. W tym gabinecie, który teraz rządził Francyą, sześciu ludzi dzierżyło najwyższą władzę: Robespierre, Saint Just, Couthon, Collot, Billaud i Barère.

O niektórych z pomiędzy nich można powiedzieć przynajmniej tyle, że fanatyzm, ktory ich wyzul z wszelkich uczuć sprawiedliwości i ludzkości, wyzwolił ich także z pod panowania chciwości i strachu; że, choć sami często nie wiedzieli zkąd wezmą pięciofrankowy assygnat na zapłacenie obiadu, wydawali przecież z nieposzlakowaną sumiennością ogromne sumy, pościągane rabunkiem wszelkiego rodzaju — że wreszcie, dla swojej sprawy gotowi byli pójść na rusztowanie z taką samą zimną krwią, z jaką podpisywali wyroki śmierci na księży i arystokratów. Ale niepodobna jest, żeby całe wielkie stronnictwo składało się z samych takich materyałów. Jest to prawem ogólnem i nieuniknionem, że zapaleńcy tacy jak ci, gromadzą zawsze koło siebie zgraję nędzników, tchórzów i rozpustników, których dzikie natury i chuci lubieżne, wstrzymywane samą tylko bojaźnią prawa i sądu od najniegodziwszych wybryków, rozpasują się na wszystko, kiedy nie czują kary nad sobą. Każda fakcya, która z jakichbądź powodów zwolni wielkie zasady moralności, może być pewną, że się do niej przyczepi najniemoralniejsza część społeczeństwa. Prawo to po wielekroć zostało stwierdzonem w wojnach religijnych. Wojny Krzyżowe, wojna Albigensów, wojny Hugonotów, wojna Trzydziestoletnia, wszystkie wypłynęły z prawdziwego religijnego zapału. Zapał ten do tego stopnia roznamiętnił rycerzy Kościoła, że wspaniałomyślność względem zwyciężonych wydawała im się grzeszną słabością. Niewiernych, heretyków, należało ścigać na śmierć jak wściekłych psów, a żadna krzywda wyrządzona niewiernemu wrogowi przez katolickiego wojownika, nie mogła zasługiwać na karę. Jak tylko się rozeszło, że dano

w ten sposób wolność nieograniczoną barbarzyństwu i rozpuście, natychmiast zleciało się stadami pod chorągiew wiary tysiące nędzników, którzy o świętą sprawę nie troszczyli się wcale, ale radzi byli wyłamać się z pod porządku spokojnych miast, i z pod rygoru karnych i sfornych obozów. Ludzie, którzy ten sztandar podnieśli, bywali w dobrej wierze, bywali rzetelni, wstrzemięźliwi, o zysk nie dbali, może nawet, gdzie o ich osoby tylko chodziło, skłonni do przebaczenia; ale około ich sztandaru kupiły się zgraje łotrów, rabusiów, gwałcicieli i dzikich zbójów, jakich trudno znaleźć pod chorągwią państw walczących o czysto świeckie sprawy. Bardzo podobny był skład stronnictwa Jakobinów; jądro tworzyli szczerzy fanatycy, na około tego małego jądra skupiona była wielka masa szkaradnego zepsucia: a w całej tej masie, nie było nic tak zepsutego, nic tak szkaradnego, jak Barère.

Nastały dnie, w których najdzikszy z trybunałów rządził i sądził wedle najdzikszego z kodeksów; kiedy nikt nie mógł pozdrowić sąsiada, zmówić pacierza, uczesać włosów, bez posądzenia o zdradę główną; kiedy z każdego kąta czychał szpieg, kiedy gilotyna ciężko pracowała od rana do nocy, kiedy więzienia były napchane jak beczki śledzi, a krew rynsztokami ściekała do Sekwany; kiedy równało się śmierci być wnuczką kapitana gwardyi królewskiej, lub przyrodnim bratem doktora Sorbonny, wyrazić powątpiewanie ażali assygnaty nie spadną, napomknąć że Anglicy zwyciężyli, mieć zamkniętą w stoliku jaką broszurę Burk'a, śmiać się z jakiego Jakobina, że się przezwał Cassiuszem, lub nazwać piętą Sans-Culottidę dawnem zabobonnem mianem dnia świętego Mateusza. A kiedy przez ulice Paryża wieziono codziennie na śmierć całe fury skazanych, Prokonsulowie zesłani do departamentów przez Komitet Bezpieczeństwa opływali i rozpływali się w okrucieństwach tak szalonych, że nawet stolica nic podobnego nie znała. Mieli tyle morderczej roboty, że gilotyna nie wystarczyła, ścinała za pomału; musieli zatem kartaczować całe szeregi uwięzionych — musieli dziurawić i zatapiać całe statki

naładowane ludźmi. Lyon zamienił się w pustynię, w Arras odmawiano skazanym nawet strasznego dobrodziejstwa śpiesznej śmierci. Cała Ligiera, od Saumur aż do morza niosła tysiące nagich trupów z ucztującemi na nich stadami wron i jastrzębi. Nie było litości ani dla płci ani dla wieku. Na setki liczą się młode chłopcy i siedemnastoletnie panienki, wymordowane przez ten rząd ohydny, a wzdłuż Jakobińskich szeregów podawano sobie z piki na pikę od piersi oderwane niemowlęta. Jeden z obrońców wolności miał kieszenie wypchane ludzkiemi uszami, inny czwanił się palcem małego dziecka zatkniętym na kapeluszu. Kilka miesięcy wystarczyło, żeby zniżyć Francyą do rzędu Nowej Zelandyi, i jeszcze niżej.

Niedorzecznością byłoby twierdzić, że system taki da się usprawiedliwić jakiemkolwiek, choćby największem niebezpieczeństwem ojczyzny; nie już według zasad chrześcijańskich, nie według zasad wysokiej moralności, ale nawet według Machiawelowych zasad polityki. Prawdą jest, że wielkie przejścia wymagają czujności i sprężystości; prawdą jest, że usprawiedliwiają surowość, która w zwyczajnych czasach zasługiwałaby na miano srogości. Ale surowość bezrozumna, nigdy w żadnych okolicznościach nie może być pożyteczną. Rzeczą jest jasną, że cała skuteczność kary polega na starannem rozróżnieniu winnych i niewinnych. Wyroki godzące zarówno w winnych i niewinnych bez różnicy, działają jedynie tak, jak dżuma lub klęski elementarne, i nie więcej zdołają przeszkodzić występkom, jak cholera i trzęsienie ziemi. Dzielność, za którą administracya Jakobinów bywa sławioną, była zupełnie taką, jak dzielność Malayczyka, który się oszołomi opium i jak szalony lata z nożem po ulicach, a wywijając tym nożem na prawo i na lewo, trafia przyjaciół i nieprzyjaciół. Nie taką była dzielność prawdziwie wielkich panujących, Elżbiety naprzykład, Oliviera, lub Fryderyka. Nie byli oni skrupulatni; ale gdyby byli takimi jeszcze mniej niż byli w istocie, to sama siła i wielkość ich umysłów byłaby ich uchroniła od zbrodni, jakie ci mali ludzie z Komitetu Bezpieczeństwa brali za śmiałe

kroki polityczne. Wielka królowa, która tak długo obstawała przy swojem, wbrew domowym i zewnętrznym wrogom, wbrew świeckiej i duchownej broni; wielki Protektor, który rządził z władzą więcej niż królewską naprzekór Republikanom i królewskim; wielki król, który z pobitem wojskiem i wyczerpanym skarbem bronił swoich małych posiadłości, przeciw połączonym wysileniom Austryi, Francyi i Rosyi, z jakąż pogardą byliby usłyszeli, że niepodobna jest przejąć niechętnych zbawienną bojaźnią bez posyłania na śmierć studentów i dziewcząt całemi furami i galarami.

Najpowszechniejsze przekonanie o przywódzcach Terrorystów jest, że byli to ludzie źli, ale ludzie wielcy. My nie możemy w nich dopatrzeć nic wielkiego, oprócz ich niegodziwości. Bo błędne jest mniemanie, jakoby ich polityka była nową i ich własną; ich polityka jest tak stara, jak najstarsze podania o złych rządach. Zdawała się ona nową we Francyi i w XVIII wieku dlatego tylko, że oddawna i dla doskonałych powodów, zarzuconą była przez oświeconą część ludzkości. Ale przemagała ona i przemaga zawsze u dzikich i pół dzikich narodów, i jest główną przyczyną, dla której narody te nie robią postępów ku cywilizacyi. Tysiące Bejów, Dejów, Paszów, Rajów i Nabobów okazały się równie wielkimi mistrzami w sztuce rządzenia, jak członkowie Komitetu Bezpieczeństwa. Djezzar [1]), wyobrażamy sobie, był daleko wyższym od nich wszystkich w tem rzemiośle; w istocie niema ani jednego carzyka w Azyi lub Afryce za głupiego lub za mało wykształconego na to, aby być zupełnie uzdolnionym do sprawowania Jakobińskiej polityki lub Jakobińskich finansów. Ścinać ludzi setkami, nie dbając czy są winni czy niewinni, wydzierać od majętnych pieniądze z pomocą stróżów więziennych i oprawców, zdzierać wierzycieli państwa, a potem ścinać im głowy jeżeli się upo-

[1]) Djezzar (przydomek, dany Achmedowi baszy dla wielkiego okrucieństwa, znaczy Rzeźnik). Achmed ur. 1720 um. 1804. Za młodu niewolnik, później mameluk, był baszą Akry, i bronił jej przeciw Bonapartemu.

minają o swoje, chleb zabierać piekarzom przemocą, zabrać jednemu sukno i płótno, drugiemu konie i siodła, i tym sposobem stawiać pułki — to zaiste ze wszystkich sposobów rządzenia najprostszy i najłatwiejszy. O jego godziwości na teraz nic nie powiemy; ale z pewnością nie wymaga on zdolności więcej, niż jej mają dzicy ludzie i dzieci. Takiemi sposobami jak te któreśmy opisali, udało się Komitetowi Bezpieczeństwa wymusić na czas krótki zupełne posłuszeństwo i zebrać ogromne środki pieniężne. Ale posłuszeństwo wymusić rzezią, a pieniądze zebrać grabieżą, to jeszcze nie sztuka rządzenia. Ten tylko jest prawdziwym mężem stanu, kto w burzliwych czasach trzyma w karbach wichrzycieli, a dobrze myślących nie dręczy bez potrzeby; kto w potrzebie wielkich środków pieniężnych umié zadośćuczynić potrzebom bez gwałcenia praw własności, bez osuszenia źródeł przyszłej pomyślności. Taki mąż stanu, wierzymy mocno, mógłby był w roku 1793 ocalić niepodległość Francyi, bez przelania jednej kropli krwi niewinnej, bez zrabowania jednego kupieckiego składu. Nieszczęściem, Rzeczpospolita była rządzona przez ludzi, którzy byli tylko demagogami, nie politykami. Umieli oni deklamować po klubach, umieli prowadzić motłoch do klęsk i nadużyć, ale nie umieli prowadzić spraw wielkiego państwa. Ten niedostatek zastępowali przez czas jakiś okrucieństwem i ślepą gwałtownością. Zamiast zdolności prawodawczej, skarbowej, wojskowej, dyplomatycznej, mieli tylko jedno — gilotynę. Zaprawdę, ich niesłychana niewiadomość, jałowość i niepłodność ich umysłów, to najlepsza wymówka ich łupieztw i rzezi. Nam się zdaje naprawdę, że nie byliby tyle głów ścięli, ani splądrowali tylu kieszeni, gdyby tylko byli wiedzieli, jak rządzić inaczej.

Że pod ich rządami wojna z koalicyą europejską prowadzona była z pomyślnym skutkiem, to prawda. Ale ta wojna prowadzona była równie szczęśliwie przed ich wyniesieniem i po ich upadku. Kiedy Dumouriez wchodził do Brukselli, Terror nie był jeszcze na porządku dziennym, i już nie był, kiedy Bonaparte zdobywał Piemont i Lombardyę. Naprawdę, Fran-

cyę zbawił nie Komitet publicznego bezpieczeństwa, ale dzielność, waleczność i miłość Ojczyzny francuzkiego narodu. Te to wielkie cnoty zwyciężyły, a zwyciężyły pomimo nieudolności rządzących, których rządy były jednem pasmem nietylko zbrodni ale i głupstw.

Nie mamy czasu rozpowiedzieć, jak naczelnicy tego dzikiego stronnictwa zaczęli wreszcie mścić ludzkość jedni na drugich, jak tchórz Hébert drżał i narzekał, kiedy go na śmierć wleczono; lub jak szlachetniejszy Danton zapóźną tknięty skruchą, napróżno usiłował naprawić złe, które był narobił, i jak na pół odkupił swoją zbrodnię Wrześniową, ponosząc odważnie śmierć za to tylko, że się chciał zmiłować.

My w tem wszystkiem mamy do czynienia z samym tylko Barèrem. W tych wszystkich okropnościach nietylko brał on udział, ale przodował innym ochoczo i wesoło. Był on czemś więcej jak prostym członkiem złego rządu, bo jemu przed innymi przypadło z urzędu wnosić i bronić uchwały obrażające ludzkość i sprawiedliwość, i przystrajać ohydne pomysły kwiatami ohydnej fanfaronady. Barère pierwszy wypowiedział z trybuny, że Terror musi przyjść na porządek dzienny — on to zaopatrzył Trybunał Rewolucyjny w godnego takiego sądu prokuratora, jakim był bezecny Fouquier Tinville. On także, kiedy Trybunał uniewinnił jednego z członków Zgromadzenia Narodowego, rozkazał złożyć nowy sąd, mówiąc, że »Trybunał odstępuje sprawy Rewolucyi, skoro uwolnił członka Zgromadzenia Narodowego.« Nie trzeba mówić, że głowa oskarżonego wkrótce spadła z rusztowania. On to jeszcze, Barère, wniósł, żeby zburzyć Lugdun. »Niech pług, wołał z mownicy, »zaorze miejsce, na którem stało to miasto — niech imie jego zaginie. Buntownicy są wprawdzie pokonani, ale czyż są wytępieni do szczętu? Żadnej słabości, żadnego zmiłowania, w każdego niech cios ugodzi. W dwóch słowach zamknąć tę sprawę. Lyon podniósł bunt przeciw wolności, Lyonu już nie ma.« Po wzięciu Tulonu on znowu wystąpił z obwieszczeniem tego zdarzenia. »Na wieczną pamięć zwycięztwa Góry nad Żyrondystami, mó-

wił ten Żyrondysta odstępca, wycisnąć trzeba znamię wieczyste na miejscu, gdzie był kiedyś Tulon. Niech narodowy Piorun zgruchocze dom każdego handlarza w tem mieście.« A kiedy Camille Desmoulins, który przez długi czas odznaczał się między Republikanami zdolnością i zapałem, odważył się podnieść swój głos wymowny przeciw panowaniu Terroru i wykazać blizkie podobieństwo tego rządu, który ciemiężył Francyę z rządami najgorszych z Cezarów, Barère powstał zaraz przeciw tej niemęzkiej litości, która odżywić mogła nadzieję Arystokratów. »Ktokolwiek, mówił, »urodził się szlachcicem, winien być podejrzywanym — podejrzywanym winien być każdy ksiądz, każdy prawnik, każdy bankier, każdy kto bywał u dawnego dworu. Każdy kto szemrze na nowe tory, w jakie weszła Rewolucya, ma także być podejrzanym. Osądzono, skazano już całe kasty, ale są jeszcze powołania, które z natury noszą w sobie swój wyrok; są pokrewieństwa, na które prawo krzywo patrzeć musi. Republikanie francuzcy, zawrzeszczał Żyrondysta renegat, zacięty dawniej wróg Góry, »Republikanie Francuzcy! Brissotyści prowadzili was łagodnemi środkami do niewoli, Góra prowadzi was środkami sprężystemi do wolności. Któż zliczy, ile złego narobić może litość niewczesna.« Kiedy przyjaciele Dantona zebrawszy się na odwagę, zażądali, aby Konwencya przynajmniej wysłuchała jego obrony, zanim go pośle na śmierć niechybną, Barère najgłośniej ze wszystkich sprzeciwiał się ich prośbie; a kiedy Lebon, jeden z najgorszych, a może najgorszy z namiestników Komitetu bezpieczeństwa, zbrodniami swemi doprowadził Departamenta północne do takiej rozpaczy, i do takiego szaleństwa, że nie wiedząc już jak się ratować, Konwencyi błagały o obronę, Barère bronił sprawy oskarżonego okrutnika i groził proszącym srogą i przykładną zemstą rządu. »Te zarzuty, rzekł, »puszczone są w obieg przez ukrytych arystokratów. Człowiek, który gromi nieprzyjaciół ludu, choćby nawet z gorliwości przebrał niekiedy miarę, nie może nigdy podpadać pod sąd i karę. Lebon mógł zbłądzić o tyle, że postępowanie jego było może w formach za szorstkie.«

Oto przykład tych małych niedokładności tak łagodnie osądzonych: Lebon, trzymał pół godziny jakiegoś nieszczęśliwego człowieka pod nożem gilotyny, i dręczył go przez ten czas, dopóki go przecież nie ściął, czytaniem jakiegoś listu, którego treść, jak sądził, samą okropność śmierci jeszcze okropniejszą miała uczynić. »Ale cóż, wołał dalej Barère, »cóż nie jest pozwolonem nienawiści prawdziwego Republikanina do arystokracyi? Wieleż uczuć szlachetnych nagradza to, co może czasem wydać się zbyt surowem w postępowaniu jego z nieprzyjaciołmi narodu? O rewolucyjnych środkach należy się zawsze mówić z uszanowaniem, bo wolność jest dziewicą, której zasłony podnieść się nie godzi.«

Po tem wszystkiem nie warto już zatrzymywać się nad faktami, które same przez siebie wystarczyłyby zupełnie, żeby imię czyjeś odsądzić od czci i podać w ohydę, ale które nic prawie nie dodały do wielkiej infamii Barèra. Nie warto naprzykład wspominać, jak on, literat, członek Akademii Napisów, okazał się najzaciętszym w tej wojnie przeciw nauce, historyi i sztuce, która była jedną z klęsk i sromot tamtego czasu i rządu, jak chciał popalić wszystkie biblioteki, jak utrzymywał, że wszystkie pamiątki przedrewolucyjnych czasów powinny były być zniszczone; jak spustoszył opactwo St. Denis, jak poprzewracał pomniki czcią wieków uświęcone, i rozwiał na cztery wiatry popioły dawnych królów. Zaiste, mało kiedy Barère był tak pożytecznie zajętym, jak kiedy na chwilę dał spokój żywym, żeby wojować z umarłymi.

Nie warto także rozwodzić się nad jego zmysłowemi rozpustami. Wiadomo jest aż nadto, że u niego, tak jak u całego plemienia Neronów Caligulów i Domitianów, do których był podobnym, okrucieństwo połączone było z lubieżnością, i że dwa razy na dekadę wypoczywał od swojej krwawej roboty wśród wesołych ogrodów w Clichy, i tam w objęciu rozpustnych kobiet, spojony winem, zapominał o troskach publicznego życia. Pan Hipolit Carnot nie zaprzecza wcale prawdy tych szczegółów, ale przypomina słusznie, że lubieżność

nie była nigdy doszła u Barèra do tego stopnia, żeby była przyniosła uszczerbek obowiązkom i pracy. To prawda; Barère nie był tak oddanym rozpuście, żeby dla niej zaniedbał był mordów i rzezi. Chełpił się on raczej, że nawet w chwilach wczasu umiał zawsze wymyśleć nową robotę dla Trybunału rewolucyjnego; a tym którzy wyrażali obawę, żeby praca nie nadwerężyła czasem jego zdrowia, odpowiadał wesoło, że był mniej zatrudnionym niż się zdawało. »Gilotyna, mawiał, »robi wszystko, gilotyna rządzi.« Co do nas, z większem zaprawdę pobłażaniem skłonniśmy patrzeć na rozkosze w jakich folgował sobie samemu, aniżeli na boleści, które zadawał bliźniemu.

Atque utinam his potius magis tota illa dedisset
Tempora saevitiae, claras quibus abstulit urbi
Illustresque animas, impune ac vindice nullo [1]).

Niepomiarkowana żądza zmysłowych rozkoszy jest niezaprzeczenie plamą na imieniu Henryka IV, Lorda Somers lub Foxa. Ale co u uczciwych ludzi wadą, u Barèra wydaje się cnotą.

Od tej chwili Barère został dopiero naprawdę okrutnym. Pierwsze swoje zbrodnie popełnił on czysto z tchórzostwa Ale cała historya naszego plemienia dowodzi, że umysły wcale nie dzikie z natury, zbyt łatwo nabierają upodobania w nieszczęściu drugich, a jak go raz nabiorą, staje się ono tak silnem, jak skłonności przyrodzone. Kilka zaledwo miesięcy wystarczyło, żeby tego człowieka wprawić w taki stan umysłu, że rozpacz, lament i śmierć rozweselały go i dodawały mu ognia, działały na niego tak, jak wino i miłość na ludzi wesołego i swobodnego usposobienia. Powózka trzeszcząca pod ciężarem swojego codziennego ładunku ofiar, starców, chłopców, młodych i ładnych dziewcząt, załamywanie rąk, a między

[1]) Oby przynajmniej tym drobnostkom poświęcił był ten czas srogości, w którym posłał na tamten świat wiele dusz wielkich i sławnych, bezkarnie i bez mściciela.

pniem i nożem gilotyny głowy wyglądające jak z okienka, zgrzyt siekier, sadzawki krwi pod rusztowaniem, głowy tuzinami spadające do kosza — wszystko to było dla Barèra tem, czem była Lalage i kosz Falernu dla Horacego, czem dla Bérangera Rosette i butelka zamrożonego szampana. Jak tylko zaczął mówić o rzeziach, serce mu rosło, a fantazya stawała się nadzwyczaj płodną w dowcipy i przechwałki. Robespierre, Saint Just, Billaud, których barbarzyństwo było skutkiem ponurej i głębokiej zawiści, zamieniali sobie podług niego w trud i w pracę, co właściwie było przyjemnością. Okrucieństwo nie było mu takim smutnym obowiązkiem, żeby się do niego trzeba było zabierać z chmurnem czołem i płaczliwym tonem; było ono wypoczynkiem, igraszką, a śpiew i śmiech był stósownym do niego wtórem. Robespierre i Barère dadzą się doskonale porównać, jak sądzimy do sławnych dwóch oprawców Ludwika XI. Oba zarówno niezdolni litości, zarówno zażarci do mordów; ale przy mordowaniu jeden się chmurzył i utyskiwał, a drugi wydrzeźniał się i błaznował. Co do nas, mniej nas brzydzi *Jean qui pleure*, jak *Jean qui rit*.

Wśród tych chmur czarnych i żałobnych, które wisiały nad Paryżem, mieszkanie Barèra jaśniało wesołością straszniejszą od wszystkich okropności rusztowania i więzienia. Co rano zbierał się u niego w przedpokoju tłum proszących o łaskę i opiekę; on wtedy bogatym odziany szlafrokiem obchodził wszystkich dokoła, rozdawał uniżonym obietnice i uśmiechy, z szczególną uprzejmością przemawiał do każdej pięknej kobiety, i kwiecistym stylem przesadnej Gaskonii prawił jej grzeczności o różach jej lica i blasku jej oczów, a kiedy się nacieszył strachem i niepokojem błagających, pozwalał im odejść i rzucał ich prośby w ogień, nie czytane. Była to zdaniem jego najlepsza rada na zbyteczne nagromadzenie i zaleganie spraw; ale nie on wynalazł ten sposób, naśladował raczej kardynała Dubois, który tak samo robił porządek na swoim stole, i zaprawdę nie jest to jedynem podobieństwem między najgorszym ministrem Monarchii i najgorszym ministrem Rzeczy-

pospolitej. O właściwej Barèrowi żyłce żartobliwości można powziąć wyobrażenie z anegdoty, opowiedzianej przez jednego z poufałych jego towarzyszów i wspólników, przez czas jakiś przysięgłego przy Trybunale rewolucyjnym. Rozpustnica jedna, która wielką rolę grywała w orgiach Barèra w Clichy, prosiła go, ażeby użył swojej władzy przeciw pewnemu sposobowi czesania włosów, który jej nie był do twarzy, a który zawistna jakaś piękność chciała koniecznie w modę wprowadzić. Barère wezwał jednego z urzędników miejskich i dał mu stósowne rozkazy. Arystokracya, rzekł, znowu zaczyna podnosić głowę — te nowe peruki są anti-rewolucyjne, bo, jak miał wszelki powód mniemać, zrobione były z pięknych długich włosów młodych arystokratek, które zginęły pod narodowym toporem. Każda kobieta nosząca na sobie relikwie zbrodniarzów, słusznie musi być posądzoną o brak patryotyzmu. Władze miasta Paryża dały się oszukać tem śmiesznem kłamstwem, i uroczyście ostrzegły obywatelki, aby nie nosiły karygodnych loków, zostawiając im wybór między ubraniem głowy a głową. Radość Barèra z udania tego pociesznego figla przechodziła wszelką miarę; ile razy go rozpowiadał, zanosił się od śmiechu i wpadał niemal w konwulsye, tak, że słuchacze nieraz mogli się spodziewać, że się przecie udusi. To dziwaczne połączenie rzeczy okropnych z fraszkami, fałszywych włosów i żelazek z krwią buchającą z arteryi i kurzącą się z toporów, łechtało przyjemnie jego umysł i wprawiało go w błogą wesołość.

Ale napróżno zdołał Barère zarobić sobie na zaszczytny przydomek Trefnisia Terroru i Anakreona Gilotyny, bo zawsze jeszcze było jedno miejsce, gdzie mu pamiętano i nie darowano, że kiedyś przez czas jakiś, przemawiał był językiem ludzkości i umiarkowania, a tem miejscem był klub Jakobinów. Pomimo rzezi Żyrondystów, pomimo zamordowania królowej, pomimo spustoszenia Lugdunu, nie śmiał się on jeszcze pokazać w tych świętych przybytkach. Na jednem posiedzeniu klubu żalił się któryś z członków, że Komitet, któremu powierzony był ster spraw publicznych, po tylu i takich szczęśliwie dokonanych

zmianach, znosi zawsze jeszcze w swojem gronie człowieka, któremu nie można było zaufać. Robespierre, którego przewaga nad Jakobinami nie miała granic, powstał na obronę swojego kolegi; przyznawał, że zarzuty nie były bez podstawy, ale wysławiał pracowitość i zdolność Barèra, i tem swojem wdaniem się w tę sprawę zamknął usta oskarżycielowi. Ale dużo jeszcze czasu potrzeba było, żeby nowo nawrócony mógł bezpiecznie zjawić się w klubie.

Aż dopiero arcydzieło niegodziwości, jedyne jak nam się zdaje, nawet między wielkiemi dziełami Barèra, wyjednało mu wreszcie zupełne przebaczenie u tego surowego Conclave. Nieznośny ucisk Komitetu bezpieczeństwa doprowadził umysły do stanu dzikiego i obojętnego na wszystko, tak, że nietylko mężczyźni, ale kobiety nawet nic sobie nie robiły ze śmierci i pragnęły jej. Nikt nie przywięzywał wartości do życia, które każdej chwili można było stracić na każdy podszept osobistych nieprzyjaciół; a przeciwnie, umrzeć zgładziwszy choć jednego z ciemiężców, rzucić na pozostałych strach taki jakim oni innych przejmowali, to było coś warte. Ludzka natura dręczona, prześladowana, szczuta wszelkiemi sposobami, na ostatku w rozpaczy rzuciła się wściekle do obrony. Fouquier Tinville bał się chodzić po ulicach; do Collot d'Herbois strzelił ktoś z pistoletu; jakaś dziewczyna zagrzana prawdopodobnie duchem Karoliny Corday starała się o rozmowę z Robespierrem; co gdy obudziło podejrzenienie, schwytano ją i znaleziono przy niej dwa noże. Oddana pod śledztwo, mówiła o Jakobinach z zuchwałą pogardą i wstrętem; nie trzeba mówić, że poszła na rusztowanie. Wtedy to Barère oświadczył z trybuny, że przyczyna tych napadów jest oczywista — wszystko to robi Pitt i jego gwinee; rząd angielski zorganizował rozległy system mordów; on to uzbroił ramie Karoliny Corday, a teraz zasadził się na życie dwóch najznamienitszych przyjaciół wolności. Nie potrzebujemy mówić, że te wszystkie gadaniny nie tylko nie były prawdziwe, ale nie miały nawet najmniejszego pozoru prawdy. Były nawet co więcej, widocznie

i oczywiście niedorzeczne, bo zabójcy, o których Barère mówił, narażali się na niezawodną śmierć, dowód, że nie byli najemnikami. Wszystkie skarby Anglii nie byłyby zdołały przekupić człowieka w zwyczajnym stanie umysłu, żeby zrobił to, co zrobiła Karolina Corday, ale postępek jej, zważywszy szał i fanatyzm był zupełnie naturalny. Ci nawet z francuzkich pisarzy, którzy jeszcze wierzą dziecinnie, że rząd angielski wymyślił maszynę piekielną i udusił cesarza Pawła, nawet ci uniewinniają zupełnie Pitta z wszelkiego udziału w zabójstwie Marata i w zamachu na Robespierra. Ale Barère, na potwarzach tak błahych oparł wniosek, na który osłupiało całe Chrześcijaństwo, a wniosek ten był, żeby nie dawać pardonu żadnemu angielskiemu ani hanowerskiemu żołnierzowi [1]). Mowa jego była godną wniosku, który ją zamykał. »Konwencya »narodowa nie może ścierpieć, aby przepuszczono choćby je»dnemu Anglikowi, żeby nasz słownik mieścił słowo wspania»łomyślności dla ludzkich maszyn Yorka i niewolników Jerzego. »Wojna na śmierć każdemu angielskiemu żołnierzowi. Gdyby »w zeszłym roku w Dunkierce nie było się im dało pardonu »kiedy na kolanach o niego błagali, gdyby nie zapowietrzali »twierdz naszych swoją obecnością, gdyby nasze wojska były

[1]) Pan Hipolit Carnot robi co może, żeby ten wniosek wytłomaczyć. Z obelg jego miotanych na Anglią możemy się tylko śmiać; Anglia już nieraz dała sobie radę z nieprzyjaciołmi nie takini jak on i jego bohater. Jednę tylko nieszczęśliwą pomyłkę uważamy za słuszne sprostować. Pan Carnot utrzymuje, że wniosek podobny do niniejszego wniosku Barèra postawionym był w Parlamencie angielskim przez zmarłego Lorda Fitz-William. Jest to fałsz. Niech nam pan Carnot wskaże, jeżeli może, czas i dosłowną osnowę tego wniosku — ale nie wskaże ich. Nie oskarżamy go o umyślne przekręcanie faktów, ale zarzucamy mu śmiało grubą niewiadomość i zuchwałość. Dla zabawki czytelników powiemy tu, na jakiej powadze oparł się pan Carnot puszczając w świat tę bajkę. Pan Carnot cytuje nie dzienniki Izby Lordów, nie rozprawy Parlamentu, ale napuszysty messaż Dyrektoryatu do Pięciuset, którego znaczenie, oprócz tego, zupełnie fałszywo zrozumiał.

»ich wytępiły do szczętu, rząd angielski nie byłby w tym roku »ponowił napaści na nasze granice. Umarli tylko nie powra»cają. Cóżto za dżuma moralna zaraziła nasze wojsko fałszy»wemi pojęciami ludzkości. Brissotystów to było filantropijną »zasadą i Dumouriez'a patryotycznym obyczajem, obchodzić się »łagodnie z Anglikami. Ale ludzkość zasadza się na tępieniu »wroga — żadnej litości nad nienawistnym Anglikiem. Takie »są uczucia prawdziwego Francuza, który wié, że należy do »narodu rewolucyjnego jak natura, potężnego jak wolność, ogni»stego jak saletra, którą tylko co wydarł z wnętrzności ziemi. »Rycerze wolności! kiedy zwycięztwo zda wam na łaskę Angli»ków, bijcie ich! niech żaden nie wraca na niewolniczą ziemię »Wielkiej Brytanii, niech żaden nie kala wolnej ziemi francuzkiej!

Konwencya zahukana zupełnie i zmuszona do milczenia, przyjęła wniosek bez dyskusyi. I wtedy przecież nareszcie drzwi klubu Jakobinów rozwarły się na oścież przed tym uczniem, który przeszedł mistrzów. Przez aklamacyę przyjęty na członka, wkrótce wybranym został prezydentem klubu.

Przez jakiś czas cieszył się on nadzieją, że uchwała jego zostanie bez ograniczenia w życie wprowadzoną. Z pola walki nadeszła wiadomość o gorącej rozprawie z Anglikami, z której wojsko Rzeczypospolitej wyszło zwycięzko, a w której nie wzięto jeńca. Przypadki takie zdarzają się w każdej wojnie; ale Barère przypisywał zaciętość bitwy swojej ulubionej uchwale i uraczył Konwencyą nową Carmagnolą.

»Republikanie, rzekł, »ujrzeli przed sobą szereg czerwo»nych mundurów i poszli na bagnety. Ani jeden z czerwonych »mundurów nie uszedł razów Republikanów — wszyscy wy»bici co do nogi. Nie miano dla tych podłych żadnej litości, »żadnego pardonu. Nie żyje ani jeden z tych, których dosięg»nąć mogło ramię republikańskie. Wiele, myślicie, wiele wzięliśmy »niewolnika? Jeden jeniec, jeden jedyny, to korzyść tego dnia »wielkiego.«

Odtąd pragnienie krwi stało się u tego złego człowieka nienasyconem. Im więcej żłopał, tem więcej go paliło. Od

Anglików zaczął, ale wkrótce wystąpił z nowym pomysłem mordów. »Wszystkie wojska sprzymierzonych tyranów, rzekł, »na załodze w Valenciennes, w Le Quesnoy, w Landrecies, po»winny być wyrżnięte, jeżeli się nie zdadzą na łaskę w prze»ciągu dwudziestu czterech godzin. Anglikom, rozumié się samo »przez się, nie dozwoli się żadnej kapitulacyi; dla nich mamy »tylko jednę ugodę, śmierć. Dla innych, zdanie się na łaskę »w dwudziestu czterech godzinach, albo śmierć, oto nasze wa»runki. A jeżeli te niewolniki zechcą się opierać, to niech giną »od miecza.« Dalej staje się dowcipnym i żartobliwym: »Za tę »cenę Rzeczpospolita gotowa jest dać im lekcyę sztuki wojen»nej.« Niektórzy słuchacze, godni takiego mowcy, podnieśli głośny śmiech na ten dowcip, a mowca znowu przeszedł w ton poważny. »Niech giną wrogi, wołał, »jużem to nieraz z tej mo»wnicy powtarzał — umarli tylko nie powracają — królowie »w grobach nie będą przeciw nam knować zdrad i spisków, »wojska wyrżnięte do nogi nie będą przeciw nam walczyć. »Wojna z nimi powinna być wojną zniszczenia i zupełnej za»glady. Czyż należy się litość jaka niewolnikom, których ce»sarz kijem prowadzi do boju, których król Pruski zagania »na jatki płazem swojego palasza, i których książe York roz»paja rumem i wódką?« Na wspomnienie rumu i wódki, Góra i galerye zaśmiały się znowu.

Gdyby Barère mógł był wykonać swój zamysł, trudno obliczyć, jaką summę klęsk byłby ściągnął na świat. Żaden rząd choćby najbardziej przeciwny srogości, nie mógłby był przez wzgląd na własnych poddanych, dawać pardonu nieprzyjacielowi, który nie dawał żadnego. Odwet stałby się był nietylko sprawiedliwym, ale koniecznym i świętym obowiązkiem; Nelson i Howe byliby musieli zawiązać oczy każdemu pojmanemu francuzkiemu majtkowi i kazać mu iść przez kładkę. Anglia nie miała powodu obawiać się wprowadzenia tego nowego systemu. Wykonanie Barèrowego prawa wojennego byłoby się okazało zgubnem raczej dla jego własnych współziomków, niż dla naszych, bo ile wiemy, nie zdarzyło się ani razu od początku

wojny aż do końca, żeby Anglia nie była miała więcej jeńców francuzkich, aniżeli Francya angielskich, i boimy się że tak będzie zawsze, jak długo Anglia zachowa swoją wyższość na morzu. Jesteśmy przekonani, że gdyby owa mordercza uchwała Konwencyi była miała moc prawa od roku 1794 do roku 1815, to za każdego Anglika zamordowanego przez Francuzów, Anglicy byliby zgładzili przynajmniej trzech Francuzów. Więc, jeżeli ze zgrozą i oburzeniem, mówimy o zmianie, którą Barère usiłował wprowadzić, czynimy to nie dlatego, że należymy do angielskiego narodu, ale dlatego, że należymy do wielkiej społeczności rodu ludzkiego. Rzeź sama byłaby jeszcze najmniejszem złem, jakieby z tego wyniknąć było musiało. Dziesięć pobojowisk zasłanych trupami, byłoby zrobiło mniej złego, jak zarżnięcie jednego bezbronnego, z zimną krwią i pod zasłoną prawa. Prawo publiczne wstrząśnięte aż do posad, byłoby runęło; narodowe zawiści byłyby się rozpaliły do takiego stopnia wściekłości, jakiego na szczęście nie możemy sobie wyobrazić, a pokój szczery i serdeczny byłby się stał niepodobnym. Moralny charakter wszystkich europejskich narodów byłby uległ śpiesznemu i głębokiemu zepsuciu, bo ci ludzie, którzy z powołania wystawiają własne życie na niebezpieczeństwo za publiczną sprawę, u wszystkich narodów w szczególnem są poważaniu, u wszystkich uchodzą za najlepszych sędziów w rzeczach honoru i rycerskości. Pojęcia o moralności, o honorze w całym narodzie, muszą w znacznej mierze podnosić się lub spadać, w miarę jak się podnoszą lub spadają prawa honoru i moralności przyjęte przez stan wojskowy. I dlatego, słusznie można uważać za szczęście, że przez długie lata wzgląd na słabych i wspaniałość względem zwyciężonych uchodziły za tak niezbędne i tak istotne przymioty dobrego żołnierza, jak osobista odwaga. Ale jak długo mogłoby się to utrzymać, gdyby mordowanie jeńców stało się częścią dziennej służby żołnierza? Jakiż człowiek z dobrem i szlachetnem sercem chciałby nosić broń pod takiem prawem? a kto, zmuszony do noszenia broni, mógłby długo zachować dobroć

i szlachetność? A gdyby barbarzyństwo względem bezbronnych stało się cechą wojskowych, nie jestże niezawodną rzeczą, że wtedy ta zaraza padłaby i na cywilne i na domowe stosunki, i musiałaby objawić się w każdym postępku mocniejszego ze słabszym, męża z żoną, przedsiębiorcy z robotnikiem, wierzyciela z dłużnikiem?

Ale dzięki Bogu uchwała Barèra pozostała martwą literą, bo mieli ją wykonywać ludzie różni zupełnie od tych, którzy po departamentach Francyi byli narzędziami Komitetu bezpieczeństwa, i od tych którzy hałasowali w klubie Jakobinów i przed Fouquier — Tinvillem oskarżali o brak patryotyzmu kobiety które im się nie dały uwieść, i bankierów, od których nie mogli wyłudzić pieniędzy. Żołnierze, którzy z Hochem na czele bronili murów Dunkierki, lub pod Kleberem utrzymali las w Monceaux, wzdragali się ze zgrozą przed rzemiosłem podlejszem od rzemiosła oprawcy. »Konwencya, rzekł jeden z oficerów do swoich żołnierzy, »wydała rozkaz aby rozstrzelać każdego angielskiego jeńca«; a na to jakiś tęgi sierżant tak się odezwał: »My do nich strzelać nie będziemy; poślijcie ich Konwencyi. Jeżeli deputowani chcą zabijać jeńca, mogą go zabijać sami, mogą go i zjeść, jak przystało na dzikich ludzi jak oni.« Uczucia te panowały w całem wojsku. Bonaparte który znał wojnę na wylot, który dowiódł w Jaffie i gdzieindziej, że gotów był wytężyć jej prawa do ostatniej surowości, a u którego nienawiść Anglii dochodziła prawie do szaleństwa, z obrzydzeniem zawsze wspominał o uchwale Barèra, i chełpił się z radością, że jej wojsko odmówiło posłuszeństwa.

Na każdej innej części narodu nieposłuszeństwo takie byłoby natychmiast było ukaranem hurtownemi mordami; ale Komitet bezpieczeństwa czuł dobrze, że rygor który trzymał w karbach ludność niewojowniczą wsi i miast, mógł się nie udać w obozach. Wyrzucać ludzi tuzinami z galaru i odcinać im palce toporami, kiedy się burtu chwytali, mogło być bardzo miłą rozrywką dla prawego Jakobina, jeżeli do zabawki miał jak w Nantes starych księży, młode dziewczęta, lub kobiety

z dziećmi u piersi. Ale igraszka ta mogła była okazać się nieco niebezpieczną, gdyby jej kto był chciał spróbować na szeregach marsowatych Grenadyerów, osmolonych dymem armatnim pod Fleurys i pokiereszowanych szramami pod Hondschoote.

Ale Barère przecież nie został bez pociechy. Nie mógł wprawdzie mordować Anglików i Hannoweranów, ale powetował to sobie nową na wielkie rozmiary rzezią własnych rodaków. Gdyby to co ludzie zawsze przytaczają na obronę członków Komitetu bezpieczeństwa było jakokolwiek uzasadnionem, gdyby prawdą było, że oni dlatego tylko rządzili z ostateczną srogością, że Rzeczpospolita była w ostatecznem niebezpieczeństwie, to przecież rzecz prosta, że w miarę jak ustawało niebezpieczeństwo, byliby i oni opuszczali nieco ze swojej srogości. A tymczasem jest faktem, że te okrucieństwa których wymówką ma być niby niebezpieczeństwo ojczyzny, stawały się coraz straszniejszemi, w miarę jak niebezpieczeństwo stawało się coraz mniejszem; a doszły do najwyższego stopnia w chwili, gdy niebezpieczeństwa już wcale nie było. W jesieni roku 1793 można było słusznie się obawiać, że Francya nie zdoła może wytrzymać wojny z całą sprzysiężoną Europą; zwyciężki nieprzyjaciel stał na granicach, większa połowa Departamentów nie chciała uznawać władzy Konwencyi. A przecież w tym czasie ośm lub dziesięć głów na dzień zdawało się wystarczać na przyzwoite utrzymanie gilotyny paryzkiej. W lecie zaś r. 1794 miasta jak Bordeaux, Tulon, Caen, Lyon, Marsylia poddały się pod władzę Paryża, broń francuzka zwyciężała pod Pyreneami i na północy, Bruxellę zdobyto, Prusy oświadczyły że chcą wycofać się z zapasów, Rzeczpospolita nie przestając już na obronie własnej niepodległości, przemyśliwała o podbojach nad Renem i za Alpami, nieprzyjaciołom swoim groźniejszą była, niż kiedykolwiek bywał Ludwik XIV; — a Trybunał rewolucyjny teraz właśnie nie miał dosyć czterdziestu, pięćdziesięciu, sześćdziesięciu głów na dzień.

Teraz, po szeregu zwycięztw które obalają zupełnie ów jedyny argument, przytaczany na obronę Terroru, teraz właśnie

postanowił Komitet bezpieczeństwa ożywić ten system niewidzianą dotychczas sprężystością. Zrobiono wniosek, żeby zreformować Trybunał rewolucyjny, żeby zebrać na dwóch kartkach całe rewolucyjne prawodawstwo, i spisano listy dwunastu sędziów i pięćdziesięciu przysięgłych z pomiędzy najzapamiętalszych Jakobinów. Całą treścią i istotą prawa było, że cokolwiek Trybunał uzna za niebezpieczne i zgubne dla Rzeczypospolitej, jest zbrodnią główną; prawo zaś o wywodzie dowodowym było takie, że cokolwiek zadowolni przysięgłych, jest dowodem prawnym. Postępowanie sądowe godne było reszty; podług niego obwiniony nie mógł mieć obrońcy, ale miał zawsze przeciw sobie Instygatora. Dalej stanowiło prawo to wyraźnie, że ilekroć przysięgli jakimkolwiek sposobem byliby przekonani o zbrodni, mogą obwinionego uznać winnym, nie wysłuchawszy ani jednego świadka. Na domiar wszystkiego, jedyną karą, jaką sąd ten mógł wyznaczyć, była kara śmierci.

Wniosek ten postawił Robespierre; gdy go przeczytał, powstał szmer między członkami Konwencyi. Strach, który dotyczas wstrzymywał posłów od stawienia oporu Komitetowi, przycichł teraz stłumiony jeszcze większym strachem: każdy czuł nóż na własnem gardle. »Wniosek ten, ktoś się odezwał, »jest bardzo ważny. Wnoszę, aby go wydrukować, a rozprawy »nad nim odłożyć. Gdyby takie postanowienie miało być przy»jętem bez dalszej rozwagi, strzeliłbym sobie w łeb odrazu.« Wniosek o odłożenie rozprawy znalazł poparcie. A wtedy Barère poskoczył na ratunek. »Niepodobna, zawołał, »aby mogła »zachodzić jakakolwiek różnica zdań co do wniosku tak ko»rzystnego dla patryotów, co do wniosku, który zapewnia rychłą »sprawiedliwość na spiskowców. Jeżeli rozprawy muszą ko»niecznie być odłożone, to ja muszę nalegać, żeby nie były »odłożone na dłużej jak na trzy dni.« Opozycya się przelękła, uchwała przeszła, i przez następnych sześć tygodni srożyły się mordy takie, jakich dotąd jeszcze nigdy nie widziano.

A wtedy zle stało się już nie do wytrzymania. Owa nieśmiała większość, która przez czas jakiś popierała była

Żyrondystów, a po ich upadku zatwierdzała milczkiem uchwały Komitetu Publicznego Bezpieczeństwa, w rozpaczy wreszcie zaczerpnęła odwagi. Nie brakło jej na przywódcach tęgiego i zuchwałego charakteru, na ludziach jak Fouchè i Tallien, którzy odznaczywszy się wielokrotnie w szeregach Góry, spostrzegli teraz, że ich własne żywoty, że żywoty droższe od własnych, były w największem niebezpieczeństwie. Nie mogło też i to pozostać już dłużej tajemnicą, że nastało rozdwojenie w samodzierżczym Komitecie. Po jednej stronie stał Robespierre, Saint Just i Couthon, po drugiej Collot i Billaud. Barère nachylał się ku tym ostatnim, ale też tylko się ku nim nachylał. Jak zawsze kiedy się gotowało jakieś przesilenie, łasił się obudwom stronom podług zwyczaju, uderzał to na jednę to na drugą, i zawsze był w pogotowiu śpiewać pochwały każdej strony, lub na każdą podpisać wyrok śmierci. Jakikolwiek byłby wypadek, jego karmaniola zawsze była gotowa, a czy Billaud, czy Robespierre zwycięży, zawsze jednako będzie dobre i zawsze da się zastósować drzewo wolności, krew zdrajców, sztylet Brutusa i złoto zdradzieckiego Albionu.

Pierwszy zamach na Robespierra nie był wymierzony wprost, ale godził w niego pośrednio. Była jedna stara kobieta, nazwiskiem Katarzyna Théot, pół waryatka, pół oszustka, którą on się opiekował, a która szczególny wpływ wywierała na jego umysł; bo Robespierre dziwnie był skłonnym do zabobonu, a odprzysiągłszy się tej wiary, w której się wychował, oglądał się za czemś, w coby mógł wierzyć. Barère napisał zaskarżenie przeciw Katarzynie, które upstrzył wielu krotochwilnemi dowcipami, a zakończył wnioskiem, aby ją i kilka innych nędznych figur posłać przed Trybunał Rewolucyjny, czyli poprostu na śmierć. Ale nie odważył się sam przeczytać tego zaskarżenia w Konwencyi; kogoś innego, śmielszego, podsunął na ojca swojego krwawego błazeństwa, a sam, rzeczywisty sprawca, w zupełnem bezpieczeństwie używał z rozkoszą na strachu i udręczeniu Robespierra.

A zrobiwszy to, uznał, że dość uczynił dla jednej strony, i że należało zabezpieczyć się od drugiej; i w tej myśli wystąpił w Konwencyi na dniu siódmym Thermidora z panegirykiem Robespierra. »Szanowny ten reprezentant ludu, mówił, »cieszy się sławą najlepszego patryoty, na którą zarobił pię»cioma latami trudów i niezachwianą wiernością dla sprawy »niepodległości i wolności.«

Ósmego Thermidora stało się już jawnem, że walka otwarta i stanowcza musiała lada chwila wybuchnąć. Robespierre sam dał do niej hasło; wystąpił na mownicę z długiemi skargami i wyrzutami przeciwko swoim przeciwnikom; ktoś wniósł, aby mowę jego ogłosić drukiem, a Barère przemawiał za tem. Ale gdy się wnet pokazało, że wniosek ten nie był po myśli Konwencyi, usprawiedliwiał się ze skończonej zaledwie mowy, i zaklinał Konwencyę, aby się wstrzymała od rozpraw i sporów, które Pittowi tylko i Yorkowi mogły być przyjemne. Prawdziwa i gorąca bitwa nastąpiła dopiero nazajutrz, dziewiątego Thermidora. Tallien, z odwagą i z narażeniem własnego życia poszedł pierwszy do ataku, Billaud za nim: a wtedy wybuchła cała niezmierna, zdawna nagromadzona, strachem tłumiona nienawiść, i zerwała wszystkie śluzy, zmiotła wszystkie zapory. A kiedy wreszcie głos Robespierra zagłuszony dzwonkiem Prezydenta i okrzykami »Precz z tyranem« zamarł w chrypliwem charkotaniu, wtedy powstał Barère. Zaczął słowami nieśmiałemi i dwuznacznemi, pilnie śledził jakie wrażenie robi każde z słów wypowiedzianych, a gdy usposobienie Konwencyi objawiło się już wyraźnie i stanowczo, dopiero wtedy oświadczył się przeciw Robespierrowi. Ale nie czuł się przecież zupełnie swobodnym, nie był zupełnie swój, jak długo nie usłyszał, że lud zebrany za drzwiami, a zwłaszcza że sekcye Paryża i ludzie z pikami, byli po stronie Konwencyi. Wtedy wyskoczył na trybunę, wypalił mówkę o Pizystracie i o Catilinie, i zakonkludował wnioskiem, aby głowy Robespierra i jego wspólników poszły pod topór bez śledztwa i sądu. Wniosek przeszedł, a nazajutrz rano ponieśli

śmierć zwyciężeni członkowie Komitetu Bezpieczeństwa i ich poplecznicy. Właśnie to rok upływał, odkąd Barère otworzył swój zawód rzezi i mordów oskarżeniem swoich dawnych sprzymierzeńców Żyrondystów. Nie wiemy doprawdy, czy udało się kiedy jakiej ludzkiej istocie natłoczyć tyle złego w przestrzeń trzystu sześciudziesiąt i pięciu dni.

Dziewiąty Thermidora stanowi jedną z wielkich epok historyi Europy. Pozostali trzej członkowie Komitetu Bezpieczeństwa niezawodnie nie byli wcale lepsi od tych trzech, którzy ulegli. Myślelibyśmy raczej, że najmniej złymi z całej szóstki byli Saint Just i Robespierre, których okrucieństwo było skutkiem szczerego fanatyzmu, zaszczepionego na ciasnych umysłach i cierpkich usposobieniach, i działającego przez ich pośrednictwo. Najgorszym zaś z sześciu był bez najmniejszej wątpliwości Barère, który nie wierzył bynajmniej w zasady, które podtrzymywał prześladowaniem, który posyłał ludzi na śmierć za to że byli w trzecim stopniu spokrewnieni z royalistami, a sam nie był bynajmniej przekonanym czy Rzeczpospolita jest lepszą od Monarchii, lub nie; który mordował dawnych przyjaciół za to że byli Federalistami, a sam był daleko więcej Federalistą niż oni wszyscy razem; który jedynie dla swojego własnego bezpieczeństwa stał się mordercą, a pozostał nim dla swojej przyjemności.

Gmin lubi wszystko zawsze wcielić i uosobić. Wybiera zawsze jednego człowieka, a wybiera najczęściej bardzo nietrafnie, robi sobie z niego przedstawiciela każdego wielkiego ruchu umysłów, każdej wielkiej rewolucyi, i na tego jednego człowieka składa wszystką miłość i wszystką nienawiść, wszystko uwielbienie i wszystką pogardę, którą taki człowiek podług sprawiedliwości dzielićby winien, z całem jakiemś stronnictwem, z całą sektą, z całem pokoleniem, z całym narodem. Ta skłonność gminu nikogo może z ludzi tak nie pokrzywdziła, jak Robespierra. Uchodzi on nietylko za to czem był, za fanatyka zazdrosnego i złośliwego, ale za uosobienie Terroru, za Jakobinizm wcielony. A tymczasem w rzeczy samej, nie on to do-

prowadził system Terroryzmu do ostateczności. Najstraszniejszą epoką w historyi Trybunału Rewolucyjnego były te dni, które bezpośrednio poprzedziły dziewiąty Thermidora, wtedy Robespierre zaprzestał już był uczęszczać na posiedzenia wszechwładnego Komitetu, a ster spraw publicznych trzymali Collot, Billaud i Barère.

Nie przyszło nigdy na myśl tym trzem tyranom, że obalając Robespierra, obalali także ten system Terroryzmu, do którego o wiele więcej od niego byli przywiązani. Oni chcieli właśnie mordować dalej i gorzej, bez upamiętania. Ale się przerachowali, nie zrozumieli natury tego przesilenia, które wreszcie nadeszło. Jarzmo Komitetu skruszone było na zawsze. Konwencya odzyskała wolność, próbowała swoich sił, zwyciężyła i ukarała nieprzyjaciół; zaczął się zwrot wielki i ogólny. We dwadzieścia cztery godzin zaledwo po śmierci Robespierra przeszedł wśród hucznych oklasków wniosek, zawieszający posiedzenia Trybunału Rewolucyjnego. Billaud nie był w tej chwili obecnym na sali; gdy powrócił i dowiedział się z oburzeniem o tem co zaszło, żądał unieważnienia uchwały. Ale z tych ławek, na których dotychczas z niemem posłuszeństwem słuchano jego rozkazów, podniosł się teraz głośny krzyk przeciw niemu. Wystąpił po nim Barère, i zaklinał Konwencyę, aby nie spuszczała nic z dotychczasowego Terroryzmu; »Strzeż»cie się, wołał, »strzeżcie się nadewszystko tego nieszczęsnego »umiarkowania, które lubi mówić o pokoju i łagodności. Daj»cie poznać Arystokracyi, że znajdzie tu zawsze tylko wrogów »upornie trwających w zemście, i sędziów, którzy nie znają »litości.« Ale czas Carmagnolów już był przeszedł, pęta strachu zwolniały, a nienawiść całego narodu do Jakobińskich rządów wybuchła z gwałtownością niepowstrzymaną i nieposkromioną. Prąd opinii publicznej nie uderzał silniej w Monarchię i Arystokracyę na dniu wzięcia Bastylii, jak dziś uderzał w panowanie Góry. Ze wszystkich więzień wychodzili więźniowie tak jak do nich weszli, setkami. Uchwała zabraniająca żołnierzom dawać pardonu Anglikom, została jednomyślnie odwołaną przy

głośnych okrzykach — i zaprawdę w taki sposób uchwalona, nigdy nie usłuchana, nareszcie odwołana, nie rzuca ona żadnej plamy na sławę francuzkiego narodu.

Klub Jakobinów próbował wichrzyć, ale został zamkniętym bez dalszego oporu. Ocaleni Żyrondyści, którzy dotąd ukrywali się po lochach i strychach przed zemstą swoich nieprzyjaciół, zasiedli na nowo miejsca swoje w Konwencyi. Żaden dzień nie przeszedł, żeby nie naprawiono jakiejś niesprawiedliwości, żadna ulica Paryża nie pozostała bez widocznych znamion nowo dokonanej przemiany. W teatrze, popiersie Marata zrzucone z piedestalu, pogruchotane zostało na kawałki przy oklaskach publiczności, z Pantheonu wyrzucono jego zwłoki, a sławny obraz przedstawiający chwilę jego śmierci, z sali obrad Konwencyi. Poznikały dzikie i srogie napisy, któremi zamazane były wszystkie mury, a na miejsce zgrozy i śmierci, wstępowała wszędzie ludzkość, hasło nowego Rządu. Wesołość francuzka, dotychczas przytłumiona uciskiem, a teraz zagrzana radością wyswobodzenia, rozhulała się i objawiała pod wszystkiemi możliwemi formami. Odżyła sztuka, smak wykształcony i zbytek; niewieścia piękność odzyskała swą władzę, władzę wzmocnioną i uświetnioną wspomnieniem cnót wzniosłych i rozrzewniających, których tyle dowodów dały w złych czasach kobiety przyzwyczajone do wykwintnego życia, a uważane przedtem za lekkie i płoche. W orszaku miłości zjawić się musiały rycerskie uczucia, i wykwintne gładkie obejście z ludźmi.

Jutrzenka podbiegunowego letniego dnia, po podbiegunowej nocy zimowej, nagłe puszczenie lodów i oswobodzenie wód, przebudzenie roślinnego i zwierzęcego życia w naturze, nagłe wiosenne ocieplenie powietrza, nagły rozkwit wszystkich kwiatów, liść zielony pokrywający w jednej chwili całe lasy, — wszystko to jest tylko słabem podobieństwem tej najszczęśliwszej ze wszystkich rewolucyi, Rewolucyi 9 Thermidora.

Ale w pośrodku tego ogólnego odrodzenia i odżycia wszystkich uczuć szlachetnych, była przecież jedna część spo-

łeczeństwa, na którą sama ludzkość, samo miłosierdzie zdało się wzywać pomsty. Naczelnicy ostatniego rządu i ich narzędzia byli przedmiotem obrzydzenia; nie nazywano ich inaczej, jak mężami krwi, opilcami krwi, ludożercami. W niektórych stronach Francyi, tam mianowicie, gdzie kreatury Góry rządziły ze szczególną srogością, ludność sama ujęła prawo w rękę i odmierzała sprawiedliwość Jakobińską miarą; ale w Paryżu karano z zachowaniem porządku i form prawnych, a kary w porównaniu z mnogością zbrodni były bardzo nie liczne, bardzo łagodne w porównaniu z okropnością zbrodni.

W kilka dni po dziewiątym Termidora uwięzieni zostali dwaj najnikczemniejsi z ludzi, Fouquier Tinville, którego Barère był umieścił w Trybunale Rewolucyjnym, i Lebon, którego bronił przed Konwencyą. Tego samego losu doznał niebawem trzeci złoczyńca, Carrier, słynny tyran Nantejski. Śledztwa tych trzech ludzi wydobyły na jaw okropności przechodzące wszystko co podaje Suetoniusz lub Lampridius o najgorszych z Cezarów. Ale ukarać ich, podrzędnych agentów, którzy jakkolwiek niegodziwie działali, przecież tylko zgodnie z duchem Rządu któremu służyli, a nie tknąć głów tego okropnego Rządu, było niepodobieństwem. W Konwencyi i po za Konwencyą podniósł się krzyk o sprawiedliwość na Barèra i na jego wspólników Billaud'a i Collot'a.

Dwaj ostatni, pomimo wszystkich swoich przywar, zdaje się, że byli przynajmniej odważni. Nie poddali się i nie upokorzyli, a przeciw nienawiści i wzgardzie ludzkości stawili naprzód opór zacięty, a potem ponurą i chmurną cierpliwość. Barère przeciwnie; skoro tylko zaczął pojmować prawdziwe znaczenie Rewolucyi Termidorowej, w tej chwili zaczął odsuwać się od Góry, i starał się przybliżyć do dawnych swoich przyjaciół z partyi umiarkowanej. Oświadczał gdzie tylko mógł, że nigdy nie był za surowemi środkami, i że zawsze opłakiwał i potępiał postępek Konwencyi z Żyrondystami. Z tej samej mownicy, z której tak niedawno wołał o rzeź i zniszczenie, teraz głosił słowa miłosierdzia i ludzkości. »Nadszedł wreszcie

»czas, mówił, »że możemy bez niebezpieczeństwa pofolgować »łaskawości naszej — teraz już bezpiecznie możemy czasowe »więzienie uważać za dostateczną karę na polityczne przestęp- »stwa.« Dwa tygodnie zaledwo minęło, odkąd ostatni raz z tego samego miejsca piorunował na umiarkowanie, które śmié wspominać o litości, tylko dwa tygodnie, odkąd przestał posyłać ludzi pod gilotynę w ratach po trzystu na tydzień. Chciał teraz tak sobie przejednać Umiarkowanych kosztem Terrorystów, jak przed rokiem przejednał był Terrorystów kosztem Umiarkowanych. Ale się oszukał; odwrotu nie zostawił sobie żadnego; jego twarz, jego głos, jego błazeńskie żarty, jego górnolotne gadaniny, wszystko to obrzydło Konwencyi. Ilekroć się odezwał, przerywano mu szmerem; co chwila musiał słuchać gorżkich przycinków do swojego tchórzostwa i zdrady. Raz, kiedy Carnot mając zdawać sprawę z któregoś z odniesionych zwycięztw, tak dalece zapomniał o powadze swojego stanowiska, że pozwolił sobie pewnych zwrotów przypominających retorykę Barèra w podobnych wypadkach, przerwano mu okrzykiem: »Dość już karmaniolów, precz z konceptami Barèra.«

Nakoniec, w pięć miesięcy po Rewolucyi Termidorowej, uchwaliła Konwencya, że wyznaczonym zostanie wydział z dwudziestu jeden członków do roztrząśnienia postępków Barèra i jego dwóch kolegów Billaud i Collot. Wydział ten w przeciągu kilku tygodni gotów był ze sprawozdaniem. Dowiadujemy się z tego sprawozdania, że znaleziono podówczas pismo z podpisem Barèra, w którem tenże podawał sposób ostatecznego wydoskonalenia i wykończenia Terroryzmu; mianowicie chciał podzielić Francyę na okręgi; z okręgu do okręgu przenosić się miały wędrowne Trybunały Rewolucyjne, złożone z najzaufańszych Jakobinów, a gilotyna wszędzie i zawsze miała podróżować w ich orszaku.

W obronie swojej nalegał Barère przedewszystkiem na to, że nie można bez pogwałcenia wolności rozpraw, uważać za zbrodnię mów jego, lub wniosków jakie stawiał w Kon-

wencyi. Na to zapytał go wydział, jak może uciekać się do tego środka obrony, on, który tylu posłów skazał na śmierć li tylko na podstawie zdań wypowiedzianych w Konwencyi; a on nie znalazł nic do odpowiedzenia, jak tylko że ubolewać należy, że ta święta zasada kiedykolwiek została pogwałconą. Sobie zaś przypisywał wielką część zasługi w Rewolucyi dziewiątego Termidora. Ale ludzie, którzy dla niej narażali życie, i którzy dobrze wiedzieli, że gdyby im się nie było powiodło, Barère byłby niezawodnie wniósł aby ich ściąć bez sądu, że byłby wydał proklamacyę obwieszczającą całej Francyi ich występek i karę, ci ludzie nie byli wcale skłonni do przyznania mu owej mniemanej zasługi. Przypomnieli mu raczej, jak na czterdzieści ośm godzin tylko przed ostatecznem rozstrzygnięciem sporu podchlebiał i kadził Robespierrowi z trybuny. Odpowiedź jego była jego godną. »Potrzeba było udawać, rzekł, »potrzeba było schlebiać próżności Robespierra, na to, żeby go pochwałami popchnąć do natarcia; i to był powód, dla którego obarczyłem go pochwałami, z których mi zarzut robicie. Któż kiedy wyrzucał Brutusowi, że udawał przed Tarquiniuszem?«

Oskarżeni triumwirowie mieli jeszcze jeden sposób ratunku. Między wyrobniczą ludnością stolicy panowała podtenczas wielka nędza; tej uczepili się Jakobini i jęli się przypisywać ją Termidorowej reakcyi, łagodności nowego rządu względem Arystokratów, a wreszcie krokom przedsięwziętym przeciw członkom rządu dawnego. Nie ma niedorzeczności, w którąby nie uwierzyła ludność, która nic nie jadła na śniadanie, i która nie wié co będzie jadła na obiad. Motłoch z przedmieścia św. Antoniego wzburzył się na nowo, odgrażał się na Konwencyę i z hałaśliwym krzykiem domagał się uwolnienia prześladowanych patryotów. Ale Konwencya nie była już dziś taką, jaką bywała za czasów, gdy środki takie zbyt dobrze udawały się przeciwko Żyrondystom; wzmogła się ona na duchu, doświadczyła już swoich sił, i miała środki wojskowe na rozkazy. Rozruch przytłumiono, i postanowiono jeszcze tego

samego wieczora, że Billaud, Collot i Barère przewiezieni zostaną do odległego jakiegoś miejsca przymusowego pobytu.

Rozkaz ten Konwencyi następnego zaraz dnia został wykonanym. Ustęp, w którym Barère opisuje tę swoją podróż, jest najwiarogodniejszym i najbardziej zajmującym z całych jego Pamiętników. Nie ma świadka tak niegodziwego, którego zeznania sądby nie przyjął, jeżeli świadczy sam przeciwko sobie, i dlatego samemu nawet Barèrowi można dać wiarę, kiedy opowiada do jakiego stopnia był powszechnie wzgardzonym i znienawidzonym.

Powóz, w którym miał być wywiezionym, przejeżdżał pod eskortą żołnierzy przez całą długość ulicy St. Honorè; w mgnieniu oka zgromadził się około niego tłum ludzi i powiększał się z każdą chwilą. Na schodach przed kościołem świętego Rocha stały długie szeregi ciekawych. Powóz z trudnością torował sobie drogę wśród mnóstwa ludzi, którzy się do niego czepiali, wrzeszcząc, przeklinając, i usiłując wyłamać drzwiczki. Barère sądził się być w niebezpieczeństwie życia, i na własne żądanie zaprowadzonym został do jakiegoś urzędu, gdzie spodziewał się znaleźć bezpieczne schronienie, dopókiby się tłumy nie rozeszły. W Konwencyi tymczasem odbywała się druga narada nad jego losem. Niektórzy chcieli postąpić z nim tak jak on postępował z lepszymi od siebie, to jest wyjąć go z pod prawa i bez sądu oddać w ręce kata. Ale uczucie ludzkości, które od dnia dziewiątego Termidora kierowało wszystkiemi obradami, powstrzymało deputowanych od przyjęcia tego wniosku.

Nadeszła wreszcie noc, a z nią spokój na ulicach. Z uderzeniem dwunastej Barère pod silną strażą wyruszył w dalszą podróż. Wieziono go przez rzekę, do miejsca, gdzie gościniec orleański wychodzi z południowego bulwaru; stały tam dwa podróżne powozy; w jednym siedział Billaud strzeżony przez dwóch oficerów, dwóch innych oficerów czekało na Barèra. Collot już przedtem był w drodze.

W Orleanie, który od Jakobińskiej tyranii strasznie był ucierpiał, otoczył byłych deputowanych wielki tłum ludu i uwziął się rozszarpać ich w kawały. Zebrano na ich obronę wszystkich gwardzistów narodowych z pobliża, która to siła nie była wcale za wielką w stosunku do niebezpieczeństwa, bo cały tłum gonił za powozami daleko jeszcze na drodze ku Blois.

W Amboise dowiedzieli się więźniowie, że Tours gotowało się na ich przyjęcie. Na wspaniałym moście oczekiwał ich wielki natłok ludzi i przysięgał, że tym, pod których rządami cała Ligiera zapchana była trupami, da sposobność dokładnego zapoznania się z naturą noyady. Oficerowie, pod których strażą zostawali złoczyńcy, tak wskutek tych wieści rozporządzili podróżą, że dopiero o drugiej po północy zajechano do Tours, i to prosto przed dom pocztowy. W jednej chwili przeprzężono konie i ruszono dalej całym pędem. W istocie nie było ani chwili do stracenia, bo wieść o ich przyjeździe gruchnęła, ujrzano światła w ruchu, miasto się zaniepokoiło, a z turkotem ujeżdżających powozów mieszał się gwar ludności, zagniewanej że jej się zemsta wymknęła.

W Poitiers znowu było źle z nimi. Ruszywszy ze stacyi pocztowej, ujrzeli więźniowie całą ludność, która z zaciętością goniła za nimi po stromej pochyłości, na której stoi miasto. Dalej przejeżdżali popod Niort, ale nie mogli się ośmielić tam wstąpić; mieszkańcy wysypali się na drogę w groźnej postawie i chcieli zmusić postylionów żeby stanęli, ale ci zacięli konie i wkrótce zostawili miasto za sobą. Wśród takich niebezpieczeństw dowieziono krwawych morderców w całości do Rochelle.

Przeznaczonem dla nich miejscem pobytu było Oleron, pusta wysepka w zatoce Biskajskiej. Więźniów umieszczono w twierdzy; każdy miał jeden pokój osobny, i osobną wartę przy drzwiach; każdy dostawał dziennie żywność jednego żołnierza. Nie wolno im było znosić się z załogą ani z ludnością wyspy, a wkrótce po przyjeździe odebrano im wolność przechadzania się po okopach; jedynem miejscem, na którem wolno

im było używać ruchu, była esplanada, na której się wojsko musztrowało.

W tem położeniu zostawali od niedawnego czasu, kiedy doszła ich wiadomość, że Jakobini paryzcy pokusili się raz jeszcze o odzyskanie swej przewagi, że zajadła zgraja ludzi wdarła się raz jeszcze do sali posiedzeń, zamordowała jednego z posłów i głowę jego zatknęła na pikę, że życie Prezydenta było przez chwilę w wielkiem niebezpieczeństwie, i że niektórzy członkowie Konwencyi mieli czoło połączyć się z burzycielami. Ale wojsko nadeszło na czas, żeby niedopuścić rzezi; buntownicy poszli w rozsypkę, rozbrojono ludność burzliwych dzielnic miasta, występni posłowie ponieśli zasłużoną karę swojej zdrady, a moc Góry przełamaną została na zawsze. Zajście to wzmogło tylko powszechny wstręt do Terroru i jego sprawców. Jeden z członków Konwencyi wniósł, aby skarać na głowę więźniów z Oléron, inny, żeby ich przywieźć napowrót do Paryża i stawić przed sąd wojenny. Wnioski te odrzucono, ale coś przecie uczyniono dla zaspokojenia stronnictwa, które domagało się surowości. Statek z wielkim pośpiechem w Rochefort przysposobiony do dalekiej podróży, zawinął do Oléron; Collot i Billaud musieli niezwłocznie udać się na pokład i popłynęli prosto do Guyany, gdzie Collot niebawem zapił się na śmierć wódką. Billaud żył długie lata, unikając ludzi, nawzajem przez nich unikany, w wolnych chwilach uczył gadać papugi i tem skracał sobie samotność. Dlaczego zrobiono różnicę między Barèrem a jego współwinnymi, tego nie tłomaczy ani on sam, ani ile wiemy żaden inny pisarz. Nie zdaje się, jakoby ją zrobiono z przychylności dla Barèra, gdyż niebawem nadeszły z Paryża rozkazy, aby go stawić przed sądem karnym Departamentu wyższej Charente, i przeprowadzić śledztwo jego zbrodni. Stósownie do tego rozkazu przewieziono go z Oléron na ląd stały i trzymano przez kilka miesięcy w Saintes, w starym klasztorze od niedawna zamienionym na więzienie.

Podczas gdy on tam nędzny prowadził żywot, nowy porządek rzeczy, sprowadzony termidorowem przesileniem, znalazł się na chwilę w niebezpieczeństwie. Stronnicy Burbonów, rozzuchwaleni łagodnem obejściem, którego doznawali od czasu upadku Robespierra, nietylko że sobie pozwalali głośno i bez ogródki wyznawać swoje zasady, ale nawet broń podnieśli przeciw Konwencyi; pokonano ich wprawdzie, ale nie obeszło się bez znacznego przelewu krwi na ulicach Paryża. W skutku tego czujność władz obróciła się głównie w stronę Royalistów, a dotychczasowa surowość postępowania z Jakobinami nieco zwolniała. Konwencya na nowo wprawdzie postanowiła zesłać Barère do Guyany, ale postanowienie to nigdy nie zostało wykonanem. Więzień prawdopodobnie nie bez wspólnictwa możnych osób, umknął z Saintes do Bordeaux, gdzie przez lat kilka chronił się w tajemnem ukryciu; pomiędzy nim a rządem musiał jednak być jak się zdaje jakiś rodzaj porozumienia, stanowiącego, że jak długo Barère będzie się ukrywał, Rząd go nie znajdzie: ale, że skoroby się odważył wyjść na widok publiczny, poniósłby natychmiast skutki swojej nieroztropności.

Dopokąd istniała konstytucya z roku 1795, z wykonawczym Dyrektoryatem, z radą Starszych i z radą Pięciuset, Barère był zawsze wyjęty z pod opieki prawa. Napróżno, nawet w chwilach kiedy polityka Góry zdawała się na nowo przeważać, napróżno prosił o zniesienie wyroku Konwencyi; wstydzili się go nawet jego współbracia w królobójstwie, nawet sprawcy Fructidorowych uwięzień i rzezi Vendennaira.

W półtora roku mniej więcej po ucieczce z więzienia, imię jego znowu zabłysło przed światem. W rodzinnej swej prowincyi zachował on był nieco z swej dawnej popularności. Tłomaczy się to tem, że od upadku Monarchii ani razu w swoich stronach nie postał. Górale Gaskońscy w tak znacznem oddaleniu od stolicy rządu, bardzo niedokładnie byli uwiadomieni o tem co się tam działo. Wiedzieli tylko, że ich plemiennik znaczną tam grał był rolę, i że popierał niekiedy

miejscowe ich sprawy i korzyści; trwali więc przy nim w jego nieszczęściu i upadku, ze stałością, która dziwnie odbija od jego własnej zmienności. Naraz, cała Francya zdumiała się na wieść, że departament Wyższych Pyreneów obrał wygnanego tyrana posłem swoim do Rady Pięciuset. Rada ta, która podobnie jak angielska Izba Gmin sama była sędzią wyborów swych członków, nie chciała przyjąć Barèra. Na wszystkich ławach powstał krzyk oburzenia, gdy wyczytano na liście jego nazwisko. »I któż, zawołał jeden z członków, »kto chciałby siedzieć koło takiego potwora?« »Nikt, nikt«, ozwały się mnogie głosy, a jeden z posłów oświadczył, że opuściłby swoje krzesło, gdyby sala obrad skalaną być miała obecnością takiego nędznika. Wybór został unieważnionym na zasadzie, że wybranym był zbrodniarz ukrywający się przed sprawiedliwością; a nad pobłażaniem, które znosiło, że ten zbrodniarz chodził wolno po świecie, niejedną ostrą zrobiono uwagę.

Później próbował Barère wkręcić się w łaski Dyrektoryatu napisaniem obszernego paszkwilu na Anglię pod tytułem »Wolność Mórz.« Pochlebiał sobie z zupełnem zaufaniem, że dzieło to sprawi wielkie wrażenie. Wydrukował trzy tysiące exemplarzy, a na pokrycie kosztów druku sprzedał jakiś folwarczek za dziesięć tysięcy franków. Książka wyszła, ale nikt jej nie kupował; w skutku, jeżeli mamy wierzyć temu co Barère utrzymuje, intryg Pitta, który przekupił Dyrektoryat, żeby ten zakazał recenzentom i dziennikarzom zwracać uwagę publiczności na ten atak tak straszny dla morskiej potęgi zdradzieckiego Albionu.

Przemieszkał tak Barère w Bordeaux trzy lata, kiedy mu jednego razu doniesiono, że w rocznicę dziewiątego Thermidora pospólstwo zamierza go nawiedzić, i prawdopodobnie wyrządzić mu to, co on sam w obronie swego przyjaciela Lebon nazwał był najsłuszniejszą sprawiedliwością w formie nieco za szorstkiej. Musiał się coprędzej przebrać za cieślę od warsztatów okrętowych, i w tym stroju, z węzełkiem wiórów pod pachą uciekł i skrył się między winnicami, które

opasują miasto; przyczaił się tam w jakiejś wieśniaczej chacie, a gdy już minęła groźna rocznica, chyłkiem znowu powrócił do miasta. W kilka miesięcy później znalazł się znowu w niebezpieczeństwie, nie chciał więc dłużej pozostać na miejscu, i osądził, że najbezpieczniej mu będzie w bliskości Paryża. Opuścił zatem Bordeaux, niepoznany od nikogo przemknął się przez te wszystkie miasta, które przed czterema laty groziły mu śmiercią, przez Paryż przejechał o świtaniu, kiedy na ulicach nie było nikogo, oprócz chłopców otwierających okienice od sklepów, i stanął cało w milej wiosce St. Ouen nad Sekwaną. W zupełnem odosobnieniu przepędził tam kilka miesięcy; a przez ten czas Bonaparte powrócił z Egiptu, stanął na czele wszystkich stronnictw niezadowolonych i sprzymierzonych przeciw Dyrektoryatowi. Zamiary swoje osłonił powagą Rady Starszych, Pięciuset wypędził bagnetami z sali posiedzeń, i został absolutnym Monarchą Francyi pod tytułem Pierwszego Konsula.

Zaręcza nam Barère, że ten obrót rzeczy zakrwawił mu serce, że widzieć Francyą pod jarzmem jednego Pana, było mu nieznośnem; że, gdyby posłowie byli godnymi swego wielkiego powołania, byliby powinni oddać pod sąd chciwego władzy jenerała, który ich znieważył, — ale te piękne uczucia nie przeszkodziły mu prosić opieki u nowego Rządu, i złożyć pierwszemu Konsulowi ozdobnego exemplarza Rozprawy o wolności mórz.

Polityką było Bonapartego puszczać całą przeszłość w zapomnienie; wyszedł on po części z Rewolucyi, a po części z Reakcyi; był panującym, a zarazem był wyniesionym przez najnowsze wypadki, i dlatego miał pewne strony wspólne z Jakobinami, inne wspólne z Monarchistami. Przyjmował chętnie każdego, kto tylko trzymał z jego rządem, Regalistę czy Jakobina, a każdego kto rządowi jego nieprzyjaznym się okazał, Regalistę czy Jakobina, obalał i karał. Ludzie, którzy brali udział w najgorszych zbrodniach Terroru, spotykali się w jego przedpokojach i w jego więzieniach z ludźmi, którzy

walczyli w obozie Kondeusza. Jednym i tym samym krzyżem ozdobił Fouchègo i księdza Maury; Arenę i Cadoudala posłał na jedno i to samo rusztowanie. Od rządu działającego na takich zasadach, Barère z łatwością otrzymał przebaczenie, ktorego mu Dyrektoryat statecznie odmawiał; odwołano wyrok Konwencyi i pozwolono mu mieszkać w Paryżu. Wszelako przebaczenie to nie było mu udzielonem pod najzaszczytniejszemi warunkami, bo przez czas jakiś zostawał pod szczególnym dozorem policyi. Pomimo tego jednak nie omieszkał kłaniać się dworowi w pałacu Luxemburskim, gdzie Bonaparte zajął był mieszkanie, i miał zaszczyt usłyszeć kilka słów suchych i obojętnych niedbale mu rzuconych przez pierwszego Konsula.

Od tej chwili zaczyna się nowy rozdział historyi Barèra. Co zajść mogło między nim a Rządem Konsularnym, o tem oczywiście nie można wiedzieć tak dokładnie, jak się wié o jego mowach i sprawozdaniach w Konwencyi. Ze znanych atoli faktów i z rozsypanych w jego pamiętnikach wskazówek, można powziąć dostateczną wiadomość o tem, co tam istotnie zajść musiało. Bonaparte chciał kupić Barèra, Barère gotów był się sprzedać Bonapartemu; chodziło tylko o cenę, a tu istotnie zachodziła ogromna różnica między tem czego Barère żądał, a tem co Bonaparte dać był gotów. Bonaparte u którego namiętność woli, stateczność zamiaru, i zaufanie we własnym gieniuszu nietylko były wielkie, ale dochodziły niekiedy do szaleństwa, z pogardą patrzał na Barèra, najmiększego i najpodlejszego z ludzi. Zdolny popełnić zbrodnię przez żądzę władzy, zemsty, lub przez dumę, wolny był zupełnie od tego szalonego pragnienia łez i krwi, jakiemi się odznaczali niektórzy z Jakobińskich hersztów. Prześladować Terrorystów i skazywać ich na wygnanie nie zgadzało się bynajmniej z jego polityką; ale ze wszystkich rodzajów ludzi, objętych obszernym jego systemem, oni właśnie byli mu najwstrętniejsi, a Barère był z nich wszystkich najgorszym. Nędznika tego napiętnowała była infamią naprzód Konwencya, później Rada Pię-

ciuset; mieszkańcy czterech czy pięciu miast chcieli go kiedyś rozszarpać na sztuki; przywar swoich nie odkupował on żadnemi zdolnościami prawodawcy lub administratora, niemądrze zatem byłoby postawić na stanowisku ważnem lub zaszczytnem człowieka tak złego, tak zhańbionego, tak znienawidzonego i tak mało uzdolnionego do sprawowania ważnych politycznych urzędów. Ale za to była inna droga, na której jak się zdawało, człowiek ów mógł był stać się użytecznym rządowi. Pierwszy konsul, jak sam później przyznał, przeceniał wielce zdolności pisarskie Barèra. Pamiętał, że jego sprawozdania z czynności Komitetu Bezpieczeństwa robiły ogromne wrażenie przy ogniskach obozowych wojsk Rzeczypospolitej; sam Napoleon, młody podówczas żołnierz, zachwycał się nad temi pismami, które miały wiele wspólnego z rapsodami jego ulubionego poety Macphersona [1]). Prawdę mówiąc, smak tego wielkiego wojownika i polityka nigdy nie był zbyt czystym. Jego bulletyny, rozkazy dzienne i proklamacye, są niekiedy istotnie arcydziełami w swoim rodzaju; ale zbyt często niestety dostrzegać się nam dają w najlepszych nawet jego pismach wyraźne ślady Karmanijolów i Fingala. Nic dziwnego zatem, że chciał sobie zapewnić pomoc Barèrowego pióra. Ale nie poprzestał na tem — były członek Komitetu Publicznego Bezpieczeństwa oddawać miał rządowi konsularnemu innego jeszcze rodzaju usługi. Zdawało się, że on łatwo powinienby znaleźć przystęp do tych ponurych jaskiń, gdzie kryli się przed przekleństwami ludzkości Jakobini, których zatwardziałość nie dała się przezwyciężyć żadnemi wyrzutami, lub których występki nie mogły znaleźć przebaczenia. Nie było przedsięwzięcia tak zuchwałego ani tak krwawego, na które nie mogliby się porwać ludzie rozwścieklenі fanatyzmem a oswojeni z nędzą i ze śmiercią. Rządowi zależało na tem wiele, aby wiedzieć co się dzieje na tajnych ich naradach, a nikt nie mógł lepiej jak Barère dostarczać mu tych wiadomości.

[1]) Ossyan.

Z tych to powodów piewszy Konsul gotów był używać Barèra jako pisarza i jako szpiega. Ale Barère? Czyż podobna, żeby przystał na takie spodlenie? Zły był, to prawda; ale odegrał przecież wielką rolę w świecie, należał przecie do tych tyranów, którzy cały świat napełniają odgłosem swych zbrodni; przecież był kiedyś członkiem gabinetu, który rządził Francyą z nieograniczoną władzą, a z całą Europą wojował z tak świetnemi skutkami. Co więcej, był, nie najpotężniejszym wprawdzie, ale z wyjątkiem jednego tylko Robespierra, najsłynniejszym, najgłośniejszym członkiem tego gabinetu: imię jego znane było każdemu dziecku od Moskwy do Filadelfii, od Cadyxu do Edynburga; na jego rękach była krew królowej francuzkiej i najznakomitszych francuzkich mowców i filozofów — on przemówił, a postanowiono, że pług zaorze szczątki wielkiego miasta Lyonu; przemówił znowu, a wydano wyrok, że z Tulonu nie zostanie kamień na kamieniu. Kiedy ktoś zbrodnią wyniesie się tak wysoko, to nienawiść jaką wzbudza, pomięszana jest z trwogą, a miejsce jego jest obok wielkich tyranów, jak Kritias, jak Sylla, jak Eccelino lub Borgia, a nie obok najemnych pismaków i policyjnych wyżłów!

Cnota, przyznaję, jest próżną przechwalką —
Ale godność występku należy przecież zachować.

Tak mówi Pope, i tak myślał Barère. Kiedy go zapytano, czyby się nie podjął wydawnictwa dziennika po myśli i na obronę konsularnego Rządu, wstyd i wściekłość natchnęły go po raz pierwszy i ostatni, czemś, jakby odwagą. Jego, który wobec całej ludzkości zajmował stanowisko tak wielkie jak Pitt lub Washington, jegoż to namawiano teraz dumnie i chłodno, żeby zstąpił tak nisko? I musiał jeszcze widzieć w konwulsyach zazdrości, jak między nim a innymi rewolucyjnymi mężami stanu, których wezwano teraz do usług rządowych, ogromną robiono różnicę. Od tamtych żądano wprawdzie poświęcenia wyznawanych dotąd zasad, ale nie żądano, aby się wyrzekli tego, co zdaniem gminu stanowi osobistą godność. Tamtych porobiono Trybunami, Prawodawcami, Rad-

cami Państwa, Ambasadorami, Ministrami, Senatorami, Konsulami; tamci mogli się spodziewać, że z wzrastającą fortuną swego pana wyjdą jeszcze wyżej, i w istocie, dla wielu z pomiędzy nich chowała jeszcze przyszłość wstęgi Legii Honorowej i gwiazdy Żelaznej Korony, hrabstwa, księztwa, arcykanclerstwa i arcypodskarbstwa. A on, Barère, przed sześciu laty zaledwo był od nich wszystkich daleko możniejszym, daleko głośniejszym, i miał teraz, podczas gdy tamci mieli być godnymi przedstawiać Majestat Francyi u zagranicznych dworów, kiedy w złocistych przedpokojach przyjmować mieli roje supplikantów, on miał życie strawić na mierzeniu artykułów i na łajaniu korektorów drukarskich! Tego było za wiele. Usta, które nigdy przedtem nie umiały złożyć się do wymówienia słowa Nie, wyjąknęły teraz urazę i odmowę. »Nie mogłem, takie są własne słowa Barèra, »nie mogłem poniżyć się »do tego stopnia, żeby służyć pierwszemu konsulowi w obo»wiązku dziennikarza, kiedy ludzie tak nic nieznaczący, podli »i służebni jak Treilhard, Roederer, Lebrun, Maret i tylu in»nych, których zbytecznie byłoby wymieniać, zajmowali naj»wyższe stanowiska w tym rzędzie Parwenijuszów.«

Ale niedługo potrwał ten wybuch dumy i odwagi. Napoleon był nieubłagany. Podobno przez czas jakiś był na pół skłonnym przyjąć Barèra do Rady Państwa; ale członkowie korporacyi stawili naprzeciw tej myśli najsilniejsze przedstawienia i oświadczyli, że nominacya ta byłaby dla nich wszystkich obelgą. Napoleon odstąpił od swojej myśli, a Barèrowi pozostał tylko jeden sposób pozyskania łask Rządu, to jest, poniżyć swoją dumę, zapomnieć, że był czas, kiedy trzema słowami mógł ściąć głowy tych wszystkich trzech konsulów i wziąć się skromnie i pilnie do pisania paszkwilów na Anglię i panegiryków na Bonapartego.

Często dają się słyszeć zapewnienia, niewiadomo nam na jakiej podstawie, jakoby Rząd używał był Barèra nietylko do pisania, ale nadto do cenzurowania tego, co pisali inni. On sam gwałtownie odpierał to posądzenie w Pamiętnikach,

ale czytelnik zgodzi się zapewne z nami, że jego zaprzeczenie bynajmniej tej sprawy nie rozstrzyga.

Tyle pewnego, że jeżeli go co wstrzymało od przyjęcia obowiązków cenzora, to nie skrupuły sumienia, ani uczucie honoru: bo przyjął urząd, obok którego cenzorstwo, jakkolwiek ohydne, wydać się może godnem i dobroczynnem powołaniem. Żeby się grzecznie wyrazić, zaczął mieć stosunki z policyą. Nie zapewniamy, jakobyśmy sami wyrobili sobie dokładne pojęcie o naturze nowych obowiązków Barèra, lub innym mogli o nich dać wyobrażenie. Jest to powołanie w Anglii zupełnie nieznane. Trafiało się u nas często, że spisek jakiś odkrytym został rządowi przez jednego ze sprzysiężonych; donosiciel dostawał niekiedy polecenie, żeby nadal szedł pozornie razem ze swoimi wspólnikami, w celu, żeby dać dojrzeć złemu zamiarowi, a skoro rolę swoją odegrał, znikał zawsze z przed oczu świata, zasłany gdzieś do jakiejś nieznanej wioski, lub do odległej kolonii. Opinia w Anglii potępia jaknajsurowiej posługiwanie się rządu szpiegami, nawet w takiej mierze; a szpieg polityczny z profesyi jest stworzeniem, z którego nasza wyspa jest tak oczyszczona, jak z wilków. Ale we Francyi plemię to dobrze jest znanem, a nigdy nie było liczniejszem, zajadlejszem, chytrzejszem i szkodliwszem, jak właśnie pod rządami Bonapartego.

Pojęcie nasze o tem czem jest właściwie taki jegomość, zostający w stosunkach z konsularną i cesarską policyą, może zatem być niedokładne, ale takie jak jest, spróbujemy udzielić go czytelnikom. Wyobrażamy sobie człowieka dobrze ubranego, ze słodziutkim głosem i uprzejmem obejściem. Przekonania jego są zupełnie takie same, jak przekonania ludzi z którymi się znajduje, tylko nieco dalej posunięte. Użala on się często z szlachetnem oburzeniem, że to co się mówi w prywatnych rozmowach, dziwnemi jakiemiś drogami dochodzi do rządu, i przestrzega znajomych, żeby bardzo uważali na to co mówią, jeżeli nie są zupełnie pewni towarzystwa, w którem się znajdują. On sam, wyznaje to szczerze, jest bardzo nieostrożnym

w mowie; nie może nigdy wstrzymać się od powiedzenia tego, co myśli, i dla tej to przyczyny nie jest Prefektem Departamentu. Jednego razu zdarza mu się podsłuchać w jednej z galeryj w Palais Royal dwóch ludzi rozmawiających z zajęciem o królu i hrabi d'Artois; idzie za nimi krok w krok, zachodzi do kawiarni, siada przy najbliższym kolo nich stoliku, każe sobie dawać czarną kawę, kieliszek cognacu i gazetę, i zatapia się napozór w wiadomościach dziennych. Tamci tymczasem rozmawiają dalej swobodnie, tonem ludzi gorąco przywiązanych do wygnanej rodziny królewskiej. Wstają nareszcie, a szpieg idzie za nimi przez całe bulwary, dopóki nie wytropi ich mieszkania, gdzie od odźwiernego dowiaduje się o nazwiskach. Od tej chwili każdy list do którejkolwiek z tych osób, idzie z poczty prosto do policyi, która go otwiera, a rząd poznaje wszystkich, którzy się z nimi znoszą listownie i czujnie ich śledzi. Kilkanaście uczciwych rodzin w różnych stronach Francyi spostrzega naraz, że władze patrzą na nie krzywo, nie mogąc się domyśleć w czem mogły przewinić; a niebawem jeden z podejrzanych zostaje usuniętym z urzędu, drugi dowiaduje się z przerażeniem, że jego syna wydalono ze szkoły politechnicznej. Innym razem spotyka się niezmordowany sługa rządu z zatwardziałym Republikaninem, który się ze zmianą czasów nie zmienił, który żałuje zawsze drzew wolności i frygijskich czapek, który się nie oduczył mówić Ty, a wszystkie swoje listy kończy zawsze słowami »Pozdrowienie i Braterstwo.« Przed tym znowu nieugiętym politykiem wynurza się nasz przyjaciel z nieskończonemi żalami. »Co za czasy! Co za ró»żnica od owych dni, kiedy Góra rządziła Francyą! Czemże »jest pierwszy konsul, jeżeli nie królem bez tytułu króla? »Czem Legia Honorowa, jak nie nową Arystokracyą? Z da»wnym uciskiem powracają nawet dawne zabobony. Mamy już »traktat z Papieżem i dotacye dla duchowieństwa; emigranci, »arystokraci powracają tłumnie, i w Tuileriach lepiej są widziani »niż ludzie dziesiątego Sierpnia. Długo tak zostać nie może, »bo czemże jest życie bez wolności! i czem jest śmierć dla

»prawego patryoty.« Na taką mowę zapala się stary Jakobin, daje i odbiera nawzajem uścisk braterski, i natrąca, że gotują się wielkie rzeczy, że ród Brutusów i Harmodiusów jeszcze nie wygasł, — a nazajutrz sam jest w więzieniu, a jego papiery w rękach rządu.

Do tego rzemiosła, obok którego rzemiosło żebraka, rzezimieszka, rajfura, jest jeszcze szanownem, zniżył się Barère. Było u niego niezmiennym zwyczajem, ile razy się zaciągał w szeregi nowego stronnictwa, płacić wstępne głowami dawnych przyjaciół. Bywał naprzód Monarchistą, i odkupił to, podlewając drzewo wolności krwią króla Ludwika; był potem Żyrondystą, i zadość uczynił za ten grzech morderstwem Żyrondystów; później łasił się Robespierrowi aż do ósmego Thermidora, a dziewiątego wynagrodził to wnioskiem, żeby ściąć Robespierra bez sądu; a teraz, kiedy przyjął służbę u nowego Rządu, na zadośćuczynienie za swoje republikańskie herezye, posyłał republikańskie głowy pod gilotynę.

Do najpoufalszych i najbliższych jego towarzyszów należał był niegdyś Gaskończyk pewien, imieniem Demerville, używany niegdyś do spraw najpoufniejszych przez Komitet Bezpieczeństwa. Człowiek ten fanatycznie przywiązany do Jakobińskich zasad polityki, uknuł w porozumieniu z podobnymi sobie zapaleńcami, zamach na pierwszego konsula. Raz, w rozmowie z Barèrem wymknęło mu się coś, co tego naprowadziło na ślad spisku; Barère pobiegł natychmiast z doniesieniem do jenerała Lannes, komendanta gwardyi konsularnej; Demerwille został schwytany, oddany pod sąd i ścięty, a pomiędzy świadkami, którzy przeciw niemu zeznawali, figurował przyjaciel jego Barère.

Całe to przejście opisane jest w pamiętnikach w sposób umyślnie powikłany i do wysokiego stopnia nieuczciwy. A przecież z pod mnóstwa fałszów i mnóstwa sztucznych zawiłości, udało nam się, jak rozumiemy, wydobyć kilka prawd, które autor starannie ukryć usiłował. Widocznem jest dla nas, że Rząd podejrzywał Barèra o to, co Włosi nazywają podwójną

zdradą; że takie podejrzenie na nim ciążyło, wydaje nam się rzeczą bardzo naturalną. Wszak w niedawnych jeszcze czasach wyznawał on i głosił gorliwie Jakobińską doktrynę, że kto zgładzi tyrana, lepiej się ojczyźnie zasłuży, niż ten, kto ocali obywatela. Czyż można było wierzyć, żeby on, członek Komitetu Publicznego Bezpieczeństwa, zabójca króla, zabójca królowej, mógł naprawdę i szczerze chcieć wydawać w ręce kata swoich dawnych sprzymierzeńców, swoich najserdeczniejszych przyjaciół, dlatego tylko, że uknuli zamiar, który, jeżeli było cokolwiek prawdy w jego własnych mowach, był podług niego w najwyższym stopniu chwalebnym i cnotliwym? Nie mogłoż wydać się stokroć podobniejszem do prawdy, że on sam należał do spisku, a donosił o nim dlatego, żeby policyę uśpić i wprowadzić na fałszywe tropy? Nasadzono zatem szpiegów na szpiega; polecono mu wyjechać z Paryża i nie pokazywać się w okręgu dwudziestu mil od stolicy, aż do dalszych rozkazów; na chwilę nawet groziła mu podróż do Madagaskaru w towarzystwie dawnych przyjaciół.

Zdołał jednak tak dalece rząd sobie przejednać, że nietylko przez lat kilka pozwolono mu żyć swobodnie, ale nawet posługiwano się nim w robotach politycznych najniższego rodzaju. W lecie roku 1803, w chwili, kiedy właśnie wybierał się odwiedzić południową Francyę, odebrał pismo, które zasługuje, aby je tu umieścić. Pochodziło ono od jenerała Duroc, który jak wiadomo, cieszył się wielkiem zaufaniem i łaską Napoleona.

»Pierwszy Konsul uwiadomiony, że obywatel Barère za»mierza wyjechać na prowincyę, życzy sobie, aby tenże pozo»stał w Paryżu.«

»Obywatel Barère ma każdego tygodnia robić sprawo»zdanie na piśmie o stanie umysłów, o zapatrywaniu opinii »publicznej na postępowanie Rządu, i w ogóle wszystkiego, co »uznaniem tegoż obywatela obchodzić może pierwszego Konsula.«

»Obywatel Barère może pisać zupełnie swobodnie.«

»Raporta swoje, opieczętowane, składać będzie w własne »ręce jenerała Duroc, który doręczy je Pierwszemu Konsulowi.

»Rzeczą jest konieczną, aby nikt się ani domyślał o rzeczo-
»nych komunikacyach; jeżeliby zaś najmniejsze podejrzenie
»w tym względzie przecisnęło się do publiczności, Pierwszy
»Konsul zaprzestanie przyjmować raportów obywatela Barère.«

»Dobrze będzie, prócz tego, żeby obywatel Barère często
»umieszczał w dziennikach artykuły, podbudzające opinię gló-
»wnie przeciwko Anglii.«

Przez lat kilka wypełniał Barère obowiązki, jakie mu Pan jego wyznaczył. Co tydzień nosił do pałacu raporta pełne tego co mówiono po kawiarniach, a jego przyjaciele zaręczają, że nie żałował trudu, żeby zrobić jaknajwięcej złego powracającym emigrantom. Nie jego wina, jeżeli Napoleon nie był uwiadomionym o każdem sarkaniu, o każdym przycinku wymierzonym przeciw cesarstwu przez jakiego starego markiza, który utracił dobra, lub starego księdza pozbawionego beneficium. Pan Hipolit Carnot, z przykrością musimy powiedzieć, tak jest zaślepiony duchem stronnictwa, że tę brudną złośliwość liczyć się zdaje do cnót swojego bohatera.

W tym samym czasie był Barère niezmordowanym dziennikarzem i paszkwilistą. Wydawał pismo skierowane przeciw Anglii, które się nazywało *Mémorial Antibritannique* i zamyślał o pisaniu dzieła pod tytułem: *Francya wzniesiona na szczyt wielkości i chwały przez Napoleona;* bo po utworzeniu Cesarstwa dawny królobójca odszczególniał się nawet między tłumem pochlebców obrzydliwą płaskością swych podchlebstw. Przełożył na język francuzki najnędzniejszy tomik włoskich wierszy, który miał tytuł: *Wieniec Poetyczny na chwalebne wstąpienie na tron Napoleona Pierwszego, uwity przez Arkadyjskich Pasterzy;* słowem rozpoczął nowy szereg karmanijolów różnych zupełnie od tych, któremi niegdyś zachwycał Górę. Tytuł Cesarza Francuzów, był podług niego za skromny, Napoleon powinien był co najmniej być Cesarzem Europy. Król Włoch, to za mało, Król Królów! Tak powinien brzmieć tytuł Napoleona.

Ale w żadnym ze swoich zawodów, ani jako szpieg, ani jako dziennikarz, nie przydał się Barère na wiele. Narzeka on gorżko, że jego dziennik mało się rozchodził. Kiedy *Journal des Débats* pod zdolnym kierunkiem pana Geofroy wychodził przynajmniej w dwudziestu tysiącach exemplarzy, jego *Mémorial Antibritannique* w najświetniejszych swoich czasach nie miał nigdy więcej nad tysiąc pięćset prenumeratorów; a liczbę tę składali z bardzo małym wyjątkiem ludzie mieszkający daleko od Paryża, Gaskończycy prawdopodobnie, między którymi imię Barèra jeszcze do reszty nie było straciło na powadze.

Pisarz nie mogący znaleźć czytelników, przypisuje zawsze obojętność publiczności wszelkim możliwym przyczynom, tylko nie tej jednej, która jest prawdziwą i istotną. Barère nie stanowił wyjątku w tej powszechnej regule. Dawna jego nienawiść do Paryża odezwała się na nowo z całą zawziętością. Żaden Paryżanin nie chce trzymać dziennika, który popiera najistotniejsze interesa i potrzeby ojczyzny — to miasto nie kocha Francyi — dla Paryżanina nie ma nic śmieszniejszego, jak miłość ojczyzny; wyższe warstwy społeczeństwa Paryzkiego zawsze były oddane Anglii całą duszą; każdy kapral angielski lepiej u nich widziany, niż francuzki jenerał; rzecz prosta, że dziennik, który naciera na Anglią, nie może u nich znaleźć poparcia.

Przyczyny upadku tego Memoryału, wytłomaczył daleko lepiej Napoleon na wyspie świętej Heleny. Powiedział on raz panu O'Meara, że Barère uchodził za zdolnego człowieka, ale że on zdolnym go nie znalazł. »Używałem go do pisania, ale nie okazał przy tem zdolności; mnóstwo kwiatów retoryki, a żadnych argumentów, same *coglionerie* udrapowane w górnolotne i szumno brzmiące frazesy.«

Prawda zaś jest ta, że Barère choć sprawny i wysłużny, choć łatwo i szybko robił to co w ogóle zrobić był w stanie, nigdy przecież nie był dobrym pisarzem. Za dni swojej wielkości przemawiał był zwykle do słuchaczy, których łatwo było zagrzać w przedmiotach, które łatwo zagrzać mogły. Na błędy

jego stylu nikt nie zważał, bo był to czas zarówno literackiego jak społecznego bezprawia, i każdemu patryocie wolno było gwałcić zarówno prawidła pisania i mówienia, jak zasady prawodawstwa i moralności publicznej. Ale teraz nastał zwrot ze społeczną i literacką reakcyą. Tak jak powrócił na nowo tron, dwór, urzędy, ordery i hierarchia, tak samo odżył i klasyczny smak, i znowu czczono prozę Massillona i Pascala, wiersze Racin'a i Lafontain'a. Krasomówstwo, nad którem unosiły się galerye za czasów Konwencyi, nietylko że było tak przestarzałe i nie na czasie jak język Joinvilla lub Villehardouina, ale łączyło się w umysłach z wspomnieniami pełnemi zgrozy i okropności. Wszystkie właściwości i cechy stylu Anakreona gilotyny, wszystkie jego wyrażenia nieznane słownikom Akademii, jego dowcipy, jego żarty, jego Gaskońskie zwroty i Gaskońskie przesady, wszystko to było teraz tak nieznośnem, jak w Anglii po restauracyi ponura i chmurna pozorna świętość Purytanów.

Bonaparte, który Terrorystów nigdy nie lubił, po jakimś czasie przestał się ich i obawiać. On był wszechmocny i na szczycie chwały, oni słabi i powszechnie wzgardzeni; był monarchą i może już wtedy przemyśliwał o brataniu się z monarchami przez małżeństwo, rzecz prosta, że w tem nowem położeniu nie chciał żadnych stosunków z najgorszym rodzajem Jakobinów. Gdyby literackie usługi Barèra miały były dla rządu jakąkolwiek wagę, osobista niechęć byłaby zapewne musiała ustąpić przed polityczną korzyścią; ale tak jak rzeczy stały, nie warto było utrzymywać stosunków z nędznym człowiekiem, który zarazem okazał się nędznym pisarzem. Bonaparte zatem dał folgę swoim uczuciom. Barèra nie odsunął pod grzecznemi pozorami, nie uwolnił go ze służby (jak się mówi) na własne żądanie, ale kopnął nogą i wyszczuł jak natrętnego psa. Posyłał był Barère co dnia do Tuileryów sześć exemplarzy swojego dziennika na pięknym papierze, ale zamiast spodziewanych pochwał i dzięków, dostał tylko oschłe uwiadomienie, że cesarz kazał pięć z sześciu exemplarzy odesłać.

Pomimo tego mozolił się dalej, pomimo tego żywił ciągle nadzieję, że może przecie Napoleon da się zmiękczyć; że przecież może w końcu jakiś okruch zaszczytów cesarskich wynagrodzi tyle pracy, tyle pokornego posłuszeństwa! ale gorżko się zawiódł w tych nadziejach. Konstytucya Cesarstwa nie dawała okręgom wyborczym Departamentów prawa wybierania senatorów lub posłów; przedstawiały one tylko kandydatów, z pośród których cesarz mianował senatorów, a senat członków ciała Prawodawczego. Departament Wyższych Pyreneów dziwną zawsze żywiący słabość dla Barère, chciał w r. 1805 przedstawić go na kandydata do senatu. Napoleon, dowiedziawszy się o tem, wyraził swoje najwyższe niezadowolenie, a prezydent okręgu wyborczego musiał z polecenia Rządu stanowczo oświadczyć wyborcom, że wybór Barère wielceby departamentowi zaszkodził. Porzucono więc myśl przedstawienia go na kandydata do senatu; ale mieszkańcy Argelès odważyli się pomimo tego wybrać go kandydatem do Ciała Prawodawczego. Ciało to, jak wiadomo, pozbawione było wszelkiego znaczenia i godności, nie miało prawa rozpraw, ą jedyną jego czynnością było uchwalać w milczeniu wszystko co tylko Rząd postanowił. Trudno pojąć, jak człowiek, który zasiadał kiedyś w wolnych i potężnych sejmach, mógł się zniżyć do przyjęcia roli w takiej komedyi; ale Barère pożądał przecież gorąco miejsca choćby w tej Izbie na śmiech, a nawet w tej Izbie na śmiech miejsca mu odmówiono. W całym senacie nie dostał ani jednego głosu.

Zdaje się, że obejście takie powinno było wystarczyć na to, żeby rozjątrzyć i obruszyć choćby najostatniejszego z ludzi, ale Barère ciągle się lizał i łasił jak przedtem. Raporta jego szły do Tuileryów każdego tygodnia aż do roku 1807; aż nareszcie, jednego razu kiedy właśnie pisał dwóchsetny dwudziesty i trzeci z porządku, oddano mu pismo od jenerała Duroc, treści o wiele więcej wyraźnej niż uprzejmej. Proszono w nim Barère, żeby przestał odtąd posyłać raportów do pałacu, gdyż cesarz zbyt był zajętym, ażeby mógł je czytać.

Wzgarda, mówi indyjskie przysłowie, przebija nawet żółwią skorupę; pogarda dworu przebiła grubą skórę Barèra i ubodła go do żywego. Upokorzył się przed nimi w proch, ugiął się aż do ziemi, a ugiął nadarmo! Znamienity niegdyś między władcami wielkiego zwycięzkiego państwa, zniżył się do służenia nowemu Panu w najpodlejszych obowiązkach, a teraz zepchnięto niżej tych najemników, których rząd używał do najnikczemniejszych posług, i oświadczono, że nawet w tych posługach nie wart był tej okruszyny, którą mu z pogardą rzucano. I stał teraz na bruku z założonemi rękami jak najemnik bez roboty: nie dlatego, żeby jakakolwiek robota zbyt podłą mu się zdawała, ale dlatego tylko, że go nikt do żadnej nająć nie chciał.

Pomimo tego wszystkiego jednak, mógł się jeszcze mieć za szczęśliwego; bo gdyby w owym czasie wiadomem było, do czego się sam w Pamiętnikach przyznaje, byłby odebrał inne jeszcze dowody niełaski cesarza. Dowiadujemy się bowiem od niego samego, że w tym samym czasie, kiedy drukował codzień całe kolumny pochlebstw dla Napoleona, kiedy co tydzień nosił całe paki oszczerstw do Tuileryów, w tym samym czasie zostawał w ścisłych stosunkach z agentami, których cesarz Aleksander, dla Francyi w tej chwili bynajmniej przyjaźnie nie usposobiony, używał do śledzenia wszystkiego, co się działo w Paryżu. Barère czytywał ich tajne korespondencye, dawał im objaśnienia co do usposobienia umysłów i charakteru Napoleona, i robił co mógł, żeby ich przekonać, że rząd cesarski chwiał się i walił, a że cesarz sam nie był wcale, jak świat błędnie mniemał, wielkim mężem stanu i wojownikiem. Nieco później, Barère, zawsze jeszcze pochlebca i donosiciel cesarskiego dworu, wszedł w takie same stosunki z poselstwem hiszpańskiem. Sam opowiada, jak usilnie starał się ukryć te stosunki przed własnym rządem, jak dwa razy na dzień miewał schadzki z posłem, jak rozmowa ich toczyła się zawsze około wad Napoleona i jego zamiarów na Hiszpanią, i około najlepszych sposobów udaremnienia tych zamiarów.

Z tego wszystkiego wynika, że jego podłość była bezdenną; w najgłębszych szychtach sromoty umiał on zawsze jeszcze odkryć niższe głębokości. Zawsze jest źle być pochlebcą, i zawsze źle jest być szpiegiem; ale nawet pochlebcy i szpiegi mają swoje stopnie podłości. Najpodlejszym z pochlebców jest ten, co szkaluje za oczy pana, któremu się łasi; a najpodlejszym ze szpiegów jest ten, który służy cudzoziemcom przeciw własnej Ojczyźnie.

Od roku 1807 do roku 1814 Barère żył w ukryciu, gdzie mógł, i o ile mu tchórzostwo jego pozwalało, szarpał złośliwie rządy cesarskie, i miewał niekiedy nieprzyjemne zajścia z policyą. Po powrocie Burbonów, został, jak się można było spodziewać Legitymistą, i napisał paszkwil, wykrywający wszystkie okropności rządu, z pod którego restauracya wyzwoliła Francyę i wysławiający mądrość i wspaniałość tego, który tę Francyę obdarzył kartą konstytucyjną. On, który głosował na śmierć Ludwika XVI, on, który oddał pod sąd Maryę Antoninę, on, który tak nienawidził królestwa, że nawet grobom królów nie przepuścił, on teraz powiada nam z pewnem upodobaniem, że »zasady monarchiczne i przywiązanie do domu Burbonów w dziele tem szlachetny znalazło wyraz.« Z tego nowego zaprzaństwa nie przyszło mu nic, ani nawet większa infamia, bo charakter jego był już tak brudny, że go nic gorzej zwalać nie mogło.

Podczas stu dni wypłynął on jeszcze na krótką chwilę na wierzch publicznego życia; rodzinny jego departament wybrał go znowu na członka Izby posłów. Zgromadzenie to składało się po największej części z ludzi, którzy dla Jakobińskich nadużyć wiele mieli pobłażania, ale i tam przecież ujrzał się Barère przedmiotem powszechnej odrazy. Kiedy prezydent po raz pierwszy oświadczył, że pan Barère żąda głosu, ze wszystkich ławek podniósł się szmer oburzenia. Po bitwie pod Waterloo wniósł Barère, aby Izba wybawiła Francyę od zwycięzkich wrogów, wydaniem proklamacyi o Termopylach i o spartańskim zwyczaju wieńczenia się kwiatami w chwili

ostatecznego niebezpieczeństwa. Czy ta proklamacya byłaby wstrzymała pochód wojsk angielskich i pruskich, o tem nic stanowczo powiedzieć nie możemy, zmuszeni poprzestać na domysłach; Izba wszelako odrzuciła tę ostatnią z karmaniolów.

A teraz, Napoleon złożył koronę, Burbonowie powrócili, a Izba reprezentantów pobawiwszy się w Konwencyę przez kilka tygodni, rozeszła się z dobrze zapracowaną sławą najgłupszego politycznego zgromadzenia, jakie kiedykolwiek we Francyi zasiadało. Pedantyczni ci marzyciele i gaduły, ani na chwilę nie pojęli swego stanowiska. Nie mogli oni zrozumieć, że Europę trzeba było albo zwyciężyć, albo przejednać; że przejednać ją mogła jedna tylko Restauracya Ludwika, a jedna tylko dyktatorska władza w ręku Napoleona mogła ją zwyciężyć. Oni nie chcieli słyszeć ani o Ludwiku, ani o jedynym sposobie uniknienia Ludwika. Postawili na czele Francyi Napoleona, wystawiając się przez to na nieprzyjaźń wszystkich mocarstw zagranicznych, a krzyżowali jego zamiary, krępowali go, swarzyli się z nim o lada drobiazg, i odstąpili go po pierwszej przegranej. Potem, naprzeciw ośmiuset tysięcy bagnetów stawili tylko deklamacye i rozprawy, bawili się w pisanie konstytucyi dla swojej ojczyzny, kiedy od zwycięzcy było zawisłe, czy im zostawi ojczyznę; a nareszcie wśród nieskończonych rozpraw o prawach człowieka i wszechwładztwie ludu, zaszli ich żołnierze Wellingtona i Blüchera i położyli koniec ich marnym gadaninom.

I wybrano znowu inną Izbę Deputowanych; ta była tak wściekle zażartą na Rewolucyę, że naprawdę można się było obawiać nowego Terroryzmu. Trzeba jednak oddać tę sprawiedliwość królowi, jego ministrom i jego sprzymierzeńcom, że robili co mogli, żeby poskromić gwałtowność fanatycznych Legitymistów, i że kary jakie zadali, choć zdaniem naszem nie do usprawiedliwienia, były przecież nieliczne i łagodne, w porównaniu z tem, czego żądał pan Labourdonnaye naprzykład, lub pan Hyde de Neuville. Słyszeliśmy zawsze i skłonni jesteśmy wierzyć, że rząd nawet z królobójcami nie rad był

obchodzić się surowo; ale usposobienie Izby było w tym względzie tak wyraźne i tak stanowcze, że uznał za potrzebne choć w części uczynić mu zadość. Zapadła więc uchwała, mocą której ktokolwiek w styczniu roku 1793 głosował za śmiercią Ludwika XVI, i ktokolwiek w przeciągu stu dni stanął po stronie Bonapartego, miał być wygnanym z Francyi na całe życie. Barère podpadał pod to prawo, bo głosował na śmierć króla, i za stu dni zasiadał w Izbie Reprezentantów.

Wyniósł się zatem do Belgii, i zapomniany przez świat cały siedział tam aż do roku 1830. Po rewolucyi Lipcowej, mając wolność powrotu do Francyi, osiadł na nowo w swojej ojczystej prowincyi. Niebawem zawikłał się w szereg procesów z najbliższem rodzeństwem, »z niewdzięcznym bratem« jak sam powiada, »i z trzema nieszczęsnemi siostrami.« Kto w tej sprawie miał słuszność za sobą, o tem sądzić nie mamy sposobu, a na podaniach Barèra opierać się nie możemy; sąd rozstrzygnął spór po części na jego korzyść, po części przeciw niemu, z czego sam nasuwa się wniosek, że żadna strona nie miała zupełnej słuszności. Skutek zaś tego procesu był taki, że Barère zeszedł na starość do wielkiego ubóstwa i musiał sprzedać dom swój rodzinny.

O ile wnosić możemy z nielicznych faktów, o których nam jeszcze wspomnieć wypada, Barère pozostał sobą samym do końca. Po wygnaniu swojem jeszcze raz został Jakobinem, i pospołu z krańcową lewicą szarpał Ludwika Filipa i wszystkich jego ministrów. Panowie Kazimierz Perrier, de Broglie, Thiers i Guizot, najwięcej są obelgami jego zaszczyceni; król zaś sam podany jest w ohydę, jako zamaskowany tyran. Pomimo tego jednak nie wahał się Barère pobierać rocznego zasiłku tysiąca franków z prywatnej szkatułki tego tyrana, którego nienawidził i szkalował. Pensya ta, i drobne zasiłki jakie tytułem podupadłego literata dostawał od czasu do czasu z Ministeryum spraw wewnętrznych, lub z Ministeryum sprawiedliwości, tytułem byłego wysokiego urzędnika sądownictwa, uratowały go od konieczności żebrania chleba. Umarł w sty-

czniu roku 1841; lat miał ośmdziesiąt sześć i przeżył wszystkich swoich kolegów ze sławnego Komitetu Bezpieczeństwa, i prawie wszystkich kolegów z Konwencyi.

Przedstawiliśmy czytelnikom wierny, jak sądzimy, obraz życia tego człowieka. Czyż potrzebujemy jeszcze dodać co więcej, aby im sąd o nim ułatwić? Gdyby przedmiotem naszych uwag był którykolwiek z jego kolegów z Komitetu Bezpieczeństwa, Carnot naprzykład, Robespierre lub St. Just, gdyby nawet Couthon, Collot lub Billaud, w takim razie uważalibyśmy może za potrzebne roztrząsnąć wszystkie argumenta stawiane na obronę lub na wymówkę Terroru. Moglibyśmy w takim razie powiedzieć, że Francya wybawioną została od obcych najezdników nie przez Terroryzm, ale pomimo Terroryzmu; że niebezpieczeństwa, które mają być tłomaczeniem polityki Góry, były w wielkiej części przez tę właśnie politykę wywołane. Moglibyśmy pokazać, że zle którego narobiły Jakobińskie rządy, nie skończyło się z upadkiem tych rządów; że w spuściźnie po nich został Francyi i Europie długi szereg klęsk i nieszczęść; że opinia publiczna, przez dwa pokolenia stale dążąca do coraz większej cywilnej i religijnej wolności, przebyła za dni Terroru przemianę, której ślady do dziś dnia jeszcze są widoczne. Zmiana taka nie mogła nie przyjść, jak skoro ludzie widzieli, że ci którzy się obrońcami praw ludu mienili, w krótki przeciąg dwunastu miesięcy natłoczyli więcej zbrodni, niż wszyscy królowie, Carlowingi, Merowingi i Capety razem, w przeciąg dwunastu wieków. Wolność musiała wydać się wielkiem złudzeniem; ludzie musieli chętnie poddawać się rządowi dziedzicznych królów, szczęśliwych zdobywców, księży i szlachty, każdemu rządowi, byle nie rządowi filozofów i filantropów. I z tego wynikł despotyzm cesarski ze swoją ujarzmioną prasą i niemą trybuną, z więzieniami gorszemi niż dawna Bastylia, i z sądami usłużniejszemi wiele od dawnych parlamentów. Ztąd wyszła restauracya Burbonów i Jezuitów, Izby roku 1815 ze swojemi listami proskrypcyjnemi, ztąd wskrzeszenie feudalnego ducha, ztąd nadużycia duchowieństwa,

prześladowanie protestantów, i w pełnem świetle dziewiętnastego wieku nowe pokolenie de Montfortów i Dominików. Tam powód, że Francya przystąpiła do świętego Przymierza, i że starych żołnierzy trójkolorowego sztandaru posłała na zgniecenie młodej wolności Hiszpanów. Tam to także tkwi powód tej obawy, z którą klasy najwięcej troskliwe o utrzymanie porządku i bezpieczeństwa własności, dziś jeszcze we Francyi patrzą z obawą i niedowierzaniem na każdy najumiarkowańszy zamiar rozszerzenia ciasnych podstaw reprezentacyi. Pół wieku nie starczyło na zmycie tej plamy, którą jeden rok szaleństwa i ohydy rzucił na najświętszą sprawę.

Nic śmieszniejszego, jak sposób, w który pisarze tacy jak pan Hipolit Carnot tłomaczą i uniewinniają rządy Jakobińskie, podczas gdy z drugiej strony deklamują przeciw reakcyi, jaka po nich nastała. Reakcya ta narobiła, i dotąd jeszcze robi wiele złego, to prawda. Ale co sprowadziło tę reakcyę? Sprężyna odskakuje z taką samą siłą, z jaką była przyciśniona; wahadło pociągnięte za daleko w jednę stronę, musi koniecznie pójść równie daleko w drugą. Po wieczornem przepiciu, musi nazajutrz rano przyjść ociężałość i nudności. Tak samo w polityce jest prawo powszechne, że każde nadużycie musi spłodzić nadużycie przeciwne; a ten nie wart jest imienia polityka, kto zamierzając się do wielkiego cięcia, nie obrachuje dobrze siły i skutków odskoku. Ale sprawcy panowania Terroru nie umieli tych skutków przewidzieć ani obliczyć, tak wysoko nie sięgali. Gwałt i nic tylko gwałt — krew i nic tylko krew, to cała ich sztuka rządzenia. I dokazali też nieszczęsni tego, że w kilku miesiącach wywołali reakcyę, której końca sami nie ujrzeli, i my możemy nie ujrzeć; a wywoławszy ją dopiero wzięli się dziwić, dopiero ją opłakiwać, dopiero wyrzekać i nienawidzieć, — i przypisywać ją wszystkim w świecie przyczynom, oprócz prawdziwej, to jest, oprócz ich własnej nieprawości i zupełnej nieudolności do prowadzenia wielkich spraw całego narodu.

Ale teraz, kiedy nam chodzi tylko o Barèra, zbytecznem byłoby podnosić te wszystkie względy; bo jakakolwiek jest obrona polityki Jakobinów, dobra czy zła, jego ona obronić nie może. Z jego własnego życia, z jego własnych ust, w jego własnych pismach mamy dowody, że udział jego w krwawem owem dziele, pochodził nie ze szczerego fanatyzmu, nie ze źle zrozumianej i źle pokierowanej miłości ojczyzny, ale tylko z tchórzostwa, lub z rozmiłowania w nieszczęściu drugich. Może kto powié, że z gorliwości o dobro publiczne zamordował Żyrondystów? Kiedy on sam, w tych samych pamiętnikach oświadcza, że śmierć ich uważał zawsze za największą klęskę, jaka mogła spaść na Francyę. Może kto powié, że przez tę samą gorliwość łaknął krwi Austryaczki? Kiedy on sam, w tych samych pamiętnikach mówi, że szkoda czasu straconego na jej prześladowanie, i że lepiej było użyć go na obronę kraju. Czyż kto powié, że porwany był szczerą i głęboką nienawiścią Monarchii do mordowania żywych i znieważania umarłych, on, który chciał, żeby Napoleon zwał się królem królów? on, który się chwali, że po restauracyi w godny i szlachetny sposób wyraził przywiązanie swoje do Monarchii i do domu Burbonów? Gdyby był mniej podłym, możeby się dało coś powiedzieć na wytłomaczenie jego okrucieństwa; gdyby był mniej krwiożerczym, możeby się coś dało powiedzieć na zmniejszenie jego podłości. Ale dla niego, takiego jakim był, królobójcy i dworskiego szpiega, dla niego, który bronił Lebon'a a zdradził Demervill'a, dla niego, który się rozkoszował w przesadach Jakobinizmu i w przesadach służalstwa, dla niego największe nawet miłosierdzie nie znajduje żadnej wymówki.

Nie możemy skończyć, nie pomówiwszy cokolwiek o dwóch stronach jego charakteru, które podług biografa jego zasługują jak się zdaje na najwyższe uwielbienie. Zgadza się biograf na to, że Barère był nieco zmiennym, ale były dwa uczucia, w których nie zmienił się nigdy, a temi były, miłość Chrześcijaństwa i nienawiść Anglii. Jeżeli tak było w istocie, to

wyznać musimy, że Anglia powinna mu być daleko więcej obowiązaną, niżeli Chrześcijaństwo.

Być może, że w tym względzie wystawiamy sobie rzeczy tak jak pragniemy, żeby były w istocie, ale bez podchlebstwa, zdaje nam się, rzec możemy, że u Barèra nienawiść do Anglii była uczuciem najtrwalszem i najgłębszem, na jakie dusza jego mogła się zdobyć. Jedna tylko okoliczność odbiera wiele wartości temu pochlebnemu przekonaniu, a tą jest, że Barère bardzo mało o Anglii wiedział. Gruba jego nieznajomość naszych instytucyj, obyczajów i historyi, tem mniej da się wytłómaczyć, że jak sam powiada, zadawał się wiele podczas pokoju Amieńskiego ze znakomitymi Anglikami, jak niepospolity ze wszech miar Lord Greatan, i nie mniej niepospolity filozof pan Mackensie Coefhis [1]). Pomimo jednak ścisłych stosunków z temi znanemi całemu światu ozdobami naszego kraju, znał ten kraj tak mało, że ustawicznie sobie wyobrażał, jakoby rząd angielski zawsze i wiecznie przeciw niemu knował intrygi. Jeżeli w Saintes z krzykiem biegła za nim publiczność, złożona zapewne z ludzi, którym pomordował krewnych i przyjaciół, to on powié, że motłoch poszczuty był przez gabinet angielski; jeżeli nikt nie chciał czytać jego lichych książek, to dla tego, że ten sam gabinet przekupił recenzentów. Wszystko co mówi o angielskich mężach stanu, jak Fox, Pitt, Canning lub książe Wellington, roi się błędami grubszemi o wiele od zwykłych pomyłek, w jakie wpadają Francuzi piszący o Anglii [2]). Fundusz na amortyzacyę długów państwa, założonym był podług niego przez Pitta na posilkowanie mocarstw sprzymierzonych przeciw Rzeczypospolitej. Dom księcia Wellington w Hyde-Park wybudowany był kosztem narodu, który na ten cel zawotował podwakroć ogromną summę dwóch tysięcy funtów szterlingów, nie licząc w to malowidel *al fresco*,

[1]) Nazwiska jakichś ludzi zupełnie nieznanych.

[2]) Fox i Pitt, byli podług niego ministrami pod dwoma różnymi królami.

które osobno groszem publicznym zostały zapłacone. Pan Canning był pierwszym Anglikiem, którego śmierć Europa słusznie mogła opłakiwać, bo śmierć Lorda Ward (musiał to być, jak się domyślamy, jakiś krewny Lorda Greatan i pana Coefhis) była ogromnem szczęściem dla ludzkości!

Ale tak jak o nas Barère nic nie wiedział, tak przecie serdecznie nas nienawidził, a sądzimy, że gdyby nas był znał lepiej, byłby nas nienawidził jeszcze gorzej. Naród, który tak umiał połączyć błogosławieństwa wolności i pokoju, że przeszedł pod tym względem wszystkie przykłady z historyi i wszystkie nawet nadzieje, nie może nie być przedmiotem zawiści dla człowieka, który zdradzał zarówno sprawę porządku i sprawę wolności. Mieliśmy i my u siebie przykłady niepomiarkowanej żądzy wolności, i mieliśmy także bezmiar wierności poddańczej; ale nigdy nie widzieliśmy u siebie nic tak rażącego, jak Barère w roku 1794, i ten sam Barère w roku 1804. W porównaniu z nim najdziksi nasi demagogowie byli łagodni, a najpodlejsi nasi dworacy byli godni. Pomiędzy nim a nami jest taka przepaść, że nasza mowa nawet, choć tak obfita, nie ma wyrazów stósownych na oznaczenie ani pierwszych ani późniejszych jego zbrodni. W istocie trudno nam było rozpowiedzieć jego historyą bez uciekania się do pomocy francuzkiego słownika Zgrozy i francuskiego słownika Podłości; trudno zaiste dać wyobrażenie o jego czynnościach w Konwencyi, bez użycia tak dosadnych wyrazów jak *guillotinade, noyade, fusillade, mitraillade,* i trudno dać wyobrażenie o czynnościach jego za konsulatu i cesarstwa bez pożyczenia z francuzkiego słów takich jak *mouton i mouchard.*

I dlatego obelgi miotane przez niego na Anglię wolimy jak wszystko co zresztą napisał, i odczytujemy je nietylko z upodobaniem, ale nawet z pewnem uczuciem bliskiem wdzięczności. Mało mógł uczynić ku podniesieniu czci i sławy naszego kraju, ale to mało co mógł, czynił gorliwie i wytrwale. Zaprzaniec, zdrajca, fagas, tchórz, łgarz, oszczerca, najemny pismak, morderca i szpieg policyjny, jednę tylko mógł Anglii

oddać usługę, nienawidzieć ją; bodaj wszyscy, którzy ją nienawidzą, byli jemu podobni.

Nie możemy powiedzieć, żebyśmy z równą przyjemnością patrzali na tę stałą i gorącą żarliwość religijną, którą podług pana Hipolita Carnot, Barère miał się odznaczać; bo uważając za wielkie złe wszystko co religię poniża, pochlebialiśmy sobie, że Barère był ateistą. Dowiadujemy się przecież, że sceptykiem nie był nigdy, że przez cały czas Rewolucyi, silnie trzymał się swojej wiary, że zostawił w rękopiśmie kilka dzieł religijnej treści. Jednem z nich ma być traktat pobożny pod tytułem: *O Chrześcijaństwie i jego wpływie*, — drugiem *Rozmyślanie nad Psalmami Dawida*, ku wielkiemu, jak sądzimy, rozradowaniu i zbudowaniu Kościoła.

A to dopiero uzupełnia nam jego charakter! Wiedzieliśmy, że wszystko co fałszywe, wszystko co nieuczciwe, wszystko co niesprawiedliwe, co brudne, co szkaradne, wszystko co u ludzi nazywa się złem, wszystkie jakie tylko są nieprawości i wszystkie jakie są sromoty, wiedzieliśmy, że wszystkie razem złożyły się na jednego Barèra. Ale jednej rzeczy dotąd niedostawało, i tę teraz pan Carnot dostawia. Jeżeli do takiego doboru przymiotów dodamy jeszsze wysoką pobożność, całość będzie nieporównana, a wrażenie zdumiewające! Przed tak wyborowemi i tak różnorodnemi doskonałościami schylamy głowę w zachwyceniu, i z głęboką pokorą poznajemy, jaką było z naszej strony zuchwałością, porwać się na pisanie żywota tego błogosławionego rycerza wiary, świętego Bertranda de Carmagnolis!

Mielibyśmy jeszcze nie jedno o nim do powiedzenia, ale dajmy mu pokój. Nie szukaliśmy go, i nie chcemy dłużej nad nim się zatrzymać. Gdyby ci, którzy się przyjaciołmi jego mienią, nie byli go gwałtem narzucili naszej uwadze, nie byłby on nigdy dostał od nas nic więcej, jak chyba jakieś mimochodem upuszczone słowo pogardy i wstrętu, takie same, jakie rzucilibyśmy na godnych jego współbraci, jak Hébert, Fouquier Tinville, Carrier i Lebon. Nie jest nam wcale miło patrzeć

na takie upodlenie ludzkiej natury. Ze wstrętem odwracamy się od obrzydliwego zmyślonego Yahoo [1]), a najobrzydliwszy, najzłośliwszy zmyślony Yahoo, jest jeszcze szlachetnem stworzeniem w porównaniu z Barèrem. Ale co przyjemnością być nie mogło, przez pana Carnot stało się obowiązkiem. Nie jest to rzeczą lekką ani małą, jeżeli człowiek na wysokiem i zaszczytnem stanowisku publicznem, człowiek, o którym, wnosząc z jego stosunków i położenia sądzićby można, że wyraża uczucia znacznej części swoich współziomków, nie jest to wcale rzeczą błahą, jeżeli taki człowiek występuje z obroną żywota skalanego wszelkiemi możliwemi zbrodniami, a nieodkupionego ani jedną cnotą. To zrobił pan Carnot; a chcąc oprawić w relikwiarz to Jakobińskie ścierwo, zmusił nas, żeśmy je do szubienicy przybili. Pochlebiamy sobie, że z tej wysokości infamii, na którejśmy je postawili, niełatwo pan Carnot zdjąć je potrafi.

[1]) Z Gullivera.

WILLIAM PITT hrabia CHATHAM.

(Styczeń 1834).

WILLIAM PITT Iрабіа CHATHAM.

(Historya Williama Pitta hrabiego Chatham, obejmująca jego mowy w Parlamencie, znaczną część jego korespondencyi z czasów, kiedy był sekretarzem Stanu, o sprawach francuzkich, amerykańskich i hiszpańskich; dalej wiadomość o głównych wypadkach i osobach współczesnych, mających związek z jego życiem i rządami. Przez wielebnego Franciszka Thackeray, 2 tomy, 4°. 1827).

Jakkolwiek od ogłoszenia tego dzieła kilka już lat upłynęło, jest ono jeszcze, jak rozumiemy, dla wielu czytelników nowością. Nic w tem dziwnego, bo dzieło jest obszerne, a styl ciężki. Wiadomości, jakie pan Thackeray wydobył z Archiwum Państwa, są nowe, ale po największej części mało zajmujące. Reszta zaś życiorysu, nie wiele lepsza od tego co Gifford [1]) napisał o żywocie drugiego Pitta, nie zawiera nic, a w najlepszym razie bardzo mało, coby nie było równie dobrze opowiedzianem w Historyi Parlamentu, w Rocznych Regestrach, lub w innych książkach nie mniej rozpowszechnionych.

Utrzymują ludzie, że każda niemal praca mechaniczna, naraża na szwank pewne fizyczne organa rzemieślnika. Szlifirze umierają na suchoty, tkacze nie wyrastają i zostają pochyleni, a kowale dostają kaprawych oczów. Tak samo każde zajęcie umysłowe ma silną dążność do sprowadzenia pewnych umysłowych chorób. Życiopisowie, tłómacze, wydawcy, słowem

[1]) Gifford Jan, 1758—1818, publicysta, autor historyi Williama Pitta, 1809.

wszyscy, którzy pracują na uświetnienie życia lub pism innych ludzi, szczególnie zagrożeni są chorobą Lues Boswelliana [1]), czyli gorączką uwielbienia; ale nie pamiętamy chorego, któryby słabością tą tak silnie był dotkniętym jak pan Thackeray. Nie dość mu na tem, że zmusza każdego do wyznania, jako Pitt był wielkim mowcą, dzielnym ministrem, zacnym i rozumnym człowiekiem; chce on koniecznie, żeby wszystkie razem cnoty i zdolności spotykały się z sobą w osobie jego bohatera. Na przekór bogom i ludziom musi Pitt być poetą, poetą zdolnym do napisania bohaterskiego poematu pierwszego rzędu; a pan Thackeray dowodzi nam i zaręcza, że w najlichszych jego wierszach powinniśmy nieprzebrane odkrywać wdzięki i zalety [2]).

Pitt służył w wojsku przez kilka miesięcy, i to w czasie pokoju, musi zatem pan Thackeray nalegać na nas, abyśmy uznali, że gdyby młody podoficer pozostał był w służbie, byłby

[1]) Boswell, biograf Samuela Johnsona.

[2]) „Midst all the tumults of the warring sphere
„My light charged bark may hap'ly glide.
„Some gale may waft some conscious thonght shall cheer
„And the smalt freight unanxions glide."

W pośród zaburzeń wojującej kuli
Moja lekka łódka może szczęśliwie się suwać
Popchnie ją jaki wietrzyk, ożywi myśl swobodna
I małą ładugę bezpiecznie posunie.

Autor zwraca uwagę, że wiersze powyższe zacytował dosłownie z dzieła pana Thackeray, sądzi atoli, że w czwartym wierszu Pitt napisać musiał „guide" (prowadzić), zamiast powtórnego „glide" ślizgać, suwać. W dosłownem naszem tłomaczeniu zaszłaby podług tego w ostatnim wierszu zmiana:

„I małą ładugę bezpiecznie poprowadzi."

W oryginale wiersze te umieszczone są w samym ciągu rzeczy, jako dowód i przykład lichych zdolności poetyckich Pitta i zaślepienia jego biografa. W innym atoli języku nie mogłyby równie odpowiadać celowi, i dlatego umieszczamy je w przypisku.

wyszedł na jednego z największych wojowników świata. Nie dość na tem, Pitt, nietylko był wielkim poetą in Esse i wielkim jeneralem in Posse, był nadto jeszcze skończonym wzorem moralnej doskonałości, był ideałem sprawiedliwego. Miał on słuszność, kiedy zaprowadził Inkwizycyą i dawał nagrody za krzywoprzysięztwo dlatego, żeby dostać głowy Walpola, i nie mniej miał słuszność, kiedy oświadczał, że Walpole był doskonałym ministrem. Miał słuszność, kiedy będąc w opozycyi upierał się, że nie godziło się zawierać pokoju z Hiszpanią, dopókiby nie zrzekła się uroczyście prawa rewidowania okrętów; i znowu miał słuszność, kiedy będąc u władzy zgodził się na pokój, mocą którego Hiszpania nie zrzekła się prawa rewizyi. Kiedy odstąpił księcia Newcastle, kiedy się z księciem Newcastle skojarzył, kiedy piorunował na zasiłki i kiedy zasiłki trwonił z bezprzykładną rozrzutnością, kiedy znosić nie mógł wspólności z Hanowerem i kiedy oświadczał, że Hanower powinien był być nam równie drogim jak Hampshire, zawsze zarówno, jednakowo i niezmiennie przemawiał on językiem cnotliwego i mądrego męża stanu.

Naprawdę zaś, nie było może nigdy człowieka, któryby do tego rodzaju pochwał tak mało miał prawa jak Pitt. Był on niezaprzeczenie wielkim człowiekiem, ale wielkość jego nie była wszechstronna ani równych pod każdym względem proporcyj. Życie publiczne Hampdena [1]) lub Somersa [2]), jest jak żeby regularnym dramatem, który da się objąć i oceniać jako całość, a którego scenę każdą rozważać należy w odniesieniu do głównej akcyi. Życie zaś publiczne Pitta, jest sztuką uderzającą wprawdzie, ale nieforemną, pełną sprzeczności, jest sztuką bez żadnej jedności planu; ale brak ten okupuje wiele pięknych i wzniosłych ustępów, które tem większe robią wrażenie, im bardziej odbijają od płaskości lub przesady tego co

[1]) Hampden Jan, ur. 1594, krewny Cromwella; wsławiony w walkach Parlamentu z Karolem I; umarł 1643.

[2]) Somers, ur. 1650 r., czynny w drugiej rewolucyi angielskiej, później kanclerz, umarł 1716.

je poprzedza i po nich następuje. Zdanie jego nie było stałem, a na postępowanie, w najważniejszych niektórych przejściach jego życia, wpływała widocznie uraza i pycha. Miał on jedną wadę, która ze wszystkich wad ludzkich najrzadziej da się znaleźć w połączeniu z prawdziwą wielkością — był niesłychanie przesadny. Był jedynym przykładem człowieka istotnie gienialnego, umysłu śmiałego, wyniosłego i rozkazującego, bez prostoty charakteru; był aktorem w Gabinecie, aktorem na Radzie Ministrów, aktorem w Parlamencie, a nawet w prywatnem życiu nie mógł odłożyć na bok teatralnych swych tonów i postaw. Wiemy, że jeden z najznakomitszych jego stronników uskarżał się, jako nigdy nie mógł doprosić się wejścia do pokoju Lorda Chatham, dopóki wszystko nie było doskonale przygotowane do reprezentancyi: dopóki suknie i przybory nie były należycie rozłożone, dopóki światło nie padało z effektem godnym Rembrandta na głowę dostojnego aktora, dopóki nie ułożono na nim flaneli na podobieństwo greckiej draperyi, i dopóki kuli jego nie ustawiono tak obrazowo pięknie jak kuli Leara lub Belizaryusza.

Ale pomimo wszystkich swoich wad i całej swej przesady, posiadał Pitt w nader wysokim stopniu wiele warunków wielkości. Zdolności miał świetne, namiętności silne, uczucie żywe, i zapał gwałtowny dla wszystkiego co wielkie i piękne. Było w nim coś, co uszlachetniało same nawet wykręty; często chodził on złą i bardzo złą drogą, ale, że użyjemy tu słów Wordsworth'a, zachowywał zawsze

»Nawet w takiem połączeniu, to co otrzymał był
»Od natury, silny i ognisty umysł.«

W wieku płaskiego i brudnego zepsucia, nie było to mało, że znalazł się człowiek, który pod wpływem gwałtownej namiętności dałby się był może skusić do zgubienia ojczyzny, ale który nigdy nie zniżyłby się do jej okradania; że znalazł się człowiek, którego błędy pochodziły nie z nikczemnej chciwości zysku, ale z gwałtownego pragnienia władzy, chwały i zemsty. Historya winna mu to świadectwo, że w wieku,

w którym wszystko, co tylko nie było prostą i bezpośrednią kradzieżą publicznego grosza, uchodziło za zupełnie godziwe i dozwolone ludziom publicznym, on był zawsze do najwyższego stopnia sumiennym; że w wieku, w którym uchodziło za pewnik, że rząd utrzymać można jedynie najpodlejszemi i najniegodziwszemi fortelami, on odwołał się do lepszych i szlachetniejszych stron ludzkiej natury; że spróbował w sposób równie odważny jak świetny, zrobić z pomocą jedynie opinii publicznej, to, co przekonaniem wszystkich współczesnych jemu mężów stanu, samem tylko przekupstwem zrobić się dawało; że szukał poparcia, nie u silnej arystokratycznej koteryi, nie w osobistych względach króla, ale u całej średniej warstwy narodu; że w warstwę tę wpoił silne zaufanie w swoją zdolność i nieskazitelność; że przez nią poparty zmusił niechętny dwór i niechętną oligarchią, że go do znacznego udziału we władzy przypuściła, i że władzy tej używał w sposób dowodzący, że szukał jej nie dla zysków lub protekcyi, ale raczej z żądzy wielkiej i długotrwałej sławy dla siebie, opartej na znakomitych usługach oddanych ojczyźnie.

Rodzina Pitta była poważana i bogata. Dziad jego był gubernatorem w Madras i przywiózł ztamtąd ów sławny diament odkupiony przez Rejenta księcia Orleanu za radą księcia Saint Simon, za dwa z górą miliony liwrów, a który dotąd jeszcze uchodzi za jeden z najkosztowniejszych pomiędzy klejnotami korony francuzkiej. Gubernator Pitt zakupił dobra i podupadłe miasteczka z prawem wyboru posłów, i zasiadał w parlamencie jako członek za miasto Old-Sarum. Syn jego Robert był raz posłem z Old-Sarum, drugi raz z Oakhampton. Robert miał dwóch synów, z których starszy Tomasz odziedziczył po ojcu dobra i stanowisko w parlamencie, młodszym zaś był słynny William Pitt.

Urodził się on w Listopadzie 1708 r. O pierwszej jego młodości mało co wiadomo, oprócz tego, że uczył się w Eton, a w siedemnastu latach wszedł do kollegium Ś-tej Trójcy w Oxfordzie. W ciągu drugiego roku pobytu jego na uniwer-

sytecie umarł Jerzy I, a na śmierć jego, zwyczajem ówczesnym, pisali uczniowie Oxfordzcy wiele bardzo miernych wierszy. Pitt ogłosił z tego powodu kilkanaście wierszy łacińskich, które pan Thackeray przechował, a które dowodzą, że młody uczony miał bardzo ograniczone wiadomości nawet o mechanicznej stronie swojej sztuki. Wszyscy prawi uczniowie z Eton nie bez zajęcia usłyszą, że dostojny ich kolega dopuścił się przyjęcia pierwszej zgłoski w słowie *labenti* za krótką [1]). Rzecz zaś sama w całym tym utworze tyle jest warta, co w jakimkolwiek innem szkolnem zadaniu, czy przedtem, czy potem. Rozumie się, że nie obeszło się bez Marsa, Themidy, Neptuna i Kocytu; Muzy wezwane są w sposób naglący, żeby płakały nad urną Cezara, bo Cezar, jak mówi poeta, kochał Muzy! Ten Cezar, który nie był w stanie czytać Pope'a, a który nic nie lubił, prócz tłustych kobiet i ponczu!

Od szkolnych swoich czasów cierpiał Pitt srodze na podagrę, tak, że nareszcie wysłano go w podróż dla zdrowia. Opuścił zatem Oxford, nie dostąpiwszy stopni akademickich, i zwiedził Francyę i Włochy. Powrócił atoli z tej przejażdżki bez żadnego dla zdrowia pożytku, i do końca życia męczony był okropnie wrodzoną tą chorobą.

Ojciec jego umarł wkrótce, i młodszym dzieciom bardzo mało zostawił. William musiał szukać dla siebie zawodu; obrał zawód wojskowy, i wystarano się dla niego o stopień podoficera w błękitnym regimencie.

Ale choć własny jego majątek był szczupły, to rodzina jego miała za to i możność i wolę do przyjścia mu w pomoc. Przy powszechnych wyborach w roku 1734 starszy jego brat Tomasz wybranym został w Old-Sarum i w Oakhampton razem; a gdy parlament zbierał się w roku następnym, przyjął

[1]) Tak wydrukował pan Thackeray rzeczone wiersze; ale miłość chrześcijańska każe nam przypuścić, że Pitt napisać musiał *labanti*. (Przypisek autora).

mandat od wyborców Oakhampton, a William został wybranym w Old-Sarum.

Od lat czternastu stał podówczas Walpole u steru spraw publicznych. Wzniósł się on był do władzy w najpomyślniejszych okolicznościach. Całe stronnictwo Whigów, to stronnictwo, które wyznawało szczególne przywiązanie do zasad Rewolucyi, i które wyłącznie posiadało zaufanie panującego domu, połączonemi siłami popierało rząd jego. Na szczęście swoje nie był przy władzy, kiedy przeszła uchwała o morzach południowych (South-Sea-Act), i choć, jak się zdaje, nie przewidział był wszystkich jej skutków, opierał jej się przecież silnie, tak, jak się opierał wszystkim, złym czy dobrym pomysłom Gabinetu Sunderlanda [1]). Kiedy kompania Mórz południowych dawała pięćdziesiąt za sto dywidendy, kiedy akcye jej stofuntowe sprzedawały się za tysiąc sto funtów, kiedy ulica Threadneedle zapchana była codziennie powozami książąt i prałatów, kiedy filozofowie i duchowni zamieniali się w giełdowych graczów i szachrajów; kiedy codnia powstawało tysiące oszustw i baniek mydlanych, takich jak kompania peruk lub kompania hiszpańskich osłów, lub kompania przemiany żywego srebra w ciało stałe, Walpole spokojnym swoim zdrowym rozsądkiem ustrzegł się od powszechnego otumanienia; występował on jawnie przeciwko temu szaleństwu, które wszystkich opanowało, a pocichu korzystał z niego i zarobił znaczne sumy. Kiedy zaś przyszedł koniec, kiedy dziesięć tysięcy rodzin w jednym dniu poszło z torbami, kiedy ludzie w szaleństwie rozpaczy i żalu wyrzekali nietylko na podrzędnych agentów tego oszustwa, ale na hanowerskich zauszników, na angielskich ministrów, i na samego króla, kiedy zeszedł się Parlament, chciwy krwi i konfiskaty, kiedy członkowie Izby Gmin chcieli obejść się z dyrektorami kompanii tak, jak w Rzymie obchodzono się z ojcobójcami, to jest, pozaszywać

[1]) Sunderland, Karol Spencer, hrabia S. minister za królowej Anny, i później za Jerzego I.

ich w worki i rzucić do Tamizy, wtedy Walpole był tym człowiekiem, na którego się wszystkie oczy zwróciły. Przed czterema laty obalił go był intrygami Sunderland i Stanhope, a Craggs i Aislabie dostali urząd kierowania Izbą Gmin. Teraz Stanhope już nie żył, Aislabie wykluczonym był z Parlamentu na podstawie haniebnego swego postępowania w sprawie kompanii mórz południowych; Craggs umarł w samą porę, bo nie byłby inaczej uniknął takiego samego piętna infamii. Znaczna mniejszość w Izbie głosowała za surową przyganą dla Sunderlanda, który widząc, że nie zdoła przemódz powszechnego uznania, usunął się z urzędu i nie o wiele tylko władzę swoją przeżył. Rozbrat w stronnictwie Whigów teraz zagoił się zupełnie, Walpole [2]) nie miał przed sobą żadnej opozycyi prócz Torysów, a na tych król zapatrywał się z naturalnem i największem niedowierzaniem i wstrętem.

Czas jakiś szły sprawy tak gładko i spiesznie, jak nigdy jeszcze od czasu Tudorów; przez cały ciąg sesyi roku 1724 naprzykład nie było w Izbie ani razu różnicy zdań, wyjąwszy co do billów dotyczących spraw prywatnych. Nie jest niepodobnem, że gdyby Walpole był obrał tę drogę, której później trzymali się Pelhamowie, gdyby był przypuszczał do rządu wszystkie podnoszące się zdolności i ambicye w stronnictwie Whigów, gdyby był tu i owdzie zrobił miejsce dla jakiego Torysa nie nieprzyjaznego Brunświckiemu domowi, byłby może zdołał odwrócić tę straszliwą walkę, w której przebył późniejsze lata swego urzędowania, i w której ostatecznie został pokonanym. Opozycyą, która go zwaliła, stworzył on sam swoją polityką i swoją nienasyconą żądzą władzy.

W samej już czynności składania gabinetu zrobił sobie śmiertelnego nieprzyjaciela z jednego z najzdolniejszych i najgorliwszych swych zwolenników. Pulteney miał wielkie prawa tak z publicznych jak z prywatnych względów do wysokiego

[1]) Stanhope Jakób, ur. 1673, um. 1721.
[2]) Walpole Robert, hrabia Oxford, ur. 1676, umarł 1745.

stanowiska w nowym składzie Rządu. Majątek miał ogromny, charakter szanowny; był się już odznaczył jako prezes Izby, na ważnej posadzie nabył już wprawy i doświadczenia w urzędowaniu, a przez wszystkie kolejne zmiany losu, był zawsze wiernym i statecznym Whigiem. Kiedy stronnictwo Whigów rozprysło się było na dwa obozy, zrzekł się on dobrej posady i przywiązał się do losów Walpol'a. A przecież, kiedy Walpole powrócił do władzy, Pulteney nie został wezwanym do zajęcia miejsca w rządzie. Drażliwa rozmowa zaszła między przyjaciółmi; minister ofiarował był parostwo, ale Pulteney nie mógł się nie poznać na powodach tej propozycyi i odrzucił ją z oburzeniem. Przez czas jakiś rozpamiętywał on w cichości swoją krzywdę i czatował na sposobność zemsty; a skoro tylko nadarzył mu się pomyślny zbieg okoliczności, połączył się z mniejszością, i został największym przywódzcą opozycyi, jakiego Izba Gmin kiedykolwiek widziała.

Ze wszystkich członków gabinetu Carteret był najświatlejszym i najwymowniejszym. W rozprawach okazywał on zdolność pierwszego rzędu, w znajomości spraw zagranicznych przewyższał wszystkich współczesnych mężów stanu, a przywiązanie jego do protestanckiego następstwa tronu było niewątpliwem. Ale nie było miejsca w jednym rządzie dla niego i dla Walpol'a razem; Carteret się usunął, i stał się od tego czasu jednym z nieubłaganych i najstraszniejszych nieprzyjaciół swego dawnego kolegi.

Jeżeli był jaki człowiek, z którym Walpole mógł był przystać podzielić się władzą, to człowiekiem tym był Lord Townshend. Byli oni dalekimi krewnymi z pochodzenia, a bliskimi przez związki małżeńskie; byli przyjaciółmi od dzieciństwa, byli szkolnymi kolegami z Eton i sąsiadowali z sobą na wsi w hrabstwie Norfolk. Służyli razem w urzędzie pod Godolphinem i razem przeszli do opozycyi, kiedy Harley przyszedł do władzy. Przez tę samą Izbę Gmin pospołu byli prześladowani, i razem znowu po śmierci Anny powołani zostali do urzędowania. I jeszcze potem obudwu razem odsunął

Sunderland, i znowu razem wrócili do rządu, gdy wpływ tego ministra był upadł. Zdania ich w przedmiocie spraw publicznych zgadzały się prawie zawsze; obadwa byli ludźmi otwartego, szlachetnego i czułego serca; wzajemne ich stosunki przez wiele lat utrzymywały się na stopie serdecznej i przyjacielskiej. Ale węzły krwi małżeństwa i przyjaźni, pamięć wzajemnych usług, wspomnienie wspólnych zwycięztw i porażeki nie wystarczały do utrzymania w karbach tej ambicyi, która górowała nad wszystkiemi cnotami i wadami Walpole'a. Postanowił on, żeby użyć własnej jego metafory, że firma domu brzmieć miała nie Townshend i Walpole, ale Walpole i Townshend. Po jakimś czasie zeszli ci współzawodnicy do osobistych przymówek wobec licznego towarzystwa, jeden drugiego chwycił za kołnierz i do szpady się porwali. Kobiety w krzyk, mężczyźni rozerwali walczących, a za wdaniem się przyjaciół nie przyszło do takiego zgorszenia, jakiem byłby był pojedynek między krewnymi, szwagrami, dawnymi kolegami, i dawnymi przyjaciółmi. Ale zapaśnicy nie mogli oczywiście dłużej iść razem. Townshend usunął się, i z rzadkiem umiarkowaniem i patryotycznem zapomnieniem siebie nie chciał brać żadnego udziału w polityce. Nie mógł, jak mówił, dowierzać sobie samemu. Bał się, żeby wspomnienie własnych uraz nie uwiodło go, tak jak Pulteneya, do sprzeciwiania się krokom Rządu, które wogóle uważał za dobre i pożyteczne dla kraju. I z tego powodu od wystąpienia swego z Rządu, nogą ani razu nie stanął w Londynie, ale przepędził ostatnie lata swego życia w godności pełnym spokoju między drzewami swojemi i malowidłami w Ramham.

Po nim najbliższym był Chesterfield. I ten także był Whigiem, i przyjacielem protestanckiego następstwa tronu, był mowcą, dworakiem, uczonym, i pisarzem, i słynął z dowcipu; wielkiemu światu dawał on ton, w czasach, kiedy nie wystarczało być głupim i zarozumiałym na to, żeby ten ton dawać. Widocznie niecierpliwie on znosił przewagę Walpol'a, szemrał na bill o akcyzie, a bracia jego gło-

sowali w Izbie Gmin przeciw temu billowi. Minister postąpił tym razem z charakterystyczną ostrożnością i z niemniej charakterystyczną energią; postąpił z ostrożnością w prowadzeniu spraw publicznych, a z energią tam, gdzie o własną jego przewagę chodziło. Cofnął swój bill, i wyrzucił z Rządu wszystkich nieprzychylnych lub wahających się kolegów. Chesterfielda zatrzymano na wielkich schodach pałacu St. James i rozkazano mu złożyć laskę, którą piastował jako Lord-Marszałek nadworny. W tejsamej chwili oddalono ze służby hurmę innych dostojnych i możnych dygnitarzy, jakoto księcia Montrose, księcia Bolton, lorda Burlington, lorda Stair, lorda Cobham, Marchmont, Clinton i innych.

Wkrótce potem wzmocniła się opozycya przystąpieniem księcia Argyle, człowieka próżnego wprawdzie, chełpliwego i zmiennego, ale odważnego, wymownego i popularnego. Jego to było zasługą, że akt osadzenia nowej dynastyi spokojnie wszedł w życie w Anglii natychmiast po śmierci Anny i że stłumionym został bunt Jakobitów, który w następnym roku w Szkocyi wybuchnął. Teraz przeniósł on do mniejszości posiłek swego wielkiego imienia, pomoc swoich zdolności; i nieograniczonego wpływu w rodzinnym swoim kraju.

W każdym z tych wypadków wziętym z osobna, zręczny obrońca Walpol'a mógłby może wynaleść okoliczności mówiące na jego stronę; ale skoro widzimy, że przez długie lata wszystkie jego kroki stawiane były w tymsamym kierunku, skoro wszyscy najznakomitsi ludzie, którzy w ogólnym swoim poglądzie na politykę zgadzali się z ministrami, opuszczali go jeden po drugim z sercem zrażonem i zaprawionem goryczą, nie możemy nie wierzyć, że prawdziwe wytłomaczenie tego fenomenu zawiera się w słowach jego syna, który mówi że »Sir Robert Walpole tak namiętnie pożądał władzy, że nie mógł obok siebie znieść współzawodników.« Hume nader szczęśliwie opisał słynnego ministra jednem krótkiem zdaniem, gdy powiedział, że »umiarkowany w sprawowaniu władzy, w przywłaszczaniu jej sobie był niesłusznym.« Z dobrem sercem, wesoły, łatwy do

przejednania, był przecież Walpole takim, że żaden człowiek wyniosłego umysłu i wymagający wiele dla siebie, długo z nim razem iść nie mógł; i dlatego, naprzeciw opozycyi złożonej z najświatlejszych i najzdolniejszych ludzi owego wieku, nie miał lepszego poparcia jak swego brata Horacego, Henryka Pelham, którego pilna i użyteczna mierność nie dawała powodu do zazdrości, lub bystrych awanturników, których położenie i charakter zmniejszały tę obawę, jaką talenta ich natchnąć mogły przeciwników. Do takich ludzi należał Fox [1]), zbyt ubogi, żeby mógł obejść się bez urzędu; Sir William Yonge, o którym sam Walpole mawiał, że tylko takie jak jego zdolności mogą okupić taki charakter, i że tylko taki charakter mógł poniżyć takie zdolności, i — Winnington, którego prywatna uczciwość zostaje, słusznie lub niesłusznie, pod zarzutami najgorszego rodzaju.

Niezadowoleni Whigowie byli, nie co do liczby może, ale co do zdolności, doświadczenia i powagi, o wiele najważniejszą częścią opozycyi. Torysowie dostawili jej mało. Oprócz szeregów ciężkich szlachciców, wytuczonych na piwie ze Strafford lub Devonshire, którzy pili za zdrowie króla za morzami, którzy lisa tylko tylko umieli dojeżdżać, którzy myśleli że każdy kapitalista był Żydem, których religia polegała jedynie w nienawiści do Dyssydentów, a którzy przez głęboki swój sąd polityczny doszli byli do tego, że bali się, żeby ich dóbr nie przeniesiono do Hanoweru na fundusz spłacenia długów państwa. Wymowa tych gorliwych obywateli kończyła się zazwyczaj na wypowiedzianem od serca *Tak* lub *Nie*. Bardzo mało było w tem stronnictwie ludzi, którzyby się w Parlamencie byli odznaczyli, lub którzyby byli mogli w jakichkolwiek okolicznościach, zająć wysokie w rządzie stanowiska; a ci nie wielu, jak Sir William Wyndham naprzykład, tak się w towarzystwie swoich nowych sprzymierzeńców wyuczyli zasad

[1]) Fox, Henryk, ojciec sławnego Karola Foxa.

tolerancyi i politycznej wolności, że nie bez słuszności za Whigów mogli uchodzić.

Najbardziej obiecujący z angielskiej młodzieży, którzy pod tę porą rozpoczynali byli swój zawód publiczny, związali się z opozycyą Whigów, czyli jak ich wtedy zwano, Patryotów. Niedoświadczeni ci politycy pełni byli tego zapału, który samo imię wolności obudzać zwykło w młodych i gorących umysłach. Czuli oni, że teorye Torysów i rządy Walpol'a zarówno były niezgodne z zasadami wolności, i dlatego skupili się około sztandaru postawionego przez Pulteneya. Stawiąc opór ministrowi Whigowi, wyznawali oni stałe przywiązanie do czystej Whigów nauki. Walpole był schizmatykiem, oni prawymi katolikami, ludem wybranym, przechowawcami prawowiernej wiary Hampdena i Russla; byli jedyną sektą, która wśród zepsucia nagromadzonego przez czas i długie sprawowanie władzy, zatrzymała zasady Rewolucyi w całości i nienaruszone; a pomiędzy młodzieżą, która przystała do tego odcienia opozycyi, dwóch odszczególniało się przed wszystkimi, Lyttleton [1]) i Pitt.

W chwili, kiedy ten ostatni wszedł do Parlamentu, śledził cały świat polityczny z natężoną uwagą postępów zajścia, które niebawem ogromnie wzmocniło opozycyę, a przedewszystkiem ten odłam opozycyi, do którego się młody polityk zaciągnął. Książę Walii zniechęcał się coraz więcej do swego ojca i jego ministrów, i coraz więcej przyjaźnił się z Patryotami.

Nic naturalniejszego, jak że w monarchii, w której istnieje konstytucyjna opozycya, domniemany następca tronu postawi się na czele tej opozycyi. Pchają go do tego wszystkie popędy ambicyi i próżności. W stronnictwie rządowem może on co najwięcej być drugim, w stronnictwie po za rządem pewien jest, że będzie pierwszym. Najwyższą łaską, jakiej rząd istniejący może się od niego spodziewać, jest pozostawienie na miejscu; ale jeżeli się złączy z opozycyą, to każdy ze sprzymie-

[1]) Lyttleton Jerzy, ur. 1709, zmarły 1773, kanclerz skarbu w ministeryum Chathama, autor wielu dzieł.

rzeńców będzie się od niego spodziewał wyższego stopnia; uczucia zaś ludzi dla takiego, od którego wyglądają wielkich korzyści, są nierównie gorętsze, niż dla takiego, który co najwięcej zostawić ich może w posiadaniu tego co już mają. Domniemany zatem następca, jeżeli pragnie używać w zupełności całej rozkoszy, jaką tylko dać mogą wymowne pochlebstwa i głębokie uszanowanie, połączy się zawsze z tem stronnictwem, które walczy o władzę i chce ją zdobyć dla siebie. Zdaje nam się, że to jest najlepszem tłómaczeniem tego faktu, którego powodów szukał lord Granville w szczególnych jakichś właściwościach domu Brunświckiego. »Dom ten, — rzekł on raz na radzie ministrów, po zwyklej zapewne półgarncówce burgundzkiego wina, — kłócił się zawsze, i zawsze kłócić się będzie od pokolenia do pokolenia«. Powinien on był wiedzieć coś o tych rzeczach, skoro był ulubieńcem trzech z kolei pokoleń królewskiego domu«. Tłómaczenia jego przyjąć bezwzględnie nie możemy, ale fakt jest niezaprzeczony; od wstąpienia na tron Jerzego Pierwszego było trzech książąt Walii, a wszyscy trzej byli prawie zawsze w opozycyi.

Jakiekolwiek były powody, które księcia Fryderyka skłoniły że przystał do stronnictwa przeciwnego Sir Robertowi Walpole, zawsze poparcie jego natchnęło wielu członków tego stronnictwa odwagą i sprężystością, której wielce potrzebowali. Niezadowoleni Whigowie nie mogli dotychczas żadną miarą obronić się od złych przeczuć i obaw, kiedy zawsze widzieli się po jednej stronie z upartymi Jakobitami, o których wiedziano powszechnie, że zostawali w ciągłych stosunkach z wygnaną rodziną, lub z Torysami, którzy Somersa oddali pod sąd Izb, którzy szemrali na Harleya [1]) i St. Johna [2]) jako na zbyt niedbałych o dobro Kościoła i wielkich posiadaczów ziemi, i któ-

[1]) Harley-Robert, hr. Oxford, ur. 1661, zmarły 1724, przez długi czas naczelnik Torysów w parlamencie.

[2]) St. John Henryk, Lord Bolingbroke, ur. 1678, zmarły 1750. Sekretarz Stanu za królowej Anny, pełnomocnik angielski przy pokoju Utrechtskim.

rzy, jeżeli nie myśleli powstawać otwarcie przeciw panującemu domowi, to uważali go w najlepszym razie jako mniejsze z dwojga złego, jako konieczny ale bolesny i upokarzający środek zaradczy przeciwko Papizmowi. Minister mógł wobec tego mówić nie bez pozorów słuszności, że Pulteney i Carteret nie wahali się służyć celom fakcyi nieprzyjaznej protestanckiej dynastyi, byle tylko zaspokoić swoją żądzę władzy i zemsty. Ale jak tylko Fryderyk stanął na czele Patryotów, zarzut ten upadał sam przez się. Przywódzcy opozycyi mogli się teraz chełpić, że ich kierunek miał za sobą sankcyę człowieka, któremu tyle co i samemu królowi zależało na Akcie of Settlement (osadzenia dynastyi hanowerskiej), i że nietylko sami celom Torysów nie służą, ale jeszcze tych na swoją stronę przeciągnęli. Wyznać należy, że w istocie, jakkolwiek zachowanie króla i księcia Walii dla żadnego zaszczytnem nie było, jakkolwiek ojciec grzeszył szorstkością, syn brakiem uszanowania, a obadwa dziecinnem postępowaniem, to przecież rodzinę królewską wzmocniły raczej a nie osłabiły na tronie te niesnaski między najdostojniejszymi jej członkami. Wielka liczba polityków, którzy sądzili się być pod wyrokiem wiekuistego wykluczenia z rządu, i którzy w rozpaczy gotowi byli niemal połączyć się z kontr-rewolucyą jako z jedynym środkiem na przełamanie tej klątwy pod którą zostawali, ujrzeli teraz otworem przed sobą bezpieczniejszą i łatwiejszą drogę do władzy, i uznali, że lepiej im będzie poczekać, żeby korona naturalną rzeczy koleją przeszła na następcę z domu Brunświckiego, niż narażać majątki i głowy w powstaniu na korzyść Stuartów. Położenie zaś domu królewskiego było bardzo podobne do położenia tych rodzin szkockich, w których syn i ojciec podczas buntu przeciwnych stron się trzymali, ażeby cokolwiek padnie, majątek przy nich pozostał.

W kwietniu roku 1736 Fryderyk ożenił się z księżniczką Sasko-Gotajską, z którą następnie żył w takich niemal stosunkach jak ojciec jego z królową Karoliną. Książę kochał się szalenie w swojej żonie i miał ją co do wdzięków i przy-

miotów serca i umysłu za najbardziej czarującą z kobiet, ale wierność małżeńska wydawała mu się cnotą niegodną księcia; i dlatego, chcąc wydać się podobnym do Henryka IV, lub Orleańskiego Rejenta, udawał rozwiozłość, do której nie miał najmniejszego pociągu, i jedyną kobietę którą kochał na prawdę, zaniedbywał często dla brzydkich i nieznośnych kochanek.

Adres, który Izba Gmin podała królowi z powodu ożenienia księcia Walii, był dziełem nie ministra ale Pulteney'a naczelnika opozycyjnych Whigów. Przy tym to wniosku odezwał się po raz pierwszy Pitt, który przez ciąg pierwszej sesyi po wejściu swojem do Izby, ani razu głosu nie zabierał. Pan Thackeray mówi, że »jeden z historyków współczesnych opi»suje pierwszą mowę Pitta, jako wyższą od wszystkich staro»żytnych nawet wzorów wymowy.« Mowa ta, podług Tindala [1]) »ozdobniejszą była od mów Demostenesa, a od Cycerońskich »zwięźlejszą«. Frazes ten, który nic nie znaczy, tysiąc razy był powtarzany i przytaczany; trudno pojąć, jak mógł być kiedykolwiek być przytoczonym, oprócz na śmiech; a to że się tak powszechnie przyjął, dowodzi tylko, na jak lichem i powierzchownem myśleniu ludzie zwykli przestawać. Czy słyszał kiedy Tindal, który go pierwszy użył, lub archidyakon Foxe i pan Thackeray, którzy go powtórzyli, mowę jaką, którąby na ten sam komplement nie zasługiwała? Czy słyszeli kiedy mowę mniej kwiecistą od mów Demostenesa, lub rozwlekleszą od Cycerońskich? Nie znamy ani jednego dziś żyjącego mówcy, zacząwszy od lorda Brougham aż do samego pana Hunt, któryby nie miał prawa do tej samej pochwały. Nie było w tem jeszcze nic bardzo pochlebnego dla czyjegoś wzrostu i postawy, gdyby o nim powiedziano, że był wyższym od polskiego hrabi, a niższym od olbrzyma O' Brien, otylszym od Anatomie Vivante, a szczuplejszym od Daniela Lamberta.

Mowa Pitta, tak jak ją *Gentleman's Magazine* podaje, zasługuje nie zupełnie na pochwałę Tindala, ale nie zasługuje

[1]) Tindal Mikołaj, ur. 1687, um. 1774.

na żadną inną. Jest zupełnie tak czcza i szumna, jak zwykły bywać wszystkie pierwsze mowy w podobnych przedmiotach; ale płynność mowy i szczęśliwa powierzchowność mowcy, skłoniły mu od razu ucho i oko słuchaczów; od pierwszego wystąpienia słuchano go zawsze z uwagą, a wprawa rozwinęła niebawem wysokie krasomówcze zdolności i środki, jakie rzeczywiście posiadał.

W naszych czasach słuchaczem każdego członka Parlamentu jest cały naród. Głos i akcya mowcy może podobać się lub niepodobać trzystu lub czterystu osobom obecnym przy wypowiedzeniu mowy; ale w sprawozdaniach czytanych nazajutrz przez krocie tysięcy, znika zupełnie różnica między najszlachetniejszem i najpospolitszem obliczem i postawą, między najpełniejszym i najpiskliwszym głosem, między najudatniejszym i najniezgrabniejszym ruchem. Przed stu laty zaś, ledwo że sprawozdanie jakieś z tego, co działo się w murach Izby Gmin, przecisnąć się mogło na świat niekiedy, i dlatego wszystko zależało od wrażenia, jakie mowca robił na tych, którzy go bezpośrednio słuchali. Sława jego po za Izbą zawisła była zupełnie od świadectwa tych, którzy byli w Izbie; w owoczesnym zatem Parlamencie, tak jak w starożytnych replikach, zalety, które bezpośrednio wrażenie mowy podnoszą, były daleko ważniejszemi pierwiastkami w chemicznym składzie mowcy, niż są dzisiaj. Te zaś wszystkie zalety posiadał Pitt w najwyższym stopniu. Na scenie byłby był najpiękniejszym Brutusem lub Coriolanem, jakiego kiedykolwiek widziano. Ci którzy go widzieli w czasach jego upadku, kiedy zdrowie jego było złamane, kiedy umysł stracił był dawną sprężystość i siłę, kiedy z burzliwego zgromadzenia, którego usposobienie znał na wylot i nad którem miał wpływ nieograniczony, przeszedł do zebrania nielicznego, ospałego i nieprzychylnego,—mówią że po największej części mruczał on swoje mowy głosem cichym i jednostajnym, zrozumiałym dla najbliższych tylko słuchaczów, a choć czasem w gwałtownem rozdrażnieniu podniósł głos na kilka minut, to zaraz głos ten zniżał się znowu do niewyra-

żnego szmeru. Takim był hrabia Chatham, ale William Pitt był innym. Postawa jego, kiedy po raz pierwszy okazał się w parlamencie, była uderzająco wdzięczna i dostojna, oblicze szlachetne i wyniosłe, oko ogniste. Głos jego, nawet kiedy do szeptu zniżony, słyszanym był donośnie na najdalszych nawet ławach, a kiedy go w całej sile natężył i rozpuścił, Izba trzęsła się od dźwięku, a głos rozlegał się jak organ kościelny, i przez przedpokoje i schody dochodził do podwórza Westminster Hall. Wszystkie te swoje własności pielęgnował on z najtroskliwszą starannością; akcya jego, podług złośliwego jednego dostrzegacza, była tak doskonałą jak akcya Garricka; gra oblicza była niesłychana; nieraz zbił z tropu mowcę przeciwnika jednem spojrzeniem oburzenia lub wzgardy; miał w mocy wszystkie tony od namiętnego krzyku aż do przejmującego półgłosu. Być bardzo może, że praca, jaką sobie zadawał dla podniesienia powierzchownych swych zalet, miała w pewnej mierze skutki szkodliwe, i że ona to dała początek temu upodobaniu w teatralnych effektach, które jakeśmy już powiedzieli było jedną z największych skaz na jego charakterze.

Ale nie powierzchownym tylko zaletom zawdzięczał Pitt ten wpływ ogromny, który wywierał na Izbę Gmin przez lat blisko trzydzieści. Był on niezaprzeczenie wielkim mowcą, a z opisu współczesnych niemniej jak z pozostałych ułamków jego mów, łatwo jest wyobrazić sobie rodzaj i rozmiary jego krasomówczej potęgi.

Nie był on mistrzem w przygotowanych mowach; powiedział ich kilka, a wszystkie najzupełniej się nie udały. Wypracowany panegiryk jenerała Wolfa uchodził za najgorsze ze wszystkiego co kiedykolwiek powiedział. »Nikt mniej od »niego, mówi krytyk jeden, który go często słyszał, nie wie»dział co będzie mówił«. I rzeczywiście łatwość wymowy dochodziła u niego do wady; nie był on panem, ale niewolnikiem swej wymowy, a jak się raz zapalił, tak mało umiał nad sobą panować, że nie lubił mieszać się do rozpraw, kiedy umysł jego zajęty był ważną jaką tajemnicą stanu. »Muszę siedzieć

»cicho — rzekł raz w takim wypadku do lorda Shelburne — »bo jak raz wstanę, to wygadam się ze wszystkiem co mam na myśli«.

A przecież nie był on wielkim w rozprawach. Nic dziwnego, że nie był takim, kiedy po raz pierwszy wszedł do Izby, bo nikt takim nie był nigdy bez długiej wprawy i wielu prób nieudanych; Burke mówił, że stopniowo tylko i pomału stał się Fox mowcą najświetniejszym i najpotężniejszym w rozprawie, jaki istniał kiedykolwiek, a Fox sam przypisywał powodzenie swoje temu, że za młodu jeszcze postanowił był mówić, źle czy dobrze, ale mówić koniecznie, choćby raz na noc. »Przez całe pięć sessyj — mówi on — mówiłem każdej »nocy z wyjątkiem jednej, i jeżeli czego żałuję, to tego, żem »tę jedną opuścił.« Rzeczywiście, trudno byłoby wymienić jednego mowcę, któryby mistrzem w rozprawach został innym sposobem, jak kosztem swoich słuchaczów.

Ale tak, jak bez długiej wprawy najzdolniejsi nawet ludzie rzadko sztukę tę nabyć zdołają, tak znowu rzadko się trafia, żeby ludzie niepoślednich zdolności, nie nabyli jej przez długie i nieustraszone ćwiczenie. Rzecz szczególna, że Pitt, człowiek tak świetnych zdolności, tak płynnej wymowy, takiej śmiałości, człowiek, który całe życie strawił na parlamentarnych sporach, na którym przez lat kilka jako na ministrze polegała głównie obrona Rządu w Izbie Gmin, nigdy w tej sztuce do wysokiej nie doszedł doskonałości. Mówił on bez poprzedniego przygotowania, ale mowa jego szła za biegiem własnych jego myśli, nie za biegiem rozpraw poprzednich. Umiał on zatrzymać w pamięci oderwane jakieś wyrażenie przeciwnego mowcy, i dowcipnie obrócić je w śmieszność lub poważnie zgromić; najsławniejsze niektóre wybuchy jego wymowy wywołane były nieostrożnem słowem, śmiechem lub wykrzykiem; ale zdaje się że to był jedyny rodzaj odpowiedzi, w którym celował. Był on jedynym może z wielkich mowców angielskich, który nie dbał o to, żeby mieć ostatnie słowo, i umyślnie najczęściej przed najstraszniejszymi przeciwnikami głos zabierał. Zalety jego wy-

mowy były czysto retoryczne; nie celował ani w postawieniu kwestyi, ani w zbijaniu przeciwnych argumentów, ale mowy jego obfitowały zato w żywe porównania i obrazy, w treściwe apophtegmata, w zręcznie opowiedziane anekdoty, szczęśliwe alluzye.

Wyrzuty jego i ironia były straszne, żadnego może mowcy angielskiego tak okropnie się nie bano. Ale największe wrażenie sprawiała jego wymowa przez tę szczerość, namiętność uczucia, przez tę wysoką godność moralną, jaką nadawać umiał wszystkiemu co mówił. Styl jego nie zawsze najczystszego był smaku, a współcześni sędziowie znajdowali go niekiedy zbyt kwiecistym. Walpole w pochwale swojej na jedną z największych mów Pitta, przyznaje pomimo całego zachwycenia, że przenośnie jego były niekiedy naciągane. Niektóre jego klasyczne cytaty i opowieści byłyby zbyt oklepane na bystrego studenta. Ale były to tylko ozdoby, na które słuchacze mało zważali, bo zapał mowcy udzielał się każdemu kto go słyszał, ogień jego i szlachetna postawa zagrzewały najzimniejsze umysły, i dodawały godności nawet dziecinnym i błahym alluzyom.

Potęga jego niebawem zaczęła Rząd niepokoić, i Walpole postanowił uczynić przykład z patryotycznego podoficera. Pitt został usuniętym ze służby. Pan Thackeray twierdzi, że minister dlatego tak postąpił, ponieważ wiedział, że próżnem byłoby myśleć o przekupieniu tak zacnego i szlachetnego przeciwnika. Nie wątpimy bynajmniej o prawości i szlachetności Pitta, ale nie wiemy wcale, jakie złożył jej dowody, kiedy go z wojska wyrzucono; a oprócz tego pewni jesteśmy, że Walpole nie łatwo byłby uwierzył w nieugiętą uczciwość młodego człowieka, który nigdy jeszcze nie miał był sposobności odmówienia czegokolwiek. Prawda jest ta, że nie było zwyczajem Walpol'a przekupować nieprzyjaciół; Burke słusznie mówi w odezwie swojej do Starych Whigów, że Walpole mało kogo z opozycyi pozyskał dla siebie. W istocie minister ten zbyt dobrze znał swoje rzemiosło; wiedział on doskonale, że za jedne usta zapchane posadą, tysiąc ust zaraz

krzyczeć zaczyna; wiedział, że byłoby to z jego strony złą polityką, dać światu do zrozumienia, że więcej można zyskać stawając w drodze jego rządom, aniżeli rządy te popierając. Zasady te są stare jak początek parlamentarnego przekupstwa w Anglii; Pepys [1]), jak sam mówi, nauczył się ich od doradców Karola Drugiego.

Pitt wszelako nic nie stracił na usunięciu swojem z wojska; został on szambelanem księcia Walii i napastował dalej ministrów z nie mniejszą gwałtownością a większą zdolnością. Spór o prawo morskie, który się podówczas toczył pomiędzy Anglią a Hiszpanią, poruszył wszystkie jego siły. Wołał on o wojnę z zaciekłością, która z rozsądkiem i ludzkością trudno pogodzićby się dała, ale która w oczach pana Thackeray zasługuje na najwyższe uwielbienie. Nie zabawimy się tu nad rozbiorem przedmiotu, na którego sądziliśmy, że wszyscy ludzie dobrze z nim obeznani oddawna jednakowo się zapatrują. Moglibyśmy, jak sądzimy, łatwo dowieść, że jeżeli należy się szanować prawo narodów, jeżeli prawo jest czemś więcej jak drugim wyrazem na przemoc, jeżeli nie wyznajemy zasady Piratów, która zdaje się także być zasadą pana Thackeray, jakoby traktaty nie miały mocy obowiązującej w obrębie trzydziestu stopni od równika, to wojna z Hiszpanią była zupełnie nie do usprawiedliwienia. Ale to wszystko byłoby zbytecznem, bo główni sprawcy tej wojny oszczędzili historykowi trudu sądzenia tej sprawy. Sami wyznali się winnymi. »Wi»działem — mówi Burke — i rozstrząsałem z uwagą orygi»nalne dokumenta dotyczące najważniejszych niektórych spraw »owoczesnych. Przekonałem się z nich dostatecznie o zupełnej »niesłuszności tej wojny, i o fałszywości tego pozoru, którym »Walpole mylną wiedziony polityką na swoją własną zgubę, »sprawę tę ubarwić pozwolił. W kilka lat później miałem szczę-

[1]) Pepys Samuel, ur. 1631, zm. 1703, jeden z głównych sprawców powrotu Stuartów na tron angielski, sekretarz admiralicyi za Jakóba II.

»śliwą sposobność mówienia z najznakomitszymi przeciwnikami »tego ministra, z tymi właśnie, którzy głównie cały ten hałas »podnieśli. Ani jeden z nich, ani jeden, nie próbował uspra»wiedliwiać swego własnego postępowania lub bronić tej sprawy; »potępiali ją owszem tak swobodnie, jak żeby chodziło o ja»kiekolwiek zdarzenie historyczne, w którem żadnego nie brali udziału«. W późniejszych latach dowódł Pitt wielokrotnie, że był jednym z tych spóźnionych pokutników; ale postępowanie jego, tam nawet gdzie jeszcze samemu najwystępniejszem się zdawało, życiopisowi jego wydaje się zawsze godnem uwielbienia.

Wybory z roku 1741 wypadły niepomyślnie dla Walpol'a, i po walce długiej i zaciętej uznał za potrzebne złożyć władzę. Książę Newcastle i lord Hardwicke rozpoczęli układy z naczelnikami stronnictwa Patryotów w nadziei, że uda się im złożyć Rząd oparty na tem stronnictwie; ale Pitt i ludzie najściślej z nim złączeni, postąpili sobie w tym razie w sposób wcale niezaszczytny. Próbowali oni porozumieć się z Walpole'm i ofiarowali się zasłaniać go przed prześladowaniem innych, pod warunkiem, żeby on ze swojej strony użył na ich korzyść wpływu swojego na króla. Posunęli się nawet tak daleko, że ręczyli mu za współdziałanie księcia Walii. Ale Walpole wiedział, że poparcie chłopców, jak młodych patryotów nazywał, nie przyda mu się na nic, jeżeli Pulteney i Carteret zostaliby nieugiętymi, a będzie zupełnie zbytecznem, jeżeliby tych wielkich przywódzców opozycyi zdołał pozyskać. Odrzucił więc ofiarę. Rzecz dziwna, że pan Thackeray, który uznał za potrzebne przechować liche szkolne wiersze Pitta, nie wspomina ani jednem słowem tego przejścia, stwierdzonego najpoważniejszemi świadectwami i opisanego w księdze tak rozpowszechnionej, jak *Życie Walpol'a* przez Cox'a.

Nowy skład Rządu był wielkim zawodem dla wszystkich niemal członków opozycyi, a największym dla Pitta. Nie ofiarowano mu żadnej posady, i dlatego trzymał się z całej siły dawnego swego rzemiosła patryoty. Szczęście jego że tak zrobił, bo gdyby był wszedł do rządu w owym czasie, byłby

prawdopodobnie został tak znienawidzonym jak Pulteney, Carteret i Sandys, a tak, stał się najzaciętszym i najgwałtowniejszym z tych, którzy wołali o pomstę na Walpol'a. Z ogromną siłą i zręcznością przemawiał za najniesprawiedliwszemi środkami przeciw upadłemu ministrowi, jakie tylko nieprzyjaciele tego ostatniego wymyśleć mogli; nalegał na Izbę Gmin, aby wyznaczyła umyślny tajny trybunał do rozstrząśnienia postępków byłego lorda Podskarbiego. I tak się też stało. Znaczna większość tego trybunału śledczego składała się ze znanych powszechnie wrogów oskarżonego męża stanu, ale i ci musieli w końcu przyznać, że nie mogli znaleść w nim żadnej winy. Zażądali zatem nowego pełnomocnictwa (obszerniejszej władzy) i billu indemnizacyi dla świadków, czyli innemi słowy, żądali billu nagrody dla każdego ktoby dostarczył dowodów prawnych prawdziwych lub fałszywych przeciwko hrabi Orford. Bill ten popierał Pitt, który sam ofiarował się być parawanem między lordem Orford a sprawiedliwością publiczną. Fakta te są bardzo smutne; pan Thackeray opuszcza je zupełnie, lub wspomina tak pobieżnie jak tylko można; i może ma słuszność, skoro zadaniem jego jest chwalić. Ale z drugiej strony, choć wiele jest w życiu Pitta chwil przyjemniejszych do rozpamiętywania, to niema ani jednej tak jak ta nauczającej. Jakiż musiał być ogólny stan politycznej moralności, jeżeli człowiek, który uchodził i słusznie za najczystszego, najmniej prywacie służącego polityka swego wieku, mógł tak haniebnemi środkami torować sobie drogę do władzy.

Izba Lordów odrzuciła bill indemnizacyi. Walpole usunął się spokojnie z widowni, wielką próżnię, którą po sobie zostawił, zapełnił niebawem Carteret; a Pitt zaczął znowu przeciwko temu piorunować z takim samym zapałem, z jakim dawniej powstawał na Sir Roberta. Na Cartereta przeniósł on teraz największą część ostrych przydomków właściwych swojej wymowie, i nazywał go niemym ministrem, haniebnym ministrem, nienawistnym ministrem. Głównym przedmiotem jego skarg i zarzutów był wzgląd ministra na niemieckie posiadłości domu

Brunświckiego; z niesłychaną gwałtownością i ze zdolnością, która postawiła go w najpierwszym rzędzie mowców parlamentarnych, powstawał on na zwyczaj płacenia wojsk hanowerskich angielskiemi pieniędzmi. Izba Gmin straciła była właśnie co najświetniejsze swoje ozdoby — Walpole i Pulteney poprzyjmowali parostwa, Sir William Wyndham nie żył, a z młodych wychodzących na wierzch ludzi, ani jeden nie mógł równać się z Pittem.

W czasie przerwy parlamentu w roku 1744 umarła stara księżna Marlborough [1]) i uniosła z sobą do grobu sławę największego mistrza w nienawiści. Ale miłość jej była jeszcze zgubniejszą od jej nienawiści. Przed trzydziestu laty gwałtowność jej była przyczyną zguby stronnictwa, do którego należała, i męża, którego namiętnie kochała; ale z czasem nie stała się ona ani lepszą, ani roztropniejszą. Ktokolwiek choć na chwilę był wielkim i szczęśliwym, zostawał zaraz przedmiotem najzaciętszej nienawiści; nienawidziła dawniej Walpol'a, teraz nie mogła cierpieć Cartereta. Na długo przed jej śmiercią przepowiadał Pope los jej ogromnego majątku

»Nie strzeżone skarby zejdą na nieznanych spadkobierców
»Lub z niebios przejrzenia przejdą do ubogich.«

Pitt był naówczas jednym z ubogich, i jemu z niebios przejrzenia dostała się część bogactw dumnej pani. Zapisała mu ona dziesięć tysięcy funtów, »w uznaniu szlachetnej jego obrony »praw angielskich, i usiłowań uratowania ojczyzny od zguby.«

Testament ten zrobiony był w sierpniu, księżna umarła w październiku, a w listopadzie Pitt był już dworakiem. Pelhamowie zmusili króla, że acz niechętnie rozstał się z Carteretem,

[1]) Sara Marlborough, żona sławnego zwycięzcy z pod Blenheim i Malplaquet; miała wpływ nieograniczony na królowę Annę, ale tak go nadużywała, że wpadła w niełaskę i pociągnęła w nią męża i jego stronników.

który został teraz hrabią Granville, i wzięli się po tem zwycięztwie do złożenia Rządu na podstawie ochrzczonej w mowie pospolitej przydomkiem szerokiego dna. Lyttleton dostał posadę w Ministeryum skarbu, umieszczono kilku innych przyjaciół Pitta, ale Pitt sam musiał na teraz poprzestać na obietnicach. Król uczuł bardzo żywo kilka wyrażeń użytych w rozprawie przez namiętnego mowcę o wojsku Hanowerskiem; Newcastle jednak i Pelham, najsilniejszą pocieszali Pitta nadzieją, że czas i ich usiłowania ułagodzą królewską urazę.

Pitt ze swej strony nie zaniedbał niczego, coby mu wstęp do Rządu mogło ułatwić. Zrzekł się miejsca swojego na dworze księcia Fryderyka, a po zebraniu Parlamentu używał całej swej wymowy na poparcie Rządu. Pelhamowie naprawdę szczerze pracowali, aby usunąć silne uprzedzenie zakorzenione w umyśle króla; wiedzieli, że Pitt nie był człowiekiem, któryby się łatwo dał oszukać lub bezkarnie pokrzywdzić; bali się, że niedługo zdołają zaspokajać go samemi tylko obietnicami, a usuwać go na bok, nie leżało wcale w ich interesie. Łączył ich z nim silny jeden węzeł, ten mianowicie, że był on nieprzyjacielem ich nieprzyjaciela. Obadwa bracia nienawidzili i lękali się wymownego, ambitnego i samowładnego Granvill'a; śledzili wszędzie jego intrygi, znali wpływ jego nad umysłem króla, i wiedzieli, że przy pierwszej szczęśliwej sposobności, przywołanym on zostanie na nowo do steru Rządów. Postanowili doprowadzić rzeczy do przesilenia, a za punkt wyjścia służyć miał Pitt i jego przyjęcie lub nieprzyjęcie do składu Rządu. Chwilę do tego wybrali z większą zręcznością niż wspaniałomyślnością; podali bowiem dymisyą w chwili, gdy bunt wybuchnął na ziemi Angielskiej, i gdy pretendent był panem północnych kończyn wyspy [1]). W jednym dniu ujrzał się król opuszczonym przez sam rdzeń tego stronnictwa, które dom jego osadziło na tronie. Lord Granville próbował złożyć gabinet,

[1]) Karol Edward Stuart wylądował w Szkocyi w roku 1745, pobity pod Culloden 1746.

ale przekonał się niebawem, że wpływ Pelhamów w Parlamencie był nie do przezwyciężenia, i że najmilszy królowi mąż stanu mógł liczyć zaledwo na trzydziestu mniej więcej Lordów i na ośmdziesięciu członków Izby Niższej. Odstąpiono więc od zamiaru i Granville odszedł ze śmiechem; ministrowie powrócili silniejsi niż kiedykolwiek, a król nie mógł dłużej odmawiać temu, coby im się zażądać podobało; nie mógł nic, jak tylko mruczeć, że rzeczą jest bardzo smutną, żeby taki Newcastle który nie mógłby być szambelanem najmniejszego książątka w Niemczech, mógł dyktować prawa królowi Anglii.

Ministrowie jednak zrobili królowi łaskawie jedno ustępstwo. Zgodzili się na to, żeby Pitta nie umieszczać w takiem stanowisku, w którem musiałby często spotykać się z królem, i zamiast zrobić nowego sprzymierzeńca sekretarzem w ministerstwie wojny, jak pierwotnie zamierzali, mianowali go Vice-Podskarbim Irlandyi, a niebawem posunęli go na urząd Paymaster of the forces, Płatnika wojsk.

Była to w owym czasie jedna z najzyskowniejszych w Rządzie posad. Płaca sama stanowiła małą tylko część dochodów, które Paymaster ciągnął ze swego urzędu. Wolno mu było mieć zawsze w ręku wielkie sumy pieniędzy, które w pokoju nawet rzadko kiedy wynosiły mniej jak sto tysięcy funtów, a procenta od tych sum mógł obracać na swój własny użytek. Zwyczaj ten nie był wcale tajemnicą i nikomu w powszechnem mniemaniu nie uwłaczał; trzymali się go ludzie nieposzlakowanej czci przed Pittem i po czasach Pitta; ale on, nie chciał przyjąć ani szeląga nad płacę prawem przywiązaną do jego obowiązku. Książęta zagraniczni, którzy pobierali angielskie zasiłki, zwykli byli dawać Płatnikowi wojsk pewien procent od tych zasiłków; haniebne to porękawiczne Pitt stanowczo odrzucił.

Taka niedbałość o zysk była za jego czasów rzeczą niezmiernie rzadką; polityków zdziwił i śmieszył ten jego postępek; ale u massy narodu znalazł gorące uwielbienie. Pomimo wszystkich zmian i niestałości jakiemi Pitt był zawinił, pomimo

przeciwieństwa między jego zaciekłością w opozycyi i powolnością w Rządzie, posiadał on zawsze w wysokim stopniu zaufanie narodu. Powody, które skłaniają polityka do zmiany czy to stosunków i związków, czy ogólnego kierunku polityki, pozostają częstokroć tajemnicą, ale delikatność w rzeczach pieniężnych zrozumiałą jest dla każdego. Od tej też chwili uchodził Pitt za człowieka niedostępnego brudnym pokusom; jeżeli robił źle, to mógł źle robić przez złe widzenie rzeczy, przez namiętności, przez żądzę władzy, ale od podejrzeń chciwości, choć ubogi, wyzwolił się raz na zawsze.

Nastąpiło ośm lat spokoju; ośm lat, w ciągu których mniejszość, coraz słabsza od dnia ustąpienia Lorda Granville, topniała coraz bardziej, aż się nareszcie niedostrzeżoną prawie stała. W roku 1748 zawarto pokój z Francyą i z Hiszpanią; w roku zaś 1751 umarł książę Fryderyk, a z nim znikł ostatni cień opozycyi. Najznakomitsi z pozostałych przeciwników i stronników Walpol'a połączyli się pod jego następcą. Namiętny i burzliwy umysł Pitta dał się na jakiś czas uspokoić; zgodził on się milczkiem na tę właśnie politykę względem mocarstw kontynentalnych, którą tylko co był potępiał; przestał pogardliwie mówić o Hanowerze, nie opierał się pokojowi z Hiszpanią, chociaż pokój ten zostawiał nas w tem samem zupełnie położeniu, w jakiem byliśmy za czasu, kiedy porywające jego mowy gromiły pokojową politykę Walpol'a. Zjawiał się wprawdzie tu i owdzie jak żeby błysk jakiś dawnego Pitta, ale były to błyski rzadkie i przemijające. Pelham wiedział z kim miał do czynienia, i czuł, że sprzymierzeńcowi tak nieprzywykłemu do podległości, a mogącemu tak wiele zaszkodzić, przebaczać trzeba przypadkowe napady krnąbrności.

Dwóch ludzi mało co niższych od Pitta, jeżeli wogóle byli od niego niższymi co do zdolności, zajmowało tak jak on podrzędne w Rządzie stanowiska. Jeden z nich, Murray, był naprzód generalnym Prokuratorem, a potem generalnym Adwokatem Korony do spraw skarbowych. Niepospolity ten

ten człowiek przewyższał Pitta smakiem, siłą rozumowania, rozległością i gruntownością nauki. Parlamentarna jego wymowa nie wybuchała nigdy w niespodziane połyski olśniewającej świetności, ale świetność jej jasna, spokojna i łagodna, nie zaćmiewała się nigdy ani na chwilę. Co do rozumu, dorównywał on, jak sądzimy, Pittowi, ale zbywało mu na tych zaletach moralnych, którym Pitt zawdzięczał po największej części swoje powodzenie. Murray nie miał tej energii, tej odwagi, tej ambicyi, która wszystkiego się chwycić i wszystko na kartę stawić gotowa, przez które w burzliwych czasach ludzie wielkimi się stają. Serce jego było cokolwiek chłodne, usposobienie ostrożne aż do nieśmiałości, układ dostojny aż do sztywności. Majątku i znaczenia swego nie narażał nigdy na szwank, którego mógł był uniknąć. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, mógł był raz zostać pierwszym Ministrem, ale żądania jego nie sięgały po za ławę sędziowską; stanowisko najwyższego Sędziego nie było może tak świetne jak stanowisko Podskarbiego, ale było godne, było spokojne, było pewne, i dlatego było ulubionem stanowiskiem Murray'a.

Sekretarzem do spraw wojennych był Fox, ojciec tego wielkiego człowieka, którego potężna praca w sprawie pokoju, prawdy i wolności, imię to nieśmiertelnem zrobiła. Był on ulubieńcem króla, księcia Cumberland [1]) i niektórych najpotężniejszych członków związku Whigów; miał pierwszego rzędu parlamentarne zdolności, a jako mowca był pod wszystkiemi niemal względami przeciwieństwem Pitta. Postawę miał niezgrabną, a twarz podług wizerunków Raynoldsa i Nollekensa wskazywała wprawdzie umysł potężny, ale była pospolita i ponurego a groźnego wyrazu. Układ jego był niezgrabny, wymowa niepewna; częstokroć zatrzymywał się, bo mu brakło wyrazów, ale w rozprawie, w tej logice bystrej, męzkiej,

[1]) Książę Cumberland, Wilhelm, trzeci syn Jerzego II, ur. 1721, zmarł 1765 r. Zwycięzca pod Culloden, pobity przez Francuzów pod Fontenoy.

poważnej, jaka przystoi sporom w politycznych przedmiotach, nikt go nigdy oprócz własnego syna nie przeszedł. W odpowiedzi był równie stanowczo wyższym od Pitta, jak był od niego niższym w deklamacyi. Co do rozumu, szala ważyła się między nimi, ale i tu znowu moralne przymioty przeważały ją na stronę Pitta. Fox miał niezaprzeczenie wielkie cnoty; z usposobienia wrodzonego, jak ze zdolności, wiele miał podobieństwa ze sławniejszym od siebie synem; miał tę samą łagodność i dobroć serca, niemniej silne namiętności, tę samą otwartość, śmiałość i popędliwość, tę samą serdeczność z przyjaciołmi, tę samą dla nieprzyjaciół łatwość przebaczenia. Nikt nigdy goręcej i z większą słusznością nie był kochanym przez rodzinę i przyjaciół. Ale na nieszczęście wychował on się był w złej szkole politycznej, w szkole, której zasadą było, że polityczna cnota jest tylko maską politycznej niecnoty, że każdy patryota da się kupić za pewną cenę, że rząd sprawować się da jedynie za pomocą przekupstwa, i że państwo jest gotowym łupem dla ludzi stanu. Zasady te do zbytku były rozpowszechnione w niższych warstwach stronnictwa Walpol'a, a sam Walpole, który z nienawiści do hipokryzyi i udawania często w przeciwną wpadał ostateczność, nie mało się przyłożył do rozkrzewienia tych zasad. Wolna moralność polityczna Foxa dziwne stanowiła przeciwieństwo do ostentacyjnej nieskazitelności Pitta. Naród nie dowierzał pierwszemu, a w drugim stałe i ślepe pokładał zaufanie. Ale wszyscy niemal politycy owego czasu dopiero uczyć się tego musieli, że zaufanie narodu może się na coś przydać. Dopóki był spokój, dopóki nie było oppozycyi, kiedy wszystko dostać można było jedynie z łaski nielicznej rządzącej junty, Fox miał stanowczą wyższość nad Pittem; ale kiedy nadszedł czas niebezpieczeństw, kiedy Europa zatrzęsła się od wojny, kiedy Parlament rozpadł się na fakcye, kiedy umysły gwałtownie były wzburzone, wtedy ulubieniec narodu dostąpił najwyższej władzy, a współzawodnik jego stracił znaczenie i popadł w niepamięć.

W początkach roku 1754 umarł niespodzianie Henryk Pelham. »Teraz już nie będę miał spokoju«, rzekł stary król, kiedy się o śmierci jego dowiedział, i miał słuszność. Pelham zdołał pojednać i utrzymać w jedności wszystkie najznakomitsze talenta całego kraju. Śmierć jego opróżniła najwyższe stanowisko, na jakie wznieść się może angielski poddany, a w tej samej chwili niestało tej przewagi, która umiała sprządz razem tyle dumnych i burzliwych umysłów i nimi kierować.

W tydzień po śmierci Pelhama postanowiono, że Podskarbstwo obejmie książę Newcastle, ale skład gabinetu dalekim jeszcze był od zupełności. Któż miał w Izbie Gmin zastępować Koronę i Izbą kierować? któż wié, czy taki człowiek nie zażądałby większego znaczenia i większego udziału we władzy, niżby Newcastle chciał odstąpić. A jeżeliby się użyło prostej figury, to cóż za prawdopodobieństwo, żeby figura taka mogła dać sobie radę z zebraniem licznem, burzliwem i obfitującem w ludzi zdolnych i doświadczonych?

Powiedział Pope o obrzydliwym skąpcu Sir Johnie Cutter, że »przez swoje skąpstwo musiał patrzeć, jak się domy waliły »i lokatorowie zrzucali się z kontraktów, a nie mógł ani ściany »wybudować.« Newcastle tak samo kochał się we władzy jak Cutter w pieniądzach. Była to chciwość, która się sama okradała, na grosz czujna, na dukaty niebaczna. Bezpośredni wydatek był mu tak bolesnym, że nie mógł się zebrać na najkonieczniejsze nawet naprawy. Gdyby był mógł zdobyć się na częściowe ustępstwo władzy, byłby prawdopodobnie zabezpieczył sobie posiadanie reszty, ale on wolał zbudować rząd słaby i spróchniały, który chwiał się za lada wiatrem a runął za pierwszą burzą, jak zapłacić stósowną cenę za trwały i zdrowy materyał. Chciał on znaleźć kogoś, któryby przyjął prowadzenie Izby Gmin, pod takiemi warunkami, pod jakiemi sprawował ten urząd sekretarz Craggs przed trzydziestu pięciu laty, za rządów Sunderlanda. Ale Craggs nie był ministrem, był po-

prostu tylko agentem ministra; nie posiadał wyższych tajemnic stanu, ale słuchał ślepo z góry dawnych rozkazów, i był tylko, jak mówi Doddington, służącym Lorda Sunderland. Teraz zaś inne były czasy; znaczenie Izby Gmin nieustannie się wzmagało od dni Sunderlanda, a od wielu lat, ten, który w Izbie tej zastępował interes Korony, bywał zawsze niemal pierwszym ministrem. W takich okolicznościach było nie do przypuszczenia, żeby ktokolwiek obdarzony odpowiedniemi stanowisku zdolnościami, chciał był przyjąć to stanowisko pod takiemi warunkami, pod jakiemi je Newcastle ofiarował.

Pitt, chory, znajdował się naówczas w Bath, a gdyby był nawet znajdował się w Londynie i przy najlepszem zdrowiu, nie byłby miał ochoty ani król ani Newcastle jego wybadać, czyby urzędu tego nie przyjął. Chłodny i przezorny Murray zwrócił się zupełnie do spraw innego rodzaju, spróbowano więc porozumieć się z Foxem. Newcastle okazał się godnym siebie w tych układach, to jest dziecinnym i płaskim. Warunki jakie stawiał były, że Fox zostałby sekretarzem stanu i z obowiązkiem prowadzenia Izby, a że rozporządzanie funduszem sekretnym, czyli inaczej przekupowanie członków Parlamentu, zostałoby przy wielkim Podskarbim. Fox wszelako miał zawsze wiedzieć dokładnie o sposobach, w jakie fundusz ten zostałby użytym.

Fox zgodził się na te warunki, ale nazajutrz już znowu wszystko było w największym nieładzie. Newcastle zmienił zamysły. Rozmowa jego z Foxem jest jedną z najciekawszych w naszej historyi. »Mój brat, rzekł, »będąc Podskarbim, nikomu nigdy nie mówił, co robił z funduszem sekretnym — dlaczegóż ja mam się z tego tłomaczyć?« Odpowiedź była bardzo prosta. Nietylko Pelham był podskarbim, ale zarazem prowadził Izbę, i dlatego nie potrzebował powierzać komuś drugiemu tego, co zachodziło między nim a członkami tej Izby; »a jakżeż ja, odpowiada Fox, »potrafię Izbę prowadzić, jeżeli »o tem nic nie mam wiedzieć? Jakżeż mogę mówić z tymi »panami, jeżeli nie wiem, którzy z nich dostali upominki,

»a którzy nie? Oprócz tego, mówił dalej, »przy kimże ma być »rozdawnictwo urzędów?« — Przy mnie samym« — odrzekł książę. — »Więc jakże ja mogę kierować Izbą?« — »Oh — »odsyłać członków do mnie.« Potem wspomniał Fox o zbliżających się powszechnych wyborach, i zapytał, jak się obsadzą krzesła z ministeryalnych miasteczek. »Tem się pan nie troszcz, odpowiedział Newcastle, to już wszystko urządzone.« To było więcej, niż cierpliwość ludzka znieść może; Fox odmówił sekretarstwa stanu pod takiemi warunkami, a Newcastle powierzył kierownictwo Izby Gmin nie złemu, ale niezdolnemu człowiekowi, którego imię dziś już zupełnie jest zapomnianem, Sir Tomaszowi Robinson.

Pitt, po powrocie swoim z Bath, udawał wielkie umiarkowanie, choć wrzał gniew i uraza w wynioslej jego duszy. Nie skarżył się bynajmniej na to, że został tak bezwzględnie pominiętym, ale mówił otwarcie, że zdaniem jego Fox był najzdolniejszym człowiekiem do prowadzenia Izby. Współzawodnicy zbliżeni do siebie wspólnością interesu i urazy, ułożyli między sobą plan kampanii na przyszłą sesyą Parlamentu. »Sir Tomasz Robinson ma nami kierować, rzekł Pitt do Foxa, »mógł książę przysłać nam swój but, wyszłoby zupełnie na to samo.«

Wybory z roku 1754 wypadły pomyślnie dla rządu, ale stan spraw zagranicznych był groźny. W Indyi, od samego pokoju Akwisgrańskiego Francuzi i Anglicy podrzynali sobie gardła nawzajem, a teraz chwycili się do tej samej roboty i w Ameryce. Łatwo było przewidzieć, że nadchodziły czasy burzliwe, wymagające innych zupełnie zdolności, jak zdolności księcia Newcastle i Robinsona.

Parlament zebrał się w Listopadzie; a przed końcem jeszcze tego miesiąca nowy sekretarz stanu tak niemiłosiernie wystawionym był na śmiech przez płatnika wojsk i sekretarza wojny, że mu stanowisko jego obmierzło. Fox nacierał na niego cierpko i zawzięcie, Pitt udawał pogardliwą względność dla Sir Tomasza, napaści swoje kierował głównie przeciw

ministrowi. Jednego razu zapytał głosem silnym jak grzmot, czy Parlament jest na to tylko, żeby zapisywał edykta jednego przemożnego poddanego. Newcastle stracił zupełnie głowę ze strachu; bał się niesfornych oddalić ze służby, bał się posunąć ich wyżej, a coś musiał zrobić koniecznie. Wolał jednak popróbować z Foxem, jako z mniej dumnym, mniej nieugiętym z tej krnąbrnej pary, i ofiarował mu miejsce w gabinecie pod warunkiem, żeby skutecznie popierał ministeryum w Parlamencie. Fox przyjął w nieszczęsną dla swej sławy i swego zawodu godzinę, i zerwał związek z Pittem, który mu nigdy zbiegostwa tego nie przebaczył.

Sir Tomasz zdołał przy pomocy Foxa przepchać się bez wielkich kłopotów przez sesyę pierwszego roku. Pitt czekał na sposobną chwilę. Układy toczące się podówczas między Francyą i Anglią coraz mniej pomyślny brały obrót. Pod koniec Lipca przysłał król messaż do Izby z uwiadomieniem, że uznał za potrzebne sposobić się do wojny. Izba odpowiedziała Adresem dziękczynnym i zawotowaniem kredytu. Podczas przerwy między dwoma sessyami, zawiść obu narodów rozogniła się szeregiem nieszczęsnych wypadków kolejno po sobie idących. Wojsko angielskie zniesionem zostało w Ameryce, a kilka francuzkich kupieckich okrętów zabrali Anglicy na morzach zachodnio-indyjskich, i stało się jawnem dla każdego, że wojna musiała lada chwila wybuchnąć.

Królowi przedewszystkiem chodziło o zabezpieczenie Hanoweru, a Newcastle skłonny był dogodzić mu w tym względzie. Obyczajem owych czasów zawarto ugody z różnymi drobnymi książętami Rzeszy, którzy zobowiązali się dostarczyć ludzi, skoroby Anglia dostarczyła pieniędzy, a ponieważ posądzano Fryderyka II, że się zasadził na Elektorskie posiadłości swego wuja, przeto najęto Rosyę, żeby trzymała w strachu Prusaka.

Kiedy punkta ugodne tych traktatów doszły do wiadomości publicznej, podniosło się w całym kraju szemranie, z którego bystry dostrzegacz mógł był wywróżyć nadchodzącą

burzę. Newcastle napotkał stanowczy opór nawet u tych, których zawsze za narzędzia swoje uważał. Kanclerz Skarbu Legge nie chciał podpisać poręczeń skarbowych, bez których traktaty nie mogły być wykonane. Osoby posiadające, podług powszechnego mniemania, zaufanie młodego księcia Walii i jego matki, przemawiały w sposób bardzo groźny. Newcastle w takich kłopotach posłał po Pitta, głaskał go, pieścił i uśmiechał się do niego, płakał przed nim i wyszeptał mu najwyższe pochlebstwa i najświetniejsze obietnice. Król dotychczas tak na niego kwaśny, już miał być grzecznym, Pitt miał wejść do Gabinetu, miał już o wszystko zawsze być pytanym, byle tylko był tak dobrym popierać zasiłki Heskie w Izbie Gmin. Pitt odrzucił zimno ofiarowane miejsce w Gabinecie, wyraził najwyższe uszanowanie i przywiązanie do króla, i oświadczył, że jeżeli Jego Królewskiej Mości osobiście tak wiele zależy na traktacie z Hessyą, to on zboczy o tyle z wytkniętej swojej linii postępowania, że traktat ten poprzeć będzie gotów. »A zasiłki dla Rosyi?« zapytał Newcastle. »Nie, odrzekł Pitt, »nie będę popierał systemu zasiłków.« Książę wezwał na pomoc Lorda Hardwicke, ale Pitt był nieugięty; Murray nic robić nie chciał, Robinson nic zrobić nie mógł, nie pozostawało nic, jak udać się po ratunek do Foxa. Zrobiono go sekretarzem Stanu z zupełną władzą prawdziwego kierownika Izby Gmin, a Sir Tomasz wynagrodzony został Irlandzką jakąś synekurą.

Izby zeszły się w Listopadzie 1755. Oczekiwanie powszechne doszło do najwyższego stopnia naprężenia. Po dziesięciu latach zupełnego spokoju miała nareszcie pokazać się opozycya pod zasłoną następcy Tronu, a pod dowództwem najświetniejszego mowcy owych czasów. Rozprawę nad adresem wspominano długo jako największy spór parlamentarny za dni owego pokolenia, zaczęła się ona o trzeciej z południa a trwała aż do piątej po północy. Tej to nocy powiedział Gerhard Hamilton ową jedyną swoją mowę, od której poszła jego sława. Wymowa jego zaćmiła wszystkich mowców oprócz Pitta, który przez półtory godziny piorunował przeciwko po-

siłkom z niesłychaną siłą i niezmierne sprawił wrażenie. Zdolności, które niegdyś strachem przejmowały większości ministeryalne za czasów Walpol'a i Cartereta, zabłysły teraz w najwyższej swej świetności przed słuchaczami, odzwyczajonymi oddawna od takiego widoku. Jeden ustęp tej sławnej mowy dość jeszcze dobrze się przechował; jest nim porównanie koalicyi Foxa z księciem Newcastle z połączeniem Rodanu z Saoną. »W Lyonie, mówi Pitt, »zaprowadzono mnie na miej»sce, gdzie się te dwie rzeki schodzą, jedna łagodna, słaba »i leniwa, ale choć leniwa, nie głęboka wcale; druga jest rwią»cym i bystrym potokiem; a przecież choć tak od siebie różne, »łączą się z sobą nakoniec.« Poprawka wniesiona przez opozycyę, odrzuconą została wielką większością, a Pitt i Legge natychmiast zostali usunięci z urzędów.

Walka w Izbie Gmin przez kilka miesięcy niezmiernie była zaciętą. Spory o budżet były bardzo gwałtowne, a gwałtowniejsze jeszcze o traktaty posiłkowe. Rząd wszędzie wyszedł zwycięzko, ale sława wymowy Pitta i wpływ wyniosłego i stanowczego jego charakteru wzmagały się nieustannie przez ciąg tej sessyi, a wypadki, które zaszły po odroczeniu Izb, sprawiły, że niepodobieństwem było dla kogokolwiek kierować Parlamentem lub krajem.

Wojna zaczęta na wszystkich krańcach świata, a zaczęta od wypadków nieszczęsnych, a więcej jeszcze haniebnych jak nieszczęsnych dla Anglii. Najbardziej zaś upokarzającą z tych klęsk była strata Minorki. Książę Richelieu, stary błazen, który całe swoje życie od szesnastu lat do sześciudziesiąt strawił na uwodzeniu kobiet, o które dbał jak pies o piątą nogę, wylądował na tej wyspie i potrafił ją podbić. Admirał Byng miał z Gibraltaru płynąć na ratunek i rzucić posiłki w Port Mahon, ale nie uznał za stosowne zaczepić francuzkiej eskadry i odpłynął nic nie sprawiwszy. W Anglii oburzenie dochodziło do szaleństwa; wybuchła burza, na którą struchleli ci nawet, którzy pamiętali czasy Akcyzy i Mórz Południowych. Wszystkie sklepy pełne były pamfletów i karykatur; mury zakryte

były plakatami, Londyn wołał o pomstę, a krzyk ten odbijał się ze wszystkich krańców królestwa. Hrabstwa Dorset, Huntingdon, Bedford, Buckingham, Somerset, Lancaster, Suffolk, Shrop i Surrey podały silne adresy do Korony i poleciły swoim posłom głosować za surowem śledztwem przyczyn ostatniej klęski. W wielkich miastach oburzenie było równie silne jak po hrabstwach; w niektórych instrukcyach dla Posłów żądano zatrzymania dodatkowych podatków.

Naród był w stanie gniewnego i ponurego zwątpienia, które nie ma prawie równego w historyi. Po wszystkie wieki zwykli byli ludzie mówić o szczęśliwych czasach swoich przodków i o wyrodności współczesnego pokolenia. Wogóle jest to tylko czcza gadanina; ale w roku 1756 było to czemś więcej. W tej to chwili ukazał się Brown'a Wykaz dochodów i wydatków, książka znana dziś z tego, co natrąca o niej Burke w Listach o królobójczym pokoju. Wtenczas wszyscy ją czytali, podziwiali i wierzyli jej bezwzględnie. Autor przekonał najzupełniej czytelników, że byli plemieniem tchórzów i łotrów, że nic ich zbawić nie mogło, że nieprzyjaciel tylko co ich nie ujarzmi, i że zupełnie na swój los zasługiwali. W takie to przepowiednie wierzono powszechnie na wstępie najświetniejszej wojny, jaką kiedykolwiek Anglia prowadziła.

Newcastle zaczął naprawdę drżeć o swoją posadę, i o jedyną rzecz, która mu droższą była od posady, o głowę. Naród był w takiem usposobieniu, że nie było z nim żartu. Wołał on o krew; na ten pierwszy raz dałby się może zaspokoić poświęceniem Bynga, ale co będzie potem? Jeżeli nowe nastąpią porażki, jeżeli wstąpi na tron król nieprzychylny ministrowi, jeżeli wybraną zostanie nowa nieprzyjazna jemu Izba Gmin — co będzie wtedy?

W Październiku nareszcie nastąpiło stanowcze przesilenie. Nowy Sekretarz Stanu, który od dawna już zanadto miał płochości i zdrad Lorda Podskarbiego, zaczął się lękać, żeby ten stary intrygant, któremu choć się nieudolnym wydawał nigdy nie zbywało na zręczności, kiedy chodziło o to by się

z niebezpieczeństwa wywinąć, jego nie wystrychnął na kozła ofiarnego, byle siebie ocalić. Fox złożył swój urząd; Newcastle udał się do Murraya, ale Murray dosięgał właśnie podówczas najwyższego celu swych życzeń. Opróżniła się posada Najwyższego Sędziego, i Prokurator Generalny postanowił albo ją dostać albo przejść do opozycyi. Newcastle ofiarował mu wszystkie jakichby tylko zechciał warunki, dożywotni tytuł księcia Lancaster, miejsce Płatnika w skarbie, pensyję, jakiejby sam zażądał, dwa tysiące, sześć tysięcy funtów na rok. A kiedy ministrowie przekonali się, że umysł Murraya był zupełnie postanowiony, prosili go przynajmniej o zwłokę, o zwłokę jednej sessyi Parlamentu, jednego miesiąca, jednego tygodnia, choćby jednego dnia. Czy przynajmniej ukaże się raz jeszcze w Izbie Gmin? Czy choć raz przemówi za adresem? Ale Murray był nieubłagany i oświadczał stanowczo, że czy mu urząd Najwyższego Sędziego dadzą czy nie dadzą, on w żadnym razie adwokatem Korony w sprawach skarbowych dłużej nie zostanie.

W takich kłopotach Newcastle zdołał wreszcie przezwyciężyć uprzedzenia króla, i znowu przez Lorda Hardwicke próbował porozumieć się z Pittem. Ale Pitt wiedział co mógł i pokazał że wiedział; za konieczny warunek postawił, żeby Newcastle wykluczonym był z nowego składu rządu.

Książę wpadł na to w rozpacz prawdziwie komiczną. Biegał od jednego do drugiego, plótł sam nie wiedział co, płakał, wszystkich prosił o radę a nikogo nie słuchał; a do sessyi tymczasem coraz było bliżej. Oburzenie powszechne nie zmniejszyło się wcale; nie było nikogo, ktoby w Izbach mógł stawić czoło Pittowi i Foxowi, dość, że Newcastle stracił serce do reszty i podał się do dymisyi.

Król wezwał do siebie Foxa i zlecił mu złożyć Ministeryum łącznie z Pittem, ale Pitt nie zapomniał dawnych uraz i stanowczo odmówił wejścia do Rządu razem z Foxem.

Teraz udał się król do księcia Devonshire, i temu to pośrednikowi udało się przecież złożyć Gabinet. On sam przyjął na siebie Podskarbstwo; Pitt został Sekretarzem Stanu

i miał prowadzić Izbę Gmin; wielką pieczęć trzymał ktoś tymczasowo w zastępstwie, Legge powrócił do Skarbu, a Lord Temple, z którego siostrą Pitt był się niedawno ożenił, objął ster admiralicyi.

Od samego początku widocznem było dla każdego, że Rząd ten długo się nie ostoi. Trzymał on się nie całe pięć miesięcy, a przez te pięć miesięcy Pitt i Temple doznali przykrego obejścia od króla, a od Izby Gmin słabego poparcia. Fakt godny uwagi, że opozycya przeszkodziła powtórnym wyborom niektórych z pomiędzy nowych ministrów. Pitt, który zasiadał w Parlamencie jako poseł jednego z miasteczek, w których wpływ Pelhamów przeważał, nie bez trudności zatrzymał swoje krzesło po przyjęciu pieczęci; dowodzi to, jak nowy rząd ogołoconym był zupełnie z tego wpływu, bez którego żaden rząd długo utrzymać się nie może. Jednym z najczęściej używanych argumentów przeciwko Billowi Reformy jest, że przy szerszym systemie wyborczym, wiele ludzi, których obecność w Izbie Gmin do dobrego prowadzenia spraw konieczną być może, mogłoby wcale miejsca w niej nie znaleźć. Jeżeliby niedogodność istotnie uczuć się kiedy dała, nic łatwiejszego, jak znaleźć na nią lekarstwo; ci zaś, którzy nam tem złem grozili, powinni byli pamiętać, że za dawnego systemu wyborczego, wielki człowiek powołany do władzy w chwili wielkiego niebezpieczeństwa głosem całego narodu, o mało nie został wykluczonym z Izby, której był najświetniejszą ozdobą, przez arystokratyczną kabałę.

Śledztwo Admirała Byng było najważniejszym faktem za tej krótkotrwałej Administracyi. Do dziś dnia jeszcze zdania podzielone są w tym przedmiocie. Co do nas, skazanie Admirała wydaje nam się niesprawiedliwem i niedorzecznem. Zdrada, tchórzostwo, nieudolność, jeżeli dochodzi do tego co u prawników, nazywa się crassa Ignorantia, są właściwemi przedmiotami surowych karnych wyroków; ale tu nie znaleziono oskarżonego winnym ani zdrady, ani tchórzostwa, ani grubej nieznajomości swej sztuki. Poniósł on śmierć za to, co mógł tak samo zrobić

najwierniejszy poddany, najodważniejszy wojownik, najdoświadczeńszy marynarz; poniósł śmierć za to, że pomylił się w sądzie, co się nieraz zdarzało wojskowym takim jak Fryderyk, Napoleon i Wellington, jak sami nieraz przyznawali. Pomyłki takie nie powinny podpadać karze, dlatego, że kara zamiast im zapobiegać, tylko je sprowadza. Bojaźń haniebnej śmierci może rozruszać gnuśność do sprężystości, może zdrajcę przykuć do chorągwi, może powstrzymać tchórza od ucieczki, ale nie może rozwinąć tych przymiotów, przez które ludzie w stanowczych przejściach zdolnymi się stają szybkich i śmiałych pomysłów. Najlepszy strzelec może chybić, jeżeli jabłko, które mu za cel ma służyć, leży na głowie jego dziecka. Nie możemy sobie wyobrazić nic coby dowódzcę bardziej pozbawić mogło przytomności w chwili, kiedy jej najwięcej potrzebuje, jak ta myśl, że jeżeli sposób widzenia jego przełożonych z jego własnym się nie zgodzi, zostanie straconym ze wszystkiemi dodatkami i przyborami hańby. Mówią ludzie, że połogi daleko są niebezpieczniejsze dla królowych niż dla kobiet prywatnych, dlatego tylko, że ich lekarze mniej mają zimnej krwi i spokoju. Przy połogu Maryi Ludwiki lekarz stracił zupełnie głowę z niespokojności. »Uspokój się pan, rzekł mu Napoleon, »wyo»braź sobie, że jesteś przy prostej kobiecie z Faubourg St. »Antoine.« I niezawodnie postąpił sobie daleko mądrzej od tego króla z arabskich powieści, który ogłosił, że lekarz, któremuby się nie udało córkę jego wyleczyć, będzie miał głowę uciętą. Bonaparte znał dobrze ludzi, i tak jak z tym lekarzem, postępował także ze swoimi ofiarami. Żaden panujący nie był tak jak on pobłażającym dla prostych pomyłek w sądzie o rzeczy, a rzecz niezawodna, że żaden nie miał nigdy w swojej służbie tylu wojskowych zdolnych do najwyższego dowództwa.

W sprawie tej odegrał Pitt uczciwą i odważną rolę. Nie wahał się wystawić na sztych swoją władzę i popularność zarazem i odważnie przemawiał za oskarżonym Admirałem, tak w Izbie jak i przed królem. Ale król był nieubłagany. »Izba »Gmin, mówił Pitt, »skłania się do litości.« — »Nauczyłeś mnie

»pan, odpowiedział król, »szukać opinii ludu gdzieindziej jak »w Izbie.« Słowa te najwięcej ze wszystkich zapamiętanych słów Jerzego II, mają w sobie bystrość i trafność, a choć powiedziane z sarkastycznym zamiarem, zawierają słuszną i wielką dla Pitta pochwałę.

Król nie lubił Pitta, ale Templ'a nie cierpiał stanowczo. Nowy sekretarz Stanu, mówiła jego Królewska Mość, nie czytał nigdy Vatela, był nudny i napuszysty, ale przynajmniej był pełen uszanowania; zaś pierwszy Lord Admiralicyi był gburowaty i grubijański. Walpole opowiada historyjkę na nieszczęście zbyt może pocieszną, żeby mogła być prawdziwą; zapewnia on, że Temple przedstawił swemu Panu starannie wypracowane porównanie między zachowaniem Admirała Byng pod Minorką i postępkiem Jego Królewskiej Mości pod Oudenarde, z którego to porównania Admirał wychodził z nierówną wyższością.

Taki stan rzeczy nie mógł ciągnąć się długo. W początkach kwietnia pozbyto się Pitta i jego przyjaciół, a Newcastle na nowo został wezwanym do St. James. Ale niezadowolenie powszechne nie ustało; przygasło ono, kiedy Pitt stanął u steru rządu, ale tlało zawsze pod zarzewiem, a teraz wybuchło płomieniem. Papiery Państwa spadły; zebrała się Rada miejska Londynu i zawotowała dla Pitta prawo obywatelstwa. Wszystkie wielkie miasta mające swoje Rady, poszły za tym przykładem, i przez kilka tygodni, jak mówi Walpole, złote puszki z dyplomami padały jak grad.

Chwila ta stanowiła zwrot i przesilenie w życiu Pitta. Można się było spodziewać, że człowiek tak dumnego i namiętnego umysłu, tak skrzywdzony przez dwór, a przez naród z takim zapałem popierany, rzuci się skwapliwie na pierwszą sposobność, żeby pokazać swoją siłę i dogodzić swej zemście; a na sposobności mu nie brakło. Posłowie wielu hrabstw i miast znaczniejszych dostali instrukcyą, aby głosowali za rozpoznaniem powodów i okoliczności zeszłorocznych porażek. Wniosek o takie śledztwo przeszedł w Izbie Gmin bez

żadnego oporu, a śledztwo samo rozpoczęło się w kilka dni po dymisyi Pitta. Newcastle i jego koledzy otrzymali votum niewinności, ale mniejszość była tak silna, że nie odważyli się jak mieli z początku zamiar, żądać votum zaufania; a niejeden bystry dostrzegacz sądził, że gdyby Pitt był użył całej swej siły, śledztwo mogło się było skończyć na naganie, jeżeli nie na pozwaniu ministrów przed sąd Izby.

Ale Pitt okazał w tej sprawie niezwykłe umiarkowanie i moc nad sobą samym. Przekonał się on z doświadczenia, że sam jeden stać nie mógł. Wymowa i popularność stały mu za wiele, za bardzo wiele; bez wielkiego pochodzenia, bez majątku, bez wpływu na miasteczka, znienawidzony od króla i arystokracyi, był przecież człowiekiem najwyższego w państwie znaczenia. Mógł złożyć ministeryum i wydać wyrok wykluczenia na wszystkich swoich współzawodników, a między tymi na najmożniejszego Pana z całej partyi Whigów i na mowcę najsilniejszego z całej Izby Gmin. Ale teraz, spostrzegł się, że poszedł był za daleko: że w konstytucyą angielską wchodził wprawdzie żywioł ludowy, ale po największej części przeważały w niej inne żywioły; spostrzegł, że ufność i uwielbienie narodu mogą kogoś strasznym uczynić na czele opozycyi, mogą zasypać go złotemi puszkami i pargaminami w szkło i ramy oprawnemi, że mogą nawet w najpomyślniejszych okolicznościach, jak w zeszłym roku, wynieść go na chwilę do władzy, ale zmiarkował także, że w takim jak był ówczesny składzie Parlamentu, ulubieniec ludu nie mógł liczyć na większość we własnej Izbie ludu. Książę Newcastle, jakkolwiek godzien pogardy co do moralnej, obyczajowej i umysłowej swej wartości, niebezpiecznym był przecież nieprzyjacielem. Urodzenie, bogactwo, nieporównany wpływ na wyborców po miasteczkach, same byłyby wystarczyły, żeby go zrobić potężnym, a nie były jeszcze wszystkiem. Arystokracya należąca do stronnictwa Whigów, uważała go za swego dowódzcę; długie jego sprawowanie władzy dało mu jakiś rodzaj prawa sprawowania jej dalej z przedawnienia; Izba Gmin wybraną była, kiedy on stał na

czele rządu, on zatem pomianował wszystkich posłów z ministeryalnych miasteczek, a wszystkie urzędy roiły się od jego kreatur.

Pitt pragnął władzy, a pragnął jej, wierzymy mocno, z szlachetnych i wzniosłych powodów. Był on w całem słowa znaczeniu patryotą. Nie miał nic z tej filantropii, której współcześni jemu francuzcy wielcy pisarze nauczali wszystkie narody Europy. Kochał on Anglią, tak jak Ateńczyk kochał miasto fijołkowych wieńców, jak kochał Rzymianin miasto siedmiu wzgórzów. Widział ojczyznę swoją znieważoną i pobitą, widział upadek narodowego ducha, ale wiedział, coby jeszcze dokazać mogły zasoby kraju sprężyście użyte, i czuł, że on sam był tym człowiekiem, który mógł użyć ich sprężyście. »Mylordzie, rzekł raz do księcia Devonshire, »jestem przekonany, że mogę zbawić ojczyznę, i że ja tylko jeden zbawić »ją mogę.«

Pragnąc zatem dostać się do władzy, a czując, że zdolność osobista i zaufanie narodu nie zdołają przy władzy go utrzymać wbrew woli dworu i arystokracyi, począł przemyśliwać o przymierzu z księciem Newcastle.

Newcastle ze swojej strony nie mniej był skłonnym do pojednania. I on także skorzystał ze świeżego doświadczenia. Przekonał się, że Dwór i arystokracya choć potężne, nie były wszystkiem w państwie. Zmiarkował, że silne oligarchiczne związki i kolligacye, ogromny wpływ na wybory po miasteczkach, obszerna klientela i sekretne fundusze, mogły w spokojnych czasach być wszystkiem, co ministrowi potrzebne, ale że niebezpiecznem było spuszczać się na to jedynie poparcie w czasach wojny, niesnasek i niepokoju. Skład Izby Gmin nie był wyłącznie arystokratycznym, a jakikolwiek nawet jest skład wielkich zgromadzeń prawodawczych, duch ich jest zawsze w pewnej mierze ludowym. Gdzie jest wolna rozprawa, tam wymowa musi znaleźć wielbicieli, a rozumowanie musi wielu nawrócić; gdzie jest wolność prassy, tam rządzący muszą żyć pod ciągłym strachem opinii rządzonych.

I ztąd poszło, że ci dwaj ludzie tak niepodobni z charakteru, tak niedawno jeszcze śmiertelni nieprzyjaciele, potrzebowali jeden drugiego nawzajem. Newcastle upadł w Listopadzie dla braku tego zaufania publicznego, które Pitt posiadał, i tego poparcia Parlamentu, którego Pitt lepiej niż ktokolwiek z współczesnych mógł rządowi dostarczyć — a Pitt upadł w Kwietniu dla braku tego rodzaju wpływu, który Newcastle przez całe życie gromadził i skarbił. Żaden z nich nie miał dość siły, żeby mógł był stać sam przez się; każdy miał jej dosyć, żeby obalić drugiego, obadwa sądzili, że w związku z sobą będą wszechmocni, że ani król ani żadne w państwie stronnictwo nie zdoła stawić im oporu.

W takich okolicznościach nie chciał Pitt posunąć się do ostateczności względem swoich poprzedników na urzędzie; coś jednak winien był zgodności z samym sobą, a coś także zrobić mu wypadało dla zachowania popularności. Zrobił mało, ale to mało zrobił w taki sposób, że sprawiło ogromne wrażenie. Zeszedł do Izby w całej pompie podagry, nogi poobwijane flanelą, ręka kołysała się na temblaku, i przez kilka dni wytrzymywał na swojem miejscu przez całe posiedzenia, pomimo bólu i osłabienia. Rzucił kilka zdań ostrych i gwałtownych, ale przez cały ciąg rozpraw mowa jego była niezwykle łagodna.

Jak skoro śledztwo skończyło się bez votum zaufania ani nagany, znikła największa do przymierza przeszkoda, ale zostawało jeszcze przeszkód nie mało. Król zawsze jeszcze radował się wyzwoleniem swojem od dumnego i wyniosłego ministra, którego mu głos narodu był nałożył. Zgroza jego królewskiej Mości doszła do najwyższego stopnia, kiedy się pokazało, że Newcastle obsypywany przez lat trzydzieści dowodami łaski monarszej, Newcastle, który uroczystą obietnicą zobowiązał się nigdy nie łączyć się z Pittem, o nowej przemyśliwał zdradzie. Ze wszystkich ludzi stanu owego czasu, Fox najwięcej był w łaskach u króla; przymierze między tym a księciem Newcastle było tem właśnie połączeniem, które

król chciał doprowadzić do skutku. Ale książę zbyt był przebiegły, żeby wpaść miał w taką łapkę. Jako mowca w Parlamencie mógł Fox wszystko razem wziąwszy, być może równie użytecznym rządowi, jak jego wielki współzawodnik, ale był on jednym z najmniej popularnych ludzi w Anglii. Newcastle oprócz tego czuł dla Foxa całą tę zazdrość, która, jak mówi przysłowie, »musi zachodzić między dwoma ludźmi jednego rzemiosła.« Fox byłby niechybnie chciał się mięszać do tego wydziału, który książę dla siebie właśnie w całości najgoręcej pragnął zatrzymać, to jest do wydziału matactw i konszachtów. Pitt zaś z drugiej strony gotów był zostawić wszystkie niesmaki przekupstwa każdemu, ktoby się ich podjąć zechciał.

Przez całe jedenaście tygodni Anglia była bez Ministeryum, a tymczasem Parlament obradował, a wojna toczyła się w najlepsze. Uprzedzenie króla, duma Pitta, zazdrość, lekkomyślność i podstępy księcia Newcastle, zwłóczyły ostateczne ustanowienie Rządu. Pitt znał księcia zbyt dobrze, żeby mu zaufał był bez dobrych rękojmi, a książę zbyt był chciwym władzy, żeby chętnie miał rękojmie dawać. Podczas gdy oni się tak targowali, król napróżno usiłował poróżnić ich stanowczo lub złożyć rząd bez nich. Jedną razą udał się do Lorda Waldegrave, człowieka zacnego i rozumnego, ale w sprawach państwa niedoświadczonego; Lord Waldegrave miał odwagę przyjąć podskarbstwo, ale przekonał się natychmiast, że rząd przez niego złożony nie mógł utrzymać się ani przez jeden tydzień.

Upór króla musiał jednak w końcu ustąpić przed koniecznością położenia. Użalając się z wielką goryczą, a nie bez pewnej słuszności na Whigów, którzy powinni byli wstydzić się, jak mówił, mówić o wolności, kiedy byli tylko lokajami księcia Newcastle, król Jegomość poddał się. Pitt opuścił też cokolwiek, ale tylko cokolwiek, ze swoich wysokich żądań, i naraz z tego chaosu, w którym stronnictwa podnosiły się, upadały, i rozłączały się naprzemian, powstał rząd tak silny wewnątrz jak rząd Pelhama, tak szczęśliwy za granicą, jak rząd Godolphina.

Newcastle objął Podskarbstwo; Pitt był sekretarzem Stanu z kierownictwem Izby Gmin, wojny i spraw zagranicznych. Fox, jedyny człowiek, który nowy rząd mógł nabawić kłopotów, zaspokojony został urzędem Płatnika, który w czasie wojny był prawdopodobnie najzyskowniejszym w całym rządzie. Był on ubogi, nie dziw więc, że go stanowisko to skusiło; ale przecież niepojętem wydawać się musi, że człowiek który grał był pierwsze role w polityce, i którego zdolności podług powszechnego uznania roli tej dorównywały, który zasiadał w Gabinecie, prowadził Izbę Gmin, któremu król podwakroć poruczał złożenie Gabinetu, który uchodził za współzawodnika Pitta i o którym zdawać się mogło przez czas jakiś, że będzie Pitta szczęśliwym współzawodnikiem, zgodził się dla dochodów zająć stanowisko podrzędne i głosować w milczeniu za wszystkiemi wnioskami Rządu, do którego obrad nie był przyzywanym.

Pierwsze kroki nowego gabinetu nacechowane były siłą raczej niż roztropnością. Wysłano morskie wyprawy na różne punkta francuzkich wybrzeży, ale z małym skutkiem. Wzięto małą wysepkę Aix, zagrożono Rochefort, spalono kilka statków w przystani St. Malo, i przywieziono jako trofea kilka dział i moździerzy z murów Cherbourga. Ale niebawem zdobycze wcale innego rodzaju napełniły kraj radością i dumą. Szereg zwycięztw świetnych niezaprzeczenie, a jak wtedy sądzono, w skutki nie niepłodnych, wzniósł na najwyższy stopień sławę ministra, któremu powierzony był kierunek wojny. W Lipcu 1758 r. poddał się Louisburg, zdobyto całą wyspę Cap Breton; flota, której dwór Wersalski poruczył był obronę Ameryki francuzkiej, zniszczona była do szczętu. Zdobyte sztandary niesione były w tryumfie od pałacu Kensington do City i zawieszone w kościele Śgo Pawła przy huku dział i okrzykach nieprzeliczonych tłumów. Od wszystkich miast Angielskich przychodziły adresy i powinszowania; Parlament zebrał się na to tylko, żeby uchwalać pomniki i podziękowania i pozwolić rządowi bez najmniejszego szemrania, podatków więcej niż

dwa razy więcej od tych, które dano podczas wojny wielkiego Przymierza.

Rok 1759 rozpoczął się podbojem Gorei, a wkrótce po niej zdobyto Guadelupę, potem Ticonderoga, nareszcie Niagarę. Boscawen zniósł eskadrę francuzką naprost przylądka Lagos, ale najświetniejszą w owym roku wygraną było zwycięztwo, które Wolfe odniósł na wzgórzach Abrahamskich. Wieść o chwalebnej jego śmierci i o zdobyciu Quebecu doszła do Londynu w tym samym tygodniu, w którym zebrał się Parlament. Radość i uniesienie nie miały granic; sama zazdrość, sam duch fakcyi musiały przyłączyć się do powszechnego oklasku; Whigowie i Torysowie na wyścigi wynosili gieniusz i sprężystość Pitta; o jego kolegach nikt nie mówił ani nie myślał; Izba Gmin, naród, kolonije, sprzymierzeńcy, nieprzyjaciele, wszyscy jego tylko jednego widzieli.

Zaledwo Parlament zawotować zdołał pomnik dla Wolf'a, kiedy nowa wygrana nowych radości stała się powodem. Z Brest wypłynęła na morze flota francuzka pod dowództwem Conflans; doścignła ją eskadra angielska pod dowództwem Hawk'a. Conflans usiłował schronić się pod samo wybrzeże francuzkie. Wybrzeże było skaliste, noc była czarna, wiatr szalał, a bałwany zatoki Biskajskiej piętrzyły się wysoko. Ale Pitt natchnął był każdą gałęź służby dawno niewidzianym duchem. Żaden marynarz angielski nie miał ochoty zbłądzić w tym samym kierunku co Byng. Sternik utrzymywał, że napaść na flotę francuzką nie da się wykonać bez największego niebezpieczeństwa. »Zrobileś swój obowiązek przestrzegając, odpowiedział Hawke, »za resztę ja odpowiadam. Rozkazuję ci »iść prosto na admiralski okręt francuzki.« Dwa francuzkie statki linijowe rozbiły się na skałach, cztery zatopiono, reszta skryła się na wodach Bretanii.

Nadszedł rok 1760, a odnosiliśmy zawsze zwycięztwo po zwycięztwie. Wzięto Montreal, podbito całą Kanadę, floty francuzkie poniosły szereg kolejnych klęsk na wodach Europy i Ameryki.

Na wschodzie tymczasem porobiono zdobycze, równe co do szybkości, co do wielkości wyższe nierównie od podbojów Pizarra i Corteza. W przeciągu trzech lat założyli Anglicy potężne Państwo, a Francuzi pobici byli w całej Indyi; Clive zdobył Chandernagor, Coote Pondichery, a kompanija Indyjską z większą niż Aurung-Zeb, lub Acbar kiedykolwiek władzą panowała w Bengalu, Baharze, Orissie i Karnatyku.

Na stałym lądzie Europy szczęście nie sprzyjało Anglii. Miała ona jednego tylko potężnego sprzymierzeńca, króla Pruskiego, a na tego nacierała nietylko Francya, ale Austrya i Rosya. Ale nawet na kontynencie energia Pitta zwalczyła wszystkie przeciwności. Jakkolwiek gwałtownie nastawał on niegdyś na zwyczaj posiłkowania książąt zagranicznych pieniędzmi, posunął teraz ten zły zwyczaj dalej niż Carteret kiedykolwiek posunąć się go ośmielił. Czynny i zdolny król Pruski dostał taką pomoc pieniężną, że mógł z równemi siłami prowadzić wojnę z potężnymi nieprzyjaciołmi. O niczem nie mówił Pitt nigdy z taką wymową i z takim zapałem, jak o nieszczęsnem dla Anglii połączeniu z Hannowerem; teraz oświadczył nie bez wielkiego pozoru słuszności, że byłoby niegodnem angielskiego narodu, pozwolić, aby król stracił swoje posiadłości Elektorskie w sporze czysto angielskim; zaręczał, że Anglia nic na tem nie straci, że on jej zdobędzie Amerykę w Niemczech — takiem postępowaniem ujął sobie króla, a u narodu wpływu swojego nie stracił. W Parlamencie zyskał sobie swoją wymową, swojem szczęściem, swojem wysokiem stanowiskiem, i swoją dumą i nieustraszoną odwagą taką przewagę, że pozwalał sobie z Izbą tyle, co nikt nigdy, ani przedtem, ani potem. Żaden mowca nie śmiał zarzucić mu niezgodności z samym sobą; jeden nieszczęśliwy chciał się raz na to porwać, ale pogardliwa postawa Ministra tak go zbiła z toru, że zaczął się jąkać, urwał mowę i usiadł. Nawet szlachta wiejska ze stronnictwa Torysów, która cierpieć nie mogła samego nazwiska Hanoweru, całem sercem pozwalała na coraz nowe posiłki po posiłkach. W współczesnej jednej satyrze, pełnej

życia, choć nie bardzo delikatnej, dziwne to nawrócenie opisane jest w sposób dość szczęśliwy.

No more they make a fiddle — faddle
About a Hessian horse or saddle
No more of continental measures
No more of wasting British treasures
Ten millions, and a vote of credit
T'is right. He can'tbe wrong who — did it.

(Nie robią już hałasu o heskie konie lub siodła, ani o politykę kontynentalną, ani o marnowanie skarbów angielskich. Dziesięć milionów i kredyt nieograniczony? Zgoda! Ten co to zrobił, musi mieć słuszność).

Skutek środków użytych przez Pitta do pomyślnego prowadzenia wojny kontynentalnej, był taki, jakiego po sprężystości ich można się było spodziewać. Kiedy Pitt objął władzę, Hannower był w największem niebezpieczeństwie, a nie wyszło trzy miesiące od jego wstąpienia do rządu, kiedy cały Elektorat popadł w ręce Francuzów. Ale niebawem zmieniła się postać rzeczy. Najezdnik został wypędzony; pod dowództwem księcia Ferdynanda Brunświckiego, stanęło wojsko częścią z Anglików, częścią z Hanoweranów, częścią z posiłków drobnych książąt niemieckich. Francuzi pobici pod Crevelt w roku 1758, ponieśli większą i sromotniejszą klęskę pod Minden w roku 1759.

A przez cały ciąg tego czasu objawiał się w narodzie nieustanny wzrost bogactwa i potęgi. Kupcom Londyńskim nigdy nie wiodło się lepiej; od tego czasu poczyna się ważność niektórych z wielkich miast handlowych i fabrycznych, a mianowicie Glasgowa. Piękny napis na pomniku Lorda Chatham w Guildhall, przypomina powszechne uznanie obywateli Londynu, że pod jego rządami handel »połączył się z wojną i przez nią zakwitnął.«

Przyznać należy, że te oznaki pomyślności były do pewnego stopnia ułudne; trzeba wyznać, że niektóre z naszych podbojów były świetne raczej niż pożyteczne; trzeba wyznać, że Pitt nie zważał wcale na wydatki wojny. Trzebaby może raczej powiedzieć, że koszta zwycięztw podnosiły tylko rozkosz, z którą się zwycięztwom przyglądał, bo różny w tem od innych ludzi w podobnem stanowisku, lubił przesadzać jeszcze sumy, które mu naród dawał do rozrządzenia; dumny był z tych wysileń i poświęceń które robili jego ziomkowie, porwani jego wymową i szczęściem. Cena za którą kupował wierne usługi i zupełne zwycięztwo, mniejsza zapewne od tej, którą syn jego, najrozrzutniejszy i najnieudolniejszy z ministrów wojny, płacił za zdrady porażki i hańbę, długo przecież i ciężko dawała się czuć narodowi.

Nawet jako minister wojny, nie zasługuje może Pitt na wszystkie pochwały, jakiemi go współcześni tak hojnie zasypali. My, z niewiadomości może, nie umiemy w rozkazach jego odkryć ani pozoru nawet głębokich lub szczęśliwych pomysłów. Z wypraw jego były niektóre, a mianowicie te, które wysyłał przeciw wybrzeżom francuzkim, kosztowne i niedorzeczne zarazem. Podboje w Indyi, choć uświetniają czas, w którym on stał na czele rządu, nie z jego wyszły planów. Miał on niezaprzeczenie wielką sprężystość, wielką stanowczość, i ogromne środki na rozkazy — umysł miał przedsiębiorczy, a był w takiem położeniu, że potrzebował tylko iść za tem usposobieniem umysłu. Bogactwa zamożnego narodu, męztwo narodu walecznego, były zawsze w pogotowiu poprzeć go w każdym wielkim zamiarze.

Pod jednym względem atoli zasługiwał na wszelkie pochwały, jakie mu kiedykolwiek oddawano. Powodzenie naszego oręża było skutkiem nie tyle może zręcznych jego rozporządzeń, ile zasobów i ducha narodu; ale to, że duch narodu wzniósł się do wysokości położenia, że zasoby narodu poświęcano z bezprzykładną i ochoczą gotowością, to było niezaprzeczenie jego dziełem. Ogień jego duszy zapalił cały kraj,

on zagrzewał żołnierza, kiedy wyciągał działa na wzgórza Quebecu, i żeglarza, kiedy wdzierał się na pokłady statków francuzkich między skałami Bretanii. Minister zaledwo przyszedł do władzy, już zdołał natchnąć podwładnych swoich dowódzców swoim własnym potężnym, zuchwałym duchem, nie dbającym na żadne przeszkody. Podwładni jego tak samo jak on skłonni byli wszystko zawsze stawić na kartę, wygrać wszystko, lub wszystko przegrać; tak jak on, uważali, że nic nie było zrobionem, dopóki coś do zrobienia zostawało, i tak jak on woleli chybić przedsięwzięcia, niżeli go nie popróbować. Dla błędów z krewkości i zbytniej prędkości było pobłażanie — dla zbytniej ostrożności miłosierdzia nie było. W innych czasach i z innym nieprzyjacielem, ten sposób prowadzenia wojny byłby się zapewne nie udał, ale ówczesny stan francuzkiego rządu i francuzkiego narodu zostawiał Pittowi wszelką wyższość i wszelkie korzyści. Wersalskie fircyki i intryganty, osłupiały, struchlały, na widok takiej sprężystości; paniczny strach zdjął wszystkie warstwy społeczeństwa. Nieprzyjaciel przyjął niebawem za rzecz pewną i niechybną, że za każdym razem musi być pobitym; i tym sposobem zwycięztwo rodziło się ze zwycięztwa, aż doszło do tego, że gdziekolwiek wojska tych dwóch narodów spotkały się ze sobą, spotykały się zawsze z pogardliwą pewnością siebie po jednej stronie, a z nikczemnym strachem po drugiej.

Stanowisko Pitta pod koniec panowania Jerzego II, było ze wszystkich, jakie kiedykolwiek człowiek publiczny w Anglii zajmował, najbardziej godnem zazdrości. Króla sobie przejednał, Izbą rządził, od narodu był kochanym, a podziwianym przez całą Europę. Był pierwszym z Anglików swego czasu, a Anglia przez niego stała się pierwszem w świecie mocarstwem. Wielki Commoner, jak go najczęściej nazywano, mógł z góry patrzeć na podwiązki i korony Lordów. Naród był upojony radością i dumą; Parlament tak powolny jak za czasów Pelhama; dawne różnice stronnictw zatarły się prawie zupełnie, a na ich miejsce nie zjawiły się jeszcze były nowe

różnice o wiele ważniejszego rodzaju; podrosło nowe pokolenie wiejskich duchownych i szlachty, które Stuartów nie znało. Dyssydentów cierpiano, katolików nie prześladowano; Kościół był ospały i pobłażający, — wielka walka religijna i cywilna, która się od Reformacyi poczęła, zdawała się na powszechnym kończyć pokoju. Whigowie i Torysowie, Purytanie i zwolennicy rządowego Kościoła z jednakiem uszanowaniem mówili o konstytucyi, i z jednakim zapałem o zdolnościach, cnotach i zasługach Ministra.

W kilku latach zmieniła się postać rzeczy zupełnie. Naród szarpany fakcyami, tron celem gwałtownych napaści, Izba Gmin w nienawiści i pogardzie u narodu, Anglia rozjątrzona na Szkocyę, Szkocya na Anglię, Wielka Brytania zażarta na Amerykę, za Oceanem drugie, współzawodnicze Zgromadzenie Prawodawcze, krew angielska przelewana angielskim orężem, poddające się wojska, odrywane zdobycze, nieprzyjaciele śpieszący pomścić dawne upokorzenia — pawilon nasz zdolny zaledwo utrzymać się na naszych własnych morzach, oto widok, którego Pitt jeszcze dożył. Ale historya tego wielkiego przewrotu więcej wymaga miejsca, niżbyśmy dzisiaj poświęcić jej mogli. Zostawiamy dziś wielkiego członka Izby Gmin na szczycie chwały; później, może jeszcze znajdziemy kiedy sposobność skreślenia jego żywota aż do smutnego wprawdzie, ale zawsze chwalebnego końca.

LORD CHATHAM.

(1. Correspondence of William Pitt Earl of Chatham, 4 vols. 8-vo. London, 1840. *2. Letters of Horace Walpole, Earl of Oxford to Horace Mann,* 4 vols. 8-vo. London, 1843—4.

Przed dziesięciu z górą laty zaczęliśmy szkice politycznego życia wielkiego Lorda Chatham. Stanęliśmy podówczas na śmierci Jerzego II, z zamiarem podjęcia niebawem pracy naszej na nowo. Okoliczności, które tłómaczyć byłoby zbyt nudnem, nie dozwoliły nam zamiaru tego doprowadzić do skutku. Zwłoki tej nie możemy żałować, bo materyały, które mieliśmy pod ręką w roku 1834, były skąpe i niedostateczne, w porównaniu z temi, które dziś posiadamy. Dziś nawet, choć mieliśmy przystęp do wielu szacownych źródeł dla publiczności dotąd zamkniętych, czujemy dobrze, że z historyą pierwszych dziesięciu lat panowania Jerzego III, niedokładnie jesteśmy obeznani. Pomimo to jednak, możemy, jak się nam wydaje, dać czytelnikom opis i zajmujący i nauczający zarazem, i dlatego z przyjemnością wracamy do dawno przerwanej pracy.

Zostawiliśmy Pitta na szczycie powodzenia i chwały, bożyszczem Anglii, postrachem Francyi, celem podziwu całego cywilizowanego świata. Z jakiejkolwiek wiatr wiał strony, zawsze przynosił do Anglii wieści o bitwach wygranych, o zdobytych twierdzach, o krajach pod jej panowanie podbitych. Wewnątrz zaś stronnictwa wpadły w letarg niewidziany od czasu, kiedy wielka schizma religijna XVI-go wieku wyrzuciła umysły z dawniejszego spokoju.

Dla tem większej zrozumiałości zdarzeń, które opowiedzieć mamy, potrzeba nam teraz zwrócić się do przyczyn, które zawiesiły na czas jakiś żywą nienawiść obudwóch wielkich stronnictw angielskich.

Jeżeli, pomijając wszystko co czysto przypadkowe, popatrzymy na istotne cechy Whigów i Torysów, uznamy w nich przedstawicieli dwóch wielkich pierwiastków, koniecznych do pomyślności narodów. Jedno z tych stronnictw jest przedewszystkiem stróżem wolności, drugie jest stróżem porządku; jedno jest siłą poruszającą, drugie siłą ustalającą w państwie; jedno jest żaglem, bez którego statek nie mógłby się naprzód posuwać, drugie balastem, bez którego w burzy małe tylko zostawałoby bezpieczeństwo. Ale przez ciąg czterdziestu sześciu lat po wstąpieniu na tron domu Hanowerskiego, zatarły się prawie zupełnie cechy właściwe każdemu z tych stronnictw. Whig zrozumiał, że nie mógł lepiej służyć sprawie religijnej i obywatelskiej wolności, jak popierając usilnie protestancką dynastyą; Torys rozumiał, że nie mógł lepiej dowieść nienawiści swojej do Rewolucyi, jak nacierając na Rząd, któremu Rewolucya dała początek. Obadwa przyszli wreszcie do tego, że więcej wagi przywięzywali do środków aniżeli do celu, obadwa w nienaturalnem znaleźli się położeniu, i obadwa jak zwierzęta przeniesione w klimat przeciwny ich naturze, wyradzali się i niedołężnieli. Torys oddalony od słonecznego światła dworu, był jak wielbłąd na śniegach Laponii, a Whig wygrzewający się w promieniach łaski królewskiej, jak ren na piaskach Arabii.

Dante opowiada, że widział w piekle dziwne spotkanie między ludzką postacią a wężem. Nieprzyjaciele, srogie sobie nawzajem rany zadawszy, stali przez chwilę, wpatrując się jeden w drugiego. Zakrył ich wielki obłok, a wtedy zaczęła się dziwna metamorfoza. Każde z tych stworzeń przemieniło się na podobieństwo swego przeciwnika. Ogon węża rozszczepił się na dwie nogi; nogi człowieka splotły się w ogon, z ciała wężowego wyrosły ręce, ręce człowieka wsunęły się w jego

ciało, a nakoniec wąż stanął jako człowiek i przemówił, a człowiek rozciągnął się na ziemi jako wąż, i sycząc precz popełzał. Czemś podobnem była przemiana, którą w ciągu panowania Jerzego I. przebyły dwa stronnictwa angielskie; jedno jak drugie przyjmowało stopniowo kształty i barwy swego przeciwnika, aż nareszcie Torys wyprostował się i stanął wyniośle jako żarliwy miłośnik wolności, a Whig czołgał się i lizał proch pod stopami władzy.

Prawdą jest, że dopokąd wyrodni ci politycy rozbierali kwestye zupełnie oderwane, a zwłaszcza, kiedy rozbierali kwestye tyczące się postępowania swoich własnych dziadów, zdawali się tak między sobą różnić, jak się ich dziadowie różnili. Whig, który przez ciąg trzech z kolei sesyi Parlamentu ani razu nie głosował przeciwko dworowi, który gotów był duszę sprzedać za laskę kontrolera lub za szatnię królewską, utrzymywał zawsze, że polityczną swoją naukę czerpał z Miltona i Lockego, czcił zawsze pamięć Pyma i Hampden'a, i zawsze jeszcze na dzień 30 Stycznia [1]) gotów był wznosić puhar na cześć człowieka w masce, a potem na cześć tego, któryby to samo był zrobił bez maski. Torys z drugiej strony, powstawał wprawdzie na łagodnego i umiarkowanego Walpol'a jako na śmiertelnego wroga wolności, ale nie mógł zobaczyć nic złego w żelaznym ucisku Lauda i Strafforda. Ale jakikolwiek owocześni Whigowie i Torysowie o sprawach dawno przeszłych sąd mogli wydawać, nie ma przecież wątpliwości, że co do spraw bieżących i bezpośrednio dotyczących, Torys był reformatorem i to reformatorem nieumiarkowanym i nieroztropnym, a Whig był zachowawcą aż do ciasnej przesady. Nasze pokolenie widziało w sąsiednim kraju podobne skutki z przyczyn podobnych. Ktoby był myślał przed piętnastu laty, że pan Guizot i pan Villemain będą musieli bronić własności i społecznego porządku przed napastnikami takimi jak pan Genoude

[1]) Rocznica ścięcia Karola I. „Człowiek w masce“ ten który go ściął.

i pan de la Roche-Jacquelain?[1]). Tak samo spadkobiercy dawnych Kawalerów zamienili się w demagogów, a spadkobiercy Okrągłych Głów, w dworaków. Ale wiele uszło czasu, zaczem nadstały nieco ich wzajemne zawiści, bo leży to już w naturze stronnictw, że wierniej nierównie przechowują pierwotne nienawiści jak pierwotne zasady. Przez wiele lat pokolenie Whigów, których Sidney[2]) byłby kopnął nogą jako niewolników, śmiertelną prowadziło wojnę z pokoleniem Torysów, których Jeffreys[3]) byłby wywieszał jako Republikanów.

Przez cały ciąg panowania Jerzego I. i przez połowę niemal panowania Jerzego II. każdy Torys uważany był za nieprzyjaciela panującego domu, i wykluczany jako taki ze wszystkich łask i względów Korony. Do Torysów należała większa część wiejskiej szlachty, ale pomimo tego Parów i Baronetów mianowano jedynie z pomiędzy Whigów; do Torysów należała większa część duchowieństwa, ale pomimo tego z pomiędzy Whigów jedynie mianowano dziekanów i biskupów. W każdem hrabstwie uskarżali się zamożni i wysokiego pochodzenia właściciele dóbr, że imiona ich nie stały nigdy na listach sędziów pokoju, podczas gdy ludzie małego majątku i nizkiego urodzenia, jeżeli tylko byli za tolerancyą, akcyzą, siedmioletniemi Parlamentami i stałem wojskiem, pre-

---

[1]) Opozycya katolicka i legitymistyczna we Francyi za Ludwika Filipa.

[2]) Algernon Sidnej, ur. 1617, pułkownik w wojsku Parlamentu przeciw Karolowi I, członek sądu na króla; złożył ten urząd, kiedy sąd wydał wyrok śmierci. Porzucił służbę, kiedy Cromwell ogłosił się protektorem; za restauracyi Stuartów wygnany, powrócił do Anglii po 17 latach. Oskarżony o udział w spisku księcia Monmouth, ścięty w roku 1683. Autor głośnych dzieł politycznej treści, z republikańską dążnością.

[3]) Jeffreys Jerzy, sędzia, następnie kanclerz za Karola II i Jakóba I. Jemu przypisywano wszystkie bezprawia i okrucieństwa ówczesnych sądów. Uwięziony podczas rewolucyi r. 1688, umarł w więzieniu 1689 roku.

zydowali na sesyach kwartalnych i zajmowali wszystkie urzędy po Hrabstwach.

Stopniowo poczyniono kroki niektóre ku pojednaniu. Podczas gdy Walpole stał na czele Rządu, nienawiść do jego władzy doprowadziła do tego odłam jeden wielki i potężny stronnictwa Whigów, zostający pod dowództwem domniemanego następcy tronu, że z Torysami zawarł przymierze, a zawieszenie broni z samymi nawet Jakobitami. Po upadku Sir Roberta zdjęto klątwę, która ciężyła na stronnictwie Torysów. Pierwsze posady w Rządzie zajmowali zawsze jak dotąd Whigowie, i zaprawdę, kto inny zajmować ich nie mógł, bo cały zastęp magnackiego i szlacheckiego Toryzmu nie liczył może ani jednego człowieka ze znakomitemi zdolnościami do prowadzenia czy to spraw, czy sporów. Niektórzy z nich wszelako przypuszczeni zostali do podrzędnych urzędów, a pobłażliwość ta złagodziła niemało rozdrażnione usposobienie całego stronnictwa. Pierwsze *levée* [1]) Jerzego II po dymisyi Walpol'a dziwny przedstawiało widok. Pomiędzy stałymi stronnikami Brunświckiego domu, Russell'ami, Cavendish'ami i Pelham'ami, zjawiła się hurma twarzy nieznanych zupełnie paziom i mistrzom ceremonii, hurma Lordów przybyłych z wiejskich zamków i dworów, których piwo i psy myśliwskie sławne były w ich okolicy, ale którzy nigdy nie przeszli za próg pałacu od czasu królowej Anny.

Od tego dnia przez ciąg następnych lat ośmnastu, fakcye coraz głębiej zapadały w spoczynek. Ospałość umysłów przypisać należy w znacznej części niesprawiedliwej gwałtowności, z jaką szarpano rządy Walpol'a; bo w ciele politycznem, jak w fizycznem, chorobliwa ociężałość następuje prawie zawsze po chorobliwem rozdrażnieniu. Ludzie doprowadzeni do szaleństwa sofizmami, potwarzami, retoryką, wszelkiego rodzaju środkami podniecającemi narodową dumę, przy najzupełniejszej obfitości chleba, rozwściekli się tak, jak żeby głód był w kraju,

[1]) Dosłownie wstanie z łóżka, znaczy przyjęcie u króla.

a używając tyle cywilnej i religijnej wolności, ile jej nigdy żaden przedtem naród nie zaznał, wołali o Brutusa lub Timoleona, któryby ugodził w serce ciemięzcy. W takiem usposobieniu umysłów zaskoczyła naród zmiana administracyi, a niebawem pokazało się, że w systemie Rządu żadna właściwie zajść nie miała zmiana. Zjawiły się też wkrótce naturalne i konieczne następstwa. Miejsce gorączkowego zapału zajęła gnuśna obojętność. Popisywanie się z patryotyzmem nietylko straciło wszelki urok, ale stało się tak nieznośnem, jak purytanizm na pokaz po upadku Kadłubowego Parlamentu. Napad gorączki przeszedł, nastąpił napad prostracyi, i długiego potrzeba było czasu, zanim buntownicze sztuki i wybiegi, lub nawet rzeczywiste nadużycia i krzywdy, zdołały sprowadzić napowrót ten gwałtowny paroxyzm, który obiegł był swoje koło i dosięgnął kresu.

Dwa razy pokuszono się o zakłócenie tego spokoju. Wygnany potomek domu Stuartów stanął na czele buntu, niezadowolony potomek domu Brunświckiego stanął na czele opozycyi. Ale oboje, bunt i opozycya skończyły się na niczem. Bitwa pod Culloden [1]) zniszczyła do szczętu stronnictwo Jakobitów; śmierć księcia Fryderyka rozwiązała stronnictwo, które za jego życia usiłowało, choć słabo, niepokoić rząd jego ojca. Najznakomitsi ze stronników księcia pospieszyli pojednać się z Ministeryum, a polityczna ospałość stała się zupełną.

W pięć lat po śmierci księcia Fryderyka umysł publiczny gwałtownie wzburzył się na chwilę, ale wzburzenie to nie miało nic wspólnego z dawnemi zatargami Whigów i Torysów. Anglia była w wojnie z Francyą, a wojnę tę prowadzono nieudolnie. Straciliśmy Minorkę, a flaga nasza cofnęła się przed białą flagą domu Burbonów. Gorżkie uczucie upokorzenia, nowe zupełnie dla najdumniejszego i najwaleczniejszego z narodów, przemogło wszystkie inne uczucia. We wszystkich miastach i po wszystkich hrabstwach ozwał się jeden krzyk, krzyk o Rząd, któryby przywrócił dawną sławę angielskiego oręża.

[1]) 1746 roku.

Dwóch było podówczas najpotężniejszych w kraju ludzi, Pitt i książę Newcastle. Kolejne zwycięztwa i porażki przekonały były obudwóch, że żaden z nich o własnych tylko siłach stać nie mógł. Dobro państwa i własna ambicya zmusiła ich do przymierza między sobą; a z ich przymierza wyrosło Ministeryum, które było u władzy, gdy Jerzy III na tron wstępował.

Im pilniej przyglądamy się budowie słynnego Ministeryum, tem więcej znajdujemy powodów podziwiać tę zręczność lub to szczęście, z któremi ono połączyć umiało w jedną harmonijną całość pierwiastki tak różnorodne i tak napozór nie do pogodzenia. Wpływ, jaki daje prawość nieposzlakowana, z wpływem, jaki dać mogą najbrzydsze fortele przekupstwa, potęga arystokratycznych stosunków i związków z potęgą demokratycznego zapału, po raz pierwszy znalazły się tu obok siebie. Newcastle dostarczył nowemu rządowi ogromnej siły, którą odziedziczył był po Walpolu i Pelhamie. Publiczne urzędy, Kościół, sądownictwo, wojsko, marynarka, służba dyplomatyczna, wszystko to roiło się jego kreaturami; miasteczka reprezentowane były w Parlamencie przez ludzi, jakich on wskazał. Wielkie domy należące do stronnictwa Whigów, które przez kilka pokoleń wkładały się do karności, nauczyły się wojaczki stronnictw i przywykły trzymać się razem w nieprzełamanej falandze, uznawały go za swego dowódzcę. Pitt z drugiej strony miał to, czego nie posiadał Newcastle, wymowę, która poruszała namiętności i zachwycała wyobraźnią, miał wielką sławę nieskazitelności, a nareszcie miłość i zaufanie milionów.

Sposób, w jaki dwaj ci ministrowie podzielili się władzą, był nadzwyczaj szczęśliwy. Każdy objął wydział odpowiedni sobie, a żaden nie miał ochoty wtrącać się w wydział drugiego. Newcastle wziął Podskarbstwo; wziął wszystkie cywilne i kościelne protekcye, i zarząd tej części sekretnych funduszów, która szła na przekupowanie członków Parlamentu. Pitt był sekretarzem Stanu z kierownictwem spraw wojennych i zagranicznych. Tym sposobem wszystkie błoto i brudy smrodliwych i niezdrowych rynsztoków rządu spływały do jednego kanału,

a przez drugi przechodziło to tylko, co było czyste i nieskalane. Płascy i samolubni politycy łaknący jedynie posad i wstęg, tłumami zbiegali się około wielkiego domu na rogu Lincoln's Inn Fields. Tam co rano ukazywało się jakie ośmnaście lub dwadzieścia par płóciennych rękawów, bo nie było, jak mówiono ani jednego prałata, któryby nie zawdzięczał księciu Newcastle pierwszego swego wyniesienia lub późniejszego postąpienia na lepsze miejsce; tam ukazywali się ci członkowie Izby Gmin, których milczące vota stanowiły główną siłę rządu. Jeden chciał posady przy akcyzie dla swojego piwniczego, inny przychodził po probostwo dla swego syna; trzeci szeptał, że wiernie zawsze stał przy Jego Miłości i przy protestanckiej dynastyi, że ostatnie wybory niesłychanie były kosztowne, że kucharze i oberżyści byli bez sumienia, że musiał pożyczyć pieniędzy na zastaw, i że nie wiedział gdzie się obrócić, żeby dostać pięćset funtów. Książę ściskał ich wszystkich za ręce, opierał się na ich ramionach, klepał po plecach i odprawiał jednych z upominkami, drugich z obiecankami. Pitt dumnie trzymał się zdaleka od tych targów; nie tylko że sam był nie do przekupienia, ale wzdrygał się ze wstrętem od odrażającego mozołu przekupywania drugich. Ale przeżywszy dwadzieścia lat w Parlamencie a dziesięć na urzędzie, nie mógł nie wiedzieć, jak się rząd sprawował; wiedział on doskonale, że koledzy jego prowadzili przekupstwo na wielką skalę. Nienawidząc tego obyczaju, ale zwątpiwszy, by go mógł wykorzenić, wątpiąc nawet, czy jakiekolwiek ministeryum mogło w owym czasie utrzymać się bez niego, postanowił zamknąć nań oczy. Nie chciał nic widzieć, o niczem wiedzieć, i niczemu wierzyć. Ludzi, którzy przychodzili mówić mu o udziale w zyskownych kontraktach lub o sposobach pozyskania głosów przy wyborach, zbijała zaraz z tropu pogardliwa i wyniosła jego pokora. Robili mu oni zbyt wiele zaszczytu; rzeczy takie przechodziły jego zdolności; prawda, że skromne jego zdanie w przedmiotach wypraw wojennych lub układów pokojowych słuchanem było z pobłażaniem przez łaskawego monarchę, gdyby chodziło

o to, kto miał być dowódzcą w Ameryce, lub posłem w Berlinie, koledzy jego może raczyliby przychylić się do jego zdania; ale u sekretarza Skarbu nie miał najmniejszego wpływu, i nie mógł odważyć się prosić choćby tylko o miejsce celnika.

Trudno powiedzieć, czy popularności swojej nie zawdzięczał on tyle przynajmniej ostentacyjnej swej nieskazitelności, ile wymowie i zdolnościom, jakie rozwinął w administracyi wojennej. Powtarzano wszędzie z rozkoszą i podziwem, że wielki Commoner (członek Izby Gmin) bez żadnej pomocy urodzenia lub majątku i naprzekór niechęci dworu i arystokracyi, został pierwszym w Anglii, człowiekiem, a Anglię zrobił pierwszem w świecie mocarstwem, że imię jego ze strachem wymawiane było we wszystkich pałacach od Moskwy do Lizbony, że wszystkie cztery strony świata nosiły ślady jego zwycięztw, a on przecież był zawsze tylko poprostu Williamem Pitt, bez wstęg, bez tytułów, bez synekur i pensyi. Jeżeliby zbawiwszy ojczyznę usunął się od władzy, musiałby zaraz sprzedać swoje kareciane konie i srebrne lichtarze — choć zaraza przekupstwa tak ogromnie się szerzyła, jego ręce były zawszę czyste — nigdy one nie przyjęły, i nigdy nie dały, zapłaty za hańbę. Tym sposobem koalicya garnęła do siebie pomoc wszystkich wzniosłych i wszystkich nizkich stron ludzkiej natury, i była silną połączoną siłą cnoty i mammony.

Pitt i Newcastle byli obok siebie i zarówno pierwszymi ministrami. Miejsca podrzędne zapełniono stósownie do zasady wciągania do rządu każdego stronnictwa, każdego cienia stronnictwa, a z wyjątkiem jedynie otwartych Jakobitów, każdego nawet pojedynczego człowieka, który przez swoje zdolności lub stanowisko mógł stać się pożytecznym w Rządzie lub strasznym w opozycyi.

Whigowie trzymali w swem ręku o wiele największą część władzy, do której wedle ówczesnego mniemania, mieli prawo z przedawnienia. Główną podporą Rządu było to, co nazwaćby można wielkim związkiem Whigów, który to związek przez pół niemal wieku największe miał w kraju znaczenie

i ogromną ciągnął przewagę z swoich bogactw, dostojeństw, ze swego wpływu na miasteczka, i z nierozerwanej swej jedności. Do tego związku, którego głową był Newcastle, należały domy Cavendish, Lennox, Fitzroy, Bentinck, Manners, Conway, Wentworth, i wiele innych wielkiego znaczenia.

Istniały jeszcze oprócz tego dwa inne związki Whigów, z których każdy mógł był stać się jądrem silnej opozycyi, ale dla obu znalazło się miejsce w rządzie. Znane one były podówczas pod imieniem Grenvillów i Bedfordów.

Na czele Grenwillów, stał Ryszard Hrabia Temple. Zdolności jego czy to do spraw czy do rozpraw, nie były pierwszego rzędu; ale wielkie posiadłości, charakter burzliwy i niesumienny, umysł niespracowanie czynny, i zręczność w najnikczemniejszych intrygach fakcyjnych, robiły go jednym z najstraszniejszych dla każdego rządu nieprzyjaciół. Powierzono mu zatem pieczęć prywatną. Jego brat Jerzy został Podskarbim marynarki. O obudwóch sądzono, że byli na stopie najściślejszej przyjaźni z Pittem, który miał ich siostrę za żonę i był najuleglejszym z małżonków.

Bedfordowie stali jak twierdzili pod dowództwem Jana księcia Bedford; ale naprawdę oni to jego wodzili gdzie tylko chcieli, a częstokroć wodzili tam, gdzie nie byłby nigdy poszedł z własnego popędu. Miał on wiele pięknych przymiotów serca i umysłu, i mógł był niezaprzeczenie być człowiekiem bardzo szanownym, gdyby mniej był podległym wpływom swych przyjaciół, lub w ich wyborze szczęśliwszym. Niektórzy z nich byli rzeczywiście zdolni, ale na tem, lękamy się, skończyć się musi ich pochwała. Sandwich i Rigby byli dobrzy do rozpraw parlamentarnych, na towarzyszów weseli i zabawni, do intrygi bardzo zręczni, do zbierania głosów i do matactw wszelkiego rodzaju mistrze zawołani, — w prywatnem jak w publicznem życiu byli obadwa bezwstydnie niemoralni. Weymouth miał wrodzoną zdolność wymowy, która zadziwiała niekiedy tych, którzy wiedzieli, jak mało on zawdzięczał pracy i nauce; ale był gnuśny i rozwiozły, i wcześnie nadszarpał pięknego

majątku szaleństwem a mocnego zdrowia butelką. Bogactwo i znaczenie księcia, zdolność i zuchwalstwo niektórych jego zauszników, mogły były nie żartem dokuczyć najsilniejszemu gabinetowi; ale pomocy jego zapewnili się ministrowie. Został on Namiestnikiem w Irlandyi, Rigby jego sekretarzem, a cała szajka wiernie popierała Rząd i jego politykę.

Zdawało się przedtem na chwilę, że dwóch ludzi mogło było walczyć z Pittem o prowadzenie Izby gmin, Henryk Fox i William Murray. Ale Murray przeniósł się do Izby Lordów i został Prezydentem najwyższego Sądu; Fox pozostał wprawdzie w Izbie Gmin, ale znalazły się środki do zapewnienia rządowi jeżeli nie gorliwego od niego poparcia, to przynajmniej milczącej zgodności. Był on ubogi, a w dzieciach swoich namiętnie rozmiłowany. Urząd Generalnego Płatnika, podczas kosztownej wojny zwłaszcza, był w owym czasie najzyskowniejszym urzędem, jaki rząd miał do dania; dostał go Fox. Nadziei zebrania w kilku latach wielkiego majątku, i zapewnienia świetnej przyszłości ukochanemu synowi Karolowi nie mógł on się oprzeć. Przyjąć stanowisko podrzędne, żeby i najbardziej korzystne, kiedy się kierowało Izbą i miało polecone sobie złożenie gabinetu, znaczyło to zawsze zejść dość nizko: ale zbyt dotkliwe uczucie własnej godności nie było częścią charakteru Foxa.

Nie mamy czasu wyliczać tych wszystkich ludzi znacznych, którzy w jakikolwiek sposób z rządem zostali związani. Należał do nich Hardwicke, pierwszy jak mówiono prawnik wieku, Legge, który uchodził za pierwszego finansistę wieku; bystry i śmiały Oswald, śmiały i dowcipny Nugent, Karol Townshend najświetniejszy i najzmienniejszy z ludzi, Elliott, Barrington, North, Pratt i inni. O ile wiemy było w Izbie Gmin dwóch tylko ludzi znakomitych zdolności, którzy z rządem związani nie byli, a ci dwaj stali tak nizko w opinii, że jedyną usługą jaką rządowi oddać mogli, był opór. Był to Lord George Sackwille i Bubb Doddington.

Jakkolwiek największa część ludzi na urzędach i wszyscy członkowie gabinetu liczyli się do Whigów, Torysowie nie byli przecież bynajmniej wyłączeni od urzędowania. Wielu z nich porozdawał Pitt dowództwa w Milicyi, co podniosło i dochody i znaczenie ich w rodzinnych ich hrabstwach; byli zatem tak zadowoleni, jak nigdy jeszcze od śmierci królowej Anny. Niektórzy z tego stronnictwa mruczeli jeszcze zawsze przy ponczu, ale w Izbie Gmin ani jeden z tych malkontentów nie śmiał oczu podnieść wyżej nad sprzączkę u trzewika Pitta»

Tak więc opozycyi nie było wcale. Co więcej, nie było nawet oznak, z których dałoby się poznać, z jakiej strony opozycya zerwać się może. Przeszło kilka lat, w ciągu których wydawać się mogło, jakoby Parlament zrzekł się był najważniejszych swoich czynności. W dziennikach Izby Gmin przez całe cztery sessye nie ma śladu różnicy zdań w kwestyach zasadniczych. Podatki, choć wielkie jak nigdy przedtem, uchwalano bez rozprawy, a najbardziej ożywionemi rozprawami owego czasu były rozprawy o drogach i płotach.

Stary król był kontent; a nie wiele na tem zależało czy nim był, lub nie był. Nawet gdyby miał był ochotę wyzwolić się z pod władzy tak silnego Ministeryum, byłoby mu to niepodobieństwem; ale nie miał nawet tej ochoty. Kiedyś dawniej wielce był uprzedzonym przeciwko Pittowi, a Newcastle źle się z nim był obszedł kilka razy; ale sprężystość i szczęście z jakiem prowadziła się wojna w Niemczech, i gładkość z jaką szły wszystkie sprawy publiczne, spowadziły w umyśle króla zmianę na korzyść ministrów.

Taka była postać spraw, kiedy 25 Października 1760 r. Jerzy II nagle umarł, a Jerzy III w dwudziestym drugim wtedy roku życia został królem. Położenie Jerzego III różniło się wielce od położenia jego dziada i jego pradziada. Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy król angielski był przedmiotem przywiązania jakiejkolwiek części narodu. Pierwsi dwaj królowie z domu Hannowerskiego nie mieli ani tych praw dzie-

dzicznych, które zastępują niekiedy brak przymiotów, ani tych zalet osobistych, które zastępują często brak praw i tytułów. Panujący może być lubionym z małemi nawet zdolnościami i cnotami, jezeli panuje z prawa urodzenia odziedziczonego po długim szeregu wielkich poprzedników. Uzurpator może być lubionym, jeżeli gieniuszem swoim zbawił lub spotężnił naród któremu panuje. W naszych czasach żaden może monarcha nie posiadał przywiązania poddanych w tak wysokim stopniu, jak cesarz Franciszek i zięć jego cesarz Napoleon. Ale wyobraźmy sobie książęcia, któryby nie miał więcej prawa do tronu jak Napoleon, ani więcej rozumu jak Franciszek? Ryszard Cromwell był takim książęciem, toteż, jak tylko jedno ramię podniosło się na niego, upadł bez walki pośród powszechnego śmiechu. Jerzy I i Jerzy II, byli w położeniu nic niepodobnem do położenia Ryszarda Cromwella. Od losu Ryszarda Cromwella wybawiła ich dzielna i mądra praca stronnictwa Whigów, i przekonanie powszechne, że naród miał do wyboru albo dom Brunświcki albo Katolicyzm. Ale żadna część narodu nie patrzała na Welfów z tem poświęcenia pełnem przywiązaniem, jakiego niezliczone dowody odbierał Karol I, Karol II i Jakób II, pomimo największych wad i błędów, i wśród największych swych nieszczęść. Że Whigowie niektórzy tak dzielnie mieczem i kieszenią służyli nowej dynastyi, pochodziło to z zasad niezależnych zupełnie od poddańczej wierności, a raczej zupełnie z nią niezgodnych. Umiarkowani Torysowie zapatrywali się na obcą dynastyą jako na wielkie zle, które trzeba było znosić, żeby większego złego uniknąć, a w oczach zagorzałych Torysów, Elektor był najgorszym z rozbójników i tyranów; na głowie miał koronę, która należała do innego, a na rękach krew walecznych i wiernych. I tak, przez wiele lat byli królowie angielscy przedmiotem silnej osobistej niechęci dla wielu swoich poddanych, a dla żadnego nie byli przedmiotem osobistego przywiązania. Znajdowali oni wprawdzie pomoc silną i serdeczną przeciwko pretendentowi do korony, ale pomoc tę dawano nie dla ich miłości,

ale dla miłości politycznego i religijnego systemu, dla którego upadek ich byłby był wielkiem niebezpieczeństwem. A pomoc tę okupować jeszcze musieli nieustannem poświęceniem własnych stosunków, temu stronnictwu, które ich na tronie osadziło i trzymało.

Pod koniec panowania Jerzego II znikła niechęć, którą połowa narodu czuła do Brunświckiego domu, ale nie zrodziło się jeszcze ani najmniejsze uczucie przywiązania. Rzeczywiście, w charakterze starego króle nie było nic takiego, coby budzić mogło było czułość lub szacunek. Nie był on naszym rodakiem, przed trzydziestym przeszło rokiem życia ani razu nogą nie postał na naszej ziemi, mowa jego okazywała jego cudzoziemskie pochodzenie i wychowanie. Przywiązanie jego do rodzinnego kraju, niezawodnie najbardziej pociągająca strona jego charakteru, nie mogło zjednać mu serc angielskich poddanych. Najszczęśliwszym był, kiedy mógł porzucić St. James's dla Herrenhausen; floty nasze rok rocznie musiały przewozić go na kontynent, a dobro jego królestwa było mu niczem, w porównaniu z dobrem jego Elektoratu. Zresztą, nie miał on ani tych przymiotów, które tępego i pospolitego człowieka mogą szanownym uczynić, ani tych które rozwiozłość mogą uczynić powabną. Był on złym synem, gorszym jeszcze ojcem, wiarołomnym mężem, i niedelikatnym kochankiem. Nie został po nim w pamięci ani jeden postępek ludzki lub wspaniałomyślny, a za to wiele przykładów płaskości i szorstkości, która mogłaby była sprawić nieszczęście narodu, gdyby nie silne konstytucyjne ograniczenia, jakie mu były nałożone.

Umarł on wreszcie, a po jego śmierci naraz nowy świat się otworzył. Nowy król był urodzonym Anglikiem; wszystkie jego zwyczaje i upodobania, złe czy dobre, były nawskróś angielskie. Żadna część narodu nie miała mu nic do zarzucenia. Nawet pozostali stronnicy Stuartów zaledwo mogli mu przypisywać winę uzurpacyi; nie był on odpowiedzialnym ani za Rewolucyę, ani za *Act of Settlement* (ustawę osadzenia na tronie nowej dynastyi), ani za zgniecenie zbrojnych ruchów

z r. 1715 i 1745; on był niewinnym krwi przelanej pod Derwentwater i Kilmarnock, pod Cameron i Balmerino. Urodzony w pięćdziesiąt lat po wypędzeniu dawnej dynastyi, w dynastyi Hanowerskiej zaś czwarty z pokolenia a trzeci z następstwa, miał on już nawet za sobą jakiś pozór prawa dziedzicznego. Jego wiek, jego powierzchowność, i wszystko co o charakterze jego wiedziano, jednało mu powszechną przychylność; był on w samym kwiecie młodości, a osoba i obejście jego mogło się podobać. Obmowa nie kładła mu na karb żadnych przywar, a pochlebstwo mogło bez krzyczącej niedorzeczności przypisywać mu wiele cnót królewskich.

Nic zatem dziwnego, że to uczucie wierności, które niedawno jeszcze zdawało się tak przestarzałem, jak pielgrzymki i wiara w czarownice, zaczęło odżywać na nowo od dnia jego wstąpienia na tron. Torysowie zwłaszcza, którzy zawsze mieli skłonność do królochwalstwa, a którzy boleśnie czuli brak bożyszcza, któremuby się kłaniać mogli, tak byli uradowani jak kapłani Apisa, kiedy po długiej przerwie znaleźli nowego ciołka do wielbienia. Pokazało się niebawem, że znaczna część narodu z innem zupełnie uczuciem patrzała na Jerzego III, jak na dwóch jego poprzedników. Tamci byli tylko pierwszymi urzędnikami Państwa, Dożami, Statuderami — on był naprawdę królem. Przeszły czasy wdowieństwa i żałoby dla stronnictwa Torysów; dość już długo dotrzymała Dido wiary zimnym popiołom pierwszego małżonka; teraz znalazła nareszcie pocieszyciela, i odgrzebała jeszcze iskierki dawnego płomienia. Powrócą przecież znowu złote dnie i dobre czasy, znowu otoczą tron Wyndhamy i Somersetowie. Wolnomyślni prałaci, którzy nie wstydzili się znosić z Doddridgem i ściskać za rękę Whistona [1]), ustąpią teraz miejsca takim duchownym jak South i Atterbury. Wierność i poświęcenie okazane tylokrotnie i tak świetnie domowi Stuartów, ta wierność i to po-

[1]) Wolnomyślni teologowie, w oppozycyi przeciw panującemu Kościołowi.

święcenie, które przetrzymały porażki, konfiskaty i wygnania, których przemódz nie mogły ani zdrady, ani uciski, ani niewdzięczność, przeszły teraz na dom Brunświcki. Jeżeliby tylko Jerzy III przyjąć zechciał hołd kawalerów i zwolenników wysokiego Kościoła, stałby się dla nich tem samem, czem bywał dawniej Karol I i II.

Król, którego wstąpienie na tron w ten sposób witanem było przez wielkie stronnictwo zdawna do domu jego zniechęcone, otrzymał od natury silną wolę, której godziłoby się może dać ostrzejsze miano, i rozum, nie bystry zaiste ani obszerny, ale taki który mógł zrobić z niego dobrego i przydatnego do spraw pracownika. Charakter jego wszelako nie był się jeszcze rozwinął zupełnie. Wychowany on był w ścisłem odosobnieniu. Obmowcy owdowiałej księżny Walii utrzymywali, że dlatego ona trzymała swoje dzieci zdala od towarzystwa ludzi, aby sama zachować mogła wyłączną nad ich umysłami przewagę. Ona znowu inaczej zupełnie tłomaczyła swoje postępowanie. Byłaby chętnie, jak mówiła, widziała w świecie synów swoich i córki, gdyby mogła puścić ich tam bez niebezpieczeństwa dla ich moralności; ale trwożyła ją rozpusta modnych i możnych ludzi. Wszyscy młodzi mężczyźni byli rozpustnikami, wszystkie młode kobiety umizgały się, zamiast czekać żeby się do nich umizgano. Ona nie mogła przecież narazić tych, których najbardziej kochała, na zaraźliwy wpływ takiego towarzystwa. Godziłoby się może wątpić o moralnych zaletach tego systemu wychowania, który wydał księcia York, księcia Cumberland, i królowę Duńską. Jerzy III nie był zaiste rozpustnikiem, ale przyniósł na tron umysł na pół tylko otwarty, i na czas jakiś poddany zupełnie wpływom swojej matki, i swego wielkiego Szatnego, Jana Stuarta hrabiego Bute.

Hrabia Bute prawie zupełnie był nieznanym, nawet z nazwiska, krajowi, którym niebawem miał rządzić. Wybrano go raz wprawdzie, kiedy zaledwo do pełnoletności doszedł, na zapełnienie wakansu, który w połowie sessyi Parlamentu otworzył się był między szkockimi parami, ale naraził się ministrom

przez to, że parę razy głosował milczkiem z Torysami; stracił krzesło i nigdy już powtórnie nie został wybranym. Teraz upłynęło już lat blizko dwadzieścia, odkąd on po raz ostatni odgrywał polityczną jakąś rolę. Niektóre z tych lat przepędził był w rezydencyi swojej na jednej z wysp Hebrydzkich, zkąd znowu wypłynął na widok jako urzędnik dworu księcia Fryderyka. Lord Bute, wykluczony z życia publicznego, znalazł różne sposoby zabawiania się w wolnych chwilach. Był on znośnym aktorem w amatorskich teatrach. Piękna łydka, z której malarze i satyrycy nie zaniedbali korzystać, należała do głównych jego zalet scenicznych; umiał on wymyślać coraz nowe ubiory do maskowych balów, partaczył w geometryi, mechanice, i botanice; miał pewne względy dla sztuk pięknych i starożytności, i uchodził w najbliższem swem kole za wielkiego znawcę malarstwa, poezyi i architektury. Mówią, że nie umiał sylabizować; ale, choć w naszym wieku uchodziłoby to za dowód najgrubszej ciemnoty, byłoby niesprawiedliwością stosować tę regułę do ludzi, którzy żyli przed stu laty. Powieść Sir Charles Grandison [1]), wyszła z druku w tym samym czasie, kiedy Bute ukazał się na dworze księcia Walii. Może sobie czytelnik przypomni, co opowiada Charlotta Grandison o swoich dwóch wielbicielach. Jeden z nich modny baronet, który mówi płynnie po francuzka i po włosku, nie umié jednego wiersza napisać we własnym języku, żeby nie zgrzeszył przeciw ortografii. O drugim przedstawionym jako najlepszy specimen młodych arystokratów, a nawet jako kawałek znawcy, że syllabizuje wcale nieźle jak na Lorda. Wszystko razem wziąwszy, Hrabia Bute może słusznie uchodzić za człowieka wykształconego umysłu; był oprócz tego człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, ale rozum miał ciasny, a obejście zimne i wyniosłe. Zdolności jego do spraw politycznych opisał najlepiej książę Fryderyk, który lubił sobie pozwalać nieksiążęcej

[1]) Richardsona R. urodzony 1687, um. 1761 roku, sławny autor *Pameli* i *Klaryssy Harlowe*.

przyjemności wyśmiewania swoich podwładnych. »Bute, rzekła raz jego Książęca Mość, »tyś się urodził na to, żeby być po»słem przy dworze jakiego małego a dumnego niemieckiego »książątka, gdzie nie ma nic do roboty.«

Obmowa ogłosiła wielkiego Szatnego za szczęśliwego kochanka księżnej Wallii; był on niezawodnie najpoufniejszym jej przyjacielem. Wpływ jaki oboje razem wywierali na umysł króla, był przez czas jakiś nieograniczony. Księżna, kobieta i cudzoziemka, trudno żeby mogła była być dobrym doradzcą w sprawach Państwa, a o hrabi trudno powiedzieć, żeby był przebył choćby tylko nowicyat służby politycznej. Wyobrażenia swoje o rządzie przejął on od tego towarzystwa, które zbierało się około księcia Fryderyka w Kew lub w Leicester-House, a towarzystwo to składało się z Torysów pojednanych z domem Hanowerskim grzecznością, z jaką ich książę przyjmował, i nadzieją, że posunie ich wysoko jak raz dojdzie do tronu. Wyznanie ich polityczne było osobnym odcieniem Toryzmu. Było to wyznanie nie Torysów z XVII-go wieku, ani Torysów z XIX-go; nie takich jak Sacheverell i Filmer [1]), ani takich jak Eldon [2]), ale było to wyznanie tej sekty, za której założyciela i głównego doktora może uchodzić Bolingbroke. Sekta ta zasługuje na szacunek za to, że wykazała i potępiła słusznie wielkie niektóre nadużycia, które wyrodziły się podczas długiego panowania Whigów. Ale łatwiej daleko wykazywać i potępiać nadużycia, jak wynaleźć zbawienne reformy, a reformy zaś, których pragnął Bolingbroke, byłyby albo zupełnie niedostateczne, albo byłyby sprowadziły nierównie więcej złego niżby były usunęły.

---

[1]) Sacheverell, ur. 1672, um. 1724, kaznodzieja, sławny z ustawicznych złośliwych aluzyj i przytyków do Whigów. Filmer, ur. 1604, um. 1647, publicysta, namiętny obrońca prerogatywy królewskiej.

[2]) Lord Eldon, kanclerz od r. 1801 do 1827, przywódca Torysów, i wielki przeciwnik reformy wyborczej i emancypacyi katolików, umarł 1838 roku.

Rewolucya wybawiła naród od niebezpieczeństw i dolegliwości jednego rodzaju, ale w tym samym czasie, taka jest ułomność wszystkiego co ludzkie, spłodziła lub wzmogła dolegliwość i niebezpieczeństwo innego rodzaju, które nowych teraz wymagały lekarstw. Wolność i własność bezpieczne były od napaści władzy królewskiej; prawa sumienia były szanowane, żaden rząd nie odważył się przestąpić praw obwarowanych uroczyście tym aktem, który powołał na tron Wilhelma i Marię. Ale nie da się z drugiej strony zaprzeczyć, że przekupstwo i duch fakcyi wielce stały się niebezpiecznemi dla publicznego dobra i dla moralności publicznej. Przez cały ciąg długiej walki ze Stuartami, głównem zadaniem najświetlejszych polityków było, wzmocnić Izbę Gmin.

Teraz walka ustała, zwycięztwo było zupełne, Izba Gmin stała się pierwszą w kraju potęgą, a wszystkie wady systemu reprezentacyjnego, które dotychczas tkwiły w niej ukryte, rozwinęły się szybko przez powodzenie i potęgę. Zaledwo Rząd wykonawczy stał się naprawdę odpowiedzialnym przed Izbą, kiedy się okazało, że Izba nie była naprawdę odpowiedzialną przed narodem. Wielka liczba okręgów wyborczych zostawała pod nieograniczonym wpływem pojedynczych ludzi, wielka także liczba była na usługi tego, ktoby dał najwięcej. Rozprawy nie bywały ogłaszane; za drzwiami Izby nie wiedziano prawie nigdy jak i za czem kto głosował; i tak, gdy ministeryum musiało ze wszystkiego zdawać sprawę przed Izbą, Izba nie zdawała sprawy z niczego, przed nikim. Nic prostszego, jak że w takich okolicznościach posłowie żądali zapłaty za głosy, że zawiązywali się we wspólki w celu podwyższenia ceny głosów, i że w krytycznych przejściach wyciągali wielkie kubany groźbą zadania śmiertelnego ciosu Gabinetowi. Tym sposobem Whigowie na czele rządu za Jerzego I. i II, zmuszeni byli ująć przekupstwo w system, i prowadzić je na olbrzymią skalę.

Jeżeli trafiliśmy na istotne przyczyny tego złego, tedy trudno abyśmy co do lekarstwa pomylić się mieli. Pozbawić

Izbę Gmin wagi i znaczenia, niezawodnie nie byłoby lekarstwem. Środek ten byłby z pewnością położył koniec przekupstwu i fakcyom parlamentarnym, bo jak głosy przestaną coś znaczyć, to nikt ich nie będzie kupował, a jak podłe indywidua nic nie będą mogły zyskać na spółkach, przestaną wiązać się w spółki. Ale zniszczyć przekupstwo i fakcye przez wprowadzenie despotyzmu, znaczyłoby leczyć jedno złe, drugiem gorszem. Właściwem lekarstwem było, uczynić Izbę Gmin odpowiedzialną przed narodem, a to dało się dopiąć dwoma sposobami; pierwszy był, ogłaszać na jaw wszystkie czynności Parlamentu, i stawić przez to każdego z członków przed sądem opinii publicznej; drugi, poprawić tak zasadniczą ustawę Izby, żeby nikt w niej nie mógł zasiadać, ktoby nie był wybranym przez szanowne i niezależne ciało wyborcze.

Bolingbroke [1]) i jego uczniowie doradzali inny zupełnie środek na choroby Państwa. Nauką ich było, że silny zamach prerogatywy, wykonany przez patryotycznego króla, złamałby odrazu wszystkie fakcyjne spółki i przemógł mniemaną konieczność przekupowania członków Parlamentu. Trzebaby tylko było, żeby król stanowczo postanowił być Panem, nie poddawać się w niewolę żadnym związkom ani spółkom, brać na ministrów kogoby chciał z ludzi posiadających jego zaufanie bez różnicy stronnictw, i nie dozwolić swoim sługom wpływać niegodziwemi środkami na zgromadzenia czy to wyborcze, czy prawodawcze. Dziecinny ten plan dowodził tylko, że twórcy jego nie mieli pojęcia o naturze tego złego, które zrywali się leczyć. Istotną przyczyną powszechnego rozszerzenia przekupstwa i fakcyi było to, że Izba Gmin, nie odpowiedzialna przed nikim, silniejszą była od króla; lekarstwo zaś Bolingbroka użytem być mogło jedynie przez króla silniejszego od Izby. Jakże patryotyczny król rządzić miał wbrew Izbie, kiedy bez pozwo-

[1]) Henryk St. John, Lord Bolingbroke, ur. 1678, um. 1750 roku, wszechwładny w ostatnich latach panowania królowej Anny, od jej śmierci na uboczu.

lenia Izby nie mógł zaopatrzeć jednej szalupy, ani trzymać pod bronią choćby jednego bataliona wojska, ani wysłać poselstwa, ani nawet pokryć wydatków swego własnego domu? Cóż on miał zrobić? Może rozwiązać Parlament? Cóżby był zyskał odwołując się do Sudbury i Old-Sarum przeciwko sprzedajności ich posłów? Miałże wydawać rozkazy pod swoją prywatną pieczęcią — miałże nakładać podatek okrętowy? Jeżeli tak, to ta sławiona reforma musiałaby zacząć się od wojny domowej, a dokonać, jeżeliby dokonaną była, przez zaprowadzenie samowładnej Monarchii. Albo znowu może powinien był król patryota porwać za sobą Izbę Gmin w szlachetnych swoich zamiarach? Jakim sposobem? Jeżeliby sam sobie zabronił był używać przekupstwa, jak byłby trafił do przekonania takich ludzi? Czyż chciwość wzmocniona nałogiem dałaby się uśpić kilkoma pięknemi sentencyami o jedności i cnocie?

Teorya ta, choć tak niedorzeczna, miała przecież wielu wielbicieli, pomiędzy uczonymi zwłaszcza i literatami. Teraz miała ona wejść w wykonanie, czego skutkiem był, jak każdy bystry człowiek przewidywać musiał, najsmutniejszy i najśmieszniejszy upadek. Pierwszego zaraz dnia po wstąpieniu na tron młodego króla, zjawiły się niektóre oznaki zapowiadające ciężką i wielką przemianę. Mowa króla do Rady ministrów nie była poddaną pod rozbiór Gabinetu. Napisał ją był Bute, i zamieścił w niej pewne zwroty, które dawały się wziąć za uwagi nad prowadzeniem spraw za ostatniego panowania. Pitt robił niejakie zarzuty i prosił o złagodzenie tych zwrotów w drukowanym tekscie mowy, ale Bute ustąpił zaledwo po kilkugodzinnym sporze; a nawet kiedy Bute ustąpił, król umyślnie jeszcze udawał, że obstaje przy swojem aż do drugiego dnia po południu, a tego samego dnia kiedy zaszła ta osobliwsza sprzeczka, Bute nietylko złożył przysięgę jako członek Rady Tajnej, ale jeszcze wprowadzonym był do Gabinetu.

Wkrótce potem jeden z sekretarzów stanu, Lord Holderness stósownie do ułożonego z dworem planu, złożył pieczęć, a Bute natychmiast został zamianowanym na opróżnioną po-

sadę. Niezadługo nadeszły powszechne wybory, a nowy sekretarz wszedł do Parlamentu jedyną drogą, jaką mógł wejść do niego podówczas, to jest jako jeden z szesnastu parów szkockich, reprezentantów tego królestwa [1]).

Gdyby ministrowie w silnej zostawali byli jedności, niewątpliwie byliby zdołali stawić opór dworowi. Parlamentarny wpływ Arystokracyi należącej do obozu Whigów, połączony z gieniuszem, z cnotą i ze sławą Pitta, byłby był nie do przezwyciężenia. Ale w Gabinecie Jerzego III, były pewne ukryte nienawiści i zazdrości, które zaczęły teraz na wierzch wychodzić. Oziębił się stosunek Pitta do dawnego jego sprzymierzeńca, kanclerza skarbu Legge. Niektórzy z ministrów zazdrościli popularności Pitta; sami, nie bez przyczyny, zrażeni byli dumnem i rozkazującem jego obejściem; inni znowu z najuczciwszych powodów nie zgadzali się na pewne strony jego polityki. Przyznawali, że zastał on kraj na dnie upokorzenia, a wzniósł go na szczyt chwały; przyznawali że prowadził wojnę zręcznie, sprężyście i szczęśliwie, ale zaczęli napomykać, że rozchód zasobów państwa był bezprzykładnie wielki, i że dług państwa wzrastał z szybkością, na którą byłby oslupiał Montague i Godolphin. Niektóre ze zdobyczy naszej floty i wojska, były, jak się chętnie zgadzano, korzystne równie jak zaszczytne, ale teraz, kiedy Jerzy II. już nie żył, mógł niejeden dworak ośmielić się zapytać, dlaczego Anglia miała być stroną w wojnie dwóch mocarstw niemieckich. Co jej do tego, czy w Szlązku panuje dom Habsburski czy Brandenburski? Dla czego najlepsze pułki angielskie miały się bić nad Menem? Dlaczego wojska pruskie miały być opłacane angielskiem złotem? Wielki Minister zdawał się uważać za niegodne siebie obliczać cenę zwycięztwa. Byle grzmiały działa z Londyńskiej Wieży, byle illuminacye na ulicach, byle francuzkie

[1]) Za panowania Anny uchwaliła była Izba Lordów, pod 23 paragrafem Unii, że żaden Par szkocki nie mógł być mianowanym Parem W. Brytanii. Uchwała ta zmienioną była dopiero w roku 1782.

sztandary obnoszono w tryumfie po Londynie, nie obchodziło go, do jakiego stopnia zwiększa się ciężary publiczne; co więcej, mogło się zdawać jakoby chełpił się on wielkością poświęceń, jakie naród porwany jego wymową i powodzeniem zbyt ochoczo ponosił, a których później gorżko i długo będzie musiał żałować. Marnotrawstwo i przeniewierstwo nie znały już granic. Komisarze wojenni, wracając z obozu, kupowali miasteczka, stawiali pałace i przesadzali się w zbytkach nad starą arystokracyą angielską. W przeciągu czterech lat wojny zapożyczyliśmy się na więcej, niż rząd najoszczędniejszy i najzdolniejszy spłacić zdoła przez czterdzieści lat pokoju, a nadzieja pokoju była dalsza niż kiedykolwiek. Nie było wątpliwości, że Francya złamana i przygnieciona przystałaby na korzystne warunki zgody, ale Pittowi nie o to wcale chodziło. Przez wojnę stał się on popularnym i potężnym, z wojną połączone było wszystko co najświetniejsze w jego życiu, zdolności jego do wojny były stworzone, to też w końcu rozmiłował on się w wojnie dla wojny, i stał się skłonniejszym do wojny z neutralnymi jak do pokoju z nieprzyjaciołmi.

Tak myślał książę Bedford i hrabia Hardwicke, ale żaden z członków rządu nie posunął tych przekonań tak daleko jak Jerzy Grenville, podskarbi Marynarki. Był on szwagrem Pitta i uchodził zawsze za osobistego i politycznego jego przyjaciela; ale trudno wyobrazić sobie dwóch ludzi prawych i zdolnych mniej do siebie podobnych. Pitt, jak siostra jego często mawiała, nic nie znał dokładnie prócz *Królowej Rusałek* [1]) Spencera; nie przykładał się nigdy statecznie do żadnej gałęzi nauki; finansistą był opłakanym; nie obeznał się nigdy dokładnie nawet z zasadniczemi ustawami tej Izby, której był najświetniejszą ozdobą; nie uczył się nigdy prawa publicznego w całości, w systemie, i tak mało miał o niem pojęcia, że

[1]) *Fairy Queen*, poemat fantastyczny (i jak niektórzy twierdzą allegoryczny panegiryk na cześć królowej Elżbiety). Spencer Edmund, urodzony 1550, umarł 1599.

Jerzy II. gorżko się raz użalał, że człowiek który nigdy nie czytał Vatela, śmiał zrywać się na prowadzenie spraw zagranicznych. Ale te niedostatki okupował on swojemi wysokiemi i rzadkiemi zdolnościami; umiał naprzykład natchnąć cały prawie naród ufnością i przywiązaniem ku sobie, miał wymowę, która nietylko zachwycała ucho, ale zagrzewała krew i łzy wyciskała z oczu, miał wielkie i swoje własne pomysły w układzie planów, i miał sprężystość w ich wykonaniu. Grenville znowu był z natury i z przyzwyczajenia człowiekiem szczegółów. Wychowany na prawnika, przyniósł z sobą do życia urzędowego i parlamentarnego całą pilność i subtelność swego zawodu. Uchodził za człowieka obeznanego gruntownie z całym systemem skarbowości państwa; zgłębił szczególnie ustawę Parlamentu, i tak był uczonym we wszystkiem co dotyczyło przywilejów i przepisów Izby Gmin, że zdaniem tych nawet którzy go najmniej lubili, nie miał pod tym względem równego sobie. Mowy jego były zawsze nauczające, a czasem wypowiedziane z taką powagą, że robiły wrażenie; ale nie były nigdy świetne, a najczęściej były nudne. Nawet kiedy stał na czele rządu, trudno mu było niekiedy znaleźć posłuchanie w Izbie. Usposobieniem równie jak rozumem, różnił się niezmiernie od swego szwagra. Pitt nie dbał zupełnie o pieniądze; ledwie że raczył czasem ręką po nie sięgnąć, a skoro przyszły, trwonił je z dziecinną rozrzutnością. Grenville choć ściśle i surowo uczciwy, lubił zbierać i był nader oszczędny. Pitt, człowiek drażliwych nerwów, pochopny do przesadzonych nadziei, dawał się porwać powodzeniu i popularności, urazy czuł żywo, ale łatwo przebaczał; Grenville miał charakter ponury, smutny i zacięty, nic dziwniejszego jak wrodzona jego skłonność zapatrywania się na wszystko ze złej strony. Był on krukiem Izby Gmin, wśród zwycięztw krakał nieustannie o porażkach, a o bankructwie przy przepełnionym skarbie. Burke przyrównał go z powszechnym oklaskiem, w czasie obfitości i pokoju, do opisanego przez Owidyusza złego ducha, który patrzy na wspaniałe świątynie i bogate porty

Aten, i zaledwie może wstrzymać się od płaczu, że nie ma nad czem płakać. Taki człowiek nie mógł być popularnym, ale naprzeciw niechęci publicznej przybierał Grenville postawę stanowczą i ponurą, która zmuszała do uszanowania tych nawet którzy go nienawidzili.

Rzecz naturalna, że skoro Pitt i Grenville byli takimi jakimi byli, musieli zupełnie inaczej zapatrywać się na stan spraw publicznych. Pitt nie widział nic prócz tryumfów, Grenville same tylko wydatki. Pitt chełpił się, że Anglia zwycięzką była naraz w Ameryce, w Indyi i w Niemczech, że była panią wszystkich mórz i że rozstrzygała o losach kontynentu. Grenville zliczał posiłki wojenne, wzdychał nad nadzwyczajnemi wydatkami na wojsko, i jęczał w duchu na myśl, że naród w jednym roku zaciągnął dług ośmiu milionów.

Z ministerstwem tak podzielonem Bute łatwo mógł sobie dać radę. Pierwszym z tych którzy upadli, był Legge. Obraził on był młodego króla za przeszłego jeszcze panowania, tem, że przy wyborach w Hampshire odmówił poparcia kandydatowi jakiemuś, którego stawiał Bute; teraz nietylko że został wyrzuconym, ale doznał jeszcze grubijańskiego obejścia w prywatnym gabinecie króla, kiedy składał pieczęcie swojego urzędu. Pitt który go nie lubił, obojętnym był na ten wypadek; ale niebawem niebezpieczeństwo jemu samemu grozić zaczęło. Karol III, król hiszpański, powziął śmiertelną nienawiść do Anglii. Przed dwudziestu laty, jeszcze jako król Obojga Sycylii, gotów on był przystąpić do koalicyi przeciw Maryi Teresie, ale flota angielska ukazała się niespodzianie w Neapolitańskiej zatoce, angielski kapitan wylądował, poszedł prosto do pałacu, położył zegarek na stole, i oświadczył Jego Królewskiej Mości, że w przeciągu godziny albo traktat neutralności musi być podpisanym, albo nastąpi bombardowanie. Traktat został podpisany; eskadra odpłynęła nie zabawiwszy w zatoce więcej jak dwadzieścia cztery godzin, a od tego dnia, nienawiść angielskiego imienia stała się główną namiętnością upokorzonego króla. Nareszcie doczekał on się teraz takiego położenia,

w którem mógł się spodziewać, że namiętności tej zadość uczynić zdoła. Przed niedawnym czasem został był królem Hiszpanii i Indyi; z zazdrością i ze strachem widział zwycięztwa naszej marynarki i nagły wzrost naszej kolonialnej potęgi. Był on Burbonem, i miał współczucie dla nieszczęść domu z którego pochodził — był Hiszpanem, a żaden Hiszpan nie mógł ścierpieć widoku Gibraltaru i Minorki w mocy cudzoziemców. Temi wiedziony uczuciami zawarł Karol traktat tajemny z Francyą, a przez ten traktat znany pod imieniem Układu Familijnego, zobowiązywały się oba mocarstwa, nie w stanowczych wprawdzie wyrazach, ale w domyślnem i koniecznem następstwie, do wspólnej wojny przeciwko Anglii. Hiszpania jednak odłożyła wypowiedzenie kroków nieprzyjacielskich, do przybycia floty swojej wyładowanej skarbami Ameryki.

Tajemnica tego układu nie dała się utrzymać przed Pittem. Postąpił on sobie w tym razie tak, jak można się było spodziewać po człowieku jego zdolności i energii. Chciał on natychmiast wydać wojnę Hiszpanii, i schwytać w drodze flotę idącą z Ameryki, i postanowił, jak się zdaje, napaść razem na Hawanę i na Filipiny.

Ale rada ta dzielna i mądra została odrzuconą. Najsilniej sprzeciwiał się jej Bute, popierany przez cały niemal gabinet. Niektórzy z ministrów wątpili lub udawali, jakoby wątpili w prawdziwość wiadomości Pitta; inni lękali się doradzać kroku tak śmiałego i stanowczego, iani jeszcze niechętnie znosili jego przewagę, i radzi byli pozbyć się go pod jakimkolwiek pozorem. Jeden tylko ze wszystkich kolegów zgadzał się z Pittem, a tym był szwagier jego Lord Temple.

Obadwa złożyli urzędy. Młody król przy rozstaniu obszedł się z Pittem jaknajuprzejmiej. Pitt, choć wszędzie tak dumny i wyniosły, w gabinecie jednak królewskim zawsze łagodny i skromny, wzruszonym był aż do łez. Król i ulubieniec królewski nalegali na niego, żeby przyjął znaczny jaki dowód łaski monarszej. Czy nie chciałby zostać gubernatorem Kanady? Dołączonoby w takim razie do tego urzędu roczną placę pięciu

tysięcy funtów, i nie żądanoby nawet, żeby przesiadywał na miejscu swego urzędowania. Prawda, że podług prawa gubernator Kanady nie mógł być członkiem Izby Gmin, ale Rząd postarałby się o bill pozwalający Pittowi zatrzymać krzesło poselskie, i stanowisko gubernatora razem, we wstępnych zaś powodach billu, wyrażonoby prawa jego do wdzięczności całego kraju. Pitt odpowiedział z całą delikatnością, że więcej chodziło mu o żonę i dzieci niż o siebie samego, i że żaden dowód łaski królewskiej nie byłby mu tak pożądanym, jak taki, któryby był korzystnym dla najdroższych jemu osób. Poznano się na tej wskazówce, i ta sama gazeta która głosiła wstąpienie sekretarza Stanu, doniosła oraz, że ze względu na jego wielkie publiczne zasługi, żona jego dostała własne parostwo, i że jemu samemu wyznaczono roczną pensyą trzech tysięcy funtów na trzy pokolenia. Sądzono zapewne, że nagrody i godności udzielone wielkiemu ministrowi wywrą dobre wrażenie na opinię i przejednają ją Rządowi, a może też sądzono, że popularność jego oparta w znacznej części na jego pogardzie dla pieniędzy, dozna cokolwiek uszczerbku przez pensyę, i rzeczywiście pojawiło się natychmiast mnóstwo pamfletów, które go oskarżały, że zaprzedał ojczyznę. Wielu z przyjaciół jego sądziło, że byłby lepiej zrobił dla własnej godności, gdyby był odmówił przyjęcia jakiejkolwiek pieniężnej nagrody od dworu; ale pomimo tego wszystkiego nie zmieniła się opinia powszechna o jego zdolnościach, cnotach i zasługach. Kilka wielkich miast przysłało mu adresy, a Londyn okazał swoje uwielbienie i przywiązanie w sposób jeszcze bardziej znaczący. Wkrótce po ustąpieniu Pitta nadszedł coroczny bankiet u Lorda Mayora; król z całą rodziną zjechał na ucztę do Guildhall; a do zaproszonych należał także i Pitt. Młody król jadąc z narzeczoną swoją w ceremonialnym powozie, nie małą odebrał naukę. Na niego ledwie że kto uważał, a wszystkie oczy zwrócone były na upadłego ministra, wszystkie okrzyki do niego tylko się ściągały. Panie ku niemu powiewały z okien chustkami — lud wieszał się u kół jego powozu, ściskał za

ręce służbę, całował nawet jego konie. Okrzyki »Precz z Lordem Bute! Precz z Łososiem z Newcastle« mieszały się z okrzykami »Niech żyje Pitt, Pitt for ever.« Kiedy wszedł do Guildhall przyjęto go głośnemi wiwatami i hucznemi oklaskami, w których brali udział sami nawet urzędnicy miasta. Lord Bute tymczasem słuchać musiał przez całą długość Cheapside najniepochlebniejszych świstów i hałasów, i byłby może jak sądzono, znalazł się w niejakiem niebezpieczeństwie, gdyby nie był przezornie otoczył swego powozu silną przyboczną gwardyą boxerów. Wiele ludzi ganiło zachowanie Pitta w tym razie jako uwłaczające winnego królowi uszanowania, i w istocie sam Pitt nawet przyznawał później, że źle zrobił. Naprowadził go na to złe, jak później na niejedno większe, wpływ niespokojnego i nieszczęsnego jego szwagra, Lorda Temple.

Wypadki jakie zaszły bezpośrednio po wystąpieniu Pitta podniosły jego sławę tak wysoko, jak nigdy jeszcze dotąd nie stała. Okazało się, że wojna z Hiszpanią była, jak przepowiadał, nieunikniona. Z Zachodnich Indyj przyszła wieść o zdobyciu Martyniki przez wyprawę morską, którą on był urządził; zajęto i Hawannę, a wszyscy wiedzieli, że on ułożył był plan napadu na Hawannę. Manilla kapitulowała, a wszyscy mniemali, że on przemyśliwał także o natarciu na Manillę. Flota zaś Amerykańska, którą zaskoczyć chciał w drodze, wyładowała w Kadyxie ogromny ładunek bryl złota, zanim jeszcze Bute dał się przekonać, że dwór Madrycki żywił naprawdę nieprzyjacielskie zamiary.

Pierwsza sesya Parlamentu po wystąpieniu Pitta odbyła się bez żadnej gwałtownej burzy. Lord Bute wziął na siebie pierwszą rolę w Izbie Lordów. Został on sekretarzem Stanu, a w rzeczy nawet pierwszym ministrem, nie otworzywszy przedtem ust ani razu publicznie, oprócz chyba na scenie; ciekawość zatem była nie mała, jak się z zadania swego wywiąże. Członkowie Izby Gmin cisnęli się tłumnie do kraty Izby Lordów i zapchali nawet stopnie tronu. Spodziewano się powszechnie, że się mowca spyli; ale najzłośliwsi nawet słuchacze

przyznać musieli, że trzymał się lepiej niżby byli myśleli. Wyśmiewali wprawdzie jego akcyę jako teatralną, a styl jako nadęty; bawili się przedewszystkiem długiemi przestankami które robił, nie z nieśmiałości, ale z przesady po każdem wymowniejszem słowie; ale powszechne zdanie było, że gdyby Bute był wcześnie wkładał się do rozpraw, byłby mógł robić wrażenie jako mowca.

Kierownictwo Izby Gmin otrzymał Jerzy Grenville. Jak dotąd zadanie to nie okazało się zbyt trudnem, bo Pitt nie uznał za stosowne podnieść sztandar opozycyi. Mowy jego z tamtego czasu odznaczały się nietylko wymową, którą przewyższał wszystkich swych współzawodników, ale nadto skromnością i umiarkowaniem, na których mu zbyt często zbywało. Kiedy nareszcie wypowiedziano wojnę Hiszpanii, przypisał sobie słusznie zasługę, że przewidział to, co w końcu dla wszystkich jawnem się stało, ale wstrzymywał się starannie od wszelkich cierpkich lub przechwalczych wyrazów; która to wstrzemięźliwość tem większy przynosi mu zaszczyt, że usposobienie jego, nigdy zbyt spokojne, drażniły teraz na wyścigi potwarz i podagra. Dworacy zaś przyjęli system prowadzenia wojny, który niebawem z najstraszniejszym skutkiem przeciwko nim samym się obrócił; połowa pokątnych paszkwilistów zamieszkałych na poddaszach w Grub-Street popłaciła rachunki za mleko i wykupiła koszule z zastawu pod warunkiem, żeby szarpali Pitta. Jego wojna w Niemczech, jego posiłki, jego pensya, parostwo jego żony, wszystko to dostarczało głodnym pismakom z Fleet-Street, mięsa i ginu, węgla i po ścieli. Nawet w Izbie Gmin był on raz w ciągu tej sesyi celem bezczelnej i złośliwej napaści, która wywołała oburzenie ludzi wszelkich stronnictw, ale zniósł obelgę z majestatyczną cierpliwością. Za młodu aż nadto był skorym do odwetu na tych, którzy go napastowali; ale teraz, w świadomości swych wielkich usług i wielkiego miejsca, jakie sobą w świecie zapełniał, nie chciał się zniżać do osobistych zatargów. »Nie jest »to pora do sprzeczek i wzajemnych szkalowań«, rzekł raz

przy rozprawie nad wojną hiszpańską. »Przyszedł dzień, kiedy »każdy Anglik winien głowy nadstawić za ojczyznę. Powołaj»cie wszystko do broni, bądźcie jednym ludem, zapomnijcie »o wszystkiem, prócz sprawy publicznej. Ja wam daję przykład. »Szarpany przez oszczerców, złamany chorobą i cierpieniem, »zapominam dla dobra ogółu o moich krzywdach i o moich dolegliwościach.« Dziś, rozpatrując cały jego żywot, skłaniamy się do zdania, że jego geniusz i cnota nigdy czystszym nie świeciły blaskiem, jak podczas tej sesyi Parlamentu w r. 1762.

Sesya zbliżała się do końca, a Bute ośmielony powolnością Izb, postanowił uczynić drugi wielki zamach i zostać pierwszym ministrem z imienia, tak jak nim był w rzeczy. Koalicya, która przed kilkoma miesiącami wszechmocną się zdawała, dziś była rozbita, wystąpienie Pitta pozbawiło Rząd popularności; Newcastle radował się z upadku sławnego kolegi, którego się bał i któremu zazdrościł, a nie przewidział, że jego własny koniec był blizki. Pochlebiał on sobie zawsze, że stał na czele Rządu, ale rozczarowały go w końcu zniewagi po zniewagach. Posady, które uchodziły zawsze za zależne wyłącznie od niego, rozdawano nie pytając go nawet o zdanie, a na zażalenia jego odpowiadano tylko wyraźnemi wskazówkami, że i jemu czas się już usunąć. Jednego razu przedstawiał on prawa pewnego Prałata z partyi Whigów do Arcybiskupstwa York, na co mu Bute odpowiedział, że »jeżeli Wasza Miłość ceni go tak wysoko, dlaczegóż nie posunęła go wyżej, kiedy miała władzę po temu.« Pomimo to trzymał się starzec z rozpaczliwem wysileniem szczątków rozbitej swej władzy; chrześcijańska słodycz i pokora mało kiedy dorównała pokorze i cierpliwości jego nizkiej i płaskiej ambicyi; ale musiał przecież w końcu zrozumieć, że wszystko przepadło. Opuścił sam dwór, na którym przez lat czterdzieści pięć wysokie zajmował stanowisko, i poszedł ukryć swój żal i wstyd między cedrami w Claremont, a Bute został Wielkim Podskarbim.

Ulubieniec królewski popełnił niezaprzeczenie wielki błąd; nie można bowiem wyobrazić sobie narzędzia stósowniejszego

i dogodniejszego do jego zamysłów, jak to, które w ten sposób odrzucił, lub raczej podał w ręce swoich nieprzyjaciół. Gdyby Bute pozwolił był księciu Newcastle bawić się w pierwszego ministra, byłby sam mógł spokojnie i bezpiecznie używoć istoty władzy. Stopniowe obsadzanie wszystkich wydziałów Rządu Torysami, byłoby się mogło odbyć bez wielkiego hałasu, gdyby naczelnik wielkiego związku Whigów pozostał był dla oka świata u steru Rządu. Wszystko to przedstawiał dobitnie nowemu Podskarbiemu Lord Mansfield, człowiek, który słusznie uchodzić może za ojca nowoczesnego Toryzmu, Toryzmu zmienionego w ten sposób, żeby przystawał do nowego porządku rzeczy, w którym Izba Gmin jest najpotężniejszem w państwie ciałem. Teorye, któremi Bute dał się olśnić, nie mogły złudzić bystrego umysłu Lorda Mansfield. Zuchwałość z jaką Bute dawał zaczepkę tylu potężnym i głęboko zakorzenionym wpływom, nie podobał się chłodnej i nieśmiałej naturze Mansfielda. Ale wszelkie przedstawienia na nic się zdały; Bute upojony powodzeniem, nie chciał słuchać rady i pragnął tylko pokazać się przed światem czem był w rzeczywistości, głową rządu. Puścił on się na przedsięwzięcie, w którym parawan był mu koniecznie potrzebnym tak dla pomyślnego skutku jak dla własnego jego bezpieczeństwa; znalazł gotowy i jedyny parawan w miejscu właśnie, gdzie mu był najpotrzebniejszy, i wyrzucił go nielitościwie.

A teraz nowy system Rządu wszedł zupełnie w wykonanie. Po raz pierwszy od wstąpienia na tron domu Hanowerskiego, wzięło górę stronnictwo Torysów. Pierwszy Minister sam był Torysem, Lord Egremont, następca Pitta na urzędzie sekretarza Stanu był Torysem i synem Torysa. Sir Francis Dashwood, człowiek słabych zdolności, małego doświadczenia, i znany powszechnie z niemoralnego swego charakteru, został kanclerzem Skarbu bez żadnego innego powodu, jak że był Torysem a bywał przedtem Jakobitą. Dwór zapełnił się ludźmi, których ulubionym toastem przed niewielu jeszcze laty było »Zdrowie króla za wodami.« Stanowisko jakie zajmowały wzglę-

dem dworu dwa główne siedliska nauki, zmieniło się zupełnie. Uniwersytet Oxfordzki był przez długi czas głównem ogniskiem niechęci; w burzliwych czasach musiano zająć bagnetami ulicę High-Street, a królewscy urzędnicy przetrząsali kolegia, szukając buntowniczych książek i papierów. Poważni doktorowie zwykli byli nader Cycerońską łaciną szerzyć buntownicze zasady, a uczniowie niższych stopni spełniali Jakobickie toasty i śpiewali Jakobickie pieśni. Z czterech po kolei kanclerzów uniwersytetu, jeden, jak powszechnie było wiadomo, bywał przedtem w usługach Parlamentu, trzej inni, nikt o tem nie wątpił, zostawali w tajnych stosunkach z wygnaną rodziną. Uniwersytet w Cambridge znowu doznawał szczególnych względów od królów z domu Hanowerskiego i okazywał się wdzięcznym za ich opiekę. Jerzy I. zbogacił jego bibliotekę. Jerzy II. przyłożył się hojnie do wybudowania auli na uroczystości. Biskupstwa i Dziekanije sypały się na synów tej Akademii; Kanclerzem jej był Newcastle, naczelnik Whigoskiej arystokracyi; obydwa jej posłowie w parlamencie trzymali urzędy za ministerstwa Whigów. Teraz zmieniły się czasy. W St. James's przyjmowano chłodniej uniwersytet Cambridge; a odpowiedzi na adresy z Oxfordu były jaknajczulsze i najuprzejmiejsze.

Hasłem nowego Rządu była prerogatywa i nieskazitelność. Król nie miał już dłużej być lalką w ręku jednego poddanego lub szajki poddanych — Jerzy III nie miał nadal brać na ministrów ludzi, którychby nie lubił, jak jego dziad musiał był wziąć Pitta, ani rozstawać się z takimi, których lubił i poważał, jak dziad jego musiał rozstawać się z Carteretem. Równocześnie ustać miał ten system przekupstwa, który tak się był rozrósł za ostatnich panowań. Głoszono na wszystkie strony, że od wstąpienia nowego króla nie kupowano z sekretnych funduszów ani posłów ani wyborców. Wybawić Anglię od przekupstwa i kabał oligarchicznych, odciągnąć ją od kontynentalnych związków, zakończyć krwawą i kosztowną wojnę z Francyą i z Hiszpanią, oto skutki, które Bute obiecywał sprowadzić.

Niektóre z nich osiągnął rzeczywiście. Kosztem ciężkiej plamy na swej dobrej wierze wycofała się Anglia z przymierzów swoich z państwami niemieckiemi. Wojna z Francyą i z Hiszpanią, zakończyła się pokojem zaszczytnym zaiste i korzystnym dla naszego kraju, ale mniej zaszczytnym i korzystnym niż spodziewać się należało po długim i nieprzerwanym prawie szeregu zwycięztw na lądzie i morzu, we wszystkich częściach świata. Ale jedynym skutkiem jaki Bute osiągnął wewnętrzną swoją administracyą, był ten, że stronnictwa stały się zacieklejsze, a przekupstwo obrzydliwsze niż kiedykolwiek.

Zawiść wzajemna Whigów i Torysów słabnąć zaczęła od ud upadku Walpola, a pod koniec panowania Jerzego II, zdawała się przygasać zupełnie. Teraz odżyła ona na nowo w całej sile. Prawda, że wielu Whigów zostawało zawsze na urzędach; książę Bedford podpisał traktat z Francyą, książę Devonshire, choć bardzo zniechęcony, był zawsze jeszcze Lordem Szambelanem, Grenville przy którym był kierunek Izby Gmin, i Fox który zawsze jeszcze pobierał w cichości ogromne zyski w Biurze Płatniczem, uchodzili zawsze za Whigów. Ale cała massa tego stronnictwa, rozrzucona po kraju, patrzała z nienawiścią na nowego ministra. Nie brakło też materyału do przycinków i zarzutów przeciwko jego charakterowi. Był on zausznikiem i ulubieńcem króla, a tacy ludzie zawsze znienawidzeni byli w naszym kraju; od czasu kiedy sztylet Feltona trafił w serce Buckinghama, żaden faworyt nie stał na czele rządu. Od tego wypadku najsamowolniejsi nawet i najlekkomyślniejsi ze Stuartów czuli, że ster spraw powierzać trzeba ludziom, którzyby dali dowody parlamentarnych lub administracyjnych zdolności. Strafford, Falkland, Clarendon, Clifford, Shaftesbury, Lauderdale, Danby, Temple, Halifax, Rochester, Sunderland, jakiekolwiek mogli mieć błędy, byli przecież ludźmi wielkich i uznanych zdolności; wysokiego swego stanowiska nie zawdzięczali jedynie łasce królewskiej, a po największej części ściągali na siebie uwagę dworu zdolnością i energią, którą pokazali w opozycyi. Zdawało się, że Rewolucya zabez-

pieczyła państwo raz na zawsze od rządów Carra lub Villersa, a teraz, osobiste upodobanie króla wynosiło człowieka, który nigdy ze sprawami nie miał nic do czynienia, który w Parlamencie nigdy nawet ust nie otworzył, nad wielką liczbę znakomitych mowców, finansistów, dyplomatów! Z prywatnego człowieka został szczęśliwy ten ulubieniec odrazu sekretarzem Stanu, i pierwszą w życiu mowę powiedział stojąc już na czele Rządu. Gmin tłomaczył to sobie w sposób najprostszy, i smarował po wszystkich murach, śpiewał po wszystkich ulicach, najsprośniejsze wymysły na księżnę Matkę.

I nie na tem koniec. Duch stronnictwa zbudzony z długiego spoczynku niepolityczną zaczepką, pobudził znowu nawzajem dziksżą jeszcze i złośliwszą furyą, nienawiść narodową. Zawiść wzajemna Whigów i Torysów pomięszała się z wzajemną niechęcią Anglików i Szkotów. Dwa te oddziały ludu Wielkiej Brytanii nigdy się jeszcze nie były z sobą zlały nierozdzielnie. Wypadki z roku 1715 i 1754 zostawiły ślady bolesne i długotrwałe. Kupcy z Cornhill byli niegdyś w strachu, żeby Górale z gór Grampiańskich o gołych łydkach nie zrabowali ich składów i kantorów; mieli oni w pamięci ten dzień feralny, kiedy przyszła wiadomość, że buntownicy stali w Derby, kiedy wszystkie sklepy w całem mieście były pozamykane, kiedy Bank Angielski zaczął wypłaty robić pensami. Szkoci z drugiej strony z naturalną bardzo goryczą wspominali surowość, z jaką ukarano powstańców, krzywdy jakie znosić musieli od wojska, upokarzające prawa jakie im nałożono, głowy zatknięte na Temple-Bar, ognie i kozły do ćwiertowania na Kensington-Common. Zausznik nie dał zapomnieć Anglikom, z której to części wyspy pochodził. Po całem południu rozległ się jeden krzyk, że urzędy, wojsko, marynarka, zapełnione były Szkotami; same tylko Drummondy i Erskiny, Macdonaldy i Macgillivraye, o sterczących kościach policzkowych, którzy nie umieli mówić chrześcijańskim językiem, a niedawno jak zaczęli nosić chrześcijańskie spodnie. Wszystkie stare żarty o pagórkach bez drzew, dziewczętach bez pończoch, o ludziach

żyjących końską strawą, o wiadrach wylewanych z czternastego piętra na ulicę, wymierzono na nowo przeciw szczęśliwym awanturnikom. Powiedzieć trzeba na chwałę Szkotów, że duma i roztropność wstrzymały ich od odwetu. Jak królewna w arabskiej powieści zatkali sobie szczelnie uszy, i nie dbając na najprzeraźliwsze tony przytyków, szli nie oglądając się ani razu, prosto do Złotej Fontanny.

Bute, który uchodził zawsze za człowieka oczytanego i z wybrednym smakiem, zaczął od swego wyniesienia przybierać postawę Mecenasa. Jeżeli się spodziewał, że opiekując się literaturą i sztuką przejedna sobie umysły, to się boleśnie oszukał. W istocie, rzec można, że ani jeden z przedmiotów jego szczodroty, z wyjątkiem tylko Johnsona, nie był szczęśliwie wybranym, a wybór Johnsona przypisywała publiczność nie bez słuszności politycznym raczej przesądom Doktora, aniżeli literackim jego zasługom, skoro nędzny jeden pismak nazwiskiem Shebbeare, który z Johnsonem nie miał nic wspólnego prócz gwałtownego Jakobityzmu, i który stał raz pod pręgierzem za paszkwil na Rewolucyę, zaszczyconym został takim samym dowodem łaski królewskiej, jak autor Angielskiego Słownika i *Marności Żądz Ludzkich*. Zauważono, że Szkot Adam był budowniczym Dworu, a Ramsay, także Szkot, nadwornym malarzem z pominięciem Reynoldsa. Mallet, Szkot, niewielkiej literackiej sławy i najgorszego charakteru, miał wielki udział w hojności Rządu; John Home, także Szkot, dostał pensyą i synekurę w nagrodę za tragedyą o Douglasie; ale kiedy autor *Barda* i *Elegii na wiejskim cmentarzu* [1]) ośmielił się prosić o professurę, której dochodów bardzo potrzebował, a której obowiązkom z wielu względów lepiej mógł odpowiedzieć niż ktokolwiek z współczesnych, doznał odmowy, a miejsce to dostał pedagog, pod którego dozorem zięć faworyta Sir John Lowther nabrał był niesłychanie wiele cnót i powabów.

[1]) Gray (Tomasz), ur. 1716, um. 1771.

Tak więc Lord Podskarbi znienawidzonym był przez jednych jako Torys, przez drugich jako zausznik, przez innych jeszcze jako Szkot, a wszystkie zawiści wypływające z tych różnych źródeł, zlały się niebawem w jeden potok zarzutów, skierowany przeciwko traktatowi pokojowemu. Księcia Bedford, który prowadził układy, wygwizdano na ulicach. Bute sam, napadnięty w lektyce, zaledwo odbronionym został przez oddział gwardzistów; bez przebrania nie mógł on bezpiecznie chodzić po mieście. Człowiek pewien niedawno zmarły, opowiadał często, jak raz spotkał ulubieńca na placu w Covent Garden, obwiniętego w szeroką opończę, z naciągniętą na oczy peruką i kapeluszem. U ludzi przyjętym symbolem oznaczającym jego Lordowską Mość, był but z wysokiemi cholewami, (po angielsku Jack-boot) która to złośliwa gra wyrazów odnosiła się do jego chrzestnego imienia (John) i tytułu. But taki, w nieodstępnem towarzystwie spodnicy, wieszano czasami na tyce jak na szubienicy, a czasami palono. Paszkwile na dwór, przewyższające zuchwałością i żółcią wszystko co wydano w tym rodzaju od dawnego czasu wychodziły z druku codziennie i wierszem i prozą. Wilkes [1]) porównywał równie zabawnie jak nielitościwie matkę Jerzego III do matki Edwarda III, a szkockiego ministra do Mortimera [2]); Churchill z całą siłą nienawiści opłakiwał los nieszczęśliwej ojczyzny, napadniętej przez nowy rodzaj barbarzyńców dzikszy i drapieżniejszy od Danów i Piktów, przez żebraczych mianowicie i dumnych synów Trądu i Głodu. Okoliczność to drobna ale godna pamięci, że w tym roku po raz pierwszy ośmielili się paszkwiliści dru-

[1]) Wilkes Jan, ur. 1727, um. 1797, sławny z dowcipu paszkwilista, autor *Historyi Anglii od roku 1688*, członek Izby Gmin, w końcu Lord Mayor Londynu.

[2]) Mortimer Roger, ur. 1287, głowa buntu przeciw Edwardowi II, wspólnie z jego żoną. Króla pokonanego uwięził, a w więzieniu kazał zabić. Rządził w imieniu małoletniego Edwarda III. Ten skoro doszedł do pełnoletności oddał go pod sąd. Skazany na śmierć Mortimer skończył na szubienicy 1330.

kować całe nazwiska tych wielkich figur, które szarpali. Jerzy II nazywał się zawsze w pamfletach The k. (king); jego ministrowie Sir R. W. (Robert Walpole), Mr. P. (Pelham) i książę N. (Newcastle) — ale paszkwile na Jerzego III, jego matkę i hrabiego Bute nie darowały nigdy ani jednej samogłoski.

Mówiono, że Lord Temple zachęcał skrycie najzajadlejszych obmowców Rządu. Rzeczywiście ci, którzy dobrze znali jego obyczaje, śledzili go tak, jak ludzie śledzą kreta; ryć pod ziemią było jego zwyczajem; gdziekolwiek więc dostrzeżono kupę śmieci wyrzuconą na powierzchnią ziemi, domyślano się zaraz, że on musiał pracować w jakimś krętym, brudnym labiryncie pod spodem. Pitt odwracał się od nieczystych praktyk opozycyi z taką samą pogardą, z jaką odwracał się od nieczystych praktyk rządu. Przy każdej sposobności wyrażał zawsze wspaniałomyślnie obrzydzenie, jakiem napełniały go zniewagi zadawane szkockiemu narodowi przez jego własnych stronników, i nie omieszkał nigdy wynosić odwagi i wierności, jaką odznaczyły się przez cały ciąg wojny pułki szkockich górali. Ale jakkolwiek gardził nieszlachetną bronią, wiedziano dobrze, że jego honorowe cięcia o wiele były straszniejsze od krytych sztychów sztyletu jego szwagra.

Bute zaczął tracić odwagę. Izby miały się zejść niebawem, a pokój musiał koniecznie przyjść pod rozprawy. Prawdopodobnem było, że Pitt, wielki związek Whigów, i cała masa narodu, staną po jednej stronie. Zausznik popisywał się zawsze z tem, że wzdrygał się na te środki, któremi ministrowie poprzedni zapewniali sobie dobry humor Izby; teraz zaczynało mu przychodzić do głowy, że był zbyt wybrednym. Rozwiały się jego utopijne złudzenia; trzeba były przekupować i to przekupować bezczelniej, haniebniej jak poprzednicy, żeby nagrodzić za czas utracony; trzeba było koniecznie zapewnić sobie większość, jakimbądź sposobem. Czy Grenville mógłby ją zapewnić? Czyby zechciał? Stałość i zdolność jego nie były dotychczas wypróbowane w żadnem niebezpiecznem przejściu. Uchodził on powszechnie za skromnego poplecznika swego

brata Lorda Temple i swego szwagra Pitta, sądzono więc, choć niesłusznie, że był zawsze przychylnie dla nich usposobiony. Trzeba było szukać innej pomocy, a gdzież ją znaleźć?

Jeden był człowiek, którego bystra i męzka logika nieraz w rozprawach okazała się dorównywająca wyniosłej i namiętnej retoryce Pitta, który do wybiegów i matactw nie mniejszą miał zdolność jak do rozpraw, którego umysł nieustraszony nie lękał się żadnych trudności ani niebezpieczeństw, do którego obawy i skrupuły równie mało miały przystępu; w burzy która zerwać się miała, ostać się mógł Henryk Fox, albo nikt. Ale do niego, nawet w tej ostateczności, nierad był dwór się uciekać. Uchodził on zawsze za Whiga nad Whigami, był przyjacielem i uczniem Walpol'a; przez długi czas łączyły go blizkie związki z Wilhelmem księciem Cumberland [1]), Torysowie nikogo bardziej nie nienawidzili. Zawiść ich do niego była tak silna, że kiedy za ostatniego panowania usiłował złożyć partyę przeciw księciu Newcastle, oni rzucili całą swoją wagę na szalę tego ostatniego. Szkoci nie mogli go cierpieć jako zaufanego przyjaciela zwycięzcy z pod Culloden, a księżna matka znosić go nie mogła z osobistych powodów; doradzał on bowiem przeszłemu królowi po śmierci księcia Walii, aby odebrał jej zupełnie wychowanie syna, domniemanego następcy tronu. Świeżo zaś obraził ją, jeżeli być może, jeszcze dotkliwiej, bo pozwalał sobie nie bezzasadnie wyniosłej nadziei, że piękna siostra jego żony Lady Sarah Lennox, zostanie może królową Anglii. Uważano bowiem, że król przez czas jakiś przejeżdżał konno każdego poranku po pod ogrody Holland House, gdzie Lady Sarah, ubrana jak pasterka na balu maskowym, robiła siano tuż przy samej drodze, nieoddzielonej podówczas murem od łąki ogrodowej. Z powodu roli, jaką Fox odegrał w tym szczególnym romansie, był on jedynym członkiem rady przybocznej, którego nie wezwano na zebranie, na którem król oznajmił zamierzone swoje małżeństwo z księ-

[1]) Książę Cumberland, patrz wyżej, na stronie 228.

żniczką Mecklemburgską. Ze wszystkich zatem współczesnych mężów stanu, Fox zdawał się ostatnim, z którym mógłby się połączyć Bute, Torys, Szkot, i ulubieniec księżnej Matki. A przecież zmuszonym on był teraz udać się o pomoc do Foxa.

Fox miał wiele dobrych i miłych przymiotów, które w prywatnem życiu jaśniały w całym blasku, i jednały mu miłość dzieci, przyjaciół i podwładnych, ale jako człowiek publiczny nie miał prawa do szacunku. Przywary wspólne całej szkole Walpol'a, pokazywały się u niego pod postacią nie najgorszą może, ale najbardziej rażącą, dlatego, że same jego zdolności parlamentarne i administracyje wyciągały na jaw jego wady. Odwaga jego, jego gwałtowne usposobienie i właściwa jemu pogarda pozorów, sprawiły, że nie wahał się pokazywać jawnie tego wszystkiego, na co inni, nie więcej od niego skrupulatni, przyzwoite spuszczali zasłony. Był on najniepopularniejszym ze wszystkich ludzi stanu owego czasu, nie dlatego, jakoby więcej od innych grzeszył, ale dlatego, że mniej od innych udawał.

Czuł on dobrze swoją niepopularność, ale czuł tak, jak czuć ją zwykły nieugięte umysły. Zamiast stać się ostrożnym, stał się niedbałym na opinię, i naprzeciw zaciekłości całego narodu zachowywał postawę ponurą, hardą, wyzywającą. Przyszedł on na świat z usposobieniem łagodnem i dobrem, ale nieustannie szarpany i kłuty, nabrał złości, na którą zdumiewali się ci, co go najlepiej znali. Takim był ten człowiek, do którego Bute, ostateczną znaglony potrzebą, udał się o pomoc.

Pomoc tę Fox chętnie dać był gotów. Choć nie zazdrosny wcale z natury, nie bez goryczy przecież patrzał on na powodzenie i popularność Pitta. W rozprawach sądził się Pittowi równym, a wyższym od niego jako prawnik. Długi czas uchodzili oni za dobrze dobraną parę współzawodników. Zawód swój rozpoczęli w jednakich warunkach, długo biegli równo jak sprzężeni, w końcu Fox wyrwał się naprzód a Pitt przyzostał z tyłu. Potem nastąpił nagły zwrot szczęścia i zmiana, jak w pieszych wyścigach Vergiliusza. Fox związał się

w błocie, padł, i został nietylko pobitym, ale zbryzganym; Pitt dobiegł do mety i odebrał nagrodę. Dochody urzędu płatniczego mogły skłonić pokonanego męża stanu, że poddał się spokojnie przewadze swego współzawodnika, ale nie mogły zaspokoić umysłu świadomego swojej potęgi i zgorzkniałego od licznych zawodów. Zaledwo zatem podnosić się zaczęło stronnictwo przeciwne wojnie i przewadze ministra wojny, odżywać też zaczęły i nadzieje Foxa. Gotów on był puścić w niepamięć zatargi swoje z księżną Matką, z torysami i ze Szkotami, byle tylko odzyskać za ich pomocą stracone znaczenie i zmierzyć się Pittem, jako równy z równym.

Niebawem też zawarto przymierze. Fox dostał zaręczenie, że jeżeli wyprowadzi rząd z kłopotliwego położenia, otrzyma w nagrodę parostwo, którego pragnął oddawna. Ze swojej strony podjął się uzyskać, szlachetnemi lub brzydkiemi środkami, votum Izby za pokojem. W skutku tego układu powierzono mu kierownictwo Izby Gmin, a Grenville, tłumiąc w sobie żal jak mógł najlepiej, zgodził się na tę zmianę.

Spodziewał się Fox, że wpływem swoim zdoła pozyskać dla dworu szczere i gorące poparcie znakomitych niektórych Whigów, którzy byli osobistymi jego przyjaciółmi, a mianowicie księcia Cumberland i księcia Devonshire. Ale się zawiódł i przekonał niebawem, że w dodatku do wszystkich innych trudności mógł rachować jeszcze na opozycyą najzdolniejszego z książąt krwi królewskiej i możnej rodziny Cavendisch.

Ale zobowiązał się był wygrać bitwę, a nie był tym człowiekiem, któryby się cofnął. Do namysłu nie było już czasu. Bute musiał w końcu zrozumieć, że Ministeryum ocalonem być mogło jedynie taktyką Walpol'a, zastósowaną na skalę, której sam Walpole byłby się przeraził. Biuro płatnicze zamieniło się w targ na głosy. Setkami zamykali się tam posłowie na osobności z Foxem, i odchodzili odnosząc zapłatę infamii. Osoby takie, które mogły najlepiej być uwiadomione, zapewniały, że rozdano w ten sposób jednego tylko poranku

dwadzieścia pięć tysięcy funtów; najmniejszym zaś z ofiarowanych kubanów miał być banknot na dwieście funtów.

Obok przekupstwa chwycono się jeszcze środka zastraszania. Urzędnikom wszelkich stopni, od najniższych do najwyższych zamierzono pokazać, że król chciał być słuchanym. Kilku Lordów Namiestników po hrabstwach dostało dymisyą. Książę Devonshire wybranym był przed innymi na ofiarę, której los miał być zbawienną przestrogą dla angielskich magnatów. Bogactwo, urodzenie, wpływ, nieposzlakowany charakter i stałe przywiązanie do domu Hanowerskiego, wszystko to nie zasłoniło go przed dotkliwą osobistą krzywdą. Wiedziano, że nie pochwalał on przyjętego przez Rząd kierunku, postanowiono więc upokorzyć księcia Whigów, jak go księżna Matka przezwała. Udał się on raz do pałacu dla złożenia uszanowania królowi. »Powiedz mu, rzekł król do pazia, »że nie chcę go widzieć.« Paź się wahał — »idź, powtórzył król, »i powtórz mu to co do słowa.« Paź zrobił, jak mu kazano, a książę oddarł swój złoty klucz od sukni i odszedł wrzący gniewem, wszyscy jego krewni, jacy tylko byli na urzędach, podali natychmiast dymisye, a w kilka dni później król kazał sobie pokazać listę członków Rady Przybocznej i własną ręką wykreślił z niej nazwisko księcia.

Do takiego kroku, choć niemądrego ani szlachetnego, potrzeba było przynajmniej odwagi. Ale tak, jak nic nie stało za wysoko dla zemsty dworu, tak też nic nie stało za nizko. Prześladowanie niewidziane nigdy ani przedtem ani potem, grasowało po wszystkich gałęziach służby. Wielką część małych pracowitych urzędników pozbawiono chleba, nie dlatego, żeby zaniedbywali byli obowiązki, nie dlatego, żeby czynnie byli występowali przeciw Ministeryum, ale dlatego jedynie, że posady swoje zawdzięczali poleceniu kogoś, kto przeciwnym był pokojowi. Prześladowanie rozciągało się aż do celników i odźwiernych. Jeden biedak, który dostał był pensyę za waleczność okazaną w boju z przemytnikami, stracił ją dlatego, że opiekował się nim książę Grafton; innym razem stara jedna

wdowa, która przed wielu laty została była dozorczynią jakiegoś urzędowego domu ze względu na dawne zasługi męża w marynarce, została usuniętą z posady dlatego, że wyobrażono sobie, jakoby przez męża była w dalekiem pokrewieństwie z domem Cavendish. Krzyk ogólny stawał się naturalnie coraz głośniejszym; ale im głośniej krzyczano, tem śmielej brnął Fox coraz dalej w rozpoczętem dziele. Dawni przyjaciele pojąć nie mogli, co go opętało. »Mógłbym darować polityczne szusy Foxa, mówił książę Cumberland, »ale zdumiewam się nad jego nieludzkością; przecież on zawsze bywał najlepszym z ludzi.«

W końcu posunął się Fox tak daleko, że zasięgnął zdania prawników koronnych, czyli patenta wydane przez Jerzego II obowięzywały Jerzego III, lub nie. Utrzymują, że gdyby nie to że się koledzy wahali, byłby wyrzucił z urzędów kasyerów Skarbu i sędziów.

Tymczasem zeszedł się Parlament. Ministrowie znienawidzeni od narodu bardziej niż kiedykolwiek, pewni byli większości, a mogli się spodziewać, że będą mieli wyższość nietylko liczebną, ale i w rozprawach, bo Pitt dla srogiego napadu podagry, nie mógł wychodzić z pokoju. Przyjaciele jego chcieli odłożyć rozprawy nad pokojem aż do jego wyzdrowienia, ale wniosek ich odrzucono. Nadszedł wielki dzień; spory ciągnęły się już od jakiegoś czasu, kiedy naraz na dziedzińcu pałacowym głośne rozległo się hurra; hałas ten zbliżał się coraz bardziej, po schodach, do przedsionka, nareszcie drzwi się otwarły, a w pośrodku tłumu ludzi i zgiełku okrzyków ukazał się Pitt, niesiony na rękach swoich służących. Twarz jego tak była wychudła, że wyglądał jak cień, nogi i ręce pozawijane miał we flaneli, a w ręku trzymał kulę. Postawiono go z noszami na ziemi koło kraty, przyjaciele obstąpili go natychmiast, i z ich pomocą zawlókł się do swojego miejsca przy stole. W takim stanie mówił przeciwko pokojowi przez półczwartej godziny — nieraz musiał przerywać i trzeźwić się kordyałami; łatwo pojąć, że jego głos był cichy, akcya bez życia, a mowa sama, choć tu i owdzie świetna i porywająca,

była słabą w porównaniu z arcydziełami jego krasomowstwa. Ale ci, którzy pamiętali, co on uczynił i którzy widzieli jak cierpiał, słuchali go z przejęciem, jakiego żadna w świecie wymowa wywołaćby nie mogła. Głosowania nie mógł się już doczekać, i musiano go wynieść z Izby wśród okrzyków tak głośnych jak te, które zapowiedziały jego przybycie.

Znaczna większość zatwierdziła pokój, a radość dworu nie znała granic. »Teraz mój syn jest na prawdę królem«, zawołała księżna Matka, a młody monarcha mówił o sobie, jakoby wyzwolonym był z więzów, któremi dziada jego krępowano. Umysł jego, jak głoszono, co do jednej rzeczy niezmiennie był postanowiony, to jest, że magnaci Whigowie, którzy trzymali w niewoli jego poprzedników i jego samego w niewolę podbić chcieli, nigdy i pod żadnym warunkiem nie mieli wrócić do władzy.

Ta atoli przechwalka była przedwczesna. Rzeczywista siła zausznika nie dorównywała bynajmniej liczbie głosów, które przy jednem szczególnem głosowaniu pozyskać był zdołał. Niebawem wpadł on znowu w kłopoty. Najważniejszą pozycyą w jego budżecie był podatek od jabłecznika; a w tym punkcie spotkał się z oporem nietylko tych, którzy zawsze przeciwni byli jego administracyi, ale nawet swoich własnych zwolenników. Imię akcyzy zawsze było w nienawiści u Torysów; jedną z największych w ich oczach zbrodni Walpola, było uprzedzenie jego do tego sposobu podnoszenia pieniędzy. Torys Johnson dał w słowniku swoim tak szyderską definicyą akcyzy, że komisarze akcyzowi naprawdę myśleli o wydaniu mu procesu. Nowy zaś podatek spaść miał głównie na te właśnie hrabstwa, w których najwięcej było Torysów. Chełpił się przecież John Philips, wieszcz angielskiego winobrania, że kraj jabłecznika wiernym był zawsze tronowi, i że wszystkie motyki z jego niezliczonych sadów przekuły się na miecze w obronie nieszczęśliwych Stuartów. Bute finansowym swoim pomysłem sprowadził zgodę pomiędzy właścicielami i dzierżawcami z kraju jabłecznika, i pomiędzy Whigami stolicy.

Hrabstwa Hereford i Worcester, omal że się nie zbuntowały. Londyn, choć nie tak bezpośrednio dotknięty, był prawie jeszcze bardziej oburzony. Rozprawy w tym przedmiocie zadały Rządowi szkodę niepowetowaną. Dashwood'a sprawozdanie ze stanu funduszów było niepojęcie zawikłane i niedorzeczne, i przyjęte przez Izbę niepomiarkowanym śmiechem. Miał on dość rozumu, żeby się poznać na niezdatności swojej do tak wysokiego stanowiska i zawołał w komicznej rozpaczy: »Cóż ja poczne? Uliczniki będą mnie wytykać palcami i wołać: Oto idzie najgorszy kanclerz Skarbu, jaki był kiedykolwiek.« Jerzy Grenville przyszedł mu na pomoc i mówił ostro o ulubionym swoim przedmiocie, to jest o marnotrawstwie w prowadzeniu ostatniej wojny. Marnotrawstwo to, mówił, uczyniło dzisiejszy podatek koniecznym; pytał się posłów siedzących na prost niego, na co byliby nałożyli podatki, i rozwodził się w tej materyi ze zwykłą sobie rozwlekłością. »Proszę mi powiedzieć na co?« powtarzał jednostajnym i cierpkim tonem, »proszę, niech mi powiedzą, na co? Powtarzam to, mam prawo zapytać ich, na co?« Na jego nieszczęście przyszedł tej nocy Pitt do Izby, uwagi nad wojną dotknęły go boleśnie; zemścił się więc w ten sposób, że takim samym tonem jak Grenville mruknął wiersz ze znanej piosneczki: »Miły pasterzu powiedz mi na co [1])?« »Jeżeli tak, zawołał Grenville, mają się tu obchodzić z ludźmi ...« a Pitt, jak zawsze robił, kiedy chciał wyrazić największą pogardę, wstał pomału, ukłonił się i wyszedł z Izby, zostawiając swego szwagra pękającego ze złości, a wszystkich innych pękających ze śmiechu. Wiele czasu przeszło, zanim Grenville stracił przydomek miłego Pasterza.

Większe jeszcze przykrości miało Ministeryum do zniesienia. Nienawiść Torysów i Szkotów do Foxa była nieubłagana. W chwili wielkiego niebezpieczeństwa poddali się oni

[1]) *Gentle Shepherel tell mi where.* Zmienione w tłomaczeniu dlatego, że w polskiem, mówiąc o nakładaniu podatków, nie można powiedzieć gdzie? ale na co?

pod jego kierunek, ale wstręt ich wybuchnął na nowo, jak tylko to niebezpieczeństwo mijać zaczęło. Niektórzy z nich napastowali go o sprawozdanie i rachunki z Płatnictwa; inni przerywali mu mowę śmiechami i szyderczemi żartami. Rzecz prosta, że chciał wysunąć się z tak niemiłego położenia i poprosił o parostwo, które mu obiecano dawniej w nagrodę za jego usługi.

Pokazało się jasno, że w składzie Gabinetu musiała koniecznie zajść jakaś zmiana. Ale nikt może z tych nawet, którzy z położenia swego o wszystkich tajemnicach Rządu wiedzieć byli powinni, nie domyślał się tego, co rzeczywiście nastąpiło. Na zdumienie Parlamentu i narodu gruchnęła nagle wieść, że Bute podał się do dymisyi.

Krok ten szczególny tłomaczono sobie na dwadzieścia różnych sposobów. Jedni przypisywali go statecznie powziętemu zamiarowi, inni nagłej panice; jedni mówili, że pamflety spędziły ministra z pola, inni, że przyjął on urząd na to tylko, żeby zakończyć wojnę, a że od początku miał zamiar usunąć się, skoroby raz celu swego dopiął. On sam, głośno podawał złe zdrowie za powód swego ustąpienia, a pocichu skarżył się, że jego koledzy nie dawali mu szczerego poparcia, a zwłaszcza Lord Mansfield, którego on sam wprowadził był do Gabinetu. Mansfield był istotnie zbyt przenikliwym, żeby miał nie pojąć wszystkich niebezpieczeństw położenia, a zbyt bojaźliwym, żeby miał rzucać się w te niebezpieczeństwa dla miłości drugiego. Zdaje się jednak podług wszelkiego prawdopodobieństwa, że Bute postąpił pod wpływem najrozmaitszych względów i powodów. Podejrzywamy, że dość miał urzędu, bo uczucie to daleko jest częstszem u ministrów, niż wydaje się ludziom, którzy zdaleka tylko przypatrują się publicznemu życiu; nic zaś naturalniejszego, jak żeby uczucie to owładło takim właśnie umysłem, jak Bute. Zazwyczaj mąż stanu wychodzi na wierzch stopniowo i pomału; wiele lat pracy i mozołu przejść musi, zanim dosięgnie najwyższego szczytu wielkości. W pierwszej połowie zawodu wabi go zawsze wyżej to, co widzi nad

sobą; w miarę jak wychodzi do góry, przyzwyczaja się do udręczeń nieodłącznych od ambicyi i władzy, a zanim dostał się na sam szczyt, już stał się cierpliwym na mozoły, a na szkalowanie zahartowanym, i zostaje wiernym swojemu powołaniu naprzód z nadziei, a później z nałogu. Ale Bute był w innem zupełnie położeniu. Cały jego zawód publiczny trwał mało co więcej nad dwa lata; tego samego dnia, kiedy został politykiem, został i ministrem; w kilku miesiącach stał się głową Rządu, nie z imienia tylko ale z rzeczy; większym jak był, zostać już nie mógł; jeżeli miał próżność i umysł niespokojny, to nie zostało mu już żadnej ułudy, któraby go dalej wabiła; rozkoszami ambicyi przesycił się, zanim jeszcze zakosztował jej goryczy; a przeszłe jego życie nie było takie, któreby wzmocnić mogło jego umysł przeciw potwarzy i nienawiści powszechnej. Przeżył on lat czterdzieści i ośm w spokoju i wśród wszelkich zewnętrznych oznak uszanowania, nie wiedząc bynajmniej z doświadczenia, co to jest być spotwarzonym i wyśmianym. Aż tu naraz, bez żadnego poprzedniego przygotowania, znalazł się wystawionym na taką burzę zarzutów, jaka nigdy jeszcze nie zerwała się nad głową żadnego męża stanu. Dochody jego stanowiska były mu niczem, bo właśnie odziedziczył był książęcy majątek przez śmierć swego teścia; wszystkie godności, jakich tylko mógł dostąpić, już posiadał; dostał był order Podwiązki dla siebie a Parostwo angielskie dla syna, a prócz tego wszystkiego, mniemał jeszcze, jak się zdaje, że porzucając Podskarbstwo, uniknie szkalowań i niebezpieczeństw, bez istotnego zrzeczenia się władzy, i że prywatnie zdoła zawsze wpływ taki sam wywierać na umysł królewski.

Jakiekolwiek zresztą mogły być powody, usunął się przecież; w tym samym czasie schronił się Fox do Izby Lordów, a Jerzy Grenville został wielkim Podskarbim i kanclerzem skarbu.

Sądzimy, że ci, którzy układ ten przeprowadzili, chcieli mieć Grenvilla niczem więcej, jak lalką w ręku hrabiego Bute, bo ci nawet, którzy znali Grenvilla oddawna, znali go bardzo

niedokładnie. Uchodził on poprostu za móla urzędowego, i posiadał całą pilność, całą drobiazgową dokładność, całą nudną formalność, jaka do charakteru tego należy. Ale miał oprócz tego inne jeszcze własności, które dotychczas nie miały pola pokazać się, to jest pożerającą ambicyę, nieustraszoną odwagę, ufność w siebie dochodzącą do zarozumiałości, i usposobienie nie znoszące żadnego oporu. Nie myślał on wcale być niczyjem narzędziem, a dla poprzednika swojego nie miał najmniejszej, osobistej ani politycznej przyjaźni. Nie miał on z nim nic wspólnego, prócz silnego pociągu do ostrych środków i niepopularnego kierunku polityki. Zasady ich były wprost przeciwne. Bute był Torysem; Grenville byłby się gniewał na każdego, ktoby mu zaprzeczył prawa do tytułu Whiga. Do ucisku był on pochopniejszym jak Bute, ale lubił samowładztwo ukryte pod formami konstytucyjnej wolności. Mieszał on, podług dość pospolitego zwyczaju, teorye Republikanów z XVII wieku z technicznemi zasadami angielskiego prawa, i zdołał tym sposobem połączyć anarchiczne axiomata z despotyzmem w praktyce. Głos ludu był mu głosem Boga, ale jedynym prawnym i uprawnionym organem tego głosu był Parlament. Żaden Oxfordzki teolog nie żądał nigdy, nawet w pierwszych latach po Rewolucyi, tak uniżonego, tak ślepego posłuszeństwa dla króla, jak żądał Grenville dla Parlamentu na podstawie tego, co mu się zdawało najczystszemi zasadami Whigów. A tak samo jak nad narodem, tak samo chciał, żeby Parlament miał nieograniczoną władzę nad dworem. W jego wyobrażeniu, pierwszy minister, posiadający zaufanie Izby Gmin, powinien był być niczem mniej, jak Merem Pałacowym; król zaś miał być podług niego niczem więcej, jak tylko prostym Chilperykiem lub Childerykiem, który powinien mieć się za szczęśliwego, że mu wolno używać tak pięknych mieszkań jak St. James's, i tak pięknych parków jak Windsorski.

Tak więc wyobrażenia Grenvilla były wprost przeciwne wyobrażeniom hrabiego Bute, a nie było między nimi żadnej osobistej przyjaźni. Grenville nie umiał przebaczać, a pamiętał

doskonale, jak przed kilkoma miesiącami musiał złożyć w ręce Foxa kierownictwo Izby.

Wszystko razem wziąwszy, gotowibyśmy powiedzieć, że administracya Grenvilla była najgorsza ze wszystkich, jakie od czasu Rewolucyi rządziły Anglią. Jego czynności publiczne dadzą się podzielić na dwie gruppy — w jednej same zniewagi wolności narodu — w drugiej zniewagi przeciw godności korony.

Zaczął on do prześladowania prasy; a wybranym celem tego prześladowania był John Wilkes, członek Parlamentu z Aylesbury. Aż do ostatnich czasów znanym był Wilkes jako jeden z najwyuzdańszych, najswawolniejszych i najmilszych rozpustników z całego miasta; miał on smak wykształcony, wiele wiadomości i obejście ujmujące. Świetną jego rozmową zachwycały się wszystkie tawerny, a smakowali w niej nawet poważni słuchacze, ilekroć Wilkes uważał dość na siebie, by powstrzymać się od opowiadania o swoich miłostkach, lub od strojenia żartów z nowego Parlamentu. Kosztowna rozpusta zmusiła go niebawem uciec się do żydów, wskutku czego zrujnował się do reszty i postanowił popróbować szczęścia jako awanturnik polityczny. W Parlamencie nie miał powodzenia. Jego wymowa, choć dziwnie zuchwała, była słaba, i nie zajmowała dość słuchaczów, żeby ci zapomnieć mogli o twarzy mowcy, która była tak szkaradna, że karykatury pomimo woli pochlebiać mu musiały. Więcej atoli wskórał jako pisarz. Założył tygodnik pod tytułem *The North Briton*, które to pismo dość dowcipne, a bardzo zuchwałe i bezczelne, wielu miało czytelników. Kiedy Bute występował z Ministeryum, wyszło było czterdzieści i cztery numerów Tygodnika, a choć w żadnym nie obeszło się bez uszczypliwych paszkwilów, nie wytoczono przeciw niemu żadnego oskarżenia ani procesu. Numer czterdziesty piąty był bardzo niewinny w porównaniu z większością poprzedzających, i nie zawierał nic tak silnego, jak to, co dziś czytać można codziennie we wstępnych artykułach *Timesa* lub *Morning Chronicle*. Ale teraz stał Grenville na

czele rządu, i nowym duchem natchnął całą administracyę. Władza miała być szanowaną, nikt nie miał bezkarnie drwić i żartować z rządu. Skutkiem tego Wilkes uwięziony na rozkaz nie wymieniający jego przestępstwa, zaprowadzony został do Wieży, i zamknięty z niezwykłemi obostrzeniami surowości. Papiery jego zabrane oddano sekretarzowi Stanu. Kroki te nieprawne i surowe wywołały powszechny wybuch wściekłości, który zamienił się niebawem w tryumf i wesele. Sąd zwyczajny pod prezydencyą Najwyższego Sędzi Pratt, uznał uwięzienie za nieprawne i uwolnił więźnia. Zwycięztwo to nad Rządem obchodzono z największym zapałem, tak w Londynie jak i w okolicach Jabłecznika.

Ministrowie z każdym dniem bardziej znienawidzeni od narodu, pracowali także jaknajusilniej na nienawiść dworu. Dali oni do zrozumienia królowi w wyrazach jasnych i stanowczych, że nie myśleli bynajmniej być narzędziami Lorda Bute; i wymogli przyrzeczenie, że żaden tajemny doradzca nie będzie miał przystępu do ucha królewskiego. Niebawem znaleźli powód do podejrzenia, że król obietnicy tej nie dotrzymał; zrobili mu zatem uwagi w wyrazach tak ostrych, jakich nigdy w życiu nie słyszał, i dali mu dwa tygodnie do namysłu, coby wolał, Gabinet, czy zausznika.

Jerzy III był wielce zakłopotany. Przed kilkoma zaledwo tygodniami radował się był z wyzwolenia swego z pod jarzma whigoskiego związku, oświadczył, że honor nie pozwoli mu nigdy powołać członków tego związku do służby, a teraz przekonał się, że zamienił tylko jednych Panów na drugich, i to o wiele przykrzejszych i więcej wymagających. W rozpaczy przypomniał sobie Pitta; od niego mógłby może, jak sądził, otrzymać warunki lepsze, niż od Grenvilla, lub od tego związku Whigów, którego głową był Newcastle. Jednego razu, powracając z wycieczki na wieś, udał się Grenville do Pałacu Buckingham. U wchodu zdumiał się na widok lektyki, której kształt szczególny znany był dobrze jemu i całemu miastu. Odznaczała się ona przestronnem przedłużeniem zrobionem

na to, żeby wielki Commoner mógł wygodnie wyciągnąć swoją cierpiącą nogę. Grenville domyślił się wszystkiego; szwagier jego był z królem zamknięty w Gabinecie. Bute rozgniewany tem, co nazywał zawistnem i niewdzięcznem postępowaniem swoich następców, sam poddał królowi myśl wezwania Pitta do pałacu.

Miał Pitt u króla dwa posłuchania w dwóch dniach po sobie następujących. To, co zaszło na pierwszem, dawało mu nadzieję, że się rzecz da doprowadzić do szczęśliwego końca, ale nazajutrz rano król okazał się mniej skłonnym do ustępstw. Najlepsze, a raczej jedyne wiarygodne sprawozdanie z tej rozmowy jest to, które Lord Hardwicke słyszał z własnych ust Pitta. Zdaje się z niego, że Pitt musiał przedstawiać potrzebę przejednania tych naczelników stronnictwa Whigów, którzy mieli nieszczęście popaść w niełaskę króla; mówił, że byli oni zawsze najwierniejszymi stronnikami Hanowerskiego domu; że potęgę mieli wielką, a przez długą wprawę nabrali biegłości w sprawach, jeżeliby oni zostać mieli pod wyrokiem wykluczenia, żaden rząd stały złożyćby się nie dał. Jego królewska Mość nie mogła znieść myśli oddania się na nowo w ręce tych, których tylko co wygnała ze swego dworu ze wszystkiemi oznakami gniewu. »Bardzo żałuję, rzekł król, »ale widzę, że się to nie uda. Tu chodzi o mój honor; muszę bronić mojego honoru.« Zobaczymy zaraz, jak powiodła się królowi ta obrona jego honoru.

Pitt się usunął, a królowi nie pozostało nic, jak prosić tych ministrów, których już miał wysadzić, żeby pozostali na urzędach. Przez dwa następne lata Grenville sprzymierzony ściśle z Bedfordami, był samowładnym panem dworu, a okazał się bardzo twardym Panem. Wiedział on dobrze, że dlatego tylko trzymał go król przy władzy, że miał wybór tylko pomiędzy nim a Whigami. I zdawało mu się niepodobnem, żeby król mógł kiedykolwiek Whigom przebaczyć. Świeży zamach na pozbycie się go poruszył całą jego żółć, a smutny zamachu tego skutek wyzwolił go od wszelkiej obawy. Nigdy

zbyt grzeczny, zaczął teraz przemawiać językiem, jakiego żaden król angielski nie był zmuszonym słuchać od czasów Podoficera Joyce i Prezydenta Bradshawe [1]).

W jednym tylko względzie zaiste, czynił Grenville zadość namiętności dworu, czyniąc zadość zarazem swojej własnej, kosztem wolności i sprawiedliwości. Wilkes napisał był parodyą Popego Rozprawy o człowieku, pod tytułem *Rozprawa o kobiecie*, i dodał do niej przypiski, które były znowu parodyą sławnego komentarza Warburtona [2]), a minister całą siłą pchał i popierał jego oskarżenie i proces.

Pismo to było niesłychanie wyuzdane, ale nie więcej, sądzimy, jak własne niektóre utwory Popego, jak naśladowanie Drugiej w pierwszej księdze satyry Horacego, a co więcej, Wilkes nie wydał jak Pope tego swego utworu na widok publiczny. Odbił on tylko w prywatnej jakiejś drukarni bardzo ograniczoną liczbę exemplarzy dla swoich towarzyszów wesołego życia, których moralności nieobyczajna książka tak samo nie mogła nadwerężyć, jak słońce nie może opalić murzyna. Jakaś kreatura rządowa dostała w ręce jeden exemplarz przekupiwszy drukarza, i zaniosła tę lichotę do ministrów. Ministrowie postanowili wystąpić z całą surowością prawa przeciw tej obrazie obyczajności i decorum; jaki zaś wpływ na to postanowienie miała pobożność i uszanowanie moralności, może czytelnik poznać z tego, że tym, który najgorliwiej domagał się kary na rozwiozłego poetę, był Lord March, późniejszy książę Queensberry. Pierwszego zaraz dnia po zebraniu Parlamentu, książka otrzymana tym brzydkim sposobem złożoną została na stole Lordów przez Hrabiego Sandwich, którego wpływ księcia Bedford zrobił był sekretarzem Stanu. Nieszczęśliwy poeta nie domyślał się nawet, że ktokolwiek oprócz drukarza i przyjaciół mógł widzieć utwór jego nieobyczajny,

[1]) Więzienie i proces Karola I.

[2]) Warburton, ur. 1698, um. 1779 r., kapelan nadworny, biskup z Glocester, autor wielu dzieł teologicznej treści.

dopóki utworu tego nie wydobyto na jaw przed całym Parlamentem, a jakkolwiek był człowiekiem zgodnego i łagodnego umysłu, jakkolwiek niebezpieczeństwa nie obawiał się wcale a dla wstydu mało był przystępnym, przecież podziwienie, wstyd i widok zupełnego upadku w przyszłości sprawiły, że stracił głowę; wyszukał sobie jakiś powód do zwady z jednym z podwładnych Lorda Bute, bił się z nim w pojedynku, a potem ciężko ranny i napół ledwo wyleczony, uciekł do Francyi. Nieprzyjaciele jego mogli teraz robić, co chcieli, tak w Parlamencie jak w sądzie; i został też skazanym, wykluczonym z Izby Gmin i wyjętym z pod prawa. Dzieła jego miały być spalone przez kata; publiczność jednak pozostała mu wierną. W oczach wielu najmoralniejszych i najpobożniejszych ludzi, występek jego był lekki w porównaniu z tem co zrobili jego oskarżyciele, zwłaszcza też postępowanie Sandwicha wywołało oburzenie powszechne. Wady jego były aż nadto głośne; na dwa tygodnie przedtem, nim oskarżył w Izbie Lordów *Roscommona* o *prawę o kobiecie*, pił on i śpiewał rozpustne strofki razem z tym, którego oskarżył, w jednym z najmniej obyczajnych klubów Londynu. Wkrótce po zebraniu Parlamentu dawano w teatrze Covent Garden operę *Beggar* (Żebrak); a kiedy Macheath wymówił słowa »że mnie zdał Jemmy Twitcher, to przyznaję, dziwi mnie nie mało« powstał taki krzyk na parterze, na galeryach i po lożach, że zdawało się, że się dach zawali. Od tego czasu dostał Sandwich przydomek Jemmy Twitcher. Przy ceremonii spalenia tygodnika *North Briton* zaszła burda, konstablów wybito, dziennik odebrano, a spalono natomiast but i spódnicę. Wilkes wytoczył Podsekretarzowi Stanu proces o zabranie papierów, a przysięgli przyznali mu tysiąc funtów tytułem wynagrodzenia. Ale Grenville nie dbał ani na to, ani na żadne inne oznaki usposobienia narodu; miał za sobą Parlament, a podług jego politycznej wiary, z Parlamentu tylko sądzić należało o myśli i uczuciach narodu.

Niebawem jednak musiał się obawiać, żeby mu i Parlament nie chybił. W sporze o prawność ogólnych rozkazów

uwięzienia bez wyrażenia domniemanego przestępstwa, opozycya mając za sobą wszystkie słuszne zasady, wszystkie konstytucyjne powagi i głos całego narodu, wystąpiła z ogromną siłą i znalazła poparcie wielu posłów, którzy zazwyczaj nie głosowali przeciw rządowi. Przy jednej sposobności, w obecności wszystkich niemal członków, Ministeryum otrzymało większość czternastu tylko głosów. Burza ta przeszła jednakowoż; nie wiedzieć z jakich powodów zaczął duch opozycyi upadać w chwili, kiedy zwycięztwo zdawało się prawie pewnem, i sesya skończyła się bez zmiany gabinetu. Pitt, którego wymowa zajaśniała znowu we wszystkich ważniejszych przedmiotach i którego popularność większa była niż kiedykolwiek, był zawsze tylko prywatnym człowiekiem; a Grenville, znienawidzony zarówno od narodu i od dworu, był zawsze jeszcze ministrem.

Zaledwo rozeszły się Izby, kiedy Grenville zrobił krok dowodzący lepiej od wszystkich dotychczasowych samowolności, cierpkości i nieugiętości jego umysłu. W liczbie posłów, którzy zwykle nie opierali się Rządowi, a w sprawie wielkiej konstytucyjnej zasady ogólowych rozkazów uwięzienia, głosowali z mniejszością, był Henryk Conway brat hrabiego Hertford, dzielny żołnierz, niezły mowca, polityk dobrze myślący choć nie bardzo bystry i głęboki. Otóż temu odebrano teraz pułk, zasłużoną nagrodę walecznej służby w dwóch wojnach; a mówiono za rzecz pewną, że król należał całem sercem do tego niegodnego postępku.

Ale jakkolwiek proces Wilkesa i dymisya Conwaya mogła być wielką dla króla pociechą, pewnem jest przecież, że nienawiść jego do ministrów z każdym dniem się wzmagała. Grenville oszczędzał pieniędzy publicznych tak samo jak swoich własnych, i kwaśno odmówił żądaniu króla, żeby wydać kilka tysięcy funtów na zakupno jakichś wolnych placów i przyłączenia ich do ogrodów pałacu Buckingham. W skutku tego place te niebawem pokryły się domami, a król i królowa nie mogli kroku postawić u siebie, żeby ich nie widziano z wyż-

szych piętr kilkudziesięciu sąsiednich domów. I nie na tem koniec. Grenville jak na gwinee był skąpym, tak rozrzutnym był na słowa. Zamiast wytłomaczyć się w sposób prosty, jasny i zajmujący, jedyny, jaki mógł trafić do przekonania człowieka młodego i nie nawykłego do spraw, mówił on w gabinecie królewskim tak samo, jak mawiał w Izbie Gmin. Gadał przez dwie godziny, patrzał potem na zegarek, zupełnie tak jak spoglądał w Izbie na zegar naprost krzesła Prezydenta, przepraszał za długość swej mowy, i gadał dalej przez trzecią jeszcze godzinę. W Izbie Gmin mogą posłowie kaszlem ściągnąć mowcę z trybuny, albo mogą rozejść się na obiad, i korzystali z tych przywilejów, ile razy Grenville głos zabierał. Ale nieszczęśliwy młody król musiał znosić tę wymowę z rozpaczliwą uprzejmością; toteż do końca życia zwykł był wspominać ze zgrozą oracye Grenvilla.

Około tego czasu zaszło jedno z najdziwniejszych zdarzeń w życiu Pitta. Był niejaki Sir William Pynsent, baronet z hrabstwa Somerset, przywiązany wielce do polityki Whigów, który kiedyś za królowej Anny bywał członkiem Izby, a zamknął się w wiejskiem ustroniu, odkąd Torysowie pod koniec jej panowania wzięli przewagę w jej rządzie. Obyczaje jego były dziwaczne; moralności zarzucano rzeczy bardzo sprosne, ale wierność politycznym zasadom była u niego niewzruszona. Przez pięćdziesiąt lat samotności nic nie robił innego, tylko przeżuwał okoliczności, które mu zawód publiczny zamknęły, to jest ustąpienie Whigów z Gabinetu, pokój utrechtski, i zdradę naszych sprzymierzeńców. Teraz wydało mu się, że widzi zupełne podobieństwo między pamiętnemi wypadkami z czasów młodości i temi, których był świadkiem obecnie, jako zgrzybiały starzec; między niełaską księcia Marlborough i niełaską Pitta, między wyniesieniem Harleya i wyniesieniem Lorda Bute, między układami pokojowemi temi, które prowadził St. John i temi, które dziś prowadził Bedford, między krzywdami domu austryackiego w roku 1712 i krzywdami domu Brandenburgskiego w r. 1762. Przywidzenie to tak owładło umysł starca,

że postanowił zapisać cały majątek Pittowi; tym sposobem przyszedł Pitt niespodzianie do trzech blisko tysięcy funtów rocznego dochodu; a największa nawet złośliwość nieprzyjaciół nie mogła nic zapisowi temu zarzucić; nikt nie mógł powiedzieć, żeby Pitt był polował na spadki, nikt nie mógł powiedzieć, że bierze to, do czego kto inny większe miał prawo, bo Pitt nigdy w życiu nie widział Sir Williama Pynsent, a ten nie zostawił ani jednego krewnego tak blizkiego, żeby mógł był rościć sobie prawa do jego majątku.

Szczęście zdawało się zawsze uśmiechać do Pitta, ale zdrowie jego było w najgorszym stanie. Nie mogliśmy znaleźć, żeby przez cały ciąg sesyi rozpoczętej w Styczniu 1765, był choć raz pokazał się w Parlamencie. Siedział on kilka miesięcy w zupełnem odosobnieniu w ulubionej swej willi w Hayes, przechodząc zaledwo z łóżka na krzesło i z krzesła na łóżko, i używając często żony za podręcznego sekretarza do najpoufniejszych korespondencyj. Obmowcy jego podszeptywali nieraz, że powodem tej niewidzialności było tyle przynajmniej udawanie i przesada, ile podagra, i rzeczywiście, charakter jego, choć tak wzniosły i świetny, nie miał prostoty. Z gieniuszem, który nie potrzebował pomocy teatralnych efektów, z wzniosłym umysłem, który powinien był uważać je za niegodne siebie, zwykł był przecież Pitt przez całe życie szukać tych efektów. Posądzano go więc teraz, że dosięgłszy najwyższej powagi, jaką dać może wymowa i wielkie usługi publiczne, postanowił jak najrzadziej ukazywać się publicznie, żeby nie spowszednieć, ale pod pozorem złego zdrowia, otoczyć się tajemnicą, ukazywać się rzadko i w najważniejszych tylko wypadkach, a zresztą powierzać wyrocznie swoje małej liczbie uprzywilejowanych adeptów, którym wolno było pielgrzymować do jego przybytku. Jeżeli taki był jego zamiar, to na czas jakiś dopiął go zupełnie. Urok jego imienia nigdy nie był tak potężnym, nigdy naród nie patrzał na niego z czcią tak zabobonną, jak przez ten rok samotności i milczenia.

Podczas gdy Pitt trzymał się tak zdala od Parlamentu, Grenville wniósł uchwałę, której przeznaczeniem było sprowadzić Rewolucyę, której skutki cały ród ludzki długo jeszcze czuć będzie. Mówimy o zamiarze nałożenia podatku stemplowego na północno-amerykańskie kolonie. Plan ten cechował wybornie swego autora; każdy rys ojca odbił się w dziecku. Polityk nieśmiały byłby się wzdrygnął przed krokiem, o którym Walpole mawiał w czasach, kiedy kolonie były jeszcze daleko mniej potężne »kto się na to odważy, będzie śmielszym odemnie.« Ale Grenville nie znał trwogi. Polityk rozumny i głęboki byłby zrozumiał, że nakładać w Westminster podatki na Nowy York i Nową Anglią, była to rzecz przeciwna, nie literze Statutu lub praw zawartych w sprawozdaniach z posiedzeń Izby, ale zasadom dobrego Rządu i duchowi konstytucyi. Polityk rozumny i głęboki byłby zrozumiał, że gdyby przychód ze stempla był dziesięć razy większy niż miał być w istocie, byłby on jeszcze za drogo okupionym zwadą, choćby tylko przemijającą, między krajem a koloniami. Ale Grenville nie uznawał ducha konstytucyi różnego od litery Prawa, ani innej korzyści narodu prócz tej, która da się obrachować na funty, szylingi i pensy. Że z jego polityki wyniknąć mogło oburzenie we wszystkich prowincyach, od Wielkich Jezior aż do Meksykańskiej zatoki, że Francya i Hiszpania mogły pochwycić tę sposobność odwetu, że państwo mogło być narażone na utratę najważniejszych posiadłości, że dług, ten dług, którego wysokość bez końca wyrzucał Pittowi, mógł w skutku jego własnej polityki urość w dwójnasób, to wszystko były względy, których nie pojmował ten umysł cierpki i siasny.

Prawo stemplowe pamiętnem zostanie, jak długo istnieć będzie kula ziemska, ale w owym czasie zwracało ono daleko mniej uwagę publiczności jak inne prawo, dziś zupełnie niemal zapomniane. Król zachorował, a życie jego zdawało się w niebezpieczeństwie. Choroba jego, jak sądzimy, była ta sama, która następnie po razy kilka nie dozwalała mu pełnić obowiązków królewskich. Domniemany następca tronu miał zaledwo

dwa lata; było zatem rzeczą bardzo właściwą postanowić coś względem sprawowania Rządu na przypadek małoletności. Rozprawy w tym przedmiocie doprowadziły sprzeczkę między dworem a ministrami do stanowczego przesilenia. Król żądał dla siebie prawa mianowania Rejenta podług swojej woli. Ministrowie bali się, lub udawali obawę, aby król, skoroby mu prawo to nadano, nie mianował księżnej Matki, lub co gorzej, hrabiego Bute. W skutku tego umieścili w ustawie kilka wyrazów ograniczających wybór króla do samych tylko członków jego rodziny; a wykluczywszy w ten sposób Lorda Bute, nalegali na króla, aby dał im jeszcze wykluczyć księżnę wdowę, w sposób niewyraźny niby, ale bardzo widoczny. Zaręczali mu, że Izba Gmin wykreśli niezawodnie jej imię, i tą groźbą wymogli niechętne jego przyzwolenie. Pokazało się jednak niebawem, że powody dla których zmusili króla do zadania matce tej ciężkiej publicznej zniewagi były nieuzasadnione. Przyjaciele księżnej w Izbie Gmin wnieśli, aby imię jej umieścić na liście, a ministrowie nie mogli powstawać otwarcie przeciw matce króla któremu służyli. Spodziewali się, że opozycya przyjdzie im na pomoc i zada im gwałt, któremuby chętnie byli ustąpili. Ale większość opozycyi, jakkolwiek nienawidziła księżnej, nienawidziła jeszcze bardziej Grenvilla, z rozkoszą patrzyła na jego zakłopotanie, i nic nie chciała zrobić żeby go wywikłać; i w skutku tego imię księżnej umieszczonem zostało na liście osób, zdolnych według prawa do sprawowania Rejencyi.

Rozżalenie króla doszło teraz do najwyższego stopnia. Złe obecne zdawało mu się bardziej nieznośnem, jak wszelkie inne. Sama nawet junta Whigów Magnatów nie mogła obejść się z nim gorzej, jak obecni jego ministrowie. W żalu swoim wywnętrzył się zupełnie przed swoim stryjem księciem Cumberland. Książę nie był człowiekiem, któregoby można było kochać, ale był takim, któremu można było najzupełniej zaufać. Miał on nieustraszonego ducha, rozum niepospolity i wielkie poczucie obowiązku i honoru. Jako jenerał należał on do osobnej

klasy wojowników, do wojowników, których było przeznaczeniem wszystkie bitwy przegrywać, a uchodzić za dzielnych i dobrych dowódców. Takim wojownikiem był Coligny i Wilhelm Trzeci, a moglibyśmy może położyć jeszcze marszałka Soult na tej liście. Męztwo księcia Cumberland było tego rodzaju, że jaśniał on niem nawet między walecznymi książętami swojego domu. Obojętność, z jaką przejeżdżał się na koniu wśród gradu kul armatnich i karabinowych, nie była jeszcze największym dowodem jego odwagi. Choroby nie do uleczenia, straszliwe operacye chirurgiczne, nietylko że go nie rozstrajały, ale nie robiły nawet najmniejszego nań wrażenia. Z odwagą łączył on pokrewne odwadze przymioty; mówił zawsze prawdę, w przyjaźni jak w nieprzyjaźni był zawsze otwartym i szczerym, a we wszystkich postępkach zacnym i uczciwym. Ale serce miał nieco twarde, i to, co mu się sprawiedliwością zdawało, rzadko kiedy złagodzone bywało litością. Był też dlatego przez długi czas najniepopularniejszym w Anglii człowiekiem. Srogość obejścia jego z buntownikami po bitwie pod Culloden, przyniosła mu przydomek Rzeźnika. Usiłowania jego, żeby wojsko angielskie, w najnieporządniejszym podówczas stanie, urządzić na wzór surowej karności wojsk pruskich, silniejszą jeszcze wywołały niechęć. Nic nie było tak złego, czegoby on zdaniem publiczności zrobić był nie mógł. Mnóstwo poczciwych dusz wierzyło niedorzecznie, że gdyby on został Rejentem na czas małoletności swoich synowców, zaczęłoby się na nowo duszenie w Londyńskiej wieży. Ale uczucia te uspokoiły się przecież. Książę przeżył lat kilka na ustroniu, a Anglicy rozgniewani teraz na Szkotów, narzekali na księcia, że zostawił jeszcze tylu Cameronów i Macphersonów na to, żeby zostawali urzędnikami celnymi. W skutku tego stał się on teraz ulubieńcem całego kraju, a przedewszystkiem Londynu.

Nie miał on za co bardzo kochać króla; i pokazał w sposób nie natrętny ale bardzo jasny, że nie zgadzał się z najnowszym kierunkiem polityki Rządu. Ale miał wysokie, nieledwie romansowe poczucie obowiązków swoich jako księcia

krwi względem głowy swojego domu. Postanowił zatem wydobyć synowca z pod jarzma, i doprowadzić do skutku pojednanie partyi Whigów z tronem, pod warunkami zaszczytnemi dla stron obudwóch.

W tej myśli pojechał do Hayes; i wpuszczonym został do sypialnego pokoju chorego Pitta, bo Pitt za nic nie byłby wyszedł z tego pokoju, ani mówił z pośrednikiem mniej dostojnym. Zaczął się teraz długi szereg błędów wielkiego męża stanu, błędów, które zaplątały ojczyznę w trudności i nieszczęścia większe od tych, z których ją przedtem gieniusz jego wydobył. Warunki jego były dumne, nierozsądne, trudne nawet do pojęcia. Jedna rzecz, która wyraźnie dojrzeć się dawała w chmurach nieokreślonych i niezbyt uprzejmych frazesów, była ta, że nateraz urzędu przyjąć nie chciał. Rzeczywistą zaś prawdą było, jak mniemamy to, że Lord Temple, który był złym duchem Pitta, ułożył sobie właśnie nowy plan polityki. Nienawiść do księżnej i do Lorda Bute owładnęła zdaje się całym jego umysłem. Poklócił on się ze swoim bratem Jerzym dlatego, że ten związał się był z Lordem Bute i z księżną; teraz zaś, kiedy Grenville wystąpił jako nieprzyjaciel tych obojga, Temple chciałby był sprowadzić wielkie pojednanie familijne. Trzej bracia, jak u publiczności nazywał się zwykle Pitt, Temple i Grenville, mogliby może złożyć ministeryum, bez pomocy czy to Lorda Bute, czy związku Whigów. W takiej myśli odradził Temple Pittowi, aby ten nie przyjmował propozycyi księcia Cumberland. Pitta nie przekonał, ale miał nad umysłem jego taką przewagę, jakiej nikt inny nie miał; byli oni dawnymi przyjaciółmi i bliskimi krewnymi; Temple korzystał nieraz ze sławy i zdolności Pitta, ale za to wspomagał go nieraz kieszenią w czasach gwałtownej potrzeby. W polityce zgadzali się zawsze zupełnie; po dwakroć wchodzili razem do rządu, po dwakroć razem z niego wystąpili. Pitt nie mógł przypuścić przyjęcia teki bez głównego swego sprzymierzeńca; ale czuł przecież, że źle robi, że opuszcza sposobność oddania wielkich usług ojczyźnie. Niejasne i niepojednawcze

jego odpowiedzi na propozycye księcia Cumberland, przypisać należy przykremu zakłopotaniu umysłu w niezgodzie z samym sobą. Jest podanie, że ściągał on do swego szwagra wiersz:

Exstinxi te, meque soror, populumque patresque
Sidonios, urbemque tuam.

Przepowiednia ta sprawdziła się aż nadto.

Skoro Pitt okazał się niewzruszonym, poradził królowi książę Cumberland, aby się poddał konieczności i zatrzymał Grenvilla i Bedfordów. Istotnie nie był to czas, w którymby można bezkarnie zostawiać urzędy nieobsadzone. Chwiejny stan rządu ochwiał także wszystkie wydziały służby publicznej. Meetyngi, które w innych czasach byłyby zupełnie nieszkodliwe, wyradzały się teraz w burdy, a szybko nawet dorastały do godności buntów. Obie Izby Parlamentu oblężone były przez tkaczów ze Spitalfields; Bedford-House, napadnięty ze wszystkich stron przez rozjadły motłoch, musiał ubezpieczyć się silną załogą jazdy i piechoty. Niektórzy przypisywali te rozruchy przyjaciołom Lorda Bute, inni przyjaciołom Wilkesa; ale jakakolwiek mogła być przyczyna, skutkiem było powszechne zaburzenie i niepewność. W takich okolicznościach król nie miał wyboru, z goryczą i upokorzeniem oświadczyć musiał ministrom, że ich zatrzymać postanowił.

Odpowiedzieli mu na to żądaniem królewskiego jego słowa, jako nigdy już nie będzie się radził Lorda Bute. Król dał to słowo. Potem zażądali czegoś więcej. Brat Lorda Bute, pan Mackenzie zajmował korzystną jakąś posadę w Szkocyi — trzeba go było usunąć. Król odpowiedział na to, że posada ta była nadaną w szczególnych okolicznościach; i że przyrzekł nigdy jej nie odbierać, dopókiby żył; ale Grenville się uparł, a król, choć bardzo niechętnie, ustąpił.

Sesya Parlamentu została zamkniętą, a tryumf ministrów był zupełny. Król był takim niemal niewolnikiem, jak Karol I na wyspie Whight. Takie były owoce tej polityki, która jak przed kilkoma miesiącami zapewniał, miała na zawsze zabezpieczyć tron jego od uroszczeń zuchwałych poddanych.

Naturalne bardzo rozżalenie okazywało się w każdem słowie i w każdem spojrzeniu króla. W ostateczności rzucał on znaczące spojrzenie na związek Whigów, niegdyś przedmiot jego wszystkich obaw i nienawiści. Książę Devonshire, z którym król obszedł się był z tak niesprawiedliwą niegrzecznością, umarł niedawno, a syn jego, bardzo jeszcze młody, odziedziczył jego majątek i tytuł. Król raczył oświadczyć, że żałuje tego, co zaszło, i zaprosił młodego księcia do dworu, gdzie też dostojny młodzieniec ukazał się w towarzystwie swoich stryjów, i przyjętym był przez króla z niezwykłą uprzejmością.

Te i inne jeszcze zajścia tego samego rodzaju rozdrażniły ministrów. Chowali oni w zanadrzu jedną jeszcze obelgę dla króla, za którą dziad jego byłby ich nogą za drzwi wyrzucił. Grenville i Bedford zażądali audyencyi i przeczytali królowi długie upomnienie, złożone z wielu kartek, które z wielkiem napisali staraniem. Oskarżali w niem Jego Królewską Mość o złamanie słowa, o nieszczere postępowanie z radcami korony. O księżnie wspomnieli w wyrazach wcale niepochlebnych, i dawali do zrozumienia, że głowa Lorda Bute była w niebezpieczeństwie. Żądali dalej od króla, żeby przestał pokazywać, że mu obecne jego położenie nie dogadza, żeby się krzywił na opozycyą, i żeby przed ludźmi nie wystawiał na sztych swoich ministrów. Król przerywał kilkakrotnie to czytanie, mówiąc, że zaprzestał znosić się z Lordem Bute, ale ministrowie czytali dalej nie zważając na jego zaprzeczenie; a on słuchać musiał do końca w milczeniu, pękając niemal od złości. Kiedy wreszcie skończyli, dał im znak ręką, że chce zostać sam; a później powtarzał nieraz, że myślał, że dostanie apopleksyi.

Doprowadzony do rozpaczy, uciekł się znowu do księcia Cumberland, a książę Cumberland uciekł się znowu do Pitta. Pitt pragnął istotnie objąć kierunek spraw, i przyznał wśród mnogich oświadczeń uszanowania, że nikt nie mógł żądać lepszych warunków, jak te, które król ofiarował. Ale Temple nie dał się wzruszyć, a Pitt z wielkim żalem oświadczył, że bez pomocy swego szwagra nie może podjąć się steru rządów.

Książę Cumberland widział więc teraz jeden tylko sposób wyzwolenia synowca, to jest złożyć rząd z posłów opozycyjnych bez pomocy Pitta. Trudności zdawały się być nie do przezwyciężenia. Śmierć i odstępstwo przerzedziły znacznie szeregi niedawno jeszcze wszechwładnego w kraju stronnictwa. Ci, między którymi książę musiał wybierać, dzielili się na dwie kategorye; jedni byli za starzy do wielkich urzędów, drudzy nigdy dotąd urzędów takich nie sprawowali. Trzeba było złożyć gabinet ze złamanych inwalidów, albo z niewprawnych rekrutów.

Było to wielkie zło, ale nie bez pewnych korzyści. Młodzi Whigowie mało wprawdzie mieli doświadczenia w sprawach i sporach parlamentarnych, ale za to nie byli dotknięci tą zarazą politycznej niemoralności, która toczyła ich poprzedników. Długa pomyślność zepsuła była to wielkie stronnictwo, które wygnało Stuartów, ograniczyło prerogatywy korony, i złamało nietoleracyą Kościoła. Przeciwności wywarły teraz wpływ zbawienny. Z dniem wstąpienia na tron Jerzego III, skończyła się przewaga Whigów, a zaczęło się odrodzenie ich stronictwa. Dowódcy jego, rozpoczynający dziś swój zawód, byli ludźmi innymi zupełnie jak Landys i Winnington, jak Sir William Yonge i Henryk Fox, godni iść obok Hampdena do ataku pod Chalgrove, lub odebrać ostatni uścisk Russella na rusztowaniu. W polityce trzymali się oni tych samych wzniosłych zasad cnoty, które kierowały prywatnem ich życiem, a dla najszlachetniejszych i najzbawienniejszych nawet celów nie byliby się zniżyli do środków niezgodnych z uczciwością i honorem. Do takich ludzi liczył się Lord John Cavendish, Sir George Saville i inni, dla których mamy najwyższą cześć, jako dla drugich założycieli stronnictwa Whigów, jako dla naprawców, którzy po pół wieku poniżenia wlali w to stronnictwo dawne zdrowie i energię.

Naczelnikiem szanownego tego zastępu był Margrabia Rockingham, człowiek ogromnego majątku, trzeźwego umysłu i nieposzlakowanego charakteru. Był on wprawdzie tak niesły-

chanie nerwowym, że do końca życia z przymusem i nieśmiało się podnosił, kiedy mu przyszło przemawiać do Izby Lordów, ale choć mowcą nie był, posiadał przecież w wysokim stopniu niektóre przymioty męża stanu. Przyjaciół swoich umiał dobrze wybierać, a nadewszystko umiał przywiązywać ich do siebie węzłami najzaszczytniejszego rodzaju. Wesołość i wierność, z jaką trwali przy nim w opozycyi przez całe lata bez żadnego prawie widoku zmiany, mniej jeszcze zasługuje na uwielbienie, jak szlachetna delikatność i zapomnienie o sobie, jakie pokazali, skoro przyszedł do władzy.

Zdaje nam się, że na żadnym przykładzie nie można lepiej wykazać, co jest dobre, a co złe z postępowania stronnictw, jak na porównaniu dwóch potężnych związków owego czasu, Rockinghamów i Bedfordów. Stronnictwo Rockinghamów było zdaniem naszem zupełnie takie, jak stronnictwo być powinno. Składało się ono z ludzi połączonych z sobą wspólnemi przekonaniami, wspólnemi w polityce celami i wzajemnym szacunkiem. Przyznawali oni otwarcie, że chcieli dojść do steru Rządu środkami uczciwemi i zgodnemi z konstytucyą; ale statecznie nie chcieli przyjąć władzy pod warunkami niezupełnie zgodnemi z ich zasadami, choć im nieraz ofiarowano zaszczyty i dochody urzędów. Stronnictwo Bedfordów zaś, jako stronnictwo, nie widzimy, aby było miało jakiekolwiek zasady. Rigby i Sandwich chcieli publicznego grosza, a sądzili, że łatwiej go dostaną w spółce, niźli pojedynczo. Dlatego działali łącznie i pociągnęli za sobą człowieka o wiele od nich możniejszego i lepszego.

Do Lorda Rockingham tedy udał się teraz książę Cumberland. Margrabia przyjął Podskarbstwo; Newcastle przez czas tak długi za głowę Whigów uznawany, nie mógł wykluczonym być z Ministeryum, oddano mu więc pieczęć prywatną. Dowdeswell, uczciwy bardzo i rozsądny wiejski obywatel, został kanclerzem Skarbu. Jenerał Conway, który sługiwał niegdyś pod księciem Cumberland i niezmiernie był do niego przywiązany, został Sekretarzem Stanu z kierownictwem Izby

Gmin; drugim zaś Sekretarzem zamianowano dostojnego magnata z partyi Whigów, w pierwszej niemal młodości, ale po którym wiele się podówczas spodziewano, Augusta księcia Grafton. Najstarsi ludzie nie pamiętali Gabinetu tak ubogiego w zdolności krasomówcze i w doświadczenie w sprawach. Mniemano powszechnie, że ministrowie utrzymają się przez czas wakacyj Parlamentu, ale że pierwszy dzień rozpraw w Izbie będzie ostatnim dniem ich władzy. Karol Townshend zapytany, coby myślał o nowym Rządzie, rzekł, że to wszystko fraszki, ładne letnie ubranie, które się na zimę nie przyda.

W takim stanie rzeczy Lord Rockingham miał ten rozum, że ocenił wartość i zapewnił sobie pomoc sprzymierzeńca, który z wymową wyższą od wymowy Pitta, z pilnością przechodzącą o wiele pilność Grenvilla, łączył taką obszerność i bystrość umysłu, z jaką ani Grenville ani Pitt równać się nawet nie mogli. Młody pewien Irlandczyk przybył był przed niedawnym czasem do Londynu, żeby popróbować szczęścia Pisał on wiele dla księgarzów, ale najbardziej znanym był z małej rozprawy, w której styl i rozumowanie Bolingbroka naśladowane były w karykaturze nader zręcznie, i z dowcipnej raczej jak prawdziwej teoryi o rozkoszach, jakie nam sprawiają rzeczy smaku. Uchodził także za wielkiego mistrza w sztuce rozmowy i uchodził między literatami, którzy schadzali się wieczorami pod Głową Turka, za jedynego człowieka, który w rozmowie mógł się mierzyć z doktorem Johnson. Teraz został on prywatnym sekretarzem Lorda Rockingham, i za wpływem swego patrona wszedł do Parlamentu. Wszelako nie dało się to wszystko zrobić bez trudności. Książę Newcastle, który musiał zawsze do wszystkiego się mięszać i o wszystkiem paplać, zaklinał Lorda Podskarbiego, żeby się strzegł tego awanturnika, który naprawdę nazywał się O'Bourke, a którego on, książę, znał jako zagorzałego Irlandczyka, Jakobitę, Papistę, utajonego Jezuitę. Lord Rockingham uważał na tę potwarz tyle, ile na to zasługiwała, i stronnictwo Whigów wzmocniło i uświetniło się przystąpieniem Edmunda Burke.

Potrzebowało ono zaprawdę wielu nowych sił, bo poniosło właśnie w tych czasach stratę prawie niepowetowaną. Książę Cumberland złożył Rząd i był główną jego podporą; stanowisko jego i dostojeństwo równoważyły niemal ogromną sławę Pitta, a jako pośrednik między Whigami a dworem, zajmował on stanowisko, jakiego nikt inny zająć nie mógł. Stałość jego charakteru wynagradzała za to, co było największym niedostatkiem nowego ministeryum. Zwłaszcza też Conway, który przy najlepszych zamiarach i wielu wybornych przymiotach miał charakter najuleglejszy i najmniej stanowczy na świecie, czerpał w radach tego męzkiego umysłu siłę, na której jemu samemu zbywało. Teraz, przed samem zebraniem Parlamentu, książę umarł nagle, a śmierć jego uważano powszechnie jako hasło wielkich zamieszek, i dlatego, równie jak dla wielkich jego osobistych przymiotów, opłakiwano ją szczerze. Zauważono, że w Londynie żałoba była tak powszechną jak po nikim dotychczas, i że była zarazem grubszą i dłuższą niż przepisywała dworska gazeta.

Tymczasem każda poczta z Ameryki przynosiła zatrważające wieści. Plon z zasiewu Grenvilla musieli teraz zbierać jego następcy. Kolonie były o włos tylko od buntu. Stemple spalono, urzędników poborowych szarpano, i wysmarowanych smołą oblepiano pierzem; ustał wszelki handel między oburzonemi prowincyami a macierzystym krajem; giełda Londyńska była w rozpaczy; połowie domów handlowych w Liverpoolu i Bristolu groziło bankructwo; w Leeds, w Manchester, w Nothingham, na dziesięciu robotników trzech, jak mówiono, osiadło na bruku; wojna domowa zdawała się blizką, a nikt nie wątpił, że skoroby naród angielski podzielił się przeciw sobie, Francya z Hiszpanią niezawodnie wmieszają się do zwady.

Ministrowie mieli przed sobą trzy drogi. Pierwsza, nałożyć prawo stemplowe orężem; do tej drogi skłaniał się zarówno król, jak i człowiek, którego król ze wszystkich ludzi najbardziej nienawidził, Grenville. Obadwa byli bowiem samowolni i uparci; byli tak do siebie podobni, że żadną miarą nie mogliby

być przyjaciołmi, ale byli do siebie tak podobni, że na wszystkie ważne sprawy zapatrywali się tak samo. Żaden z nich nie mógł znieść, żeby rządził nim drugi, ale zgadzali się z sobą zupełnie co do najlepszego sposobu rządzenia narodem.

Druga droga była ta, którą zalecał Pitt. Utrzymywał on, że podług Konstytucyi, Parlament angielski nie miał prawa nakładania podatków na kolonie, uważał zatem prawo stemplowe za żadne, za dokument tak samo nie obowiązujący, jak Karola I reskrypta (writs) o podatku okrętowym, lub proklamacya Jakóba, zawieszająca prawa karne. Wyznać musimy, że to tłomaczenie, zdaniem naszem, żadną miarą ostać się nie może.

Pośrodku tych dwóch skrajnych leżała droga trzecia. Najbieglejsi i najumiarkowańsi mężowie stanu orzekli, że konstytucya W. Brytanii nie stawia żadnych granic prawodawczej władzy króla, Lordów i Gmin nad całem bez wyjątku państwem i wszystkiemi posiadłościami W. Brytanii. Parlament, mniemali oni, miał zupełne prawo nałożyć podatek na Amerykę, tak samo jak miał prawo popełnić jakikolwiek występny i szalony uczynek, zabrać na skarb naprzykład własność wszystkich kupców z Lombard-Street, lub skazać kogokolwiek w całem królestwie za zdradę stanu bez wysłuchania świadków przeciwko niemu, lub własnej jego obrony. Najsroższe prawo konfiskaty lub najsroższy wyrok za zdradę stanu jest tak samo ważnym, jak ustawa o Tolerancyi lub Akt Habeas Corpus. Ale prawodawcy obowiązani są wszystkiemi względami moralności, wstrzymywać się systematycznie od konfiskat i oskarżeń o zdradę stanu; i tak samo powinna była angielska władza prawodawcza, wstrzymać się od nakładania podatków na amerykańskie kolonie. Podatek stemplowy był nie do usprawiedliwienia, nie dlatego, jakoby wychodził był po za obręb prawnej mocy Parlamentu, ale dlatego, że uchwała ta była nieroztropna, niepolityczna, w dochody jałowa a płodna w zatargi. Zdrowego tego i trafnego pojmowania trzymał się Lord Rockingham i jego współtowarzysze, a Burke zaszczepiał je narodowi przez długie lata mowami, z których wiele żyć będzie tak długo, jak język angielski.

Nadeszła zima, zebrał się Parlament, a stan kolonii stał się zaraz przedmiotem zaciętych sporów. Pitt, którego zdrowie poprawiło się nieco po kąpielach w Bath, ukazał się w Izbie na nowo, i z namiętną a ognistą wymową nietylko potępiał prawo stemplowe, ale pochwalał opór stawiany przez obywateli Massachusetts i Virginii, i obstawał gwałtownie, na przekór rzec trzeba, zdrowemu rozumowi i powagom prawnym, przy tem że podług konstytucyi angielskiej najwyższa władza prawodawcza nie zawiera w sobie władzy nakładania podatków. Mowa znowu Grenvilla z drugiej strony była taka, jakiej mógł był używać Strafford na Radzie Ministrów Karola I, kiedy odebrał wiadomość o oporze stawianym w Edynburgu Liturgii. Podług niego koloniści byli zdrajcami, ci, co ich tłomaczyli, niewiele lepsi, a fregaty, moździerze, bagnety i pałasze były właściwem na to złe lekarstwem.

Ministrowie zajmowali stanowisko pośrednie; wnosili oni, aby Izba uchwaliła, że władza prawodawcza Parlamentu W. Brytanii nad całem Państwem była najwyższą, i wnosili zarazem, żeby odwołać Prawo Stemplowe. Pierwszej uchwale sprzeciwiał się Pitt, ale przeszła pomimo tego prawie jednogłośnie; odwołanie zaś prawa stemplowego popierał Pitt całą siłą, ale naprzeciw Rządowi stanął straszliwy zastęp opozycyi. Grenville i Bedfordowie byli poprostu wściekli; Temple, który ściśle połączył się z bratem a odstąpił Pitta, był także nieprzyjacielem nie do pogardzenia. Nie dość na tem, Ministeryum pozbawione było naturalnej swojej siły i podpory, i miało do walczenia nietylko z otwartymi nieprzyjaciółmi, ale nadto z podstępną niechęcią króla i pewnej szajki osób, którą teraz przyjaciółmi króla nazywać zaczęto.

Burke skreślił charakter tej fakcyi z siłą, jaką u niego nawet nie zawsze znaleźć można. Ci, którzy wiedzą jak wielce przez całe życie namiętności wykrzywiały sąd jego, mogliby mniemać, że zostawił on karykaturę raczej jak wizerunek; a jednak nie ma w całym tym opisie ani jednego rysu, którego wierność nie byłaby stwierdzoną faktami niezaprzeczonej prawdziwości.

Publiczność uważała powszechnie przyjaciół króla za ciało, którego duszą był Bute. Na nic się nie zdało hrabiemu przysięgać, że raz na zawsze skończył z polityką, przez całe lata nie pokazywać się przy *leverée* ani na pokojach, na nic mieszkanie na Północy, na nic wreszcie podróż do Rzymu. Przekonanie bowiem, że niewytłomaczonym jakimś sposobem kierował on wszystkiemi krokami Rządu, zagnieździło się w umysłach nie tylko gminu, ale i takich nawet, którzy mogli byli mieć wiadomości pewne, a byli powinni wznieść się nad pospolite przesądy. Naszem przekonaniem jest, że podejrzenia te nie miały żadnej podstawy, i że Bute przestał znosić się z królem w rzeczach politycznych na czas jakiś przed dymisyą Grenvilla. Przypuszczenie ukrytego wpływu lorda Bute nie potrzebne jest wcale do wytłomaczenia tych fenomenów. Król w roku 1765 nie był już tym niedoświadczonym i nic niewiedzącym młodzieniaszkiem, który w r. 1760 dawał się prowadzić matce i wielkiemu Szatnemu. Patrzał on przez lat kilka na zapasy stronnictw i rozmawiał codziennie o największych sprawach ze zdolnymi i doświadczonymi politykami. Ten sposób życia rozwinął jego charakter i umysł; tak, że nie był on już dłużej lalką, ale miał zdania bardzo stanowcze, tak o ludziach, jak o rzeczach. Nic prostszego jak to, że miał przesadzone wyobrażenia o swojej prerogatywie, że go opozycya niecierpliwiła, i że chciał, żeby wszyscy ludzie publiczni, ze sobą nawzajem pozrywawszy, od niego jednego zależnymi się stali; nic także naturalniejszego, jak że w takim stanie rzeczy jak był ówczesny, znalazł stósowne do zamysłów swoich narzędzia.

Tym sposobem powołaną została do życia i działania pełzająca species polityków, nigdy przedtem ni potem w kraju naszym nieznana. Ludzie ci nie uznawali żadnych politycznych węzłów oprócz tych, które ich do tronu wiązały. W jednej i tej samej chwili gotowi byli z każdą partyą się skojarzyć, każdą porzucić, każdą podkopać i na każdą uderzać. Wszystkie gabinety i opozycye były dla nich jednem i tem samem; czy

Bute, czy Grenville, czy Rockingham lub Pitt, to im było wszystko jedno, do żadnego nie mieli ani pociągu ani wstrętu — oni byli tylko przyjaciółmi króla. Trzeba wiedzieć, że przyjaźń ta nie pociągała za sobą osobistej zażyłości; ludzie ci nigdy nie przestawali tak ze swoim Panem, jak przestawał Doddington z jego ojcem, jak później przestawał Sheridan z jego synem; nigdy z nim rano nie wyjeżdżali na polowanie, nigdy wieczorem nie grali z nim w karty, nigdy nie dzielili się z nim jego baranią pieczenią, nigdy z nim razem nie oglądali jego rzepy; jeden lub dwóch zaledwo widziało go kiedy inaczej, jak przy publicznych obchodach. Nie mniej jednak miała zawsze cała zgraja najdokładniejsze wiadomości o osobistych jego skłonnościach. Żaden z nich nie zajmował wysokiego w Rządzie stanowiska; trzymali się zazwyczaj takich posad, gdzie płaca była duża, robota mała, a odpowiedzialność żadna, i siedzieli na nich bezpiecznie i stale, podczas, gdy gabinet sześć lub siedm razy się zmieniał. Właściwem ich zadaniem było popierać nie ministrów wobec opozycyi, ale króla przeciwko ministrom. Ile razy król musiał niechętnie przystać na wniesienie uchwały jakiejś, którą konstytucyjni jego doradcy za potrzebną uważali, przyjaciele na pewne zawsze przeciwko tej uchwale mówili, przeciw niej głosowali, i stawiali jej w drodze wszystkie przeszkody, jakie z formami parlamentarnemi pogodzić się dały. Jeżeli Jego Królewska Mość musiała rada nie rada wpuścić do swego gabinetu nielubionego jakiego Podskarbiego lub Sekretarza Stanu, przyjaciele święcie nie opuścili żadnej sposobności upokorzenia nienawistnego ministra i wejścia mu w drogę. W nagrodę za te usługi pokrywał ich król swoją opieką. Na nic się nie zdało odpowiedzialnym doradcom skarżyć się przed królem, że ludzie, którzy jedli chleb Rządu, codziennie ich zdradzali i krzyżowali. Król, to usprawiedliwiał winnych, to ich tłomaczył, to wreszcie przyznawał, że zasłużyli na naganę, ale mówił, że potrzebuje czasu do namysłu czy może lub nie rozstać się z nimi. Ale nigdy nie myślał ich wypędzić,

i gdy wszystko w państwie nieustannie się zmieniało, sykofanci ci zdawali się trzymać swoje posady dożywotnią dzierżawą.

Przyjaciele króla wiedzieli dobrze, że król, choć zgodził się na odwołanie Prawa Stemplowego, zgodził się przecież bardzo niechętnie, i że choć z radością powitał Whigów, kiedy w gwałtownej jego potrzebie i na gorące prośby podjęli się wyzwolić go z pod nieznośnego jarzma, nie pozbył się przecież dawnych uprzedzeń do oswobodzicielów swoich. Ministrowie zaś przekonali się niebawem, że podczas gdy z przodu nacierała na nich cała siła potężnej opozycyi, tyły zagrożone były przez niemały zastęp tych, których mieli za sprzymierzeńców.

Pomimo to jednak Lord Rockingham i jego stronicy odważnie szli naprzód w sprawie odwołania Prawa Stemplowego. Po swojej stronie mieli oni wszystkie fabryczne i handlowe interesa całego kraju, a w rozprawach doznali potężnego poparcia. Dwóch najznakomitszych mowców i polityków, należących do dwóch różnych pokoleń, przemawiało kilkakrotnie z całą siłą za billem odwołania. Izba Gmin słyszała przy tej rozprawie Pitta po raz ostatni, a Burke'go po raz pierwszy, i nie wiedziała, któremu palmę wymowy przysądzić. Zaiste był to świetny brzask i wspaniały zachód słońca.

Skutek ważył się przez czas jakiś. W kilku głosowaniach ciasno było koło ministrów; jednym razem dwunastu aż przyjaciół króla, wszystko ludzie na urzędach, głosowało przeciwko rządowi. Na nic się nie zdało, że Lord Rockingham upominał się o to przed królem. Jego Królewska Mość przyznawała, że minister miał słuszny powód do skargi, ale miała nadzieję, że łagodne środki zwrócą niesfornych na lepszą drogę; a jeżeliby upornie trzymali się złej, natenczas król usunąłby ich z urzędów.

Nadszedł nareszcie dzień stanowczy. Galerye, korytarze, przedpokoje, Court of Requests (dziedziniec próśb) schody, zapchane były kupcami ze wszystkich wielkich portów wyspy. Rozprawy przeciągnęły się długo po północy; przy głosowaniu ministrowie mieli wielką większość. Obawa wojny domowej

i krzyk wszystkich miast handlowych królestwa, były mocniejsze od połączonych sił opozycyi i Dworu.

O pierwszym brzasku mglistego lutowego poranka rozwarły się drzwi na oścież, a naczelnicy dwóch przeciwnych stronnictw ukazali się ludowi. Conway powitany był hucznemi oklaskami, ale skoro ukazał się Pitt, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, wszystkie kapelusze były w powietrzu, szalone okrzyki towarzyszyły mu do lektyki, a tłum wielbicieli odprowadził go do domu. Potem wyszedł Grenville. Zaledwo go poznano, wybuchła burza syków, świstów i przekleństw — w gniewie zwrócił się ku tłumowi i chwycił kogoś za kołnierz. Obecni byli w wielkiej trwodze; bo gdyby było przyszło do burdy, mogła się ona niewiedzieć jak skończyć. Na szczęście człowiek schwytany za kołnierz, rzekł tylko: »jeżeli mi nie wolno sykać, spodziewam się, że śmiać się Pan mi nie zabronisz«, i roześmiał się w twarz Grenvillowi.

Większość była tak stanowcza, że wszyscy, prócz jednego, przeciwnicy ministrów, chcieli przepuścić billu bez dalszych sporów. Ale przedstawienia i prośby odbiły się od Grenvilla. Nieugięty jego umysł wzbijał się w pychę coraz wyżej pod ciężarem nienawiści publicznej. Do ostatka walczył on zacięcie i uporczywie. Przy ostatniem czytaniu billu miał znowu żwawą sprzeczkę ze swym szwagrem, ostatnią z mnogich ich żwawych sprzeczek. Pitt najwznioślejszym swym tonem piorunować zaczął na człowieka, który zbroczyć chciał gronostaje angielskiego króla we krwi angielskiego ludu, a Grenville ze zwykłą sobie nieustraszonością odparł, że, gdyby podatek mógł na nowo być nałożonym, nałożyłby go na nowo — »za złe skutki, jakie »stąd mogą wyniknąć, oskarżyciel mój odpowiadać winien. »Rozrzutność jego zrobiła podatek ten koniecznym; a oświad»czenia jego przeciw konstytucyjnej władzy Króla, Lordów »i Gmin, zrobiły go podwójnie koniecznym. Nie zazdroszczę »mu jego oklasków, szczycę się sykaniem; i gdyby jeszcze raz »było do zrobienia, jeszcze raz zrobiłbym to samo.«

Odwołanie Prawa Stemplowego było główną czynnością rządu Lorda Rockingham. Ale rząd ten zasługuje prócz tego na pochwałę za to, że położył koniec dwom nadużyciom, które w sprawie Wilkesa ściągnęły na siebie uwagę i słuszne oburzenie publiczności. Na wniosek ministrów uchwaliła Izba Gmin bill potępiający ogólne rozkazy uwięzienia, i drugi, potępiający zabór papierów w procesach o paszkwile.

Dodać jeszcze należy na chwałę Lorda Rockingham, że administracya jego pierwsza od dawnego czasu miała odwagę i cnotę wstrzymać się od przekupowania członków Parlamentu. Nieprzyjaciele zarzucali jemu i stronnikom jego słabość, dumę i stronniczość, ale potwarz sama nie śmiała z imieniem jego połączyć słowa przekupstwa.

Na nieszczęście rząd jego choć jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek w naszym kraju istniały, był zarazem jednym z najsłabszych. Przyjaciele króla przy każdej sprawie napastowali ministrów i stawiali im przeszkody. Odwoływać się do króla znaczyło tyle, co zyskiwać nowe obietnice i nowe wykręty. Jego królewska Mość była zawsze pewna, że musiało być w tem jakieś nieporozumienie; Lord Rockingham zrobiłby lepiej, gdyby się z samymi tymi panami rozmówił; zresztą przy pierwszem przekroczeniu król oddali ich niezawodnie. To pierwsze przekroczenie następowało niebawem, ale król zawsze się wykręcał. »Istotnie, tego już za wiele, istotnie, to jest okropne, ale teraz, kiedy odroczenie Izb za pasem, mniej już na tem zależy — trzeba dać winowajcom jedną jeszcze sposobność poprawy. Jeżeliby podczas przyszłej sesyi Parlamentu nie zmienili postępowania, król nie będzie miał ani słowa do powiedzenia na ich obronę« — a tymczasem już on postanowił u siebie, że przy najbliższej sesyi Rockingham ministrem nie będzie.

Przyszliśmy teraz do tej części naszego opowiadania, której, przy całem uwielbieniu dla gieniuszu Pitta i wielu jego wspaniałych przymiotów, bez głębokiego żalu zacząć nie możemy. Zdaje nam się, że w ówczesnym stanie rzeczy od niego

zależało rozstrzygnąć zwycięztwo na korzyść Whigów lub przyjaciół króla. Gdyby on był ściśle połączył się z Rockinghamem, cóż wtedy mógłby był dwór uczynić? Jedna tylko byłaby została alternatywa, Whigowie albo Grenville, a wybór króla nie mógł być wątpliwym. Pamiętał on, jak mógł najlepiej tę niewolę, z której go stryj wybawił, i mówił z wielką goryczą i namiętnością, że wolałby widzieć w gabinecie swoim dyabła niż Grenvilla.

I cóż mogło wstrzymać Pitta od skojarzenia się z Lordem Rockingham? Na wszystkie główne sprawy zapatrywali się oni jednakowo; potępiali zarówno prawo stemplowe, pokój, ogólne rozkazy uwięzienia, i zabieranie prywatnych papierów. Punkta, co do których różnili się w zdaniu, były nieliczne i mało ważne. Uczciwością, obojętnością na zysk, nienawiścią przekupstwa, byli do siebie podobni; osobiste ich interesa nie mogły się nigdy krzyżować; każdy z nich bowiem w innej zasiadał Izbie, a Pitt oświadczał zawsze, że za nic w świecie nie podejmie się nigdy Podskarbstwa.

Jeżeli przymierze, tak korzystne dla Państwa a zaszczytne dla stron, nie doszło pomimo tak dobrej sposobności, to nie było w tem winy ministrów. Zachowali się oni względem Pitta z uległością, którą możnaby słusznie nazwać niewolniczą, gdyby nie to, że była skutkiem szczerego uwielbienia i troskliwości o dobro publiczne; dawali mu do poznania, że, jeżeliby chciał się z nimi połączyć, gotowiby byli przyjąć go do Gabinetu nie jako kolegę, ale jako naczelnika. Poważania swego dowiedli mu świeżo, udzielając Parostwo człowiekowi, który w największej mierze posiadał naówczas jego zaufanie, najwyższemu sędzi Pratt. Cóż więc mogło oddalać Pitta od Whigów? Co z drugiej strony mógł mieć wspólnego Pitt z przyjaciołmi króla, że dał się użyć do ich celów, on, który nic nigdy nie zawdzięczał pochlebstwu ani intrydze, on, przed którego wymową i niepodległym duchem drżały dwa pokolenia mataczów i niewolników, on, którego zapał i miłość narodu po dwakroć wyniosły do władzy, pomimo niechęci króla?

Na nieszczęście dwór pozyskał sobie Pitta środkami, nie takiemi zaiste, jakich używano, gdy chodziło o pozyskanie takich ludzi jak Rigby i Wedderburn, ale ponętami zastósowanemi do natury szlachetnej nawet w swoich błędach. Król usadził się, że podbije jedynego człowieka, przez którego można było usunąć Whigów a uniknąć Grenvilla. Pochwały, pieszczoty, obietnice posypały się na ulubienia narodu. On sam, on tylko jeden mógł tamę położyć fakcyom, i stawić opór wszystkim razem potężnym związkom w całym kraju, Whigom, Torysom, Rockinghamom, Bedfordom i Grenvillom. Umizgi te wielki odniosły skutek; bo jakkolwiek Pitt miał umysł wyniosły i męzki, jakkolwiek wyobrażeń swoich o rządzie nabył on w szkole Sydneya i Lockego, zawsze przecież wielką miał cześć dla osoby panującego. Jak tylko spotkał się oko w oko z Majestatem, zasady jego nie mogły utrzymać na wodzy jego uczuć i wyobrażeń. Whigizm jego topniał i ginął i na ten czas stawał się on Torysem na obraz i podobieństwo dawnych Torysów, i ich przedstawiciela Osmonda. Nie był on też bynajmniej niechętnym rozwiązaniu wszystkich w kraju związków i spólnictw; jego znaczenie było zupełnie od nich niezależnem, i dlatego patrzał na nie z pewną niechęcią i zbyt małą robił różnicę między zgrają łotrów połączoną wspólnym celem rabunków, a konfederacyami ludzi zacnych, zawiązanemi dla wielkich celów publicznych; a oprócz tego nie dostrzegł, że ogromne jego usiłowania ku zniszczeniu wszystkich partyj, dążyły tylko do ustalenia przewagi jednej partyi, i to najpodlejszej, najnienawistniejszej ze wszystkich.

Rzecz bardzo wątpliwa, czy byłby się on dał tak zaślepić, gdyby umysł jego zachował był całą trzeźwość i zdrowie; a niezawodna jest z drugiej strony, że zostawał on przez czas jakiś w stanie nienaturalnego rozdrażnienia. Publiczność nie mogła się tego domyślać, ani podejrzywać; wymowa jego bowiem nigdy świetniejszym nie jaśniała blaskiem, jak podczas ostatnich rozpraw, ale później przypomnieli sobie ludzie wiele drobnych rzeczy, które powinny były wzniecić obawy. Zwyczaje

jego z każdym dniem stawały się dziwaczniejsze; napadł go nieprzełamany wstręt do wszelkiego hałasu, taki sam, jaki należeć miał do mnogich dziwactw Wallensteina. Najczulszy z ojców, nie mógł przecież przez czas pewien znosić głosu swoich dzieci, wydawał ogromne sumy na zakupno domów naokoło Hayes, dlatego tylko, żeby pozbyć się sąsiadów, których hałas go dręczył. Następnie sprzedał Hayes, a kupił willę w Hampstead, gdzie znowu wziął się kupować domy na na wszystkie strony. Co do wydatków mógł on naprawdę w tej epoce swego życia ubiegać się o lepsze z najbogatszymi ze zdobywców Bengalu i Tandżyoru. Ułożył sobie zasadzić cedrami znaczną przestrzeń gruntu w Burton Pynsent; ale w hrabstwie Somerset nie było cedrów podostatkiem; skupowano je tedy w Londynie i posyłano na miejsce furmankami, robotnicy się luzowali, a robota szła całą noc przy świetle pochodni. Nikt nie był od Pitta wstrzemięźliwszym, a obfitość i koszta jego kuchni zdumiewały największych smakoszów. Kilka obiadów stało zawsze na ogniu, bo apetyt Pitta był kapryśny i nieregularny, a ile razy jeść mu się zachciało, obiad musiał być w tej chwili na stole. Możnaby jeszcze wiele innych okoliczności przytoczyć, drobnych na pozór, ale takich, które razem wzięte, i w związku z dziwnemi następnemi wypadkami, usprawiedliwiają nasze mniemanie, jako umysł jego w chorobliwym był stanie.

Wkrótce po zamknięciu sesyi Parlamentu Lord Rockingham dostał dymisyą, i usunął się w towarzystwie zbitego zastępu przyjaciół, których stałość i godną postawę sama nieprzyjaźń uznać musiała. Żaden z nich nie żądał ani nie otrzymał żadnej pensyi lub synekury, ani kiedy byli u władzy, ani kiedy ją stracili, rzecz nader rzadka pomiędzy politykami owego czasu. Naczelnik, choć nie świetnych zdolności człowiek, zrobił sobie przecież imię szanowne i utrzymał je w czystości aż do końca. Umiał on, pomimo wielkich, prawie nieprzełamanych, jak się zdawało trudności, poznosić wielkie nadużycia i odwrócić wojnę domową; a po szesnastu leciech, w dniach o wiele

chmurniejszych i straszliwszych, powołano go znowu, aby ratował państwo, doprowadzone na sam brzeg przepaści tym samym uporem i zdradą, które krzyżowały a w końcu obaliły pierwsze jego rządy.

Pitt sadził drzewa w hrabstwie Somerset, kiedy własnoręczny list króla powołał go do dworu. Pośpieszył on natychmiast do Londynu. Drażliwość jego nerwów i umysłu wzmogła się śpieszną podróżą, tak, że przed końcem zapadł w gorączkę; ale choć chory, widział się zaraz z królem w Richmond i podjął się złożenia gabinetu.

Nie był on bynajmniej w takim stanie, w jakim powinien znajdować się człowiek, który ma prowadzić sprawę nader trudną i delikatną. Skarżył się w listach do żony, że konferencye, w których musiał brać udział, rozgrzewały mu krew i puls przyśpieszały; z innych zaś źródeł dowiadujemy się, że do tych nawet, których wciągnąć chciał do swego rządu, przemawiał w sposób dziwnie despotyczny i rozkazujący. Niektóre jego listy, pisane w owym czasie, zostały przechowane, i wyznać trzeba, że pisane są w stylu, jakiego Ludwik XIV nigdyby sobie użyć nie pozwolił, pisząc do jakiego francuzkiego szlachcica.

W usiłowaniu swojem, aby wszystkie stronnictwa rozwiązać, napotkał na niejakie trudności. Niektórzy z Whigów, których dwór radby był odciągnąć od Lorda Rockingham, nie chcieli wchodzić w żadne układy. Bedfordowie gotowi byli zerwać z Grenvillem, ale Pitt nie chciał się zgodzić na ich warunki. Temple, którego Pitt zamyślał postawić na czele skarbu, nie dał się użyć; od kilku miesięcy wzrastało ciągle i szybko oziębienie między szwagrami, którzy tak długo i ściśle byli z sobą związani. Pitt gniewał się, że Temple sprzeciwiał się odwołaniu Prawa Stemplowego; Temple gniewał się na Pitta, że nie chciał przystąpić do tej ligi familijnej, która była teraz najulubieńszym zamiarem w Stowe-Temple; wreszcie zażądał równego podziału władzy i wpływu, a pod tym warunkiem obowiązywał się poświęcić swego brata Jerzego — Pitt uważał żądanie to za przesadzone i wręcz odmówił. Nastąpiła

cierpka sprzeczka, w której każdy z pokrewnych okazał się wiernym swemu charakterowi; Temple jątrzył się cały od złości, a Pitt nadął się pogardą. Temple mówił, że Pitt był najniegodziwszym z hypokrytów i ze zdrajców; Pitt przemawiał w sposób zupełnie inny, może jeszcze więcej wyzywający; podług niego był Temple nie złym człowiekiem, którego jedynem prawem do wyższego stanowiska było to, że miał wielki ogród, wielką w tym ogrodzie sadzawkę, wiele szałasów i letnich domków; szczęśliwemu zaś powinowactwu z wielkim mowcą zawdzięczał to znaczenie w kraju, jakiego własne zdolności nigdyby mu zrobić nie zdołały; znaczenie to przewróciło mu głowę, uroiło mu się, że mógł składać rządy i rządzić państwami — aż przykro widzieć porządnego człowieka pod takim złudzeniem.

Pomimo tych wszystkich trudności złożyło się ministeryum takie, jakiego król pragnął, to jest takie, w którem wszyscy przyjaciele Jego Królewskiej Mości wygodnie byli pomieszczeni, i w którem oprócz tychże przyjaciół króla nie było czterech ludzi, którzyby kiedykolwiek byli wspólnie działali. Ludzie, którzy ani razu przedtem nie spotkali się z sobą w głosowaniu, siedzieli teraz w jednym i tym samym wydziale; urząd Płatnika rozdzielono między dwóch ludzi, którzy pierwszy raz w życiu z sobą mówili. Najważniejsze miejsca zapełniono albo osobistymi popleczníkami Pitta, albo członkami ostatniego gabinetu, których zatrzymać zdołano na urzędzie po ustąpieniu Lorda Rockingham. Do pierwszych należał Pratt, mianowany Lordem Camden, który przyjął wielką pieczęć, i Lord Shelburne, który został jednym z sekretarzów Stanu; do drugich książę Grafton, mianowany wielkim Podskarbim, i Conway, który zatrzymał stanowisko swoje tak w rządzie, jak i w Izbie Gmin. Kanclerzem Skarbu został Karol Townshend, który do wszystkich stronnictw należał a nie dbał o żadne; Pitt zaś sam został Pierwszym Ministrem, ale nie chciał objąć żądanego wydziału. Powierzono mu tedy pieczęć prywatną i nadano tytuł Lorda Chatham.

Nie potrzeba mówić, że niepowodzenia, kompletnego i haniebnego niepowodzenia tego Rządu, nie można przypisać brakowi zdolności ludzi, którzy go składali. Nie zbywało na nich nikomu, a niektórzy, jak sam Pitt, Camden, Shelburne i Townshend byli ludźmi bardzo znakomitymi. Przyczyna upadku leżała nie w ludziach, ale w zasadzie, na której się ludzie ci połączyli. Pitt pomieszał te wszystkie sprzeczne elementa, w przekonaniu, że potrafi utrzymać je w zupełnej podległości dla siebie samego, a w doskonałej między sobą harmonii. Zobaczymy zaraz, jak mu się ta próba udała.

Tego samego dnia, kiedy nowy pierwszy minister przystępował do ucałowania ręki króla, stracił on trzy czwarte części tej popularności, którą dotychczas wyłącznie posiadał, a której zawdzięczał większą część swojego znaczenia. Powstał na niego krzyk gwałtowny, nie za to, co w postępowaniu jego istotnie zasługiwało na surową naganę, ale za krok, w którym my przynajmniej nic złego upatrzeć nie możemy. Przyjęcie Parostwa wywołało powszechny wybuch oburzenia na Pitta; a przecież żadne parostwo nie było nigdy bardziej zasłużone, ani żaden nigdy mąż stanu nie potrzebował bardziej spokoju Izby Wyższej. Pitt się starzał; co do zdrowia starszym był o wiele od lat swoich; kilka razy, jeżeli wypełniał obowiązki swoje w Parlamencie w ważnych chwilach, to z niebezpieczeństwem własnego życia. Przez cały ciąg sesyi roku 1764 nie mógł ani razu wziąć udziału w rozprawach. W końcu nie byłby już mógł wytrzymać trudu prowadzenia spraw w Izbie Gmin po całych nocach. W takich okolicznościach, chęć jego przeniesienia się do zgromadzenia mniej czynnego i mniej burzliwego była zupełnie naturalną i zrozumiałą, ale naród nie zważał na te wszystkie względy. Ci, którzy najgoręcej kochali i czcili wielkiego Commonera, najgłośniej teraz krzyczeli na nowo mianowanego Lorda. Londyn dotychczas był mu wiernym zawsze i w każdem położeniu. Kiedy rozeszły się wieści, że posłano po niego do hrabstwa Somersetshire, że zamknięty w gabinecie naradzał się z królem, że miał zostać pierwszym

ministrem, mieszkańcy byli w uniesieniu radości; robiono przygotowania do wielkiej uczty i wielkiej illuminacyi; około monumentu lampy były już porozwieszane, kiedy Gazeta doniosła, że przedmiot tego zapału został Hrabią. W tej chwili uroczystość odwołano, lampy zdjęto; gazety podniosły chór obmów i potwarzy, pamflety równie płaskie jak potwarcze zapełniły wszystkie księgarnie, a z tych wszystkich pamfletów najzjadliwsze najbardziej żółciowe, pisane były pod natchnieniem złośliwego Lorda Temple. Stało się teraz modą porównywać dwóch Williamów, Williama Pulteney i Williama Pitt. Oba, mówiono, zdobyli sobie wielką przewagę w Izbie Gmin i w kraju, wymową swoją i udanym patryotyzmem; obydwa mieli powierzone sobie zadanie naprawy Rządu; obydwa na szczycie popularności i potęgi, dali się uwieźć blaskiem koronetu; obydwa zostali hrabiami, a w tej samej chwili także przedmiotami nienawiści i wzgardy narodu, który kilkoma godzinami pierwwej patrzał na nich ze czcią i z miłością.

Krzyki na Pitta wywarły, jak się zdaje, wpływ niemały na zagraniczne stosunki Państwa. Dotychczas imię jego działało jak czarodziejskie zaklęcie na Wersal i San-Ildefonso. Anglicy, podróżujący po Europie zauważali, że nic tak prędko nie zdołało uciszyć pełnego pokoju chełpliwych Francuzów, jak mała wzmianka o prawdopodobnym powrocie Pitta do władzy. W jednej chwili robiło się głuche milczenie; podnosiły się wszystkie ramiona, przeciągały wszystkie twarze. Teraz na nieszczęście, dowiadując się o powołaniu jego do steru rządu, dowiadywały się zarazem dwory zagraniczne, że nie posiadał on już serca współziomków; a skoro w kraju przestał być kochanym, przestał też być postrachem dla cudzoziemców; Imię Pitta było czarodziejskim talizmanem; imieniem Chathama napróżno posłowie nasi zaklinać próbowali.

Trudności, jakie Chathama obległy, wzrastały codziennie z winy despotycznego jego obejścia ze wszystkimi, którzy go otaczali. W chwili zmiany ministeryum, postąpił sobie Lord Rockingham z wielkiem umiarkowaniem; wyraził nadzieję, że

nowy rząd trzymać się będzie tych samych zasad, co dawny, i powagą swoją wstrzymał niektórych swoich przyjaciół od porzucenia urzędu. Sannders i Keppel naprzykład, znakomici dwaj dowódcy marynarki, za jego namową pozostali w Admiralicyi, gdzie usługi ich były nader potrzebne. Tak książę Portland był zawsze Lordem Szambelanem, a Lord Besborough Naczelnikiem Poczt. Ale w przeciągu jednego kwartału tak dotkliwie umiał Lord Chatham tych wszystkich ludzi obrazić, że wszyscy złożyli urzędy z oburzeniem. Ton jego, uległy w gabinecie króla, był na radzie ministrów despotycznym nie do zniesienia. Koledzy jego byli poprostu jego pisarzami do spraw finansowych, morskich lub dyplomatycznych. Conway, choć nadzwyczaj łagodny, tak żywo został raz dotkniętym, że powiedział, iż słów takich, jak używał Lord Chatham, nikt nigdy nie słyszał na zachód od Konstantynopola, a z wielką trudnością zdołał Horacy Walpole powstrzymać go od złożenia urzędu i przyłączenia się do chorągwi Lorda Rockingham.

Wyłom zrobiony w rządzie wystąpieniem tylu stronników Rockinghama, spodziewał się Pitt założyć stronnikami Bedforda. Ale z tymi nie mógł obchodzić się tak, jak się obchodził z innemi stronnictwami; na nic się nie zdało, że ofiarował złote góry za jednego lub dwóch członków tej partyi, w nadziei, że odciągnie ich od reszty. Można ich było kupić wprawdzie, ale tylko hurtem. Przez czas jakiś wadzili się między sobą i wahali, ale przemogły nareszcie rady śmiałego i przebiegłego Rigby. Postanowili oni trzymać się razem stale, i wprost dali do zrozumienia, że Chatham albo musi wziąć ich wszystkich, albo nie dostanie żadnego. Skutek pokazał, że w owym czasie byli oni mądrzejsi od wszystkich innych związków i spółek w całym kraju; bo za kilka miesięcy mogli już sami innym stawiać warunki.

Najważniejszą czynnością administracyi Lorda Chatham było słynne jego wdanie się w handel zbożowy. Zbiór był bardzo zły, ceny chleba wysokie, dość, że Chatham uznał za potrzebne wziąć na siebie odpowiedzialność za nałożenie am-

bargo na wywóz zboża. Po zebraniu Parlamentu powstała na ten krok opozycya jako na niekonstytucyjny; ministrowie zaś bronili go jako nieodbicie potrzebnego. W końcu przeszło prawo, stanowiące zwrot szkody dla wszystkich, których to ambargo dotknęło.

Pierwsze słowa, jakie Chatham wymówił w Izbie Lordów, były obroną postępowania jego w tej sprawie. Mówił ze spokojem, z prostotą i godnością zastósowaną dobrze do audytoryum. Druga mowa, jaką miał w tym samym przedmiocie, już się nie tak udała. Pogroził on arystokratycznym związkom i komisyom z wyniosłością, do której Lordowie nie byli przyzwyczajeni, a z takim ruchem i tonem, jaki byłby właściwszym raczej w burzliwem jakiem zgromadzeniu, niż w tem, którego obecnie był członkiem. Wywiązała się z tego krótka sprzeczka, w której powiedziano mu wprost, żeby sobie nie pozwalał z góry traktować starą szlachtę angielską.

Pokazywało się coraz jawniej, że był on w rozstrojonym stanie umysłu. Terrytoryalne zdobycze kompanii Wschodnio-Indyjskiej ściągnęły na siebie jego uwagę, i postanowił całą tę wielką sprawę wytoczyć przed Parlament. Ale nie chciał porozumieć się w tym względzie z żadnym ze swych kolegów, Nadaremno Conway, na którym spoczywało kierownictwo Izby Gmin, nadaremno Townshend, odpowiedzialny za sprawowanie finansów, prosili, żeby im rzucił jakiś promyczek światła na swoje zamysły. Odpowiedzi Chathama były szorstkie i tajemnicze. Nie mógł wdawać się w żadne rozprawy, pomocy tych panów nie potrzebował, i wybrał już kogoś, kto miał podjąć się prowadzenia tej sprawy w Izbie Gmin. Ten ktoś, był to członek Izby, nie należący bynajmniej do rządu, nie mający, i nie godzien mieć żadnej w Izbie powagi, krzykliwy, dumny ze swych pieniędzy, nieoświecony demagog, którego przesadna londyńska angielszczyzna i okruchy źle wymawianej łaciny, były pośmiewiskiem wszystkich dzienników, Aldermann Beckford. Łatwo pojąć, że osobliwsze to postępowanie wzburzyło cały świat polityczny. W City londyńskiej panowało wielkie

wzruszenie. Kompania Wschodnio-Indyjska odwoływała się do wiary kart i nadań swoich; Burke piorunował przeciwko ministrom; ministrowie patrzeli jeden na drugiego nie wiedząc, co odpowiadać, a Lord Chatham wśród tego zamieszania ogłosił się chorym i pojechał sobie do Bath. Rozeszło się po jakimś czasie, że był zdrowszy, że niebawem powróci sam i wszystko przywróci do porządku; oznaczono dzień przyjazdu jego do Londynu; ale zaledwo dojechał do Marlborough, zamknął się w swoim pokoju w oberży Castle-Inn i osiadł tam na kilka tygodni. Ktokolwiek przejeżdżał tamtą drogą, zdumiewał się na mnogość jego służby. Lokaje i stajenni ubrani w barwy jego domu, zapełniali całą oberżę, jedną z największych w Anglii i roili się po ulicach miasteczka. Tymczasem, rzecz to była taka, że chory mąż stanu zażądał, aby wszyscy pokojowi i stajenni z oberży nosili jego liberyę przez czas jego pobytu.

Pozostali ministrowie byli w rozpaczy. Książę Grafton ofiarował się pojechać do Marlborough i prosić wyroczni o radę, ale mu oznajmiono, że Lord Chatham nie mógł żadną miarą poddać się najmniejszej rozmowie o sprawach. Tymczasem wszystkie stronnictwa stojące poza rządem, stronnictwo Rockinghama, Bedforda i Grenvilla połączyły się do oporu przeciwko skołatanemu Rządowi w sprawie podatku gruntowego. Przyłączyli się do nich wszyscy niemal posłowie z hrabstw, tak, że mieli bardzo znaczną większość. Po raz pierwszy od upadku Sir Roberta Walpole, ministeryum pobite zostało w Izbie Gmin przy ważniejszem głosowaniu. Gabinet, napastowany zajadle z zewnątrz, szarpany był oprócz tego wewnętrznemi niesnaskami. Złożony on był poprostu bez żadnej podstawy jakichkolwiek zasad; od pierwszej chwili sama tylko powaga Chathama wstrzymywała sprzeczne żywioły, z których się składał, że zaraz nie poszły z sobą w zapasy; teraz powagi tej zabrakło i wszystko się zachwiało. Conway, dzielny żołnierz, ale w cywilnych sprawach najbojaźliwszy z ludzi, bał się urazić króla, bał się, żeby go nie szarpano po gazetach, bał się, żeby go nie posądzono o fakcyjność, gdyby z rządu

wystąpił, bał się, żeby go nie posądzono o samolubne widoki, gdyby w nim został, bał się wszystkiego, a nadewszystko bał się, żeby ludzie nie wiedzieli że się wszystkiego boi, i rzucany był tu i tam jak piłka, między Horacym Walpole, który chciał go wykierować na pierwszego ministra, i Lordem Cavendish, który go chciał przeciągnąć do opozycyi. Karol Townshend znowu, człowiek wielkich zdolności, słabych zasad, a nieograniczonej zarozumiałości i próżności, nie chciał znosić żadnego nad sobą dozoru i ograniczenia. Jego zdolności, ambicya i zarozumiałość jeszcze dotychczas nie były się okazały w całej pełni, bo trzymał je na wodzy gieniusz i dumny charakter Pitta. Ale teraz, kiedy Pitt wyszedł był z Izby Gmin i zrzekł się, jak się zdawało, roli pierwszego ministra, Townshend wyłamał się z wszelkich szranków.

W takim stanie były rzeczy, kiedy Chatham nareszcie wrócił do Londynu. Byłoby wyszło na to samo, gdyby był został w Marlborough. Nie mógł on nikogo widywać, nie mógł wcale mówić o sprawach publicznych; Książę Grafton błagał najpokorniej o godzinę, o pół godziny, o pięć minut rozmowy... na próżno; odpowiadano mu zawsze, że nie można. Król sam kilkakrotnie raczył przedstawiać i prosić; »obowiązek, pisał on do Chathama, własny honor, wszystko wymaga, żebyś pan sobie zadał ten przymus.« Odpowiedzi na te wezwania pisane były zawsze ręką Lady Chatham pod dyktowaniem męża, bo on sam nie miał dość siły, żeby ruszać piórem. »Lord Chatham rzuca się do stóp króla; przejęty jest do żywego tą dobrocią, okazywaną najnieszczęśliwszemu z ludzi; błaga o trochę jeszcze pobłażania, bo na teraz nie może żadną miarą wziąć się do spraw, nie może widzieć swoich kolegów, a nadewszystko, nie mógłby znieść wzruszenia widoku Jego Królewskiej Mości.«

Wielu podejrzywało, że poprostu udawał chorobę; utrzymywali oni, że Chatham poznał się na grubej pomyłce, jaką zrobił; że wiedząc o utracie popularności i wielkiej swojej sławy polityka, uwiedziony dumą, podjął się zadania nad siły,

a teraz nie widząc nic przed sobą prócz wstydu i upokorzeń, udawał chorobę, aby uniknąć przykrości, na które wystawić się nie miał odwagi. Podejrzenie to jednak, choć nabierało pewnego pozoru prawdy z tej słabości, która była największą skazą na charakterze Chathama, było przecież zupełnie nieuzasadnione. Umysł jego jak wiemy, był w stanie chorobliwym pierwej jeszcze, zanim został pierwszym ministrem; a teraz przyczyniały się zarówno moralne jak fizyczne przyczyny do zupełnego rozstrojenia jego władz umysłowych. Podagra, ta tortura całego jego życia, usuniętą została gwałtownemi lekarstwami; po raz pierwszy od czasu, kiedy był studentem w Oxford, przebył kilka miesięcy bez najmniejszego łamania po kościach, ale ulga w ręku i nodze odbiła się na nerwach; Chatham zrobił się melancholicznym, kapryśnym, drażliwym. Niepewny stan spraw publicznych, wielka odpowiedzialność jaka na nim ciężyła, świadomość własnych pomyłek i błędów, spory z kolegami i namiętne krzyki obmowców, wprawiały niemal w obłąkanie osłabiony jego umysł. Jedna rzecz, mówił, mogła go jeszcze uratować; mieszkanie w Hayes. Trzeba zatem Hayes odkupić; nowy właściciel przystał na to niechętnie, zmuszony prośbami i łzami Lady Chatham, a mąż jej istotnie uczuł niejaką ulgę. Ale jak tylko wspomniał mu kto o sprawach, on, najśmielszy niegdyś i najdumniejszy z ludzi, wpadał w taki stan jak spazmatyczna kobieta, zaczynał trząść się od stóp do głów i rozpływał się we łzach.

Pozostali ministrowie pocieszali się przez czas jakiś nadzieją, że zdrowie jego polepszy się wkrótce, a on sam wyjdzie przecież ze swego odosobnienia. Ale miesiąc upływał po miesiącu, a Chatham siedział zawsze ukryty w tajemniczem swojem schronieniu, i zapadał, jak słyszeli, w coraz głębszy upadek umysłowy. W końcu przestali czegokolwiek od niego lękać się lub spodziewać, a choć z imienia był on zawsze pierwszym ministrem, przedsiębrali bez skrupułu kroki wprost przeciwne jego uczuciom i sposobowi widzenia, łączyli się z ludźmi, których on odpychał, odsuwali takich, których najwyżej cenił,

i nakładali podatki na kolonie wbrew niedawnym jego oświadczeniom.

Rok i trzy kwartały przeżył tak Chatham w ponurem odosobnieniu, kiedy król odebrał raz kilka słów pisanych ręką Lady Chatham. Zawierały one prośbę jej męża, aby mu król pozwolił złożyć pieczęć prywatną. Po krótkim oporze przez grzeczność, przyjął król dymisyę; Chatham był już wtedy tak prawie zapomnianym, jak żeby oddawna spoczywał był w Westminsterskim kościele.

Ale chmury, zgromadzone nad jego umysłem rozbiły się jeszcze i rozeszły. Podagra wróciła i uwolniła go od straszniejszej nierównie choroby. Nerwy zahartowały się na nowo, umysł nabrał dawnej sprężystości; Chatham powstał, jak żeby z chorobliwego jakiego letargu. Osobliwsze to było przebudzenie. Ludzie przyzwyczaili się mówić o nim jak o umarłym, a gdy go pierwszy raz ujrzeli na pokojach królewskich, osłupieli, jak na widok ducha. Było już więcej jak półtrzecia roku, odkąd ostatni raz widziano go publicznie.

Ale i on także miał się czemu dziwić. Świat, który teraz ujrzał, nie był tym samym światem, który był porzucił. Rząd, który był złożył, nie był nigdy w żadnej chwili z gruntu zmienionym, ale tyle zaszło strat i tyle nowych nabytków, że sam ledwo mógł poznać swoje dzieło. Karol Townshend nie żył; Lord Shelburne dostał był dymisyę; Conway nic już zupełnie nie znaczył; książę Grafton wpadł w ręce Bedfordów; Bedfordowie porzucili byli Grenvilla, pogodzili się z królem i z jego przyjaciółmi i przypuszczeni byli do rządu. Lord North, podówczas kanclerz skarbu, szybko wzrastał w znaczenie. Francyi dano wziąć Korsykę bez walki; odżyły spory z koloniami amerykańskiemi; zaszły były przez ten czas powszechne wybory; Wilkes powrócił z wygnania i choć wyjęty z pod prawa, został posłem Hrabstwa Middlesex. Cała publiczność stała po jego stronie; dwór upornie zawsze nastawał na jego zgubę i dla lichej zemsty gotów był wstrząsnąć wszystkie podstawy konstytucyi; Izba Gmin z przywłaszczeniem władzy, która

podług prawa, do całej tylko władzy prawodawczej należy, oświadczyła, że Wilkes nie zdolnym był zasiadać w Parlamencie. Ale to nie zdawało się dostatecznem, by się go pozbyć; trzeba było wybrać jeszcze kogo innego na jego miejsce; a skoro mniejsi posiadacze z hrabstwa Middlesex odmówili stanowczo wyboru posła przyjemnego rządowi, Izba postanowiła wybrać go za nich. I nie był to ani jedyny ani najgorszy przykład zastarzałej zaciętości dworu. Przyjaciele króla, doprowadzeni do wściekłości statecznym oporem Lorda Rockingham i jego stronnictwa, postanowili wydrzeć dziedziczny majątek jednemu ze znakomitszych Whigów, i upierali się przy tym nikczemnym i złośliwym zamiarze tak, że aż oburzyli i zawstydzili swoją własną niewolniczą większość. Niezadowolenie szerzyło się po całym narodzie; żywiły je środki podburzające takie, jakie rzadko kiedy zadawane były publicznej opinii. Junius [1]) wyszedł w pole, powalił na ziemię i zdeptał Drapera, zakrwawił serce Blackstona, a dobrą sławę księcia Grafton tak poszarpał, że Jego Wysokość, przesycona władzą, pożądliwie zaczęła spoglądać na cieniste ustronie w Euston. Wszystkie zasady wewnętrznej, zagranicznej i kolonialnej polityki, drogie sercu Chathama, pogwałcone były podczas zaćmienia jego wielkiego ducha przez ten rząd, który on sam był postawił.

Pozostałe lata jego życia zeszły na daremnych zapasach z tą nieszczęsną polityką, którą wziął był pod swoją opiekę, w chwili, kiedy mógł jej zadać cios śmiertelny. Usiłowania te ocaliły jego własną sławę, ale ojczyźnie nie na wiele się przydały. Zastał on teraz dwa stronnictwa uszykowane przeciwko rządowi, stronnictwo Grenvilla, czyli swoich własnych szwagrów, i stronnictwo Lorda Rockingham. Obadwa zgodnie zapatrywały się na sprawę wyborów w Hrabstwie Middlesex; ale w wielu innych ważnych sprawach różniły się z sobą zu-

[1]) Junius, pseudonim autora *Listów politycznych* ogłaszanych w *Public Advertiser* od roku 1769 do 1772. Do dziś dnia nie zdołano dojść na pewno, kto był ich autorem.

pełnie, i były nie mniej na siebie wzajemnie, jak na dwór zawzięte. Grenvillowie dokuczali Rockinghamom przez lat kilka licznym szeregiem złośliwych paszkwilów; wiele było na to potrzeba, aby tamtych do odwetu poruszyć, ale brzydki traktat napisany pod kierunkiem Grenvilla pod tytułem *Stan narodu*, pokonał w końcu ich cierpliwość. Burke podjął się obrony i zemsty swoich przyjaciół i wywiązał się z zadania z niesłychaną zręcznością i mocą. Zwycięzki na wszystkich punktach, nigdzie nie był bardziej zwycięzkim jak tam, gdzie zapuścił się w suche i drobiazgowe szczegóły finansowe i statystyczne, w których leżała właśnie cała siła Grenvilla. Na swoim własnym gruncie nawet, nie zdołał urzędowy pedant ostać się przeciwko wielkiemu temu filozofowi i mowcy. Kiedy Chatham powrócił znowu na widok publiczny, wił się jeszcze Grenville pod świeżym wstydem i bólem zasłużonej chłosty. Serdeczne współdziałanie obu odcieni opozycyi, było niepodobieństwem, a Chatham nie łatwo mógł z którymkolwiek się połączyć. Pomimo licznych obelg, jakie im zadał i od nich wzajem otrzymał, uczucie ciągnęło go do Grenvillów, bo przywiązanie rodzinne było u niego bardzo silne, a natura jego, dumna ale nie twarda bynajmniej, złagodniała i zmiękła pod wpływem zmartwienia. Z drugiej strony dzieliło go od szwagrów różne zupełnie zapatrywanie na podatek kolonialny; pomimo to jednak przyszło do pojednania. Chatham odwiedził Lorda Temple w Stowe i spotkał się po przyjacielsku z Grenvillem; a drobni posiadacze hrabstwa Buckingham, przywiązani do zasad i stronnictwa Whigów, wychylili niejeden kielich na zgodę trzech braci.

W zdaniach zbliżał się Chatham daleko bardziej do Rockinghama niż do swoich szwagrów, ale pomiędzy nim a tamtem stronnictwem leżała przepaść trudna do przebycia. Zrobił on im był wielką krzywdę, a krzywdząc ich, skrzywdził także i ojczyznę. Kiedy ważyły się szale pomiędzy nim a dworem, on rzucił całą wagę swojego geniuszu, sławy i popularności na stronę złego rządu. Dodać trzeba, że wielu znamienitych członków tego stronnictwa zachowało dotąd gorżkie wspomnie-

nia cierpkiego i pogardliwego obejścia Chathama z czasów, kiedy obejmował ster rządu. Łatwo poznać z broszur, z mów, a zwłaszcza z listów i z poufnych rozmów, że Burke miał dla Chathama uczucie blizkie niechęci. Chatham wiedział niezawodnie, ile zawinił i pragnął uczynić za to zadosyć, ale jego kroki do zgody, choć z całą szczerością a nawet z niezwykłą robione pokorą, przyjmował zrazu Rockingham chłodno, sztywnie i dumnie. Stopniowo stosunek ich wzajemny stawał się milszym a nawet przyjaznym, ale o przeszłości nigdy już zupełnie zapomnieć nie mogli.

Chatham wszelako nie był sam jeden. Kupiła się około niego partya liczbą mała, ale silna wielkiemi i rozlicznemi zdolnościami. Do najwybitniejszych postaci tego związku należał Lord Camden, Lord Shelburne, pułkownik Barré i Dunning, który później został Lordem Astburton.

Niema najmniejszego powodu do mniemania, jakoby od tego czasu aż do samej niemal śmierci umysł Pitta był upadał lub słabnął. Wymowy jego słuchano z zachwyceniem do samego końca, ale nie była to właściwie wymowa stósowna do Izby Lordów. Ta deklamacya wzniosła i namiętna, ale cokolwiek czcza, w której wszystkich ludzi przewyższał, poparta wejrzeniem, tonem, ruchem godnym Garricka lub Talmy, nie była na swojem miejscu w małej sali, przed audytoryum złożonem częstokroć z trzech lub czterech ospałych prałatów, trzech lub czterech starych sędziów przywykłych od lat wielu nie dbać o retorykę a patrzeć jedynie na dowody i fakta, i z trzech lub czterech obojętnych zarozumiałych ludzi wielkiego świata, uśmiechających się i ruszających ramionami na wszystko, cokolwiek wyglądało na zapał. W Izbie Gmin jeden błysk jego oka, jeden ruch jego ręki był nieraz postrachem Murraya; ale w Izbie Parów, namiętność i pathos jego mniejsze robiły wrażenie, jak rozsądek, umiarkowanie, jasność, ład i dostojny spokój, którym odznaczały się mowy Lorda Mansfield.

W sprawie wyborów Hrabsta Middlesex wszystkie trzy odcienia opozycyi trzymały się razem. Ani jeden mowca w obu

Izbach nie bronił tego, co dziś już powszechnie uznanem jest za sprawę konstytucyjnej ustawy, z większą wymową i zapałem jak Chatham. Zanim umysły odwróciły się od tego przedmiotu umarł Jerzy Grenville; stronnictwo jego rozprószyło się i znikło, a w krótkim czasie największa część jego zwolenników przeszła na stronę ministrów.

Gdyby Jerzy Grenville pożył był kilka miesięcy dłużej, to te związki przyjaźni, które po latach rozbratu zawiązały się na nowo pomiędzy nim a szwagrem, byłyby się po raz drugi gwałtownie zerwały. Teraz bowiem przybrał spór między Anglią i koloniami Ameryki Północnej postać groźną i ponurą — ucisk wywołał opór, a opór posłużył za pozór do nowego ucisku. Przestrogi największych mężów stanu odbiły się od upartego dworu i ułudzonego narodu. Niebawem Senat kolonii stanął naprzeciw angielskiego Parlamentu, wkrótce potem kolonialna milicya zmierzyła się orężem z angielskiemi pułkami; a wreszcie unia została rozdartą. Dwa miliony Anglików, przed piętnastu laty tak dumnych ze swej narodowości i tak wiernych królowi jak mieszkańcy Hrabstwa Kent lub York, uroczystym aktem oderwały się od Anglii. Zdawało się czas jakiś, że nie wiele poradzą powstańcy przeciwko ogromnym środkom wojskowym i pieniężnym macierzystego kraju; ale złudzenie to narodowej próżności, rozwiało się niebawem na szereg porażek szybko po sobie następujących. W końcu wielkie wojsko angielskie, wyniszczone, głodne, szarpane ze wszech stron przez nieprzyjazne włościaństwo, musiało złożyć broń. Rządy, które Anglia w ostatniej wojnie tak głęboko była upokorzyła, i które przez wiele lat jątrzyły się wspomnieniem klęsk odniesionych pod Quebec, pod Minden i pod Moro, ujrzały teraz z rozkoszą, że nadszedł dzień pomsty. Francya uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych, a nie było wątpliwości, że Hiszpania pójdzie niebawem za tym przykładem.

Chatham i Rockingham opierali się połączonemi siłami tej nieszczęsnej polityce, która doprowadziła państwo do tak niebezpiecznego stanu, ale teraz drogi ich rozchodziły się w różne

strony. Lord Rockingham sądził słusznie, jak skutek pokazał, że kolonie były już na zawsze oderwane i stracone, i że jedynym skutkiem przeciągania wojny, byłoby rozstrzelenie tych środków, które skupić należało w jedno ognisko. Gdyby się porzuciło daremne zamachy na podbicie Pensylwanii i Virginii, możnaby jeszcze uniknąć wojny z domem Burbonów, a jeżeli nie uniknąć, to prowadzić ją z chwałą i z pomyślnym skutkiem, może dałoby się nawet wynagrodzić sobie poniesione szkody kosztem tych nieprzyjaciół zewnętrznych, którzy spodziewali się skorzystać z naszych domowych niesnasek. Lord Rockingham zatem i ci, którzy szli z nim razem, rozumieli, że najlepszą drogą dla Anglii, było uznać niepodległość Stanów Zjednoczonych, a obrócić się z całą siłą na europejskich nieprzyjaciół.

Zdawaćby się mogło, że Chatham powinien był stanąć po tej samej stronie. Zanim jeszcze Francya wmieszała się była w nasz spór z koloniami, dowodził on wielokrotnie i z wielką siłą, że niepodobieństwem było pokonać Amerykę; a nie mógł przecież bez niedorzeczności utrzymywać, że łatwiej nam było pokonać Amerykę i Francyę razem, jak Amerykę samą. Ale namiętność władała jego umysłem i zaślepiała go na sprzeczność z samym sobą. Te same okoliczności, które oderwanie kolonii koniecznem uczyniły, sprawiły, że było ono jemu nieznośnem. Rozbiór państwa w skutku domowych zatargów, zdawał mu się mniej smutnym i upokarzającym, niż gdyby dokonanym był przez wdanie się obcych. Krew jego burzyła się na to poniżenie ojczyzny; cokolwiek poniżało ją między narodami, brał on do serca, jak żeby osobistą obelgę. Uczucie to łatwe jest do pojęcia; on to zrobił Anglią tak wielką — on był tak z niej dumny, a ona była tak dumną z niego, pamiętał, jak przed dwudziestu z górą laty, w czasach zwątpienia i smutku, kiedy odrywano jej posiadłości i znieważano bezkarnie jej flagę, zawołała na niego, żeby ją ratował — pamiętał zmianę tak nagłą i świetną, którą dzielność jego sprowadziła, pamiętał on długi szereg zwycięztw, te dni dzięków

i radości, te nocy illuminacyi, a rozogniony takiemi wspomnieniami, postanowił rozłączyć się z tymi, którzy radzili uznać niepodległość kolonii. Że się mylił, tego nie zaprzeczą dziś, jak sądzimy, najgorętsi nawet jego wielbiciele. Pokój, mocą którego w kilka lat później Anglia uznała Rzeczpospolitą Stanów Zjednoczonych, był dziełem najwierniejszych jego stronników i jego własnego najukochańszego syna.

Książę Richmond zapowiedział adres do Tronu, przeciwko dalszym krokom nieprzyjacielskim w Ameryce. Chatham w skutku coraz sroższych cierpień nie bywał od jakiegoś czasu w Parlamencie, ale przy tej sposobności postanowił mówić, i oświadczyć, że zdanie jego różniło się zupełnie od zdania Lorda Rockinghama i jego stronnictwa. Był on w stanie wielkiego rozdrażnienia. Lekarze obawiali się i radzili mu usilnie, żeby się uspokoił i został w domu; ale nie można go było przekonać. Syn William i zięć Lord Mahon towarzyszyli mu do Westminsteru; dopóki się rozprawy nie zaczęły, wypoczywał w pokoju kanclerskim, a skoro je otwarto, powlókł się do swego krzesła, wsparty na zięciu i synu. Najdrobniejsze szczegóły tego dnia spamiętano i przechowano troskliwie; zauważano, że Parom, którzy się usuwali, żeby zrobić miejsce jemu i tym, co go prowadzili, oddał ukłon niezmiernie uprzejmy; kulę swoją miał w ręku; ubrany był jak zwykle w bogatą aksamitną suknię, nogi poobwijane miał flanelą. Peruka jego była tak wielka, a twarz jego tak wychudła, że rysów jego wcale nie było widać, prócz wysokiego garbu jego nosa i oczu, które zawsze jeszcze zachowały połysk jakiś dawnego ognia.

Skoro książę Richmond mowę swoją skończył, podniósł się Chatham. Głosu jego przez chwilę nikt nie mógł dosłyszeć; ale pomału słowa stały się coraz wyraźniejszemi, a akcya ożywioną, tu i owdzie schwycili słuchacze zwrot jakiś lub pomysł, który im Williama Pitta przypominał. Ale wszyscy widzieli, że nie był on już tym, co dawniej. Gubił wątek mowy, plątał się, po kilka razy powtarzał te same słowa, i był tak nieprzytomny, że mówiąc o Ustawie Następstwa Tronu, nie mógł

przypomnieć sobie imienia Elektorowej Zofii. Izba słuchała go w uroczystem milczeniu, i z oznakami głębokiej czci i politowania; było tak cicho, że słyszeć było można chustkę upadającą na ziemię. Książę Richmond odpowiadał mu z wielkiem uszanowaniem, z rzewnością, ale starzec, zauważono, niepokoił się i gniewał podczas tej mowy. Książę usiadł — Chatham powstał po raz drugi, chwycił się ręką za pierś, i powalił się w apoplektycznym ataku. Schwycili go i zatrzymali w upadku siedzący obok Lordowie, sesyą zamknięto wśród największego zamięszania — a umierającego zaniesiono do mieszkania jednego ze sług Parlamentu, i odżywiono do tyla, że mógł wytrzymać przejazd do Hayes, gdzie gasnął jeszcze przez kilka tygodni, i gdzie umarł w siedmdziesiątym roku życia. Do ostatka pielęgnowała go żona i dzieci z największą czułością, na którą też dobrze zasłużył, bo choć z innymi zbyt często wyniosły i twardy, dla nich był zawsze czułym aż do miękkości. Przez całe życie drżeli przed nim polityczni przeciwnicy, a stronnicy więcej się go bali niż kochali; ale to uczucie, którem tkliwość przelewająca się nieustannie z jego serca w tysiącznych objawach natchnęła szczupłe kółko rodzinne w Hayes, wolne było zupełnie od bojaźni i strachu.

W czasach swojego upadku nie miał Chatham w obu Izbach Parlamentu ani dziesięciu może zwolenników. Jedną połowę współczesnych ludzi publicznych zraziły jego błędy, drugą, to, co chciał robić, aby te błędy naprawić. Ostatnia jego mowa była napaścią na politykę Rządu, i na tę zarazem, którą zalecała opozycya. Ale śmierć przywróciła mu na nowo dawne jego miejsce w sercu współziomków — któż zaiste patrzeć mógł obojętnie na upadek tego, który stał tak długo, i który był tak wielkim. Okoliczności towarzyszące jego śmierci prócz tego, zdawały się należeć raczej do tragicznej sztuki, jak do rzeczywistego życia. Wielki mąż stanu, syt lat i chwały, prowadzony do senatu przez syna tak świetnych nadziei, a powalony wśród obrad w chwili, gdy natężał swój słaby głos,

aby podnieść upadającego ducha narodu — na to przecież każdy musiał patrzeć ze szczególną czcią i rozrzewnieniem.

Obmowa nie śmiała się odzywać; nie odezwał się nawet głos słusznej i umiarkowanej nagany; zapomniano wszystko temu, którego już nie było, prócz niezaprzeczonych zasług, nieskalanej prawości i wzniosłego geniuszu. Na ten raz zgodziły się wszystkie stronnictwa. Zawotowano mu publiczny pogrzeb i posąg; spłacono długi zmarłego, i opatrzono jego rodzinę. Londyńska City prosiła, aby zwłoki wielkiego człowieka, którego przez lat tyle czciła i kochała, spocząć mogły pod sklepieniem wspaniałego jej tumu; ale prośba ta przyszła za późno, bo wszystko było już przygotowane do pogrzebu w kościele Westminsterskim.

Jakkolwiek ludzie wszelkich stronnictw połączyli się w uchwaleniu czci pośmiertnej dla Chathama, zwłoki jego przecież odprowadzone zostały do grobu przez samych prawie przeciwników Rządu. Pułkownik Barré niósł chorągiew Lordostwa Chatham, mając po obu stronach księcia Richmond i Lorda Rockingham, Burke, Saville i Dunning trzymali końce całunu; w orszaku widać było Lorda Camden, a za ciałem postępował w żałobie młody William Pitt. Po upływie lat dwudziestu siedmiu, w czasach równie ponurych i groźnych, jego własne nadwątlone ciało i pęknięte serce złożone zostało w tę samą ziemię, z taką samą uroczystą powagą.

Spoczywa Chatham w pobliżu północnej bramy kościoła, na miejscu poświęconem od tego czasu dla mężów stanu, tak jak przeciwny koniec tego samego skrzydła przeznaczonym był zdawna dla poetów. Leży tam Mansfield, i drugi William Pitt, Fox, Grattam, Canning i Wilberforce. Żaden inny cmentarz nie mieści zwłok tylu wielkich obywateli na tak ciasnej przestrzeni. Po nad szanownemi temi grobami wznosi się wspaniały pomnik Chathama, a postać jego mistrzowską wykuta ręką, zdaje się mówić do Anglii orlem swem obliczem i wyciągniętą ręką, żeby była dobrej myśli, a nieprzyjaciół

jej wyzywać się zdaje. Przeszło już pokolenie, które mu pomnik ten wzniosło, a przyszedł czas, że historya może przeglądnąć spokojnie porywcze i jednostronne sądy współczesnych o jego charakterze. I ta historya, choć zapisuje wiele jego błędów dla przestrogi dusz wyniosłych, namiętnych i zuchwałych, orzeka przecież z całą rozwagą, że z tych wszystkich znamienitych ludzi, których popioły leżą obok popiołów Chathama, mało który zostawił imię tak czyste, a świetniejszego nie zostawił żaden.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa tłómacza	5
Fryderyk Wielki	7
Bertrand Barère	95
William Pitt hrabia Chatham	199
Lord Chatham	253

SZKICE I ROZPRAWY.

TOMASZ B. MACAULAY.

SZKICE I ROZPRAWY

tłómaczył

ST. TARNOWSKI.

TOM II.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1893.

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

WILLIAM PITT.

William Pitt, drugi syn Williama Pitt Hrabiego Chatham i Lady Estery Grenville, córki Estery hrabiny Temple, urodził się 28 Maja 1759. Niemowlę odziedziczyło imię, nad które w chwili jego urodzenia nie było świetniejszego w cywilizowanym świecie, które każdy Anglik wymawiał z dumą, a każdy nieprzyjaciel Anglii z podziwem i trwogą. Przez pierwszy rok jego życia nie obszedł się żaden miesiąc bez illuminacyi i radosnych obchodów, a z każdym wiatrem przypływał do Anglii posłaniec obładowany dobremi wieściami i sztandarami zdobytemi na nieprzyjacielu. W Westfalii angielska piechota wygrała wielką bitwę i położyła zaporę zdobyczom Ludwika XV; jedną flotę francuzką zniszczył Boscawen u wybrzeżów Portugalskich, drugą rozprószył Hawke w Biskajskiej zatoce; Johnson wziął Niagarę, Amherst Ticonderogę. Wolfe zginął najpiękniejszą ze śmierci pod murami Quebeku; Clive zniszczył pod Hoogley flotę holenderską i ustalił panowanie Anglii w Bengalu, a Coote rozprószył flotę Lall'ego pod Wandewash i ustalił panowanie Anglii w Karnatyku. Naród, choć obsypywał oklaskami szczęśliwych tych wojowników, uważał ich przecież, na lądzie jak na morzu, za narzędzia pod rozkazami innego, wyższego umysłu. Tym, co zwyciężył francuzkich marszałków w Niemczech, a francuzkich admirałów na Atlantyku, co dla ojczyzny swojej podbił jedno wielkie państwo na zamarzłych brzegach jeziora Ontario, a drugie pod zwrotnikowem słońcem przy ujściach Gangesu, był wielki Commoner, wielki William Pitt. Nie leży to w naturze rzeczy, żeby popularność jak ta, której on podówczas używał, mogła trwać długo;

i rzeczywiście straciła ona swój blask, kiedy dzieci Pitta były jeszcze za młode, by zrozumieć, że ojciec był wielkim człowiekiem. Z postępem czasu zaś wszedł on w położenie, w którem wydać się nie mogły ani administracyjne, ani krasomówcze jego zdolności. Dzielność i stanowczość, które tak szczególnie zdolnym go czyniły do prowadzenia wojny, w czasie pokoju nie były potrzebne, a wzniosła i wszystko poruszająca wymowa, przez którą stał się pierwszym w Izbie Gmin, nie robiła częstokroć żadnego wrażenia w Izbie Lordów. Sroga choroba łamała mu stawy, a jeżeli stawom dawała pokój, to padała zaraz na mózg i na nerwy. W ostatnich latach życia znienawidzony od dworu, nie był on przecież w serdecznych stosunkach z większością opozycyi. Chatham był tylko ruiną Pitta, ale ruiną groźną i majestatyczną, na którą każdy człowiek myślący patrzeć musiał z takiem wzruszeniem, z jakiem się patrzy na pozostałe szczątki Parthenonu i Kolizeum. Pod jednym względem stary mąż stanu wielce był szczęśliwym; przez całe życie znajdował pokój i miłość u domowego ogniska. Kochał wszystkie swe dzieci, nawzajem od nich kochany, a ze wszystkich dzieci najdumniejszy był ze swego drugiego syna i najbardziej w nim rozmiłowany.

Gieniusz i ambicya tego dziecka rozwinęły się tak wcześnie, że było to uderzającem i prawie nienaturalnem. Zajęcie ważnemi przedmiotami, zapał do nauk, trafność i żywość uwag jego o książkach i wypadkach zdumiewały rodziców, kiedy miał zaledwo lat siedem. Jedno z malujących go słów z owego czasu, powtórzył nauczyciel jego matce. W Sierpniu 1766, kiedy cały świat poruszyła wiadomość, że Pan Pitt został Hrabią Chatham, mały William, dowiedziawszy się o tem, zawołał: »Cieszę się, że nie jestem starszym synem, bo muszę mówić w Izbie Gmin, jak Papa.« Przechował się list jeden Lady Chatham, niepospolitego umysłu kobiety, w którym donosi mężowi, że młodszy syn w dwunastu leciech, zostawił daleko za sobą starszego, który miał piętnaście. »Subtelność umysłu Williama«, pisze matka, »sprawia, że znajduje on największą

rozkosz w tem, co przechodziłoby pojęcia każdego chłopięcia jego wieku.« W czternastu leciech chłopię to, duchem było mężem. Hayley [1]), który spotkał go w Lyme w lecie 1773, unosił się z radości i z podziwienia, a cokolwiek się i obawiał, słysząc tyle dowcipu i mądrości z ust tak młodocianych. W późniejszych czasach żałował poeta, że nieśmiałość wstrzymała go od poddania pod sąd tego nadzwyczajnego dorostka, planu obszernego literackiego utworu, z którym się podówczas nosił. Wyrostek ten, był już podówczas napisał tragedyą, złą naturalnie, ale nie gorszą jak tragedye jego rówieników i przyjaciół. Sztuka ta przechowała się do naszych dni, i jest z niektórych względów bardzo ciekawa. Nie ma w niej miłości, intryga jest czysto polityczna; a rzecz godna uwagi, że interes, jaki jest, wiąże się do sporu o Regencyą. Po jednej stronie jest wierny sługa korony, po drugiej spiskowiec ambitny i niesumienny; nareszcie powraca król, którego miano za zgubionego, odbiera rządy na siebie i wynagradza wiernego obrońcę swoich praw. Czytelnik, któryby sądził z wewnętrznych tylko poszlak i dowodów, nie wahałby się wyrzec, że sztukę tę napisał lichy jakiś wierszopis ze stronnictwa Pitta, w czasie radości powszechnej z wyzdrowienia Jerzego III, w roku 1789.

Radości, z jaką rodzice Williama patrzali na rozwój jego władz umysłowych, ujmowały nieco obawy o jego zdrowie. Rósł on nadzwyczaj szybko, często był słaby, a zawsze wątły, tak, że niepodobieństwem się zdawało wyhodować na drzewo latorośl tak śmigłą, tak cienką i tak słabą. Lekarze radzili Porto; w skutku czego w czternastym roku miał się już przyzwyczaić do zażywania tego przyjemnego lekarstwa w takich ilościach, które w naszym wstrzemięźliwym wieku uchodziłyby za wystarczające aż nadto dla dorosłego człowieka. Dyeta ta, która prawdopodobnie byłaby zabiła dziewięćdziesięciu dziewięciu chłopców na stu, musiała przecież stósowną być do konstytucyi Williama, skoro w piętnastu leciech przestał słabować,

[1]) Hayley, pisarz, ur. 1745, um. 1820.

a choć nigdy silnym co się nazywa nie został, był przecież dosyć zdrowym pomimo długich lat niepokojów i mozołu, pomimo nocy trawionych na rozprawie, a pór letnich przepędzonych w Londynie. Zdaje się, że wątłość jego stała się powodem, dla którego nie odebrał takiego wychowania, jak wszyscy zwykle chłopcy jego stanu. Wszyscy niemal znakomici mowcy i politycy, z którymi później był w przymierzu lub w walce, North, Fox, Shelburne, Windham, Grey, Wellesley, Grenville, Sheridan, Canning, przeszli przez szkołę wychowania publicznego. Lord Chatham sam był także celującym Etończykiem, a rzadka rzecz, żeby celujący Etończyk zapomniał kiedy, co zawdzięcza Etońskiemu Collegium. Ale zdrowie Williama wymagało czulej pieczołowitości, jaką w domu tylko znaleźć można, i dlatego chować się musiał pod dachem rodzinnym. Naukami jego kierował duchowny pewien, nazwiskiem Wilson, a choć częstokroć przerywane chorobą, szły one nadzwyczaj pomyślnie. Zanim jeszcze chłopiec skończył był lat piętnaście, posiadł on taką znajomość matematyki i języków starożytnych, z jaką nie wielu ośmnastoletnich młodzieńców wstępowało podówczas do Kollegium. Pod koniec też roku 1773 posłano go do Pembroke-Hall na uniwersytecie w Cambridge. Uczeń tak młody wymagał większej nierównie czujności, niż poświęcać jej zwykli akademikom dozorcy po kollegiach. Dozór akademickiego życia Williama, powierzonym został niejakiemu panu Pretyman, bakałarzowi sztuk wyzwolonych, który w poprzednim roku był Seniorem Dysputantów, a który, choć nie miał ujmującej powierzchowności ani świetnych zdolności, był przecież gruntownie uczonym, doskonałym zwłaszcza geometrą, a przytem bardzo rozsądnym i pracowitym. Przez całe dwa lata w Cambridge był Pretyman nierozłącznym, a raczej jedynym prawie towarzyszem swojego ucznia; wyrosła z tego ścisła i wierna przyjaźń między nimi; uczeń, zanim jeszcze doszedł lat dwudziestu ośmiu, zrobił nauczyciela biskupem w Lincolu i dziekanem św. Pawła, a nauczyciel okazał swoją

wdzięczność tem, że napisał żywot ucznia, który to żywot cieszy się sławą najgorszej w świecie biografii takich rozmiarów.

Dopóki nie otrzymał stopni akademickich, miał Pitt jednego zaledwo znajomego, rano i wieczór regularnie chodził do kaplicy, jadał zawsze we wspólnej sali, i ani razu nie był na żadnym wieczorze. W siedemnastu leciech został, podług szkodliwego zwyczaju owych czasów, Magistrem Sztuk wyzwolonych bez żadnego examinu, z prawa urodzenia, ale przez lat kilka jeszcze zostawał w kollegium i przykładał się usilnie pod kierunkiem Pretymana do nauk, jakich tam udzielano, wdając się przytem swobodnie z najlepszemi na akademii towarzyskiemi kółkami.

Zasób wiadomości, jaki Pitt zebrał w tej epoce swego życia, był istotnie zadziwiający; ale nad to nie nauczył on się już niczego więcej, bo niebawem został tak zajętym, że na książki czasu oszczędzać nie mógł. Ze wszystkich książek największe miał upodobanie w *Principiach* Newtona [1]); zapał jego do matematyki dochodził do namiętności, którą, zdaniem nauczycieli jego, niepospolitych także matematyków, poskramiać raczej jak zachęcać należało. Jeden z najzdolniejszych pomiędzy tymi, którzy przewodniczyli podówczas dysputom uczniów i egzaminom w Domu Senackim, utrzymywał, że bystrość i szybkość, z jaką Pitt rozwiązywał zagadnienia, nie miała równej na uniwersytecie. Nie mniej zadziwiające były postępy młodzieńca w naukach klasycznych. Pod jednym tylko względem tracił on na porównaniu z drugiego lub trzeciego nawet rzędu uczniami szkół publicznych. Pod kierunkiem Wilsona nigdy nie pisywał nic w językach starożytnych, i dlatego nie przyswoił sobie nigdy tej mechanicznej biegłości w wierszowaniu, jaką posiadać zwykli często chłopcy powierzchownie tylko obeznani z literaturą Grecyi i Rzymu. Nie byłby on nigdy potrafił napisać tak ładnych elegicznych wierszy, jak te, w których

[1]) *Philosophiae naturalis principia mathematica.* Wydane w roku 1687.

Wellesley żegnał Eton, ani takich Vergiliuszowych niemal heksametrów, jak te, w których Canning opisał pielgrzymkę do Mekki. Ale wątpić się godzi, czy jakikolwiek uczeń posiadał kiedy w latach dwudziestu gruntowniejszą znajomość dwóch języków cywilizowanego świata starożytności. Starzy krytycy zdumiewali się nad łatwością, z jaką przenikał myśl i znaczenie zdań najzawikłańszych w attyckich pisarzach. Usadził się, by zapoznać się dokładnie z całą pozostałą grecką poezyą, i nie miał spokoju, dopóki nie zrozumiał Kassandry Lykofrona, najniezrozumialszego utworu z całej literatury starożytnej. Osobliwszy ten rapsod, którego trudności odpychały wielu znakomitych uczonych i doprowadzały ich do rozpaczy, »czytał on, jak mówi jego nauczyciel, »od pierwszego razu z łatwością, »którą byłbym uważał za przechodzącą możność ludzkiego »umysłu, gdybym sam nie był widział na własne oczy.«

Literaturze nowożytnej, mało w porównaniu oddawał się Pitt. Oprócz francuzkiego, nie znał ani jednego żyjącego językaa, francuzki także znał bardzo niedokładnie. Z niektórymi z najlepszych pisarzów angielskich obeznany był doskonale, z Szekspirem mianowicie i z Miltonem. Narada w Pandemmonium była jednym z najulubieńszych jego ustępów, i słusznie. Przyjaciele jego młodości lubili opowiadać w długi czas jeszcze po jego śmierci, o trafnym wyrazie i dźwięku, z jakim deklamował nieporównaną mowę Beliala. Istotnie, ćwiczono go od dzieciństwa w sztuce władania głosem, który z natury był dźwięcznym, i pełnym zwłaszcza pięknych nizkich tonów. Ojciec jego, którego wymowa zawdzięczała tej sztuce nie małą część wrażenia, jakie robiła, służył mu w tej mierze za najlepszego i najzręczniejszego mistrza. W późniejszych czasach ludzie zagniewani na to, że Pitt dźwięczną swoją deklamacyą porywał zupełnie noc po nocy całe szeregi wiejskich szlachciców, zarzucali mu, że »nauczył się jej od taty, kiedy jeszcze na podnóżkach siadywał.«

Wychowanie jego istotnie było wybornie do tego zastósowane, żeby go wykierować na wielkiego parlamentarnego

mowcę. Jednym z najczęstszych zarzutów przeciwko tym naukom klasycznym, które tak wielkie zajmują miejsce w pierwszej połowie życia każdego człowieka, wychowanego w południowej części naszej wyspy, jest ten, że niedozwalają one uczniom owładnąć dobrze języka ojczystego, że częstokroć spotkać można młodzieńca wielkich zdolności, który pisze po łacinie Cycerońską prozą i wiersze alkaiczne składa po łacinie jak Horacy, ale nie umie wyrazić myśli swoich w jasnej, zrozumiałej i jędrnej angielszczyźnie. Zarzut ten może poniekąd być słusznym. Ale co do Pitta, to jego nauki klasyczne prowadzone były w sposób zupełnie osobny, i miały ten skutek, że zbogaciły tylko jego zapas wyrazów angielskich, i nadały mu niesłychaną biegłość w budowaniu pięknych i poprawnych angielskich okresów. Miał on zwyczaj przejrzeć parę kartek łacińskiego lub greckiego autora, wyrozumieć z nich myśl, a potem czytać odrazu cały ustęp w języku ojczystym. Sposobu tego ćwiczenia, przyjętego jeszcze pod dozorem Wilsona, trzymał on się zawsze, choć przeszedł pod kierunek Prettymanna. Nic dziwnego, że młodzieniec wielkich zdolności, który ćwiczył się w ten sposób dzień w dzień przez lat dziesięć, nabrał niezrównanej biegłości w przyodziewaniu myśli swoich w wyrazy dobrze dobrane i dobrze uszykowane.

Ze wszystkich zabytków starożytnej literatury, najpilniej zajmował się Pitt mowami. Najmilszem jego zatrudnieniem było porównywać przeciwne sobie oracye o tej samej sprawie, rozbierać je, i śledzić, które z dowodów pierwszego mowcy drugi zbijał, które mijał, i których wreszcie nie dotykał wcale. I nie z samych tylko książek uczył się on podówczas sztuki parlamentarnego szermierstwa. Kiedy przebywał w domu, miewał często sposobność przysłuchiwania się ważnym rozprawom w Westminster; i przysłuchiwał im się nie tylko z zajęciem i rozkoszą, ale z taką uwagą ścisłą i namiętnością, z jaką uczeń w szpitalu śledzi każdego ruchu ręki wielkiego chirurga przy trudnej i wielkiej operacyi. Przy takiej to sposobności, Pitt, młodzieniec, o którego zdolnościach wiedziała dotychczas

sama tylko rodzina i ciasne kółko szkolnych przyjaciół, poznał się w Izbie Lordów na stopniach tronu z Foxem, starszym od siebie o lat jedenaście, i już podówczas największym w rozprawie, a w ogóle jednym z największych mowców, jacy byli w Anglii kiedykolwiek. Fox opowiadał często w późniejszych latach, że w ciągu rozpraw Pitt zwracał się do niego co chwila z uwagami jak następne: »Nie prawda, że na to dałoby się odpowiedzieć w ten sposób?« — lub: dobrze — ale odsłania się znowu na zarzut taki a taki.« Do czego właściwie ściągały się te uwagi, Fox zapomniał, ale powtarzał, że w owej chwili zdumiewał go przedwczesny rozum tego chłopca, który przez cały ciąg posiedzenia o tem tylko myślał, w jaki sposób każda mowa zbićby się dała.

Jedno z takich posiedzeń w Izbie Lordów stanowiło pamiętną i smutną epokę w życiu Pitta. Nie ukończył on jeszcze dziewiętnastego roku życia, kiedy 7 kwietnia 1778 r. zaprowadził ojca do Westminster. Miała tam przyjść na stół ważna rozprawa. Dowiedziano się, że Francya uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych; książę Richmond miał oświadczyć się ze zdaniem, jako porzucić należało wszelką myśl zatrzymania kolonii przemocą. Chatham utrzymywał zawsze że opór kolonii był słuszny i sprawiedliwy, ale rozumiał błędnie, że z dniem uznania ich niepodległości skończy się i wielkość Anglii. Upadający pod ciężarem lat i cierpień, nie zważając na łzy i prośby rodziny, postanowił w dniu tym być na swojem stanowisku. Syn zaprowadził go do krzesła, ale nie mógł starzec wytrzymać takiego wzruszenia i wysilenia, i w chwili kiedy przemawiał do Parów, upadł w napadzie konwulsyi. W kilka tygodni później przeniesiono zwłoki jego z ponurą pompą do Westminsterskiego Opactwa. Ukochany syn i imiennik zmarłego męża stanu szedł za trumną i widział, jak ją złożono w tem samem skrzydle kościoła, w którem jego także trumna spocząć kiedyś miała.

Brat jego starszy, teraz przez śmierć ojca Hrabia Chatham, miał dostateczne i aż nadto dostateczne środki do utrzy-

mania godności parostwa; ale młodsze dzieci skąpo były zaopatrzone. William miał mało co więcej jak trzysta funtów rocznego dochodu; musiał zatem szukać sobie jakiegoś zawodu. Już i tak zaczął był żyć z kapitału; na wiosnę roku 1780 doszedł do pełnoletności, opuścił Cambridge, został adwokatem, wziął mieszkanie w Lincolns Inn i wszedł w najwyższe koła towarzyskie Londynu. W jesieni tegoż samego roku nastąpiły powszechne wybory, a Pitt podał się na kandydata Uniwersytetu, ale imię jego stało na samym końcu listy. Zdaje się, że poważni doktorowie w szkarłatnych togach uważali to za niesłychaną zarozumiałość, że człowiek tak młody śmiał żądać tak wysokiego dostojeństwa. Na wstawienie jednak dziedzicznego przyjaciela swego domu, księcia Rutland, wszedł do Parlamentu przez wpływ Sir Jakóba Lowther, jako poseł z miasteczka Appleby.

Niebezpieczeństwa ojczyzny były w tej chwili tak wielkie, że mogły były zatrwożyć nieustraszony nawet umysł. Wojsko po wojsku napróżno wychodziło w pole przeciw zbuntowanym kolonistom Północnej Ameryki. W wielkich bitwach w szczęśliwej stoczonych pozycyi zwycięztwo zostawało wprawdzie przy wycieńczonych żołnierzach macierzystego kraju, ale nie takie to bitwy rozstrzygać miały o wypadku wojny. Zbrojny naród, który za sprzymierzeńców miał głód i Ocean, nie mógł żadną miarą być ujarzmionym. Dom Burbonów tymczasem, przed kilkoma laty upokorzony aż do ziemi gieniuszem Chathama, pochwycił sposobność zemsty; przeciwko nam połączyły się Hiszpania i Francya, a Hollandya przystąpiła świeżo do ich związku. Straciliśmy na czas jakiś przewagę na morzu Śródziemnem, a flaga angielska zaledwo utrzymać się mogła w angielskim kanale. Mocarstwa Północne były niby neutralne, ale neutralność ta groźne miała pozory. Na wschodzie Hyder wtargnął do Karnatyku, zniósł małe wojsko Bailliego i rozsiewał postrach aż do samych okopów twierdzy Fort St. George. Zatargi Irlandzkie groziły niczem mniej jak wojną domową, a w Anglii powaga rządu spadła była na najniższy szczebel.

Król i Izba Gmin zarówno byli niepopularni, a krzyk o reformę parlamentarną był tak niemal namiętny, jak w r. 1830. Groźne stowarzyszenia, pod przywództwem nie pospolitych demagogów, ale ludzi wielkiego stanowiska, nieposzlakowanego charakteru i znakomitych zdolności, domagały się rewizyi i naprawy systemu wyborczego. Gmin rozzuchwalony niedołęztwem i chwiejnością rządów, wyłamał się był z wszelkich karbów, oblegał Izby Prawodawcze, gwizdał na Parów, prześladował biskupów, napadał na poselstwa zagraniczne, pootwierał więzienia, palił i rozwalał domy. Przez kilka dni wyglądał Londyn jak miasto wzięte szturmem, a rząd musiał założyć obóz pod drzewami Parku St. James's.

Pomimo tych wszystkich wewnętrznych i zewnętrznych trudności i niebezpieczeństw, postanowił Jerzy III, ze stałością, która z męztwem i mądrością nic nie miała wspólnego, pokonać siłą oręża amerykańskich buntowników — a ministrowie poddawali się jego zdaniu. Niektórych z pomiędzy tych ministrów powodowała tylko chciwość i samolubstwo, ale naczelnik ich Lord North, człowiek wielkiej zacności, miłego usposobienia, żywego dowcipu, ujmującego obejścia i niepospolitych do spraw jak i do rozpraw zdolności, wolnym był od wszelkich nieszlachetnych pobudek. Zostawał on na stanowisku, z którego długo pragnął a nie raz próbował się usunąć, dla tego tylko, że nie miał dość siły, by się oprzeć wyrzutom i prośbom króla, który na wszelkie uwagi odpowiadał pytając namiętnym i gwałtownym tonem, czy jakikolwiek człowiek uczciwy i rozumny miałby serce opuścić tak dobrego Pana w chwili takiego niebezpieczeństwa.

Opozycya składała się z dwóch stronnictw, które niegdyś sobie przeciwne, pojednały się powoli, a pojednały, jak się niebawem pokazało, bardzo powierzchownie, ale które podówczas zdawały się iść razem jak najserdeczniej. Większe z tych stronnictw składało się z całej prawie Arystokracyi należącej do stronnictwa Whigów, a głową jego był Karol Margrabia Rockingham, człowiek rozumny i cnotliwy, co do bogactwa

i parlamentarnego wpływu mało równych mający, ale dotknięty nerwową jakąś nieprzezwyciężoną nieśmiałością, która mu nie dozwoliła nigdy wziąć znaczniejszego udziału w rozprawach. W Izbie gmin stronników Rockinghama prowadził Fox, którego życie rozpustne i zniszczony majątek były znane całemu miastu, ale którego wyższy gieniusz i serce szlachetne, łagodne i czułe, zniewalały miłość i uwielbienie tych nawet, którzy najbardziej błędy jego prywatnego życia opłakiwali. Burke, wyższy od Foxa co do obszerności rozumu i wiedzy, ale mniej od niego zręczny w tym szczególnym rodzaju retoryki i logiki, który porywa i przekonywa wielkie zgromadzenie, zgodził się chętnie zostać porucznikiem młodego wodza, który mógłby był być jego synem.

Mniejszy odłam opozycyi składali starzy zwolennicy Chathama. Na ich czele stał William Hrabia Shelburne, znamienity zarówno jako polityk i jako literat. Z nim sprzymierzony był Lord Camden, który niegdyś trzymał był wielką pieczęć, a którego prawość, zdolność i znajomość konstytucyjnej ustawy, powszechne jednała mu poważanie; dalej Burre, deklamator wymowny a cierpki, i Dunning, który długi czas pierwsze zajmował miejsce w adwokaturze angielskiej. Rzecz naturalna, że młodego Pitta wszystko do tego stronnictwa ciągnęło.

Dnia 28 Lutego 1781, powiedział on pierwszą swoją mowę w obronie planu ekonomicznej Reformy, jaki podawał Burke. W tej samej chwili powstał także i Fox, ale natychmiast głosu ustąpił. Poważna, a żywa postawa młodego posła, zupełna jego pewność siebie, bystrość, z jaką odpowiadał mowcom poprzednim, srebrzysty dźwięk jego głosu i doskonała budowa nieprzygotowanych jego okresów, wprawiała słuchaczów w podziw i zachwycenie. Burke, poruszony do łez, zawołał, że »nie jest to wykapany ojciec, ale ojciec sam w swojej osobie« — »a Pitt będzie jednym z pierwszych ludzi w Parlamencie« rzekł do Foxa jeden z członków opozycyi. »Już nim jest«, odrzekł Fox, do którego serca zazdrość nie miała przystępu. Rzecz ciekawa, którą pamiętało doskonale wielu ludzi żywych jeszcze

przed niedawnym czasem, że wkrótce po owej rozprawie, Fox podał Pitta na członka klubu Brookes's.

W ciągu tej sesyi zabierał Pitt głos w dwóch jeszcze następnych rozprawach, a obadwa razy utrzymał godnie tę sławę, jaką sobie zjednał pierwszem swem wystąpieniem. W lecie po odroczeniu Izb powrócił znowu do swoich zatrudnień prawniczych, prowadził kilka procesów, i wywiązał się z nich tak, że Buller z ławy sędziów a Dunning od adwokackich kratek wysokie oddali mu pochwały.

Dnia 27 Listopada zebrał się Parlament na nowo. Na czterdzieści i ośm godzin przedtem przyszła wiadomość o poddaniu się jenerała Cornwallis i jego wojska [1]), w skutku czego trzeba było zmienić zupełnie mowę tronową. Wszyscy ludzie w całem królestwie, z wyjątkiem samego tylko króla, przekonali się, że szaleństwem było myśleć o pokonaniu Stanów Zjednoczonych. Przy rozprawie adresowej mówił Pitt z większą jak kiedykolwiek dotąd świetnością i siłą. Sprzymierzeńcy zasypali go oklaskami, ale nikt, zauważono, nawet z własnej strony mowcy, nie był głośniejszym w pochwałach od Henryka Dundas, Lorda adwokata Szkocyi, który mawiał z ławek ministeryalnych. Zdolny ten i zmienny polityk przewidywał już jasno upadek tego rządu, z którym był związany i myślał już o tem, jakby się wymknął ze zwalisk. Od tego dnia wszczęło się jego zbliżanie do Pitta, które niebawem zamieniło się w ścisłą zażyłość i trwało, dopóki go śmierć nie rozerwała.

Około dwóch tygodni później, mówił Pitt w komisyi wyznaczonej do roztrząsania dodatków do budżetu wojskowego. Na ławie Ministerstwa Skarbu okazały się niejakie oznaki nieporozumienia. Lord George Germanie, Sekretarz Stanu, któremu szczególnie poruczonem było prowadzenie wojny amerykańskiej, mówił rzeczy niezgodne wcale z tem, co mówił Minister Skarbu. Pitt podniósł tę niezgodność z wielką by-

[1]) Kapitulacya pod York-Town. 1781 r., w której jenerał Cornwallis złożył broń przed Francuzami pod dowództwem Lafayette.

strością i siłą. Lord George i Lord North zaczęli szeptać między sobą, a Welbore Ellis, stary wyjadacz urzędowy, który od dni jeszcze Henryka Pelham co kwartału bez przerwy niemal pensyę pobierał, wścibił między nich głowę, żeby wtrącić i swoje słowo. Przerwy takie zbijają często z tropu najdoświadczeńszych nawet mowców. Pitt zatrzymał się, popatrzał na grupę tych trzech panów i rzekł równie stosownie jak dowcipnie, że »poczeka aż Nestor uspokoi spór Agamemnona z Achillesem.«

Po kilku porażkach i kilku wygranych, które zaledwo różniły się od porażek, Ministeryum podało się do dymisyi. Król choć opornie i z widoczną niechęcią zgodził się wziąć Lorda Rockingham na pierwszego ministra. Fox i Shelburne zostali sekretarzami Stanu; Lord John Cavendish, jeden z najuczciwszych i najszanowniejszych ludzi, przyjął Kanclerstwo Skarbu, a Thurlow, którego tęgość charakteru i zdolności wzniosły na dyktatora Izby Lordów, zatrzymał nadal Wielką Pieczęć.

Pittowi ofiarowano przez pośrednictwo Lorda Shelburne urząd Vice-Podskarbiego Irlandyi, jeden z najłatwiejszych do sprawowania i najlepiej płatnych ze wszystkich, jakie Korona miała do rozdania, ale Pitt odrzucił go bez namysłu. Postanowił sobie bowiem młody polityk, że nie przyjmie żadnej posady, któraby mu nie dawała prawa do krzesła w Gabinecie, i w kilka dni później oświadczył to postanowienie w Izbie. Pamiętać należy, że gabinet był podówczas ciałem więcej doborowem i ograniczonem na mniejszą liczbę członków jak dzisiaj. My widzieliśmy gabinety złożone z szesnastu osób; za czasów naszych dziadków, dziesięć lub jedenaście było już liczbą niesłychanie wielką, a zwykłą liczbą było siedm osób w gabinecie. Nawet Burke, który przyjął zyskowny urząd Płatnika, w gabinecie nie zasiadał. Oświadczenie Pitta wydało się zatem wielu ludziom nieprzyzwoitem, a on sam żałował, że się z niem pospieszył. Słowa te, mówił potem prywatnie, wymknęły mu się w zapale rozprawy, a zaledwo je wymówił, byłby dał cały świat za to, żeby je odwołać. U publiczności wszelako nie

zaszkodziły mu one wcale. Drugi William Pitt dowiódł, jak mówiono, że odziedziczył nietylko gieniusz, ale i wyniosłego ducha pierwszego. W synu jak w ojcu mogło być za wiele dumy, ale nie było nic nizkiego ani nieszlachetnego. Mogło być zarozumiałością ze strony młodego adwokata żyjącego za trzysta funtów rocznie, odmawiać rocznej płacy pięć tysięcy funtów, dlatego tylko, że nie chciał nagiąć się do mówienia lub głosowania za polityką, na którą sam nie wpływał, ale zarozumiałość taka, mówiono, nie wiele umyka się od cnoty.

Pitt w ogóle popierał administracyą Rockinghama, ale zarazem nie opuszczał żadnej sposobności przypodobania się stronnictwu ultra Whigów, które stworzyła była sprawa wyborów w Middlesex i prześladowanie Wilkes'a, a które tak co do liczby jak i co do ducha strasznem się stało w skutku nieszczęsnych wypadków wojny amerykańskiej i tryumfu republikańskich zasad w Ameryce. Kiedy wniesiono, aby skrócić czas trwania Parlamentów, Pitt przemawiał za tym wnioskiem, a sam wniósł, aby wyznaczono komisyą do roztrząśnienia systemu wyborczego. W mowie, którą wniosek swój tłomaczył i uzasadniał, oświadczył się stanowczo przeciwko (tak zwanym) zgniłym miasteczkom, tym fortecom przekupstwa, którym przypisywał wszystkie klęski narodu, a które, jak się wyraził w jednem z tych zdań zwięzłych i dźwięcznych, któremi władał wszechstronnie, rosło ze wzrostem Anglii, wzmagało się z jej mocą, ale nie słabło z jej osłabieniem, nie upadało z jej upadkiem. Fox popierał go w tym razie, a wniosek upadł większością dwudziestu tylko głosów na trzystu z górą głosujących. Zwolennicy Reformy wyborczej nigdy tylu głosów nie mieli aż do roku 1830.

Nowy gabinet obfitym był w niepospolite zdolności, i popularniejszym od wszystkich, jakie trzymały władzę od pierwszego roku panowania Jerzego III, ale król go nienawidził, Parlament słabo tylko popierał, a do tego szarpały go jeszcze wewnętrzne nieporozumienia. Kanclerza nienawidzili i podejrzywali wszyscy niemal koledzy; obadwaj sekretarze Stanu

patrzali na siebie zawistnem okiem; wydziały ich nie były wyraźnie odgraniczone, w skutku czego musiały zachodzić zazdrości, przywłaszczenia władzy i skargi. Rockingham nie mógł zrobić nic więcej, jak utrzymać pokój w gabinecie, a zanim jeszcze gabinet ten liczył trzy miesiące istnienia, Rockingham umarł.

W jednej chwili wszystko było w nieładzie. Stronnicy zmarłego ministra widzieli naczelnika swego w księciu Portland; król postawił Lorda Shelburne na czele skarbu, a Fox, Burke i Lord John Cavendish natychmiast złożyli urzędy; tak, że nowy pierwszy minister musiał złożyć rząd z materyałów bardzo niedostatecznych. Posiadał on wielkie parlamentarne zdolności, ale nie mógł zasiadać tam, gdzie zdolności te były właśnie najpotrzebniejsze. Trzeba było koniecznie znaleźć jakiegoś członka Izby Gmin, któryby mógł zmierzyć się z wielkimi mowcami opozycyi, a Pitt jeden posiadał potrzebną odwagę i wymowę. Ofiarowano mu wielką posadę kanclerza Skarbu, którą też przyjął. Ukończył on był podówczas zaledwo rok dwudziesty trzeci.

Parlament niebawem został odroczonym. Podczas wakacyj doszły do szczęśliwego końca układy pokojowe, rozpoczęte jeszcze za Rockinghama. Anglia uznała niepodległość zbuntowanych kolonij, a europejskim swoim nieprzyjaciom odstąpiła kilka miejsc na morzu Śródziemnem i w Mexykańskiej zatoce. Ale warunki uzyskane były tak zaszczytne i korzystne, jak tylko można było się spodziewać przy takim obrocie wojny, i gdyby dalej prowadziła była walkę tak nierówną, trudnoby była lepsze otrzymała. Wszystkie jej części żywotne, wszystkie istotne źródła jej potęgi, pozostały nietknięte. Ocaliła ona nawet swoją godność, bo odstąpiła domowi Burbonów to tylko, co mu w poprzednich wojnach zabrała. Posiadłości Indyjskie zostały przy niej w całości, a na przekór wysileniom dwóch wielkich mocarstw, flaga jej powiewała zawsze na skale Gibraltaru. Niema najmniejszego powodu wątpić, że gdyby Fox został był w rządzie, nie byłby się wahał zawrzeć pokoju na takich warunkach; na nieszczęście wielki ten i ujmujący

człowiek, dał się podówczas porwać namiętności do błędu, skutkiem którego gieniusz i cnoty jego, stały się na lat wiele zupełnie nieużytecznemi ojczyźnie.

Widział on, że Izba Gmin dzieliła się natenczas na trzy stronnictwa; jego właśnie, North'a i Lorda Shelburne, widział, że żadne z tych stronnictw nie było dość wielkiem, by stać o własnej sile, że zatem, jeżeliby się dwa z nich nie połączyły, rząd musiałby być niezmiernie słabym, a raczej, że nastąpićby musiał cały szereg niezmiernie słabych rządów, i to w chwili, kiedy rząd silny nieodbicie był potrzebnym dla szczęścia i godności narodu. Było zatem rzeczą konieczną i słuszną, żeby nastąpiło przymierze. Każdemu z możliwych podówczas przymierzów dało się wiele zarzucić, ale najmniej przecież niezaprzeczenie, przymierzu między Foxem a Lordem Shelburne. Stronnicy jednego jak drugiego byliby je powitali z radością; a dało się ono zrobić bez żadnego poświęcenia zasad z którejkolwiek strony. Na nieszczęście świeże zatargi zostawiły w umyśle Foxa głęboką niechęć i nieufność do Lorda Shelburne. Pitt próbował pośredniczyć i dostał upoważnienie wezwać Foxa, aby napowrót wstąpił w służbę Korony; ale Fox zapytał, czy Lord Shelburne ma zostać nadal pierwszym ministrem, a na potwierdzającą odpowiedź Pitta, rzekł, »że nie może działać z nim wspólnie.« »To nasze układy skończone« odpowiedział Pitt, »bo ja nie mogę go zdradzić.« Tak się rozeszli ci dwaj ludzie, i nigdy już potem nie spotkali się w miejscu prywatnem.

Skoro Fox i jego przyjaciele nie chcieli porozumieć się z Lordem Shelburne, nie pozostawało im nic, jak wejść w układy z Northem. Utworzyło się to nieszczęsne przymierze, znane od dziś dnia przed wszystkiemi innemi pod imieniem Koalicyi. Nie uszło jeszcze trzech kwartałów, odkąd Fox i Burke grozili Northowi sądem Izby, odkąd przedstawiali go noc w noc, jako najsamowolniejszego, najprzekupniejszego i najniezdolniejszego z ministrów; a teraz skojarzyli się z nim dlatego jedynie, żeby wyrzucić z posady ministra, z którym nie różnili się

w zdaniu co do żadnej ważniejszej sprawy lub zasady. Nie mieli nawet tej przezorności, ani tej cierpliwości, żeby poczekać na jakąś sposobność, przy którejby mogli, bez zaprzeczenia samych siebie, połączyć się z dawnymi nieprzyjaciółmi przeciwko rządowi; a jak żeby na to umyślnie, żeby już nic do zgorszenia nie brakowało, wielcy mowcy, którzy przez lat siedm piorunowali przeciwko wojnie, teraz ręka w rękę ze sprawcami tej wojny zaczęli piorunować na pokój.

Parlament zeszedł się przed Bożem Narodzeniem 1782, ale preliminaryów pokoju nie podpisano aż w Styczniu 1783. Izba Gmin wzięła je pod obrady 17 Lutego; przez dni kilka obiegały niepewne pogłoski, jakoby North i Fox byli zawarli przymierze, a rozprawa dowiodła aż nadto, że pogłoski te nie były bez podstawy. Pitt był słaby i cierpiący; kiedy zażądał głosu, już znużony był i on sam i słuchacze, i dlatego mniej mu się powiodło, niż kiedykolwiek przedtem. Sami wielbiciele jego przyznawali, że mowa była słaba, i niegodnie gwałtowna. Zapomniał się w niej tak dalece, że radził Sheridanowi [1]), żeby poprzestał na zabawianiu teatralnego audytoryum; które to niegodne szyderstwo dało Sheridanowi sposobność do odparcia mu nader trafnie, że »po tem co dziś słyszał, wielką miał pokusę popróbować współzawodnictwa z takim mistrzem jak Ben Jonson [2]), i przedstawić na scenie rozzłoszczonego smarkacza.« Przy pierwszem głosowaniu, projekt adresu podany przez stronników Rządu, odznaczonym został większością szesnastu głosów.

Ale Pitt nie był człowiekiem, któryby stracił serce po jednej przegranej, lub dał się zbić z tropu choćby najdowcipniejszym przycinkiem. W kilka dni później, kiedy opozycya wnosiła wprost naganę pokoju, mówił on tak wymownie, tak silnie

[1]) Sheridan, Ryszard ur. 1751 r.; pisarz komedyi miernej wartości. Mowca parlamentarny świetny. Marnotrawca i rozpustnik, zamykany do więzienia za długi.

[2]) Ben Jonson (Beniamin), ur. 1574 r., um. 1616, sławny poeta dramatyczny.

i tak godnie, że sława i popularność jego stanęły wyżej jak kiedykolwiek. Koalicyi Foxa z Northem dotknął w sposób, który wywołał szalone oklaski jego zwolenników. »Jeżeli« rzekł, »małżeństwo to przeciw naturze i pod złą wróżbą zawarte, nie »jest jeszcze dokonanem, to ja wiem o jednej słusznej i pra»wnej przeszkodzie, i w imię publicznego dobra zakazuję zapowiedzi.«

Ministrowie znowu pozostali w mniejszości, a Shelburne w skutku tego podał się do dymisyi. Król ją przyjął, ale walczył długo i zacięcie, zanim poddał się warunkom stawianym przez Foxa, którego wad nienawidził, a którego potężnego i wyniosłego umysłu nienawidził jeszcze bardziej. Kilkakrotnie ofiarowano Pittowi pierwsze miejsce w wydziale Skarbu, ale posadę tę, jakkolwiek powabną, odrzucał on statecznie. Młodzieniec ten, którego roztropność nie mniej przedwczesną była jak wymowa, wiedział, że czas jego nadchodził, ale że nie był jeszcze nadszedł, i dlatego głuchym był na wszystkie prośby i wymówki króla. Jego Królewska Mość, żaląc się gorzko na tchórzliwość Pitta, próbowała złamać Koalicyą. Na Northa użyto wszelkich środków i sposobów, ale napróżno; kraj przez kilka tygodni nie miał żadnego rządu. Dopiero kiedy wszystkie wybiegi zawiodły, kiedy postawa Izby Gmin stała się naprawdę groźną, wtedy dopiero król ustąpił. Książę Portland mianowany został Wielkim Podskarbim (pierwszym ministrem); Thurlow dostał dymisyą; Fox i North wyszli na Sekretarzów Stanu z władzą na oko jednaką; ale w rzeczywistości, na prawdę, pierwszym ministrem był Fox.

Pora posunęła się znacznie, zanim się ten układ ustalił i nic bardzo ważnego nie dało się zrobić przez resztę tej sesyi. Pitt, teraz w opozycyi wniósł na nowo pod obrady Izby kwestyą reformy wyborczej. Wnosił on, aby wzmocnić Izbę stoma odrazu posłami z hrabstw, kilkoma z metropolitalnych okręgów, i aby uchwalić, że każde miasteczko, o którem komitet wyborczy dałby zdanie, jakoby większość wyborców wydała mu się przekupioną, straciło prawo wysyłania posła

do Parlamentu. Wniosek ten odrzuciła Izba większością 293 głosów przeciwko 149.

Po odroczeniu Parlamentu udał się Pitt na stały ląd po raz pierwszy i ostatni. Za towarzysza podróży miał jednego z najbliższych swoich przyjaciół, rówiennika swojego Williama Wilberforce, który już odznaczył się był w Parlamencie łatwą i ujmującą wymową, podniesioną jeszcze przez najsłodszy i najdźwięczniejszy z ludzkich głosów, a który miał nadto serce tak kochające, obejście tak miłe i dowcip tak świetny, że był najmilszym z towarzyszów. Był to właśnie czas Anglomanii we Francyi; rzecz prosta zatem, że za synem wielkiego Chathama uganiali się uczeni, literaci i kobiety wielkiego świata, i że go wciągali, wbrew jego woli, w polityczne rozprawy. Przechowało się jedno słowo, które mu się w ciągu tej podróży wymknęło. Francuz jeden dziwił się przed nim, że Fox, człowiek goniący przedewszystkiem za rozkoszą, zniszczony grą i zakładami, mógł taką mieć przewagę i takie zachowanie u angielskiego narodu. »Kto nie był«, odrzekł Pitt, »pod rószczką tego czarodzieja, ten tego nie może zrozumieć.«

W Listopadzie 1783 r. Parlament zebrał się na nowo. Rząd miał w Izbie Gmin siłę nieprzełamaną, a w Izbie Lordów zdawał się stać równie niemal silnie, ale w rzeczywistości otoczony był ze wszech stron wielkiemi niebezpieczeństwami. Król niecierpliwie wyglądał chwili, kiedy mógłby wyzwolić się z pod jarzma, które go już tak nieznośnie tarło, że nieraz myślał wynosić się do Hanoweru; a naród nie mniej pewnie od króla pragnął zmiany. Fox i North popełnili błąd stanowczy. Powinni byli wiedzieć, że przymierze między dwoma nieprzyjaznemi stronnictwami wtedy tylko może się udać, jeżeli niższe warstwy obu przejęte są pragnieniem tego przymierza. Jeżeli zaś wodzowie się łączą, zanim żołnierze najmniejszą mają chęć do pojednania, wtedy najczęściej wybuchnie bunt w obu obozach, a oba wojska zrobią przymierze między sobą, żeby się pomścić na tych, przez których zdradzonemi się być mniemają. Tak się stało w r. 1783. Na początku tego pamiętnego

roku, North uznanym był za głowę stronnictwa starych Torysów, którzy jakkolwiek przygnieceni na chwilę fatalnym obrotem wojny Amerykańskiej, byli zawsze wielką w państwie potęgą. Na niego spoglądało przez długi czas ze czcią i z ufnością Duchowieństwo, Uniwersytety i cała ta wiejska szlachta, której hasłem był »Kościół i Król.« Fox znowu, z drugiej strony, był dawniej bożyszczem Whigów i wszystkich protestantów dyssydentów. Koalicya odstręczyła w jednej chwili najgorliwszych Torysów od Northa, najgorliwszych Whigów od Foxa. Uniwersytet Oxfordzki, który okazał uznanie prawowierności Northa, wybierając go na swego kanclerza, i miasto Londyn, które przez lat dwadzieścia i dwa było w wojnie z dworem, zarówno teraz były zniechęcone. Szlachcice i Rektorowie, spadkobiercy zasad kawalerów z XVII-go wieku, nie mogli przebaczyć swojemu przywódzcy, że połączył się z niewiernymi poddanymi na to, by królowi gwałt zadawać; a członkowie Towarzystwa Billu Praw i Stowarzyszenia Reformy, wściekali się na to, że ulubiony ich mowca nazywał teraz głównego rycerza tyranii i przekupstwa swoim szlachetnym przyjacielem. I tak naraz zostały się dwa wielkie obozy bez wodzów, i oba razem zaczęły spoglądać na Pitta. Jedno stronnictwo widziało w nim jedynego człowieka, który mógł wyswobodzić króla, drugie jedynego, który mógł oczyścić Parlament. Popierał go z jednej strony arcybiskup Markham, kaznodzieja Prawa z Łaski Bożej, i Jenkinson wódz pretoryańskiej bandy przyjaciół króla, z drugiej Jebb i Priestley, Sawbridge i Cartley, Wilkes i Horne Tooke. Na ławach Izby Gmin wszelako szeregi większości ministeryalnej nie łamały się ani nie chwiały, a niepodobieństwem się zdawało, aby jakikolwiek mąż stanu śmiał porwać się na tak ogromną większość. Żaden król z Hanowerskiego domu nie odważył się dotąd odwołać się od ciała prawodawczego do ciała wyborczego, i dlatego też ministrowie, nie zważając na chmurne oblicze i szemranie, z którem król przyjmował ich pomysły w gabinecie, ani na krzyki obmowy, które coraz wyraźniej

dolatywały ze wszystkich stron wyspy, mieli się za zupełnie bezpiecznych.

Zaufanie ich w własnych siłach było takie, że natychmiast po otwarciu Parlamentu wystąpili z niezmiernie śmiałym i oryginalnym planem urządzenia posiadłości angielskich w Indyi. Wnosili oni, aby cała władza, jaką dotychczas w posiadłościach tych sprawowała Kompania Wschodnio-Indyjska, zlaną została na siedmiu komisarzów mianowanych przez Parlament, którychby król dowolnie odwoływać nie mógł. Hrabia Fitzwilliam, najściślejszy przyjaciel Foxa, miał być wydziału tego prezesem, a jednym z członków miał być najstarszy syn Northa.

Zaledwo poznano zarysy tego planu, wybuchła z niezmierną siłą cała nienawiść, jaką obudziła przeciw sobie Koalicya. Pierwszem i najważniejszem pytaniem, o jakie tu przed wszystkiemi innemi chodzić było powinno, było to: czy zmiana taka mogła być korzystną dla trzydziestu milionów ludzi podległych kompanij, lub nie. Ale tego pytania nikt nawet na prawdę nie roztrząsał. Burke, który co do wniosków swoich mógł mieć słuszność lub jej nie mieć, ale miał przecież tę zasługę, że patrzał na tę sprawę z prawdziwego stanowiska, napróżno przypominał swoim słuchaczom, aby pomyśleli też o tej licznej ludności, której dzienne pożywienie zależeć teraz mogło od uchwały angielskiego Parlamentu. Mówił on z niezwykłą nawet u niego siłą myśli i wymowy o zniszczeniu w Rohilcund, o rabunkach w Benares, o złej polityce, która pozwoliła na zniszczenie cystern w Karnatyku, ale zaledwo go kto słuchał uważnie. Walczące stronnictwa, na ich wstyd powiedzieć trzeba, nie chciały o niczem słyszeć prócz o tem, co się bezpośrednio do Anglii odnosiło. Po za Izbą wrzawa na ministrów była powszechna; miasto i prowincye zgodne były w tej mierze; wszystkie korporacye krzyczały na pogwałcenie karty pierwszej korporacyi państwa, a Torysowie i demokraci zarówno ogłaszali wniesiony wydział za ciało niekonstytucyjne. Miało się ono składać, mówiono, z ludzi mianowanych przez Foxa, a celem jego było, dać nie Koronie, ale Foxowi osobiście, czyby

był w Rządzie czy w opozycyi, siłę ogromną, klientelę, któraby zrównoważyć mogła wpływ Ministerstwa Skarbu i Admiralicyi, i stanowić o wyborach w pięciudziesiąt najmniej miasteczkach. Fox, mówiono dalej, wiedział dobrze, że znienawidzonym był równie od króla jak od narodu, i dlatego ułożył plan, który miał uczynić go niezależnym od jednego jak od drugiego. Jedni dawali mu szyderczy przydomek Cromwella, a drudzy nazywali go Carlo-Chan [1]). Wilberforce ze zwykłą sobie trafnością wyrażenia, a z niezwykłą cierpkością uczucia, opisywał zamiar ten, jako godny płód koalicyi, nacechowany rysami obojga rodziców, przekupstwem jednego z nich, i gwałtownością drugiego. Ale pomimo całej opozycyi, bill popierany znaczną większością przy każdem czytaniu, przeszedł śpiesznie i odesłanym został do Lordów. Na zdumienie powszechne, skoro w Izbie wyższej bill ten po raz drugi miał być czytanym, opozycya zażądała zwłoki i otrzymała ją ośmdziesięciu i siedmioma głosami, przeciw siedemdziesięciu dziewięciu. Niebawem wyjawił się powód tego szczególnego zwrotu szczęścia. Krewny Pitta, hrabia Temple, był u króla w gabinecie i wyszedł ztamtąd z upoważnieniem, aby dał do zrozumienia, że wszystkich którzyby głosowali za billem, Jego Królewska Mość uważać będzie za nieprzyjaciół. Nie zaszczytne to polecenie spełnił Temple, a natychmiast zgraja Lordów, piastujących dworskie urzędy, biskupów, którzy chcieli posunąć się wyżej, Szkockich Lordów, którzy chcieli wybranymi być na nowo, pośpieszyli się przejść na drugą stronę. W jakiś czas potem Lordowie odrzucili bill, Fox i North dostali wskazówkę, aby niezwłocznie odesłali pieczęcie swoje do pałacu przez Vice-Sekretarzów, a Pitt mianowany został Pierwszym ministrem i kanclerzem Skarbu.

Mniemano powszechnie, jakoby niebawem nastąpić musiało rozwiązanie Parlamentu; ale Pitt roztropnie postanowił dać opinii czas do nabrania sił. Różnił się w tej mierze od

[1]) Allluzya do jego imienia, Karol.

krewnego swego Temple, a skutkiem tego było, że Temple przeznaczony na jednego z sekretarzów Stanu, złożył urząd w czterdzieści ośm godzin po przyjęciu, i zwalił w ten sposób z rządu wielkie brzemię niepopularności: wszyscy bowiem ludzie uczciwi i rozsądni, choćby najprzeciwniejsi nawet billowi o Indyi, musieli naganiać sposób w jaki się billu tego pozbyto. Temple zabrał teraz z sobą to zgorszenie, nad którem ubolewać musieli najlepsi przyjaciele nowego rządu, a sława młodego pierwszego ministra zachowała całą swoją czystość. Mógł on rzetelnie twierdzić, że jeżeli użyto niekonstytucyjnych intryg i wybiegów, to on nie miał w nich najmniejszego udziału.

Trudności wszelako i niebezpieczeństwa otaczały go na wszystkie strony. W Izbie Lordów miał wprawdzie większość, a żaden z mowców opozycyjnych w tem zgromadzeniu nie mógł mierzyć się z nowym kanclerzem Thurlow, ani z Camdenem, który szczerze popierał syna swojego dawnego przyjaciela Chathama. Ale w Izbie niższej nie było ani jednego znakomitego mowcy między temi wszystkiemi urzędowemi figurami, które otaczały Pitta. Najdzielniejszym pomocnikiem był mu Dundas, który choć wymowy nie miał, miał przecież rozsądek, naukę, bystrość i śmiałość. A na przeciwnej stronie była potężna większość, na której czele stał Fox, a którą wspierał Burke, North i Sheridan. Młody minister, choć śmiały i niezłomny, tracił przecież serce, po ustąpieniu Lorda Temple przez całą noc nie mógł oka zmrużyć; ale jakiekolwiek przechodził wzruszenia i obawy, mowa i postawa jego przecież nic nie okazywała prócz nieugiętej stałości i dumnej pewności siebie. Spór jego z Izbą Gmin trwał od 17 Grudnia 1783 r. aż do 8 Marca 1784. Opozycya odniosła zwycięztwo przy szesnastu głosowaniach, króla proszono raz wraz, żeby oddalił ministrów, ale król postanowił wynieść się raczej do Niemiec, niż ustąpić, a stanowczy umysł Pitta nie zachwiał się ani na chwilę. Naród coraz głośniej, coraz gwałtowniej oświadczał się za nim. Adresy zapewniające go o poparciu kraju sypały się ze wszystkich stron królestwa. Miasto Londyn ofiarowało mu

indygenat w złotej puszce, a gdy po odebraniu zaszczytnej tej oznaki udawał się w ceremonialnym pochodzie na wielką ucztę w Grocers Hall, wszystkie sklepy na Strand i Fleet-Street illuminowane były na cześć jego. Wszystko to musiało zrobić pewne wrażenie i na Parlament. Szeregi większości chwiać się poczęły; niektórzy zbiegli do nieprzyjaciela, inni się chyłkiem wysunęli, a wielu radziło kapitulować, dopóki jeszcze dało się to zrobić z honorami wojskowemi. Rozpoczęły się układy względem złożenia Rządu na obszernych podstawach, ale ledwo zaczęte musiały się urwać. Opozycya jako punkt przedugodny pokoju, stawiała warunek, aby Pitt zrzekł się stanowiska pierwszego ministra, czego Pitt wprost i stanowczo odmówił. Podczas gdy spór się toczył najzacięciej, zawakowała posada pisarza przy skarbcu, a synekura dożywotnia dająca trzy tysiące funtów rocznie i którą można było trzymać razem z krzesłem w Izbie Gmin. Do kanclerza Skarbu należało mianować na tę posadę, a nikt nie wątpił, że zamianuje on samego siebie; nikt nawet nie byłby mu tego wziął za złe, bo synekury takie dlatego były cierpiane i bronione, że ludziom zdolnym a nie bogatym pozwalały żyć bez pracy na kawałek chleba, i poświęcić się zupełnie na usługi państwa. Ale Pitt, pomimo namów i próśb przyjaciół, zamianował na tę posadę starego przyjaciela swego ojca, pułkownika Barré, człowieka niepospolitej zdolności i wymowy, a ubogiego i dotkniętego nadto ślepotą. W ten sposób pensya, jaką administracya Rockinghama zapewniła była Barrému, przestała ciężyć na publiczności. Był to najszczęśliwszy niezawodnie krok polityczny. Nad wojnami, traktatami, wyprawami, taryfami i budżetami ludzie się zawsze mogą spierać; jedna połowa narodu może ganić politykę, którą druga wynosi pod niebiosa, ale szlachetność w rzeczach pieniężnych każdy musi zrozumieć. A nie mała to rzecz dla człowieka mającego trzysta funtów rocznie, pokazać, że trzy tysiące funtów na rok ceni tyle, co śmiecie pod nogami w porównaniu z dobrem publicznem i z publicznym szacunkiem. Miał też za to Pitt nagrodę, bo choć żaden minister nie był nigdy celem

zjadliwszych paszkwilów, i choć wiedziano o nim, że miał długów bez liku, że miliony przechodziły przez jego ręce, że najbogatsi magnaci starali się u niego o Margrabstwa i Podwiązki, przecież, najzaciętsi nawet nieprzyjaciele nie śmieli go oskarżać o nieprawne zyski.

Zacięta walka w Parlamencie doszła przecież nareszcie do końca. Burke zrobił z niesłychaną zręcznością jedno jeszcze ostateczne przedstawienie, które na dniu 8 Marca (jednem tylko głosowaniem) przeszło większością jednego tylko głosu w pełnej Izbie. Gdyby próba była się powtórzyła, koalicya byłaby prawdopodobnie znalazła się w mniejszości, ale dodatek podatkowy był uchwalony, bill przeciw rozruchom przeszedł, i Parlament został rozwiązanym.

Wszystkie niemal wolnomyślne ciała wyborcze w całym kraju z zapałem stały po stronie nowego rządu. Stu i sześciudziesiąt stronników koalicyi nie wybrano na nowo do Parlamentu, a pierwszy minister stał na pierwszem miejscu między kandydatami uniwersytetu Cambridge, i wybrany przezeń posłem wszedł do Izby. Młody jego przyjaciel Wilberforce wybrany zestał posłem Hrabstwa York, naprzekór połączonym usiłowaniom domów Fitzwilliam, Cavendish, Dundas i Saville. Pośród takich tryumfów kończył Pitt rok dwudziesty piąty swego życia. Był on w tej chwili najpotężniejszym, największym poddanym, jakiego Anglia przez wiele pokoleń widziała — w gabinecie panował samowładnie, i był ulubieńcem zarazem króla, Parlamentu i narodu. Ojciec jego nie był nigdy tak potężnym, ani Walpole, ani nawet Marlborough.

Opowieść nasza doszła teraz do tej chwili, od której dokładna historya Pitta, musiałaby stać się historyą Anglii, a raczej historyą całego cywilizowanego świata; nie tu miejsce właściwe dla takiej historyi; tu wystarczyć nam musi szkic mały i pobieżny, a w szkicu tym podnieść chcemy to tylko, co czytelnikowi obeznanemu z ogólnym biegiem wypadków, pomódz może do wyrobienia sobie słusznego sądu o charakterze człowieka, od którego tak wiele było zawisło.

Jeżeli chcemy dojść do trafnego ocenienia zasług i błędów Pitta, musimy przedewszystkiem pamiętać, że należał on do osobnego rodzaju polityków, i że podług osobnej miary trzeba go mierzyć i sądzić. Nie da się on właściwie porównywać z takimi ludźmi jak Ximenes i Sully, jak Richelieu i Oxenstierna, jak Jan de Witt i Warren Hastings. Środki, jakiemi ci ludzie prowadzili rządy wielkich państw, były różne zupełnie od tych, jakich Pitt musiał używać. Zdolności niektóre, jakich oni dla braku sposobności nigdy okazać nie mogli, u niego rozwinęły się do najwyższego stopnia, a z drugiej znowu strony, co do niektórych przymiotów, którym tamci wielką część swej sławy zawdzięczają, był Pitt o wiele od nich niższym. Oni rozstrzygali sprawy w swoich tajnych gabinetach, lub na naradach, w których brało udział kilku zaledwo zaufanych ludzi. Jemu padło urodzić się w wieku i w kraju, w którym rząd parlamentarny zupełnie był ustalony; całe jego wychowanie od samego dzieciństwa do tego tylko zmierzało, żeby usposobić go do odegrania roli w takim rządzie, a od pierwszej młodości wszystkie siły potężnego jego ducha działały nieustannie w sprawach rządu parlamentarnego. I dlatego został on największym, jaki był kiedykolwiek mistrzem w sztuce takiego Rządu, większym jak Montague lub Walpole, większym jak obadwa jego dostojni następcy Canning i Peel.

Rząd parlamentarny, jak każde inne ludzkie dzieło, ma swoje dobre i swoje złe strony. O dobrych rozwodzić się nie potrzeba. Cała historya Anglii przez lat sto siedemdziesiąt, od chwili, kiedy Izba Gmin stała się najpotężniejszem w państwie ciałem, niesłychana i coraz wzrastająca pomyślność narodu, wolność, pokój, wielkość jego w naukach, w sztukach i w wojskowości, jego przewaga na morzu i cuda jego publicznego kredytu, posiadłości wreszcie Anglii, Afrykańskie, Amerykańskie, Azyatyckie i Australskie, dowodzą dostatecznie dobroci jej instytucyi. Ale instytucye te, choć dobre i wyborne, doskonałemi przecież nie są. Rząd parlamentarny jest rządem przez mówienie; władza i sztuka mówienia w takim rządzie

najwyżej jest cenioną ze wszystkich przymiotów, jakie polityk posiadać może, a władza i sztuka ta istnieć może w najwyższym stopniu bez rozsądku, bez stałości, bez biegłości czytania w znakach czasu lub w duszach ludzi, bez żadnej znajomości pradawstwa i politycznej ekonomii, i bez żadnej wreszcie zręczności w dyplomacyi lub w administracyi wojennej. Co więcej, może się zdarzyć, że te właśnie przymioty umysłu, które mowom człowieka publicznego szczególnego nadają uroku, mogą nie zgodzić się z temi znowu przymiotami, z których pomocą człowiek ten mógłby stawić czoło trudnym okolicznościom, z nieustraszoną odwagą i stałością. Z takich ludzi był Karol Townshend, z takich ludzi był Windham; słyszeć tych mowców wysoko wykształconych i bystrych, uchodziło za osobliwsze szczęście, ale w przejściu jakiemś niebezpiecznem, byliby się okazali co do istotnych przymiotów rządcy, byliby się okazali niższymi od takiego człowieka jak Cromwell, który plótł nie do rzeczy, lub jak Wilhelm Milczący, który wcale nic nie mówił. Gdzie istnieje Rząd Parlamentarny, tam taki Windham lub Townshend większy nierównie wpływ będzie wywierał, niż tacy, jak angielski wielki Protektor, lub jak wielki założyciel holenderskiej Rzeczypospolitej. W takim rządzie zdolność parlamentarna, choć różna zupełnie od zdolności dobrego urzędnika sprawiedliwości lub administracyi, będzie przecież pierwszym tytułem do administracyjnych lub sądowych urzędów. Z księgi urzędów dałaby się ułożyć ciekawa lista kanclerzy nieznających zasad prawa, admirałów nie znających zasad żeglugi, ministrów kolonii niezdolnych wyliczyć kolonii z nazwiska, podskarbich nieumiejących rozróżnić długu ustalonego od nieustalonego, i sekretarzów wydziału Indyj, nie wiedzących czy Marattowie są indyjskiego czy mahometańskiego wyznania. Z tych to powodów, ludzie niektórzy z jednej tylko strony na rzeczy patrzeć zdolni, zawyrokowali, że rząd parlamentarny jest bezwzględnie złym, i twierdzili, że administracya zyskałaby na tem wiele, gdyby władza sprawowana dziś przez liczne zgromadzenie, skupioną została w ręku jednej osoby. Ludzie

rozsądni powiedzą na to zapewne, że lekarstwo takie gorsze jest od choroby, i że słaba byłaby korzyść zamienić Windhamea lub Karola Townshend na Księcia Pokoju, lub »biednego niewolnika i psa Steenie« [1]).

Pitt był na wskróś człowiekiem rządu parlamentarnego, był typem tego rodzaju mężów stanu, był kochankiem, dzieckiem, zepsutem dzieckiem Izby Gmin. Dla Izby tej miał miłość dziedziczną, dziecinną; przez cały czas jego wychowania ani on ani jego nauczyciele nie spuścili jej z uwagi ani na chwilę. Kiedy powtarzał u nóg ojca, kiedy odrazu czytał po angielsku Cicerona lub Thucydidesa, kiedy rozbierał wielkie ateńskie mowy o Poselstwie lub o Koronie, wkładał się ciągle do przyszłych sporów w Izbie. W latach dwudziestu i jeden już się między członkami tej Izby odznaczał, a zdolności jakie w niej rozwinął, zrobiły go w dwudziestym piątym roku życia najpotężniejszym w Europie poddanym. Dla niego, jak dla ojczyzny, szczęściem byłoby było, gdyby się wzniesienie jego było spóźniło. Lat jeszcze ośm lub dziesięć czasu i sposobności do czytania i zastanawiań, do podróżowań zagranicą, i wolnej zamiany myśli z różnymi ludźmi i na równej stopie w życiu towarzyskiem, byłoby dostarczyło tego, co bez żadnej winy z jego strony, nie dostawało potężnemu jego umysłowi. Posiadał on wszystkie wiadomości, jakich od niego można było żądać, to jest wszystkie, jakich człowiek nabyć może w Cambridge jako akademik, i wszystkie, jakich może nabyć jako kanclerz skarbu i pierwszy minister. Ale ogólna summa wiedzy, jaką wyniósł z akademii, nadzwyczajna zaiste na młodzieńczy jego wiek, była przecież o wiele mniejszą od wiedzy Foxa, a bardzo małą w porównaniu tych obfitych, świetnych i rozlicznych skarbów, jakie zebrał Burke w obszernym swoim umyśle. A zostawszy raz ministrem, nie miał Pitt czasu uczyć się cze-

[1]) Książę pokoju (Manuel Godoy), minister Karola IV w Hiszpanii. Steenie, zdrobniałe poufałe imię ks. Buckingham, ulubieńca Karola I-go.

gokolwiek nad to, co mu potrzebnem było codnia do chwilowego jakiegoś obecnego celu; tego zaś, czego do takich celów potrzebował, człowiek jak on, mógł się zawsze bez trudności nauczyć. Otoczony doświadczonymi i zdolnymi urzędnikami, miał każdej chwili pomoc ich na rozkazy. Z materyałów, jakich mu dostarczali, dzielny jego umysł wybierał szybko te, które w Parlamencie mogły go zasłonić lub obronić, i miał na tem dosyć. Prawodawstwo i administracya były dla niego podrzędnemi rzeczami; na układanie statutów lub pokojowych traktatów, na postawienie wojsk lub floty, na wysyłanie wypraw wojennych, poświęcał on tylko zbywające okruszyny swojego czasu i umysłu, a całą moc i szpik swego ducha w innym wytężał kierunku. Wszystkich swoich sił dobywał on tylko wtedy, gdy chodziło o to, żeby Izbę Gmin przekonać i do swoich widoków nakłonić.

O tych jego siłach z podania jedynie sąd sobie możemy wyrobić, bo ze wszystkich znakomitych mowców zeszłego wieku, żaden nie ucierpiał tyle w sprawozdaniach co Pitt. Jeszcze za jego życia nawet mówili krytycy, że wymowa jego nie da się dla potomnych przechować, bo trzeba go słyszeć, aby go ocenić. Nieraz stosowali oni do niego te wyrazy, któremi Tacyt opisuje los jednego senatora, którego podziwiano wielce za czasów Augusta: *Haterii canorum illud et profluens cum ipso simul exctinctum est.* Ale jakkolwiek bądź, i dziś jeszcze mamy dowody oczywiste, że natura dała Pittowi zdolności wielkiego mowcy, i że zdolności te rozwinęły się w sposób nader rzadki przez wychowanie naprzód, a następnie przez wysokie stanowisko urzędowe, na które wzniósł się tak wcześnie, i w którem przeżył większą część swojego publicznego życia.

Przy pierwszem zaraz wystąpieniu w Parlamencie, okazało się, że władał mową lepiej jak ktokolwiek z współczesnych. Wylewał on bez namysłu i bez przygotowania całe potoki ozdobnych i wykończonych okresów, nigdy wyrazu nie szukał, nigdy go nie powtarzał, a głos miał tak dźwięczny i tak dobitną wymowę, że nie połknął nigdy ani jednej litery. Burke

miał umysł szerszy i bogatszą wyobraźnię, Windham więcej bystrości, Sheridan więcej dowcipu, a Fox większym był od niego mistrzem w dyalektycznej szermierce, i w tym najwyższym, najdoskonalszym rodzaju wymowy, który powstaje z połączenia rozumu i zapału. A przecież, jednogłośnem prawie zdaniem tych, którzy zawsze niepospolitych tych ludzi słuchali, Pitt, jako mowca, stać miał wyżej jak Burke, wyżej jak Windham, wyżej jako Sheridan, a nie niżej od Foxa. Wysłowienie jego było ozdobne, obfite i świetne; w ironii nie przewyższył go może żaden z nowszych ani starożytnych mowców, a straszliwej tej broni używał bez miłosierdzia. W dwóch zwłaszcza odcieniach sztuki krasomówczej, dla ministra niezmiernie potrzebnych i ważnych, szczególnie był biegłym; nikt nigdy lepiej od niego nie umiał być od potrzeby ciemnym lub jasnym i zrozumiałym. Kiedy chciał być zrozumianym, każdy rozumieć go musiał; o przedmiocie najzawikłańszym umiał słuchaczom zdać sprawę w sposób nie zawsze może dokładny i głęboki, ale zawsze w sposób jasny, i zrozumiały i przekonywający. Nic tam nie było nigdy nie na swojem miejscu, nic nie było zapomniane, najdrobniejsze szczegóły, daty, sumy pieniężne, wszystko to pamięć jego najwierniej umiała przechować. Zawikłane nawet sprawy finansowe, kiedy on je przedstawiał, zdawały się jasne dla każdego, dla najbardziej nawet ograniczonego z jego słuchaczów. A znowu kiedy nie chciał być zrozumiałym — a niema takiego, ktoby na czele Rządu chciał zawsze być zrozumiałym — miał szczególny jakiś sposób nie powiedzieć nic takiemi słowami, że słuchaczom zdawało się, jakoby był bardzo wiele powiedział. Był on jedynym w świecie człowiekiem, zdolnym zarazem zdawać sprawę z budżetu bez notat, i wypowiedzieć bez przygotowania mowę tronową, ten jak mówił Windham, najsztuczniej nic nie mówiący z ludzkich utworów.

Wrażenie mowy zależeć i będzie zawsze w znacznej mierze od charakteru mowcy. Nigdy może nie było na świecie dwóch mowców, których wymowa taki miałaby, jeżeli rzec można,

bukiet, taki zapach moralnych mowcy przymiotów, jak Fox i Pitt. Mowy Foxa zawdzięczają największą część swego uroku tej dobroci i gorącości serca, temu współczuciu z cierpieniem drugich, temu zapałowi dla wszystkiego co wielkie i piękne, tej nienawiści okrucieństwa i niesprawiedliwości, które nas poruszają i zachwycają w najbłędniejszych nawet sprawozdaniach. Z drugiej strony, kto tylko słyszał Pitta, umiał dostrzedz w nim człowieka wzniosłego nieustraszonego ducha, dumnie przeświadczonego o własnej zacności i wyższości, niezdolnego płaskich wad strachu lub zazdrości, lecz zbyt skłonnego do uznania i do okazania wzgardy. Duma zaiste była istotą tego człowieka — wypiętnowała się w ostrych, surowych rysach jego twarzy, odbijała w jego postawie kiedy chodził, kiedy stał, kiedy siedział, a nadewszystko kiedy się kłaniał. Duma taka, rzecz prosta, wiele ran zadawać musiała. Twierdzić zaś można z całą pewnością, że w tysiącach zarzutów i oskarżeń przeciwko Foxowi, nie znajduje się ani jedno słowo, z którego sądzićby można, że obejście jego zrobiło mu aby jednego osobistego nieprzyjaciela. Z drugiej strony, ludzie niepospolici, którzy do ostatka stronniczymi byli dla Pitta, którzy do ostatka pochwalali jego politykę i popierali rząd jego, ludzie tacy jak Cumberland naprzykład, Boswell i Matthias, tak byli rozdrażnieni pogardliwem obchodzeniem Pitta, że skargi swoje aż drukiem ogłaszali. Ale ta jego duma choć przyprawiała go o niechęć ludzi, jednała mu z drugiej strony ufność i szacunek przeważnej części jego stronników tak w Parlamencie jak w kraju. Szanowali go oni tak jak on sam siebie; widzieli, że jego pewność siebie nie była tą poufałością człowieka powstałego z niczego, a upojonego oklaskami i powodzeniem, która, przy pierwszej zmianie losu gotowa z wyniosłej zarozumiałości zamienić się w płaską i uniżoną pokorę. Była to raczej duma wielkodusznego człowieka, tak pięknie opisana w Etyce Arystotelesa, duma człowieka, który sądzi się godnym wielkich rzeczy, bo jest ich godnym w istocie. Pochodziła ona ze świadomości wielkich zdolności i wielkich przymiotów,

a nigdy nie objawiała się z taką siłą jak wśród niebezpieczeństw i trudności, które byłyby złamały i przygniotły każdy umysł zwyczajnych rozmiarów. Duma ta była ściśle połączona z ambicyą, ale z ambicyą wolną zupełnie od pospolitej chciwości. Było coś szlachetnego w tej cynicznej pogardzie, z jaką potężny minister rozrzucał bogactwo i tytuły, zostawiając je takim którzy o nie dbali, podczas gdy spychał je nogą ze swojej własnej drogi. Sam ubogi, otoczony był przyjaciołmi, którym dał trzy, sześć, dziesięć tysięcy funtów rocznego dochodu; sam prosty mister, więcej narobił Lordów niż trzej razem poprzednicy jego w ministerium, a Podwiązkę, o którą dobijali się pierwsi w kraju książęta, jemu ofiarowano ustawicznie, a zawsze na darmo.

Nieposzlakowane życie prywatne dodawało wiele godności publicznemu jego zawodowi. Jako syn, brat, stryj, pan i przyjaciel, zarówno zawsze przykładny, w małem kółku ścisłych przyjaciół był miły, serdeczny, nawet żartobliwy i wesoły. Bliżsi wszyscy kochali go szczerze, żałowali długo, i nie mogli przypuścić, żeby ten co z nimi tak był miłym i dobrym, mógł był być dumnym i sztywnym z drugimi. Za wiele prawda pozwalał sobie wina, które z początku używane z rozkazu jako lekarstwo, stało się potrzebą życia przez długie przyzwyczajenie. Ale skazówka jakiegoś w tej mierze nadużycia nader rzadko dostrzedz się dała w jego głosie lub ruchach, bo dwie butelki portu znaczyły dla niego tyle co dwie filiżanki herbaty. W młodości, kiedy po raz pierwszy pojawił się w klubach na St. James's Street, okazywał silny pociąg do gry, ale miał tę moc, że zatrzymał się, zanim ten pociąg nabrał siły nałogu. Od tej zaś namiętności, która powszechnie największą nad młodymi ma władzę, miał jakiś przywilej swobody, pochodzący w części z usposobienia, w części ze stanowiska. Zdrowie miał słabe, był bardzo nieśmiały, i był ogromnie zajęty. Surowe jego obyczaje służyły klubowym błaznom za niewyczerpany przedmiot żartów niezbyt wykwintnych. Ale cała niemal średnia klasa w Anglii nie widziała, coby w nich było śmiesznego,

chwalila gorąco młodego polityka, że namiętności swoje trzymać umiał na wodzy, a słabości swoje, jeżeli miał słabości, pokrywał przystojną zasłoną, i z pewnością nie byłaby o nim lepiej myślała, gdyby chcąc obronić się od przycinków swoich nieprzyjaciół, był wziął pod opiekę jaką damę nieszczególnej sławy.

Ogromna popularność, jakiej Pitt używał, nie da się przypisać ani w najmniejszej części pochwałom poetów i pisarzów. Można się było spodziewać zaiste, że człowiek takiego gieniuszu, takiej nauki i takiego smaku, że mowca, którego wysłowienie porównywano często do okresów Tulliusza, że poseł wreszcie wielkiego uniwersytetu, za szczególną mieć będzie przyjemność, opiekować się znakomitymi pisarzami z jakiegokolwiek oni byliby stronnictwa. Miłość literatury skłoniła Augusta, że Pompejanów zasypywał dobrodziejstwy, Somersa, że zasłaniał powagą swoją ludzi, którzy nie złożyli przysięgi [1]), Harleya, że Whigom dopomagał do wielkiego losu. Ale Pitt pomimo tych przykładów, Pittystom nawet żadnych łask świadczyć nie chciał. Myślał on, i wogóle miał słuszność, że historyę, poezyę i filozofię samym sobie zostawić należy, żeby sobie same cenę zrobiły na targu, taksamo jak wyroby bawełniane lub nożownicze, i że, przyzwyczaić pisarzów i literatów, by się zawsze na państwo oglądali po nagrodę, jest źle dla państwa, i źle dla literatury. Niezawodnie nic niedorzeczniejszego, nic smutniejszego, jak trwonić grosz publiczny na darowizny, na to tylko, żeby ludzi, którzy powinni ważyć korzenie lub mierzyć sukno, skusić do pisania złych lub miernych książek. Ale jakkolwiek zdrowem jest prawidło, żeby czytelnikom zostawić

[1]) Somers John, ur. 1650 um. 1715, prawnik, mąż stanu i pisarz. Za Stuartów w opozycyi, po rewolucyi 1688 kanclerz. Wielbiciel i opiekun Miltona. Harley, Robert ur. 1661, um. 1724, przywódca torysów w Parlamencie, obalił Godolphina i ks. Marlborough; po ich upadku kanclerz. Jeden z pełnomocników angielskich do traktatu w Utrechcie. Za Jerzego I. oskarżony przez Whigów o zdradę stanu i osadzony w Wieży, ale uznany przez sąd za zupełnie niewinnego.

nagrodę pisarzów, to przecież znajduje się w każdem pokoleniu kilka wyjątków z pod tego prawidła. Wyjątki te odkryć i odróżnić od reszty, jest zadaniem godnem wielkiego naczelnika rządu, a Pitt, zaprawdę, bez trudności mógł był nie jeden taki przypadek wyszukać. Podczas kiedy on był u władzy, największy filolog wieku, współuczeń jego z Cambridge, musiał zarabiać na życie najniższą literacką pracą, i na pisaniu paszkwilów do *Morning Chronicle*, poświęcać lata, którym inaczej bylibyśmy może zawdzięczali doskonały niemal tekst całego ateńskiego dramatu tak tragicznego jak i komicznego [1]), a największy wieku historyk, zmuszony ubóstwem kraj rodzinny porzucić, kończył nieśmiertelne swoje dzieło na brzegach Genewskiego jeziora [2]). Na wytłomaczenie tego zaniedbania ze strony ministra daloby się może przytoczyć różnowierstwo polityczne Porsona, i różnowierstwo religijne Gibbona; ale w innych przypadkach nie da się nawet tyle na obronę Pitta powiedzieć. Zaledwie osiągł on nieograniczoną prawie władzę, kiedy pisarz jeden z najznamienitszych, stary i piórem wcale nie zbogacony, a chylący się prócz tego do grobu pod ciężarem smutków i dolegliwości, potrzebował pięciu lub sześciuset funtów, za które mógłby łatwiej oddychać łagodnem włoskiem powietrzem, przez tę zimę lub dwie, które mu jeszcze do życia zostawały. Tymczasem nie można było dostać ani grosza, i autor *Słownika angielskiego* i *Żywotów Poetów* [3]), wyzionął ducha przed Bożem Narodzeniem, wśród rzecznych mgieł i węglanego dymu na Fleet-Street. W kilka miesięcy po śmierci Johnsona wyszło z druku *Zadanie* [4]) *(the Task)* o wiele najlepszy angielski poemat z owego czasu, poemat, który poecie, człowiekowi nie małych cnót i zdolności, małego majątku, a w skutku naj-

[1]) Porson Ryszard, ur. 1759 um. 1808. profesor w Cambridge; uważany za jednego z największych hellenistów angielskich.

[2]) Gibbon Edward, ur. 1737 um. 1794, wielki historyk, autor *Schyłku i upadku Państwa rzymskiego.*

[3]) Johnson Samuel, ur. 1709 um. 1784.

[4]) Cowper William, poeta, ur. 1731 um. 1800.

straszniejszego nieszczęścia, niezdolnemu zarabiać na życie ciągłą i usilną pracą, zjednać powinien był koniecznie szacunek i współczucie każdego człowieka ze zdrowym umysłem i sercem. Nigdzie prócz tego Chatham nie był tak sławionym, a zwłaszcza w godniejszych przedmiotu wierszach, jak w tym właśnie poemacie. A pomimo to przecież syn Chathama przestał na tem, że czytał i podziwiał książkę, autora zostawiając w nędzy. Pensyę, z której pomocą biedny Cowper mógł o wiele lat później dokonać smutnego żywota, spokojny od wierzycieli i komorników, wyrobiła mu usilne i serdeczne staranie Lorda Spencer. Co za różnica między postępkiem Pitta względem Johnsona i postępkiem Lorda Grey względem Scotta [1]), politycznego przeciwnika, kiedy ten, złamany nieszczęściem i chorobą, miał jeszcze za radą lekarzy próbować skutków włoskiego powietrza. Co za różnica między obejściem, jakiego od Pitta doznał Cowper, a tem jakiego doznał Crabbe, od Burke'go, człowieka ubogiego i prywatnego. Sam nawet Dundas, który nie rościł sobie najmniejszych praw do literackiego smaku i sądu, który chciał tylko uchodzić za twardego i szorstkiego człowieka obowiązku, był Leonem lub Mecenasem w porównaniu ze swoim wymownym i klasycznie wykształconym przyjacielem. Przez niego dostał Burns [2]) jakieś miejsce przy akcyzie z roczną pensyą siedmiudziesiąt funtów, Pitt przez cały ciąg swoich rządów nie zrobił tyle dla nauk i literatury. Ci nawet, którzy najbardziej są przekonani, że rząd wogóle nie powinien wdawać się w wynagradzanie zasług literackich, nie mogą przecież zaprzeczyć, że rząd, mający do rozdania wiele korzystnych posad kościelnych, nie powinien pomijać duchownego, którego pisma wielkie sprawie religii oddały usługi. Ale Pittowi, jak się zdaje, nigdy powinność ta na myśl nawet nie przyszła. Wszystkie dzieła teologiczne wszystkich razem licznych biskupów, jakich pomianował lub poposuwał, nie warte

[1]) Scott Walter, ur. 1771, um. 1832.
[2]) Burns Robert, poeta, ur. 1759, um. 1796.

są sześćdziesiąt kartek z *Horae Paulinae*, z *Teologii Naturalnej* lub z *Poglądu na dowody prawdziwości chrześcijaństwa*[1]). A przecież Paley nie dostał nigdy ani najmniejszego beneficium od wszechwładnego ministra. Artystów taksamo nie miał za nic, jak pisarzów. Dla malarstwa nie uczynił poprostu nic; a rzeźbiarze wybrani do wykonania uchwalonych przez parlament pomników, musieli przez długie lata zalegać przedpokoje w Ministeryum, zanim od niego szeląg jaki wyciągnąć zdołali. Jeden z nich nie mogąc przez lat czternaście doprosić się zapłaty swojej od ministra, zdobył się na odwagę, podał prośbę do króla i w ten sposób otrzymał spóźnioną i niechętną sprawiedliwość. Budowniczych musiano już koniecznie używać, i jak się zdaje, używano najgorszych, jakich tylko można było znaleść. Przez cały czas administracyi Pitta, żeby jeden wystawiono ładny budynek publiczny jakiegokolwiek przeznaczenia lub stylu. Twierdzić można z pewnością, że żaden rządca, który co do zdolności i wykształcenia mógł jakokolwiek równać się z Pittem. nie okazał nigdy takiej jak on chłodnej pogardy dla wszystkiego co doskonałe w naukach i sztukach.

Pierwsza jego administracya trwała lat siedmnaście. Długi ten okres podzielony jest bardzo silnie odznaczoną granicą na dwie równe prawie połowy, z których pierwsza się skończyła, a druga zaczęła w jesieni roku 1792. W ciągu tak pierwszej jak drugiej, rozwinął Pitt w sposób najświetniejszy zdolności parlamentarnego kierownika. Przez ciąg pierwszej połowy swoich rządów był administratorem szczęśliwym a pod wielu względami i zręcznym. W drugiej połowie spotkać się musiał z trudnościami, którym nie sprostał, ale wymowa jego i mistrzowska biegłość w parlamentarnej taktyce, zasłaniała tę nieudolność przed okiem pospólstwa.

Pierwsze ośm lat, po ogólnych wyborach z roku 1784, były tak spokojne i szczęśliwe, jak żaden może równy przeciąg czasu w historyi Anglii. Narody ościenne, które niedawno

[1]) Paley William, teolog angielski, ur. 1743, um. 1803.

jeszcze były z nią w wojnie, i które pochlebiały sobie, że ze stratą amerykańskich kolonii straci ona główne źródło bogactwa i potęgi, ujrzały z podziwieniem i rozczarowaniem, że stała się potężniejszą i bogatszą niż kiedykolwiek. Handel jej wzrastał, rękodzieła kwitły, skarb był przepełniony. Istniały wprawdzie tu i owdzie płonne obawy, żeby dług publiczny, trzy razy z górą mniejszy od tego który dziś z łatwością znosimy, nie był za ciężkim na siły narodu, i rozumowaniem byłyby się może uspokoić nie dały. Ale Pitt uspokoił je wykrętem. Udało mu się wmówić w siebie samego naprzód, a potem w cały naród, z opozycyą włącznie, że nowy fundusz amortyzacyjny, który jeżeli różnił się od dawnego, to różnił się na gorsze, tajemniczą jakąś siłą rozmnożenia, wrodzoną pieniądzowi, przyniesie do kieszeni narodowego wierzyciela wielkie sumy, które nie będą wyjęte z kieszeni opodatkowanych. Kraj przestraszony niebezpieczeństwem, które niebezpieczeństwem nie było, powitał z radością i nieograniczonem zaufaniem lekarstwo, które nie było lekarstwem, a ministra wynosił pod niebiosa, jako największego z finansistów. A przez ten czas, spostrzegły się obie gałęzie domu Burbonów, że Anglia była tak strasznym jak dawniej przeciwnikiem. Francya miała ochotę zamienić Hollandyę w swoją lenność; ale wdała się Anglia w tę sprawę, i Francya musiała się cofnąć. Hiszpania gwałtem zatamowała handel nasz z okolicami Oregonu, ale Anglia zaczęła się zbroić i Hiszpania ustąpiła. Na wyspie samej panował spokój głęboki. Król po raz pierwszy w życiu był lubionym; przez dwadzieścia i trzy lata od wstąpienia na tron nie lubili go poddani. Domowe jego cnoty znajdowały wprawdzie powszechne uznanie, ale sądzono, że charakterowi jego publicznemu brakło na tych dobrych przymiotach, któremi odznaczało się jego życie prywatne. Jako panujący był on mściwym, nie przebaczającym, upartym i chytrym. Kraj pod jego panowaniem ucierpiał wiele od klęsk i nieszczęść, z których każde przypisywano silnym jego zawiściom do osób, i przewrotnemu uporowi

w złem. Mężowie stanu skarżyli się jeden po drugim, że pieszczotami, prośbami i obietnicami króla skłonieni, obejmowali ster rządów w trudnych okolicznościach, a zaledwo go objęli i posłużyli nie bez uszczerbku sławy i utraty najlepszych przyjaciół, do tego obrotu rzeczy, do którego byli potrzebni, niewdzięczny król zaczynał natychmiast intrygować i dołki kopać pod nimi. Grenville, Rockingham, Chatham, ludzie odmiennych zupełnie charakterów, ale wszyscy uczciwi i godni, zgadzali się na to, że król, pod którym kolejno pierwsze w rządzie zajmowali miejsce, był poprostu najfałszywszym z ludzi. Zaufanie swoje pokładał on, jak mówili, nie w tych jawnych i odpowiedzialnych doradzcach, którym powierzył pieczęcie, ale w tajnych zausznikach, którzy bocznemi schodami wkradali się do jego gabinetu. W parlamencie ministrowie jego, podczas gdy z przodu bronić się musieli od nacierającej opozycyi, napadani byli ustawicznie, za jego poduszczeniem, z tyłu lub z boku przez szajkę najemników, którzy się przyjaciołmi jego zwali. Ludzie ci, zajmując zawsze zyskowne w służbie króla posady, mówili i głosowali zawsze przeciw uchwałom, które z upoważnienia królewskiego wnosił pierwszy mimister lub sekretarz stanu. Ale z dniem objęcia steru rządów przez Pitta, ustały te wpływy kryjome. Umysł jego dumny i wymagający nie dał się zaspokoić czczym pozorem władzy. Żaden zamach na podkopanie go na dworze, żaden buntowniczy ruch między stronnikami ministra lub dworu, nie mógł się nigdy udać, bo Pitt potrzebował tylko w takim razie podać się do dymisyi, a natychmiast mógł królowi stawiać swoje warunki. On bowiem, on jeden tylko, stał między królem a koalicyą, i dlatego był mało czem mniej, jak merem pałacowym. Naród chwalił króla wielce, że miał ten rozum zaufać zupełnie tak wybornemu ministrowi. Domowe cnoty Jego Królewskiej Mości zaczęły teraz wywierać swój skutek, i król zaczął pomału uchodzić za wzór szanownego wiejskiego szlachcica, z dobrem sercem, poczciwego, oszczędnego i pobożnego. Wstawał on wcześnie, jadał umiarkowanie, żonie dochowywał wiary sumiennie, na-

bożeństwa nigdy nie opuszczał, a na nabożeństwie nigdy nie opuszczał responsów, dość, że lud prosił Boga serdecznie, żeby król taki jak najdłużej mu panował, a prosił o to tem gorącej, im korzystniej odbijały cnoty króla od wad i szaleństw księcia Walii, który zostawał w ścisłej zażyłości z naczelnikami opozycyi.

Jak silnem było to uczucie w narodzie, pokazało się najlepiej w jednym ważnym wypadku. W jesieni 1788 roku, król dostał pomieszania zmysłów. Opozycya, chciwa władzy, wyrwała się z twierdzeniem, że mocą zasadniczych ustaw państwa, domniemany następca miał prawo objąć regencyą z zupełną władzą królewską. Pitt utrzymywał przeciwnie, że podług konstytucyjnej ustawy, ile razy król dla wieku, choroby lub nieobecności nie może pełnić królewskich swych obowiązków, natenczas stany królestwa mają prawo stanowić, kto ma regencyą sprawować, i jaka część władzy wykonawczej ma być regentowi takiemu powierzoną. Wywiązał się z tego spór długi i gwałtowny, w którym cały niemal naród popierał Pitta z takim zapałem, jak w pierwszych miesiącach jego administracyi. Torysowie uchwalili jednogłośnie, że broni łoża boleści cnotliwego i nieszczęśliwego króla przeciw niewiernej fakcyi i wyrodnemu synowi; nie mało Whigów chwaliło go, że obstaje przy powadze parlamentu i przy zasadach rewolucyi, wbrew nauce, która zdawała się spokrewnioną poniekąd z niewolniczą teoryą o nietykalnem prawie dziedzicznem; warstwa średnia, gorliwa zawsze po stronie obyczajów i cnót domowych, ze zgrozą przewidywała w przyszłości panowanie takie, jak Karola Drugiego. Pałac, który przez lat trzydzieści był wzorem prawdziwego angielskiego domu, musiałby stać się publicznem zgorszeniem i szkołą rozpusty. W miejsce obiadów poczciwego króla, złożonych z limonady i baraniej pieczeni, a podawanych zawsze o godzinie trzeciej, nastałyby teraz uczty o północy, z których gości roznosić trzeba będzie do domów bez przytomności. W miejscu tryktrakowej tablicy, przy której poczciwy król grywał o kilka sztuk srebra ze swoimi koniu-

szymi, staną teraz faraonowe stoły, od których bogaci młodzi magnaci wstawać będą żebrakami. Salon, z którego jedno surowe spojrzenie królowej wygnało całe pokolenie płochych piękności, stanie się znowu tem, czem był za czasów Barbary Palmer [1]) i Ludwiki de Querouaille. A choć publiczność tak surowo ganiła liczne nieprawe związki księcia Walii, ostrzej przecież daleko potępiała jedyną jego miłość godziwą. Nawet w poważnych kołach, protestanckie jego kochanki mniej dawały zgorszenia, jak żona katoliczka. Nikt nie ośmielił się zaprzeczyć, że książę musiał zostać rejentem, ale i on i przyjaciele jego byli tak niepopularni, że Pitt mógł z powszechnem zadowoleniem takie wnosić ograniczenia władzy rejenta, jakie niepodobieństwem byłoby nałożyć księciu, któryby był posiadał miłość i zaufanie narodu. Niektórzy ludzie samolubnie rachując na pewne na zmianę gabinetu, przeszli do opozycyi, ale większość, czystsza przez to że się zbiegów pozbyła, ścisnęła tylko szeregi i stanęła naprzeciw nieprzyjaciela w zastępie zbitszym i straszniejszym jak kiedykolwiek. Z każdego głosowania Pitt wychodził zwycięzko; a gdy nareszcie po trzech miesiącach burzliwego bezkrólewia, w sam dzień inauguracyi rejenta, ogłoszono że król zmysły odzyskał, naród szalał z radości. W dzień, kiedy Jego Królewska Mość objęła rządy na nowo, illuminacya dobrowolna, największa jaką kiedykolwiek w Anglii widziano, zajaśniała wieczorem na całej ogromnej przestrzeni od Highgate do Tooting, i od Hammersmith do Greenwich. Tego dnia, kiedy król składał dzięki w katedralnym kościele stolicy, na sto mil w około Londynu nie starczyło koni i powozów dla tych tłumów, które zjeżdżały się żeby go widzieć w przejeździe przez miasto. Nastąpiła druga illuminacya i przewyższyła jeszcze pierwszą w świetności. Pitt z trudnością uniknął natrętnych dowodów łaski nieprzeliczonego tłumu, który chciał koniecznie ciągnąć jego powóz od św. Pawła aż na Downing-Street. Rzec można, że była to chwila, w której sława

[1]) Damy z dworu Karola II.

i szczęście jego dosięgły swego zenitu. Wpływ jego u dworu był tak wielki, jak niegdyś wpływ Villiersa lub Carr'a [1]), przewaga w Parlamencie była większa niż przewaga Walpola lub Pelhama, a u gminu był w takich łaskach, jak niegdyś Wilkes i Sacheverell [2]). Nic nie przyczyniło się tak do postawienia go wysoko w opinii, jak szlachetne jego ubóstwo. Wiadomem było powszechnie, że gdyby po pięciu latach nieograniczonej władzy złożonym został z urzędu, wyniósłby z sobą tyle tylko, za ile mógłby urządzić swoje dawne mieszkanie, w którem, jak mawiał wesoło, wziąłby się na nowo do prawniczego rzemiosła. Wielbiciele jego wszelako nie chcieli żadną miarą przenieść tego, żeby on codzienną pracą na codzienny chleb musiał zarabiać. Składki dobrowolne, z któremi czekano ażby przyjął obywatelstwo miasta Londynu, byłyby same aż nadto wystarczyły, żeby go zrobić bogatym, ale wątpić można, czy wyniosły jego umysł byłby się zniżył do przyjęcia zapomogi, równie zaszczytnie ofiarowanej jak zasłużonej.

Na taki szczebel potęgi i chwały wzniósł się człowiek ten nadzwyczajny w dwudziestu dziewięciu latach życia. Ale teraz koło miało się obrócić. W dziesięć dni zaledwo po tryumfalnym pochodzie do św. Pawła, zebrały się w Wersalu Generalne Stany francuzkie po przerwie lat stu siedmdziesiąt i czterech.

Długi czas źle rozumiano w naszym kraju naturę tej rewolucyi, która teraz nastąpiła. Burke widział o wiele dalej niż którykolwiek z współczesnych, ale wszystko co przenikliwość jego odgadła, odbite od wyobraźni i namiętności jego, w fałszywem ukazywało się świetle. Przez trzy pierwsze lata i z górą, nie zaszła żadna materyalna zmiana w zasadach administracyi, nic łagodniejszego, nic ściślej konstytucyjnego, jak wewnętrzne

[1]) Villiers, książę Buckingham; Carr, hr. Somerset, wszechwładni na dworze Jakóba I i Karola I.

[2]) Sacheverell, Henryk, ur. 1672 um. 1724, pastor i kaznodzieja w Londynie. Wilkes, publicysta, członek Izby Gmin, więziony bezprawnie za opozycyjne paszkwile, ur. 1727 um. 1797.

rządy ówczesnego Ministra; przez cały ten czas nie można mu było zarzucić ani jednego uczynku, któryby wskazywał uroszczenia samowładne lub niechęć do praw ludu. Nigdy nie żądał on od Parlamentu nadzwyczajnych środków, a środków zwyczajnych, jakie konstytucya daje w ręce rządu wykonawczego, ani razu nie nadużył. Nie wytoczył on ani jednego śledztwa politycznego, któreby dziś nawet prześladowczem nazwać można. Jedynym prześladowczym procesem politycznym z pierwszych ośmiu lat jego rządu był proces Stockdal'a a do tego nie rząd dał powód, ale naczelnicy opozycyi. U władzy wywiązał się Pitt z tych obietnic jakie wstępując w życie parlamentarne, dał byt stronnikom swoim co do reformy wyborczej. W roku 1785 wniósł on dobrze obmyślany plan naprawy systemu reprezentacyi, i przemógł na królu, że nietylko powstrzymał się od wszelkiej planu tego nagany, ale jeszcze w mowie tronowej zalecił go Izbom [1]). Nie udał się ten zamiar, ale wątpić nie można, że gdyby rewolucya francuzka nie była wywołała gwałtownej reakcyi w opinii publicznej, Pitt byłby wykonał z małą trudnością, a bez żadnego niebezpieczeństwa tego wielkiego dzieła, którego w późniejszych latach Lord Grey takiemi tylko środkami zdołał dokonać, które zatrzęsły na chwilę samemi podwalinami naszego społeczeństwa [2]). Kiedy po raz pierwszy przyszły pod rozwagę Izby okropności handlu niewolnikami, Pitt okazał się w tej sprawie gorliwszym od wszystkich dzisiejszych abolicijonistów. Kiedy Wilberforce nie mógł dla zdrowia ukazywać się w Izbie, zastępował go z najlepszem powodzeniem przyjaciel jego minister. Wymowa i stanowczy umysł Pitta sprawiły, że w roku 1788 przeszła ludzka

[1]) Mowa, którą król otworzył sesyą roku 1785, kończyła się zapewnieniem, że Jego królewska Mość przyłoży się całem sercem do każdej uchwały mającej na celu zabezpieczenie prawdziwych zasad konstytucyi. Słowa te, jak je w owym czasie zrozumiano, odnosiły się do Billu Reformy ułożonego przez Pitta.

[2]) Reforma prawa wyborczego uchwalona w roku 1832.

uchwała łagodząca srogość karności okrętowej, pomimo opozycyi niektórych nawet kolegów ministra.

W roku 1791, kiedy chodziło o obronę tego konstytucyjnego prawidła, że sąd Izby nie ustaje z rozwiązaniem Parlamentu, Pitt usilnie popierał Foxa, a w tym samym jeszcze roku dwaj ci współzawodnicy walczyli obok siebie w sprawie nierównie jeszcze ważniejszej. Obydwom zarówno należy się chwała za to, że do księgi ustaw naszych przybyło prawo stawiające wolność druku pod opieką przysięgłych. W jednym tylko wypadku, tylko w jednym przez całą pierwszą połowę swoich długich rządów, postąpił Pitt w sposób niegodny oświeconego Whiga. Przy rozprawie nad prawem o przysiędze urzędników publicznych (Test-Act. [1]), zniżył się do tego, że chcąc uczynić zadość królowi, któremu służył, uniwersytetowi, którego był posłem, i całej masie wiejskiej szlachty i duchowieństwa na których się opierał, mówił nie szczerze wprawdzie i nie gwałtownie, ale przecież mówił jak Torys. Z tym jedynym wyjątkiem, całe jego postępowanie od końca roku 1783 aż do połowy roku 1792 godnem było zupełnie prawego przyjaciela cywilnej i religijnej wolności.

Nic też także nie wskazywało w tym przeciągu czasu, ani upodobania jego w wojnie, ani nieprzyjaznych uczuć względem jakiegokolwiek sąsiedniego narodu. Pisarze francuzcy, którzy przedstawiają go, jak żeby jakiegoś Hannibala, który w dzieciństwie jeszcze przysiągł ojcu, że wiecznie będzie nienawidzieć Francyi, którzy utrzymują, że tajnemi intrygami i rozrzutnem przekupstwem skusił Jakobinów do tych zbrodni, które splamiły Rewolucyę, którzy twierdzą, że on był autorem pierwszej Koalicyi, nie wiedzą nic o jego historyi ani o charakterze. Przeciwnie, tak dalece nie był on zawziętym nieprzyjacielem Francyi, że chwalebne jego usiłowania ku ściślejszemu

[1]) *Test-act*, przysięga, którą każdy urzędnik składać musiał, że nie wierzy w przemienienie chleba i wina w Ciało i Krew Pańską. Środek wyłączenia katolików od wszelkiej służby publicznej, zaprowadzony w roku 1673, zniesiony 1828.

z nią związkowi, za pomocą mądrego i wolnomyślnego traktatu handlowego, sprowadziły mu surową naganę od Opozycyi. Powiedziano mu bowiem w Izbie Gmin z tego powodu, że był wyrodnym synem, i że kości ojca wzdrygają się pod sklepami Opactwa na skłonność jego do odwiecznych wrogów naszej wyspy.

I ten człowiek, którego imię, gdyby na swoje szczęście umarł był w roku 1792, łączyłoby się dziś z pojęciami wolności, pokoju, miłości ludzi, umiarkowanych reform i rządów łagodnych i konstytucyjnych, żył dłużej na to, żeby imię swoje połączyć z samowolnemi rządami, ze srogiemi, srogo wykonanemi prawami, z prawami o Cudzoziemcach, z prawami ograniczającemi wolność mówienia (*gagging bills*), z zawieszeniem uchwały *Habeat Corpus*, ze srogiemi karami na jednych politycznych agitatorów, z najniesprawiedliwszemi procesami przeciwko innym, i z najkosztowniejszemi, najkrwawszemi wojnami nowszych czasów. Żył na to, aby stać się pastwą szkalowania jako ponury ciemięzca Anglii i jako niezmordowany wichrzyciel pokoju w Europie. Poeci przeciwstawiając pierwsze i późniejsze lata jego zawodu, przyrównywali go już to do tego apostoła, który zdradził pocałunkiem, już do do aniołów, którzy pierwotny swój stan utracili. Satyryk jeden wielkich zdolności wyprowadza na scenę ducha Głodu, ducha Rzezi i ducha Pożogi; wszystkie trzy mówią, że dostały polecenie od kogoś, którego imię składa się z czterech głosek, i obiecują dać mu wielkie dowody wdzięczności. Głód będzie gryzł pospólstwo, aż się zerwie przeciw tamtemu jak szalony — duch Mordów popchnie to pospólstwo, żeby go w sztuki rozdarło, a Ogień chełpi się, że on jeden tylko może wynagrodzić tamtego podług zasługi, i że się do niego przyczepi na całą wieczność. Francuzka prasa i trybuna przypisywała potworowi Pittowi i jego gwineom każde nieszczęście, które Francyę gnębiło, i każdą zbrodnię która ją hańbiła. Za panowania Jakobinów nazywało się, że Pitt przekupił Żyrondystów, Pitt podżegnął Lyon i Bordeaux do buntu przeciw Konwencyi, Pitt poduszczył Parisa do zamachu na Lepelletiera, a Cecylię Re-

gnault do zamachu na Robespierra. A kiedy nastała Termidorowa reakcya, Pittowi znowu przypisywano wszystkie okropności Terroru. Collot d'Herbois, Fouquier Tinville i Marat byli jego jurgieltnikami; on to najął wrześniowych morderców, on dyktował Maratowi Pamflety, a Barrerowi Carmagnole, on wreszcie przekupił Lebona, żeby zalał krwią Arras, a Carriera, żeby Ligierę zatamował trupami!

Tymczasem naprawdę nie miał on upodobania ani w wojnie ani w samowolnych rządach. Był on miłośnikiem wolności i pokoju, a tylko siła, której żadna wola ani żaden rozum oprzeć się nie mógł, zepchnęła go z drogi, którą mu własne skłonności wskazały, do której usposabiały go tak zdolności jak nabyte wykształcenie, i nałożyła mu gwałtem politykę przeciwną jego uczuciom i zdolnościom jego nie odpowiednią.

Zarzut odstępstwa jaki mu czyniono, jest wielce niesprawiedliwy. Jeżeli nie można powiedzieć o człowieku, że podróżuje na wschód, dlatego, że z kulą ziemską i wszystkiem co się na niej znajduje, wciąż się od zachodu na wschód obraca, to nie można także nazwać nikogo odstępcą dlatego, że zdania jego zmieniają się razem ze zdaniami wszystkich współczesnych. Pomiędzy wiosną roku 1789 i końcem roku 1792 zaszła wielka zmiana w opinii publicznej Anglików. Jeżeli zmiana zdań i uczuć u Pitta szczególnie zwracała na siebie uwagę, to nie dlatego, jakoby on był się zmienił więcej od innych, bo w gruncie zmienił się mniej od nich, ale dlatego tylko, że był bardziej niż wszyscy inni na widoku, dlatego, że aż do wystąpienia Bonapartego zajmował on największe miejsce na widowni cywilizowanego świata.

Przez czas jakiś patrzał naród, i Pitt z narodem, z życzliwością i współczuciem na Rewolucyę francuzką, ale niebawem wywołały u nas zwrot opinii wielkie konfiskaty, gwałtowne walenie dawnych instytucyj, panowanie klubów, barbarzyństwa motłochu rozwścieklonego nienawiścią i głodem.

Dwór, arystokracya, szlachta, duchowieństwo, fabrykanci, kupcy, słowem dziewiętnaście dwudziestych części tego wszyst-

kiego, co tylko miało dobry dach nad głową i dobrą odzież na grzbiecie, stało się gwałtownymi i bezwzględnymi Anti-Jakobinami. U przeciwników ministra było uczucie to przynajmniej tak silnem, jak u jego stronników. Fox napróżno usiłował zwolenników swoich hamować; ani gieniusz, ani ogromny jego wpływ osobisty nie mogły powstrzymać ich od powszechnego przeciw niemu buntu. Burke dał przykład, a niebawem poszedł za nim Portland, Spencer, Fitz-William, Loughborough, Carlisle, Malmesbury, Windham i Elliott. W Izbie Gmin zeszła liczba stronników Foxa ze stu sześciudziesięciu na pięćdziesięciu, a w Izbie Lordów zostawało mu ich zaledwo dziesięciu lub dwunastu. Wątpić nie można, że gdyby Pitt był chciał opierać się na woli powszechnej, taki sam bunt byłby wybuchnął na ławach ministeryalnych. Pod naciskiem króla, kolegów, dawnych przyjaciół i dawnych przeciwników, opuścił on politykę drogą swemu sercu, ale opuścił zwolna i niechętnie. Pracował ciężko, by nie dopuścić do wojny europejskiej; a skoro już wybuchła, pochlebiał sobie, że ojczyzna jego będzie mogła trzymać się bezstronnie.

Na wiosnę w roku 1792 winszował on Parlamentowi widoków długiego i głębokiego pokoju, a że winszował szczerze, tego dowiódł najlepiej, wnosząc zmniejszenie podatków. Aż do końca owego roku żywił ciągle nadzieję, że Anglia zdoła zachować neutralność; ale namiętności szalejące po obu stronach kanału, nie dały się uskromić. Republikanie rządzący we Francyi rozognieni byli takim fanatyzmem, jak ci Muzułmanie, którzy z koranem w jednem, z mieczem w drugiem ręku, szli podbijając i nawracając ku Wschodowi do Bengalskiej Zatoki, ku Zachodowi do Słupów Herkulesa.

W Anglii zaś, wyższe i średnie klasy rozpaliły się gorliwością tak namiętną, jak gorliwość tych krzyżowców, którzy w Clermont podnieśli okrzyk *Deus vult*. Żadna zdolność, żadna powaga jednego człowieka nie mogła wstrzymać tego prądu, który pchał oba narody do starcia. Pitt, stojąc na czele swoich zastępów i górując nad nimi, zdawał się je prowadzić, ale

w rzeczy był tylko przez nie popychanym, a gdyby chciał był cokolwiek silniej się opierać, byłby został albo z ich drogi zmiecionym, albo pod ich nogami zdeptanym.

Poddał się więc prądowi i od dnia tego zaczęły się jego nieszczęścia. Rzeczywiście miał on przed sobą dwie tylko możliwe drogi, a skoro nie chciał ręka w rękę z Foxem opierać się opinii, powinien był pójść za radą Burkego i wyciągnąć z tej opinii cały możliwy pożytek. Jeżeli pokój żadnym sposobem utrzymać się nie dał, to trzeba było obrać jedyną politykę, która prowadziła do zwycięztwa; trzeba było ogłosić wojnę świętą za sprawę religii, moralności, własności, porządku, prawa publicznego, i tym sposobem stawić czoło Jakobinom z energią równą ich energii. Na nieszczęście chciał Pitt znaleźć drogę pośrednią, a znalazł taką, która łączyła w sobie wszystko co było najgorszego w obu skrajnych. Wziął się do wojny, ale nie mógł pojąć właściwego tej wojny charakteru; zaślepiał się upornie na ten fakt, że miał tu do walczenia z państwem, które zarazem było i sektą, i że nowa walka między Anglią i Francyą była czemś różnem zupełnie od dawnych wojen o amerykańskie kolonie lub holenderskie fortece. Miał do walczenia z szalonym zapałem, z ambicyą bez granic, z czynnością niezmordowaną, z najśmielszym, najnamiętniejszym duchem nowatorstwa, a działał jak żeby to była sprawa z błaznami i nałożnicami dawnego Wersalskiego dworu, z panią de Pompadour lub z Abbé de Bernis. Aż żal było słuchać, jak co roku powtarzał słuchającej go z uwielbieniem Izbie, że ohydna Rzeczpospolita goni już ostatkiem, że wysilona zupełnie, nie może już wytrzymać, że straciła kredyt, że asygnaty jej tyle tylko warte co papier, z którego zrobione — jak żeby potrzebował kredytu rząd, którego zasadą był rabunek i łupieztwo, jak żeby Alboin potrzebował był zaciągnąć pożyczkę po pięć od sta, żeby Włochy zamienić w pustynię, jak żeby banknoty Attyli stały były *al pari?*

Niepodobieństwem było, aby człowiek, który tak zupełnie nie pojmował natury wojny, mógł był tę wojnę szczęśliwie pro-

wadzić. Zdolności Pitta były wprawdzie ogromne, ale administracyę wojskową prowadził jak waryat! Stał on na czele narodu wplątanego w wojnę na śmierć lub życie, na czele narodu opatrzonego w najwyższym stopniu wszystkiemi fizycznemi i moralnemi warunkami, które robią dobrego żołnierza; miał na rozkazy środki nieograniczone; Parlament z większą gotowością dawał mu ludzi i pieniądze, niżeli on ich żądał. W takich okolicznościach i z takiemi środkami, człowiek taki jak Richelieu, Louvois, Chatham lub Wellesley, byłby w kilku miesiącach stworzył jednę z najpiękniejszych armij w świecie, byłby odkrył i postawił wodzów godnych stać na czele takiej armii. Jakieś drugie Blenheim byłoby mogło uratować Niemcy, jakieś drugie Ramillies byłoby mogło odzyskać Flandryę, jakieś drugie Poitiers byłoby mogło wyzwolić Royalistów i katolików zachodniej Francyi z pod nienawistnego jarzma, i rozszerzyć postrach aż do rogatek Paryża. A tymczasem po ośmiu latach wojny, po niesłychanych ofiarach w ludziach, po wydatkach, które przechodziły o wiele koszta wojny amerykańskiej, wojny siedmioletniej, wojny o sukcesyę austryacką i wojny o sukcesyę hiszpańską razem, wojsko angielskie, za rządów Pitta, było pośmiewiskiem całej Europy. Nie mogło ono pochlubić się ani jednem świetniejszem zwycięztwem; ile razy pokazało się na kontynencie, to na to tylko zawsze, żeby być pobitem, ściganem, chronić się na okręty lub kapitulować. Zająć jakąś wyspę z plantacyami cukru w Indyach zachodnich, lub rozpędzać tłum pół nagich irlandzkich chłopów, oto największe zwycięztwa angielskiego oręża pod rządami Pitta.

Angielskiej marynarki żadna zła administracya zepsuć zupełnie nie mogła, ale co tylko zła administracya mogła w tej mierze zrobić, to przez długi przeciąg czasu święcie było zawsze zrobionem. Hrabia Chatham przez braterską jedynie stronniczość, bez żadnego tytułu do wysokich publicznych urzędów, został pierwszym Lordem Admiralicyi, i siedział na tem wielkiem stanowisku przez dwa lata wojny, w której byt państwa poprostu zależał od dzielności floty. I zasypiał szczęśliwie lub

trawił na fraszkach czas, który się służbie publicznej poświęcać należało, aż dopokąd cała klasa handlowa, choć w ogóle skłonna do popierania rządu, nie zaczęła gorżko narzekać, że nasza flaga handlowi naszemu nie daje obrony. Na szczęście na miejsce Lorda Chatham, przyszedł Jerzy hrabia Spencer, jeden z tych Whigów, którzy w wielkiej schizmie, wywołanej w tem stronnictwie Rewolucyą francuzką, stanęli po stronie Burkego. Lord Spencer, choć jako mowca, nie dorównywał większości swych kolegów, był lepszym od nich wszystkich administratorem. Jego to zasługa, że długi i smutny szereg dni żałoby i postu, a raczej bez ogródki, upokorzenia i wstydu, przerwały dwa razy w krótkim przeciągu jedenastu miesięcy, dnie radości i dzięków za wielkie zwycięztwa.

Może się wydać paradoksem co powiemy, że nieudolność jaką okazał Pitt we wszystkiem co się odnosiło do prowadzenia wojny, jest właśnie poniekąd największym dowodem ogromnych jego zdolności. A przecież jest to czystą prawdą. Bo niezawodnie dziesiąta część jego błędów i niepowodzeń byłaby się okazała fatalną dla wpływu i potęgi każdego ministra, któryby nie był posiadał w najwyższym stopniu przymiotów parlamentarnego sternika.

Plany jego kończyły się na niczem, przepowiednie jego zawodziły, koalicye, które on z wielką zawiązywał pracą, rozpadały się jedna po drugiej, wojska, które z ogromnym wysyłał kosztem, wracały rozprószone i pobite; nieprzyjaciel, z którym on niedołężną prowadził walkę, zdobywał Flandryę, Brabancyę, Elektorat Moguncki i Trevirski, Holandyę, Piemont, Liguryę, i Lombardyę, a pomimo tego rosła z każdym dniem przewaga Pitta w Izbie Gmin. Tam było jego państwo i tam plac jego zwycięztw; jego Lodi, jego Arcoli, jego Rivoli i Marengo. Jeżeli wielka jakaś klęska, jakaś porażka sprzymierzonych, wcielenie jakiegoś nowego departamentu do francuzkiej Rzeczypospolitej, krwawe rozruchy w Irlandyi, bunt na flocie, spadek papierów na bankach lub paniczny strach w mieście, rzuciły trwogę zwątpienia na szeregi jego większości, to zwątpienie

to trwało tylko dopóki on nie powstał z swego miejsca, dopóki dumnie nie podniósł głowy, dopóki rozkazującym ruchem nie wyciągnął ręki, i dopóki dźwięcznym i donośnym głosem nie ozwał się wzniosłemi słowy niewygasłej nadziei i nieugiętej stałości. I tak przez długi a nieszczęsny przeciąg czasu po każdej klęsce odniesionej po za murami Parlamentu, następował niechybnie tryumf w jego murach. W końcu nie miał już Pitt żadnej przed sobą opozycyi. Większa połowa tego wielkiego stronnictwa, które przez pierwsze ośm lat jego rządów nieustanny stawiało mu opór, dziś z księciem Portland na czele przeszła pod jego chorągiew, a reszta po wielu daremnych zapasach, w rozpaczy dała mu za wygraną. Fox schronił się pod cieniste drzewa w St. Anne's-Hill; w towarzystwie przyjaciół, których żadne koleje losu oderwać od niego nie zdołały, kobiety którą kochał gorąco, i wielkich ateńskich, rzymskich i florenckich zmarłych, znalazł tam pociechę i nagrodę za wszystkie zawody swego publicznego życia. Sesya po sesyi przechodziła bez żadnego niemal podziału zdań; a w r. 1799 tak obfitym w wypadki, największa mniejszość, jaką przeciw rządowi zebrać się dało, liczyła zaledwo dwadzieścia pięć głosów.

Wewnętrznej polityce Pitta niezawodnie nie zbywało w owym czasie na sprężystości. Podczas gdy Jakobinizmowi we Francyi stawiał opór tak słaby, że wzmagał nim tylko zle które chciał stłumić, silną dłonią trzymał na wodzy Jakobinizm angielski. Ustawa *Habeas Corpus* kilkakrotnie bywała zawieszaną; meetyngi publiczne odbywały się tylko pod wielkiem ograniczeniem; Parlament pozwolił rządowi wydalać z kraju cudzoziemców podejrzanych o złe zamiary, a rząd nie żartem tej nadanej sobie władzy używał. Pisarzów rozszerzających zasady przeciwne monarchii i arystokracyi, karano i wypędzano bez miłosierdzia. Żaden republikanin nie mógł bezpiecznie przyznać się do swojej politycznej wiary przy bifsteku i butelce wina w restauracyi. Dawne prawa szkockie przeciw buntowi, przez Anglików za barbarzyńskie uznane, a przez wiele

z kolei rządów zaniedbane i skazane na rdzewienie, wydobyto teraz i wyostrzono na nowo. Ludzi wykształconego umysłu i dobrego wychowania ze złoczyńcami pospołu wysyłano do Botany-Bay, za zbrodnie, które w Westminster ledwie byłyby za małe przekroczenia uchodziły. Reformatorów niektórych, przesadzonych wyobrażeń może i niepohamowanego języka, ale takich, którym nie marzyło się nigdy o obaleniu rządu siłą, oskarżono o zdradę stanu, a sam tylko sprawiedliwy wyrok przysięgłych uratował ich od szubienicy. Surowość tę chwalili wielce przerażeni współcześni, którzy ze strachu okrutnymi się stali, ale potomności przedstawia się ona w innem zupełnie świetle. Faktem jest bowiem, że Anglicy, którzy pragnęli rewolucyi, byli nawet co do liczby nie straszni, a pod wszystkiemi innemi względami byli fakcyą godną jedynie chyba pogardy, fakcyą bez broni, bez pieniędzy, bez stałego celu i zamiaru, bez organizacyi, bez naczelników. Rzecz niewątpliwa, że Pitt, tak silny poparciem całego narodu, łatwo mógł był stłumić burzliwość niezadowolonej mniejszości, używając sprężyście ale z umiarkowaniem zwyczajnego prawa. Cała sprężystość, jaką rozwinął przez ciąg tej nieszczęsnej drugiej połowy swego życia, była nie na czasie i nie na miejscu. Naprzeciw nieprzyjaciela zewnętrznego, strasznego i groźnego naprawdę, był miękkim i niedołężnym, a całą swoją tęgość i sprężystość chował na nieprzyjaciela domowego, na którego bezpiecznie mógł był nie zważać.

Z jednego tylko względu zasługuje polityka Pitta w ostatnich ośmiu latach ośmnastego wieku na wielką pochwałę. Był pierwszym w Anglii ministrem, który względem Irlandyi dobre i wielkie żywił zamiary. Ucisk, pod którym przez wiele pokoleń zostawała katolicka ludność tego kraju, wydawał mu się okrucieństwem i niesprawiedliwością, a człowiek jego zdolności, nie mógł przy tem nie dostrzedz, że w wojnie przeciwko Jakobinom katolicy byli im naturalnymi sprzymierzeńcami. Gdyby był mógł przeprowadzić wszystko co zamierzał, mądra i wolnomyślna polityka byłaby może odwróciła bunt

roku 1798. Ale trudności, jakie napotkał, były ogromne, a może wcale nieprzezwyciężone, i katolicy Irlandzcy, raczej nieszczęściem jego jak jego winą, pchnięci zostali w ramiona Jakobinów. Wybuchło trzecie powstanie pierwiastku Irlandzkiego przeciw angielskiemu, niemniej straszne, jak takie same powstania w roku 1641 i 1689. Pierwiastek angielski zwyciężył, i Pitt musiał teraz, jak niegdyś Cromwell i Wilhelm Trzeci, namyśleć się, jakby zwycięztwa tego użył. Pamięci jego należy się oddać sprawiedliwość, że ułożył wtedy program polityki tak wspaniały, tak prosty, tak ludzki i sprawiedliwy, że sam jeden dałby twórcy swojemu prawo do znakomitego miejsca między mężami stanu. Chciał on połączyć Irlandyę w jedno z Anglią królestwo, a zarazem nadać katolikom świeckim wszystkie prawa polityczne, i wyznaczyć duchowieństwu katolickiemu utrzymanie z publicznego skarbu. Gdyby był zdołał zamiar ten szlachetny doprowadzić do skutku, to Unia byłaby Unią naprawdę. Dla niezmiernej większości Irlandczyków łączyłaby się Unia nierozdzielnie z cywilną i religijną wolnością; dawnego parlamentu w College-Green żałowałaby tylko mała szajka ograniczonych ciemiężycieli, pozbawionych wpływu i znaczenia, a cały naród byłby go wspominał ze wzgardą i z odrazą należną najdespotyczniejszemu i najbardziej zepsutemu zebraniu, jakie kiedykolwiek w Europie zasiadało. Nieszczęściem połowę tylko tego co zamierzył, zdołał Pitt w życie wprowadzić. Udało mu się otrzymać przyzwolenie obu parlamentów na Unią, ale do tej zgody wyznań i plemion, bez której Unia z imienia tylko istnieć mogła, nie przyszło. Wiedział on dobrze, że napotka trudności w gabinecie królewskim, ale pochlebiał sobie, że je zręcznością i roztropnością swoją pokona. Na nieszczęście, znaleźli się na wysokich stanowiskach zdrajcy i pochlebcy, którzy nie dali mu wybrać stosownej pory i drogi, ale przed czasem odkryto zamysły jego królowi, i to w sposób, który najgorzej musiał rozdrażnić i zatrwożyć ten umysł skołatany i słaby. Jego Królewska Mość uroiła sobie niedorzecznie, że przysięga koronacyjna nie pozwala przystać na żadną uchwałę

nadającą katolikom prawa polityczne. Przekonywać króla, nie zdało się na nic. — Dundas próbował tłomaczyć mu rzecz całą, ale usłyszał za całą odpowiedź, żeby sobie schował dla siebie swoją szkocką metafizykę. Wskutek tego podał się do dymisyi Pitt i najzdolniejsi z jego kolegów. Król musiał postarać się o nowy gabinet, ale zmartwienie jego i gniew sprowadziły napowrót w tej właśnie chwili tę chorobę, która przed laty nie pozwoliła mu już raz pełnić czynności. Teraz zwołał on wszystkich członków swej rodziny, przeczytał im przysięgę koronacyjną, i powiedział, że gdyby ją złamał, korona przeszłaby natychmiast do domu Sabaudzkiego. Po kilku dopiero tygodniach odzyskał swoje niewielkie władze umysłowe i złożył nareszcie ministerium wedle swego serca.

Materyały, z których król miał teraz rząd zbudować, nie były ani trwałe ani świetne. Nie mógł on udać się do tego stronnictwa, które małe liczbą, ale silne zdolnościami wszelkiego rodzaju, sprzeciwiało się zawsze domowej i zagranicznej polityce ostatnich jego doradzców; bo stronnictwo to, które od ostatnich ministrów różniło się w tem wszystkiem, w czem król tamtych aprobacyą swoją zaszczycał, zgadzało się z nimi całem sercem w tej właśnie sprawie, która ich przyprawiła o niezadowolenie Jego Królewskiej Mości. Nie pozostawało więc królowi nic innego, jak wywołać ludzi z tylnych szeregów dawnego ministeryum i kazać im złożyć front ministeryum nowego. W wieku tak szczególnie obfitym w zdolności parlamentarne, złożono ministeryum, którego nie jeden członek nie posiadał parlamentarnych zdolności, choćby już tylko drugiego rządu. Najważniejsze w państwie urzędy rozdano przyzwoitym i pracowitym miernościom. Na czele rządu stanął Henryk Addington. Był on dawnym, dziedzicznym przyjacielem Pitta, i za jego wpływem, jako młody jeszcze człowiek, został prezydentem Izby. Przyznawano mu powszechnie, że był najlepszym prezesem, jaki kiedykolwiek krzesło zajmował od czasów Onslow'a, ale natura nie dała mu zbyt wielkich zdolności, a wysokie stanowisko jakie zajmował, zrobiło go niezdolnym

raczej niż stosownym do nowych obowiązków. Dotychczas całem jego zadaniem było zachować się bezstronnie między walczącemi partyami; w wojnie na słowa nie brał nigdy udziału, a wielcy mowcy, którzy z prawej i z lewej strony wzajemnie na siebie gromy rzucali, do niego odzywali się zawsze z największem uszanowaniem. Nic zatem dziwnego, że kiedy po raz pierwszy wypadło mu zmierzyć się z zaciętymi i dzielnymi przeciwnikami, którzy bez ceremonii ciężkie zadawali razy, okazał się niezgrabnym i nieprzytomnym, i że przy poważnej i dostojnej postawie, jaką sobie na poprzedniem stanowisku przyswoił, jakiej się teraz nie pozbył, bezradność jego tem śmieszniejszą, tem opłakańszą się wydawała. Pomimo tego jednak władza jego zdawała się stać silnie przez kilka miesięcy. Król, do którego zbliżała go ciasnota umysłu, a dla którego z większem był jak Pitt uszanowaniem, lubił go bardzo, a naród uszczęśliwiony był pokojem z Francyą i dobrze przezeń dla nowego ministra usposobiony. Zapał, z którym rzuciły się w wojnę wyższe i średnie klasy w Anglii, przygasł, Jakobinizm przestał strasznym się im wydawać, a wszędzie objawiać się zaczęła silna reakcya przeciwko temu, co nazywano ateistyczną i anarchiczną filozofią XVIII wieku. Bonaparte, podówczas pierwszy konsul, zajęty był właśnie wystawieniem na gruzach dawnych, nowych urządzeń kościelnych, i nowy tworzył order rycerski. Nie domyślano się jeszcze podówczas, że nic nie zdoła zaspokoić samolubnej jego chciwości panowania, jak tylko nieograniczona władza nad całym cywilizowanym światem, a najroztropniejsi ludzie nie wątpili bynajmniej, że będzie on sąsiadem tak bezpiecznym jak byłby jakikolwiek król z domu Burbonów. Cały też prawie naród angielski powitał pokój w Amiens z szaloną radością, a popularność ministra była w owej chwili ogromną. Mniej to szkodziło, że nie miał zdolności parlamentarnych, bo nie miał w tej chwili z żadnymi do walczenia przeciwnikami. Dawna opozycya, ucieszona pokojem, była mu wcale przychylną; nowa opozycya utworzyła się wprawdzie pod kierunkiem niektórych z ostatnich ministrów

i stanęła w Izbie Lordów pod dowództwem Grenvilla, w Izbie Gmin pod dowództwem Windhama, ale nie zdołała nigdy zebrać więcej jak dziesięć głosów i nie miała żadnego w kraju poparcia. Nowi zaś ministrowie uważali Pitta za najsilniejszą swoją podporę. On nie odszedł tak jak jego koledzy z żalem i gniewem; przeciwnie, oświadczył największe uszanowanie dla tego skrupułu sumienia, który owładnął umysłem królewskim, a następcom swoim przyrzekł wszelką pomoc, jakby od niego zależała. Prywatnie rada jego zawsze była na ich usługi, w parlamencie zajął miejsce na ławie zaraz za ministrami, i w niejednej rozprawie bronił ich silniej nierównie niż oni sami siebie. Król pojmował dobrze wartość tej pomocy. Jednego razu wziął na bok dawnego i nowego ministra i rzekł: »wszystko pójdzie dobrze, jeżeli my trzej będziemy się trzymać razem.«

Ale niepodobieństwem było, skoro ludzie są tem czem są, a zwłaszcza skoro Pitt i Addington byli czem byli, żeby jedność ta trwać była mogła długo. Pitt świadomy swej wyższości, rozumiał że stanowisko, które opuścił, obsadzone było przez niego podsuniętą lalką, którą będzie rządził zupełnie, dopóki jej na tem stanowisku zostać pozwoli, a którą odrzuci skoro tylko zechce wrócić na swoje dawne miejsce. I niebawem też zaczął tęsknić na nowo za władzą, którą niedawno był złożył. Tak młodo wzniósł się on był do najwyższej w kraju potęgi i używał jej tak długo, że w końcu stała mu się ona potrzebą. Po za rządem dni jego płynęły ciężko; nie umiał on, jak Fox, zapominać w towarzystwie Herodota i Euripidesa o troskach i rozkoszach panowania. Duma nie dawała mu napomknąć najdroższym nawet przyjaciołom, że pragnął zostać ministrem na nowo, ale wydawało mu się rzeczą dziwną, niewdzięcznością nawet, że ten, którego za namiestnika swego uważał, nie odgadywał tej jego chęci, i że jej nie uprzedził.

Addington z drugiej strony, nie miał najmniejszej ochoty zstępować ze swego wysokiego stanowiska. Zostawał on pod takiem samem złudzeniem, jak Abu-Hasan w arabskiej powieści; krótki i nieprawdziwy kalifat zawrócił mu głowę zupełnie.

Wyniesienie swoje brał on za coś rzeczywistego, przypisywał je swojej własnej zasłudze i uważał się za trzeciego obok Pitta i Foxa w wielkim tryumwiracie angielskich mężów stanu.

Przy takiem usposobieniu byłego i obecnego ministra, zerwanie było nieuniknionem, a nie brakło naturalnie na ludziach, którzy usadzili się na to, żeby przyszło do niego jaknajśpieszniej i w sposób jak najgwałowniejszy. Jedni urażali dumę Addingtona mówiąc, że był on tylko lokajem, któremu kazano zająć miejsce na ławie ministrów, dopókiby pan jego przyjść nie zechciał; inni nie opuszczali żadnej sposobności, by go z uszczerbkiem Pitta wysławiać. Pitt, mówili, prowadził wojnę krwawą, kosztowną i nieszczęśliwą; Addington zawarł pokój. Pitt zawieszał konstytucyjne swobody Anglików; Addington pozwalał im używać ich na nowo; Pitt trwonił zasoby publiczne, Addington pomnażał je troskliwie. Widocznem było niekiedy, że pochwały te nie były nieprzyjemne uchu Addingtona, i Pitt stawał się stopniowo oziębłym i w sobie zamkniętym. Przez jakiś czas przebywał zdala od Londynu, a przyjaciele jego najściślejsi robili co mogli, żeby sprowadzić zmianę ministeryum, pomimo wszystkich jego oświadczeń, że się bynajmniej nie skarży i władzy wcale nie pragnie. Ulubiony jego uczeń George Canning [1]), młody, ognisty, chciwy władzy, z wielkiemi cnotami i zdolnościami, ale z usposobieniem zbyt dla własnego swego dobra niespokojnem, z dowcipem zbyt ostrym i uszczypliwym, rozwijał czynność niezmordowaną. Mówił, pisał, intrygował, chciał nakłonić wielką liczbę stronników rządu do podpisania okólnika żądającego zmiany; i wydrwiwał Addingtona i jego przyjaciół w całym szeregu zabawnych paszkwilów. Stronnicy ministra odpowiadali nie tak dowcipnie, ale równie cierpko. Pitt sam, o tyle tylko mógł zapasów tych uniknąć, o ileby unikał polityki w ogólności

[1]) Canning Jerzy, ur. 1770, zmarły 1827, pierwszy raz w ministeryum pod Pittem, potem kilka razy, w końcu na czele gabinetu. Główny sprawca zniesienia *Testu*, i emancypacyi katolików, a także oderwania Grecyi od Turcyi.

a to wkrótce okazało się zupełnie niepodobnem. Gdyby Napoleon, przestając na pierwszem miejscu między monarchami Europy, i na sławie wojskowej, jakiej nie miał nigdy Turenne ani Marlborough, był poświęcił się szlachetnemu zadaniu uszczęśliwienia Francyi przez rządy łagodne i mądre prawodawstwo, nasz kraj mógłby był i nadal zostawać bezpiecznie pod rządem, którego zamiary były dobre, ale zdolności słabe. Na nieszczęście, zaledwo podpisanym był pokój w Amiens, już nienasycona ambicya i nieznośna duma pierwszego konsula dowiodły dostatecznie narodowi angielskiemu, że spokój z takim powitany zapałem, był tylko niepewnem zawieszeniem broni. A skoro pokazywało się coraz jaśniej, że lada chwila wybuchnie wojna o godność, o niepodległość, o sam wreszcie byt narodu, z coraz większą obawą zaczęli ludzie spoglądać na ten gabinet słaby i niedołężny, który niebawem miał mieć do czynienia z nieprzyjacielem, który potęgę większą od potęgi Ludwika XIV łączył z gieniuszem większym od gieniuszu Fryderyka. Prawda że Addington byłby był może lepszym ministrem wojny jak Pitt, a gorszym żadną miarą być nie mógł; ale Pitt rzucił czar jakiś na opinię publiczną narodu. Wymowa, trafność sądu, stałość spokojna i pogardliwa, którą przez lat tyle rozwijał w parlamencie, natchnęła cały świat złudnem przekonaniem, że musiał on być zdolniejszym od wszystkich do kierowania każdym, którymkolwiek wydziałem polityki, tak że nawet po fatalnych jego niepowodzeniach pod Dunkierką, Quiberon i Helderem, ludzie mieli go zawsze za jedynego męża stanu, godnego mierzyć się z Napoleonem; a u nikogo uczucie to nie było silniejszem, jak u Addingtona kolegów. Nacisk, jaki ci na ministra wywarli, był tak silny, że nie mógł mu nie ustąpić; ale jeszcze ustępując pokazał on, jak zupełnie nie pojmował swego stanowiska. Zrazu chciał, żeby pierwszym ministrem i głową rządu z imienia został nic nie znaczący jaki magnat, a władzę rzeczywistą żeby podzielili między siebie on z Pittem, zostając sekretarzami stanu. Pitt, jak łatwo było

przewidzieć, nie chciał nawet rozważyć tego planu i mówił o nim z gorzkiemi przekąsami.

Gdy go zapytał Wilberforce, które z dwóch sekretarstw oddać mu chciano, odrzekł że »nie wié, bo nie miał nawet ciekawości zapytać.« Addington zaczął że strachu ofiarować więcej, chciał już zrzec się podskarbstwa na korzyść Pitta pod warunkiem, żeby nie zaszły w rządzie żadne wielkie zmiany, ale Pitt nie chciał nawet słyszeć o takich warunkach. Przyszło w końcu do sprzeczki, jaka często się wywiązuje z ustnych układów, wtedy nawet, gdy obie strony trzymają się ściśle drogi honoru. Pitt opowiadał ją w jeden sposób, Addington w inny, a choć różnice nie były takie, żeby mieścić miały rozmyślne z którejbądź strony pogwałcenie prawdy, obadwa byli do najwyższego stopnia rozdrażnieni.

Tymczasem zatargi z pierwszym konsulem dojrzały do przesilenia. Dnia 16 maja 1803 posłał król do Izby Gmin messaż, żądający pomocy jej w oporze, jaki stawić zamyślał ambitnej i zdobywczej polityce Francyi, a 22-go t. m. wzięła Izba messaż ten pod rozwagę.

Pitt od kilku miesięcy żył był na ustroniu. Od ostatniej jego mowy w Parlamencie zaszły powszechne wybory, tak że było dwustu posłów, którzy go nigdy nie słyszeli. Wiedziano, że przy tej sposobności będzie on na swojem stanowisku, i ciekawość wytężoną była do najwyższego stopnia. Na nieszczęście wskutek jakiejś pomyłki wykluczono tego dnia skoropisów z galeryi, tak że gazety umieściły bardzo skąpe sprawozdanie z posiedzenia; ale przechowało się kilka opowieści o tem co zaszło, a najciekawszą znajduje się w niewydanym dotąd liście bardzo młodego posła Jana Williama Ward, później hrabiego Dudley. Kiedy Pitt powstał, powitał go głośny szmer i okrzyki radości, a po każdym przestanku rzęsiste sypały się oklaski. Wstęp miał być jednym z najwspanialszych i najbardziej porywających, jakie kiedykolwiek w parlamencie słyszano. »Mowę »Pitta«, pisał Fox w kilka dni później, »podziwiają wszyscy, »i słusznie. Zdaje mi się, że jest ona najlepszą ze wszystkich,

jakie w tym rodzaju powiedział. Rozprawę odłożono; a następnej nocy odpowiedział Fox mową taką, że, podług uznania najzapaleńszych Pittystów, niewiedzieć któremu z dwóch należała się palma wymowy. Addington licho wyglądał między tymi wielkimi współzawodnikami, a zauważano, że Pitt, kiedy upominał Izbę, aby statecznie popierała rząd przeciw Francuzom, nie znalazł ani jednego słowa szacunku lub przyjaźni dla pierwszego ministra.

Rychło potem wojna została wypowiedzianą. Pierwszy Konsul groził wylądowaniem w Anglii na czele zdobywców Włoch i Belgii, i nad cieśniną naprost Dover wielki założył obóz. Po drugiej stronie tej cieśniny, cała ludność naszej wyspy gotowa była powstać jak jeden człowiek w obronie swojej ziemi. W tej chwili, jak w innych niektórych wielkich chwilach naszych dziejów, jak w roku 1660 naprzykład i 1688, wszyscy ludzie uczciwi i miłujący ojczyznę, gotowi byli zapomnieć o dawnych zatargach i każdego uważać za przyjaciela, kto tylko gotów był w obecnem przejściu przyczynić się ile mógł do ratowania państwa. Koalicya najznakomitszych ludzi kraju byłaby tak popularną, jak była znienawidzoną koalicya roku 1783. W całem królestwie król tylko jeden spoglądał z upodobaniem na gabinet, w którym nie było ani jednego człowieka umysłem wyższego nad jego własny, i tak nietylko nie miał najmniejszej ochoty przypuścić do władzy najzdolniejszych swoich poddanych, ale nawet zaciął się, żeby ich wszystkich od władzy odsunąć.

Upłynęło kilka miesięcy, zanim porozumiały się między sobą stronnictwa, które spotykały się w niechęci i pogardzie dla istniejącego rządu. Ale z wiosną roku 1804 jawnem się pokazało, że najsłabszy z gabinetów będzie miał do walczenia z najsilniejszą z opozycyj, z opozycyą złożoną z trzech opozycyj, z których każda zosobna byłaby straszną swojemi zdolnościami, a które w połączeniu, straszne były i liczbą. Stronnictwo, które opierało się pokojowi, a na jego czele Grenville i Windham, i stronnictwo, które się opierało wznowieniu wojny,

a na jego czele Fox, połączyły się teraz w przekonaniu, że ludzie obecnie u władzy będący, nie zdołają ani dobrego zawrzeć pokoju, ani sprężyście wojny prowadzić. Pitt przemawiał za pokojem w r. 1802 przeciw stronnictwu Grenvilla, a w r. 1803 przemawiał za wojną przeciw stronnictwu Foxa; ale o zdolnościach gabinetu a zwłaszcza jego naczelnika, miał takie same, jak oni, wyobrażenie. Łatwo znalazły się kwestye, w których wszyscy nieprzyjaciele rządu najserdeczniej mogli działać wspólnie. Nieszczęśliwy pierwszy minister, który w pierwszych czasach swojego urzędowania miał poparcie Pitta z jednej strony, a poparcie Foxa z drugiej, musiał teraz zbijać Pitta, a być zbijanym przez Foxa. Dwie zacięte rozprawy, po których zaraz nastąpiły głosowania, sprawiły, że mu stanowisko jego obmierzło: wiedział prócz tego, że Izba wyższa była mu jeszcze mniej przychylną, jak niższa, że parowie szkoccy się wahali, i że między biskupami objawiały się niejakie oznaki buntu. W gabinecie samym była niezgoda, i gorzej jak niezgoda, bo zdrada. Trzeba było ustąpić; ministeryum zostało rozwiązane, a zadanie złożenia nowego rządu, powierzonem zostało Pittowi.

Pitt sądził, że nadeszła teraz pora, jaka się nigdy jeszcze nie nadarzyła i jaka nigdy więcej mogła się nie powtórzyć, do wciągnięcia do służby publicznej wszystkich znakomitych zdolności kraju, pod zaszczytnemi dla wszystkich warunkami. Ucichły namiętności, którym rewolucya francuzka dała była początek — szał nowatorstwa i szał trwogi zarówno już czas swój przeżyły, Jakobinizm i Antyjakobinizm zarówno już wyszły były z mody. Najbardziej postępowi politycy uznawali, że chwila nie była stosowną do podjęcia reformy wyborczej, a politycy najbardziej wsteczni nie mogli utrzymywać, żeby był jakikolwiek powód do zawieszania ustawy *Habeas Corpus*, lub do billów ograniczających wolność mowy i pisma. Wszystkie umysły zajmowała tylko wielka walka o honor i niepodległość narodu, a wszyscy, którzy się zgadzali co do konieczności sprężystego prowadzenia tej walki, mogli odłożyć do sposobniejszej

pory wszystkie zatargi o sprawy mniejszej wagi. Przejęty na wskróś tem przekonaniem, chciał Pitt złożyć ministeryum, w którem mieściliby się wszyscy pierwsi ludzie całego kraju. Podskarbstwo sobie chciał zatrzymać, ale Foxowi gotów był ofiarować udział we władzy mało co mniejszy od swojego własnego.

Pomysł był wyborny, ale król ani nawet o nim słyszeć nie chciał. Ograniczony, uparty, pamiętny uraz, a w tej chwili na pół obłąkany, oświadczył on stanowczo, że Foxa do usług swoich nie przyjmie. Każdy inny, z tych nawet, którzy posunęli się tak daleko, lub jeszcze dalej jak Fox, w tem, co Jego Królewskiej Mości Jakobinizmem się wydawało, Sheridan, Gray, Erskine, mógł się spodziewać łaskawego przyjęcia; ale Fox nigdy i pod żadnym warunkiem. Przez kilka godzin mozolił się Pitt daremnie, by przemódz rozsądkiem tę bezrozumną niechęć, i bez wątpienia mozolił się szczerze — ale nie wystarczało tu być szczerym, trzeba jeszcze było być stanowczym i śmiałym. Gdyby był oświadczył wprost, że bez Foxa nie wejdzie do rządu, upór króla byłby musiał ustąpić, jak ustąpił w kilka miesięcy później, przed niewzruszonem postanowieniem Lorda Grenville. Tymczasem Pitt w złą godzinę ustąpił. Łudził on się nadzieją, że choć zgodził się obejść bez pomocy swego znamienitego współzawodnika, znajdzie zawsze dość materyału do zbudowania rządu odpowiedniego do okoliczności. Nadzieja ta zawiodła go straszliwie. Fox zaklinał wprawdzie swych przyjaciół, żeby nie zważali na osobiste względy, zaręczał, że całą siłą popierać będzie rząd, w którymby sam nie zasiadał, byleby ten rząd był dzielnym i patryotycznym, ale nietylko jego przyjaciele, ale Grenville nawet i zwolennicy Grenvilla, odpowiedzieli, że sprawa ta nie była osobistą, że chodziło tu o wielką konstytucyjną zasadę, i że żaden z nich nie przyjmie urzędu, jeżeli człowiek najzdatniejszy ze wszystkich do usług krajowych, miał zostawać pod klątwą dlatego tylko, że nielubionym był u Dworu. Pittowi zatem nie pozostało nic, jak złożyć rząd z rozbitków słabej administracyi Addingtona. Małe kółko osobistych jego przy-

jaciół dostarczyło mu małą liczbę użytecznych pomocników, między którymi był Dundas, zamianowany niedawno Wice-Hrabią Melville, Lord Harrowby i Canning.

Pod takiemi to złemi wróżbami rozpoczął Pitt powtórne swoje rządy, a cała historya tych rządów odpowiadała zupełnie początkom. Każdy niemal miesiąc nową przynosił klęskę lub sromotę. Do wojny z Francyą przybyła niebawem wojna z Hiszpanią; przeciwników miał minister licznych, zdolnych i czynnych, a najlepszych pomocników rychło tracił. Choroba pozbawiła go pomocy Lorda Harrowby; Lord Melville, jak się pokazało, winnym był wielkiej niesumienności w układach tyczących się grosza publicznego, i dostawszy naganę od Izby Gmin, wyrzuconym został z Rady Przybocznej, złożonym z urzędu i oskarżonym sądownie o zbrodnię stanu i przeniewierstwo. Cios ten boleśnie ugodził w Pitta. Zadał mu on, jak sam wyraził się w Parlamencie »wielki ból«, a gdy wymawiał słowo ból, zadrgały mu wargi, głos się zatrząsł, utkwił w piersiach, i słuchacze myśleli, że mowca wybuchnie płaczem. Płacz taki kogoś innego, Eldona [1]) naprzykład, byłby wszystkich do śmiechu tylko pobudził. Płacz szczerego i szlachetnego Foxa, byłby wszystkich pobudził do litości, ale nie byłby zdziwił nikogo. Ale płacz Pitta, to było coś nadzwyczajnego; przemógł on wszelako swoje wzruszenie i ciągnął dalej ze zwykłą swoją majestatyczną mocą nad sobą.

Liczne trudności zmuszały go uciekać się do najrozmaitszych sposobów. Raz nakłonił Addingtona, żeby przyjął urząd i poselstwo, ale ten przystąpieniem swojem wcale gabinetu nie wzmocnił, a choć poddał się formie pojednania, nie mógł przecież zapomnieć przeszłości, jak długo u władzy zazdrosnym był i podejrzliwym, a niebawem złożył też swój urząd na nowo. Innym razem ponowił Pitt usiłowania, aby przezwyciężyć

[1]) John Scott, hrabia Eldon, ur. 1751, um. 1838 r. Kanclerz od r. 1801 do 1827. Główny przeciwnik emancypacyi katolików i Reformy wyborczej.

wstręt króla do Foxa i rozeszła się wieść, że upór króla słabnął powoli; ale przy tem wszystkiem nie zdołał minister ukryć przed okiem ludzi ani upadku swego zdrowia, ani nieustającej niespokojności, która mu serce toczyła. Sen go opuścił, pokarm przestał go żywić, wszyscy, którzy spotykali go w Parku lub widywali na Downing Street, widzieli rozpacz wypisaną na jego twarzy. Szczególny wyraz, jaki cechował jego oblicze w ostatnich miesiącach jego życia, opisywał często Wilberforce w patetyczny sposób, i nazywał go Austerlitzkim wyrazem.

Ale siła umysłowych władz Pitta i niezłomna wyniosłość jego ducha zachwiać się przecież nie dały. Postawił on wszystko na wielką stawkę; zdołał utworzyć drugą potężną koalicyą przeciw przewadze Francyi, i spodziewał się, że połączone siły Anglii, Austryi i Rosyi, postawią zaporę nieprzebytą ambicyi wspólnego nieprzyjaciela. Ale zwyciężył gieniusz i energia Napoleona. Kiedy wojska angielskie zabierały się do wsiadania na okręty, a rosyjskie zwolna posuwały się z Polski do Niemiec, Napoleon z szybkością jedyną dotychczas w dziejach nowożytnych wojen, przerzucił sto tysięcy ludzi z nad brzegów Oceanu w góry Czarnego Lasu i pod Ulm zmusił wojsko austryackie do złożenia broni. Pitt nie chciał dać wiary pierwszym głuchym pogłoskom o tej klęsce; gniewały go tylko obawy otaczających. »Nie wierzcie temu, mawiał, »ani na chwilę, to wszystko bajki.« Nazajutrz odebrał holenderską jakąś gazetę z osnową kapitulacyi. Po holendersku nie umiał, a że była to Niedziela, wszystkie urzędy były zamknięte. Udał się zatem z owym dziennikiem do Lorda Malmesbury, który był dawniej ministrem angielskim w Hadze, i ten przetłomaczył mu wiadomość. Pitt usiłował znieść ją mężnie, ale cios był za wielki, i na twarzy ministra, gdy odchodził, blizka śmierć była już widoczną.

W cztery dni później przyszła wieść o bitwie pod Trafalgar i dodała mu życia na chwilę. W czterdzieści ośm godzin

po obwieszczeniu tego chwalebnego i bolesnego [1]) zwycięztwa, nadeszła doroczna uczta u Lorda Majora i Pitt udał się do Guildhall. Jakkolwiek popularność jego znacznie była upadła, przecież dnia tego, tłumy rozgrzane świeżemi wieściami, witały go z największym zapałem, odprzęgły na Cheapside konie od jego powozu i ciągnęły go przez całą długość Kings-Street. Gdy wnoszono jego zdrowie, podziękował w niewielu wspaniałych okresach, które miał zawsze na rozkazy; a niektórzy ze słuchaczów zachowali wiernie w sercach swoich te słowa, bo były to ostatnie, jakie Pitt w życiu swem wymówił. »Miejmy »nadzieję, brzmiały one, »że Anglia energią swoją, zbawiwszy »już siebie samą, przykładem swoim zbawi jeszcze Europę.

Ale to wszystko było tylko chwilowem wytchnieniem. Pod Austerlitz dokonało się niebawem, co się pod Ulm było zaczęło. W początkach Grudnia udał się Pitt do Bath w nadziei, że nabierze tam sił na przyszłą sesyę Parlamentu. Tam będąc, odpoczywał jednego razu rozciągnięty na kanapie, kiedy przyszła wiadomość, że stoczono i przegrano stanowczą bitwę w Morawii, że koalicya się rozwiązała, i że Francya była panią całego stałego lądu Europy. To go dobiło. W dziesięć dni później tak był wychudł, że najbliżsi przyjaciele zaledwo poznać go mogli. Wracał on z Bath pomału do Londynu, i 11 Stycznia 1806 dojechał do swojej willi w Putney. Parlament miał się zejść 21-go. Dwudziestego miał być wielki obiad Parlamentarny na Downing Street u pierwszego ministra, zaproszenia były już rozesłane, ale dnie ministra były już policzone. Jedynym i to bardzo niepewnym środkiem ratunku, było dla niego złożyć urząd i przepędzić kilka miesięcy w zupełnym spokoju. Koledzy jego bawili u niego zawsze bardzo krótko i starannie unikali rozmów politycznych, ale umysł jego, zdawna nawykły panować, nie mógł i w tej nawet ostateczności wyrzec się nadziei, którą prócz niego nikt się już nie łudził.

[1]) Zwycięztwo Nelsona nad flotą francuzką i jego śmierć, 21 października 1805.

Tego samego dnia, kiedy zaniesiono go do łóżka w Putney, przybył do Londynu po ośmiu latach nieobecności, Margrabia Wellesley, którego Pitt oddawna kochał, którego posłał na wielkorządcę do Indyi i którego rządy niepospolicie były zdolne, dzielne i szczęśliwe. Przyjaciele zobaczyli się raz jeszcze, a serdeczne przywitanie było zarazem ostatniem pożegnaniem. Pitt nie przeczuwał wcale, że to widzenie miało być ostatniem. Sądził się zdrowszym, mówił wesoło o różnych przedmiotach z umysłem zupełnie trzeźwym i swobodnym, i oddawał gorące i trafne pochwały bratu Margrabi, Arturowi. »Nigdy, rzekł, »nie spotkałem wojskowego, z którymby tak przyjemnie dało się żyć i rozmawiać« [1]). Wzruszenie i znużenie tego spotkania i rozmowy, przechodziło siły chorego; zemdlał on, a Lord Wellesley odszedł, przekonany, że do końca niewiele już brakło.

Członkowie Parlamentu śpiesznie tymczasem zjeżdżali się do Londynu. Naczelnicy opozycyi zeszli się, aby się porozumieć co do drogi, jakiejby się trzymali w pierwszym dniu posiedzeń. Łatwo było przewidzieć, jak wypadnie mowa tronowa i jak projekt adresu w odpowiedzi na tę mowę. Opozycya przygotowała poprawkę naganiającą politykę rządu, a poprawkę tę wnieść miał w Izbie Lord Henryk Petty, młodzieniec, który podówczas już zdobył był sobie ten szacunek współziomków, jaki ma dzisiaj po upływie pół z górą wieku. Nie miał on jednak ochoty występować jako oskarżyciel kogoś, kto nie mógł się bronić; Lord Grenville uwiadomiony o stanie zdrowia Pitta przez Lorda Wellesley, i do żywego nim dotknięty, usilnie zalecał pobłażanie, a Fox z właściwą sobie dobrocią serca i wspaniałością umysłu, obstawał za tem, by nie występować przeciw bezbronnemu dziś współzawodnikowi. *Sunt lachrymae rerum*, rzekł, *et mentem mortalia tangunt.* Wskutku tego, pierwszy dzień sesyi przeszedł bez rozprawy. Wieczorem rozeszła się wieść, że Pitt był zdrowszy, ale nazajutrz rano oświadczyli lekarze, że nie było już żadnej nadziei. Te potężne

[1]) Artur Wellesley, później książę Wellington.

władze umysłu, z których tak wielce, zbyt wielce był dumnym, zaczynały upadać. Dawny jego przyjaciel i nauczyciel, biskup z Lincoln, uwiadomił go o niebezpieczeństwie, i zaopatrzył go w religijne rady i pociechy, o ile mógł takowe przyjąć umysł przyciśniony już i nieprzytomny. Opowiadano wiele o gorących uczuciach pobożności, jakie umierający miał wyrażać, ale opowiadaniom tym nie wierzył nikt z tych, co go znali. Wilberforce utrzymywał, że prawdą być nie mogły, »bo Pitt, jak mówił, »zawsze o tych rzeczach więcej myślał jak mówił.« Powtarzano także w mnóstwie poobiednich toastów, elegij i popisowych akademickich deklamacyj i poezyj, że wielki minister skonał, wołając: »O moja ojczyzno!« To jest bajka, ale to prawda, że ostatnie słowa, jakie wymówił, kiedy jeszcze wiedział co mówi, były urywanemi wykrzyknikami nad zatrważającym stanem spraw publicznych. Oddał Pitt ducha zrana dnia 23 Stycznia 1806 r., w dwudziestą piątą rocznicę pierwszego swego wstąpienia do Parlamentu. Miał rok czterdziesty i siódmy, i był przez lat dziewiętnaście Wielkim Podskarbim i niezaprzeczonym naczelnikiem rządu. Żaden angielski mąż stanu nie piastował władzy przez czas tak długi, odkąd się rząd parlamentarny w Anglii ustalił. Walpole był wprawdzie podskarbim przez lat przeszło dwadzieścia, ale pierwszym ministrem został naprawdę w jakiś czas dopiero po objęciu Podskarbstwa.

Wniesiono w Izbie Gmin, aby uczcić Pitta publicznym pogrzebem i pomnikiem. Fox sprzeciwił się temu wnioskowi w mowie, która służyć może za wzór szlachetnego uznania i taktu. Zadanie było najniewdzięczniejsze, jakie się mowcy jakiemu kiedykolwiek dostało, ale Fox wywiązał się z niego ze szlachetnością i z delikatnością, którą sami nawet przyjaciele zmarłego wdzięcznie uznać musieli. Wniosek przeszedł większością 288 głosów przeciwko 89.

Na dzień pogrzebu wyznaczono 22-gi Lutego. Ciało, wystawione przez dwa dni w salach Parlamentu, zaniesiono potem z wielką uroczystością do północnej nawy Opactwa.

Świetny orszak Książąt, Lordów, Biskupów i przybocznych Radców szedł za ciałem, które złożono w pobliżu zwłok wielkiego ojca Pitta, i nieopodal od miejsca, gdzie wkrótce spocząć miały zwłoki jego wielkiego współzawodnika. Smutek obecnych przechodził zwykłą żałobę, bo ten, którego chowali, umarł z trosk i zmartwień, których uniknąć nie mógł żaden z pozostałych. Wilberforce, który niósł chorągiew przed trumną, opisał z głębokiem uczuciem tę ponurą uroczystość. Gdy trumnę spuszczano do dołu, te są jego słowa, orla twarz Chatama zdawała się zaglądać z góry z rozpaczą w to ciemne mieszkanie, w którem mieścić się miało wszystko, co zostało z takiej potęgi i chwały.

Wszystkie stronnictwa w Izbie zawotowały chętnie i zgodnie czterdzieści tysięcy funtów na zaspokojenie wierzycieli Pitta. Wielbiciele jego niektórzy, chcieli upatrywać w ogromnych jego długach, okoliczność wielce dla niego zaszczytną, ale ludzie rozsądni inaczej zapewne rzecz tę osądzą. Lepiej jest niezaprzeczenie, żeby wielki minister do przesady posunął lekceważenie pieniędzy, jak żeby miał skalać ręce nieprawnym nabytkiem. Ale nie jest to dobrze, i nie przystoi wcale człowiekowi, któremu naród dawał dochody wystarczające aż nadto na wygody i godne utrzymanie stanowiska, zostawić narodowi temu wielki dług, owoc jedynie niedbałości i marnotrawstwa. Jako Wielki Podskarbi i Kanclerz Skarbu, nie miał Pitt nigdy mniej, jak sześć tysięcy funtów rocznego dochodu, nie rachując bardzo dobrego mieszkania. W r. 1792, zmusiła go przyjacielska natrętność króla do przyjęcia dożywotniego urzędu Dozorcy Pięciu Portów, z pensyą roczną około czterech tysięcy funtów. Nie miał on ani żony, ani dzieci, nie miał potrzebnych krewnych, ani rozrzutnych nałogów i upodobań, ani wielkich do płacenia rachunków za wybory. Gdyby raz na tydzień chciał był poświęcić kwadrans czasu na zaprowadzenie ładu w domowem swojem gospodarstwie, byłby mógł ograniczyć swoje wydatki i utrzymać je w mierze. Albo, jeżeli nie mógł odłożyć na to ani kwadransa nawet, to miał przecież

mnóstwo przyjaciół, ludzi bardzo rachunkowych, którzy z dumą byliby się podjęli marszałkowstwa jego domu. Jeden z nich, naczelnik wielkiego handlowego domu w City, próbował zaprowadzić ład w domowem gospodarstwie na Downing-Street, ale próbował nadarmo. Służba, jak znalazł, marnowała bajeczne rzeczy. W rejestrach stało co tydzień dziewięćset funtów mięsa z jatek; a w stosunku do tego był wydatek drobiu, ryb, herbaty i tam dalej. Charakter Pitta stałby niezawodnie wyżej, gdyby z taką jak Periklesa lub de Witta pogardą pieniędzy, połączył był godną ich skromność i oszczędność.

Pamięć Pitta szarpano nieskończoną liczbę razy, czasem słusznie, czasem niesłusznie, ale wogóle ucierpiała ona więcej od swoich chwalców, niżeli od prześladowców. Przez długie bowiem lata było imię Pitta hasłem pewnego rodzaju ludzi, z którymi związał się on, wprawdzie przypadkowo i chwilowo w jednej z tych trudnych okoliczności, w których zacierają się wszystkie formalne różnice, ale którym wogóle co do wszystkich wielkich zasad był on wprost przeciwnym. Nieprzyjaciele reformy wyborczej nazywali się Pittystami, nie chcąc pamiętać tego, że Pitt trzy razy stawiał wniosek tej reformy, i że, choć uznał iż reforma ta nie dała się bezpiecznie przeprowadzić, jak długo szalały namiętności, rozbudzone Rewolucyą Francuzką, nie dał przecież nigdy do poznania ani jednem słowem, że nie zechce, przy sposobnej porze, wytoczyć sprawy tej po raz czwarty. Inny znowu gatunek Pittystów, wznosił w rocznicę urodzenia Pitta toasty na protestancką przewagę, choć nie mógł nie wiedzieć, że Pitt złożył urząd dlatego, że nie mógł przeprowadzić emancypacyi katolików. Obrońcy prawa o przysiędze (Test), także się Pittystami mienili, choć wiedzieć przecież musieli, że Pitt przedstawił Jerzemu III. niezbite dowody do obalenia tego prawa. Przeciwnicy wolnego handlu zwali się Pittystami, bez względu na to, że Pitt, bardziej niż Fox lub Grey nawet, przejętym był zasadami Adama Smitha. Sami nawet obrońcy niewoli murzynów zasłaniali się Pitta imieniem, choć wymowa Pitta nigdy świetniejszym nie zajaśniała bla-

skiem, jak kiedy mówił o krzywdach murzyna. Ten Pitt mytyczny do rzeczywistego tak podobny, jak Karol Wielki Ariosta do Karola Wielkiego Eginharda, miał swój czas, ale go już odbył. Historya oczyści prawdziwego Pitta z potwarzy ukrytych pod pozorami pochlebstwa, i przedstawi go tem, czem był w istocie, ministrem wielkich zdolności, uczciwych zamiarów i wolnomyślnych zasad; przedstawi go, jako człowieka zaopatrzonego w najwyższym stopniu we wszystkie umysłowe i moralne przymioty parlamentarnego sternika, jako ministra zdolnego rządzić roztropnie i umiarkowanie krajem spokojnym i szczęśliwym. Ale zarazem powiedzieć o nim musi, że nie sprostał nadzwyczajnym i strasznym okolicznościom, i że w okolicznościach takich błądził ciężko, zarówno słabością, jak gwałtownością.

SIR JAMES MACKINTOSH.

(Historya Rewolucyi angielskiej 1688 roku, obejmująca rzut oka na panowanie Jakóba II, od jego wstąpienia na tron aż do zabiegów księcia Oranii, przez Sir Jakóba Mackintosh: doprowadzona przez wydawcę aż do wstąpienia na tron Wilhelma III. Z przedmową o życiu, pismach i mowach Sir Jakóba Mackintosh. 4-o, Londyn, 1834.

Z nieudaną nieśmiałością próbujemy dziś wypowiedzieć zdanie nasze o ostatniem dziele Sir Jakóba Mackintosh. Napróżno usiłowaliśmy dokazać tego, co krytykowi łatwą i zwyczajną rzeczą byćby winno; napróżno usiłowaliśmy odłączyć dzieło od autora, i sądzić o niem, jak żeby nosiło nieznane jakieś obojętne nazwisko. Wszystko napróżno; bo przed oczami stoi nam każdy rys szanownej tej postaci, w uszach brzmią nam wszystkie dzwięki tego głosu, przez którego pośrednictwo uczeni i ludzie stanu słuchać lubili nauk mądrości, tak pogodnej i tak pełnej dobrej woli. Będziemy się starali o zupełną bezstronność, ale wyznajemy bez wstydu, że do tej relikwii po człowieku tak zacnym i światłym, zbliżamy się z uczuciami czci i wdzięczności, które łatwo na sąd nasz wpłynąćby mogły.

Niepodobna prawie uniknąć porównania między tem dziełem, a innym głośnym i szanownym fragmentem. Zgadnie czytelnik łatwo, że mamy na myśli Historyą Jakóba II-go, przez pana Fox. Obadwa dzieła odnoszą się do tego samego przedmiotu; obadwa autorowie należeli do tego samego stronnictwa i jednakowo zapatrywali się na zalety i niedostatki konstytucyi angielskiej, na najznakomitsze w angielskiej histo-

ryi charaktery i wypadki. Obadwa zastanawiali się wiele nad zasadami rządu i prawidłami rządzenia, ale obadwa także nie byli czysto tylko myślicielami. Obadwa przestudyowali archiwa dwóch nieprzyjaznych sobie królestw i ślęczeli nad foliałami, które od wieków w opuszczonych butwiały bibliotekach; ale nie byli przecież czystymi tylko antykwaryuszami. Do pisania historyi mieli obadwa ważny jeden warunek, mówili historyę, robili historyę, żyli historyą. Zwroty politycznego szczęścia, przypływ i odpływ namiętności i uczuć narodu, tajne sprężyny poruszające maszyną stronnictw, wszystko to było nieustannie przedmiotem ich rozmyślań i najpoufniejszych rozmów. Gibbon mówił o sobie, że powodzenie swoje w dziejopisarstwie zawdzięcza w wielkiej części spostrzeżeniom, jakie poczynił w wojsku jako oficer i w Izbie Gmin jako poseł. Uwaga ta jest nader trafna. Niema wątpliwości, że służba wojskowa, choć nigdy nie widział nieprzyjaciela, i zawód parlamentarny, choć sam ani razu głosu nie zabrał, więcej mu się mogły przydać, niż całe lata odosobnienia i pracy. Gdyby spędził był w czytelni Bodleya ten czas, który mu zeszedł na paradach i ćwiczeniach w Hampshire, lub na ławie Ministerstwa Skarbu i u Brookesa podczas tej burzy, która obaliła Lorda North i Lorda Shelburne, byłby może uniknął jednej lub drugiej niedokładności, przypiski swoje byłby może zbogacił nie jednem więcej źródłowem światectwem, ale nie byłby mógł tak żywego dać obrazu dworu, senatu i obozu. Pod tym względem miał Fox i Sir James Mackintosh korzyść ogromną nad wszystkimi angielskimi dziejopisami od czasów Burneta[1]); miał wprawdzie korzyść tę samą Lord Lyttleton[2]), ale cóż, kiedy nie umiał zrobić z niej użytku. Pedantyzm tkwił w jego na-

[1]) Burnet Gilbert, ur. 1643, umarł. 1715 roku, gorliwy stronnik Wilhelma III, Biskup z Salisbury. Autor *Historyi Reformacyi* i *Historyi moich czasów*.

[2]) Lord Lyttleton Jerzy, ur. 1709, um. 1773, autor oprócz wielu innych dzieł, *Historyi Rewolucyi angielskiej od 1667 do 1771*.

turze tak silnie i głęboko, że pomimo sądów, pomimo wyborów, pomimo ministerstwa skarbu, Izby Gmin i Izby Lordów, został zawsze tym marzącym studentem, którym był za młodu.

Porównywając te dwa dzieła między sobą nie wahamy się przyznać pierwszeństwa książce Sir Jakóba Mackintosh. Wyższość Foxa jako mowcy jest równie oczywistą, jak wyższość Sir Jakóba jako historyka. Fox z piórem w ręku, a Sir James na mownicy, byli, zdaniem naszem, nie w swoim żywiole. Obadwa byli ludźmi zbyt rozumnymi i zdolnymi, żeby przedsięwzięcie jakiekolwiek, któremu poświęcili wszystkie siły swoich umysłów, mogło było nie udać im się zupełnie; *Historya Jakóba Drugiego* zawsze zajmować będzie miejsce w naszych bibliotekach, jako książka wielkiej wartości, a Sir James Mackintosh umiał zdobyć sobie i zachować wysokie stanowisko między parlamentarnymi mowcami naszych czasów. Ale ile razy czytaliśmy kilka kartek z książki Foxa, ile razy przez kwadrans słuchaliśmy Sir James'a, czuliśmy ustawicznie u jednego jak u drugiego ciągły przymus, ciągłą pracę, jak żeby windowali ciężary pod górę. Natura, lub zwyczaj przemieniony w drugą naturę, ma swoje prawa, i dlatego Fox pisał mowy, a Sir James Mackintosh mówił rozprawy.

Pod względem języka i stylu, robił Fox co tylko mógł, by uniknąć tych błędów, w które mógł go wprowadzić zwyczaj mówienia przed publicznością. Tak się obawiał, by nie ześliznął się na jakieś wyrażenie niepoprawne, jakich w mowie uniknąć niepodobna, by nie zeszpecił stylu swego jakąś domieszką właściwego języka wyrobionego w Parlamencie, że popadł w ostateczność przeciwną, i plewił swój słownik z pilnością nieznaną największym purystom. *Ciceronem Allobroga dixit.* Ani Addison, ani Bolingbroke, ani Middleton [1]) nie był mu dostateczną powagą co do języka, i uwziął się nie użyć ani jednego wyrazu, któryby nie stał w dziełach

[1]) Middleton Conyers, ur. 1683, um. 1760; teolog, doktor i bibliotekarz uniwersytetu w Cambridge.

Drydena [1]). U każdego innego troskliwość tę nazwalibyśmy czystą fanfaronadą, a pomimo całego uwielbienia dla Foxa, nie możemy nie wyznać, że ta drobnostkowa dbałość o drobnostkowe gładkości mowy, niegodną była tak męzkiego i wielkiego umysłu. I w Rzymie byli puryści tego rodzaju, a Horacy przyganiał ich przesadom z tym smakiem, z tym zdrowym rozsądkiem, który wszystkie jego pisma cechuje. W epoce odrodzenia nauk byli także tacy puryści, a dwaj najwięksi uczeni owego czasu podnieśli głos, jeden z tej, drugi z tamtej strony Alp, przeciw tej nierozsądnej troskliwości o czystość języka [2]). *Carent*, mówi Politianus, *quae scribunt isti, viribus et vita, carent actu, carent effectu, carent indole... Nisi liber ille praesto sit ex quoquid excerpant, colligere tria verba non possunt... Horum semper igitur oratio tremula, vacillans, infirma... Quaeso ne ista superstitione te alliges... Ut bene currere non potest, qui pedem ponere studet in alienis tantum vestigiis, ita nec bene scribere, qui tanquam de praescripto non audet eggredi.*

A Erazm mówi: *Posthac non licebit episcopos appellare Patres Reverendos, nec in calce literarum scribere annum a Christo nato, quod id nusquam faciat Cicero. Quid autem ineptius quam toto saeculo novato, religione, imperiis, magi-*

---

[1]) Dryden, sławny poeta, ur. 1631, um. 1701.

[2]) „Temu, co oni piszą, brak jest siły i życia, brak ruchu, effektu „i zdolności... Jeżeli nie mają pod ręką książki, z którejby coś wy„pisać mogli, nie umieją trzech słów złączyć do kupy... Dlatego język „ich zawsze drżący, nieśmiały, niedołężny... Proszę cię, nie daj się „skrępować tym przesądem... Jak ten nigdy dobrze biegać nie zdoła, „kto na to tylko baczy, żeby nogi w cudze ślady stawiał, tak samo „ten nigdy dobrze pisać nie będzie, kto nie śmie nigdy z reguł i prze„pisów wykroczyć.“

„Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie będzie nam wolno biskupów „nazywać *Patres Reverendi*, ani listów naszych datować latami od „narodzenia Chrystusa, bo Cicero nigdy tego nie robił. Co może być „bardziej niedorzecznego, jak upierać się mówić tylko tak, jak mówił

stratibus, locorum vocabulis, aedificiis, cultu, moribus, non aliter audere loqui quam locutus est Cicero? Si revivisceret ipse Cicero, rideret hoc Ciceronianorum genus.

A gdy tak wyrażenia swoje przewiewał na młynku i przesiewał przez przetaki z troskliwością niezupełnie przystojną prostocie i wzniosłości swego umysłu, a szkodliwą raczej powadze i jędrności stylu, nie miał się Fox, ile byłoby należało, na ostrożności przeciw ważniejszym nierównie błędom, które grożą zawsze mowcy biorącemu się do pisania historyi, to jest przeciw niewłaściwemu sposobowi przedstawienia rzeczy. Cała książka pisana jest w tonie gwałtownym, w tonie rozprawy i sporu; każdy dowód przybiera formę zapytania, wykrzyknika lub sarkazmu. Zdaje się, jak żeby pisarz odwoływał się w myśli do urojonych jakichś słuchaczów, jak żeby szarpał na kawałki obronę Stuartów tylko co wypowiedzianą przez urojonego jakiegoś Torysa. Weźmy naprzykład odpowiedź jego na to co mówi Hume [1]) o ścięciu Sydney'a [2]), i wszędzie gdzie stoi »Hume« połóżmy »szanowny gentleman«, lub »szlachetny Lord«, a cały ustęp będzie brzmiał jak potężna replika, wygrzmiana z ławek opozycyjnych o godzinie trzeciej po północy. Czytając go, mamy prawie przed oczyma, zdaje nam się słyszymy wielkiego mowcę, takim jak nam go opisywali ci, którzy pamiętali jeszcze liczenie głosów w Westminster lub Oczakowskie układy, uniesionego natchnieniem, ziejącego, spienionego, dławiącego się wezbranym potokiem swej wymowy.

Prawda, że ustęp, o którym mówimy, przepyszny jest, nie mniej jak wiele innych, którebyśmy mogli wymienić, jako

„Cicero, kiedy od jego czasów zmieniło się wszystko, religia, rządy, „państwa, urzędy, nazwy miejsc, budowle, obrządki, obyczaje? Gdyby „Cicero wstał z grobu, śmiałby się z takich Ciceronianów."

[1]) Hume Dawid, ur. 1711, um. 1776, filozof i historyk. Najważniejsze dzieło, *Historya Anglii* wychodziło od roku 1754 do 1761.

[2]) Sydney Algernon, ur. 1617, ścięty za uczestnictwo w spisku Monmoutha 1683.

przykład umysłowej potęgi. Poznać w nim odrazu tego niezrównanego mistrza w sztuce rozumowego szermierstwa, którego mowy, acz tak niedokładnie przechowane, czytać powinien dniem i nocą każdy, kto chce posiąść sztukę logicznej obrony. W wielu ustępach *Historyi Jakóba* znajdujemy to, co zdaniem naszem, było charakterystycznem znamieniem Demosthenesa między Grekami, a Foxa między wielkimi mowcami Anglii, rozum mianowicie przesiąkły na wskróś, i jeźli rzec można, rozpalony do czerwoności namiętnością. Ale ten rodzaj doskonałości nie przystoi historyi, i zaprawdę rzec można bez obawy, że wszystko co we fragmencie Foxa jest uderzająco wybornem, jest nie na swojem miejscu.

Odwrotnie zupełnie ma się rzecz z Sir Jakóbem Mackintosh. Najodpowiedniejszem dla niego miejscem była jego biblioteka, kółko ludzi uczonych, lub katedra filozofii moralnej i politycznej. W Parlamencie odznaczył on się bardzo, ale Parlament nie był pomimo tego właściwym jego żywiołem. Najlepsze jego mowy robiły wrażenie małe w stosunku do tej massy zdolności i nauki, jaką na nie wydawał. Moglibyśmy łatwo wymienić ludzi, którzy nie mieli dziesiątej części jego umysłowych zasobów, a przecież ile razy odezwali się w Izbie Gmin, większe robili wrażenie, niż on swojemi najświetniejszemi, najbardziej wypracowanemi mowami. Rozbiór swój Billu Reformy, tak jasny i tak filozoficzny, wypowiedział on przed pustemi ławkami. Ci, którzy mieli ten rozum, że zostali, połapali w tym rozbiorze spostrzeżenia i poglądy, które zręcznie użyte, stały się przyczyną rozgłosu i powodzenia nie jednej mowy. Ale szeroka publiczność poznać się na jego mowach nie mogła, a ci nawet, którzy słuchali go z przyjemnością, przyznawać musieli, że nauczał on raczej niż rozprawiał. Artysta, który traciłby czas na wykończeniu dekoracyi, transparentu lub panoramy, tak jak wykończone są flamandzkie obrazki z domowego życia, nie więcej marnowałby swoje siły jak marnował je zbyt często znakomity ten człowiek. Słuchacze jego podobni

byli do tego chłopca z powieści Heart of Mid-Lothian [1]) który odrzuca z pogardą dukaty, a chce koniecznie od Lady białych pieniędzy; woleli srebro, z którem byli oswojeni i które ciągle z rąk do rąk przechodziło, jak złoto, którego nigdy przedtem nie widzieli i którego wartości nie znali.

Wielka to zdaniem naszem szkoda, że Sir James Mackintosh nie poświęcił się w późniejszych latach filozofii i literaturze. Zdolności jego nie były z tych, które dają mowcy wywrzeć w jednej chwili wrażenie uderzające, ale chwilowe, i wzruszyć o północy umysły pięciuset ludzi, nie powiedziawszy nic, coby do jutra rana zostało im w pamięci. Dowody jego innej zupełnie były tkaniny, niż te, które stawia się na razie w Parlamencie, które na razie zdumiewają prostego człowieka, choć odkryłby zaraz ich słabą stronę, gdyby je miał przed sobą na piśmie, o których wreszcie zapomina natychmiast i nigdy już więcej nie myśli mowca, który niemi wojuje. Cokolwiek było dobrego w utworach Sir Jakóba Mackintosh, to było to dojrzałym owocem rozmyślań i pracy. Tak samo było i z jego rozmową. W najpoufniejszych jego pogadankach nie było gwałtowności, nie było sprzeczności, ani zabawnych niedorzeczności, ani przesady gwoli chwilowego effektu. Umysł jego był obszernym składem, w którym panował ład wyborny. Było w nim wszystko, i wszystko na swojem miejscu. Sądy swoje o ludziach, o książkach, o sektach, ważył on i sprawdzał często i bacznie, a sprawdziwszy dostatecznie, składał, każde w właściwem sobie miejscu, w pamięci najobszerniejszej i najdokładniejszej, jaką człowiek kiedykolwiek posiadał. Byłoby rzeczywiście nadzwyczajnym wypadkiem, gdyby nie znalazło się w ogromnym tym magazynie to, o co ktoś zapytał. Artykuł którego potrzebowałeś, nie tylko że tam był, ale był gotów, leżał na właściwej swojej półce, w jednej chwili go dostawano, rozpakowywano i pokazywano. Jeżeli ci, którzy mieli przywilej słuchania pana

[1]) Powieść Walter Scotta; w przekładach zwykle ma tytuł: *Więzienie w Edynburgu.*

Mackintosh, a było to istotnie dość rzadkim przywilejem, chcieliby byli w rozmowie jego braków upatrywać, to ten jeden chyba mogliby byli odkryć, że zbyt mało poddawał się chwilowemu natchnieniu. Wypowiadał on raczej zdawna wyrobione poglądy, niż je tworzył; nigdy nie dało się dostrzedz, żeby przedmiot jakiś w nowem ukazał mu się świetle, lub ze strony nieznanej; nigdy nie widziałeś, jak się zdania jego tworzyły, nie widziałeś ich nigdy niedokształconych, nieustatkowanych, potrzebujących wyrobić się jeszcze w rozmyślaniu i rozprawie. Wychodziły one jak filary tej świątyni, w której nie było słychać żadnego uderzenia młota lub siekiery, wykończone, zaokrąglone i zupełnie do miejsca swego dopasowane. To, co pan Karol Lamb [1]) powiedział trafnie i dowcipnie o rozmowie Szkotów wogólności, prawdą jest zwłaszcza o tym znamienitym Szkocie. Nic on nie szukał, nic nie znajdował, wszystko przynosił gotowe. Jakikolwiek przedmiot obrabiało się w jego towarzystwie, nie można było iść z nim w tej robocie do spółki.

Te przymioty, moralne i umysłowe, których historyk najbardziej potrzebuje, posiadał Sir James w najwyższym stopniu. W sądach swoich o ludziach i stronnictwach był on dziwnie łagodnym, spokojnym i bezstronnym. Wszyscy niemal znakomici historycy, którzy pisali o historyi angielskiej, są adwokatami; pan Hallam tylko, i obok niego Sir James Mackintosh mają prawo do tytułu sędziów. Ale wielka surowość pana Hallam ujmuje nieco tej przyjemności, z jaką czyta się jego pisma wymowne, pełne nauki i zdrowego sądu. Jest on sędzią, ale sędzią wieszającym, jest w Trybunale literackiej sprawiedliwości takim sędzią, jak Buller lub Page; czarnej czapki używa on nieustannie, na długiej liście tych których śledztwo prowadził, nie znajdzie się może ani jeden, któryby nie był skazanym i oddanym w ręce wykonawczej sprawiedliwości,

[1]) Lamb, ur. 1775, um. 1834; pisywał wiersze, małe rozprawy, krytyki; ceniony głównie dla swego humoru i dowcipu.

pomimo okoliczności zasługujących na zmiłowanie. Sir James z drugiej strony, przesadzał może nieco w kierunku przeciwnym. Lubił on sąd bez skarania; nawet gdy sądził sprawki znanych i dowiedzionych złoczyńców, wracał z sądu z białemi rękawiczkami. Miał on wzrok bardzo bystry na wszystkie względy i okoliczności, które charakter jakiś okupić i uniewinnić mogły, i wielką pobłażliwość dla błędów ludzi, zwłaszcza na silne wystawionych pokusy. Ale łagodność ta nie pochodziła ztąd jakoby nie był czuł moralnej różnicy uczynków, lub jakoby o nią nie dbał. Zbyt może wiele przykładał wagi do każdej okoliczności łagodzącej, jaka przytoczyć się dała na korzyść przestępcy: ale na powagę prawa nie nastawał nigdy, i nigdy ustaw jego nie próbował wymijać subtelnemi wybiegami dowcipu. Gdzie chodziło o zasady, okazywał się zawsze i wszędzie nieugiętym, ale dla osób był zawsze pełen litości i miłosierdzia.

Nie wahamy się orzec, że Fragment ten jest najlepszą jaka istnieje Historyą panowania Jakóba II. Zawiera on wiele rzeczy zupełnie nowych i ciekawych, z których autor doskonale umiał skorzystać. Nie wiemy tylko, czy nie dałoby się książce tej zarzucić w pewnej mierze tego, co zarzuca próżniak (idle cetizen) w Spektatorze[1]) swojemu puddingowi: »Nota bene: za wiele rodzynków, a za mało łoju.« Za wiele może badań, a za mało opowiadania; i istotnie, sądząc z kierunku i nawyknień umysłowych pana Mackintosh, bylibyśmy naprzód przypuszczali, że ze wszystkich błędów, w ten błąd wpadnie on najłatwiej i najprawdopodobniej. Ale czegośmy się bynajmniej nie spodziewali, to, żeby opowiadanie lepiej było wykonanem, niż badania. Spodziewaliśmy się znaleźć i znaleźliśmy wiele uwag i poglądów, z których wieje duch pogodnej i miłościwej filozofii, ale nie myśleliśmy, wyznajemy, żeby Sir James potrafił opowiedzieć jakieś zdarzenie tak dobrze, jak Voltaire lub Hume. A jednak tak jest: i ktoby o tem chciał wątpić,

[1]) *Spectator.* Pismo peryodyczne, satyryczne, Addisona.

niech przeczyta opis wypadków, jakie zaszły po wydaniu deklaracyi króla Jakóba, soboru duchowieństwa, gwałtownych zajść w Radzie Przybocznej, uwięzienia, śledztwa i uniewinnienia biskupów. Najpowierzchowniejszy z czytelników musi się, jak sądzimy, zachwycić nad tą żywością opowiadania; ale kto nie jest obeznanym gruntownie z tym ogromnym zapasem twardych i nieużytych materyałów, z których powstała i złożyła się ta szanowna część dzieła, ten nie może ocenić całej zręczności i sztuki pisarza. W ustępie tym, jak w całej zresztą książce, natrafia się gdzieniegdzie na wyrażenia twarde i niedbałe, które autor byłby niezawodnie zastąpił innemi, gdyby był dożył ukończenia dzieła. Ale pomimo tych usterków nawet, przyznać musimy, że trudnoby nam było wskazać w jakiejkolwiek nowożytnej historyi ustęp równej długości, któryby zarazem równe posiadał zalety. Pilność, dokładność i wytrawny sąd Hallama łączy się tu z żywością i świetnym kolorytem Southeya. Cała historya Anglii tak napisana byłaby najmilszą, najpowabniejszą książką w naszym języku, a po czytelniach i wypożyczalniach dobijaliby się ludzie o nią bardziej jak o najnowszą powieść.

Sir James nie był, o ile nam się zdaje, obdarzonym wyobraźnią poetyczną, ale posiadał wiele wyobraźni niższego rodzaju, która potrzebną jest historykowi. Nie jest bowiem zadaniem dziejopisa nowe stwarzać światy i zaludniać je nowemi plemionami stworzeń. Historyk tak się ma do Homera i Shakspeara, do Miltona i Danta, jak się miał Nollekens do Canovy, a Lawrence do Michała Anioła. Historyk nie w sobie ma przedmiot dla swojej wyobraźni, ale znajduje go gotowym zewnątrz siebie. Przedmiot ten nie jest jakiemś widziadłem niepojętej wielkości i piękności, jaką dostrzedz może tylko oko jego duszy, ale rzeczywistym modelem, którego on sam ani zrobić ani zmienić nie może. A przecież naśladowanie historyka nie jest tylko czysto mechanicznem naśladowaniem. Szczytem jego sztuki jest wybrać takie części, któreby mogły robić wrażenie całości, narysować silnie charakterystyczne po-

stacie, a światło i cienie tak rozrzucić, żeby podnosiły effekt. Tę sztukę, o ile sądzić można z niedokończonego tego dzieła, posiadał Sir James w bardzo wysokim stopniu.

Styl tego fragmentu jest poważny, męzki i nieprzesadny. Niektóre wyrażenia, jak rzekliśmy już, zdają się nam zbyt szorstkie, inne nieco niedokładne; ale te byłby autor niezawodnie poprawił, gdyby był sam doglądał wydania. Dodać musimy, że drukarz źle się wywiązał ze swego obowiązku. Jedna myłka zwłaszcza jest tak ważna i gruba, że wykazać ją tu musimy. Sir James Mackintosh oddał cześć należną i wielką zdolności, zacności i odwadze człowieka niepospolitego i dobrego, który był ozdobą literatury i nieustraszonym rycerzem wolności angielskiej, Tomasza Burnet [1]), i autora dzieła pełnego wymowy i polotu, *Telluris Theoria Sacra*. Nazwisko jego, ile razy przychodzi, zawsze wydrukowane jest Bennet, tak w texcie samym jak i w indexie. Taka pomyłka nie może pochodzić z samej-li opieszałości. Rzecz jasna, że ten pan, którego użyto do wydania niniejszego tomu, nie słyszał nigdy o Tomaszu Burnet i jego pismach, a nie przestając na tem, że text autora zeszpecił tak grubemi błędami, dodał jeszcze na początku nic nie warte »Wspomnienie«, na końcu równie nic nie wart »Ciąg dalszy«, i dokazał tym sposobem tyle, że rozepchał ten tom w jeden z najgrubszych, i zepsuł go w jeden z najgorszych, jakieśmy kiedykolwiek widzieli. Nigdy nie spotkaliśmy się z niczem, do czegoby tak wybornie zastósować się dało greckie przysłowie, »że połowa może być większą niż całość«. Nigdy nie widzieliśmy wypadku, w którym z takim przybytkiem objętości tak oczywisty nastąpił ubytek wartości.

Dlaczego takiego powołano artystę do zeszpecenia tak pięknego torsu, tego żadną miarą domyśleć się nie możemy. Czytaliśmy, że konsul Mummius wysyłając do Rzymu po wzięciu Koryntu dzieła niektóre największych greckich rzeźbiarzów, zagroził tym, którzy pakowali, że każe im dorobić brakujące

[1]) Burnet, ur. 1635, um. 1715; kapelan Wilhelma III.

członki posągów, jeżeliby się uszkodził Apollo lub Venus. Głowa wyciosana przez prostego kamieniarza na kadłubie Praxytelowego dłuta, nie wyglądałaby mniej dziwnie i rażąco, jak niniejsze uzupełnienie.

Przedwstępne »Wspomnienie« zawiera wiele rzeczy, które warto czytać, bo zawiera wiele wyciągów z pism pana Mackintosh. Ale, jeżeli od tego co biograf zrobił nożyczkami, przejdziemy do tego co zrobił piórem, nie znajdziemy w jego dziele nic godnego pochwały. Z jakimkolwiek pisał on zamiarem, opowiadanie jego ma taki zakrój, jak żeby chciało dać do zrozumienia, że Sir James Mackintosh z samolubnych widoków odstąpił zasad, jakich się trzymał w *Vindiciae Gallicae*[1]). Gdyby zarzut taki ukazał się był na właściwem swojem miejscu, bylibyśmy go zostawili własnemu nieszczęśliwemu losowi. Nie bylibyśmy raczyli bronić pana Mackintosh przed napaścią przeglądów czwartego rzędu i piwiarnianych dzienników; ale w tym wypadku użyto przeciw niemu jego własnej sławy, a książka, której niktby nie był nigdy kupił, gdyby nie jego imię na karcie tytułowej, służy za wózek do rozwożenia tego oszczerstwa. W takich okolicznościach nie możemy jak zawołać z najbardziej uroczym z bohaterów:

»Νῦν τις ἐνηείης Πατροκλῆος δειλοῖο
Μνησάσθω · πᾶσιν γαρ ἐπίστατο μείλιχος εἶναι
Ζωὸς ἐών · νῦν δ'αν' Θάνατος καὶ Μοῖρα κιχάνει«[2]).

Łatwo możemy przypuścić, że w ciągu lat dziesięciu lub dwunastu po ogłoszeniu *Vindiciae Gallicae*, zdania pana Mackintosh mogły uledz niejakiej zmianie. Ale czy u niego jednego

[1]) *Vindiciae Gallicae*, pismo Sir Jakóba Mackintosh w obronie Rewolucyi francuzkiej przeciw Edmundowi Burke. Sąd Macaulaya o wydawcy dzieła Mackintosha, uważany jest w Anglii za zbyt surowy.

[2]) Teraz niech każdy po wszystkie wieki zachowa pamięć dobroci nieszczęśliwego Patrokla, bo on za życia był słodki dla wszystkich. A teraz go śmierć i los więzi. *(Iliada, ks. XXII).*

tylko zaszła taka zmiana? Czy nie była ona częstą? czy nie była powszechną? Czy był w Europie i w Ameryce choć jeden prawy przyjaciel wolności, któryby nie był ostygł nieco w zapale, któryby nie był zachwiał się w wierze w przyszłość ludzkości? Czy był choć jeden człowiek myślący, któryby w tem samem świetle widział rewolucyę francuzką i rewolucye w ogólności, na dniu upadku Bastylii i na dniu ścięcia Żyrondystów? na dniu, kiedy Dyrektoryat wysłał przeciwników swoich do Gujany, i na dniu, kiedy Ciało Prawodawcze wyrzucono z Izby bagnetami? Nie mówimy tu o ludziach lekkiego umysłu, ani o fanatykach, o dowcipnisiach jak Sheridan, ani o poetach jak Alfieri, ale o politykach najcnotliwszych i najrozumniejszych, o myślicielach owego czasu najgłębszych, najspokojniejszych, najbezstronniejszych? Jak mówił podówczas jak postępował Lord Spencer, Lord Fitzwilliam lub pan Grattan; jaki ton przebija w pamiętnikach pana Dumont pisanych właśnie w końcu ośmnastego wieku? Czy mógłby Torys jaki mówić o Rewolucyi francuzkiej i jej sprawcach z większą pogardą i wstrętem? Co więcej, pisarz ten, republikanin, najgorliwszy najniezłomniejszy z Republikanów, posunął się tak daleko, iż rzekł, że dzieło pana Burke o Rewolucyi zbawiło Europę [1]). Z imieniem pana Dumont imię pana Bentham [2]) samo się nasuwa. Ten przecież nie sprzeniewierzał się zasadom dla posad, a jak przemawiał w owym czasie? Niech kto przejrzy jego rozprawkę pod tytułem *Sophismes Anarchiques*. Powiada on w tej rozprawce, że okrucieństwa Rewolucyi francuzkiej były naturalnem następstwem niedorzecznych zasad, w imię których była ona poczętą; że przywódzcy konstytuanty radowali się i chełpili, że obalają arystokracyę, a nie widzieli, że nauki ich wydać musiały złe sto razy gorsze, anarchię; że teorya zawarta w Deklaracyi Praw człowieka w wielkiej

[1]) Dumont Stefan, ur. w Genewie 1759, um. 1829 r. Prawnik, współpracownik Benthama w pracy około reformy prawodawstw.

[2]) Bentham Jeremiasz, ur. 1747, um. 1832.

części przyczyniła się do zbrodni Terroru; że tylko naoczny świadek może mieć pojęcie o stanie społeczeństwa, w którem ludzie z głodnym żołądkiem, z łachmanami na grzbiecie i z pikami w ręku interpretują tę deklaracyę. Wysławia on Parlament angielski za to, że nie lubił nigdy oderwanych rozumowań i unikał stawiania zasad ogólnych. W przedmowie do Rozprawy o Zasadach Prawodawstwa, pisanej pod okiem i wydanej z upoważnieniem pana Bentham, używa pan Dumont wyrażeń jeszcze więcej stanowczych: *Mr. Bentham est bien loin d'attacher une préférence exclusive à aucune forme de gouvernement. Il pense que la meilleure constitution pour un peuple est celle, à laquelle il est accoutumé... Le vice fondamental des Théories sur les constitutions politiques, c'est de commencer par attaquer celles qui existent, et d'exciter tout au moins des inquiétudes et des jalousies de pouvoir. Une telle disposition n'est point favorable au perfectionnement des lois. La seule époque où l'on puisse entreprendre avec succès de grandes réformes de législation, est celle où les passions publiques sont calmes, et où le gouvernement jouit de la stabilité la plus grande. L'objet de Mr. Bentham en cherchant dans le vice des lois la cause de la plupart des maux, a été constamment d'éloigner le plus grand de tous, le bouleversement de l'autorité, les Révolutions de proprieté et de pouvoir* [1]).

[1]) Bentham nie myśli wcale przyznawać pierwszeństwa jakiejkolwiek formie rządu. Sądzi on, że najlepszą konstytucyą dla każdego narodu jest ta, do której on przywykł. Zasadniczy błąd wszystkich teoryj konstytucyjnych jest ten, że zaczynają one od uderzenia na to co jest, a przez to wywołują co najmniej niepokoje i pożądliwość władzy. Takie zaś usposobienie nie jest wcale przydatne do poprawy praw. Jedyny czas sposobny do przedsiębrania wielkich zmian i reform jest ten, w którym namiętności są w spokoju, a rządy ustalone i pewne jak być może najbardziej. Cel jaki miał Bentham, kiedy w prawach szukał powodu niejednego złego, był właśnie ten, iżby usunąć złe najgorsze ze wszystkich, upadek władzy, przewroty własności i rządów.

Do tak zachowawczego usposobienia umysłu, doprowadziły nadużycia Rewolucyi francuzkiej najznamienitszych reformatorów wieku. I miałżeby wobec tego jeden człowiek wyjętym być z pośród milionów i ogłoszonym przed potomnością za zdrajcę i odstępcę swych zasad, dlatego, że wypadki wywarły nań wrażenie takie, jak na całe ówczesne pokolenie? Ludzie, którzy mają szczęśliwy przywilej bezpośrednich objawień z nieba, jak pan Brothers w poprzedniéj, a pan Percival w obecnej generacyi, mogą być niezależnymi od powszednich źródeł wiadomości; ale takie upośledzone stworzenia jak Mackintosh, Dumont i Bentham nie mieli nic czemby się kierować mogli, prócz rozumu i doświadczenia, i szli za wskazówkami doświadczenia i rozumu. Nieinaczej ma się rzecz z naturą i naukami przyrodniczemi. Podróżny natrafia na jagodę, której nigdy przedtem nie widział; kosztuje, i znajduje ją słodką i orzeźwiającą. Chwali ją sobie i postanawia przyswoić ją w swoim kraju. Ale za kilka minut rozchorowuje się okropnie, dostaje kurczów, konwulsyi, o mało nie umiera. Naturalnie zmienia zdanie, wyborną jagodę orzeka trucizną, narzeka na swoje szaleństwo że jej skosztował, i przestrzega przed nią przyjaciół. Po długiem i gwałtownem przesileniu wraca do zdrowia, wielce osłabiony chorobą, ale wolny zupełnie od chronicznego cierpienia, które było przedtem męką jego życia. Zmienia więc zdanie raz jeszcze, i oświadcza, że jagoda owa jest silnem lekarstwem, której używać należy w razach nadzwyczajnych tylko i bardzo ostrożnie, ale której nie godzi się wykluczyć zupełnie z Farmakopei. I nie byłożby szczytem niedorzeczności nazwać człowieka tego zmiennym i niestałym dla tego, że zmienił sąd swój kilkakrotnie? Czy byłby on istotą rozumną, gdyby go nie był zmienił? Tak samo miało się z Rewolucyą francuzką. Była ona nowym zupełnie w polityce fenomenem; nie wyprzedziło jej nic, z czegoby dalszy jej przebieg dałby się był przewidzieć. Pierwszym jej skutkiem było zniesienie starych nadużyć, i radowali się z niej wszyscy ludzie uczciwi. Potem przyszło gwałtowne wstrząśnienie, pro-

skrypcye, konfiskaty, bankructwo, assygnaty, maximum, wojna domowa, wojna zewnętrzna, trybunały rewolucyjne, gilotynady, noyady, i fusillady. Chwilę później powstał z tego zamieszania despotyzm wojskowy i zagroził niepodległości wszystkich państw europejskich: i jeszcze chwila, a wróciła dawna dynastya z długim ogonem emigrantów chciwych przywrócenia dawnych nadużyć. Dziś, jak się zdaje, mamy ją w całości przed sobą; dziś więc, możnaby słusznie posądzić nas o lekkomyślność lub złą wiarę, gdyby zdanie nasze o tych wypadkach zmieniało się co chwila. Mamy najgłębsze przekonanie, że Rewolucya francuzka pomimo wszystkich swoich szaleństw i zbrodni, była wielkiem szczęściem dla ludzkości. Ale było rzeczą nietylko naturalną, ale konieczną, że ci, którzy widzieli pierwszy jej akt, nie mogli przewidzieć zakończenia, i że naprzemian podnosili się lub upadali na duchu w miarę, jak się intryga przed nimi rozwijała. Człowiek, któryby jednako zawsze był się zapatrywał na Rewolucyę, w roku 1789, 1794, 1804, 1814 i 1834, musiałby był być natchnionym prorokiem, albo upartym głupcem. Mackintosh nie był ani jednym ani drugim. Był on poprostu człowiekiem dobrym i mądrym, a zmysł jego uległ takiej zmianie, jakiej uległy umysły wszystkich dobrych i mądrych ludzi w Europie. Na prawdę nawet niewielu było współczesnych, którzyby się tak mało byli zmienili. Rzadkie umiarkowanie i spokój jego umysłu ustrzegły go zarówno od przesadzonego zapału i od przesadzonego zwątpienia. Nie był on nigdy Jakobinem, nie był nigdy antyjakobinem. Umysł jego wahał się to prawda, ale najdalsze punkta tej oscyllacyi nie były nigdy bardzo od siebie odległe. I pod tym względem różnił się on wielce od wielu ludzi wysokich zdolności, którzy w tym samym co on czasie rozpoczęli zawód swój publiczny. Widzieliśmy takich ludzi, którzy rzucali się ustawicznie z jednej ostateczności w drugą, którzy przepainowali Painego [1]),

[1]) Paine Tomasz, ur. 1737, um. 1809, publicysta. Anglik z urodzenia, obywatel Ameryki północnej; choć obcokrajowiec, członek Kon-

przecastlereaghowali Castlereagha [1]), którzy byli kolejno ultratorysami, heretykami i prześladowcami, którzy łamali dawne prawa przeciwko buntom i wołali zaraz o nowe prawa przeciw buntom — ostrzejsze; którzy pisali demokratyczne dramata a potem urzędowe ody, panegiryki na Martena i panegiryki na Lauda, którzy nie wytrwali w niczem prócz w nietolerancyi nagannej u każdego, ale nie do darowania u ludzi, którzy podług własnego zeznania dostateczne mieli dowody i doświadczenie swojej omylności. Niektórym z tych ludzi przyznajemy chętnie wymowę i twórczość poetycką, i nie myślimy wcale powątpiewać o ich szczerości nawet w razach, gdzie w nawróceniu znajdowali korzyść. Nieszlachetną byłoby rzeczą przypisywać brudnym pobudkom uczynki, które można zaszczytniejszemi wytłomaczyć powodami. Sądzimy, że postępowanie tych ludzi było takiem właśnie, jakiem musiało być postępowanie ludzi obdarzonych bujną wyobraźnią i żywem uczuciem, a niezdolnych dokładnie dostrzegać ani logicznie rozumować. Rzecz prosta, że tacy ludzie musieli widzieć w zwycięztwie trzeciego stanu we Francyi przedświt Saturnowego wieku. Rzecz prosta, że rozczarowanie doprowadzić ich musiało do wściekłości dorównywającej przesadzonym ich nadziejom. Zmienił się kierunek ich namiętności, ale gwałtowność tych namiętności została ta sama. Siła odskoku musiała być równą sile pierwotnego zamachu; wahadło pociągnięte gwałtownie na lewo, musiało równie gwałtownie skoczyć na prawo.

Wyznajemy, że nic nie daje nam tak wysokiego wyobrażenia o sądzie i charakterze pana Mackintosh, jak właśnie droga, jakiej się w owych czasach trzymał. Wystawiony ko-

---

wencyi wybrany przez departament Pas de Calais. Głosował przeciw śmierci Ludwika XVI. Za to uwięziony; uwolniony po śmierci Robespierra wrócił do Ameryki.

[1]) Castlereagh (Robert Stewart Lord C.) ur. 1769, um. 1822 r., pełnomocnik angielski na kongresie wiedeńskim, za dwoma nawrotami minister spraw zagranicznych. Jako gubernator Irlandyi wsławiony srogością.

lejno na dwa przeciwne wpływy, przyjął obadwa w formie najłagodniejszej. Ustrój jego umysłu był taki, że zaraza, która naokoło niego wszystko spustoszyła, nie mogła ani w znacznej mierze ani na długi przeciąg czasu dotknąć jego umysłowego zdrowia. Jak każdy człowiek oświecony i uczciwy w Europie powitał on z radością wielkie przebudzenie francuzkiego narodu; ale nawet w chwilach najgorętszego zapału nie wyznawał on nigdy zasad przeciwnych bezpieczeństwu własności, lub koniecznej powadze i władzy rządów. Jak każdego także człowieka uczciwego i oświeconego zraziły go i martwiły następne wypadki; ale w najsmutniejszych nawet czasach nie odstąpił on sprawy wolności, pokoju i tolerancyi. W tem strasznem ogólnem wstrząśnieniu, które wszystkie głowy przewróciło, zachwial on się wprawdzie o tyle, że chylił się raz w jedną drugi raz w drugą stronę, ale równowagi nie stracił ani na chwilę. Przekonania, na których spoczął ostatecznie, i których, pomimo silnych pokus, trzymał się z z wiernością niewzruszoną, czystą, i źle wynagrodzoną, stanowiły właśnie sam środek między temi, których bronił niegdyś z młodzieńczym zapałem przeciw Edmundowi Burke, i temi, do których się skłaniał w najsmutniejszym okresie dziejów nowoczesnej Europy. Albo bardzo musimy być w błędzie, albo to nie jest oznaką umysłu słabego i nieuczciwego.

Przekonania zaś, jakie żywił Sir James Mackintosh w późniejszych swoich latach, zapisane w rocznikach jego ojczyzny. Roczniki te wystarczają same, by odeprzeć co wydawca w przedmowie swojej powiedzieć sobie pozwolił. »Sir »James Mackintosh, mówi on, »był w całem znaczeniu słowa »Whigiem z czasów Rewolucyi; a odkąd wolność religijna »i reforma wyborcza stały się hasłem narodowego ruchu, są»dzić zaczął o wielkim zwrocie z roku 1688 w sposób mniej »namiętny, więcej poprawny, ale mniej wysoki.« Jeżeli słowa te mają znaczyć cokolwiek, to muszą znaczyć, że Sir James Mackintosh w zapatrywaniu swojem na wolność religijną i system wyborczy nie szedł dalej, jak sprawcy Rewolucyi, czyli

innemi słowy, że opierał się równouprawnieniu katolików i obstawał przy dawnym składzie Izby Gmin. Przeciw temu twierdzeniu stawić możemy dwadzieścia tomów rozpraw parlamentarnych i niezliczone ustępy z tego samego Fragmentu, który ten wydawca zeszpecił. Pozwalamy sobie powiedzieć prócz tego, że Sir James Mackintosh więcej nieraz zrobił przez ciąg jednego kwadransa dla sprawy wolności religijnej i reformy wyborczej, niż pewni zeloci, którzy wzięli sobie za zwyczaj poniżać go, zrobili lub zrobią przez całe swoje życie.

Nic we *Wspomnieniu* ani w *Dalszym ciągu* nie razi nas tak mocno, jak pogarda, z którą pisarz mówić uznaje za stosowne o wszystkiem, co się stało na świecie, zanim nastały ostatnie w polityce mody. Skłonność do tego samego usterku dostrzegaliśmy czasem w pisarzach wyższego nierównie rodzaju umysłu. Skorzystamy więc z tej sposobności, żeby uczynić tu kilka uwag o błędzie, który staje się dość powszechnym, a który wydaje nam się nietylko niedorzecznym, ale tak szkodliwym i zgubnym, jak tylko może być błąd jakiś tyczący się spraw i rzeczy z przeszłych wieków.

Ufamy, że nas nikt nie posądzi o przesadzone przywiązanie do zasad i zwyczajów przeszłych pokoleń. Wiarą naszą jest, że sztuka rządzenia opartą jest na doświadczeniu, i że jak wszystkie tego rodzaju umiejętności, jest ona ciągle w stanie postępu i rozwoju. Najzapamiętalszy nawet wielbiciel dawnych czasów nie zaprzeczy, że medycyna, chirurgia, chemia, botanika, inżynierya, żeglarstwo, wyżej stoją jak dawniej. Z umiejętnością polityki ma się rzecz, jak rozumiemy tak samo. Podobnie jak rzeczone umiejętności fizyczne, robiła ona i klarowała się ciągle, a męty coraz więcej osiadały na spodzie. Był czas, kiedy najpotężniejsze umysły dawały się łudzić szalbierskiemi gadaninami alchemistów i astrologów, tak samo jak był czas, kiedy najoświeceńsi i najcnotliwsi mężowie stanu uważali, że pierwszym było obowiązkiem rządu prześladować heretyków, zakładać klasztory, i wojować z Saracenami. Ale czas postępuje, powstają wątpliwości, faktów przybywa coraz

więcej; słabe promyki prawdy zaczynają się jawić i świecą coraz silniej, aż się staną dniem jasnym i zupełnym; najwznioślejsze umysły, jak wierzchołki gór pierwsze się oświecają i odbijają światło brzasku dokoła. Są one jasne, bo równina pod niemi leży w ciemnościach; ale niebawem światło, które z początku rozjaśniało same tylko najwyższe szczyty, schodzi na równiny i wciska się w najprzepaścistsze doliny. Tak samo naprzód ukazują się oderwane wskazówki i pomysły, potem ułamkowe, niedokształcone systemy, a nareszcie systemy zupełne, skończone i harmonijne. Słuszne zdanie, wyznawane zrazu przez jednego tylko śmiałego badacza, staje się stopniowo zdaniem ograniczonej mniejszości, potem znacznej mniejszości, nareszcie zdaniem większości ludzi. I tak postęp idzie zawsze naprzód, aż w końcu żaki śmieją się z gadanin, którym wierzył Bacon, a wiejscy rektorowie potępiają brak tolerancyi i wolnomyślności Tomasza Morusa.

Widząc takie rzeczy, widząc, że podług zeznania najzaciętszych nawet nieprzyjaciół wszelkiej nowości, ród nasz nieustannie dotąd postępował naprzód w wiedzy, a nie widząc żadnego powodu do mniemania, jakoby w tym właśnie punkcie czasu, w którym my jesteśmy na świecie, zajść miała jakaś zmiana w naturze władz ludzkiego umysłu, lub w sposobach dojścia do prawdy, jesteśmy reformatorem, jesteśmy po stronie postępu. Z wielkich postępów, jakie społeczeństwo europejskie poczyniło od czterech wieków we wszystkich gałęziach wiedzy, wnosimy, nie że dla postępu miejsca już niema, ale że w każdej umiejętności imienia tego godnej ogromnych postępów, z całą pewnością spodziewać się należy.

Ale te same powody, dla których w przyszłość patrzymy z żywą i niewzruszoną nadzieją, nie pozwalają nam oglądać się z pogardą za siebie, na przeszłość. Nie pochlebiamy sobie marną ułudą, jakobyśmy doszli byli do doskonałości, i jakoby nic już do odkrycia nie zostawało. Rozumiemy, że mądrzejsi jesteśmy od naszych przodków; rozumiemy także, że potomność mądrzejszą będzie od nas. Ze strony naszych wnuków byłoby

wielką niesprawiedliwością mówić o nas z pogardą, dlatego tylko, że nas może prześcignąą; nazywać Watta głupcem dlatego, że odkryją może nowe siły mechaniczne, przed któremi w kąt pójdzie użytek pary; wyśmiewać poczynione w naszych czasach usiłowania ku polepszeniu więzień lub kształceniu ubogich, dlatego, że filantrop jakiś przyszłych wieków wymyśli może lepsze więzienia, jak Panopticon pana Bentham, lub lepsze zakłady wychowania jak szkoły pana Lancaster. Powinniśmy sądzić naszych ojców, jak chcemy, żeby potomność nas samych sądziła. Na to, żeby sprawiedliwie ocenić ich zasługi, powinniśmy postawić się w ich położeniu, zapomnieć że wiemy wiele rzeczy, których oni przy największej gorliwości w dociekaniu prawdy wiedzieć nie mogli, a które my przy największej nawet niedbałości wiedzieć musimy. Przed dwustu laty było rzeczą nietylko trudną, ale nawet wprost niepodobną dla ludzi największych nawet i najszlachetniejszych, być tem, czem najpospolitszy człowiek naszych czasów być może, a raczej być musi. A tego już doprawdy za wiele, żeby dobroczyńcy ludzkości, szkalowani przez osłów swego własnego wieku, za to, że szli za daleko, mieli jeszcze szkalowanymi być przez osłów wieków następnych, za to, że dość daleko nie poszli.

Prawda leży pośrodku między temi dwoma krańcami niedorzeczności. Po jednej stronie stoi bigot, który powołuje się na mądrość przodków, by nie zrobić tego, co oni na naszem miejscu byliby święcie zrobili; którzy opierają się billowi reformy dlatego, że Lord Somers [1]) nie widział jego potrzeby; którzy byliby się opierali rewolucyi dlatego, że Ridley i Cranmer wyznawali nieograniczone posłuszeństwo dla prerogatywy królewskiej, i którzy opieraliby się Reformacyi dlatego, że Fitzwalterowie i Marshalowie, którzy przyłożyli swoje pieczęcie na dokumencie Wielkiej Karty, byli gorliwymi zwolennikami rzymskiego Kościoła. Po drugiej stronie stoi przemądry

[1]) Somers, ur. 1650, um. 1716; zrazu prawnik, później członek Izby gmin, po roku 1688 kanclerz.

zarozumialec, pomiatający Wielką Kartą dlatego, że nie zreformowała Kościoła Reformacyą dlatego, że nie ograniczyła prerogatywy królewskiej, i Rewolucyą dlatego, że nie rozszerzyła systemu wyborczego. Pierwszy z tych błędów zblijaliśmy nieraz i zawsze zbijać będziemy gotowi; z drugim, choć szerzy się szybko, nie przyszło nam się jeszcze rozprawić. Pierwszy wpływa bezpośrednio na sprawy praktyczne, i zapiera drogę użytecznym reformom, i dlatego zdaje się szkodliwszym, a może jest nim w istocie. Ale drugi niemniej jest niedorzecznym, niemniej dowodzi czczości umysłów i zazdrosnych usposobień; a gdyby kiedykolwiek miał się stać powszechnym, sprowadziłby, jesteśmy tego pewni, skutki bardzo zgubne. Dąży on do tego, by obedrzeć dobroczyńców ludzkości z poczciwej ich sławy, i postawić na tym samym stopniu najlepszych i najgorszych ludzi z przeszłości. Sprawca wielkiej jakiejś naprawy jest prawie zawsze niepopularnym w swoim własnym wieku; życie przebywa w niepokojach i niebezpieczeństwach. Zależy więc niemało rodowi ludzkiemu na tem, by imiona takich ludzi ze czcią były chowane, by nadzieja zostawienia po sobie wielkiego i nieśmiertelnego imienia dodawała im odwagi wśród pogardy i nienawiści współczesnych. Służba to pełna niebezpieczeństw iść na przebój za nadzieją odkrycia prawdy; któż ją podejmie, jeźli nie będzie pełną także zaszczytu? Kiedy twierdza zdobyta, nie trudno o człowieka, co zatknie sztandar na najwyższej baszcie; ale o takich trudno, którzyby pierwsi chętnie poszli na wyłom, i zła to zaiste polityka znieważać ich popioły za to, że polegli w wyłomie i nie zdołali wedrzeć się do cytadelli.

Oto mamy przed sobą książkę, która wcale niekorzystnie świadczy o literaturze angielskiej XIX wieku, książkę, w której nie ma ani obszernej wiedzy, ani wielkiej siły myślenia. A gdybyśmy sądzić chcieli z pogardy, z jaką wyraża się pisarz o wielkich politykach i filozofach przeszłości, musielibyśmy mniemać, że jest on autorem najważniejszych i najświetniejszych wynalazków na polu umiejętności politycznej. A przecież

tak nie jest. Ludzie zdolni do wielkich wynalazków umieją także wszystko jak należy uwzględnić. Kto usilnie ciśnie się naprzód w poszukiwaniu prawdy, ten zazwyczaj wdzięcznym jest każdemu, kto choć cal drogi przed nim wyczyścił: a taki tylko, co sam tyle właśnie ma rozumu, ile potrzeba by pochwytać i powtarzać modne za dni jego oklepane ogólniki, taki tylko patrzy z pogardą na ludzi, którym zawdzięcza, że oklepane te rzeczy nie są niepojętemi paradoxami lub bezbożnemi herezyami. Taki człowiek, gdyby był żył w siedemnastym wieku, byłby wierzył pobożnie, że Papiści podpalili Londyn, byłby połknął gładko wszystko, co prawił Oates [1]) o czterdziestu tysiącach żołnierzy przebranych za pielgrzymów, którzy zebrani w Galicyi wsiąść mieli na okręty i zrobić napad na Anglią; pod suknią byłby nosił cep protestancki, a byłby się gniewał, gdyby mu kto powątpiewał o prawdzie historyi o rynce. Rzecz zupełnie naturalna, że taki człowiek mówi z pogardą o wielkich reformatorach przeszłych wieków, dlatego, że nie wiedzieli o pewnych rzeczach, o których on sam niby dziś nie wiedział bez ich zbawiennej i dobroczynnej pracy. Śmiejemy się z ludzi, którym zawdzięczamy istnienie Izby Gmin, dlatego, że nie pozwolili rozpraw tej Izby ogłaszać; sprawców prawa o tolerancyi nazywamy bigotami, dlatego, że nie zeszli na samo dno równouprawnienia katolików. Zupełnie tak samo jak dziecko, które widzieliśmy niedawno, jak siedząc na ramionach ojca, chwaliło się i wołało z radością: »o ile to ja wyższy od taty.«

Taki człowiek zawsze może być dumny z siebie, skoro mu do tego tak mało potrzeba. Może on chełpić się słusznie,

[1]) Oates Tytus, ur. 1619, um. 1705 r.; skazany za fałszerstwo, uciekł za granicę, został katolikiem, i jezuitą; potem na nowo anglikaninem. Wymyślił i denuncyował mniemany spisek katolików na rząd i Kościół angielski, wskutku czego popłoch padł na Londyn, a wielu ludzi skazano na śmierć. Gdy się prawda wykryła, skazany na dożywotnie więzienie. Uwolniony w roku 1688. Następne szczegóły odnoszą się do jego fałszywych denuncyacyj.

że ma niezaprzeczoną wyższość nad największymi ludźmi przeszłości. Naprzykład umie czytać i pisać; Homer prawdopodobnie nie znał abecadła. Nauczono go, że ziemia obraca się około słońca; Archimedes myślał, że słońce obraca się około ziemi. On wie, że jest część ziemi zwana Nową Hollandyą; Columb i Gama poszli do grobu w zupełnej niewiadomości tego faktu. On słyszał, że jest jakieś Georgium Sidus; Newton nie wiedział o exystencyi takiej planety. On zna użytek prochu; Hannibał i Cezar zwyciężali za pomocą samych włóczni i mieczów. Pozwolimy sobie jednak nasunąć uwagę, że nie jest to może tym właśnie sposobem, według którego ludzi oceniać należy; że żak z naszych czasów nie ma może prawa nazywać osłem Napiera lub Galileusza dlatego, że nie słyszeli nigdy o rachunku dyfferencyalnym; że na drukarnię Caxtona w Westminster-Abbey, choć tak pierwotną, patrzeć należy z takiem samem uszanowaniem, jak na najlepszą z tych, które w naszych czasach najpiękniejsze wytłaczają czcionki na najcieńszym papierze. Sydenham odkrył pierwszy, że zimna kuracya najlepiej się udaje w ospie. Odkryciem tem uratował życie krociom tysięcy, i czcimy go za to, choć nie słyszał nigdy o szczepieniu ospy. Lady Mary Montague wprowadziła szczepienie w używanie, i szanujemy ją za to, choć nie słyszała nigdy o ospie krowiej. Jenner wprowadził ospę krowią, i sławimy go za to, i będziemy sławić, choćby nawet odkryto środek jakiś zapobiegający ospie pewniejszy i mniej przykry. Tak to należy się sądzić o wypadkach i ludziach upłynionych wieków. Nie zaszli oni tak daleko jak my, bo inaczej być nie mogło. Ale kiedy się ich sądzi, nie o to chodzi, gdzie zaszli, ale w którą szli stronę; czy twarzą obróceni byli w dobrym czy w błędnym kierunku? czy byli na czele czy na tyłach swojego pokolenia? czy pracowali na to, by dopomódz naprzód wielkiemu ruchowi ludzkiego rodu, czy też na to, by go zahamować? Nie jest to pobłażaniem, ale sprawiedliwością i zdrowym rozsądkiem. Prawem jest zasadniczem świata na którym żyjemy, że prawda rośnie stopniowo; naprzód źdźbło, potem

kłos, a na końcu dopiero pełne ziarno w kłosie; a kto się skarży na ludzi z roku 1688, że nie byli ludźmi z roku 1835, powinienby tak samo skarżyć się na rzucone ciało, że w biegu opisuje parabolę, albo na żywe srebro, że jest cięższem od wody.

To prawda, że na rzeczy przeszłe winniśmy patrzeć przy świetle nowoczesnej wiedzy; prawda, że wskazywać błędy znamienitych ludzi przeszłości jednym jest z pierwszych obowiązków historyka. Nie ma błędów, z których tak łatwo dałby się wyciągnąć praecedens, a zatem, któreby tak pilnie wskazywać należało, jak błędy ludzi, mających słuszne prawo do wdzięczności i uwielbienia potomnych. W polityce jak w religii są nabożni fanatycy, którzy tem chcą dowodzić nabożeństwa swego do zmarłego sprawiedliwego, że grób jego zamienić chcą w sanctuarium występku. W sąsiedztwie kościoła, który szczyci się zwłokami umęczonego jakiego apostoła, nietykalnemi być mają i schronienia zepsucia; dlatego, że męczennik był miłosiernym, mają kości jego dawać bezkarność mordercom; dlatego, że on był czystym, mają przedsionki jego przybytku zapełniać się uprzywilejowanym nierządem. Przeciw juryzdykcyi filozofii politycznej powoływano się nieraz na przywileje mniej niedorzeczne. Każde wielkie zdarzenie, każde imię szanowne obrosłe jest grubo szkaradnemi nadużyciami, a złe to wymaga zaiste najsurowszych środków ze strony literackiej policyi; ale właściwą czynnością w takim razie jest pozmiatać brudy nie uszkodziwszy relikwiarza, wypędzić zgraje nierządnic i złodziei, nie wyrządzając sromoty popiołom wielkich zmarłych w sposób godny jedynie nikczemnika i tchórza.

Dwaj dziejopisowie współcześni dadzą się pod tym względem za wzór postawić, Sir James Mackintosh i pan Mill. Różni od siebie we wszystkiem, w tym jednym względzie barsą do siebie podobni. Sir James jest łagodny, pan Mill surowy; ale żaden nie zaniedbuje wymierzając czy to pochwałę, czy chłostę; uwzględnić należycie stanu politycznej moralności i politycznej mądrości wieku. W dziele obecnem mówi Sir James Mackintosh ze słuszną czcią o Whigach z czasów Re-

wolucyi, ale nie omieszkuje nigdy potępić obchodzenia się tego stronnictwa z członkami Kościoła rzymskiego. Trzyma się on wolnomyślnych zasad dziewietnastego wieku, ale nie zapomina nigdy, że ludzie, o których pisze, byli ludźmi z wieku siedemnastego.

Po panu Mill mniej można się było spodziewać tego pobłażania, lub raczej, żeby się lepiej wyrazić, tej sprawiedliwości. Zdawałoby się bowiem z niektórych dzieł jego, że nie uważa on polityki za umiejętność experymentalną, a zatem noszącą w sobie konieczny warunek postępu i rozwoju, ale za umiejętność, której wszystkie trudności rozwiązać się dadzą za pomocą treściwych syntetycznych axiomatów, wyciągniętych z prawd najpowszedniejszych, najpowszechniej znajomych. Gdyby zdanie to było uzasadnionem, to jedno pokolenie nie miałoby przed drugiem żadnej korzyści, lub tylko bardzo małą. Ale choć w rozprawach swoich dał się pan Mill uwieść, jak sądzimy, upodobaniem swojem w jasnych i treściwych formach dowodzenia, w Historyi swojej, przecież, nie można tego bez wielkiej niesprawiedliwości zaprzeczyć, używał różnej zupełnie metody dochodzenia, i to z niepospolitą zręcznością i skutkiem. Nie znamy drugiego pisarza, któryby tak się kochał w przedstawianiu całego rozwoju zdrowych idei, od samego zarodku aż do zupełnej ich dojrzałości, a zaprawdę upodobanie to nader pożyteczne, szlachetne i filozoficzne. Wydobywa on troskliwie ze starych aktów i dokumentów każde wyrażenie, w którem dostrzedz może najdrobniejszego zarodka wielkiej jakiejś prawdy, która się z czasem rozwinęła w całej pełni. Nie zaniedba on nigdy oddać czci należnej tym, którzy choć nie doszli do tego punktu, który dla niego jest szczytem doskonałości, wystawali przecież choć cokolwiek ponad zwykły poziom swoich współczesnych. W taki to sposób pisać należy dzieje przeszłych wieków; w taki sposób przedewszystkiem pisać należy dzieje naszej ojczyzny.

Historya Anglii jest przedewszystkiem i przed wszystkiemi innemi, historyą postępu; jest historyą nieustannego

ruchu umysłów i nieustannych zmian w instytucyach wielkiego społeczeństwa. W początkach wieku dwunastego widzimy społeczeństwo to w stanie nędzniejszym od tego, w którym znajdują się dziś najniższe społeczeństwa na Wschodzie; widzimy je podbite pod władzę garstki zbrojnych najezdników; widzimy silnie nakreślone różnice kastowe między zwycięzkim Normanem a zwyciężonym Saxonem, widzimy najliczniejszą część narodu w stanie osobistej niewoli; widzimy nieograniczone panowanie okrutnych i poniżających zabobonów nad najwznioślejszemi nawet i najszlachetniejszemi umysłami; widzimy gmin w ciemnocie niemal zwierzęcej, a małą liczbę uczonych pracującą z mozołem nad nabyciem tego, co nie było godnem imienia nauki. A w przeciągu siedmiu wieków plemię to nieszczęśliwe i spodlone stało się narodem najbogatszym i najoświeceńszym na świecie; rozszerzyło panowanie swoje po wszystkich częściach kuli ziemskiej; rozsiało ziarna potężnych Królestw i Rzeczpospolitych po lądach, o których nie śnił Strabo ani Ptolomeusz; stworzyło siłę morską, która w ćwierć godziny zniszczyłaby wszystkie razem marynarki Tyru, Aten, Karthagi, Genny i Wenecyi; podniosło sztukę lekarską, środki przenoszenia z miejsca na miejsce czy ludzi czy myśli, sztuki mechaniczne, rękodzieła, i wszystko co się do wygód życia przyczynia, do doskonałości, która przodkom naszym wydałaby się dziełem czarów; wydało literaturę, która szczycić się może dziełami nie niższemi od najwyższych, jakie nam Grecya zostawiła w spuściźnie; wyśledziło prawa, które rządzą ruchem ciał niebieskich; dociekało z wielką subtelnością czynności i procesów ludzkiego umysłu, i uznaniem całego świata stało się przodownikiem ludzkości na drodze politycznego postępu. Historya Anglii jest historyą tej wielkiej zmiany w stanie moralnym, umysłowym i materyalnym mieszkańców naszej wyspy. Jest w niej wiele ciekawych i nauczających epizodów, ale to jest główną w niej akcyą. Nie ma nic, wyznajemy, coby nas tak zajmowało i taką przejmowało rozkoszą, jak patrzeć na Anglią

z czasów Domesday Book [1]), Anglię z czasów Praw Lasowych i Curfew [2]), Anglię mnichów, krzyżowych rycerzy, uczonych, astrologów, niewolników, ludzi wyjętych z pod prawa, jak stawała się stopniowo tą Anglią, którą my dziś znamy i kochamy, klasyczną ziemią wolności i filozofii, szkołą wszelkiej wiedzy, ogniskiem handlu całego świata. Karta Henryka Beauclerca [3]) Magna Charta, pierwsze zebranie Izby Gmin, zniesienie osobistej niewoli, oderwanie od Stolicy Rzymskiej, Petycya Praw, Ustawa Habeas Corpus, Rewolucya, zaprowadzenie wolności druku, zniesienie cenzury, równouprawnienie wyznań i reforma systemu wyborczego, wszystko to wydaje nam się, jak żeby kolejne przejścia jednej i tej samej wielkiej Rewolucyi; i nie możemy zrozumieć dostatecznie żadnego z tych wiekopomnych wypadków, jak tylko w związku z temi, które go wyprzedziły i z temi, które po nim nastały. Każda z tych walk wielkich i zawsze pamiętnych, czy to walczył Saxon przeciw Normanowi, czy Villain przeciw Lordowi, czy Protestant przeciw Papiście, czy Okrągła Głowa przeciw Kawalerowi, czy Dyssydent przeciw fanatykowi panującego Kościoła, czy wreszcie Manchester walczyło przeciw Old-Sarum, była w swojej porze walką, od której wypadku zależały najdroższe interesa ludzkości; a każdy człowiek, który w walce, jaka za jego czasów kraj nasz dzieliła, po dobrej stał stronie, ma prawo do naszej czci i wdzięczności.

Cokolwiek myśleć o tem może wydawca niniejszej książki, jedna rzecz jest przecież pewna, to jest, że ci ludzie, którzy najwyżej cenią wartość świeżo zaprowadzonych w instytucyach naszych reform, najmniej są skłonni lekceważyć te, których

[1]) Domesday-Book. Spis własności ziemskich, sporządzony na rozkaz Wilhelma Zdobywcy w latach 1080 do 1086.

[2]) Curfew (couvre-feu), przepisy bezpieczeństwa i porządku z tych samych czasów.

[3]) Henryk I. (Beauclerc), trzeci syn Wilhelma Zdobywcy, ur. 1068, um. 1135; nadał swoim baronom prawa i przywileje, uważane za pierwszy zaród późniejszych wolności angielskich.

dokonano w r. 1688. Uważają oni Rewolucyę za reformę nie doskonałą zapewne, ale zawsze błogosławioną i szczęśliwą nie tylko dla angielskiego narodu, ale dla całej ludzkości, za reformę, która stała się płodną rodzicielką wielu innych reform, za taką wreszcie, której skutki czuć się dają do dziś dnia, nietylko w naszym kraju, nietylko w połowie państw europejskich, ale w samej nawet głębi puszcz nad brzegami Ohio. Może nam czytelnik zechce wybaczyć, że zwrócimy tu jego uwagę na przyczyny i skutki tego wielkiego wypadku.

Rzekliśmy już, że historya Anglii jest historyą postępu, i jeżeli zechcemy objąć jej całość jednym ogólnym rzutem oka, niezawodnie ujrzymy ją jako taką. Jeżeli zaś rozpatrywać ją zechcemy po oderwanych mnieszych ustępach, to przedstawi nam się ona jako historya kolejnych akcyj i reakcyj. Ruch opinii publicznej w naszym kraju wydawał nam się zawsze podobnym do ruchu morza w chwili przypływu. Fale pojedyńczo jedna po drugiej postępują, łamią się i cofają, ale wielki przypływ postępuje ciągle i niezmiennie. Kto patrzy na morze przez jedną minutę, może myśleć, że ono się usuwa; kto patrzy przez pięć minut, może myśleć, że porusza się ono tu i owdzie kapryśnie i nieregularnie; ale kto patrzy choćby tylko przez kwadrans i widzi, jak woda pochłania jeden kraj ziemi po drugim, ten nie może pomylić się co do kierunku w którym się ocean posuwa. Taki sam był ruch wypadków w Anglii. W historyi narodowego ducha, który jest istotną historyą narodu, należy rozróżnić starannie ten krok wtył, który następuje zawsze po stanowczym kroku naprzód, od wielkiego przypływu ogólnego. Jeżeli uważamy tylko krótkie ustępy czasu, jeżeli porównamy rok 1640 z 1660, 1680 z 1685, 1708 z 1712 i 1782 z 1794, dostrzeżemy ruch wsteczny; ale jeżeli weźmiemy całe wieki, jeżeli porównamy rok 1794 z 1685 lub 1660-ym, nie będziemy mogli wątpić, w jakim kierunku idzie społeczeństwo.

Okres czasu, jaki upłynął między Restauracyą a Rewolucyą, rozpada się sam z siebie na trzy peryody, z których

pierwszy rozciąga się od roku 1660 do 1678, drugi od 1678 do 1681, a trzeci od 1681 do 1688.

W roku 1660 naród cały szalał z zapału do króla. Gdybyśmy mieli wybierać sobie los z pomiędzy wszystkich, jakie ludzie od początku świata wyciągnęli, wybralibyśmy los Karola II-go w dniu jego powrotu. W położeniu jego bowiem widoki ambicyi spotykały się zupełnie z wymaganiami wspaniałomyślności, w położeniu jego łatwiej było być cnotliwym, jak złym, kochanym jak nienawidzonym, łatwiej było zjednać sobie sławę czystą i niespożytą, jak podać się w ohydę. Raz przecie droga cnoty nie była stromą i trudną. Nie zrobił on nic, czemby był na miłość narodu zasłużył, ale naród dał mu ją z góry i bez miary. Elżbieta po zniszczeniu Armady lub po zniesieniu monopolów nie wzbudzała dziesiątej części tego zapału, z jakim witano powrót młodego tułacza. Jego nie wmusili poddanym przemocą obcy najezdnicy, jak wmusili Francuzom Ludwika XVIII-go; nie powrócił on jak Ludwik XVIII do kraju zmienionego z gruntu i zupełnie. Zwycięzka koalicya postawiła w Paryżu dom Burbonów jako trofea na znak swojego tryumfu; w myśli narodu łączył się ich powrót z utratą rozległych prowincyj; z ogromnym haraczem, ze spustoszeniem kwitnących departamentów, z zajęciem Francyi przez nieprzyjacielskie wojska, z opróżnieniem tych piedestałów, na których bogowie Aten i Rzymu na nowo byli przedmiotem czci bałwochwalczej, z nagością tych murów, na których jaśniała Transfiguracya światłem tak olśniewającem, jak to, które biło z obłoku nad Taborem. Oni wrócili do kraju, w którym nic rozpoznać nie mogli. Bracia Śpiący, którzy podług legendy zasnęli, kiedy poganie prześladowali chrześcian, a obudzili się kiedy chrześcianie siebie nawzajem prześladowali, nie znaleźli się w świecie bardziej dla siebie obcym i nowym. Dwadzieścia lat zrobiło tyle, co dwadzieścia pokoleń; wypadki szły szybko i gęsto, ludzie żyli prędko; dawne instytucye, dawne uczucia wyrwane były z korzeniem. Nastał nowy Kościół założony i wyposażony przez uzurpatora, nowa szlachta z nazwiskami

wziętemi od pola bitew, bitew fatalnych dla dawnej dynastyi; nastało nowe orderowe rycerstwo z krzyżami, zdobytemi takiemi czynami, przez które wygnanie emigrantów mogło było stać się stanowczem na wieki. Nowa Magistratura podług nowego rządziła kodeksu; nowa klasa właścicieli trzymała ziemię z nowego prawa; najdawniejsze i najznajomsze miejscowe nazwy i granice poszły w zapomnienie; nie było już ani Normandyi, ani Burgundyi, ani Guienny, ani Bretanii; Francya Ludwika XVI znikła tak, jak przed-Adamowe światy; wykopaliska jej zostały wprawdzie tu i owdzie i budziły ciekawość, ale wlać życie w dawne instytucye było takiem niepodobieństwem, jak ożywić szkielety zagrzebane w przedpotopowych pokładach. Przypuścić, żeby Francya wrócić mogła pod system feudalny, było takiem niedorzeczeństwem, jak przypuszczać, że mamuty rozplenią się na nowo na naszym świecie. Rewolucya w prawach i w formie rządu była tylko widomym znakiem tej rewolucyi potężniejszej, jaka zaszła w sercu i umyśle narodu, a która dotknęła wszystkich stron życia i wszystkich jego czynności, handlu, gospodarstwa, uczenia, małżeństwa, dawania w małżeństwo. Francuzi, którym panować miał wracający emigrant, tak byli podobni do Francuzów z czasów jego młodości, jak ci do Francuzów z czasów Jacquerii. Powrócił on do narodu, który nie wiedział już nic o nim, ani o jego domu, dla którego Burbonowie byli tem samem, co Merowingowie i Karlowingowie. Mógł on białym sztandarem zastąpić trójkolorowy, i pszczoły Liliami, mógł rozkazywać, by zacierano wszędzie starannie cyfry cesarza, ale nie mógł nigdzie rzucić okiem, żeby mu coś nie przypomniało, że był obcym w pałacu swoich ojców. Wrócił do kraju, po którym przelotny nawet podróżnik poznaje odrazu, że zaszedł w nim niedawno wielki przewrót i wielkie odbudowanie społecznego systemu. W takich okolicznościach, pozyskać sobie serca narodu, byłoby rzeczą niełatwą nawet dla Henryka IV.

Ale w Rewolucyi angielskiej rzecz miała się zupełnie inaczej. Karol nie był rodakom swoim nałożonym przemocą,

ale był przez nich wezwanym. Restauracyi jego nie towarzyszyły żadne okoliczności, któreby dumę ich narodową ranić były mogły. Wyspiarze z geograficznego położenia, odosobnieni z charakteru, między sobą i sami przez siebie załatwiliśmy nasze spory i zawarli zgodę. Sprawy nasze wewnętrzne nie powikłały się ani na chwilę ze stokroć większą sprawą niepodległości narodowej. Okrągłe Głowy nie rościły sobie bynajmniej jak filozofowie francuzcy stawiać zasad ogólnych dla całego świata. Przodkowie nasi stali zawsze na stanowisku nie ogólnych teoryj, ale szczególnej konstytucyi naszego kraju; walczyli o prawa nie ludzi, ale Anglików; i dlatego zasady ich nie były zaraźliwe, a gdy i były takiemi, to jeszcze żaden kraj sąsiedni nie mógł się niemi zarazić. Języka, w którym prowadziły się nasze rozprawy i spory, nie znał ani jeden może uczony po za naszą wyspą. Z położenia naszego nie mogliśmy żadną miarą ani myśleć nawet o wielkich na stałym lądzie podbojach. I dlatego królowie Europy nie mieli powodu obawiać się dla swoich poddanych przykładu angielskich Purytanów i patrzali obojętnie, może z upodobaniem na śmierć monarchy i upadek monarchii. Clarendon żali się gorżko na ich obojętność, ale nam się wydaje, że obojętność ta największą sprawie królewskiej oddała usługę; bo gdyby wojsko francuzkie lub hiszpańskie wylądowało było w Anglii, i gdyby, o czem bynajmniej nie wątpimy, zniesionem było do szczętu od pierwszego spotkania z żołnierzami z pod Preston i Dunbar [1]), z pułkownikiem Fight the good fight i kapitanem Smitethem hip and thigh [2]), dom Cromwella możeby do dziś dnia jeszcze w Anglii panował. Naród byłby wszystko złe zapomniał człowiekowi, któryby ziemię jego oczyścił z obcych najezdników.

Szczęściem dla Karola, żadne z państw europejskich, z tych nawet, które były w wojnie z Rzeczapospolitą, nie

[1]) Dunbar i Preston. Zwycięztwa Cromwella, 1650, 1648.

[2]) Przydomki purytańskich żołnierzy; dosłownie: „walcz w dobrej walce“ i „wal ich co wlezie.“

myślało związać swej sprawy ze sprawą tułaczów, którzy w Kolonii i w Paryżu bawili się pod strychami w książąt i w kanclerzów. Pod rządami Cromwella szanowano Anglię i bano się jej bardziej, jak wszystkich innych mocarstw Chrześciaństwa, a nawet pod efemerycznym rządem, który nastąpił po jego śmierci, nie śmiało żadne państwo zagraniczne okazywać jej pogardy. I dlatego mógł Karol powrócić nie jako pośrednik między narodem a zwycięzkim nieprzyjacielem, ale jako pośrednik między dwoma wewnętrznemi stronnictwami. Znalazł on Covenanterów szkockich i irlandzkich Papistów zarówno do posłuszeństwa zmuszonych, znalazł posiadłości nasze wzbogacone przybytkiem Dunkierki i Jamajki, i stał się spadkobiercą podbojów i przewagi wielkiego przywłaszczyciela, który mu był tron odebrał.

Dawny rząd angielski, od dawnego francuzkiego o wiele łagodniejszy, był też nie tak gwałtownie jak tamten i nie tak zupełnie obalonym. Instytucye narodowe albo pozostały w całości, albo częściowo tylko były wykorzenione; w prawach małe tylko pozachodziły zmiany. Coke i Littleton [1]) wystarczali na to zawsze, by nauczyć się z nich prawa lenności, dziedzictwa i własności ziemi. W parlamentach Rzeczypospolitej wspominano o Wielkiej Karcie z taką samą czcią, jak w poprzednich i w następnych, w Kościele wprowadzono nowe wyznanie wiary i nowy rytuał, ale własność kościelna została nietkniętą. Kollegia zawsze były w posiadaniu swoich dóbr, rektorowie zawsze pobierali dziesięciny; Lordów wprawdzie w chwili wielkiego wzburzenia wyrzucono z izby żołnierzami, ale zachowali oni swoje tytuły i wielkie u publiczności zachowanie. Każdego z nich, ilekroć ukazywał się w Izbie Gmin, przyjmowano zawsze z ceremonialnem uszanowaniem; a ci z pomiędzy nich, którzy obecnymi byli inauguracyi Protektora, stali tuż przy nim i sprawowali najzaszczytniejsze w tej ceremonii czynności.

[1]) Coke Edward, ur. 1549, um. 1634. Prokurator i sędzia za panowania Elżbiety i Jakóba I; autor dzieła *Instituta Legum Angliae.*

Z rozpraw parlamentu Ryszarda przekonać się można, jak silnie arystokracya zakorzenioną była w uczuciach ludu. Jeden z członków Izby Gmin rzekł, że jeżeli ich Lordowskie Moście nie zostaną spokojnie przywrócone na swoje miejsca, to niebawem wybuchnąć może w kraju wojna Baronów. I w istocie, nie było nigdy takiego stronnictwa, któreby Izbie wyższej było nieprzyjaznem; w składzie tej Izby nie było nic wyłącznego; zaciągała ona zawsze członków swoich z pomiędzy najznakomitszych duchownych, prawników i wielkich właścicieli ziemi. Najpotężniejsi magnaci z ostatniego przed Rewolucyą stulecia, jak książę Somerset, książę Northumberland, Lord Seymour of Sudeley, hrabia Leicester, Lord Burleigh, hrabia Salisbury, książę Buckingham, hrabia Strafford, wyszli wszyscy z Izby Gmin, i wynieśli się dworskiemi intrygami lub parlamentarnemi zdolnościami, nietylko na krzesła Izby Lordów, ale do najpotężniejszego w Izbie tej wpływu. Postępowanie też Lordów w ogólności nie było takie, żeby ich podać miało w niechęć narodu. Opór, jaki stawiali samowładnym nadużyciom, nie był wprawdzie ani tak dzielny ani tak stanowczy, jak opór Izby Gmin, ale przecież i oni stawiali nadużyciom tym opór. W początkach zaburzeń mieli oni wspólny z ludem interes, bo gdyby Karol zdołał był plany swoje przeprowadzić, stanowisko Lordów byłoby znacznie zmalało. Gdyby był mógł samowolnie nakładać podatki, to majątki Lordów byłyby tak samo zależały od jego łaski, jak majątki kupców lub dzierżawców; gdyby był mógł więzić poddanych, skoroby mu się podobało, to Par każdy daleko prędzej niż wiejski Squire lub kupiec z City narażonym był na utratę łaski królewskiej i na bezpłatne mieszkanie w Londyńskiej Wieży. I dlatego to przekonał się Karol, że wielka Rada Parów zwołana do Yorku, nic dla niego nie uczyni. Podczas pierwszej sesyi długiego Parlamentu dopomagali Parowie Izbie Niższej serdecznie i gorliwie do przeprowadzenia koniecznych wówczas reform; a w pierwszych latach wojny stała po stronie ludu bardzo znaczna mniejszość magnatów. Pod Edgehill, pod Newbury, pod Marston

i pod Naseby dowodzili wojskami Parlamentu członkowie arystokracyi, a i tego naród nie zapomniał, że jeden z Parów poszedł za przykładem Hampdena i nie zapłacił podatku okrętowego, ani że jeden Par znajdował się w liczbie sześciu członków władzy prawodawczej nieprawnie przez Karola pod sąd oddanych.

Bez trudności zatem dała się przywrócić w Anglii dawna konstytucya, a ze wszystkich pierwiastków składowych tej konstytucyi, władza monarchiczna najdroższą była narodowi w owej chwili. Nad miarę poniżona, była ona za to nad miarę teraz wynoszoną. Od dnia, w którym wzięto Karola I-go w niewolę, zaczął się zwrot na korzyść jego osoby i urzędu; a od dnia, w którym głowa jego spadła pod toporem przed oknami jego pałacu, zwrot ten stał się coraz szybszym i gwałtowniejszym. W chwili restauracyi zaś, doszedł do takiego punktu, że dalej już iść nie mógł. Naród gotów był zdać na łaskę króla najdawniejsze i najdroższe swoje prawa; wyznawał głośno najsłużebniejsze, najbardziej niewolnicze zasady; potępiał opozycyę najumiarkowańszą nawet i najściślej w szrankach konstytucyjnych zamkniętą; o oporze mówił ze zgrozą większą, niż o jakiejkolwiek zbrodni, jaką ludzka istota mogła popełnić. Izba Gmin skwapliwsza była od króla samego do pomszczenia krzywd królewskiego domu, żarliwszą od samych biskupów o przywrócenie praw Kościoła, pochopniejszą do dawania, niż ministrowie do żądania pieniędzy. Odwołała ona doskonałe prawo uchwalone podczas pierwszej sesyi długiego Parlamentu ze zgodą wszystkich uczciwych ludzi owego czasu, prawo mianowicie zabezpieczające częste zwoływanie tej wielkiej Rady narodu, a prawdopodobnie byłaby się dała zawieść jeszcze dalej, aż do przywrócenia Izby Gwieździstej i Wysokiej Komisyi [1]). Wszystkie współczesne opisy zgadzają się na to, że naród znajdował się w stanie hysterycznego zapału, szalonej radości. W tych tłumach nieprzeliczonych, które zalegały wy-

[1]) Izba Gwieździsta i Wysoka Komisya, osławione trybunały inkwizycyjne, narzędzia nieprawnych oskarżeń i wyroków.

brzeże w Dover i cisnęły się po obu stronach gościńca, którym król zdążał do Londynu, nie było jednego człowieka, któryby nie był płakał; bito dzień i noc we wszystkie dzwony; ulice zapchane były nocą ludźmi, którzy zmuszali przechodzących klęcząc wychylać do dna kielich za zdrowie Najjaśniejszego Króla, i za wieczne potępienie Olliviera z czerwonym nosem. Przez jakiś czas nie można było dostrzedz tego współczucia dla upadłych, które przez wiele pokoleń wyraźnym było rysem narodowego charakteru. Cały Londyn skupił się z wiwatami i śmiechem około szubienicy, na której wisiały niedognile zwłoki książęcia, który Anglię uczynił postrachem całego świata, który był głównym założycielem jej morskiej potęgi i kolonialnej jej wielkości, który podbił Szkocyę i Irlandyę, upokorzył Hollandyę i Hiszpanię, którego imię powagą swoją zasłaniało każdego Anglika podróżującego po dalekich krajach, i każdy zbór protestancki pośród katolickich posiadłości. A kiedy niektórych z tych ludzi dzielnych i zacnych, choć obałamuconych, którzy na śmierć króla głosowali, wleczono na śmierć i tortury, tysiące ludzi przerywało im ostatnią modlitwę gwizdaniem i złorzeczeniem.

Taką była Anglia w roku 1660. W 1678 postać rzeczy była zupełnie inna. W pierwszej z tych dwóch epok, po ośmnastu leciech zaburzeń, pragnął był naród kupić spokój za jakąbądź cenę. W drugiej, po ośmnastu leciech złych rządów, pragnął zyskać rękojmie wolności kosztem jakichbądź niebezpieczeństw. Gwałtowny zapał poddańczej wierności wyszumiał w pierwszym wybuchu; w ciągu pierwszych kilku miesięcy tyle się nawieszali, naćwiertowali, tyle nawyciągali wnętrzności, że mieli tego dosyć. Stronnictwo Okrągłych Głów zdawało się nietylko pokonanem, ale zbyt rozbitem i rozproszonem, by kiedykolwiek skupić się jeszcze mogło na nowo. I wtedy rozpoczął się nowy zwrot opinii. Opatrzył się naród, jakiemu to człowiekowi powierzył bez żadnych warunków najdroższe swoje prawa, na jakiego to człowieka zlał tak hojnie swoją miłość. Nikczemnej natury powróconego wygnańca nawet przeciwność

twardą swoją szkołą uszlachetnić nie mogła. Nad wszystkimi książętami miał on korzyść jedną ogromną. Choć zrodzony w purpurze, lepiej od większej liczby swoich poddanych zapoznał się ze zmiennemi kolejami życia i z rozmaitością ludzkich charakterów. Znał on przymus, niebezpieczeństwo, niedostatek i zależność; wiele miał do cierpienia od niewdzięczności, bezczelności i zdrady; wiele odebrał świetnych dowodów bohaterskiej i niezłomnej wierności; jeżeli ktokolwiek z ludzi, to on powinien był znać obie strony ludzkiej natury. Ale w pamięci jego jedna tylko jej strona została. Nauczył on się tylko niedowierzać swoim współludziom i pogardzać nimi, nauczył się uważać prawość mężów i wstyd niewiast za proste udawanie, i nie zadawał sobie nawet pracy zachować wyobrażenia te dla siebie. Do przyjaźni niezdolny, dawał się przecież wodzić zawsze ulubieńcom, choć im nigdy ani na chwilę nie wierzył. Wiedział, że dbałość ich o jego dobro była udaną, ale wskutku pewnej giętkości, która z dobrocią nic wspólnego nie miała, przystawał, śmiejąc się trochę sam z siebie, być narzędziem każdej kobiety, która go wabiła swojemi wdziękami i każdego mężczyzny, który bawił swoją gadaniną. O religii mało myślał i mało o nią dbał; przez całe życie chwiał się jak wahadło, zawieszony między Hobbizmem i Papizmem. Ukoronowany za młodu z Covenantem w ręku, skonał z nieprzełkniętą w gardle Hostyą, a przez cały okres czasu między temi dwoma wypadkami zawarty, prześladował zarówno katolików, jak Covenanterów. Nie był on tyranem ze zwyczajnych pobudek; o władzę dla władzy samej dbał bardzo mało, a jeszcze mniej o chwałę; mściwym, jak się zdaje, nie był, i w okrucieństwie nie znajdował przyjemności. Chodziło mu jedynie o to, by się bawić, by przeżyć przyjemnie dwadzieścia cztery godzin nie siadając ani razu do suchej i mozolnej pracy. Próżnowanie było, jak się Sheffield [1]) wyraża, prawdziwą sul-

[1]) Sheffield John, hr. Mulgrave, w końcu książę Buckingham, ur. 1649, um. 1721 r., stronnik Stuartów; za królowej Anny kanclerz i prezes ministrów; autor pamiętników, wierszy i rozpraw.

tanką i królową jego serca. Gdyby książę Buckingham nie był stroił min do kanclerza, nigdyby król nie był wysiedział na radzie ministrów. Mówiono o nim, co nieprawdopodobnem nie jest bynajmniej, że na wygnaniu gotów był sprzedać swoje prawa Cromwellowi za okrągłą jaką sumkę; a do końca życia kłócił się z Parlamentem tylko o to, że ten Parlament nie dawał mu spokoju a nie chciał dawać pieniędzy. Jeżeli dla kogokolwiek miał szacunek i względy, to dla swego brata: jeżeli w jakimkolwiek przedmiocie miał jakie skrupuły sumienia lub honoru, to w przedmiocie następstwa tronu. A przecież, gotów był zgodzić się na Exclusion Bill (na odsądzenie księcia York od korony) za sześćkroć sto tysięcy funtów, i układ ten zerwał dlatego tylko, że chciał, by zapłacono mu z góry. Żeby mu wreszcie zupełną oddać sprawiedliwość, powiedzieć trzeba, że usposobienie miał nie złe, obejście ujmujące, a zdolności niepoślednie; ale był zmysłowy, lekkomyślny, płochy, fałszywy, zimny i samolubny, bardziej od wszystkich książąt o jakich wspomina historya.

Pod rządami takiego człowieka musiał naród angielski wytrzeźwić się prędko ze swojego szału wierności; bo był on, jak jest dzisiaj, plemieniem dumnem, odważnem, nie przywykłem do niewoli, do porażki, ani do sromoty. Świetna administracya Cromwella przekonała Anglików, że kraj ich mógł się mierzyć z największemi w świecie mocarstwami, że na morzu pierwszą był potęgą, że był głową sprawy protestanckiej w Europie. I jakkolwiek w dniach szalonego dla króla zapału, wynosili niekiedy prerogatywę w słowach, któreby raczej dworzanom Aurung-Zeba [1]) przystały, niebezpiecznie przecież było brać ich zaraz za słowo. Teoryę biernego posłuszeństwa posunęli oni nierównie wyżej jak praktykę; wyśmiewali wprawdzie przesadną surowość Purytanów i frazesa ich z Pisma wyjęte, ale byli w gruncie narodem bardzo religijnym. Większość

[1]) Aurung-Zeb, ur. 1619, um. 1707 r., jeden z najdzielniejszych władców i zdobywców Indyjskich.

nie widziała wielkiej zbrodni w konnej jeździe, w polowaniu, w teatrze, w tańcu, w kartach, jarmarkach, w używaniu krochmalu lub przyprawnych włosów, ale patrzała ze zgrozą na bezbożność lub rozwiozłość obyczajów, a dziewięć dziesiątych części warstw średnich w największej miało nienawiści wiarę katolicką.

Takim był naród, kiedy ocknąwszy się z ekstatycznego zachwycenia, ujrzał się zaprzedanym dworowi obcemu, despotycznemu, katolickiemu, pobitym na swoich własnych morzach i rzekach przez państwo mniejszej nierównie potęgi, i rządzonym przez rajfurów i błaznów. Widzieli przodkowie nasi, jak setkami wyrzucano z posad najlepszych i najzdolniejszych duchownych; widzieli więzienia przepełnione ludźmi winnymi tej jedynie zbrodni, że chwalili Boga sposobem przyjętym przez całą niemal protestancką Europę; widzieli na tronie królowę katoliczkę, a na stopniach tronu domniemanego następcę katolika; widzieli po niesłusznej zaczepce niedołężną wojnę, i holenderską flotę wpływającą tryumfalnie na Tamizę. Widzieli zerwanie potrójnego przymierza, widzieli skarb wyczerpany, kredyt zachwiany, i oręż angielski, haniebnie pod rozkazy Francyi oddany, dobytym przeciw krajowi, który zdawał się ostatnim przytułkiem religijnej i cywilnej wolności. Widzieli Irlandyę wzburzoną, a Szkocyę zbuntowaną, a w tej samej chwili widzieli w Whitehall roje oszustów i nierządnic. Widzieli jak jednę po drugiej nałożnicę, jednego po drugim bękarta, nietylko wynosił król do najwyższych godności parostwa, ale jak dostarczał im hojnie środków utrzymania nowego dostojeństwa, z łupów zabranych pracowitemu, uczciwemu i zubożałemu publicznemu wierzycielowi. To też rząd stawał się z każdym dniem bardziej znienawidzonym. W samem nawet łonie tej Izby Gmin, którą naród wybrał był kiedyś w szale radości, nadziei i skruchy, powstała opozycya i stała się potężną. Wierność dla króla, która wytrzymała wszystkie klęski wojny domowej, która przeżyła rozsypkę pod Naseby i pod Worcester, która nie drgnęła nigdy na sekwestracye i wygnania, której

Protektor nie zdołał nigdy ani ująć ani zastraszyć, zaczęła chwiać się w tej ostatniej i najcięższej próbie. Burza zbierała się długo, ale wybuchła nareszcie tak silnie, że całemu społeczeństwu rozbiciem zagroziła.

Kiedy nastąpiły powszechne wybory w Styczniu r. 1679, naród odbył już był wstecz tę drogę, którą szedł od r. 1640 do r. 1660; i był znowu w takiem samem usposobieniu, jak wtedy, gdy zbierał się długi Parlament po dwunastu leciech rządów samowładnych. Imię Dworaka miało w całym kraju obelżywe znaczenie. Starzy wojownicy Covenantu wychylili znów głowę z przytułków, w których kryli się za Restauracyi przed obelgami zwycięzkich sług Szatana, i w których przez lat dwadzieścia przechowywali w całej sile:

»Niezłomną wolę
»i pragnienie zemsty, nieugiętą nienawiść,
»odwagę, by nigdy nie ustąpić i nie poddać się,
»i wszystkie uczucia, które się pokonać nie dają« [1]).

I znowu ukazały się na ulicach twarze wywołujące dziwne i groźne wspomnienia dni owych, kiedy *Święci* z chwałą Bożą na ustach a z obosiecznemi mieczami w ręku, zakuwali królów i szlachtę w łańcuchy. Znowu dały się słyszeć głosy, które za czasów tyranii Karola I, wołały za jego powozem »Przywilej«, a które za dni jego śledztwa wołały o »Sprawiedliwość« w sali Westminsteru. Przez jakiś czas modą było mówić, że wzburzenie owoczesne było skutkiem spisku Papistów. Dla nas jest to zupełnie jasnem, że spisek Papistów był właśnie skutkiem powszechnego wzburzenia, a nie jego przyczyną. Nie był on chorobą samą, ale tylko choroby symptomem, choć swoją drogą, jak wszystkie prawie symptomata, wzmagał cho-

[1]) The unconquerable will
And study of revenge, immortal hate
With courage never to submit or yield,
And what is else not to be overcome!
Milton, *Raj utracony*. Pieśń II.

robę. W roku 1660 lub 1661, ludzie tacy jak Oates i Bedloe nie byliby zdołali nabawić rząd najmniejszego kłopotu; wyśmiani, stawieni pod pręgierzem, wygwizdani, okrzyczani i osmagani, byliby niebawem poszli w zapomnienie. W r. zaś 1678, lub 1679 byłoby musiało przyjść do wybuchu, nawet gdyby tych ludzi nie było nigdy na świecie, bo przez cały długi szereg lat rzeczy zmierzały nieustannie do takiego rozwiązania, bo całe społeczeństwo było jedną wielką massą palnych materyałów, a taka wielka massa tak palnych materyałów nigdy nie czekała długo na iskrę.

Sądzimy, że wszyscy ludzie rozsądni przekonani są już dziś zupełnie, jako większa część tego co Oates rozpowiadał, jeżeli nie wszystko, była czystym wymysłem. Rzeczą jest wprawdzie bardzo prawdopodobną, że w czasach, kiedy miał stosunki z Jezuitami, mógł on słyszeć wiele próżnych i niedorzecznych gadanin i o najlepszych sposobach przywrócenia w Anglii religii katolickiej, i że do opowieści swoich mógł wziąć niejakie pomysły z szalonych snów na jawie swoich dawnych wspólników. Ale nie sądzimy, by Oates wiedział był o czemkolwiek, coby godnem było nazwiska sprzysiężenia; a rzeczą jest niezawodną, że jeżeli nawet zeznania jego zawierają cokolwiek prawdy, to ta odrobina prawdy tak tonie głęboko w fałszu, że żadna zręczność ludzka wydobyć jej nie potrafi. Nie należy atoli zapominać, że na plotki jego patrzymy dziś przy świetle wielu objaśnień, na których współczesnym zbywało. Na obronę świadków nie mamy wprawdzie nic, ale mamy cokolwiek do powiedzenia na obronę publiczności; wyznajemy, że łatwowierność, jaką naród w tym razie okazał, wydaje nam się bardzo naganną, ale poniekąd do wytłomaczenia.

Przodkowie nasi wiedzieli z doświadczenia kilku pokoleń tak w Anglii jak za granicą, jak niezmordowanym, jak chciwym władzy był duch Kościoła rzymskiego. Domniemany następca tronu był ślepym, fanatycznym wyznawcą tego Kościoła; król panujący zdawał się skłonniejszym daleko do obchodzenia się łaskawie z tym Kościołem, niżeli z Presbyte-

ryanami. Był on ścisłym sprzymierzeńcem a raczej najemnym służalcem potężnego króla, który podówczas dał już był aż nadto dowodów, że nie ścierpi w swoich krajach żadnej innej, prócz rzymskiej religii. Katolicy zaczynali odzywać się zuchwalej jak kiedykolwiek, i mówić o przywróceniu swojego Kościoła w całej dawnej świetności i blasku. W takim stanie rzeczy obiega naraz pogłoska, że odkryto spisek Papistów; znakomitego jednego katolika uwięziono na podejrzenie, i pokazało się, że zniszczył on wszystkie swoje papiery. Wszelako kilka listów uszło spalenia, a listy, jak się pokazało, zawierały wiele rzeczy zatrważających, dziwne jakieś wzmianki o posiłkach z Francyi, i »o wielkim planie, który Protestantyzmowi zada cios okropny« i »wypleni zupełnie zaraźliwą herezyę.« Rzecz naturalna, że ci, którzy takie wyrazy czytali w listach zapomnianych, musieli domyślać się rzeczy okropnych w listach starannie zniszczonych. Takie było uczucie Izby Gmin: i krzyki o »śledztwo, śledztwo na podstawie listów Colemana« zagłuszyły mniejszość Izby.

Niebawem po znalezieniu tych listów, zamordowany jest urzędnik pewien znany z niepodległości umysłu, ten sam, który odebrał zeznanie donosiciela; a okoliczności towarzyszące zabójstwu, są tego rodzaju, że nie pozwalają przypuszczać ani rozboju, ani samobójstwa. Wielu z czytelników przypomni sobie jeszcze stan Londynu po zabójstwie Williamsona i Mara; wielu przypomni sobie, jaki był strach na wszystkich twarzach, jak zawalano wszystkie drzwi, jak zaopatrywano się w krucice i grzechotki, takie, jak noszą nocni stróże. Znamy sami jeden sklep, który sprzedał trzysta takich grzechotek w przeciągu dziesięciu godzin. Kto pamięta tę panikę, ten zdoła sobie wyobrazić, co się dziać musiało po zabójstwie Godfreya. Rzeczywiście, rzec musimy, że po przeczytaniu i rozważeniu dokładnem wszystkiego, co dziś wiadomem jest o tajemniczej tej sprawie, skłaniamy się do przekonania, że Godfrey musiał być zamordowanym i to zamordowanym przez katolików; nie przez katolików ma się rozumieć jakiegokolwiek znaczenia lub wagi,

ale przez fanatyka jakiegoś mściwego i szalonego, o jakiego zawsze łatwo w każdej wielkiej sekcie, a zwłaszcza w sekcie prześladowanej. Zaciekli niektórzy Cameronianie [1]) popełnili byli świeżo podobną zbrodnię, podobnie prześladowaniem doprowadzeni do szaleństwa.

Rzecz bardzo prosta, że strach paniczny musiał opanować umysły, i równie prosta, że w takim strachu ludzie stali się łatwowiernymi i niedorzecznymi. Pamiętać także trzeba, że nie mieli oni w początku, jak my dzisiaj mamy, sposobu porównania między sobą kolejnych zeznań przy kolejnych śledztwach. Nie znali oni dziesiątej części tych niedorzeczeństw i sprzeczności, w jakie wpadał Oates. O błędach naprzykład, w jakie wpadał przed sądem, o pomyłce jego co do osoby Don Juana Austryackiego i co do położenia Jezuickiego kollegium w Paryżu, publiczność nie wiedziała wcale. Wiedziano, że był on złym człowiekiem: ale złymi są zawsze wszyscy szpiegowie i zdrajcy, przez których rządy dowiadują się o spiskach. Powieść jego była dziwna i romantyczna, ale nie była dziwniejszą ani romantyczniejszą od rzeczywistego i dowiedzionego spisku Papistów, który niektórzy z współczesnych jeszcze zapamiętać mogli, to jest od spisku Prochowego. To co Oates mówił o spaleniu Londynu, nie było samo w sobie mniej prawdopodobnem, jak pomysł wysadzenia w powietrze króla, lordów, gmin, który to pomysł nietylko miał za sobą wielu znakomitych katolików, ale o włos tylko, że się nie udał. Co się zaś tyczy zamachu na życie króla, wiadomo było całemu światu, że w przeciągu stu lat zamordowali katolicy dwóch królów francuzkich i jednego księcia Oranii czysto z religijnego fanatyzmu, że Elżbieta żyła pod ustawiczną groźbą podobnego losu, i że dwór rzymski, żeby już najmniej powiedzieć, nie oświadczył się stanowczo przeciw tym zamachom. Niektórzy z oskarżonych używali wprawdzie najlepszej sławy,

[1]) Cameronianie, sekta w łonie szkockiego Presbyteryanizmu, tak nazwana od założyciela Jana Cameron, ur. 1580, um. 1626 r.

ale nie gorszej używał Antoni Babington i Everard Digby [1]). Ci, których skazano, do ostatka wypierali się winy, ale do tej okoliczności ludzie obeznani z biegiem spraw kryminalnych, nie mogą żadnej przywięzywać wagi. Wiedziano także, że najznakomitsi z katolickich kazuistów pisali wiele na obronę królobójstwa, restrykcyi mentalnych, i dwuznacznych zeznań. Mogło zatem nie wydać się rzeczą niepodobną, żeby ludzie wykarmieni na dziełach tych kazuistów, z czystem sumieniem odpierali zarzuty, z których inaczej wielki byłby wyniknął wstyd dla Kościoła. Śledztwa oskarżonych katolików były takie, jak wszystkie w owych czasach śledztwa polityczne, to jest tak niegodziwe, jak tylko być mogły. Nie były one ani lepsze ani gorsze od śledztw Algernona Sydneya, Rosewella, Cornisha, i tych wszystkich, których górujące stronnictwo oddało tak zwanej sprawiedliwości. Aż do Rewolucyi, która oczyściła nasze prawa i obyczaje, był każdy proces polityczny czystem morderstwem, poprzedzonem tylko pewnemi gadaninami i pewną komedyą form.

Opozycya miała teraz za sobą ogromną większość narodu. Po trzykroć rozwiązywał król Parlament, i po trzykroć odsyłali mu wyborcy tych samych posłów, gotowych strzedz pilnie każdego jego kroku i zawziętych na odsądzenie jego brata od następstwa tronu. Gdyby Karol miał był taką naturę jak jego ojciec, zatargi te byłyby musiały skończyć się wojną domową. Namiętność i upór byłyby go zgubiły; gnuśność i lekkomyślność były jego bezpieczeństwem. Był on podobnym do tych lekkich czółen indyjskich, bezpiecznych bo giętkich, które poddają się każdemu bałwanowi, i dlatego wychodzą cało z wirów, w których zginęłyby niezawodnie statki z najmocniejszego zbudowane dębu. Jedyną rzeczą, której trzymał się z całej siły, było to, że, jak sam mówił, za nic

[1]) Babington Antoni uknuł spisek na oswobodzenie Maryi Stuart a zamordowanie Elżbiety. Stracony 1586 roku. Digby Everard, jeden z głównych uczestników spisku Prochowego, powieszony 1606 r.

i pod żadnym warunkiem nie puści się na podróże po raz drugi. Zachowanie jego gnuśne i niedołężne sprawiło taki skutek, jaki mogła była sprawić najprzebieglejsza, najgłębsza polityka. Pozwalał on, żeby rzeczy szły swoim torem; a gdyby Machiavel był mu szeptał w jedno ucho, a Achitophel w drugie, nie byliby mu nic lepszego mogli doradzić, jak właśnie, by pozwalał rzeczom iść swoim torem. Ustąpił on przed gwałtownym prądem naprzód, i czekał na równie gwałtowny prąd wstecz. Przed poddanymi dawał on sobie korzystny pozór króla uciśnionego, gotowego na wszystko, byle im dogodzić, a w zamian żądającego tylko nieco względu na jego skrupuły sumienia i na wrodzone jego uczucia; gotowego jakichbądź wziąć ministrów, jakiebądź nadać rękojmie wolności, ale nie mogącego przenieść tego na sobie, by własnemu bratu odebrać prawo następstwa. Tego też tylko było potrzeba; bo miał on do czynienia z narodem, który zawsze miał tę szlachetną słabość, że nie lubił cisnąć zwyciężonych, z narodem, w którym najdziksi nawet i najnieoświeceńsi, wołają »zgroza«, gdy widzą ugodzonym człowieka powalonego. Oburzenie przeciwko dworowi zaczęło słabnąć, odkąd dwór oczywiście stał się niezdolnym do dalszego oporu; postrach, jaki śmierć Godfreya rzuciła była na umysły, zaczął się pomału uspokajać; z każdym dniem wychodziło na jaw nowe kłamstwo lub nowa sprzeczność w zeznaniach Oatesa i Bedloego. Ludzie przesycili się teraz krwią Papistów, jak przed dwudziestu laty przesycili się krwią królobójców. Kiedy pierwsi z oskarżonych o spisek stawali przed kratkami, tłum omal nie rozszarpał świadków, którzy świadczyli na ich obronę. Sędziowie stali, sędziowie przysięgli, i widzowie, zarówno o sprawiedliwość niedbali, zarówno dyszeli zemstą. Lord Stafford zaś, ostatni ze skazanych, uznanym był za niewinnego przez znaczną mniejszość parów, a kiedy na rusztowaniu oświadczał się niewinnym po raz ostatni, lud wołał: »Wierzymy, wierzymy, Bóg z wami Mylordzie.« Pomysł wyniesienia na tron syna Łucyi Waters, zarówno obrażał dumę szlachty, jak raził moralne uczucia klas średnich;

całe dawne stronnictwo kawalerów, ogromna większość wiejskiej szlachty, duchowieństwo, wreszcie i uniwersytety bez wyjątku, zaczęły się skupiać i otaczać tron silnym i niezłomnym zastępem.

Zwrot podobny nastąpił także podczas drugiej sesyi długiego Parlamentu, na korzyść Karola I, i gdyby król ten dość był uczciwym lub mądrym, by trzymać się ściśle w prawem określonych granicach, nie wątpimy, że w przeciągu kilku miesięcy byłby stał się tak potężnym, jak tylko życzyć sobie mogli najlepsi jego przyjaciele, Lord Falkland naprzykład, Culpepper lub Hyde. Nieprawnem atoli oddaniem pod sąd naczelników opozycyi, i nikczemnym zamachem na Izbę Gmin, który sam osobą swoją wykonał, odwrócił król wstecz ten prąd wierności i przywiązania, który szybko i silnie naprzód postępował. Syn zaś jego, nie więcej od ojca pamiętny na prawo i honor, miał na swoje szczęście usposobienie niedbałe i gnuśne, i skutkiem raczej usposobienia tego niż polityki, uniknął błędu, który ojciec tak ciężko przypłacił. Zamiast coby miał był zrywać owoc zanim ten dojrzał, czekał on spokojnie, aż mu sam do ust spadnie. Gdyby był wbrew prawu uwięził Lorda Russel i Lorda Shaftesbury, byłby może skończył życie na wygnaniu; ale obrał on drogę pewniejszą: użył tylko prawnej swej prerogatywy i znalazł ją zupełnie wystarczającą do swego celu.

Przez pierwsze ośmnaście lub dziewiętnaście lat swego panowania, pracował on dla swoich nieprzyjaciół, a od r. 1678 do 1681 pracowali nieprzyjaciele dla niego. Oni zawdzięczali swoją potęgę jego złym rządom, on zawdzięczał ich gwałtowności to, że potęgę swoją odzyskał. Większość narodu, która była zupełnie dla niego ostygła, zwróciła się doń na nowo z całym zapałem przywiązania. Kiedy wylądował na wybrzeże hrabstwa Kent, nie był może więcej lubionym, jak kiedy po kilku latach ucisku i upokorzenia, rozwiązywał swój ostatni Parlament.

Ale podczas tych wszystkich przypływów i odpływów opinii, sprawa wolności postępowała ciągle naprzód. Za Restau-

racyi była wielka reakcya na korzyść korony, ale nie myślała reakcya o przywróceniu Izby Gwieździstej, Wysokiej Komisyi i podatku okrętowego, które znikły już na zawsze. Teraz była druga reakcya w tym samym duchu, ale ustawa Habeas Corpus, przeszedłszy za krótkotrwałej przewagi opozycyi, odwołaną już nie została.

Z takiem atoli poparciem narodu był król dość silnym, by pomścić się straszliwie na stronnictwie, które tak długo trzymało go w niewoli. W roku 1681 zaczął się trzeci z tych okresów, na które dzielimy historyę Anglii od Restauracyi do Rewolucyi, a w ciągu tego okresu zaszła trzecia wielka reakcya. Nadużycia despotyzmu oddały napowrót sprawie wolności serca odstręczone od tej sprawy nadużyciami łakcyi. W roku 1681 widział król u stóp swoich wszystkich niemal swoich nieprzyjaciół; w roku 1688 był król wygnańcem na obcej ziemi.

Całą tę maszynę, która niedawno była w ruchu przeciwko Papistom, wprawiono teraz w ruch przeciwko Whigom; ponurzy, zastraszający sędziowie, ulegli przysięgli, kłamliwi świadkowie, hałaśliwi widze, wszystko to było użytem. Najzdolniejszy z przywódzców tego stronnictwa zbiegł za granicę i tam umarł; najcnotliwszy mąż w całem stronnictwie dał głowę pod miecz; inny z najznakomitszych stronnictwa tego członków, przeniósł samobójstwo nad wstyd publicznej exekucyi. Miasteczkom, na które rząd liczyć nie mógł, wydarto karty za pomocą prawniczych wybiegów, a urządzenia ich przerobiono na takie kopyto, by wybierać musiały posłów oddanych dworowi. Ze wszystkich części kraju dochodziły na wyścigi najpotworniejsze oświadczenia miłości do króla, a obrzydzenia do tych, którzy śmieli powątpiewać o boskim początku lub o nieograniczonej rozciągłości jego władzy. Nie potrzeba mówić, że w gorącem tem współzawodnictwie służalców i bigotów, uniwersytet Oxfordzki odznaczył się niezaprzeczoną nad wszystkimi wyższością. Uczone to ciało wcześnie zjednało sobie tę sławę, że ze wszystkich części angielskiego narodu

najdalej zawsze w tyle za wiekiem zostawało, i nigdy już tej sławy nie straciło.

Karol umarł, brat jego wstąpił na tron; ale choć zmieniła się osoba panującego, nie zmieniła się przecież cześć i miłość, z jaką naród spoglądał na urząd królewski. Zdaje się nawet, jakoby Jakób, pomimo swego wyznania, milszym był od Karola stronnictwu wysokiego Kościoła. Długi czas przed wszystkimi innymi był on celem nienawiści Whigów, a okoliczność ta wystarczała, by go zrobić bożyszczem Torysów. Zwołał on Parlament, a wierna szlachta wiejska i przekupieni wyborcy urządzonych nowym kształtem miasteczek, złożyli mu Parlament, jakiego od stu lat w Anglii nie widziano, Parlament bez żadnego porównania najuleglejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek zasiadały za panowania Stuartów. Zdarzył się wprawdzie ruch jeden powstańczy w Anglii a drugi w Szkocyi, ale oba z wielką stłumione łatwością, ze straszliwą ukarane zostały surowością. Nawet po tej krwawej przejażdżce, której pamięć nie zaginie, dopóki plemię angielskie żyć będzie w jakiejkolwiek części kuli ziemskiej, nie odważył się ani jeden z członków Izby Gmin zganić Jeffreysa [1]) choćby najcichszem nawet i najłagodniejszem słowem. Edmund Waller, ośmielony wielką swą sławą i sędziwym wiekiem, powstał na okrucieństwa naczelników wojennych, i to stanowi dziś najpiękniejszą stronę jego długiego a zmiennego publicznego zawodu. Ale nawet Waller nie śmiał oskarżyć straszniejszych nierównie okrucieństw najwyższego Sędziego. Rzec można bez przesady, że Jakób w owym czasie nie miał powodu zazdrościć Ludwikowi XIV obszerności i pełni jego władzy.

Jakiemi sposobami władza ta w przeciągu trzech lat zupełnie została złamaną, jakiemi niegodziwemi i szalonemi rządami podniósł tyran zwyciężonych Whigów, obojętność zmien-

[1]) Jeffreys Jerzy, sędzia, a za Jakóba II. kanclerz; sprawca wszystkich okrucieństw i nieprawnych wyroków tego czasu. Schwytany i uwięziony w r. 1688, umarł w Wieży ze zmartwienia 1689 r.

ników na stałą przeciwko sobie zamienił nienawiść i odstręczył od siebie wiejską szlachtę, Kościół, wojsko, swoje własne kreatury, i swoje własne dzieci nawet, to czytelnikom dostatecznie jest wiadomem. O jednej tylko stronie tej kwestyi chcemy tu pomówić, o tej, która w naszych czasach zacnych nawet ludzi nabawiała niekiedy kłopotu, a o której autor niniejszego *Dalszego ciągu* powiedział wiele rzeczy, na które zgodzić się nie możemy.

Stoi tam bowiem, że Jakób uważał się za obrońcę tolerancyi; że jeżeli gwałcił konstytucyę, to gwałcił ją dla jednego z najpiękniejszych celów, jakie tylko mąż stanu może mieć na widoku. Myślą jego było oswobodzić miliony poddanych od praw karnych, których nikt przecie dzisiaj nie nazwie słusznemi. Musimy zatem uznać go niewinnym, lub w najgorszym razie winnym chyba tylko tego, że do najchwalebniejszego celu używał środków samowolnych. Pisarz pewien nie bez bystrości, który prawdopodobnie katolikiem być musi, pan Banine, napisał powieść historyczną, której wielkiej literackiej wartości przyznać nie możemy, a której zadaniem jest zaszczepiać takie pojęcia. Wydawca fragmentu pana Mackintosh utrzymuje, że na sztandarze Jakóba piękniejsze wypisane było godło; co ma znaczyć, że Wilhelm i inni sprawcy Rewolucyi byli nędznymi Whigami i wypędzili Jakóba za to, że chciał radykalnych reform, że całą zbrodnią króla było, iż wolnomyślniejszym był od swoich poddanych, że on był prawdziwym rycerzem wolności, a że Somers, Locke, Newton i inni tym podobni ograniczeni ludzie, byli prawdziwymi bigotami i ciemiężycielami.

Przyznajemy zupełnie, że jeżeli założenie to może się utrzymać, to wniosek powyższy musi z niego wypłynąć. Jeżeli da się dowieść, że Jakób szczerze chciał zupełnej wolności sumienia, postępowanie jego wyda nam się godnem pobłażania przynajmniej, jeżeli nie pochwały. W takim razie nie będziemy sądzić surowo nawet nieprawnych jego czynności. Przekonani, że cel tak szlachetny i zbawienny usprawiedliwiałby opór ze strony poddanych, nie możemy zaprzeczyć, że usprawiedli-

wiałby tak samo niejakie nadużycia władzy ze strony króla. Ale cóż, kiedy tu właśnie dowieść można z niezbitą oczywistością, że Jakób nic podobnego nie miał nigdy na myśli, i że pod pozorem zaprowadzenia zupełnej wolności religijnej, usiłował tylko wprowadzić naprzód przewagę, a potem nieograniczone panowanie Kościoła Rzymskiego.

Prawda, że ogłaszał on się za obrońcę tolerancyi; każda sekta woła zawsze o tolerancyą, kiedy jest na spodzie. Nie mamy najmniejszej wątpliwości, że Bonnerowi, gdy był już w Marshalsea, wydawało się rzeczą niesłuszną zamykać kogoś w więzieniu, za to, że nie w ten sposób co Lordowie Rady przybocznej rozumiał słowa »To jest ciało moje.« Nie roztropnie byłoby wnosić, że żebrak proszący o jałmużnę jest miłosierny, dlatego, że zaręcza, że ci Bóg nagrodzi za grosz który mu dajesz; albo że ludzkim jest żołnierz dlatego, że woła o pardon, kiedy czuje bagnet na gardle. Doktryna wszystkich bigotów jakiegokolwiek wyznania, od samego początku religijnych sporów, zbita w krótkie słowa i obłuskana z ozdób retorycznych, jest po prostu następująca: Ja mam słuszność, a ty jej nie masz. Kiedy ty jesteś mocniejszym, powinieneś mnie tolerować, bo masz obowiązek tolerować prawdę. Ale kiedy ja jestem mocniejszym, muszę cię prześladować, bo mam obowiązek prześladować fałsz.

Katolicy byli w Anglii pod srogim uciskiem. Jakób chciał znieść ten ucisk i dlatego przemawiał językiem przychylnym wolności sumienia; ale cała historya jego życia dowodzi, że było to tylko czystym pozorem. W roku 1679 podobnym przemawiał on językiem do urzędników Amsterdamskich, co autor *Dalszego Ciągu* przytacza na dowód, że król oddawna i stanowczo w ten sposób zapatrywał się na sprawę tolerancyi. Na nieszczęście okoliczność ta dowodzi tylko zupełnej nierzetelności wszystkich późniejszych oświadczeń króla. Gdyby po wstąpieniu na tron udawał był nawróconego do zasad tolerancyi, możeby w takim razie miał był prawo niejakie do ufności. Ale wiemy przecież dobrze, że tak

w r. 1679, jak i później, Jakób był zatwardziałym i krwawym prześladowcą. Po r. 1679 stał on na czele rządu w Szkocyi; i jakże się na tem stanowisku zachował? Oto szczuł rozproszone niedobitki Covenantu z barbarzyństwem, jakiego nie dopuścił się żaden nigdy książę nowszych wieków, z wyjątkiem chyba Filipa II; pozwalał sobie miłej rozrywki patrzenia na straszliwą torturę *Buta*, zadawaną nieszczęśliwym fanatykom, których prześladowanie pchnęło do oporu. Po wstąpieniu na tron pierwszą jego czynnością było to, że od niewolniczego Parlamentu Szkockiego wyjednał karę śmierci na tych, którzyby kazali na konwentykułach, zebranych w domu prywatnym i karę śmierci na wszystkich zarówno, kaznodziejów i słuchaczów, którzyby zebrali się na konwentykuł w otwartem polu. A to wszystko uczynił dla wiary, której sam nie wyznawał; uczynił to nie w obronie prawdy od fałszu, ale w obronie fałszu od drugiego fałszu, w obronie herezyi episkopalnej od herezyi presbyteryańskiej. Słuszna jest potępiać Ludwika XIV za to, że poddanych swoich chciał dragonami zapędzić do nieba: ale Jakóbowi należy się przed nim ta chwała, że mordował i brał na tortury za różnice między dwiema drogami wiodącemi zarówno do piekła. I ten człowiek tak na wskróś przesiąkły jadem nietolerancyi, że wolał prześladowaniem wpędzać ludzi z jednej herezyi do drugiej, niż nie prześladować wcale, ten człowiek miał być rycerzem wolności religijnej! Ten człowiek, który prześladował za sprawę nieczystej pantery, byłby, wierzyć nam każą, nie prześladował za sprawę białej, nieskalanej i nieśmiertelnej łani?

A jakże to postępował Jakób w tym samym czasie, kiedy taką wyznawał gorliwość o prawa sumienia? Czyż i wtedy nawet nie prześladował ile tylko mógł? Czyż nie używał wszystkich swych prerogatyw prawnych i wielu nieprawnych do zmuszenia poddanych, by się do jego wiary zastósowali? Czyż w tej samej chwili, w której udawał taki wstręt do praw wyłączających Dyssydentów od urzędu, czyliż w tej samej chwili nie odsuwał z urzędów najzdolniejszych, najdoświadczeń-

szych, najwierniejszych sług swoich, czysto tylko za przekonania ich religijne? Za jakąż to zbrodnię, jeźli nie za tę usuniętym został Lord Rochester z podskarbstwa? Był on ściśle związanym z domem królewskim, był głową stronnictwa Torysów; w najcięższych próbach i przejściach trwał przy Jakóbie wiernie i stale; — ale nie chciał zmienić wiary i dlatego stracił swój urząd. I żeby nas nikt nie posądził o przesadę lub przekręcanie faktów, przytoczymy tu słowa Dra Lingard, świadka bardzo poważnego, a niezawodnie nie nieprzychylnego Jakóbowi. »Król« — mówi pisarz ten zdolny lecz stronniczy — »król był w rozpaczy. Skarżył się przed Barillonem na upór »i nieszczerość Podskarbiego, a poseł francuzki dał temu ostat»niemu do zrozumienia, że straci posadę, jeżeli zechce trwać »przy swojej wierze. Minister wszelako pozostał niewzruszonym, »a król po długiej zwłoce, ze łzami i z niemałem zakłopota»niem oświadczył mu ostateczne swoje postanowienie. Miał »on, jak sam mówił, nadzieję, że Rochester oszczędzi mu tej »przykrości przejściem na wiarę katolicką, ale musiał jako »król, poświęcić uczucia swoje swoim obowiązkom.« I tem to król chciał niby wszystkim wyznaniom zarówno otworzyć drogę do urzędów? Postępek ten sam jeden wystarczyłby, by odebrać wiarę wszystkim jego wolnomyślnym protestacyom, i jak dowiadujemy się z depeszy nuncyusza papiezkiego, postępek ten nie inny też miał skutek.« *Pare* — mówi Monsignor d'Adda w liście pisanym w kilka dni po dymisyi Lorda Rochester[1]) — *pare che gli animi sono inasperiti della voce che corre trà il popolo, d'esser cacciato il detto ministro per non essere Cattolico, percio tirarsi all' esterminio de Protestanti.* Czy zaprzeczył kto kiedykolwiek, że łaski korony udzielane były lub odmawiane proszącym, czysto tylko przez wzgląd

[1]) „Zdaje się, że umysły są bardzo wzburzone wieścią, która „krąży między ludem, jakoby minister ten był oddalony dlatego, że „nie jest katolikiem. Z tego wnoszą, że rząd zmierza do zagłady „protestantyzmu.“

na religijne tychże przekonania? A jeżeli robiono tak z drzewem zielonem, to cóżby się było stało z suchem? Jeżeli Jakób tak postępował, kiedy miał największe powody schlebiać protestanckim swoim poddanym, jakąż drogę byłby obrał, skoroby już raz był otrzymał wszystko, czego od nich żądał.

Któż oprócz tego najściślejszym był jego sprzymierzeńcem? i jaka była sprzymierzeńca tego polityka? Poddani Jakóba nie wiedzieli wprawdzie ani o połowie jego infamii; nie wiedzieli, jak my dziś wiemy, że podczas kiedy prawił im kazania o błogosławieństwach tolerancyi, winszował nieustannie swojemu dobremu bratu Ludwikowi pomyślnego skutku tej toleranckiej polityki, która najpiękniejsze okolice Francyi obróciła w pustynie i wygnała na tułactwo miliony najspokojniejszych, najpracowitszych, najbieglejszych w Europie rękodzielników. Tego nie wiedzieli; ale wiedzieli przecież, że obadwa królowie złączeni byli najściślejszem porozumieniem, widzieli, jak ich król z tolerancyą na ustach odłączył się od tych państw, które pierwsze dały przykład tolerancyi, a związał się najsilniejszemi węzłami z prześladowcą najwiarołomniejszym, najniemiłosierniejszym, jakiego podówczas znaleźć można było na tronach Europy.

I czyjąż to dalej powodował się Jakób radą; w kim największą pokładał ufność, kto najgorętszy brał udział w pomyślnym skutku jego zamysłów? Oto poseł francuzki, Nuncyusz rzymski i Ojciec Petre, Jezuita. I czyż to samo nie dowodzi aż nadto, że nie chodziło mu o zaprowadzenie równej dla wszystkich religijnej wolności? Czy Ludwik XIV był za wolnością religijną? Czy był za nią Watykan? Czy był za nią zakon Jezuitów. Wiemy, że wolnomyślnym oświadczeniom Jakóba przyklaskiwały te przedewszystkiem dwory i korporacye, których zasadą było i zwyczajem powszechnie znanym, nie dotrzymywać wiary i nie dawać pardonu heretykom. I mamyż więc my, dla uratowania sławy dobrej wiary Jakóba, przypuścić, że wszystkie te rządy i stowarzyszenia odrazu zmieniły swoją naturę, uznały zbrodniczość dotychczasowego

swego postępowania i przyjęły zasady wolnomyślniejsze nierównie od zasad Lockego, Leightona lub Tillotsona? Co jest prawdopodobniejsze: czy że król, który odwołał edykt Nantejski, czy że papież, z którego przyzwoleniem Inkwizycya więziła i paliła ludzi, czy że zakon, który ile razy w spór uwikłany wzywał zawsze pomocy urzędnika lub skrytobójcy, stali się naraz najgorliwszymi przyjaciółmi religijnej wolności, takimi jak Dr Franklin lub pan Jefferson, czyli też to, że osiodłany przez Jezuitów bigot, dał się skłonić do udawania dla dobra Kościoła?

Gra Jezuitów w owym czasie nie była wcale nową. Przed stu laty głosili oni wolność polityczną, tak samo, jak głosili teraz wolność religijną. Usiłowali wtedy podszczuć republikanów na Henryka IV i Elżbietę, tak samo, jak teraz usiłowali podszczuć protestanckich Dyssydentów przeciw panującemu Kościołowi. Narzędzia Filipa II kazały nieustannie w wieku XVI-ym nauki graniczące blizko z Jakobinizmem, obstawały usilnie przy tem, że ludy mają prawo składać z tronu królów, i każdy obywatel ma prawo ugodzić sztyletem w serce złego władcy. W wieku XVII-ym krzyczeli prześladowcy Hugonotów na tyranią angielskiego Kościoła, i utrzymywali z największym zapałem, że każdy ma prawo chwalić Boga swoim własnym sposobem. Jedno i drugie zaś utrzymywali zarówno nieszczerze; w pierwszym jak w drugim razie zawiódłby się był szalenie, któryby im był zaufał. Człowiek roztropny i dobry niezawodnie nie mógłby był pochwalać samowładnych postępków Elżbiety; ale czyż byłby on przysłużył się sprawie politycznej wolności, gdyby zawierzywszy naukom rzymskich kazuistów, przystał był do ich stronnictwa i wziął udział w buncie Northumberlanda lub w spisku Babingtona? Czyż nie byłby przyczynił się raczej do wprowadzenia tyranii gorszej stokroć od tej, którą obalić usiłował? Tak samo, człowiek roztropny i dobry nie mógł nie widzieć wiele złego w postępowaniu Kościoła panującego za Stuartów, ale czyż miał dlatego złączyć się z królem i z katolikami przeciw temu Kościołowi?

Czyż nie było jasnem, że czyniąc tak, byłby się przyczynił do ustanowienia despotyzmu duchownego, do którego despotyzm anglikańskiego Kościoła miał się jak mały palec do uda, jak rózga z prętów do rózgi z padalców?

Ludwik miał rozumu więcej nierównie jak Jakób; miał tyle przynajmniej co ten uczucia honoru, daleko mniej od niego był niewolnikiem swoich księży; protestanccy jego poddani mieli dla swojej wolności sumienia wszystkie rękojmie, jakie tylko prawo dać może. A czyż rękojmie te okazały się dostatecznemi? czy nie dość było dla jednego pokolenia jednego takiego przykładu? Plan Jakóba wydaje nam się zupełnie jasnym i zrozumiałym. Tolerancya, którą ofiarował swojemu ludowi przy pomocy i oklaskach najsroższych w Europie prześladowców, miała tylko poprostu lud ten rozdwoić. Jest to najpowszedniejszy, najprostszy z politycznych podstępów. Za naszej już pamięci widzieliśmy go mało sto razy. Widzieliśmy, jak Legitymiści francuzcy popierali krańcową lewicę przeciw lewicy środkowej; przed czterema laty widzieliśmy ten sam wybieg i w Anglii. Słyszeliśmy zastarzałych handlarzy i kupców głosów po miasteczkach, ludzi, którzy krzesło swoje w Izbie Gmin dostawali przez praktykowane na wielką skalę odsądzanie od głosów, ludzi, którzy przez całe życie opierali się wszystkiemu, co wzmódz mogło siłę demokracyi; słyszeliśmy ich, jak szkalowali Bill Reformy dlatego, że nie jest dość demokratycznym, jak wyrzekali na tyranią właścicieli dziesięcio-funtowych, jak odwoływali się do klas roboczych; widzieliśmy ich w umizgach i pieszczotach z najbardziej okrzyczanymi światoburcami naszego czasu. Jakób w tym samym celu wołał o powszechną tolerancyą, w którym zastarzali Torysowie wołali o powszechne głosowanie. Mniemanym demokratom naszych czasów chodziło o to, by wywołać starcie między klasami średniemi i pospólstwem, i tym sposobem przeszkodzić wszelkim zgoła reformom; Jakóbowi chodziło o to, by wywołać starcie między Kościołem panującym a pro-

testanckimi Dyssydentami i tym sposobem zapewnić katolikom zwycięztwo tak nad jednym jak i nad drugimi.

Nie sądzimy, żeby mógł on był zamiar swój doprowadzić do skutku; ale nie sądzimy także, żeby zamiar ten tak zupełnie był szalonym i niepodobnym, jak powszechnie mniemano. Jesteśmy przekonani, że gdyby był mógł dopiąć pierwszego swego celu, to naród wtedy nie byłby miał żadnej innej rady, jak odwołać się do siły fizycznej i to w warunkach bardzo niekorzystnych. Myślał Jakób, że Torysowie wplątani w swoje własne protestacye biernego posłuszeństwa poddadzą się jego woli, a Dyssydenci, uwiedzeni złudzeniu ulgi obietnicami, dzielną będą mu podporą. Na tej drodze spodziewał się przeprowadzić uchwałę, znoszącą na pozór religijne nieuprawnienia, a w rzeczy odsądzającą wszystkich protestantów od urzędów. Nie trzeba zapominać, że król, mający w ręku wszystkie w całem państwie prawa patronatu i promocyi, może bez najmniejszego nawet pogwałcenia litery prawa, ustanowić jaką mu się spodoba przysięgę na Sakrament; a sądząc z całego postępowania Jakóba, nie mamy najmniejszej wątpliwości, że byłby on z tej swojej władzy najobszerniejszy zrobił użytek. Statut mógłby sobie swoją drogą stanowić, że wszyscy Anglicy zarówno zdolnymi są do piastowania urzędów, a swoją drogą nie byłoby się to na nic przydało, skoro rozdawnictwo tych urzędów było w ręku króla, który postanowił statecznie nie przyjmować do służby ani jednego heretyka. Jesteśmy przekonani, że ani jedna posada w rządzie, w wojsku, w marynarce, w sądownictwie, w adwokaturze, ani jedno parostwo, ani jedno od korony zależne beneficyum kościelne, nie byłoby się dostało protestantowi jakiegokolwiek wyznania. Przecież w czasie jeszcze, kiedy do udawania tak silne miał powody, zrobił król jednego katolika dziekanem Christ-Church, a drugiego prezesem kolegium Magdaleny; nie ma prawie wątpliwości, że stolicy biskupiej w York dlatego nie obsadzono przez czas tak długi, by ją nareszcie obsadzić katolikiem. Gdyby król miał był wolność iść tą drogą przez jakie lat dwadzieścia, to nie-

zawodnie każdy wojskowy od jenerała do dobosza, każdy oficer marynarki, każdy sędzia, każdy radca królewski, każdy namiestnik hrabstwa, każdy sędzia pokoju, każdy poseł do zagranicznych dworów, każdy minister, każdy urzędnik królewskiego dworu, każdy urzędnik od cła, od poczty, od akcyzy, byłby musiał być katolikiem. Katolicy byliby mieli większość w Izbie Lordów, choćby nawet zrobić ją przyszło, jak groził Sunderland [1]), nadaniem koronetów całej kompanii gwardzistów; nawet w konwokacyi prałatów byliby katolicy, jak sądzimy, mieli przewagę. Każdy biskup, każdy dziekan, każdy duchowny w posiadaniu najmniejszego dożywocia, każdy rektor podległych władzy królewskiej kollegiów, byłby był katolikiem; wszystkie niemal zakłady wychowania byłyby stały pod zarządem katolików; katolicy byliby mieli moc pozwolić lub nie pozwolić na drukowanie książek; a cały ogromny obszar władzy byłby stateczne miał poparcie w francuzkiem złocie, i byłby spadł na następcę tronu, którego całe wychowanie do jednego tylko skierowane było celu, do przywrócenia religii katolickiej. Izba Gmin byłaby jedyną i ostatnią została prawną zaporą; ale prawa większej części wyborców były na łasce korony, a trybunały były jej najzupełniej uległe, i dlatego nie wydaje nam się to niepodobnem, by Jakób mógł był złożyć sobie Izbę, którąby czasy Maryi była przywróciła.

Nie myślimy bynajmniej, że naród byłby to wszystko zniósł spokojnie, ale myślimy, że gdyby dał się był uwieść królewskim obietnicom tolerancyi, to król byłby się był o to wszystko kusił, a naród byłby zdołał odwrócić to krwawą jedynie walką, w której cała ludność protestancka byłaby wystąpiła przeciw całej ludności katolickiej. Jedna strona byłaby miała wprawdzie ogromną za sobą większość liczebną, ale druga miałaby była cały organizm rządu i dwa potężne wojska,

[1]) Sunderland, Robert Spancer hrabia S., ur. 1641 roku; katolik za Jakóba II, w zmowach z księciem Oranii, w rządzie za Jakóba i za Wilhelma III; umarł 1702.

wojsko Jakóba i wojsko Ludwika. Nie wątpimy, że naród byłby się oswobodził, ale sądzimy, że walka byłaby wstrząsła całą budową społeczeńswa, i że zemsta zwycięzców byłaby straszna i nieubłagana.

Ale Jakób spotkał zaporę na samym zaraz wstępie. Liczył on z pewnością na Torysów dlatego, że wszelki opór grzesznym wyznawali, i na protestantów Dyssydentów dlatego, że ofiarował im niejaką ulgę. Zawiódł się atoli na jednych jak na drugich. Zawód jego co do Dyssydentów był rzeczą bardzo naturalną, ale ufność, jaką pokładał w protestacyach wierności wysokiego Kościoła, była najpocieszniejszym przykładem głupstwa, jaki dał jakikolwiek na świecie polityk.

Wyobrazić sobie tylko człowieka wychodzącego z przekonania, że wszyscy jego sąsiedzi wierzą we wszystko, co głośno wyznają, i zgodnie z tą wiarą działają — wyobraźmy sobie, że człowiek ten przez jeden dzień tylko uczynki swoje do tego swego przekonania stosuje. Wybraźmy sobie człowieka wychodzącego z przekonania, że może bezpiecznie znieważać każdego, kto mówi, że zemsta jest rzeczą występną; lub że może bezpiecznie powierzyć cały swój majątek każdemu, kto mówi, że nie należy się kraść? W najniższej farsie jeszcze taki charakter wydałby się niedorzecznym. Ale szaleństwo Jakóba przeszło nawet tę trudną do wiary granicę. Ponieważ duchowieństwo oświadczyło, że opór królowi w żadnym razie nie był godziwym, myślał Jakób, że mógł to duchowieństwo uciskać, ileby mu się podobało, bez najmniejszego niebezpieczeństwa oporu. Zapomniał o tem, że duchowieństwo wtedy wynosiło tak prerogatywę królewską, kiedy samo z prerogatywy tej korzystało; że nauczało biernej cierpliwości, kiedy nic do cierpienia nie miało; że kiedy wszelki opór nadużyciom za niegodziwy ogłaszało, sami tylko Whigowie i Dyssydenci nadużycia znosili. Nie przyszło nigdy Jakóbowi do głowy, że człowiek ma inną czułość na dolegliwości drugiego, a inną na swoje własne; nie przyszło mu nigdy do głowy, że wie-

lebny duchowny mógł uważać za święty obowiązek Baxtera i Bunyana [1]) znosić bez szemrania obelgi i więzienia, a przecież odkryć przedmiot do pożytecznego rozmyślania o nożu Ehuda i młocie Jaela, skoro spostrzegł, że własne jego probostwo przejść mogło w ręce chytrego Ojca z Włoch lub Flandryi. Jego Królewska Mość nie wiedziała, jak się zdaje, że ludzie biorą niekiedy swoje przekonania pod rozwagę po raz drugi, i że nigdy skorzej nie biorą ich drugi raz pod rozwagę, jak kiedy przewidują, że trwając przy nich, mogą wyjść na żebraków lub na męczenników. Dziwna to zaiste, że prawdy te ujść mogły uwadze Jego Królewskiej Mości. Ci sami duchowni, ci sami zwolennicy wysokiego Kościoła, którzy podpisali deklaracyą Oxfordzką o biernem posłuszeństwie, podpisali przecież także i trzydzieści dziewięć artykułów, co nie przeszkodziło, że człowiek, który spodziewał się uwieść ich to pieszczotą, to groźbą do odstąpienia rzeczonych artykułów, rażony był jak gromem, gdy ujrzał, że oni skłonnymi byli raczej opuścić nieco z owej deklaracyi. Ale, gdyby nawet w teoryi Torysów żadna nie była zaszła zmiana, czyż musiało wyniknąć z tego, że ich praktyka zgodzi się z ich teoryą? Mogło to przecież, sądzimy, przejść choć raz przez głowę pięćdziesięcioletniego człowieka, który nie mało widział był świata, że ludzie robią czasem to, co mają za złe. Niejeden prałat mógł nauczać, że św. Paweł zaleca nam słuchać choćby nawet Nerona, a przecież mogło okazać się rzeczą nieco drażliwą, obejść się z tym ojcem duchownym, jak Nero, w nadziei, że on będzie cierpliwie słuchał według nauki świętego Pawła. Powinien

[1]) Baxter Ryszard, stronnik gorliwy Karola I i Karola II, prześladowany przez Jakóba II. Autor wielu dzieł teologicznych, dążących do wynalezienia wspólnej nauki dla wszystkich wyznań. Jego zwolenników nazywano Baxterianami. Bunyan, anabaptysta angielski, ur. 1628, um. 1688 r. Zrazu kotlarz, później żołnierz w wojsku Parlamentu przeciw Karolowi I; trzymany w więzieniu przez lat dwanaście za niekarność i podburzanie. Autor pism religijno mistycznych, z których najsławniejsze *Pochód Pielgrzyma (Pilgrim's Progress)*.

był król przynajmniej spojrzeć na siebie samego. Był on niemniej pewnie przywiązanym do Kościoła katolickiego, jak każdy szlachcic lub duchowny, Torys, do Kościoła angielskiego. Kościół katolicki potępiał cudzołoztwo pewnie tak stanowczo i surowo, jak Kościół angielski potępiał opór królowi. A przecież Kościół i księża jego nie zdołali powstrzymać go od Arabelli Sedley. Z jednej strony poświęcał koronę dla zbawienia duszy, a z drugiej poświęcał zbawienie duszy dla brzydkiej nieochędożnej kochanki. Zaiste pocieszny to i dziwaczny widok tego człowieka, który sam żyje w nałogu niezgodnym z najwidoczniejszemi swojemi obowiązkami, a nie może pojąć, żeby pokusa kogo innego mogła z drogi cnoty sprowadzić.

Zawiódł się Jakób we wszystkich swoich rachubach. Ufał on, że Torysowie pójdą za swojemi zasadami a Dyssydenci za swojemi interesami; tymczasem stało się właśnie przeciwnie. Większość Torysów poświęciła naukę o biernem posłuszeństwie swojemu interesowi, a większość Dyssydentów odrzuciła ułudne ofiary króla i wytrwała wiernie przy swoich zasadach. Obadwa stronnictwa, których zapasy trzęsły państwem przez pół wieku, połączyły się na chwilę, a cała ta ogromna władza królewska, która przed trzema laty zdawała się ustaloną na na wieki, znikła jak źdźbło słomy w uraganie.

Artykuł ten rozciągnął się już do tak niezwykłych rozmiarów, że nie możemy rozważyć, jakeśmy to sobie zamierzyli, charakterów i postępków znakomitszych angielskich mężów stanu z owego czasu. Musimy jednak podać tu kilka uwag co do ducha i dążności Rewolucyi z roku 1688.

Wydawca niniejszego tomu przytacza Deklaracyą Praw, i mówi nam, że »rzuciwszy na nią okiem przekonać się mo»żemy, czy sprawcy Rewolucyi zrobili wszystko, co mogli i zro»bić byli powinni; czy Izba Gmin odpowiedziała obowiązkom »swoim względem wyborców, względem ojczyzny, potomności, »i względem powszechnej wolności.« Nie pojmujemy, jak mógł ten wydawca, przeczytawszy i przepisawszy Deklaracyą praw, tak zupełnie nie zrozumieć jej natury. Sławny ten dokument

jest, jak to sama już jego nazwa wskazuje, oświadczającym, a nie zapobiegającym. Nie miał on bynajmniej być krokiem do naprawy i reformy; nie zawierał i nie miał nigdy zawierać ani najmniejszej wzmianki o tych nowych instytucyach, które sprawcy Rewolucyi uważali za potrzebne i które niebawem wprowadzić się pośpieszyli. Deklaracya była tylko przypomnieniem niektórych praw dawnych i zbawiennych, które Stuartowie gwałcili, i uroczystem zawarowaniem się przeciw prawomocności jakiegokolwiek faktu niezgodnego z temi prawami. Oto dosłowne jej brzmienie: »Warują sobie, zastrzegają i opisują wszystkie przyrzeczone prawa, jako niewątpliwe swoje prawa i swobody.« Zanim ktoś zaczyna robić ulepszenia w swoim majątku, musi pierwej znać jego granice; zanim jakakolwiek władza prawodawcza weźmie się do poprawy konstytucyi, musi pierwej wiedzieć, czem ta konstytucya jest w istocie. I to jest wszystko, co Deklaracya zrobić miała na celu; a żalić się na nią, że nie wprowadziła bezpośrednio żadnych zmian dobroczynnych, jest to samo, co żalić się na jadło, że nie można niem ognia rozpalić.

Zasada, z której wychodzili sprawcy Rewolucyi, jest tak widoczna, że nie można się na niej nie poznać. Wiedzieli oni doskonale, że instytucye angielskie koniecznie potrzebowały naprawy, ale wiedzieli także, że wiele będzie zyskanem, jeżeli raz na zawsze rozstrzygną i ustalą się uroczystym paktem te kwestye, które przez kilka pokoleń bywały zawsze przedmiotem sporów między Parlamentem a Koroną. Roztropnie zatem postąpili, że chcieli naprzód opisać i ustalić to, co prawem było, że nie powiklali sprawy tej prostej i łatwej, ze sprawą trudną bardzo i drażliwą, odkładając na później to, co prawem stać się było powinno. Co do praw wypowiedzianych w Deklaracyi bowiem, nie mogło być najmniejszego sporu. Whigowie i Torysowie zgadzali się na to, że król nie miał prawa rozwiązywania z przysięgi, ani nakładania podatków. Artykuły Deklaracyi zatem dały się w kilku dniach ułożyć. Ale, gdyby Parlament chciał był podjąć rewizyę całej konsty-

tucyi i nowemi zabezpieczyć się rękojmiami przeciw nadużyciom władzy królewskiej, byłby na rozprawach stracił całe miesiące, zanimby nowych ogłosił był królów; koalicya, która kraj nasz uratowała, byłaby się przez ten czas rozeszła; Whigowie byliby się swarzyli z Torysami, Lordowie z Gminami, Kościół z Dyssydentami, a cała ta burza spornych interesów i sprzecznych teoryj byłaby szalała około opróżnionego tronu. A tymczasem największa na kontynencie potęga gotowała się do napaści na naszych sprzymierzeńców, i przemyśliwała o wylądowaniu na naszych własnych wybrzeżach; Dundee przygotowywał powstanie szkockich górali, a Irlandya uznawała zawsze jeszcze władzę Jakóba. I gdyby sprawcy Rewolucyi byli nieroztropnie taką drogę obrali, nie wątpimy wcale, że Luxembourg byłby ich zeszedł nad układaniem konstytucyi; muszkietery dworu Ludwika byliby im przerwali rozprawy nad teoryami Filmera i Sydneya [1]) o najlepszym rządzie, i byliby ich zaprowadzili w ordynku parami do Wieży, gdzie byliby urządzali do woli urojone monarchie i republiki. Wszak w naszych własnych czasach mieliśmy przykład najlepszy, do czego szaleństwo takie prowadzi. Widzieliśmy, jak naród po narodzie szedł w niewolę dlatego, że przyjaciele wolności zamiast zbierać siły do narodowej obrony, tracili czas na roztrząsaniu oderwanych teoryj. Wydawca niniejszej książki chciałby zapewne, żeby Rewolucya angielska z roku 1688 skończyła się była tak, jak się skończyły za dni naszych rewolucye w Hiszpanii i w Neapolu. Dzięki Bogu, oswobodziciele nasi byli ludźmi nie takiego kroju, jak hiszpańscy i neapolitańscy prawodawcy. Pod niektóremi względami mieli oni może wyobrażenia, które w wieku XIX-ym za wolnomyślne uchodzićby nie mogły, ale nie byli ani marzycielami, ani pedantami. Byli oni mężami stanu i wiedzieli, jak prowadzić sprawy; ich plan

[1]) Filmer Robert, ur. 1604, um. 1647; publicysta, obrońca zasady i prerogatywy monarchicznej. Sydney, Algernon (patrz wyżej) zbijał go w swoich pismach.

reformy nie był tak obszernym, jak plan prawodawców z Kadyxu, ale co sobie założyli, to i doprowadzili do skutku, a co doprowadzili do skutku, to i utrzymać potrafili na przekór najsroższym wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciołom.

Przedewszystkiem chodziło im o to, by Wilhelma osadzić na tronie, i mieli słuszność. Mówimy to bez względu na wielkie osobiste przymioty Wilhelma, ani na szaleństwa i występki Jakóba. Gdyby nawet królowie ci byli się zamieniali na charaktery, jeszcze rzeklibyśmy, że mieli słuszność. Anglii więcej podówczas zależało na tem, żeby jej król był przywłaszczycielem, jak żeby był bohaterem. Bez zmiany dynastyi bowiem, nie mogło być żadnej rękojmi dobrego rządu. Cześć dla prawa dziedzicznego i nauka o biernem posłuszeństwie tak była owładła Torysów, że gdyby Jakób pod jakiemibądź warunkami powrócił był na tron, ich przywiązanie byłoby niezawodnie odżyło, skoroby tylko zatarło się było w ich umysłach świeżym uciskiem wywołane oburzenie. Koniecznością było znaleźć króla, którego prawo do korony ściśle byłoby związanem z prawem narodu do wolności. W ugodzie między Konwencyą a księciem Oranii, był jeden artykuł największej wagi, nie wypowiedziany wprawdzie wyraźnie, ale domyślny i doskonale dla obu stron zrozumiały, na którego spełnienie naród miał rękojmie pewniejsze od wszystkich zobowiązań, jakie Karol I, lub Ferdynand VII przyjmował w dniu niemocy, a łamał w dniu potęgi. Przez artykuł ten rozumiemy to, że Wilhelm stósować się miał we wszystkiem do tego, coby się okazało stałą i należycie rozważoną wolą Parlamentu. Rękojmią zaś wypełnienia tego warunku było to, że Wilhelm nie miał żadnego prawa do korony oprócz wyboru Parlamentu, i żadnego środka utrzymania się na tronie, oprócz tylko poparcia Parlamentu. Wszystkie te reformy wielkie i nieocenione, które niebawem poszły za Rewolucyą, znajdowały się w zarodku w tych słowach: »Lordowie, duchowni i świeccy i gminy zebrane »w Westminster, stanowią, że Wilhelm i Marya, książę i księżna »Oranii, są i mają być obwołani królem i królową Anglii.«

I jakież to były te reformy, o których wspomnieli? Wymienimy pokrótce te, które nam się najważniejszemi wydają, a potem zostawimy czytelnikowi, aby sam osądził, kto lepiej zrozumiał naturę Rewolucyi; czy ci, którzy widzą w niej prostą tylko zmianę dynastyi, korzystną dla kilku arystokratów, bezpożyteczną zgoła dla narodu, czyli też ci, którzy uważają ją za epokę błogosławioną w dziejach ludu angielskiego i ludzkiego rodzaju.

Na samem czele tych korzyści, jakie ojczyzna nasza zawdzięcza Rewolucyi, kładziemy uchwałę o tolerancyi. Prawda, że uchwała ta nie zupełnie odpowiedziała temu, co zakładali sobie naczelnicy Whigów; prawda, że co do katolików, najoświeceńsi nawet z pomiędzy Whigów mieli wyobrażenia wcale nie tak wolnomyślne, jak te, które dziś już na szczęście powszechnemi się stały. Ale znakomici ci politycy stoczyli jednak walkę o prawa sumienia szlachetną, a w pewnej mierze nawet skuteczną. Chcieli oni wprowadzić w obręb Kościoła większość protestanckich Dyssydentów za pomocą rozumnych odmian w liturgii i w artykułach, a tym, którzyby zawsze jeszcze po za obrębem tego Kościoła zostali, zabezpieczyć najzupełniejszą tolerancyę. Ułożyli plan objęcia wszystkich sekt w jeden Kościół, plan, który byłby zadowolnił wszystkich prawie Dyssydentów, i chcieli znieść zupełnie ten ohydny i niedorzeczny *Test* [1]), który bywszy przez półtora wieku zgorszeniem dla pobożnych, a dla bezbożnych pośmiewiskiem, został nareszcie za naszych czasów zniesionym. Ogromna potęga duchowieństwa i szlachty Torysów udaremniła ten zamiar chwalebny; ale pomimo tego nawet Whigowie dokonali wiele. Udało im się przeprowadzić prawo, któremu filozof nie jedno zapewne mógłby przyganić, ale które miało ten skutek praktyczny, że każdemu protestantowi różnowiercy pozwoliło iść bez prze-

[1]) *Test*, prawo z roku 1673, mocą którego każdy urzędnik i oficer w służbie angielskiej, musiał złożyć deklaracyę na piśmie, iż nie wierzy w Transsubstancyacyę. Zniesione w r. 1828.

szkody za wyrokiem własnego sumienia. W całym statucie nie znajdzie się może drugie prawo, któremu ze stanowiska teoryi tyle dałoby się zarzucić, ile naszej ustawie o tolerancyi, ale nie wiemy doprawdy, czy w całym obszarze naszego prawodawstwa, od Wielkiej Karty aż do naszych czasów, znajdzie się prawo drugie, któreby o tyle było zmniejszyło summę ludzkich dolegliwości, któreby tyle było się przyczyniło do uskromienia złych namiętności, które tyle byłoby zniweczyło drobnych prześladowań i tyranii, któreby tylu domowym zaciszom przyniosło było pokój, swobodę i bezpieczeństwo.

Drugą z wielkich reform sprowadzonych przez Rewolucyę, było ostateczne ustalenie Kościoła Presbyteryańskiego w Szkocyi. Nie będziemy się tu w to wdawać, który z tych Kościołów, Episkopalny czy Presbyteryański zgodniejszy jest z urządzeniem pierwotnego Kościoła. Zdala niech będzie od nas myśl zakłócenia wątpliwościami naszemi spokoju Oxfordzkich bakalarzów teologii, którzy sądzą, że angielscy prałaci ze swojemi baroniami i pałacami, ze swoją purpurą i cienką bielizną, z mitrami na powozach i wykwintnemi stołami, prawdziwymi są następcami tych dawnych biskupów, którzy zarabiali na życie rybołostwem i łataniem namiotów. Powiemy tylko, ze Szkoci, wskutku zakamienialej zapewne swojej głupoty i złości, episkopalnymi nie byli; że rząd napróżno wytężał całą swą potęgę, aby ich nawrócić; że wprawdzie udzielano im w całej obszerności tajemniczą naukę o apostolskiej sukcesyi i o wkładaniu rąk, i to sposobem nader logicznym, bo wkładaniem nóg ucznia w drewniane buty i wbijaniem klinów między kolana; że wprawdzie w Edynburgu na Grass-Market wyłożono im kurs teologii wielce budujący — ale, że pomimo wszelkich prac i trudów takich teologów, jak Lauderdale i Dundee [1]), zwolennicy Covenantu trwali upornie

[1]) Lauderdale, książę, prezes ministrów (tak zwanej Kabały) za Karola II, przez lat dziewięć; umarł 1682. Miał sławę ze wszechmiar najgorszą. Dundee, urzędnik sądowy, jego narzędzie.

w swoich błędach. Z zatargów między narodem szkockim a anglikańskim Kościołem, wynikło trzydzieści lat najokropniejszych rządów, jakie kiedykolwiek widziano na wyspach Wielkiej Brytanii. To też, gdyby Rewolucya nic więcej nie była zrobiła, jak to, że wyswobodziła Szkotów z pod jarzma Kościoła którego nienawidzili, i że nadała im ten do którego byli przywiązani, już miałaby prawo nazwać się jednem z najszczęśliwszych zdarzeń w naszej historyi.

Trzecią wielką korzyścią, jaką odniósł kraj z Rewolucyi, była zmiana w sposobie uchwalania podatków. Zwyczajem było dotychczas, uchwalić dla każdego króla po wstąpieniu na tron, przychód z pewnych podatków raz na zawsze, w summie, jaka zdawała się wystarczającą na zwyczajne rządowe wydatki; król zaś używał tego dochodu, jak mu się podobało. Wojna lub własna rozrzutność mogła zmusić go do zażądania nadzwyczajnych dodatków, ale jeżeli trzymał się polityki oszczędnej i pokojowej, mógł rządzić przez lat wiele, nie potrzebując wcale zwoływać Parlamentu, ani słuchać go, jeżeli go zwołał. Nie koniec na tem; łatwo bowiem stać się mogło, że podatki wystarczające w początkach panowania na skromne utrzymanie rządu, mogły pod koniec tegoż samego panowania pozwolić królowi wielkie stawiać wojska, prowadzić kosztowne wojny, lub naśladować szaleństwa Nerona i Heliogabala; gdyż w każdem społeczeństwie, które cieszy się jakiem takiem bezpieczeństwem własności, bogactwo wzrasta samo z siebie, a z bogactwem wzrastają dochody z ceł, akcyz, poczt i tam dalej. Coś podobnego już się raz nawet stało za panowania Karola II, choć panowanie to, licząc od Restauracyi, trwało tylko lat dwadzieścia pięć. Pierwszy jego Parlament zapewnił mu dochód z podatków, obrachowanych podówczas na milion dwakroć sto tysięcy funtów rocznie; uważano dochód ten za dostateczny, gdyż nie chciano dać nic na utrzymanie stałego wojska w czasie pokoju. W chwili zaś śmierci Karola dochód roczny z tych samych podatków, przechodził o wiele półtora miliona, tak, że król, ktory w pierwszych latach w ciągłym

był niedostatku i wiecznie żądał dodatków od Parlamentu, mógł pod koniec utrzymywać siłę zbrojną bez odnoszenia się do Izby; i gdyby panowanie jego było trwało tak długo, jak panowanie Jerzego III, byłby miał nareszcie o kilka milionów rocznego dochodu więcej, niż wynosiły zwyczajne wydatki rządu; byłby milionami temi rozrządzał tak samowładnie, jak dziś rozrządza król pieniędzmi przeznaczonemi do prywatnej jego szkatuły. Byłby mógł wydawać je na rozpustę, na przekupstwo, na opłacanie wojska w celu trzymania ludu w karbach, lub na szalone pomysły zagranicznych podbojów. Złemu temu zaradzili sprawcy Rewolucyi. Uchwalili dla króla nie chwiejny dochód z pewnych oznaczonych podatków, ale stałą i oznaczoną kwotę pieniędzy, dostateczną do utrzymania królewskiego jego dostojeństwa; postanowili zaś raz na zawsze, że wszystkie wydatki na wojsko, na marynarkę, na artyleryę i tam dalej, rok rocznie przedkładane być mają Izbie Gmin, i że każda summa przez Izbę uchwalona, na to tylko będzie użytą, na co ją Izba uchwaliła. Bezpośredni skutek tej uchwały był ogromny, pośredni jeszcze większy. Od tego bowiem czasu Izba Gmin stała się pierwszą i najwyższą w państwie potęgą; ona to *de facto* mianowała i odsuwała odtąd ministrów, wypowiadała wojnę i zawierała pokój; i żadne połączenie króla z Izbą Lordów nie przemogło nigdy nic przeciw Izbie niższej, opartej na swoich wyborcach. Trzy lub cztery razy wprawdzie zdołał król złamać siłę opozycyi przez rozwiązanie Parlamentu, ale gdyby próba taka nie była się udała, gdyby naród podzielał był przekonania swoich posłów, król oczywiście nie miałby był nic innego do roboty, jak ustąpić, złożyć koronę, lub bić się.

Dalszem błogosławieństwem, jakie zawdzięczamy Rewolucyi, jest reforma sprawiedliwości w sprawach politycznych. O doniosłości tej zmiany nikt nie może sądzić, kto nie jest obeznanym dokładnie z aktami dawniejszych śledztw politycznych. Akta te, nie wahamy się powiedzieć, są najstraszniejszym na świecie pomnikiem podłości i niegodziwości. Niena-

wiść i wzgarda odwraca się, czytając te akta, od zbrodni i złoczyńców, a pada na prawo i na sługi jego. Łotrostwa największe, jakie tylko zarzucić można więźniowi przed kratkami, widzimy codziennie na ławie sędziów i między przysięgłymi. Najgorsze ze złych uczynków, jakie zhańbiły dawne Parlamenta francuzkie, skazanie Lallego [1]) naprzykład, lub nawet Calasa [2]), mogą jeszcze wydać się chwalebnemi, w porównaniu z temi okropnościami, których szereg nieprzerwany roztacza się przed nami w miarę, jak przerzucamy tę sromotną kronikę wstydu Anglii. Urzędnicy Trybunałów w Paryżu lub w Tuluzie, zaślepieni byli przesądem, namiętnością, fanatyzmem; nasi sędziowie, niegodziwsi, mordowali z otwartemi oczyma, na trzeźwo. Przyczyna jest bardzo prosta. We Francyi nie było konstytucyjnej opozycyi; jeżeli ktoś odezwał się z obelżywemi dla rządu mowami, szedł odrazu do Vincennes lub do Bastylii. Ale w Anglii, od czasu przynajmniej Długiego Parlamentu, nie mógł król prostym aktem prerogatywy pozbyć się niedogodnego polityka; tych, którzy mu w drogę wchodzili, musiał usuwać za pomocą fałszywych świadków, przekupionych lub służbistych przysięgłych, i sędziów zepsutych, twardych, zastraszających. Opozycya naturalnie brała odwet, ile razy była na wierzchu. Za każdem przejściem władzy od stronnictwa do stronnictwa następowały zawsze proskrypcye i rzezie, źle ukryte pod formami procedury sądowej. Trybunały mają być, przy jakimkolwiek obrocie spraw publicznych, świętem i nietykalnem schronieniem dla niewinnych

[1]) Lally Tomasz, ur. 1702. Bohaterski dowódzca w wojnie francuzko-angielskiej w Indyach 1761. Mimo to oskarżony o zdradę, więziony w Bastylii przez półtora roku, i bez wysłuchania obrony skazany na śmierć i stracony 1766. Ludwik XVI kazał po jego śmierci rozpocząć proces na nowo. Wyrok był skasowany, a Lally po śmierci przywrócony do czci.

[2]) Calas, ur. 1698, kupiec, protestant, oskarżony o morderstwo własnego syna, łamany kołem i stracony w r. 1762. W skutku starań i pism Voltaira proces jego rozpoczęty na nowo w r. 1765 wykazał zupełną niewinność.

z jakiegokolwiek stronnictwa, a przed Rewolucyą były one brudnym, publicznym szlachtuzem, do którego każde po kolei stronnictwo wlokło swoich przeciwników, i gdzie znajdowało zawsze tych samych przedajnych i dzikich rzeźników, czekających na łaskawą praktykę. Papista czy Protestant, Whig czy Torys, ksiądz czy Alderman, wszystko to jedno było dla tych ludzi dzikich i drapieżnych, byle mieli zarobek i krew do przelewania.

Rzecz prosta, że niecni ci sędziowie musieli wychować sobie plemię niecniejszych jeszcze, jeżeli być może, donosicieli. Sąd przysięgłych małą był tylko, lub żadną dla niewinnego obroną; szeryfowie mianowali przysięgłych, a szeryfów we wszystkich niemal częściach kraju mianowała Korona. W Londynie, w tem wielkiem ognisku politycznych sporów, lud sam wybierał tych urzędników; a najzaciętsza walka przy wyborach do Parlamentu w naszych czasach, słabe zaledwie może dać wyobrażenie o tem, co działo się w City, kiedy dwa rozżarte stronnictwa, każde pod swojemi godłami, spotykały się, by wybierać tych ludzi, w których ręku miała leżeć władza życia i śmierci przez rok następny. W dniu takim magnaci najwyższego urodzenia nie uważali za niegodne siebie starać się o głosy, intrygować, iść na czele procesyi i doglądać listy kandydatów, a naczelnicy stronnictw czekali w śmiertelnych niepokojach gońca, który z Guildhall przynieść im miał wiadomość, czy głowy ich i majątki zostawać będą przez przyszłych dwanaście miesięcy na łasce przyjaciela czy nieprzyjaciela. W roku 1681 wybrano Whigów na szeryfów, a Shaftesbury [1]) wyzywać mógł rząd z całą jego potęgą; w roku 1682 wybrano Torysów, a Shaftesbury uciekł do Hollandyi, pozostali zaś przywódzcy stronnictwa czemprędzej przerwali swoje narady i schronili się na wieś. Sydney na rusztowaniu powiedział tym szeryfom, że krew jego będzie na ich głowach; ża-

[1]) Shaftesbury (Ashley hr. S. Antoni), ur. 1631 roku; członek ministeryum *Kabały*.

den z nich nie mógł odeprzeć tego zarzutu, a jeden płakał ze wstydu i zgryzoty.

Tak więc, ktokolwiek chciał się mieszać do spraw publicznych, kładł głowę pod ewangielią, i dlatego, ludzie usposobienia spokojnego i łagodnego, trzymali się zdala od zapasów, w których nie mogli wziąć udziału bez narażenia własnych głów i majątków dzieci. Takie stanowisko zajął Sir William Temple, Evelyn, i wielu innych zdolnych pod wszystkiemi względami do wielkich usług publicznych. A z drugiej strony znowu, ludzie przedsiębiorczy i gotowi na wszystko, którzy głowy i mienie stawiali na kartę, przyzwyczaiwszy się grać o tak grube stawki, nabrali jakiejś obojętności i zatwardziałości na wszystko. Nie niebezpieczniej bowiem było być rozbójnikiem na publicznej drodze, jak być słynnym przywódzcą opozycyi. Okoliczność ta może wytłomaczyć a poniekąd i usprawiedliwić tę gwałtowność, jaką dziś jeszcze zarzucać się zwykło stronnictwom owego czasu. Ludzie ci bowiem walczyli nietylko o urzędy, ale o głowy; gdyby na chwilę zaprzestali byli agitować, gdyby dali byli przygasnąć wzburzeniu umysłów, byłoby już po nich. Hume, opisując ten stan rzeczy, użył obrazu niezgodnego może ze zwykłą prostotą jego stylu, ale z pewnością nie zanadto mocnego. »Obadwa stronnictwa — mówi on — »z obopólną podżegane wściekłością, a zamknięte w ciasnych »szrankach prawa, zatrutemi sztyletami śmiertelne sobie wza»jem zadawały razy, i zagrzebały w swoich fakcyjnych zapasach »wszelkie uczucia honoru, prawdy i ludzkości.«

Od tego to strasznego złego uwolniła nas Rewolucya. Wiele przyczyniło się do tego prawo zabezpieczające sędziom posady na czas życia lub dobrego sprawowania, ale więcej jeszcze przyczyniło się prawo urządzające śledztwa w sprawach zdrady głównej. Wprawdzie układ tego prawa dowodzi bardzo małej prawodawczej biegłości; nie jest ono ułożone tak, aby zabezpieczyło niewinnego, ale raczej tak, jak żeby chciało oskarżonemu najwięcej dać sposobów do obrony, czy on jest winnym, czy niewinnym. Ale to, choć może jest zboczeniem, jest

przynajmniej zboczeniem w dobrym kierunku. Złe, jakie wyniknąć ztąd może, że jeden winny ujdzie rąk sprawiedliwości, nie da się porównać ze złem, jakie wynika z takiego panowania terroryzmu, jakie poprzedziło Rewolucyę. Od czasu, kiedy prawo to uchwalono, nie stracono w Anglii za zdradę stanu nikogo, ktoby niezbitemi dowodami z uznaniem wszystkich stronnictw, nie był przekonanym o najwyższą zbrodnię przeciw ojczyźnie. W czasach wielkich wzburzeń kuszono się o to nie raz, by oskarżyć kogoś o zdradę stanu za uczynki, które choć wielce zapewne naganne, nie zawierały przecież zamiaru podpadającego pod prawne określenie zdrady; ale wszystkie te usiłowania skończyły się na niczem. Od lat stu czterdziestu nie miał topora przed oczami żaden mąż stanu, uwikłany w konstytucyjny spór z rządem. Najnieliczniejsze mniejszości walczące w najburzliwszych czasach z najpotężniejszemi większościami, czuły się przecież w zupełnem zawsze bezpieczeństwie. Fox i Pulteney byli najznakomitszymi od czasów Rewolucyi naczelnikami opozycyi; obadwa byli osobiście nienawistni dworowi, a przecież, największą krzywdą, jaką zrobić im mógł dwór w najsroższym swym gniewie, było to, że wykreślił z przed ich nazwisk przydomek Right Honourable.

Ale ze wszystkich ulepszeń jakie sprowadziła Rewolucya, najważniejszem może była zupełna wolność druku i zniesienie cenzury. Cenzura, która od czasów Henryka VIII, aż do Rewolucyi istniała ciągle pod różnemi formami i pod wszystkiemi rządami, tak monarchicznemi jak republikańskiemi, teraz zaginęła i nigdy już nie odżyła.

Wiemy dobrze, że przytoczone powyżej wielkie reformy, były pod wielu względami niedostatecznie i niezręcznie w życie wprowadzone. Sprawcy ich, usuwając lub łagodząc niejedno złe w praktyce, wyznawali przecież niekiedy błędne zasady, z których to złe wynikało; lub znowu, uznawszy zasadę dobrą i słuszną, lękali się przeprowadzić ją we wszystkich konsekwencyach, do których wiodła z natury. Nieraz także zdarzyło im się dostrzedz, że wynalezione przez nich na niemoc

państwa lekarstwo, zrodzić musiało niemoc inną, która nowego znowu potrzebować musiała lekarstwa. Wiedza ich mniejszą była od naszej, i nie zawsze umieli działać podług tego, co w wiedzy swojej za najlepsze uznawali. Należy jeszcze wziąć w rachunek przemoc okoliczności, konieczność godzenia sprzecznych opinij, siłę i gwałtowność tego stronnictwa, które nowemu porządkowi rzeczy wprost było przeciwne. Jeżeli zważymy wszystkie te względy jak należy, niewiele, jak sądzimy, różnić się będzie zapatrywanie ludzi wolnomyślnych zasad i trzeźwego umysłu, na wartość tych korzyści, jakie przyniosły ojczyznie naszej wielkie wypadki roku 1688.

Wyliczyliśmy powyżej te wszystkie zmiany w prawodawstwie, które wydają nam się najważniejszemi skutkami Rewolucyi. Zmiany atoli, jakie zaprowadziła ona w prawach samych, nie są wcale ważniejsze od tych, jakie wywołała pośrednio w opinii i przekonaniach narodu. Stronnictwo Whigów stało u steru rządu przez lat blizko siedmdziesiąt z małemi tylko przerwami, a było zawsze kardynalną stronnictwa tego zasadą, że władza jest tylko depozytem narodowym w rękach rządu, że dana ona jest rządowi nie dla jego własnej korzyści, ale dla dobra narodu, i że jeżeli urzędnik jakikolwiek, choćby najwyższy, władzy tej nadużywa, naród ma prawo odebrać mu władzę. To prawda, że Whigowie, jak wszyscy zresztą ludzie, nie byli wolni od ludzkich ułomności, i że trzymając władzę, nadużywali jej niekiedy; ale i wtedy nawet zasady swojej trzymali się wiernie; zasada ta była godłem i hasłem ich stronnictwa, a oprócz tego była jeszcze czemś więcej. Była podstawą całej władzy królów z domu Nassauskiego i Brunświckiego, i tym sposobem stało się, że mieliśmy rząd, któremu zależało najwięcej na rozpowszechnieniu pewnego rodzaju pojęć politycznych, na których stłumieniu zwykło rządom zależyć najwięcej, że mieliśmy rząd przychylny zawsze wszystkiemu, co podnieść mogło wolność, a wrogi wszystkiemu, co sprzyjać mogło samowładzy. Tym sposobem stało się, że mieliśmy króla, który wolał Republikanów od obrońców prawa

z łaski bożej; który w każdem usiłowaniu na korzyść swojej prerogatywy widzieć musiał zamach na swój tytuł do korony, i który wszystkie swoje łaski chował dla tych, którzy najwięcej rozpowiadali o przyrodzonej równości ludzi, i o początku rządu z ludu i przez lud. Taki był stan rzeczy od Rewolucyi aż do śmierci Jerzego II; a skutki jego były takie, jak się można było spodziewać. Nawet u ludzi tego powołania, które zawsze najpohopniejsze było do wynoszenia prerogatywy, zaszła zmiana niemała. Biskupstwo po biskupstwie, dziekania po dziekanii dostawała się Whigom i Latitudinariuszom, a skutkiem tego było, że najzdolniejsi i najwyżej patrzący z duchownych, wyznawać poczęli zasady Whiggizmu i Latitudynaryzmu.

Hume skarży się na to gorżko na końcu swojej historyi. »Stronnictwo Whigów« — mówi on — »używało prawie »bez przerwy przez lat blizko siedemdziesiąt wyłącznej w rzą»dzie przewagi; bez ich łaski, bez ich opieki, nie dostał nikt »ani urzędu, ani dostojeństwa. Taki obrót rzeczy, w szczegó»łach może dla państwa pomyślny, dla historycznej prawdy »zgubnym się okazał, bo rozszerzył i ustalił wiarę w mnóstwo »fałszów takich, że pojąć trudno, jak naród cywilizowany mógł »je przyjąć. Pisma najlichsze, tak co do treści, jak i co do »stylu« — tu w przypisku przytacza dzieła Lockego, Sydneya, Houdleya i Rapina — »wynoszone były pod niebiosa i sta»wiane na równi z najwspanialszemi zabytkami starożytności, »bo górujące stronnictwo, zapominając o tem, że miłość wol»ności, acz chwalebna, podporządkowaną być winna uszanowa»niu dla istniejącego rządu, sławiło tylko miłośników wolności.«

Nie chcemy wdawać się tu w rozprawę o zaletach historyi Rapina lub politycznych badań Lockego; odwołujemy się tylko do przytoczonych powyżej słów na dowód tego faktu znanego aż nadto całej czytającej publiczności, że angielski dwór i angielscy ministrowie opiekowali się w pierwszej połowie XVIII-go wieku tym właśnie rodzajem literatury, który dworacy i ministrowie zwykle wszelkiemi siłami przytłumić

się starają, i że chcieli zaszczepić raczej zapał do wolności ludu, niż uszanowanie dla powagi rządu.

Była wprawdzie zawsze partya Torysów, i to bardzo silna, ale była ona w opozycyi. Wielu z jej członków wyznawało zawsze zasadę biernego posłuszeństwa, ale nie przyznawało, by panująca dynastya miała jakiekolwiek do posłuszeństwa ich prawo. Potępiali oni opór, ale przez opór rozumieli to tylko, co miało na celu niedopuszczenie Jakóba III do kraju, nie zaś to, co zmierzało do wyrzucenia Jerzego II. Największy radykał naszych czasów nie zdołałby szemrać więcej od owoczesnych Torysów na wydatki królewskiego dworu, ani pracować usilniej nad zmniejszeniem liczby wojska, ani opierać się gwałtownie wszelkiemu nadaniu na czas jakiś nadzwyczajnej władzy rządowi, ani szkalować gorzej dworaków i ludzi na posadach. Gdyby dziś pisarz jakiś w poważnym i obszernym słowniku tłomaczył słowo Pensioner (gwardya królewska) przez »niewolnik i zdrajca« gdyby nazywał akcyzę »niegodziwym podatkiem«, a komisarzów od akcyzy »nędznikami«; — gdyby napisał satyrę pełną gorżkich przytyków od ludzi, którzy biorą »zapłatę za miasteczka i dusze« — i »którzy drogo okupione prawa ojczyzny tak tłomaczą, że nic z nich nie zostaje« — których jurgielty doprowadzają do tego, że patryotę czarnym, a dworaka uznać gotowi białym.« — Gdyby dziś pisał ktoś takie rzeczy, wydałby nam się czemś demokratyczniejszym od Whiga. A przecież Johnson, największy bigot między Torysami, wyznawca gorliwy Wysokiego Kościoła, takiej używał mowy pod rządami Walpola i Pelhama.

I tak ci którzy byli u władzy, i ci którzy byli w opozycyi, zarówno wpajali w naród pojęcia i zasady sprzyjające rozwojowi wolności. Za pomocą bowiem tych zasad jedynie mogli pierwsi dowieść, że mają króla *de jure*, a drugim nie przeszkadzały niewolnicze ich zasady dokuczać wszelkiemi sposobami temu, którego mieli tylko za króla *de facto*. Przywiązanie jednej strony do domu Hanowerskiego, jak przywiązanie drugiej do domu Stuartów, sprawiało, że obie przemawiały

językiem przychylniejszym o wiele prawom narodu niż władzy monarszej. To co zaszło na pierwszem przedstawieniu Catona, cechuje wybornie tę drogę, której się trzymały niezmiennie obadwa wielkie obozy w naszem społeczeństwie. Sztuka, której cała zaleta polega na wspaniałych retorycznych okresach, nie niegodnych niekiedy Lukana, o nienawiści tyranów i poświęceniu życia za wolność, ukazuje się na scenie w chwili wielkiego politycznego wzburzenia. Obiedwie partye schodzą się tłumnie do teatru; każde udaje, że bierze każdy wiersz za pochwałę dla siebie, za przytyk do przeciwników. Zasłona spada wśród grzmotów jednomyślnych oklasków. Whigowie ściskają autora i winszują mu, że oddał sprawie wolności nieocenioną usługę, a sekretarz stanu Torys ofiaruje sakiewkę aktorowi grającemu główną rolę, za to, że tak dobrze bronił sprawy wolności. Historya tego wieczoru była w miniaturze historyą całych dwóch pokoleń.

Wiemy dziś dobrze, ile było sofizmów w rozumowaniu, ile przesady w deklamacyach obu stronnictw. Ale jeżeli porównamy stan politycznej mądrości w końcu panowania Jerzego II, ze stanem jej, przy wstąpienin na tron Jakóba II, nie będziemy mogli zaprzeczyć, że zaszła w niej zmiana ogromna na lepsze. Nie jesteśmy wcale wielbicielem tych zasad politycznych, które rozwija Blackstone [1]) w swoich komentarzach, ale jak pomyślimy, że te komentarze czytane były z wielkiemi oklaskami w tych samych szkołach, w których przed laty siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu palono książki publicznie na rozkaz uniwersytetu Oxfordzkiego, za to, że zawierały zgubną naukę, iż monarchia w Anglii jest ograniczona i mieszana, nie możemy nie przyznać, że zaszła przecież zmiana zbawienna. »Jezuici« — mówi Pascal w ostatnim ze swoich niezrównanych listów — »wyrobili dekret papieski potępiający naukę Gali»leusza o obrocie ziemi na około słońca. Na nic się to nie

[1]) Blackstone Wilhelm, ur. 1723 roku, um. 1780. Prawnik, autor *komentarzy do Praw angielskich.*

»przyda. Jeżeli ziemia rzeczywiście się obraca, to wszyscy lu»dzie razem nie poradzą na to nic, że się obraca, i że oni obracają się z nią razem.« Dekreta Oxfordzkie tak samo nie mogły zatrzymać wielkiej moralnej i politycznej Rewolucyi w Anglii, jak Watykańskie nie mogły zatrzymać ziemi w ruchu naokoło słońca. Uczony uniwersytet nietylko nie zapobiegł postępowi narodu, ale siebie samego nawet nie zdołał ustrzedz od postępu wraz z narodem. A skutki naszych badań i rozpraw z owego czasu nie w naszym tylko pokazały się kraju. Podczas gdy zdziecinniałe stronnictwo Jakobitów w ostateczne popadało niedołęztwo paralitycznej swojej zgrzybiałości, angielska polityczna filozofia zaczynała w tej samej chwili potężne wywierać wrażenie na Francyę, a przez Francyę na Europę.

A tu otwiera się przed nami inne pole nie mniej obszerne, ale musimy pomimo pokusy odważnie się od niego odwrócić. Na zamknięcie pozwolimy sobie tylko dać czytelnikom radę, aby czytali pilnie szacowny Fragment Sir Jakóba Mackintosh, i wyrazić życzenie, aby rychło czytać go mogli bez tych dodatków, które dotychczas obiegowi jego stawały na przeszkodzie.

SAMUEL JOHNSON.

Johnson Samuel, jeden z najznakomitszych angielskich pisarzów XVIII wieku, był synem Michała Johnsona, urzędnika w początkach rzeczonego wieku w mieście Lichfield, a zarazem właściciela znanego w hrabstwach środkowych handlu księgarskiego. Michał ten miał, jak się zdaje, nie mało wykształcenia i zdolności. Znał on tak doskonale treść książek, które wystawiał na sprzedaż, że rektorowie wiejscy w hrabstwach Stafford i Worcester uważali go za wyrocznię w rzeczach nauki. Łączyły go prócz tego z duchowieństwem silne religijne i polityczne sympatye. Był on gorliwym zwolennikiem Kościoła, a choć przysiągł na wierność królowi *de facto*, i usposobił się przez to do sprawowania municypalnych urzędów, w sercu przecież był Jakobitą aż do śmierci. W Lichfield tedy, we własnym jego domu, który do dziś dnia pokazują każdemu podróżnemu odwiedzającemu to miasto, urodził się Samuel dnia 18 Września, 1709 r. W dziecku już dostrzedz się dawały wyraźnie te fizyczne, umysłowe i moralne własności, któremi później odznaczał się człowiek dorosły; wielka siła muskułów obok wielkiej niezgrabności i licznych dolegliwości; wielka żywość i bystrość pojęcia obok chorobliwej skłonności do gnuśnego życia i odkładaniu do jutra; dobre i szlachetne serce obok drażliwego i ponurego temperamentu. Ze krwi odziedziczył on skrofuły, których sztuka lekarska żadnym sposobem usunąć nie mogła. Rodzice jego byli tak zabobonni, że wierzyli, iż dotknięcie ręki królewskiej było lekarstwem na tę chorobę; w trzecim więc roku życia zawieźli go do Londynu. Opatrywali go tam dworscy lekarze, dworscy

kapelani czytali nad nim modlitwy, a królowa Anna dotknęła go palcem i dała sztukę złota. Do najwcześniejszych jego wspomnień należała poważna postać kobiety w wielkim czarnym kornecie i dyamentowym napierśniku. Ale dotknięcie jej nie zdało się na nic; twarz chłopięcia, z natury wdzięczną i dość regularną, wykrzywiła i zeszpeciła zupełnie choroba; policzki porysowały się bliznami, na jedno oko pociemniał zupełnie, a na drugie widział bardzo mało, ale wrodzona siła ducha pokonała wszystkie przeszkody. Choć niezmiernie leniwy, uczył się on tak szybko i łatwo, że w jakiejkolwiek był szkole, zawsze najlepszym był uczniem. Od roku szesnastego do ośmnastego zostawał w domu rodziców pod swoim własnym jedynie kierunkiem. Uczył się przez ten czas wiele, choć brakło tej nauce planu i kierunku; plądrował po półkach ojcowskich, zatapiał się w mnóstwie książek, czytał co było zajmującem, co było nudnem rzucał. Chłopiec zwyczajny byłby z takiej nauki nie skorzystał nic wcale a przynajmniej nie wiele, ale co dla zwyczajnych chłopców nudnem, to dla Samuela było zajmującem. Po grecku czytał mało, bo nie znał dość języka, by czytać mógł z przyjemnością Attycką poezyę lub wymowę, ale wyszedł ze szkoły dobrym Łacinnikiem, a niebawem z pomocą obszernego zbioru książek, jaki miał pod ręką, nabył rozległych wiadomości w łacińskiej literaturze. Nie posiadał nigdy tego wykwintnego smaku godnego czasów Augusta, który jest chwałą wielkich szkół publicznych w Anglii, ale oswoił się rychło z niektórymi klasycznymi pisarzami, obcymi zupełnie najlepszym nawet uczniom szóstej klasy w Eton. Największy zaś pociąg miał do wielkich pisarzów z epoki Odrodzenia Nauk. Pewnego razu, szperając gdzieś za jabłkami, znalazł ogromny jakiś in folio tom Petrarki. Nazwisko to wzbudziło w nim ciekawość, i chciwie pożerał po sto kartek na raz; w istocie dykcya i wierszowanie w jego własnych łacińskich utworach, dowodzą, że zwracał on tyle przynajmniej uwagi na nowoczesne naśladowania starożytnych, ile na same wzory oryginalne.

Podczas gdy się tak wychowywał bez porządku i ładu, rodzina jego zapadała w ostatnią nędzę. Stary Michał Johnson lepiej umiał śledzić w książkach i o książkach mówić, niż na książkach zarabiać; handel jego upadał, długi rosły, z trudnością już opędzić się dawały codzienne domowe wydatki. Utrzymać syna na którymkolwiek z uniwersytetów, przechodziło zupełnie jego możność; na szczęście przyszedł na pomoc sąsiad jeden zamożny, i na wiarę obietnic, które, jak się pokazało, nie wiele były warte, wszedł Samuel do Pembroke-College w Oxfordzie. Naczelnicy tego zakładu, poznawszy młodego uczonego, zdumieli się nie tyle nad jego upośledzoną postacią i dziwacznym układem, jak nad ogromnym zasobem obszernych i ciekawych wiadomości, jakie pozbierał przez czas bezładnej ale nie bezskutecznej swojej nauki. Pierwszego zaraz dnia po przybyciu zadziwił swoich nauczycieli cytacyą z Macrobiusza, a jeden z najuczeńszych profesorów oświadczył, że nie widział nigdy świeżego ucznia z takiemi wiadomościami.

Trzy blisko lata przepędził Johnson w Oxfordzie. Był tak biedny, że chodził prawie obdarto, a postać jego wzbudzała razem śmiech i politowanie, zarówno dumnemu jego umysłowi nieznośne. Z Christ-Church wypędził go wzrok szyderczy, z jakim arystokratyczni członkowie patrzali na jego dziurawe buty. Miłosierna jakaś dusza postawiła mu parę nowych przed drzwiami, ale wyrzucił je z wściekłością i wzgardą. Nędza zrobiła go nie uniżonym, ale niedbałym i trudnym w pożyciu. Żaden bogaty gentleman z drugiej klasy, dyszący za dwudziestym pierwszym rokiem, nie traktował nigdy władz akademickich z takiem jak on grubiańskiem lekceważeniem. Biedny potrzebny ten student stawał najczęściej w bramie Pembroke, którą dziś zdobi jego popiersie i przemawiał ztamtąd do zgrai chłopców, nad którymi dowcip i śmiałość zapewniały mu przewagę niezaprzeczoną, pomimo brudnej bielizny i podartej odzieży. W każdym buncie przeciw ustanowionej w kollegium karności, on zawsze był hersztem; ale przepuszczano wiele młodzieńcowi, odznaczającemu się tak niepospolitą

zdolnością i nauką. Rychło zrobił on sobie sławę przekładem *Messyasza* Popego na wiersze łacińskie, a choć ani styl ani rytm jego Virgilowym nie był, tłomaczenie przecież znalazło wielu wielbicieli, a sam Pope czytał je z przyjemnością.

Zbliżał się termin, w którym Johnson w zwyczajnej rzeczy kolei, byłby został Bakałarzem Sztuk, kiedy wreszcie zabrakło mu zupełnie środków utrzymania. Owe obietnice pomocy na które rachował, nie ziściły się; rodzina nic dla niego uczynić nie mogła; u Oxfordzkich kupców miał długi, małe wprawdzie, ale zawsze większe niż mógł zapłacić, dość, że w jesieni roku 1731 zmuszonym był opuścić uniwersytet bez przyjęcia stopni akademickich. Następnej zimy umarł mu ojciec, zostawiając szczupły bardzo fundusz, i to przeznaczony prawie w całości na utrzymanie wdowy; cały spadek Samuela wynosił wszystkiego dwadzieścia funtów.

Całe jego życie przez następnych lat trzydzieści było jedną długą i twardą walką z niedostatkiem. Przeciwność ta nie potrzebowała już żadnych dodatków, ale miała przecież dodatek w cierpieniach chorowitego ciała i chorobliwego umysłu. Zanim jeszcze młody Samuel opuścił był uniwersytet, dziedziczna jego choroba objawiła się w sposób bardzo bolesny i srogi. Stał się on hypochondrykiem nie do wyleczenia. W późniejszych latach mawiał, że całe swoje życie był obłąkanym, a przynajmniej nie koniecznie zdrowych zmysłów, i w istocie mniejsze dziwactwa uchodziły nieraz za dostateczny powód uniewinnienia złoczyńców lub unieważnienia testamentów. Jego wykrzywiania, dziwaczne ruchy, jego mruczenia, śmieszyły czasem a czasem straszyły ludzi, którzy go nie znali. W napadzie roztargnienia gotów był naprzykład, schylić się pod stół przy obiedzie i rozwiązać trzewik sąsiadki, lub nie wiedzieć zkąd wymówić głośno jedną z próśb z Ojczenasz na zdumienie całego towarzystwa. Gotów był naprzykład powziąć niepojętą nienawiść do jakiejś ulicy, i robić zawsze wielkie koło, byle nie widzieć obmierzłego jakiegoś miejsca; lub uwziąć się dotknąć każdy słup od latarni, jaki

spotkał na ulicach, przez które przechodził, a jeżeli choć jeden opuścił, to wracał o tysiąc kroków i naprawiał swoje zapomnienie. Pod wpływem takiej choroby zmysły jego stały się chorobliwie ospałemi a wyobraźnia chorobliwie czynną. Nie raz wpatrywał się długo w zegar miejski, a nie wiedział która godzina; kiedyindziej słyszał wyraźnie, jak wołała go po imieniu matka oddzielona od niego przestrzenią wielu mil; a co z tego wszystkiego najgorsze, opanowała go głęboka jakaś melancholia, i całemu jego zapatrywaniu na naturę i przeznaczenie ludzi, nadała barwę jakąś smutną i ponurą. Pod wpływem takiego nieszczęścia nie jeden się utopił lub w łeb sobie strzelił, ale Johnson nie miał najmniejszej pokusy do samobójstwa. Życie sobie mierził, ale śmierci się lękał, i drżał, ile razy zobaczył lub usłyszał coś, co mu przypominało nieuniknioną ostatnią godzinę. W częstych i długich swoich napadach zwątpienia mało znajdował on pociechy w religii, bo uczucie jego religijne było takie jak i cały jego charakter. Światło z nieba oświecało go wprawdzie, ale nie wprost, i nie całą swoją czystą jasnością; promienie jego musiały się przedzierać przez środek mętny, i dochodziły do duszy odbite od grubych ciemności, które na tej duszy osiadły; dochodziły ciemne, bezbarwne, dość jeszcze jasne wprawdzie, by go prowadzić, ale nie dość, by go rozweselić i pocieszyć.

Z takiemi to ułomnościami ciała i umysłu, człowiek ten znakomity, zostawiony sam sobie w dwudziestu dwóch latach, musiał wywalczać sobie swoją drogę żywota. Przez pięć lat prawie przesiadywał on w hrabstwach środkowych; w Lichfield, w miejscu gdzie się urodził i gdzie mieszkał w dzieciństwie, znalazł kilku dziedzicznych i kilku nowo nabytych przyjaciół. Zajął się nim Henryk Hervey, wesoły młody oficer ze szlachetnego rodu, przypadkowo w Lichfield na załodze. Gilbert Welmesley, registrator trybunału duchownego owej dyecezyi, człowiek niepoślednich zdolności, nauki i znajomości świata, zasłużył sobie na to zaszczytne świadectwo, że opiekował się młodzieńcem, którego odrażająca postać, układ nieokrzesany, i plugawy ubiór był przedmiotem odrazy i naigrawania

dla całej parafialnej arystokracyi w okolicy. Pomimo tego jednak nie mógł Johnson znaleźć sposobu do utrzymania; został on pomocnikiem nauczyciela w jakiejś szkole łacińskiej w hrabstwie Leicester; jako skromny rezydent przemieszkiwał jakiś czas w domu jakiegoś wiejskiego szlachcica, ale życie to zależne nieznośnem było dla wyniosłego jego umysłu. Udał się więc do Birmingham, i zarobił tam kilka dukatów najpodrzędniejszą literacką pracą; tam także wydał tłomaczenie łacińskiej jakiejś książki o Abissynii, w owym czasie zaledwie dostrzeżone, a dziś zapomniane zupełnie. Potem wydał znowu program wydania przez subskrypcyą poezyi Poliziana, z historyą nowoczesnej poezyi łacińskiej w przypiskach, ale subskrypcya nie szła, i dzieło nie wyszło wcale.

W czasie takiego życia tułactwa i biedy, Johnson się zakochał. Przedmiotem jego zapałów była niejaka pani Elżbieta Porter, wdowa, mająca dzieci w równym wieku ze swoim wielbicielem. Ludziom obdarzonym zwykłym wzrokiem, dama ta wydawała się babą krótką, tłustą, grubiańską, wyróżowaną na cal grubości, wystrojoną w krzyczące kolory, i lubiącą popisywać się prowincyonalnemi manierami i wdziękiem nie najpierwszego jak się zdaje gatunku. Ale dla Johnsona, który miał namiętności gwałtowne a wzrok za słaby, by rozróżnić róż od naturalnego rumieńca, który mało kiedy a może nigdy nie zeszedł się w jednym pokoju z kobietą prawdziwie wykwintnego wychowania, Titty, jak ją nazywał, była najpiękniejszą, najwdzięczniejszą, najznakomitszą z kobiet. Uwielbienie to było szczere, o tem nie można wątpić, bo Titty była tak samo uboga jak Johnson. Z gotowością, która jej nie wiele przynosi zaszczytu, przyjęła ona oświadczenie kochanka, który mógł być jej synem, a małżeńskie pożycie, pomimo małych niekiedy nieporozumień, szczęśliwszem było, niż się można było spodziewać. Oblubieniec zostawał zawsze pod pierwszem złudzeniem, aż dopóki czarodziejka w sześćdziesiątym czwartym roku życia nie umarła; na nagrobku jej położył napis wynoszący pod niebiosa jej wdzięki i przymioty, a długo jeszcze po jej

śmierci, skoro wypadło mu ją wspomnieć, wołał z czułością pół rzewną, pół komiczną: »urocza kobieta!«

Po ożenieniu musiał on pracować więcej niż przedtem; najął dom w pobliżu rodzinnego swego miasta, i ogłosił, że chce przyjmować uczniów; ale ośmnaście miesięcy upłynęło, a do jego akademii trzech się tylko zgłosiło. I nic dziwnego; wyglądał on tak dziwacznie, a był przytem tak gwałtowny, że jego izba szkolna musiała nie jednemu wydawać się czemś podobnem do jaskini jakiego ludojada. Owa też wyróżowana i wypimpiszona stara haba, którą on swoją Titty nazywał, nie była do tego, żeby dbać o wygodę młodych gentlemanów. Dawid Garrick [1]), jeden z owych trzech wychowańców, zwykł był nie raz w późniejszych latach udawać pieszczoty tej dziwacznej pary, na wielką pociechę najlepszych towarzystw Londynu, które wpadały w konwulsye ze śmiechu.

Wreszcie postanowił Johnson w dwudziestym ósmym roku życia poszukać szczęścia w stolicy; jako awanturnik literacki, z kilkoma dukatami, kilkoma listami polecającemi od swego przyjaciela Walmesley, i z trzema aktami swojej tragedyi *Ireny* w kieszeni, wybrał się on w tę drogę. Nigdy jeszcze, odkąd stała się w Anglii powołaniem, nie była literatura powołaniem mniej zyskownem, jak w tym właśnie czasie, kiedy Johnson osiadał w Londynie. Za ostatniego pokolenia każdy pisarz znakomitszy mógł być pewnym hojnego wynagrodzenia od rządu; mógł się spodziewać co najmniej pensyi lub synekury, a jeżeliby okazał jakie zdolności polityczne, mógł zostać członkiem Parlamentu, Lordem Skarbu, ambasadorem, sekretarzem stanu. W dziewietnastym znów wieku łatwo wymienić nie małą liczbę pisarzów, z których najmniej szczęśliwi dostali po czterdzieści tysięcy funtów od księgarza. Ale Johnson rozpoczął swój zawód w najgorszej chwili tych złych czasów, jakie panowały między dwoma epokami obfitości. Literatura już nie kwitła pod opieką wielkich panów, a pod opieką pu-

[1]) Garrick, ur. 1716, um. 1779 r.

bliczności jeszcze kwitnąć nie zaczęła. Jeden wprawdzie literat, Pope, zrobił sobie piórem majątek, uważany podówczas za wcale nie szpetny i żył na równej stopie z wielkimi panami i ministrami państwa, ale był on jedynym w swoim rodzaju wyjątkiem. Nawet pisarz z ustaloną sławą, pisarz, którego dzieła największą miały wziętość, jak Thomson [1]) naprzykład, którego *Pory* były we wszystkich księgarniach, lub Fielding [2]), którego *Pasquin* większem cieszył się powodzeniem, niż jakikolwiek dramat od czasów opery *Żebraka*, rad był nie raz, jeżeli zastawiwszy najlepszą swoją odzież, miał za co uraczyć się flakami w podziemnej jakiej garkuchni, gdzie po obiedzie mógł sobie ręce obetrzeć z tłuszczu o kudły psa Newfoundlandzkiego. Łatwo zatem wyobrazić sobie, jaki niedostatek, jakie upokorzenia czekały nowicyusza, który miał dopiero zrobić sobie imię. Jeden z wydawców, do którego Johnson udawał się o zajęcie, zmierzył tylko pogardliwym wzrokiem atletyczną choć niekształtną jego postawę i rzekł: »wolałbyś mój panie sprawić sobie kawał powroza i nosić pakunki«, i nie można powiedzieć, żeby złą była ta rada, bo tragarz niewątpliwie miał widoki na co najmniej takie mieszkanie i pożywienie jak poeta.

Zdaje się, że przeszedł czas nie mały, zanim Johnson zdołał zawiązać takie stosunki literackie, które mogły dostarczyć mu czegoś więcej, jak chleba na dzień bieżący. Nie zapomniał on nigdy, jak szlachetnie w tym czasie niedostatku przychodził mu w pomoc Hervey mieszkający właśnie w Londynie. »Harry Hervey« — mawiał później stary filozof — »miał »swoje wady, ale dla mnie był zawsze dobry. Gdyby się jaki pies nazywał Hervey, jabym go za to kochał.« U stołu Herveya używał czasem Johnson na ucztach, które przez porównanie ze zwykłym sposobem życia jeszcze milszemi się stawały;

[1]) Thomson Jakób, poeta, ur. 1700, um. 1748.

[2]) Fielding Henryk, ur. 1707, um. 1754; pisarz powieści, z których najsławniejsza nosi tytuł *Tom Jones*.

powszechnie zaś jadał w jakiejś piwiarni około Drury Lane obiady złożone z mięsa za sześć pensów i chleba za pensa, i zdawało mu się, że żyje bardzo dobrze.

Skutki cierpień i niedostatków, jakie znosić musiał w owym czasie, widoczne były w jego charakterze i obejściu aż do śmierci. Obejście jego nie było nigdy bardzo grzecznem, a teraz stało się prawie grubiańskiem. Zmuszony często chodzić w brudnej odzieży i w brudnych koszulach, stał się stopniowo stanowczym niechlujem; a często z wielkim głodem siadając do stołu, nauczył się jeść łakomo i żarłocznie. Do samego końca życia, u stołu nawet największych figur, widok jadła działał na niego tak, jak działa na dzikie zwierzęta i drapieżne ptaki. Smak jego, wyrobiony na podziemnych spisach potraw i w garkuchniach ostatniego rzędu, nie był wcale wykwintnym. Jeżeli zdarzyło mu się to szczęście, że miał pod ręką nie świeżego zająca, lub pasztet na starem maśle, połykał go tak łapczywie, że mu żyły nabiegały, a pot występował na czoło. Obelgi ośmielonych jego ubóstwem głupich i płaskich ludzi, byłyby doprowadziły człowieka słabego umysłu do pochlebstw i uniżoności, jego zrobiły szorstkim aż do okrucieństwa. Na nieszczęście gburowatość ta, do darowania kiedy była obronną, nie opuszczała go w takich nawet kołach, gdzie obchodzono się z nim uprzejmie i po przyjacielsku. Wiecznie go coś ciągnęło, żeby bić tych, którzy sobie cokolwiek względem niego pozwolili; wszyscy atoli, którzy od niego doznali takiego obejścia, mieli ten rozum, że siedzieli cicho, z wyjątkiem jednego tylko pana Osborne najbardziej chciwego i gburowatego z księgarzów, który głosił na wszystkie strony, że powalił go na ziemię ten olbrzym, którego najął był do wychwalania Biblioteki Harleya [1]).

[1]) Harley Robert, hrabia Oxford, ur. 1661, um. 1724. Przez długi czas w życiu politycznem, przywódca Torysów, w późniejszych latach zebrał bogatą bibliotekę, nabytą przez rząd i wcieloną do muzeum Brytyjskiego.

W rok mniej więcej po przyjeździe do Londynu, trafiło się szczęśliwie, że Johnson dostał stałe zajęcie u pana Cave, przedsiębiorczego i rozumnego księgarza, właściciela i wydawcy pisma peryodycznego *Gentlemans Magazine*. Pismo to, które podówczas rozpoczynało rok dziewiąty długiego swojego istnienia, było jedynem w całem królestwie, jakie podług dzisiejszych pojęć znacznie było rozpowszechnionem. Było ono jedynem źródłem, z którego można się było dowiedzieć o tem, co się działo w Parlamencie. W owym czasie nie było rzeczą zupełnie bezpieczną ogłaszać sprawozdania z Izb inaczej, jak pod figurami. Cave umyślił zabawiać swoich czytelników sprawozdaniami, jak je nazwał, z posiedzeń Lilipuckiego Senatu. Francya nazywała się Blefuscu, Londyn Mildendo; książę Newcastle nazywał się Nardak, Sekretarz Stanu, Lord Hardwicke Hurgo Hickrad, a William Pulteney Wingul Pulnub. Pisać mowy do tych sprawozdań było przez lat kilka obowiązkiem Johnsona. Dostarczano mu zwykle zapisków, skąpych naturalnie i niedokładnych, z tego co mówionem było w Izbie; zdarzało się jednak czasami, że musiał z własnej głowy dostarczyć i argumentów i retoryki tak dla ministeryum, jak i dla opozycyi. On sam był Torysem nie z rozumnego przekonania, bo sądził w gruncie, że wszystkie rządy były jednako złe lub tak samo dobre, ale czysto z namiętności, takiej jaka Capuletów zagrzewała przeciw Montecchim, lub w bizantyńskim cyrku Niebieskich przeciwko Zielonym. W dzieciństwie tyle się był nasłuchał o bezeceństwach Whigów i o niebezpieczeństwie Kościoła, że nabrał namiętności stronnictwa, zanim jeszcze mówić się nauczył. Mając trzy lata, nalegał raz koniecznie, żeby go wzięto w Lichfield do katedry, gdzie kazać miał Sacheverell [1]), i słuchał kazania z niemniejszem uszanowaniem i z niemniejszem zapewne zrozumieniem rzeczy, jak zgromadzona wiejska szlachta ze Staffordshire. A co zaczęło pierwotne

[1]) Sacheverell, ur. 1672, umarł 1724; sławny z kazań politycznych, w których zaczepiał i wyśmiewał Whigów.

wychowanie, to dokończył uniwersytet. Oxford, za pobytu Johnsona był gniazdem najzagorzalszych Jakobitów, a Pembroke było najzagorzalszem w Jakobityzmie ze wszystkich Oxfordzkich kollegiów. Dość, że Johnson przywiózł z sobą do Londynu uprzedzenia i przesądy tak niedorzeczne, jak te, które żywi jego Tom Tempest. Karol II i Jakób II, byli to, podług niego jedni z najlepszych królów na świecie; Laud, biedne człowieczysko, które w życiu swojem nie zrobiło, nie napisało, nie powiedziało nic, coby przechodziło zwykłą możność starej baby, był cudem zdolności i nauki, na którego grobie Gieniusz i Sztuka nigdy płakać nie przestaną. Hampden nie wart był niczego lepszego, jak nazwiska »fanatyka buntu«, a nawet o podatku okrętowym potępionym przecież nie mniej stanowczo przez Falklanda i Clarendona jak przez najzapaleńsze Okrągłe Głowy, nie śmie Johnson orzec, że był podatkiem nieprawnym. Pod rządem tak łagodnym, jakiego nigdy jeszcze dotąd nie było na świecie, pod rządem, który zostawiał ludowi bezprzykładną dotychczas wolność mówienia i działania, on uroił sobie, że był niewolnikiem; szarpał ministrów szkalowaniami, które same największy mu fałsz zadawały, i płakał zawsze za straconą wolnością owych złotych czasów, w których pisarz, któryby był pozwolił sobie dziesiątą część tego co on sobie co dnia pozwalał, byłby był stawionym pod pręgierz, okaleczonym nożycami, przywiązanym za powózką i smaganym, a w końcu wrzuconym na całe życie do smrodliwego więzienia. Niecierpiał on dyssydentów, giełdowych spekulantów, akcyzy, wojska, siedmioletnich parlamentów, i stosunków z kontynentem. Długi czas miał nieprzezwyciężoną nienawiść do Szkotów, nienawiść, z której początku sam nie umiał zdać sprawy, ale która, jak sam przyznawał, pochodziła z oburzenia, jakiem przejmowało go zachowanie Szkotów za czasu wielkiego buntu. Łatwo sobie wyobrazić, jak wypaść musiały sprawozdania z rozpraw o wielkich zasadach stronnictw, układane przez człowieka z umysłem tak obłąkanym duchem stronnictwa. Jednakowoż pewien pozór bezstronności i sprawiedliwości po-

trzebnym był dla powodzenia *Magazynu*, i Johnson zachowywał te pozory; sam jednak przyznał później, że zachowując je starał się przecież usilnie, by te psy Whigi nie wychodziły z rozpraw zwycięzko. I istotnie, wszystkie ustępy które zostały, wszystkie które tylko noszą na sobie cechę wyższych jego zdolności, włożone są bez wyjątku w usta opozycyi.

Równocześnie prawie z podjęciem tych prac podrzędnych, wydał Johnson dzieło, które odrazu postawiło go wysoko między pisarzami jego wieku. Być może, że to co znosić musiał w pierwszym roku swojego pobytu w Londynie, przywodziło mu na myśl niektóre ustępy tego szlachetnego poematu, w którym Juwenal opisuje nędzę i poniżenie biednego literata, mieszkającego między gołębiami w jednem z tych spróchniałych poddaszów, które zwieszały się nad ciasnemi uliczkami Rzymu. Popégo wspaniałe naśladowanie satyr i listów Horacego czytanem było powszechnie, a u wielu uchodziło za wyższe od samego oryginału. Czem Pope dla Horacego, tem Johnson zapragnął być dla Juwenala; przedsiewzięcie śmiałe, ale nie nierozsądne, bo miał on wiele wspólnego z Juwenalem; więcej nierównie, niżeli miał Pope z Horacym.

Johnsona tedy *Londyn* ukazał się bezimiennie w maju, roku 1758. Dostał on tylko dziesięć gwinei za silny i poważny ten poemat; pokup atoli był wielki, a powodzenie zupełne. W przeciągu tygodnia żądano już drugiego wydania. Płascy ci krytycy, którzy zawsze tylko dyszą za poniżeniem uznanej zasługi i zdolności, pośpieszyli zawyrokować, że bezimienny satyryk przeszedł Popego we własnym Popego rodzaju. Na chwałę tego ostatniego wspomnieć tu należy, że serdeczny brał udział w oklasku, którym witano wystąpienie poety współzawodnika. Po całym Londynie szukał on autora, utrzymując, że człowiek taki nie może długo pozostać nieznanym. Wkrótce też wykryło się imię autora, a Pope bardzo poczciwie starał się wszelkiemi sposobami dostać dla biednego młodego poety stopień akademicki, i posadę nauczyciela przy jakiejś szkole

łacińskiej. Starania te atoli nie odniosły skutku, i Johnson został nadal najemnikiem u księgarza.

Nie zdaje się, żeby ci dwaj pisarze, jeden najznakomitszy w pokoleniu które z pola schodziło, drugi najznakomitszy w pokoleniu wstępującem teraz na scenę, byli się kiedykolwiek z sobą widzieli. Żyli oni w różnych zupełnie kołach; jeden w otoczeniu książąt i hrabiów, drugi w otoczeniu paszkwilistów i pismaków. Między owoczesnemi znajomościami Johnsona zasługuje na wzmiankę Boyn, który, kiedy koszulę zastawił, bazgrał łacińskie wiersze w łóżku, rękami wystawionemi przez dziury w kołdrze; który po trzeźwu pisywał nienajgorsze wiersze religijne, a w końcu po pijanemu, przejechanym został przez dorożkę. Hoole, przezwany metafizycznym krawcem, który zamiast pilnować brania miary, kreślił geometryczne figury na stole, na którym siedział ze skrzyżowanemi nogami; i wreszcie George Psalmanazar, ten oszust pokutnik, który dzień cały prześlęczawszy w nędznej izdebce nad foliałami żydowskich rabinów i chrześciańskich ojców, w nocy za to pozwalał sobie rozmów literackich i teologicznych w piwiarni. Ale najciekawszą postacią między owoczesnemi znajomościami Johnsona był Ryszard Savage [1]), syn hrabiego i szewski czeladnik, człowiek, który znał życie ze wszystkich stron, który z orderowymi panami biesiadował na St. James's Square, a potem z pięciudziesiąt funtowemi żelazami na nogach leżał w więzieniu Newgate. Człowiek ten, po najdziwniejszych zmianach i kolejach losu, zapadł w ubóstwo niegodne i bez ratunku. Pióro go zawiodło, opiekunów albo mu śmierć zabrała, albo zraziła rozrzutność z jaką marnotrawił zapomogi, i zuchwała niewdzięczność, z jaką ich rady odrzucał. Teraz żył o żebranym chlebie; jeżeli mu się udało pożyczyć zkąd gwinei, to raczył się zaraz zwierzyną i szampańskiem winem; jeżeli kwesta źle poszła, to uspakajał szalony głód resztkami jakich po-

[1]) Savage, ur. 1698, um. 1743; poeta, autor wielu komedyj, tragedyj, satyr etc.

traw, i kładł się spać w Covent Garden, na trawniku jeżeli było ciepło, a jeżeli zimno, jak mógł najbliżej przy piecu jakiej szklarni. Ale i wśród takiej nawet nędzy był on jeszcze przyjemnym towarzyszem. Miał niewyczerpany zasób anegdot o tym wielkim świecie, z którego teraz był wyrzutkiem; widział był wielkich ludzi obu stronnictw w chwilach swobodnego zapomnienia, widział przywódców opozycyi bez maski patryotyzmu na twarzy, słyszał nie raz jak pierwszy minister śmiał się z całego gardła i opowiadał historyjki nie zawsze przystojne. Przez kilka miesięcy żył Savage w najściślejszej zażyłości z Johnsonem, a kiedy przyszło się rozstać, nie bez łez żegnali się przyjaciele. Johnson został w Londynie i pracował dalej dla księgarza Cave, a Savage udał się na Zachód, gdzie prowadził życie takie jak wszędzie, a nareszcie bez grosza i ze złamanem sercem umarł w Bristol w więzieniu w r. 1743.

Wkrótce po jego śmierci, w chwili kiedy ciekawość publiczności najmocniej była zaostrzona osobliwszym jego charakterem i nie mniej osobliwszemi przygodami, ukazał się jego żywot, różny zupełnie od zwykłych wydrwigroszowych żywotów znakomitych ludzi, jakie podówczas zwykłym były w handlu wyrobem i legiwały na składach na Grub-Street. Co do łatwości i rozmaitości stylowi dało się wiele zarzucić; autor widocznie zbyt był rozmiłowanym w łacińskim pierwiastku naszego stylu. Ale pomimo wszystkich tych wad, mała ta książeczka była przecież arcydziełem. W żadnym języku martwym czy żyjącym, nie było doskonalszej próbki biografii literackiej, a bystry krytyk łatwo mógł był przepowiadać z całą pewnością, że autor musiał w przyszłości zostać założycielem nowej szkoły angielskiej wymowy.

Żywot ten wyszedł bezimiennie, ale wiedziano w kołach literackich, że autorem jego był Johnson. Przez ciąg kilku lat następnych nie napisał on nic znaczniejszego, ale pomimo to nie tracił, nie mógł tracić czasu. Sława jego zdolności i nauki

rosła nieustannie; Warburton [1]) uznał go człowiekiem niepospolitego gieniuszu, a pochwała Warburtona nie była rzeczą małą w owym czasie. Dość, że pomału zrobił sobie imię takie, że w r. 1747 kilku księgarzy powierzyło mu wspólnie trudne zadanie ułożenia słownika angielskiego w dwóch tomach in folio. Summa jaką zapłacić mu zobowiązali się, wynosiła tylko tysiąc pięćset gwinei, a z tego jeszcze opłacać musiał kilku biednych literatów, których używał do podrzędnych robót.

Prospekt na ten Słownik przypisał on Lordowi Chesterfield, uznanemu powszechnie za wzór wykwintnego ułożenia, za dowcip pierwszego rzędu i za wyrocznią w rzeczach smaku. Oprócz tego uchodził Chesterfield za pierwszego mowcę w Izbie Lordów, a przed niedawnym czasem sprawowawszy w ważnej chwili rządy Irlandyi z niepospolitą stałością, roztropnością i ludzkością, został w końcu Sekretarzem Stanu. Z ujmującą grzecznością przyjął on ten hołd Johnsona, odpłacił się zań kilkoma dukatami, ofiarowanemi zapewne w sposób jaknajuprzejmiejszy, ale nie życzył sobie wcale, żeby roztargniony, niezgrabny uczony, który miewał osobliwsze pomysły, osobliwsze wydawał mruki, ubierał się jak straszydło na wróble a jadał jak wilk, walał mu błotem ulicznem wszystkie dywany, i rozlewał zupę i wino na prawo i na lewo na suknie dam i kamizelki elegantów. Biedny Johnson stukał przez jakiś czas do drzwi swojego patrona, ale słysząc zawsze od szwajcara, że Mylorda nie ma w domu, domyślił się i przestał zachodzić w niegościnne progi.

Pochlebiał on sobie, że ukończy swój słownik w r. 1750, ale nie zdążył wydać swoich ogromnych foliałów przed rokiem 1755. W ciągu tych siedmiu lat mozolnej pracy nad układaniem definicyi i wybieraniem cytatów do przepisania, szukał sobie rozrywki w pracach literackich przyjemniejszego

[1]) Warburton, ur. 1698, um. 1779 roku; duchowny anglikański, w końcu biskup z Glocester, autor wielu dzieł, przeważnie filozoficznej i teologicznej treści.

rodzaju. W roku 1749 wydał wyborne naśladowanie dziesiątej satyry Juwenala, pod tytułem: *Marność chęci ludzkich.* Rzeczywiście, trudno osądzić, czy palma należy się starożytnemu czy naszemu poecie. Ustęp, w którym opisany jest upadek Wolseya, choć wzniosły i wspaniały, słabym jest w porównaniu z temi przepysznemi wierszami, które stawiają nam przed oczy cały Rzym wzburzony upadkiem Sejana, wieńce laurowe na wszystkich drzwiach, uroczysty pochód białego byka na Capitol, posągi spadające z piedestałów, i cały tłum pochlebców upadłego ministra, jak leci patrzeć na jego trupa wleczonego hakami przez ulice, i kopie go nogami, zanim wrzuconym zostanie do Tybru. Przyznać należy prócz tego, że w ostatnim ustępie moralista chrześciański nie umiał skorzystać z naturalnej swojej wyższości, i pozostał daleko w tyle za szczytnym swoim pogańskim pierwowzorem. Ale za to z drugiej strony, Hannibal Juwenala musi ustąpić pierwszeństwa Karolowi Johnsona, a silny i patetyczny Johnsona obraz nędz literackiego zawodu, wyższość ma niezaprzeczoną nad Juwenala lamentami nad losem Cicerona i Demosthenesa.

Za rękopism *Marności żądz ludzkich* dostał Johnson wszystkiego piętnaście gwinei.

W kilka dni po wyjściu tego poematu, tragedya jego przed dawnemi jeszcze laty zaczęta, ukazała się na scenie. Uczeń jego Dawid Garrick, wystąpił był w roku 1741 na podrzędnym jakimś teatrze w Goodmansfields, od pierwszego razu wzniósł się na pierwsze miejsce między aktorami, a teraz, po kilku latach nieprzerwanych powodzeń, został dyrektorem teatru Drury-Lane. Stosunki jego z dawnym nauczycielem były osobliwszego rodzaju. Mieli oni wzajemnie silny wstręt i równie silny pociąg do siebie. Natura ulepiła ich z różnej zupełnie gliny, a okoliczności rozwinęły w całej pełni wrodzone każdemu własności. Garrickowi zawróciło głowę nagłe i niespodziewane powodzenie; charakter Johnsona zgorzkniał pod wpływem nieustannych przeciwności. Z większą niż tak wielkiemu człowiekowi przystało zazdrością, patrzał Johnson na willę,

na srebra, porcelany i bruxelskie dywany, które ten komedyant zarobił powtarzaniem z różnemi minami i gestami tego, co mądrzejsi ludzie napisali; niesłychanie zaś drażliwą próżność Garricka bolało to wielce, że kiedy cały świat go podziwiał, jeden kwaśny cynik, na którego zdanie nie można było nie zważać, nie oddał mu nigdy najmniejszej pochwały niezaprawnej pogardą. Pomimo tego jednak, mieli oni tyle wspólnych wspomnień i zgadzali się z sobą pod tyloma względami, pod któremi z nikim z całej ogromnej ludności Londynu zgodzić się nie mogli, że choć mistrzowi uczeń wydawał się zuchwałym jak małpa, a mistrz uczniowi gburowatym jak niedźwiedź, byli sobie przecież zawsze przyjaciołmi, dopokąd ich śmierć nie rozłączyła. Garrick tedy przedstawił *Irenę*, zmieniwszy ją dość by urazić autora, nie dość, by zadowolnić publiczność. Słuchała jednak ta publiczność, z małym zapałem ale z wielką grzecznością pięciu aktów monotonnej deklamacyi. Po dziewięciu atoli przedstawieniach trzeba było przestać. Sztuka istotnie zupełnie jest niestósowną do sceny, a nawet przeczytana w zaciszu pracowni, jeszcze nie może wydać się godną autora. Nie miał on żadnego pojęcia o tem, czem powinien być wiersz nierymowy; ze zmianą końcowej zgłoski w każdym wierszu, wiersz z *Marności żądz ludzkich* byłby zupełnie tem samem, co wierszowanie w *Irenie*. Na benefisowem atoli przedstawieniu i na sprzedaży rękopismu swojej tragedyi zarobił autor około trzysta funtów, co w jego oczach było podówczas summą nie małą.

W rok mniej więcej po przedstawieniu *Ireny*, wziął się Johnson do wydawania seryi krótkich rozpraw moralnych, obyczajowych i literackich. Rodzaj ten wszedł w modę po wielkiem powodzeniu *Gaduły* (Tattler), a zwłaszcza po niesłychanem powodzeniu *Spektatora* [1]). Nadarmo silił się cały rój lichych pisarzów dorównać Addisonowi; *Lay-Monastery, Cen-*

[1]) *Tattler* i *Spectator*, pisma zbiorowe wydawane przez Steela i Addisona.

zor, *Wolnomyślący*, *Poczciwiec*, *Rycerz*, wszystko to miało krótką chwilę istnienia, ale żadne nie zdobyło sobie stałego w literaturze stanowiska, a dziś znaleźć je można chyba w bibliotekach zamiłowanych zbieraczy. W końcu puścił się Johnson na to przedsięwzięcie, na którem się tylu sparzyło; w trzydziestym szóstym roku po wyjściu ostatniego numeru *Spektatora*, ukazał się pierwszy numer *Ramblera* (Włóczęgi), i od Marca roku 1750 do Marca 1752 wychodziło to pismo każdego wtorku i każdej soboty.

Mała liczba znakomitszych czytelników powitała je z zapałem od pierwszego razu. Po pięciu zaraz numerach osądził Richardson [1]), że *Rambler* dorównywał *Spektatorowi*, jeżeli go nie przewyższał. Young i Hartley [2]) równie gorące oddawali mu pochwały. Robert Doddington, do którego mnogich wad nie liczyła się obojętność dla gieniuszu i nauki, starał się usilnie o znajomość z autorem, a wskutku jego zapewne wstawienia, jako poufnego naonczas doradcy księcia Fryderyka [3]), dwóch szambelanów jego książęcej mości zaniosło, zamówiło w drukarni siedem exemplarzy dla Leicester House, z uprzejmemi słowami od księcia. Kroki te jednak bardzo zimno były przyjęte; Johnson miał dosyć do końca życia opieki wielkich panów, i nie miał ochoty odchodzić tak od drzwi czyichkolwiek, jak odchodził dawniej od drzwi Chesterfielda.

Publiczność chłodno zrazu przyjęła *Ramblera*, numer pojedynczy kosztował tylko dwa pensy, a pomimo tego nie rozchodziło się ani pięćset exemplarzy. Korzyści były oczywiście bardzo małe; ale jak tylko numera pojedyncze zostały zebrane i przedrukowane, natychmiast stały się popularnemi.

[1]) Richardson Samuel, ur. 1689, um. 1761 r. Sławny pisarz powieści (*Klaryssa Harlowe*, *Grandison etc*).

[2]) Young Edward, ur. 1661, um. 1765; poeta, autor sławnych elegijnych *Nocy*. Hartley Dawid, ur. 1705, um. 1757 r.; lekarz, autor wielu dzieł głównie z zakresu psychologii.

[3]) Książę Fryderyk, syn Jerzego II, ojciec Jerzego III, zmarły jako książę Wallii.

Autor doczekał się tego, że rozchodziło się po Anglii samej trzynaście tysięcy exemplarzy, a dla targów szkockich i irlandzkich osobne prócz tego robiły się wydania. Jedno stronnictwo bardzo liczne orzekło, że styl był doskonały, tak doskonały, że w niektórych przynajmniej rozprawach sam autor nie potrafiłby jednego słowa zmienić na lepsze. Inne znowu stronnictwo, nie mniej liczne, oskarżało go gwałtownie, że zepsuł czystość angielskiego języka. Najlepsi krytycy zgadzali się na to, że dykcya Johnsona była monotonna, zbyt widocznie sztuczna, a gdzieniegdzie napuszona nieledwie do śmieszności, ale oddawali wszelką sprawiedliwość bystrości i trafności uwag jego moralnych i obyczajowych; uznawali, że język jego był zawsze jędrny a często świetny, że w niejednym poważnym ustępie wznosił się do uroczystej i wspaniałej wymowy, a że w niejednym znowu ustępie lekkim miał humor i dowcip poważny, ale nie bez wdzięku. W sprawie o wyższość między Johnsonem a Addisonem, która to sprawa wielu ludzi zajmowała przed laty siedmiudziesiąt, potomność wydała już wyrok, od którego nie ma apellacyi. Któż nie zna postaci takich jak Sir Royer jego piwniczy i jego kapelan, Will Wimble i Will Honeycomb; któż nie zna Widzenia Mirzy, Dziennika Prywatnego Obywatela, Wiecznego klubu, Wędzonej słoniny z Dunmow, Miłostek Shaluma i Hilpy, Obywatela z prowincyi na giełdzie lub w Westminsterskiem opactwie? Ale pomiędzy wykształconemi nawet umysłami znajdzie się wielu mężczyzn i wiele kobiet, którzy nie znają ani pana Bluster ani Mistress Busy, ani Quisquilnisa ani Venustulusa, ani Allegoryi Dowcipu i Nauki, ani Kroniki Rewolucyi na Poddaszu, ani Smutnych Losów Ajuda i Aninguit.

Ostatni *Rambler* pisany był w chwili bardzo smutnej. Lekarze odstąpili panią Johnson, która we trzy dni później umarła. Biedny mąż był niepocieszony. Dziwili się ludzie nieraz, widząc, jak człowiek ten uczony i gienialny zniżał się do najniższych prac, odmawiał sobie wszelkiej wygody, dlatego, by przesadnej głupiej starej babie dostarczyć rzeczy zbytkowych,

które z małą tylko przyjmowała wdzięcznością. Ale cóż dziwnego, na nią zlały się wszystkie jego uczucia; nie miał on ani brata ani siostry, ani syna ani córki; w jego oczach była ona piękna jak panna Gunning, a dowcipna jak Lady Mary [1]). Jej sąd o jego utworach obchodził go więcej, niż głos parteru w teatrze Drury Lane, lub krytyka w Monthley Review. W czasach najtwardszego mozołu znajdował on pociechę i siłę w tej myśli, że ona użyje sławy i korzyści, której spodziewał się ze swojego słownika. Teraz jej nie stało, a on w tym ogromnym labiryncie ulic, zaludnionym ośmiuset tysiącami mieszkańców, on pozostał sam jeden. Pomimo tego jednak musiał koniecznie pracować, jak się sam wyraził, jak pies, i po trzech jeszcze latach ciężkiego mozołu, słownik został wreszcie ukończonym.

Sądzono powszechnie, że wielkie to dzieło przypisze autor temu samemu wymownemu i wykształconemu panu, któremu przypisał był prospekt. Chesterfield wiedział dobrze, ile wart był hołd taki, i wielkim nakładem gorliwej, rozumnej i delikatnej życzliwości, starał się ułagodzić dumę, którą tak boleśnie był zranił. Odkąd *Rambler* zaprzestał wychodzić, zabawiał miasto inny dziennik, *Świat* (the World), do którego pisywało wielu ludzi z wielkiego świata. Pisma Johnsona wychwalał dziennik ten gorąco; w dwóch następujących po sobie numerach *Świata*, słownik pchanym był do góry z niesłychaną zręcznością. Wnoszono tam, aby oddać Johnsonowi władzę Dyktatora, ba nawet władzę Papieża nad językiem, i żeby jego wyroki co do znaczenia i syllabizowania wyrazów, przyjęte były za stanowcze i nieodwołalne. Dwa jego tomy in folio, oczywiście, mówił dziennik, kupi każdy, kto ma trochę pieniędzy; a wszystkie te pochwały, dowiedziano się niebawem,

[1]) Lady Mary Wortley Montague, ur. 1690, um. 1762 r.; sławna z rozumu i dowcipu. Przebyła prawie całe życie za granicą jako żona posła angielskiego, głównie w Konstantynopolu. Pierwsza zastósowała w Europie szczepienie ospy. Autorka różnych dzieł, z których najcenniejsze *Listy*.

pisał nie kto inny jak Chesterfield [1]). Słuszna atoli uraza Johnsona nie dała się tak zatrzeć. W liście napisanym z wielką siłą i godnością myśli i wyrażenia, odepchnął on poniewczesne te umizgi swojego patrona, i Słownik wyszedł bez dedykacyi. W przedmowie oświadczył autor z całą słusznością, że nic nie zawdzięczał wielkim, a trudności z jakiemi musiał walczyć, opisał tak dosadnie i tak rzewnie, że najzdolniejszy i najzłośliwszy z wrogów jego sławy, Horne-Tooke [2]), ustępu tego nie mógł nigdy bez łez przeczytać.

Publiczność oddała w tym razie zupełną Johnsonowi sprawiedliwość, a nawet może i więcej jak sprawiedliwość. Najlepszy Lexicograf może się mieć za szczęśliwego, jeżeli świat przyjmuje jego dzieła z zimnem uznaniem; słownik zaś Johnsona powitano z zapałem, jakiego nigdy żadna podobna praca nie wzbudziła. Rzeczywiście był to pierwszy słownik, który dawał się czytać z przyjemnością. Określenia z taką ułożone są dosadną trafnością i z tak niepospolitą władzą nad językiem, a wyjątki z poetów, filozofów i teologów z taką wybrane są sztuką, że godzinę wolnego czasu zawsze spędzić można przyjemnie na przerzucaniu kart tego słownika. Błędy tego dzieła zawarte są po największej części w jednym wielkim błędzie. Johnson opłakanym był etymologiem; ze wszystkich języków teutońskiego pierwiastku znał tylko jeden język angielski, który pod jego piórem przestawał być teutońskim językiem; z tego więc powodu i pod tym względem zostawał Johnson zupełnie na łasce Juniusa [3]) i Skinnera.

[1]) Chesterfield Filip, ur. 1694, um. 1773 roku; sławny z rozumu, dowcipu i wykwintnego układu. Autor *Listów do syna*, zbioru uwag i rad odnoszących się do światowego życia. W przyjaźni z Voltairem i Monteskiuszem. Poseł do różnych dworów, Vice-król Irlandyi, sekretarz stanu.

[2]) Horne-Tooke Jan, ur. 1736, um. 1812 r.; filolog, publicysta; przyjaciel i pomocnik słynnego publicysty Wilkesa, domniemanego autora *Listów Juniusza*.

[3]) Junius Franciszek, ur. 1589, um. 1677 r.; autor *Glossarium* pięciu języków północnych.

Słownik przyczynił się nie mało do podniesienia sławy Johnsona, ale nic wcale do poprawienia jego losu. Tysiąc pięćset gwinei, za które ugodzili się z nim księgarze, dawno były wypłacone i wydane, zanim ostatnie arkusze wyszły z pod prasy. Przykro powiedzieć, że w następnym zaraz roku po wydaniu słownika dwa razy dostał się Johnson do więzienia za długi, i że dwa razy winien był wykupienie swoje szlachetnemu swemu przyjacielowi Richardsonowi. Człowiek ten, którego największa powaga literacka witała dyktatorem angielskiego języka, musiał zawsze jeszcze zarabiać ustawiczną pracą na pierwsze potrzeby życia. Zrobił on wyciąg ze swojego słownika; umyślił zrobić nowe wydanie Szekspira przez subskrypcyę, i rzeczywiście mnóstwo ludzi podpisało prenumeratę i złożyło pieniądze; ale niebawem praca ta tak się Johnsonowi sprzykrzyła, że porzucił ją dla przyjemniejszych zatrudnień. Pisywał on wiele do nowego miesięcznego pisma, które się nazywało *Magazyn Literacki;* pomiędzy artykułami temi mało znajduje się rzeczy zajmujących, ale między niemi ta znajduje się najlepsza bezwzględnie rzecz, jaką Johnson napisał, arcydzieło tak pod względem rozumowania, jak pod względem satyrycznego dowcipu, mianowicie krytyka badań Jenynsa [1]) *O naturze i początku złego.*

Na wiosnę roku 1758 zaczął Johnson wydawać nowy szereg rozpraw, pod tytułem *the Idler* (Próżniak). Pismo to wychodziło co tydzień przez dwa lata; czytano je chciwie, trzymano licznie, i okradano bezczelnie, kiedy jeszcze w pierwotnej było formie, a rozkupowano ogromnie, skoro się ukazało zebrane w tomy. *Idler* ten jest poprostu drugim tomem dawnego *Ramblera*, cokolwiek żywszym i cokolwiek słabszym od pierwszego.

Podczas gdy Johnson zajęty był wydawaniem *Idlera*, umarła w Lichfield jego matka, licząca lat dziewięćdziesiąt.

[1]) Jenyns, ur. 1704, um 1787 r.; autor wielu rozpraw i poezyj, w swoim czasie ceniony z dowcipu.

Dawno już nie był on jej widział, ale nie zaniedbał nigdy zaopatrywać jej potrzeb hojnie w stosunku do swoich środków. Na opędzenie kosztów jej pogrzebu, na zapłacenie jakichś jej małych długów, napisał on w przeciągu jednego tygodnia małą książeczkę, i posyłał arkusze do drukarni, nie czytając i nie poprawiając. Za rękopism dostał sto funtów; a nabywca mógł sobie winszować handlu, bo książką tą był *Rasselas*.

Rasselas miał ogromne powodzenie, choć takie panie jak Miss Lydia Languish [1]) gorżkiego musiały doznać rozczarowania na widok, że najnowszy tom w czytelni nie był niczem więcej, jak nową rozprawą o ulubionym przedmiocie autora, o marności chęci ludzkich; że książę Abissynii nie miał kochanki ani księżna kochanka, i że na końcu powieści bohater i bohaterka zostawali w takiem samem położeniu, w jakiem byli na początku. Styl dał powód do mnogich i zaciętych sporów. Przegląd Miesięczny i Przegląd Krytyczny stanęły po dwóch przeciwnych stronach; jedni z czytelników okrzyczeli autora za nadętego, napuszonego pedanta, który nigdy nie użył słowa dwuzgłoskowego, gdzie mógł wpakować słowo sześciozgłoskowe, i który nie mógł napisać opowiadania pokojówki o jej przygodach, żeby nie ważył rzeczownika z rzeczownikiem i epitetu z epitetem. Drugie znowu stronnictwo, nie mniej zażarte, cytowało z rozkoszą liczne ustępy, w których myśl poważna i głęboka wyrażona była trafnie, dosadnie i świetnie. Autor zasłużył równie na te krytyki jak i na te pochwały.

Krytycy mało mówili o planie *Rasselasa*, a jednak wady tego planu same zdawały się wzywać surowej krytyki. Wytykał nieraz Johnson Szekspirowi, że nie dbał o prawdopodobieństwa czasu i miejsca, i że pewnemu jakiemuś narodowi lub wiekowi przypisywał obyczaje i wyobrażenia innego. Szekspir jednak nigdy w tym względzie nie pobłądził tak grubo jak Johnson. *Rasselas*, *Nekayah*, *Imlak i Pekuah* mają oczywiście być Abissyńczykami z XVIII-go wieku, skoro Europa, którą

[1]) Miss Lydia Languish, figura z komedyi.

Imlak opisuje, jest Europą XVIII-go wieku, i skoro mieszkańcy Szczęśliwej Doliny rozprawiają sobie w najlepsze o prawie grawitacyi, które odkrył Newton, a które w XVIII w. w Cambridge nawet nie było zupełnie uznanem. Czem zaś mogło być w owym czasie rzeczywiste towarzystwo prawdziwych Abissyńczyków, dowiedzieć się mógł Johnson z podróży Brucego. A przecież Johnson, nie dość że brudnych dzikich, nieznających liter, i pożerających surowe sztuki z żywych krów wyrżnięte, robi filozofami tak oświeconymi i wymownymi, jak on sam lub przyjaciel jego Burke; nie dość, że Abissyńskim damom nadaje wychowanie i wykształcenie pani Lennox lub pani Sheridan, ale nadto jeszcze przeniósł do Egiptu cały system domowego życia Anglików. Do kraju haremów, do kraju wielożeństwa, do kraju, gdzie kobiety idą za ludzi którzy ich nigdy nie widzieli, wprowadza Johnson umizgi i zazdrości naszych balowych salonów. W kraju, gdzie istnieje nieograniczona wolność rozwodu, opisuje on małżeństwo jako węzeł nierozerwany. »Młodzieniec i dziewczyna, spotkawszy »się z sobą przypadkiem lub podstępem z sobą zapoznani, »zamieniają spojrzenia, wzajemne grzeczności, wracają do domu »i marzą jedno o drugiem. Taki« mówi *Rasselas*, »jest zwy»kły początek małżeństwa.« Może był taki i może zawsze jeszcze jest taki w Londynie, ale z pewnością nie w Kairze. Pisarz, który sam takich dopuścił się błędów, nie miał prawa wyrzucać drugiemu, że Hektorowi kazał cytować Arystotelesa, lub że Giulio Romano kwitnie u niego za czasów wyroczni Delfickiej.

Temi to, któreśmy opisali, pracami utrzymywał się Johnson aż do roku 1762, w tym zaś roku zaszła zmiana w jego stosunkach. Od dziecka był on nieprzyjacielem panującej dynastyi, a Jakobickim swoim przesądom dawał wyraz przy każdej sposobności w pismach równie jak w rozmowach. W wielkim swoim nawet i tak opracowanym słowniku, umieścił on wiele uwag gorżkich i zelżywych o Whigach z osobliwszym brakiem taktu i dobrego smaku. Akcyzę, ulubiony ten podatek finan-

sistów Whigów, określił jako podatek haniebny. Komisarzów zaś akcyzy opisał w takich słowach, że myśleli na prawdę o wydaniu mu procesu; gdy mu przyszło objaśnić znaczenie słowa Renegat, chciał koniecznie wymienić Lorda kanclerza, jako przykład, i z wielką tylko trudnością zdołano go odwieść od tego zamiaru. Słowo pensya wytłomaczył jako płacę dawaną przez państwo najemnikowi, na to, by zdradzał ojczyznę, a człowiek pobierający pensyę, jest u niego niewolnikiem państwa, słuchającym Pana za jurgielt. Mogło zdawać się nieprawdopodobnem, żeby autor podobnych definicyj sam mógł kiedy przyjąć pensyę; ale czas ten był czasem cudów. Jerzy III wstąpił był na tron, i w przeciągu kilku tygodni zniechęcił sobie wielu dawnych przyjaciół, zjednał wielu nieprzyjaciół swojego domu. City stawała się nieprzychylną rządowi, Oxford zaczynał być lojalnym na nowo; Bentincki i Cavendishe szemrali a Windhamy i Somersetowie cisnęli się do ucałowania ręki. Na czele ministeryum stał Lord Bute [1]), Torys, który nie mógł mieć nic przeciwko toryzmowi Johnsona. Bute chciał uchodzić za patrona uczonych i literatów. Johnson był jednym z literatów najznakomitszych i najbiedniejszych w Europie. Ofiarowano mu więc pensyę roczną trzechset funtów, którą też, nie namyślając się wiele i przyjął.

Wypadek ten wywołał wielką zmianę w całym sposobie życia Johnsona. Po raz pierwszy w życiu nie czuł teraz codziennego nad sobą kija, napędzającego go do codziennej roboty. Po trzydziestu latach mozołów i niepewności o jutro, mógł po raz pierwszy folgować wrodzonemu lenistwu, leżeć w łóżku do drugiej po południu, siedzieć po nocach do czwartej zrana na pogadance, bez obawy, by nie nadszedł go chłopiec od drukarza lub woźny od Szeryfa.

Do jednej tylko mozolnej przyniewolił się pracy. Poprzednio wziął był liczne subskrypcye na nowe wydanie Szekspira, żył z nich przez lat kilka, i nie mógł bez wielkiej dla

[1]) John Stuart hrabia Bute, ur. 1713, um. 1792 r.

siebie ujmy, nie wywiązać się z przyjętego zobowiązania. Przyjaciele nalegali nań ustawicznie, by sobie przecież zadał ten przymus, on ustawicznie obiecywał że to zrobi; ale pomimo upomnień i obietnic, upływał miesiąc po miesiącu i rok po roku, a Szekspir nie wychodził. Johnson modlił się gorąco, żeby go Pan Bóg wybawił od lenistwa; postanawiał po każdej komunii nie zasypiać i nie trwonić czasu na niczem, ale zaklęcie pod którem zostawał, silniejsze było niż Sakrament i modlitwy. Prywatne jego notatki z tego czasu pełne są gorżkich wyrzutów sumienia. — »Lenistwo moje« pisze w wilią Wielkiej Nocy 1764 r. — »przeszło w szkaradną gnuśność; napadło »mnie niepojęte jakieś zapomnienie, tak że nie wiem, co się »stało z przeszłym rokiem.« Przyszła potem Wielkanoc roku 1765 i zastała go w takiem samem usposobieniu. »Czas mój«, pisze znowu, »zmarnowałem bez pożytku, wydaje mi się jak »żeby snem, po którym nic nie zostało. Tracę pamięć i sam »nie wiem, jak mi dnie przechodzą.« Na szczęście dla niego, czar złamany został nie delikatną wcale ani przyjacielską ręką. Miał on słabość uwierzyć w baśnie o duchu jakimś straszącym w jednym domu na ulicy Cock Lane, i raz z kilkoma przyjaciołmi poszedł o pierwszej w nocy do kościoła św. Jana na Clerkenwell, w nadziei, że usłyszy jakie objawienie od nieszczęśliwego ducha. Duch atoli pomimo najuroczystszych zaklęć siedział cicho, a niebawem pokazało się, że pusta jakaś jedenastoletnia dziewczyna zabawiała się w ten sposób, że wielkich filozofów wyprowadzała na dudków. Churchill, zaufany w sobie, upojony powodzeniem i pałający stronniczą nienawiścią, patrzał tylko, gdzieby znalazł Torysa jakiego z ustaloną sławą, by go oszkalować; opisał tedy w trzech *Pieśniach* owego ducha z Cock Lane, wydrwił Johnsona pod imieniem Pomposo, pytał wprost, gdzieby była owa książka tylokrotnie obiecywana i tak hojnie naprzód zapłacona, i wielkiego moralistę oskarżał bez ogródki o oszustwo. Słowa te dotkliwe zrobiły skutek, i po dziewięcioletniej zwłoce ukazało się nowe wydanie Szekspira w Październiku 1765.

Wydanie to ocaliło imię Johnsona od zarzutu nieuczciwości, ale nie dodało nic do jego sławy jako pisarza i uczonego. Przedmowa, choć zawiera niektóre dobre ustępy, nie jest napisaną w najlepszym jego stylu, a z przypisków, najwięcej wartości mają te, w których miał sposobność pokazać, jak trafne w ciągu swojego życia poczynił spostrzeżenia nad ludzką naturą i życiem. Najcelniejszym ze wszystkiego jest przypisek o charakterze Poloniusza; nawet w przepysznem objaśnieniu Hamleta w Wilhelmie Meistrze nie znajduje się nic tak doskonałego. Ale na tem też skończyć się musi pochwała, bo trudno byłoby znaleźć drugie wydanie któregokolwiek z wielkich klassyków równie niedbałe i równie bez wartości. Czytelnik może przerzucić wszystkie sztuki jednę po drugiej, a nie znaleźć jednego szczęśliwego przypuszczenia, jednej trafnej poprawki, jednego zadowalniającego objaśnienia jakiegoś ustępu, z którym poprzedni kommentatorowie nie mogli sobie dać rady. W prospekcie swoim zapowiedział Johnson całemu światu, że lepiej niż ktokolwiek inny mógł wywiązać się z tego zadania, ponieważ z powołania swego, jako słownikarz, musiał wyrobić sobie na mowę angielską pogląd nierównie szerszy niż mieć mogli jego poprzednicy. Że w literaturze angielskiej miał wiadomości bardzo obszerne, temu nikt zaprzeczyć nie może; ale na nieszczęście zaniedbał tę właśnie część literatury, z którą wydawca Szekspira przedewszystkiem obeznanym być winien. Niebezpieczna jest stawiać negatywne twierdzenia, ale jednak, twierdzić można bez wielkiej obawy, że w dwóch tomach in folio Angielskiego Słownika nie znajdzie się ani jeden wyjątek z żadnego pisarza dramatycznego z czasów Elżbiety, oprócz samego Szekspira i Ben Jonsona [1]). Z tego ostatniego nawet bardzo mało jest wyjątków. Łatwo mógł Johnson w przeciągu kilku miesięcy zapoznać się ze wszystkiemi przechowanemi dotąd dramatami z owego czasu, ale nigdy, jak się zdaje, nie przyszło mu do głowy, że

[1]) Ben Jonson, ur. 1574, um. 1637 r.

robota taka była niezbędnem przygotowaniem do dzieła, które przedsięwziął. Byłby on przyznał niewątpliwie, że zabierać się do wydania Sofoklesa, nie znając gruntownie dzieł Eschyla i Eurypidesa, byłoby szczytem niedorzeczeństwa; a przecież nie wahał się sam wydać Szekspira, nie czytawszy, ile wiedzieć można, nigdy w życiu ani jednego ustępu z Massingera, Forda, Deckera, Webstera, Marlowa, Beaumonta lub Fletchera. Obmowcy jego podnieśli na to hałas wielki i złośliwy; a ci którzy go najbardziej kochali, nie wiele mieli do powiedzenia na obronę tego sposobu, w jaki wywiązał się z obowiązków kommentatora. Ale jakkolwiekbądź, wywiązał się on z długu, który oddawna ciężył mu na sercu, i zaraz zapadł na nowo w ten spoczynek, z którego zbudziło go żądło satyry. Długi czas cieszył się on tylko nabytą już sławą; uniwersytet Oxfordzki zaszczycił go stopniem doktora, akademia królewska katedrą nauczycielską, a król sam posłuchaniem, na którem najłaskawiej wyrazić raczył nadzieję, że pisarz tak znakomity nie przestanie pisać. W całym atoli przeciągu czasu między rokiem 1765 i 1775 ogłosił Johnson dwie czy trzy tylko rozprawki treści politycznej, z których najdłuższą mógłby był napisać w czterdziestu ośmiu godzinach, gdyby był pracował nad niemi tak jak pracował nad *Rasselasem* lub *Życiem Savage'a*.

Ale jeżeli próżnowało teraz jego pióro, to język za to nie próżnował wcale. Wpływ, jaki rozmowa jego wywierała na tych naprzód, z którymi był w zażyłości, a potem na cały świat literacki, był bezprzykładny i nigdy niezrównany. Do rozmowy miał w istocie zdolność pierwszego rzędu; miał sąd zdrowy i bystry, miał dowcip, humor, niesłychaną znajomość literatury i życia, i zapas niewyczerpany ciekawych anegdot. Co się zaś tyczy stylu, to mówił o wiele lepiej niż pisał. Każdy okres wychodzący z ust jego był tak poprawnie zbudowany, tak doskonale odważony, tak pięknie zaokrąglony, jak najwykończeńszy jaki ustęp z *Ramblera*, a nie było w tem co mówił pompatycznych frazesów, wszystko było tam proste,

swobodne, jędrne. Zdania swoje krótkie, ważne i dosadne wypowiadał on z nieospolitą siłą głosu i z wyrazem stósownym i energicznym, którego wrażenie, nie tylko nie traciło ale zyskiwało raczej na dziwacznych kontorsyach olbrzymiej jego postaci, i na astmatycznem chwytaniu powietrza, na którem kończyły się zwykle wszystkie u niego wybuchy wymowy. Lenistwo też, które sprawiało, że nierad zasiadał do pisania, nie przeszkadzało mu uczyć i bawić w ustnej rozmowie. Rozbierać materye smaku, nauki, kazuistyki w języku tak dokładnym i tak jędrnym, że wszystko co mówił, mogłoby było iść do druku bez zmiany jednego słowa, było dla niego rozrywką nie pracą. Lubił on, jak sam mówił, założyć nogę na nogę, i wygadać się; a nadmiar przepełnionego swego umysłu gotów był zawsze wyrzucić każdemu, kto mu przedmiot jaki podsunął, współpodróżnemu w pocztowym powozie, lub sąsiadowi przy stole w oberży. Nigdy jednak rozmowa jego nie była tak świetną i uderzającą, jak w ścisłem kółku kilku przyjaciół, dość rozumnych i uczonych, by odbić mu, jak się wyrażał, każdą piłkę, którą im rzucił. Niektórzy z tych przyjaciół zawiązali się w roku 1764 w klub, który pomału stał się ogromną potęgą w literackiej Rzeczypospolitej. Wyroki tego Conclave o nowych książkach rozchodziły się w mgnieniu oka po całym Londynie, i wystarczały na to, by całe wydanie w jednym dniu wyczerpać lub je skazać na usługi pasztetników i introligatorów. I nie wyda nam się to dziwnem wcale, jeżeli zważymy, jakie to wielkie i różnorodne zdolności i zasoby wiedzy spotykały się w tem nielicznem bractwie. Poezyę i literaturę lekką wogólności zastępował tam Goldsmith, Reynolds przedstawiał sztukę, Burke polityczną filozofię i wymowę. Należał też prócz tego Gibbon, największy historyk, i Jones, największy filolog wieku. Garrick przynosił na zebrania niewyczerpaną swoją wesołość, niezrównaną mimikę i wyborną znajomość scenicznego effektu. W liczbie zaś tych, którzy uczęszczali na klub najwierniej i najstalej, było dwóch ludzi wysokiego urodzenia i wychowania, związanych z sobą ścisłą

przyjaźnią, choć różnych zupełnie charakterami i życiem, Bennet Langton, znany z biegłości w literaturze greckiej, z religijnej prawowierności i ze świątobliwego życia, i Topham Beauclerk, sławny z zalotów, ze znajomości wesołego świata, z wybrednego smaku i z sarkastycznego dowcipu. Nad takiem towarzystwem górować nie jest łatwo; Johnson przecież górował nad niem stanowczo. Zrywał się wprawdzie Burke przeciw tej supremacyi, której wszyscy inni poddawać się musieli, ale sam nawet Burke, choć zazwyczaj nie cierpliwy bynajmniej słuchacz, w obecności Johnsona przestawał na drugiej roli; klub zaś, złożony z tylu znakomitych ludzi, do dziś dnia znanym jest powszechnie pod utartą nazwą klubu Johnsona.

Pomiędzy członkami sławnego tego stowarzyszenia znajdował się jeden, któremu ono w wielkiej części zawdzięcza sławę swoją, a który jednak małe miał u współtowarzyszów zachowanie i z wielką trudnością zdobył sobie miejsce między nimi. Był to James Boswell, młody prawnik ze Szkocyi, dziedzic pięknego majątku i zaszczytnego imienia. Że był fanfaronem, nudziarzem, natrętem, a przytem słabym, próżnym, ciekawym i gadatliwym, o tem nie mógł wątpić nikt, kto go znał choć trochę. Że nie umiał myśleć, że nie miał ani dowcipu, ani humoru, ani wymowy, to pokazuje się jasno z pism jego. A przecież pisma jego czytane są po tamtej stronie Mississipi i pod Południowym Krzyżem, i prawdopodobnie będą czytane, jak długo istnieć będzie język angielski, czy to jako żywy, czy jako umarły. Natura stworzyła go niewolnikiem i bałwochwalcą; umysł jego podobny był do tych roślin, które botanicy pasożytami zowią, które wtedy tylko żyć mogą, jeźli uczepią się łodygi i pożywią sokami innej, silniejszej rośliny. Tak samo Boswell musiał uczepić się kogoś. Gdyby się był uczepił Wilkesa, byłby został najżarliwszym patryotą w stowarzyszeniu Billu Praw; gdyby był wrósł w Whitfielda [1]) byłby

[1]) Whitfield Jerzy, ur. 1714, um. 1770 roku, kaznodzieja; jeden z przywódców sekty Metodystów.

został najgłośniejszym kaznodzieją polowym między kalwińskimi Metodystami; w szczęśliwej jakiej godzinie uczepił się Johnsona. Mogłoby się zdawać, że para ta była źle dobrana, bo Johnson od młodości źle był uprzedzony do ojczyzny Boswella, a człowiekowi jego rozumu i jego drażliwości, głupi egoizm i głupie pochlebstwo Boswella musiały być tak nieznośne, jak ustawiczny bzyk muchy. Johnson nie cierpiał żeby go pytano, a Boswell katechizował go wiecznie we wszystkich możliwych przedmiotach, i stawiał mu czasem pytania takie, jak następujące: »Cobyś pan zrobił, gdybyś znalazł się zamkniętym w turmie z małem dzieckiem?« Johnson pił tylko wodę; Boswell ciągnął wino i mało nie dostawało, że nie był zwykłym pijakiem. Rzecz prosta, że między takimi towarzyszami nie mogło być zupełnej harmonii; wielki człowiek doprowadzony doprowadzony do passyi mawiał czasem rzeczy, za które mały człowiek gniewał się na prawdę przez kilka godzin, ale po każdej sprzeczce zawsze się niebawem godzili. Uczeń przez lat dwadzieścia wiernie uwielbiał mistrza, mistrz przez lat dwadzieścia łajał, wyśmiewał i kochał ucznia. Zwykle mieszkali przyjaciele bardzo daleko od siebie; Boswell praktykował w Edynburgu i rzadko kiedy mógł zaglądać do Londynu; ale kiedy przyjeżdżał, główną rzeczą było dla niego pilnować Johnsona na każdym kroku, śledzić wszystkie jego zwyczaje, nakręcać rozmowę na przedmioty, w których tamten miałby sposobność powiedzieć coś godnego uwagi, i zapełniać wielkie Agendy in quarto zapiskami tego wszystkiego, co Johnson powiedział. Tym to sposobem zebrały się materyały, z których później utworzyła się najciekawsza w świecie biografia.

Wkrótce po zawiązaniu klubu zawiązał Johnson inny stosunek, mniej potrzebny do jego sławy, niż stosunek z Boswellem, ale potrzebniejszy nierównie do szczęścia. Henryk Thrale, jeden z najbogatszych piwowarów w Anglii, człowiek rozumu zdrowego i wykształconego, surowych zasad i wolnomyślnych pojęć, miał za żonę jednę z tych kobiet dowcipnych, z dobrem sercem, z obejściem ujmującem, próżnych, śmiałych

i szczebiotliwych, które zawsze muszą mówić i robić coby nie powinny, ale które, cokolwiek mówią i robią, zawsze są miłe i wdzięczne. Ci tedy państwo Thrale poznali się z Johnsonem w roku 1765, a znajomość rychło dojrzała do ścisłej przyjaźni. Pochlebiało im to nie mało, że taki sławny człowiek podobał sobie w ich domu bardziej, niż w jakimkolwiek innym w całym Londynie; a te nawet jego dziwactwa, które czyniły go raczej niestósownym do cywilizowanego towarzystwa, te jego dziwne ruchy, rzucania, mruki, parskania, osobliwszy jego sposób wkładania sukni, żarłoczne łakomstwo z jakiem połykał jedzenie, napady melancholii, napady gniewu, i nawet częste wybuchy grubiaństwa lub chwilowe wybuchy wściekłości, wszystko to podnosiło tylko współczucie nowych jego przyjaciół, bo było smutnym śladem całego życia walki z niedostatkiem i przeciwnością. Dziwactwa te u tuzinkowego pismaka byłyby tylko obrzydliwe, ale u człowieka uczonego, gienialnego i cnotliwego, dodawały do szacunku i uwielbienia jedno jeszcze uczucie, litości. Niebawem Johnson miał swoje własne mieszkanie w browarze Southwark, i drugie jeszcze przyjemniejsze w willi swoich przyjaciół na Streatham Common; przepędzał teraz większą część roku w tych schronieniach, które musiały mu się wydawać wspaniałemi i zbytkowemi po tych jaskiniach, w jakich zwykle mieszkiwał. Główną atoli jego pociechą i przyjemnością było to, co astronom z Abissyńskiej jego powieści nazywa: »pieszczonym wdziękiem kobiecej przyjaźni.« Pani Thrale pieściła go, psuła, dogadzała, droczyła się z nim, a jeżeli mu kiedy trzpiotostwem swojem dokuczała, naprawiała to zaraz słuchając wyrzutów jego z anielską słodyczą. Jeżeli chorym był na ciele lub umyśle, pielęgnowała go z największem poświęceniem i czułością; przy jego łożu nie zbywało na niczem, czego tylko dostarczyć mogło bogactwo, co tylko wymyśleć mógł zmysł kobiecy, pobudzony do dzieła przez kobiece współczucie. Czułość tę odpłacał jej Johnson przywiązaniem tak czystem jak ojcowskie, a zabarwionem lekko pewną zalotnością, która acz niezgrabna, więcej musiała jej pochlebiać, niż grzecz-

ność całej zgrai dudków chełpiących się przestarzałemi już dziś imionami *Kozłów* i *Makaronów*. Zdaje się, że przez lat blisko szesnaście większą połowę życia spędził Johnson pod dachem państwa Thrale; jeździł z nimi kilka razy do Bath, do Brighton, raz do Walii i raz do Paryża; ale przez cały ten czas miał zawsze drugie mieszkanie w jednym z ciasnych i ciemnych dziedzińców, gdzieś na północ od Fleet-street. Na poddaszu mieściła się jego biblioteka, liczny i różnorodny zbiór ksiąg porozrywanych na kawałki i obłożonych kurzem i pyłem. Na niższem zaś piętrze raczył on niekiedy, ale bardzo rzadko którego z przyjaciół skromnym obiadem, złożonym z cielęcego pasztetu, lub baraniny ze szpinakiem i z ryżowego puddingu. W czasie zaś długich jego nieobecności, mieszkanie to nigdy pustką nie stało; było ono schronieniem dla najosobliwszego doboru współlokatorów, jakich kto kiedykolwiek zebrał pod jednym dachem. Na czele zakładu postawił Johnson staruszkę niejaką, nazwiskiem Williams, której całą zasługą było ubóstwo i ślepota; oprócz niej, pomimo jej szemrań i wymówek, dał Johnson przytułek innej jeszcze kobiecie, tak biednej jak pierwsza, niejakiej pani Desmoulins, której rodzinę znalazł był przed laty w Staffordshire. Oprócz tych znalazło się jeszcze miejsce dla córki pani Desmoulins, i dla jednej jeszcze opuszczonej istoty, którą wszyscy nazywali panią Carmichael, a szlachetny opiekun Marysią (Polly). Osobliwszą tę menażeryę uzupełniał pokątny niejaki felczer, nazwiskiem Doktor Levett, który puszczał krew i zapisywał kordyały węglarzom i fiakrom, a dostawał za to kawałek chleba, kęs słoniny, kieliszek ginu, a czasem miedziaka. Wszystkie te nieszczęśliwe stworzenia w nieustannej były wojnie ze sobą naprzód, a potem ze służącym Johnsona murzynem Frankiem. Niekiedy nawet przenosiły nieprzyjaźń swoją ze sługi na pana, skarżyły się, że stół miały nie dość dobry, i tak szemrały, tak dokuczały, że biedny dobroczyńca musiał uciekać do Streatham lub do Metre-Tavern. A on, wogóle najdumniejszy i najniecierpliwszy z ludzi, on zbyt skory wziąć do serca coś, co wyglądało na

lekceważenie ze strony księgarza dumnego ze swego worka, lub możnego i szlachetnego patrona, od żebraków, którzy bez niego byliby musieli szukać przytuliska w domu roboczym, znosił cierpliwie obelgi dotkliwsze nierównie od tych, za które skopał nogami Osborna i postawił się Chesterfieldowi. Przez całe lata Mrs. Williams i Mrs. Desmoulius, Polly i Levett dokuczali mu ustawicznie i żyli z jego łaski.

W opisanym powyżej sposobie życia Johnsona zaszła w sześćdziesiątym czwartym roku jego życia, przerwa spowodowana ważnym jednym wypadkiem. Dawno już przeczytał on był opis jakiś wysp Hebrydzkich, i dowiedział się z niego z niemałem zajęciem, że tak blisko od niego znajdował się kraj zaludniony plemieniem tak prostem i nieoświeconem, jak za średnich wieków. Często przechodziła mu przez głowę chęć zapoznania się dokładnie z tym stanem społeczeństwa tak różnem od wszystkiego, co dotąd widział był na świecie. Ale ciekawość nie byłaby zapewne zdołała przemódz jego lenistwa i jego zamiłowania do londyńskiego błota, dymu i krzyku, gdyby Boswell nie był nalegał na wykonanie tego zamysłu i gdyby nie był mu się ofiarował na towarzysza. W Sierpniu wreszcie roku 1773 przebył Johnson linię gór Szkockich i zapuścił się odważnie w to, co wszyscy prawie Anglicy w owym czasie mieli za dziką i pełną niebezpieczeństw pustynię. Po dwu miesięcznej podróży po Celtyckich okolicach, już to na pierwotnych czółnach, które go od deszczu nawet nie chroniły, już na srokatych poneyach, które ledwie mogły wagę jego udźwignąć, wrócił do swoich domowych progów z głową pełną nowych pojęć i obrazów. Przez rok następny zajmował się spisywaniem wspomnień i przygód z tej wycieczki, a w początku roku 1775 wyszła z druku *Podróż do Hebrydów*, i była przez kilka tygodni jedynym przedmiotem rozmowy we wszystkich kołach towarzyskich, które choć cokolwiek zajmowały się literaturą. Dziś jeszcze książka ta nie bez przyjemności da się czytać. Opowiadanie jest zajmujące; badanie trafne czy nie trafne, zawsze bystre, a styl choć sztywny i nadęty, jest prze-

cież swobodniejszy i jaśniejszy, jak w dawniejszych jego pismach. Uprzedzenie jego do Szkotów zeszło w końcu na to, że stało się tylko przedmiotem do żartu i śmiechu, a co z niego zostało, to musiało ustąpić przed serdeczną gościnnością, z jaką przyjmowano go w całej Szkocyi. Naturalnie nie można było żądać, żeby Oxfordzki Torys wychwalał przesbyteryański Kościół i obrządek, lub żeby oka przywykłego do angielskich parków i żywych płotów, nie miała razić jałowa nagość okolic hrabstwa Berwick lub East-Lothian. Ale nawet kiedy gani, nie wpada Johnson w ton nieprzychylny. Najoświeceńsi ze Szkotów, Lord Mansfield na ich czele, radzi byli bardzo tej książce; ale Szkotów niektórych niedorzecznych i niewykształconych w wielki gniew wprawiła prawda nie jedna nie do smaku, choć pomieszana z mnogiemi pochwałami. Zaczęli więc szarpać tego, którego za nieprzyjaciela swojej ojczyzny uważać im się podobało, w paszkwilach, które tej ich ojczyźnie więcej przynosiły niesławy niż wszystko, co o niej Johnson napisał. Pisali artykuły po dziennikach i przeglądach, pisali broszury i paszkwile po sześć pensów, pisali książki po pięć szylingów. Jeden pismak zarzucał Johnsonowi, że miał kaprawe oczy, drugi, że pobierał pensyę, inny znowu ogłaszał światu, że jakiś krewny Doktora, przekonany o morderstwo w Szkocyi, dowiedział się z własnego doświadczenia, że było w tym kraju choć jedno drzewo zdolne nie złamać się pod ciężarem Anglika. Macpherson, któremu Johnson w swojej podróży dowiódł, że jego Fingal był bezczelnem podrobieniem, groził, że pomści się kijem. Jednym atoli skutkiem tej groźby było, że Johnson ponowił swoje oskarżenie w wyrazach jaknajpogardliwszych, i że przez jakiś czas chodził z kosturem; i gdyby nie to, że oszust zbyt był mądrym, by się nań narazić, kostur ten byłby niezawodnie spadł na jego plecy, jak młot, (żeby użyć wzniosłego porównania z jego własnego poematu) »na czerwonego syna hamerni.«

Na innych napastników nie uważał Johnson wcale. Zdawna już był on sobie postanowił, że nigdy nie da się wciągnąć

w spory i polemiki, i w postanowieniu tem wytrwał ze stałością tem dziwniejszą, że usposobienie jego umysłowe i moralne powinno było właśnie zrobić go polemistą. W rozmowie dysputował on niezmiernie bystro i zacięcie; jeżeli mu brakło dobrych dowodów, uciekał się do sofizmów, a kiedy się zapalił, nie szczędził ani przycinków ani wyrzutów. Przeciwnie zaś, skoro tylko brał pióro do ręki, stawał się jak żeby innym człowiekiem. Setki pismaków czerniły go i szkalowały, ale żaden nigdy nie mógł się pochwalić, żeby go Johnson uznał był godnym odpowiedzi lub nawet przycinku. Kenrick, Campbell, Mac Nicol, Henderson i *tutti quanti* robili co tylko mogli, by mu dokuczyć, w nadziei, że odpowiedzią swoją podniesie ich w oczach świata, ale napróżno szukałby czytelnik w jego dziełach by najlżejszej wzmianki o Kenricku, Campbellu, Mac Nicolu lub Hendersonie. Inny znowu Szkot uwziął się bronić sławy Szkockich uczonych i wyzwał Johnsona do walki w opłakanym łacińskim Hexametrze:

»*Maxime, si tu vis, cupio contendere tecum!*«

Ale Johnson nie raczył przyjąć wyzwania. Wiedział on dobrze, tak z własnego doświadczenia, jak z historyi literatury, w której wielce był oczytanym, że nie to co napisane jest o książkach, ale to co napisane w książkach, naznacza książkom miejsce w ludzkiem uznaniu i szacunku; wiedział, że pisarz, którego dzieła mają w sobie warunki życia, nie mądrze czyni, jeżeli się zniża do zapasów z obmowcami, których dzieła muszą zaginąć. Utrzymywał on zawsze, że sława jest jak wolant, który utrzymuje się w powietrzu przez to tylko, że się ciągle nietylko podbija ale i odbija, a upada, jeżeli nie ma drugiej do odbicia rakiety. Niczego częściej nie miał on na ustach od tego ładnego apoftegmu Bentleya, że nikt nigdy nie został piórem pobity, chyba przez siebie samego.

Na nieszczęście, w kilka miesięcy po wydaniu *Podróży do Hebrydów*, zrobił Johnson, czego zrobić nie byłby zdołał żaden z jego napastników, pobił się sam swojem własnem piórem. Zatargi między Anglią i Amerykańskiemi jej koloniami

doszły do tego kresu, w którym spokojne załatwienie rzeczy stało się niepodobnem; wojna domowa tuż miała wybuchnąć, a ministrom, jak się zdaje, przyszedł pomysł, że polityczna wymowa Johnsona dałaby się użyć skutecznie przeciwko opozycyi w kraju i przeciwko buntownikom za morzem. Johnson pisał już przedtem kilka drobnych rozpraw w obronie rządowej polityki, a rozprawy te, aczkolwiek autora niezupełnie godne, lepsze były bez porównania od tych stosów pamfletów, które zalegały lady ówczesnych księgarni. Ale obecna broszura *Taxation No Tyranny* (podatek nie jest tyranią) zupełnie mu się nie udała. Sam tytuł był czczym, niedorzecznym frazesem, który spodobał mu się chyba z tej brzęczącej alliteracyi, którą powinien był wzgardzić. Argumenta godne są studenckich ćwiczeń w rozprawie; a dowcipy tak lekkie jak pląsy hippopotama. Sam Boswell musiał przyznać, że w nieszczęśliwym tym utworze nie znalazł ani śladu zdolności swojego mistrza. Publiczność zaś osądziła, że na umyśle tym potężnym, który wydał *Słownik* i *Ramblera*, objawiać się zaczynały skutki czasu i choroby, i że starzec dla swojej sławy zrobiłby najlepiej, gdyby już nic więcej nie pisał.

Była to przecież gruba pomyłka. Nie dlatego nie udało się Johnsonowi, jakoby umysł jego mniej był silnym niż wówczas, gdy przez jeden tydzień napisał *Rasselasa*, ale dlatego, że nieroztropnie sobie wybrał, lub innym wybrać pozwolił przedmiot, którego w żadnej epoce swego życia nie byłby dobrze obrobił. Nie miał on najmniejszego zmysłu do polityki; nigdy rad nie czytał, nie mówił, nie myślał o sprawach państwa. Lubił on biografię, lubił historyę literatury, historyę obyczajów, ale do historyi politycznej miał wstręt oczywisty. O sprawie toczącej się właśnie między macierzystym krajem a koloniami, nie miał nic do powiedzenia; spylił się zatem, jak spylić się musi największy nawet człowiek, jeżeli się zerwie na nie swoje rzeczy; jak byłby się spylił Burke, gdyby był chciał pisać komedye jak Sheridan, jak byłby się spylił Reynolds, gdyby był chciał malować widoki jak Wilson.

Szczęściem niebawem zdarzyła się Johnsonowi sposobność pokazania całemu światu, że jeżeli mu się nie udało, to nie dlatego jakoby był podupadł na umyśle.

W wilią Wielkiej Nocy 1777 r. stawiło się u Johnsona kilka osób wysłanych do niego przez meeting czterdziestu najznaczniejszych londyńskich księgarzów. Johnson miał niejakie skrupuły, że w taki dzień traktował o interesach, ale pomimo to przyjął grzecznie wysłańców. Oświadczyli mu oni, że zrobić się miało nowe wydanie angielskich poetów od Cowleya na dół, i prosili, ażeby dostarczył krótkich życiorysów tych poetów. Johnson podjął się chętnie tej roboty, której nikt lepiej od niego nie mógł wykonać. Posiadał bowiem niezrównaną znajomość literatury angielskiej od Restauracyi, a nabył jej częścią z książek, częścią ze źródeł zamkniętych i niedostępnych, jako to z odwiecznych tradycyj Grub-Street, z powieści zapomnianych poetów i pamflecistów walających się oddawna po parafialnych piwnicach, ze wspomnień takich ludzi jak Gilbert Walmesley, jak Cibber, który szarpał sztuki dwóch pokoleń dramatycznych pisarzów, jak Orrery, który bywał niegdyś w zażyłości ze Swiftem, i jak Savage, który Popemu oddawał usługi nie najzaszczytniejszego rodzaju. Zabrał się zatem życiopis do dzieła z głową pełną ciekawych materyałów. Z początku zamierzał mniejszym poetom po krótkim tylko poświęcić artykule, a największym nie po więcej jak po pięć lub sześć kartek; ale wezbrany potok krytyki i anegdot wystąpił z ciasnego tego koryta, a dzieło, które początkowo składać się miało z kilku tylko arkuszy, urosło w dziesięć tomów; małych tomów prawda i nie zbitego druku. Pierwsze cztery tomy ukazały się w roku 1779, pozostałe sześć w 1781.

Żywoty Poetów są niezawodnie najlepszem ze wszystkich dzieł Johnsona. Opowiadanie jest tak zajmujące jak romans, a uwagi nad życiem i naturą ludzką niesłychanie są trafne i głębokie. Krytyka po największej części wyborna, a nawet kiedy zupełnie i oburzająco niesprawiedliwa, jeszcze godna jest zastanowienia. Bo nawet kiedy najbłędniejsza, nie jest nigdy

płaską, ani niedorzeczną, ani tuzinkową. Są to sądy umysłu uwikłanego w niezliczone uprzedzenia, pozbawionego delikatności i taktu, ale bystrego i dzielnego; i dlatego też zawierają zawsze wiele prawdy, którą warto oddzielić od kąkolu; w najgorszym zaś razie, jeżeli już nic lepszego, to to zawsze da się o nich powiedzieć, że coś znaczą, że jest w nich myśl; pochwała, do której nie ma najmniejszego prawa większa część tego, co w naszych czasach nazywa się krytyką.

Żywot Savage'a przedrukował Johnson w takiej samej prawie postaci, jak go wydał w roku 1744. Ktokolwiek przeczytawszy ten żywot, weźmie do ręki *Żywoty poetów*, zdumieć się musi nad ogromną różnicą stylu. Odkąd Johnson nie potrzebował troszczyć się o chleb powszedni, pisał on mało, a mówił wiele, i dlatego to, kiedy po upływie długiego czasu na nowo wziął pióro do ręki, mniej niż przedtem czuć się dawała ta maniera, której nabrał kiedy wprawniejszym był w pisanie wypracowanych utworów, a styl często miał swobodny ton rozmowy, na którym mu przedtem wiele zbywało. Bystry krytyk dostrzeże już tego postępu w *Podróży do Hebrydów;* w *Żywotach Poetów* jest on tak oczywistym, że nie może ujść uwagi najpowierzchowniejszego nawet czytelnika.

Do najlepszych żywotów liczyć się może żywot Cowleya, Drydena i Popego; najgorszym jest niezaprzeczenie żywot Greya.

Znakomite to dzieło odrazu stało się popularnem. Nie brakło naturalnie na sprawiedliwej i niesprawiedliwej krytyce, ale ci nawet, którzy najgłośniej ganili, czuli przecież poniewolny jakiś pociąg do tej książki. Zarobek wydawców szacował Malom na pięć lub sześć tysięcy funtów, ale autor sam bardzo skąpe dostał wynagrodzenie. Zamierzając pierwotnie napisać małe tylko przedmowy, zgodził się za dwieście gwineów, a księgarze, zobaczywszy o ile wykonanie przechodziło obietnicę, dodali mu jeszcze sto. Zdaje się, że Johnson choć nie miał i nie udawał pogardy dla pieniędzy, choć rozsądek i długie doświadczenie powinnyby były nauczyć go chodzić

około swoich interesów, był przecież bardzo niezręcznym i nieszczęśliwym w swoich literacko-pieniężnych układach. Uchodził on powszechnie za pierwszego w Anglii pisarza swego czasu, a jednak inni współcześni pisarze sprzedawali swoje rękopisma za ceny, jakich on nigdy nie ośmielił się zażądać. Robertson naprzykład, dostał cztery tysiące pięćset funtów za *Historyę Karola V;* a nie będzie to z ujmą dla pamięci Robertsona, jeżeli powiemy, że Historya jego jest książką mniej zajmującą i mniejszej wartości, jak *Żywoty Poetów.*

Doszedł teraz Johnson do siedemdziesiątego drugiego roku życia, i coraz więcej waliły się na niego dolegliwości wieku; coraz zbliżała się ta chwila nieunikniona, o której nigdy nie myślał bez dreszczu i zgrozy, cień śmierci zachmurzył całe jego życie. Często też płacić musiał smutną cenę długiego życia, i jednę po drugiej niepowetowane ponosić straty. Osobliwsi ci domownicy, którym dał przytułek, a do których, pomimo wszystkich ich wad, przywiązał się samem przyzwyczajeniem, schodzili jeden po drugim, tak, że w końcu wśród głuchego milczenia swego domu, tęsknił nieraz za kłótliwym ich gwarem. Nie stało także poczciwego i szlachetnego Thrale, a przyjaciele żałować musieli, że żona nie poszła za nim do grobu, przeżyła go bowiem na to, by zostać pośmiewiskiem tych, którzy jej dawniej zazdrościli; aby z oczu starca, który ją nad wszystko w świecie kochał, wycisnąć łzy stokroć bardziej gorżkie, niżby był wylał nad jej trumną. Z wielu miłemi a niektóremi szacownemi zaletami nie była ona stworzoną do niezależności. Do zachowania godności i poważania potrzebowała ona zostawać pod kierunkiem poważniejszego, stateczniejszego umysłu. Jak długo miała nad sobą dozór męża, rozumnego i statecznego człowieka, który folgował jej w drobnych rzeczach, ale był zawsze niezaprzeczonym panem w domu, najgorszem co mogła zrobić, był jakiś żart niewłaściwy, jakieś małe kłamstwo, lub jakiś napad kaprysów, który zawsze się kończył na śmiechu i pogodnej wesołości. Ale męża nie stało, a ona została sama, jako bogata czterdziestoletnia wdowa,

z sercem dość czułem, wyobraźnią bujną, i niewielkim rozsądkiem. Niebawem zakochała się w jakimś nauczycielu muzyki z Brescii, w którym nikt prócz niej nic nie widział, coby się podobać mogło. Duma, a może lepsze jakie uczucia, walczyły upornie w jej sercu z poniżającą tą skłonnością; ale walka ta rozdrażniła jej nerwy, skwasiła humor, a nareszcie zachwiała i zdrowie. Wiedząc dobrze, że Johnson nie mógł pochwalić jej wyboru, starała się wyrwać z pod jego oka. Obejście jej względem niego zmieniło się zupełnie; była naprzemian to chłodną, to niecierpliwą i cierpką; kiedy wyjeżdżał z Streatham nie próbowała ukryć radości, nie nalegała nigdy by powrócił, a jeżeli wracał nieproszony, przyjmowała go w sposób, który jasno dawał mu poznać, że nie był już dla niej pożądanym gościem. Wskazówki te, aż nadto wyraźne, zrozumiał biedny Johnson. Po raz ostatni w tej bibliotece, którą sam złożył, przeczytał rozdział z greckiego textu Pisma ś-go; dom i mieszkańców jego polecił Boskiej opiece w rzewnej i uroczystej modlitwie, z takiem wzruszeniem, że mu głosu brakowało i drżała cała jego olbrzymia postać, i opuścił dom ten ukochany na zawsze, a przeniósł się do pustego ponurego swego mieszkania koło Fleet-Street, gdzie zejść miały ostatnie krótkie chwile, jakie mu pozostawały do życia. Tutaj to, w Czerwcu, roku 1783 dostał ataku paralitycznego, z ktorego jednak wyszedł szczęśliwie i który nie nadwerężył władz jego umysłowych. Ale za to zwaliły się na niego inne choroby; dzień i noc męczyła go asthma, a prócz tego objawiać się zaczęły symptomata wodnej puchliny. I gdy tak upadał pod zbiegiem różnych dolegliwości, dowiedzieć się musiał, że kobieta, której przyjaźń była przez lat szesnaście szczęściem jego życia, poszła za włoskiego muzykanta, że cały Londyn wytykał ją palcami, że dzienniki i przeglądy pełne były alluzyj do matrony z Efezu i do do dwóch portretów w Hamlecie. W oburzeniu zawołał, że będzie się starał zapomnieć nawet, że ona żyje; nigdy odtąd nie wspominał jej nazwiska, i popalił wszystko co mu ją przypominać mogło. Ona tymczasem uciekając od śmiechu

i syku rodaków, śpieszyła do kraju, gdzie jej nikt nie znał, przebyła górę Cenis, i wśród wesołego karnawału w Medyolanie, wśród koncertów i wieczorów, dowiedziała się, że przestał żyć ten wielki człowiek, z którego imieniem jej własne imię nierozłącznie jest związane.

Pomimo wszystkich swoich cierpień fizycznych i umysłowych, gorąco pragnął on żyć. Uczucie opisane w pięknym a smutnym ostatnim numerze *Idlera*, wzmagało się u niego w miarę, jak się zbliżała ostatnia godzina. Zdawało się, że łatwiej potrafiłby oddychać w południowym klimacie, i byłby się wybrał zapewne do Rzymu i Neapolu, gdyby nie to, że lękał się wydatków takiej podróży. Koszta te mógł on ponosić, bo miał uskładanych około dwóch tysięcy funtów, owoc tych prac, które zbogaciły nie jednego wydawcę. Ale nie chciał nadpocząć tego skarbu, którego samo istnienie przed wszystkimi zachować chciał w tajemnicy. Przyjaciele jego mieli nadzieję, że rząd da się skłonić do podwyższenia mu pensyi do summy sześciuset funtów rocznie, ale nadzieja ta zawiodła, i Johnson postanowił wytrzymać jeszcze jednę zimę angielską. Zima ta była dla niego ostatnią. Nogi słabły mu coraz bardziej, oddech stawał się coraz krótszym, wody przybywało szybko, pomimo coraz głębszych incyzyj, których sam, odważny na ból ale wobec śmierci trwożliwy, żądał od swego lekarza. Opuszczonym nie był, choć zbywało mu na tej czułej troskliwości, która w Streatham przez tyle czasu łagodziła jego cierpienia. Odwiedzali go pierwsi lekarze i chirurgowie, a za starania swoje nie chcieli przyjąć zapłaty; Burke żegnał go z wielkiem wzruszeniem, Windham siadywał po całych dniach przy jego łóżku i poprawiał poduszki, a na noc przysyłał swego służącego, żeby pilnował chorego; za drzwiami stała ciągle Franciszka Burney, którą starzec kochał z ojcowskiem uczuciem, i płakała, a Langton przez swoją pobożność najlepszy w takiej chwili na doradcę i pocieszyciela, ostatnie odebrał ściśnienie ręki od umierającego przyjaciela. A kiedy nareszcie straszna ta chwila, której lękał się przez całe życie,

była tuż przy nim, stało się, jak żeby w jego umyśle rozstąpiły się chmury; usposobienie jego stało się naraz dziwnie cierpliwem i słodkiem, przestał myśleć z bojaźnią o śmierci i o tem, co leży po tamtej stronie śmierci, i mówił wiele o miłosierdziu Boga i o zadośćuczynieniu przez Chrystusa. W takiem to pogodnem usposobieniu umysłu umarł Johnson 13 Grudnia 1784 roku, a w tydzień później zwłoki jego spoczęły w Westminsterskiem opactwie, obok tych znakomitych ludzi, których był historykiem, obok Cowleya, Denhama, Drydena, Congreva, Gaya, Priora i Addisona.

Od czasu jego śmierci podupadła znacznie wziętość dzieł jego, z wyjątkiem *Żywotów Poetów* i może *Marności żądz ludzkich;* słownik jego przez licznych wydawców tak został zmienionym, że zaledwo jeszcze może się jego dziełem nazywać. Alluzyi do *Ramblera* lub *Idlera* nie ma się już co obawiać w literackich kołach; przyćmiła się nieco sława samego nawet *Rasselasa.* Ale choć pisma mniej są sławne jak dawniej, pisarz, rzecz szczególna, zawsze jednakowo sławnym pozostał. Książka Boswella zrobiła dlań więcej, niż najlepsze z jego własnych książek. Zwykle książki utrzymują pamięć pisarzów; tu zaś, pamięć Johnsona utrzymuje przy życiu większą część jego książek. Stary filozof zawsze nam jest obecnym w swoim bronzowym surducie ze złotemi guzikami, w koszuli, która na dobrą sprawę powinnaby być w praniu, zawsze mruży oczyma, parska, mruczy, kręci głową, bębni palcami, rozdziera swój pokarm jak tygrys i połyka całe oceany herbaty. Żaden człowiek pochowany od lat siedmiudziesiąt, nie jest nam tak dobrze znanym. A słuszna będzie powiedzieć, że ta dokładna znajomość tego, co on sam nazwałby krzywiznami i szorstkościami swego umysłu i usposobienia, wzmacnia w nas tylko przekonanie, że był on zarazem wielkim i dobrym człowiekiem.

SOUTHEY'A ROZMOWY O SPOŁECZEŃSTWIE.

(Sir Thomas Moore, or Colloquies on the Progress and Prospects of Society. By Robert Southey [1]) *Esq. L. L. D. Poet Laureate.* 2 vols. 8-vo. London, 1829).

Rzecz to prawie niepodobna, żeby człowiek takich jak pan Southey zdolności i nauki, mógł napisać dwa tomy tak grube jak te które mamy przed sobą, a z których nie możnaby żadnej wyciągnąć nauki ani zabawy. A przecież nie przypominamy sobie, byśmy kiedykolwiek z mniejszą czytali byli przyjemnością, rzecz napisaną w takich samych rozmiarach i przez człowieka rzeczywiście zdolnego. Od pewnego już czasu dostrzegaliśmy z żalem u poety Laureata dziwne zaślepienie, które odwodzi go od tych gałęzi literatury, w których mógłby celować, a każe mu natomiast prawić nauki o przedmiotach, których abecadła uczyćby się jeszcze potrzebował. Obecna książka, jest zdaniem naszem, najgorszem z dzieł jego. Jął się

---

[1]) Southey Robert, ur. 1774, um. 1843 r.; poeta ze szkoły tak zwanych Lakistów; zrazu bardzo rewolucyjny, zostawszy sekretarzem ministra skarbu, został Torysem. W roku 1813 został poetą Laureatem. Mieszkał w Keswick, w hrabstwie Cumberland, w okolicy *Jezior*, które wysławiał w swoich wierszach. Pod koniec życia zapadł w obłąkanie umysłu. Sławniejsze poemata są: *Joanna d'Arc*, *Thalaba*, *Madoc*, *Przekleństwo Kehamy*. *Roderyk ostatni z Gotów* etc.

W przedmowie przypominaliśmy czytelnikom, że Macaulay jest protestantem. To jego stanowisko, uprzedzenia przeciw Kościołowi katolickiemu, i powierzchowna tylko jego znajomość, występują w niniejszym szkicu tak wyraźnie jak rzadko.

bowiem mówić o przedmiocie, który wymaga najwyższych umysłowych i moralnych przymiotów męża stanu filozofa, który wymaga pojęcia bystrego i obszernego, ducha wielkiego i miłosiernego zarazem, a pan Southey chwycił się zadania tego z dwoma władzami, których żaden człowiek nigdy, sądzimy, w tak wielkiej nie posiadał mierze, z władzą wierzenia bez podstawy i nienawidzenia bez powodu.

Trudno zaiste pojąć, jak się dzieje, że umysł taki jak pana Southey, umysł tak hojnie pod wielu względami wyposażony od natury, a wysoko wykształcony przez naukę, umysł, który wywierał wpływ niepośledni na najoświeceńsze pokolenie najoświeceńszego jaki był kiedy na świecie narodu, tak zupełnie jest pozbawionym władzy rozeznania prawdy od fałszu. A jednak tak jest. Dla pana Southey jest rząd jedną ze sztuk pięknych. Sądzi on o teoryach, o krokach i środkach politycznych, o religiach, o politycznych stronnictwach, o wojnach i o pokoju, jak jak ludzie zwykli sądzić o posągach i malowidłach, podług wrażenia, jakie na wyobraźnię jego wywierają. Łańcuch upodobań jest dla niego tem, czem dla innych ludzi łańcuch powodów i wniosków, a to co swojemi przekonaniami nazywa, to są po prostu tylko jego upodobania.

To samo dałoby się może powiedzieć w części o człowieku większym nierównie, o Edmundzie Burke. Ale Burke posiadał niezaprzeczenie umysł zdolny wyśledzić prawdę, umysł silniejszy od umysłów wszystkich czynnych czy teoretycznych polityków XVIII wieku, silniejszy od wszystkiego, prócz ognistego jego i niepohamowanego uczucia. I dla tego zawsze wyrabiał on swoje zdania jak fanatyk, ale bronił ich jak filozof. Na postępowanie jego w najważniejszych chwilach jego życia, podczas procesu Hastingsa [1]) naprzykład, lub podczas Rewo-

[1]) Hastings, Warren, ur. 1733, um. 1814. Gubernator Indyi, oskarżony przed Parlamentem za zdzierstwa i uciski. W tym procesie odznaczyli się wymową Fox, Sheridan, i Burke.

lucyi francuzkiej, wpłynęły jak się zdaje te powody i uczucia, które Coleridge [1]) tak szczęśliwie opisał:

»Niepohamowany popęd litości, i ulubiony złudny powab wielkich rzeczy, i dumny a żartki polot ducha« [2]).

Hindostan z obszernemi swojemi miastami i przepysznemi pagodami, z niezliczonemi rojami brunatnej swej ludności, z odwiecznemi długiemi szeregami panujących i ze swoją uroczystą etykietą, najżywsze budzić musiał zajęcie w umyśle tak obszernym, tak żywym i tak przystępnym dla wszelkich wrażeń, a połączonym z tak bujną wyobraźnią. Wyobraźnia ta dawała się porywać tym dziwnym strojem, temi dziwnemi obyczajami i prawami, samą wreszcie tajemnicą osłaniającą ludu tego mowę i początki. Bronić pod staremi sklepieniami Westminsteru przed kratkami angielskiej szlachty w imieniu angielskiego ludu, sprawy wielkich królów i narodów o pół świata od mowcy odległych, wydawało mu się szczytem ludzkiej chwały. A z drugiej znowu strony, łatwo pojąć, że nienawiść jego do Rewolucyi francuzkiej pochodziła głównie z tego przykrego uczucia, jakiego doznał, widząc obalonem i poniszczonem wszystko do czego był nawykł w polityce, widząc, że zatarły się znane oddawna granice państw i nazwy, które przez całe wieki zapełniały historyę Europy. Doznawał on takiego uczucia, jak archeolog, któremu się herby na tarczy zatarły, lub jak znawca, któremu ktoś wyrestaurował Tycyana. Ale jakimkolwiek sposobem dochodził on do wyobrażeń, skoro już raz do nich doszedł, robił co mógł, żeby im nadać wyrozumowaną zasadę i podstawę. Rozum jego, jak duch na usługach czarnoksiężnika, choć w mocy czarów, był przecież potężnym. Robił on wszystko, co mu kazała wyobraźnia i namiętność, ale cokolwiek robił, choćby rzeczy najzwyczajniejsze,

---

[1]) Coleridge Samuel, ur. 1772, um, 1834; poeta, uważany poniekąd za poprzednika Byrona i romantyków.

[2]) Stormy pity, and the cherished lure
Of Pomp, and proud precipitance of soul.

robił zawsze z nadzwyczajną siłą i zręcznością. Logika nie wpływała stanowczo na drogę jego postępowania, ale postępowania najdziwniejszego umiał on bronić z większą logiką dowodów, niż zwyczajni ludzie bronić umieją zdań powziętych po gruntownej rozwadze. Rzadko kiedy, nawet w tych umysłach trzeźwych i normalnych, którym króluje, rozwinął rozum taką dzielność i siłę, jak u niego, w tej królewskiej niewoli, gdzie najniższe musiał sprawować obowiązki.

Ale w umyśle pana Southey rozum nie zajmuje wcale żadnego miejsca, ani jako przewodnik, ani jako podwładny, ani jako pan, ani jako niewolnik. Pan Southey zdaje się nie wiedzieć wcale, co to jest argument; sam nie używa argumentów nigdy, i nie zadaje sobie pracy zbijać argumenta przeciwników. Nie przyszło mu to nigdy do głowy, że człowiek powinien przecież umieć lepsze przytoczyć przekonań swoich powody, jak że tak chce i tak mu się podoba. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że zachodzi przecież pewna różnica między twierdzeniem a dowodzeniem, że pogłoska nie zawsze dowodzi faktu, że jeden fakt, nawet kiedy dostatecznie dowiedziony, nie jest jeszcze dostateczną podstawą teoryi, że dwa twierdzenia sprzeczne nie mogą być zarówno niezbitemi prawdami, że przypuścić rzecz jakąś, nie jest to jeszcze rzecz tę rozstrzygnąć, i że na stawione zarzuty odpowiadać trzeba czemś bardziej przekonywającem, jak »łajdak« i »dureń.«

Czytać dzieła takiego pisarza na to, żeby z nich wyciągnąć polityczne nauki, byłoby niedorzeczeństwem. Po systemach przez takiego pisarza głoszonych, można spodziewać się co najwięcej, że będą olśniewające, lub że mu dadzą sposobność do wzniosłych i wdzięcznych obrazów. Jego zarys filozofii jest prostym snem na jawie, jest poetyckim utworem jak jaskinia Domdaniela, jak Swerga lub Pandalon [1]), i w istocie nie małe ma podobieństwo do tych wspaniałych widziadeł.

[1]) Jaskinia Domdaniela, Swerga, Pandalon, wszystko z poematów Southeya.

Tak jak one ma w sobie coś osobliwszego, coś świetnego, zakrojonego na wielkie rozmiary; ale tak jak one także jest dziwacznym i nie wiedzieć do czego, i gwałci nieustannie te nawet konwencyonalne prawidła prawdopodobieństwa, bez których żadne dzieło sztuki dobrem być nie może.

Najzapaleńsi nawet wielbiciele pana Southey nie zaprzeczą, jak rozumiemy, że powodzenie dzieł jego stało zawsze w stosunku odwrotnym do tego stopnia trzeźwości i logiczności umysłu, jakiej wymagał przedmiot. Poezye jego, wszystko razem wziąwszy, stoją o wiele wyżej od jego prozy. Wprawdzie, ody jego urzędowe, do których policzyć należy *Widzenie Sądu*, są po największej części gorsze od tych, które pisał Pye, a tak złe jak te, które pisał Cibber[1]); wogóle, zdaniem naszem, w drobnych wierszach nie jest on szczęśliwym. Ale większe poemata, choć pełne błędów, są niepospolitemi wcale utworami. Wątpimy wielce, czy za lat pięćdziesiąt będzie je jeszcze kto czytał, ale nie wątpimy bynajmniej, że jeżeli będą czytane, to będą i podziwiane.

Wogóle wolimy wprawdzie poezyę pana Southey, od jego prozy, ale musimy przecież zrobić jeden wyjątek. *Żywot Nelsona* jest bez wątpienia najlepszem i najprzyjemniejszem ze wszystkiego co napisał. Powodem tego jest, czego poezye pana Southey dowodzą dostatecznie, że daleko mniej jest on biegłym w rysowaniu, jak w wypełnieniu konturów. Była to więc dla niego korzyść nie mała dostać gotowe zarysy charakterów i wypadków, i nie mieć nic więcej do roboty. jak ten martwy szkic ożywić. Nie było może nigdy pisarza tak usposobionego wszystkiemi swemi zdolnościami do skreślenia *Żywota wielkiego wojownika żeglarza*. Nie potrzebował tu pan Southey rozwiązywać zawiłych zagadek ludzkiego serca, ani żadnych rozwijać teoryj, ani ukrytych przyczyn tłómaczyć, ani odległych ich następstw przepowiadać. Charakter bohatera leżał jak na

[1]) Cibber Colley, ur. 1671, um. 1757 r.; poeta, komedyopisarz, dyrektor teatru, poeta Laureatus.

dłoni; zwycięztwa jego były świetne i malownicze, a konieczny warunek wierności rzeczywistej prawdzie wypadków, uratował pana Southey od tych błędów, które psują prawie zawsze pierwotny plan jego poezyi, tak, że nawet niezliczone piękności szczegółów okupić ich nie mogą. Nie wymagał też przedmiot tych władz rozumowania, których brak jest największą skazą na prozie autora. W całej literaturze nie łatwo byłoby znaleźć tak dokładnego obrazu walki między wodą a wiatrami. John Wesley [1]) i Wojna Hiszpańska były już przedmiotami innego rodzaju; wymagały one wszystkich przymiotów filozofa nie tylko historyka, to też wszystko razem wziąwszy, dzieła pana Southey o tych przedmiotach nie udały się wcale. W obu jednak znajdują się śliczne próbki sztuki opowiadania. *Żywot Wesley'a* prawdopodobnie zostanie w literaturze. Ma on wiele błędów, ale zawiera jedyny opis popularny niezmiernie zajmującej moralnej rewolucyi, i jedyne popularne sprawozdanie o człowieku, który wymową i logiką swoją mógł się dostać na wysokie miejsce w literaturze, który do rządzenia miał gieniusz taki niemal jak Richelieu, i który, pomimo wszystkich swych błędów, poświęcił wszystkie swoje siły, nie dbając na ludzkie obmowy i śmiechy, temu, co z szczerem przekonaniem uważał za najwyższe dobro ludzkiego rodu. Historya wojny hiszpańskiej już żyć przestała, drugi jej tom, prawdę mówiąc, nieżywy przyszedł na świat; a chwała nieśmiertelnego opisu tej wielkiej walki zdaje się pułkownikowi Napier być przeznaczoną. Księga o Kościele (the Book of Church) zawiera niektóre piękne opowiadania, ale oprócz tych same rzeczy do niczego. Przedsięwzięcie to wymagało oczywiście głębokiego myśliciela, a mogło się głębokiemu nawet myślicielowi nie udać, jeżeliby pod ścisłą strażą nie trzymał swoich namiętności. Te zaś wszystkie dzieła, w których porzuciwszy opowieść, zrywał się pan Southey na rozbiory rzeczy moralnych i politycznych, zupełnie i sromotnie się nie udały. Jedyną rzeczą,

[1]) Wesley John, ur. 1703, um. 1781; założyciel sekty Metodystów.

jakie pismo broni od najwyższej śmieszności i wzgardy jest czystość i piękność języka. W stylu pana Southey jest, wyznajemy to chętnie, wdzięk taki, że czytamy go zawsze z przyjemnością, nawet kiedy pisze nie do rzeczy, tylko wtedy nie, gdy usiłuje być żartobliwym i dowcipnym. Nieznośniejszego dowcipu nie było nigdy i nigdzie. Często próbuje pan Southey być humorystycznym, a jednak nie pamiętamy, żeby choć raz było mu się udało być czemś więcej jak wymuszenie i ciężko gadatliwym. W jednem z dzieł swoich mówi on, że Biskupowi Sprott [1]) przystało jego nazwisko, gdyż był bardzo miłym poetą, a w księdze, którą właśnie mamy przed sobą, nie może nazwać Franciszka Bugg [2]), kwakra renegata, żeby nie zrobić uwagi nad niesmacznem jego nazwiskiem. Najmądrzejszy człowiek może żart taki zrobić w rozmowie przy kominie, ale żeby jakakolwiek istota ludzka, zrobiwszy ten żart, mogła go napisać, potem przepisać, potem posłać do drukarni, widzieć jeszcze w korrekcie, i po tem wszystkiem puścić w świat, to doprawdy jest czego wstydzić się za cały ród ludzki.

Cierpkość pana Southey względem ludzi innego zdania, przypisać należy w wielkiej części jak się zdaje temu sposobowi, w jaki on swoje własne zdania wyrabia. Różnice w rzeczach smaku większą jak nieraz zauważano wywołują zawziętość, niż różnice w rzeczach umiejętności. Ale na tem nie koniec. Każdy prawie sąd pana Southey o ludziach lub postępkach szczególną zaprawiony jest goryczą. Nie chcemy go ganić za to, że chce stawiać bardzo wysoką skalę moralności i do wszystkiego skalę tę przykładać; ale surowość przecież połączyć należy z rozsądkiem, z uwzględnieniem okoliczności, a pan Southey nic nigdy nie uwzględnia. Sądzi on jak mnich. Nie inaczej sądziłby, wyobrażamy sobie, jakiś ponury stary Benedyktyn, ustrzeżony od wielu ludzkich płochości odosobnieniem i regułami swego życia. Chyba tylko człowiek zamknięty całe życie

[1]) *Sprott* — mała rybka, płotka.
[2]) *Bug* — pluskwa.

w klasztorze mógłby pisać o miłości na przykład w sposób tak zimny, tak materyalny jak pan Southey. Opisuje on miłość zupełnie tak, jakby opisywać ją mógł pustelnik znający namiętność ze szczegółów jedynie słyszanych w konfesyonale. Wszyscy jego bohaterowie kochają się albo jak Serafini, albo jak bydlęta. Zdaje się, że dla niego nie ma nic między platoniczną namiętnością Glendovera, który patrzy z zachwyceniem na trąd swojej kochanki, i zwierzęcą żądzą Roderyka lub Arvalana. W Roderyku nawet łączą się oba te charaktery. Z początku jest on czystą gliną, a wkońcu czystym duchem — zaczyna jak Tarkwiniusz, a wkońcu staje się tak eterycznym że się nie chce żenić.

Jedyna, o ile sobie przypomnieć możemy, scena miłości w Madoku, polega na tych subtelnych grzecznościach, jakie oddaje Goervyli dziki, który zawiele trochę pociągnął doskonałego miodu księcia. Trzeba pracować przez cały tydzień, żeby wyszukać w obszernej massie poezyi pana Southey, choć jeden ustęp dowodzący najmniejszego zmysłu dla tego uczucia, które uświęciło skały w Meillerie i cieniste źródło w Vaucluse.

W istocie, z wyjątkiem tylko niektórych bardzo wdzięcznych obrazów rodzicielskiej czułości i czci dziecinnej, nic się nie znajdzie ludzkiego ani rzewnego w poezyi pana Southey. To, co teologowie nazywają grzechami ducha, to właśnie są jego kardynalne cnoty: nienawiść, pycha i nienasycone zemsty pragnienie. Namiętności te maskuje on imieniem obowiązków, oswobadza je od wszelkich przymieszek płaskiego samolubstwa, uszlachetnia łącząc je z energią, z siłą, i z surową świętością obyczajów, a potem wystawia je do góry na widok i podziw powszechny. Ladurlad, Thalaba, Adosinda, Roderyk po swojem nawróceniu, wszystko to takim przejęte jest duchem; na taki sadzić się zdaje pan Southey we wszystkich swoich pismach. Zdaje się jak żeby w duszy jego górowało to uczucie: «Dobrze robię, że się gniewam», a jedynym dowodem miłosierdzia jaki dawać raczy swoim przeciwnikom jest, że się modli o ich nawrócenie. Modli się zaś o to w wyrazach takich, w jakich

wyobrażamy sobie, wstawiać się mógł do nieba ksiądz jaki portugalski za żydem, oddanym w ręce świeckiej władzy, kiedy powtórnie popadł w błędy żydostwa.

Słyszeliśmy zawsze, że pan Southey jest człowiekiem bardzo ludzkim i dobrym i nie myślimy wcale ściągać do jego osoby tych uwag poczynionych nad duchem pism jego. Wszystko to są dziwactwa ludzkiej natury. Sam nawet uncle Toby nie troszczył się o francuskich grenadyerów poległych na szańcach Namur, a pan Southey, skoro bierze pióro do ręki, tak zmienia naturę, jak kapitan Strandy, kiedy miecz przypasywał. Nad jednymi tylko przeciwnikami ma Laureatus cokolwiek litości, nad tymi mianowicie, w których widzi jakiekolwiek podobieństwo do swego własnego charakteru. Do ludzi spokojnych, umiarkowanych, którzy unikają ostateczności, a z powodów swoich przekonań sprawę zdawać zwykli, ma on jak się zdaje wrodzoną jakąś instynktową nienawiść. Panu Owen z Lanack [1]) na przykład okazuje nierównie więcej poważania jak panu Hallam [2]) lub Doktorowi Lingard [3]); z jakiego powodu, tego żadnym sposobem zgadnąć nie możemy, chyba dlatego tylko, że ze wszystkich badaczów naszego czasu pan Owen najgrubiej i najnierozsądniej się myli.

Polityczny system pana Southey jest właśnie taki, jakiego spodziewać się można od człowieka, dla którego polityka nie jest rzeczą nauki, ale rzeczą uczucia i upodobania. Wszystkie jego pomysły i teorye rządu były zawsze z sobą sprzeczne. Za młodu był on republikaninem, ale, jak sam powiada w przedmowie do obecnych Rozmów, nawet wtedy przeciwnym był zawsze równouprawnieniu katolików. Dziś jest zagorzałym

[1]) Owen, Ryszard, ur. 1714, um. 1802, autor historyi wojny francusko-angielskiej w Indyach.

[2]) Hallam, ur. 1778, um. 1859, sławny autor historyi konstytucyi angielskiej.

[3]) Lingard John, ur. 1769, um. 1851, autor historyi Anglii od najścia Rzymian aż do rewolucyi 1688, katolik i ksiądz. Mimo tego stanowiska bardzo ceniony przez Anglików jako historyk.

ultra-Torysem; ale choć z gwałtownością dzikości prawie blizką, broni wszystkich najtwardszych, najniewdzięczniejszych stron zwykłej ultra-Torysów teoryi o rządzie, rażą go przecież wszystkie płaskie i brudne strony tej teoryi.

Raczej nierówność praw, prześladowanie, surowe kary na paszkwilistów i demagogów, proskrypcye, mordy, raczej nawet w potrzebie choćby i wojna domowa, niż najmniejsze ustępstwo niezadowolonemu ludowi: to zasady, które pan Southey zalecać się zdaje. Tyrania ponura i surowa, która zgniata oppozycyę, zarzuty i uwagi zmusza do milczenia, a umysły ludzkie dresuje do bezmyślnego posłuszeństwa, ma dla pana Southey coś w sobie wielkiego, co porywa i zachwyca jego wyobraźnię. Ale w brzydkich fortelach i matactwach służby publicznej nie ma nic pięknego; to też pan Southey nie ma dla nich żadnego miłosierdzia. Kiedy był Jakobinem, nie wiedział, że system jego prowadzi w koniecznem następstwie do zniesienia różnicy wyznań, dziś wpada w błąd podobny. Odrzuca on podłą część swej politycznej wiary, nie domyślając się, że jest ona zarazem częścią tej wiary istotną; chciałby tyranii i uczciwości razem, jak żeby najpowierzchowniejsza uwaga nie wskazywała jasno jak słońce, że nie może być tyrania bez zepsucia.

Ale czas nam już wielki przystąpić do rozbioru tego dzieła, które ma być właściwym uwag naszych przedmiotem, a które na każdej niemal karcie daje żywe przykłady i objaśnienia do ogólnych naszych uwag o pismach pana Southey. Dowiadujemy się z przedmowy, że pan Southey, pomimo wszystkich przeciwnych pogłosek, zawsze był przeciwny emancypacyi katolików. Wierzymy temu najzupełniej. Raz dlatego, że pan Southey, jesteśmy pewni, nie mógłby rozmyślnie fałszu napisać, a powtóre, że to jego zaręczenie jest prawdopodobnem samo w sobie. Można się było spodziewać, że w najgwałtowniejszych nawet paroxyzmach demokratycznego zapału, pan Southey nie miałby był ochoty użyć prostego środka na wielkie praktyczne zło; można się było spodziewać, że kiedy wszyscy wielcy mężowie stanu dwóch pokoleń zgodnie postanowili

środek ten popierać, pan Southey, wierny sobie samemu, postanowi go zbijać. Przeszedł on z jednej ostateczności politycznych wyobrażeń do drugiej, tak jak Szatan Miltona obszedł kulę ziemską do około, zawsze usiłując trzymać się w ciemności. Gdzie najgrubsze w danej chwili zbijają się cienie, tam z pewnością jest pan Southey. Nie każdemu byłoby się udało tak ani razu nie zabłądzić w światło dzienne w ciągu podróży do Antipodów.

Pan Southey nie był nigdy szczęśliwym w planach swoich fikcyjnych opowieści, ale nigdy jeszcze nie był w nich tak nieszczęśliwym jak w dziele obecnem, z wyjątkiem chyba swojego »Widzenia sądu«. W listopadzie roku 1817 siedział jak się zdaje Laureatus nad gazetą, i rozmyślał o śmierci księżnej Karoliny [1]), kiedy staje przed nim człowiek wieku dość podeszłego i dostojnej postawy, przedstawia się jako cudzoziemiec z dalekich krajów i przeprasza, że nie zaopatrzył się w listy polecające. Pan Southey wpada na domysł, że musi to być jakiś Amerykanin przybyły dla odwiedzenia jezior i ich wieszcza, i zabiera się natychmiast do oddania obcemu z tym wdziękiem, którego z długiej praktyki nabrać można, wszystkich grzeczności należnych od autorów wielbicielom. Zaręcza gościowi, że odwiedziny Amerykanów liczy do najmilszych jakie w życiu odbierał, i że zna między nimi ludzi, których zdolności i cnoty zaszczyt by przyniosły każdemu krajowi. Mimochodem wspomnieć nam wypada, że choć pan Southey widocznie nie lubi amerykańskich instytucyj, nie mówi przecież nigdy o Stanach Zjednoczonych z tem nędznem umyślnem lekceważeniem i pogardą, przez które, ludzie jego stronnictwa więcej od wszystkich wojen i taryf przyczynili się do rozżarzenia nienawiści między dwoma społeczeństwami stworzonemi do wzajemnego braterstwa. W umyśle jego jest wiele przywar, ale nie ma w nim miejsca dla takiej nikczemnej złośliwości. Trudno nawet pojąć, jakby człowiek takiej jak pan Southey czułości i wyobraźni

[1]) Może zmarła młoda córka księcia Rejenta, później Jerzego IV.

mógł patrzeć bez rozkoszy i dumy na tę silną i świetną młodość wielkiego narodu, w którego żyłach nasza krew płynie, którego myśl karmi się naszą literaturą, na którym zaszczepiona jest bogata spuścizna naszej cywilizacyi, naszej wolności i chwały.

Ale wróćmy do pracowni pana Southey w Keswick. Przybyły oświadcza gościnnemu poecie, że nie jest Amerykaninem, ale duchem. Pan Southey, z większą otwartością niż grzecznością odpowiada mu na to, że jest dziwnego rodzaju duchem. Gość wyciągą na to rękę; ręka ta nie ma ani wagi ani oporu. Pan Southey zaczyna brać rzeczy poważniej, włosy mu stają na głowie i zaklina widmo, żeby mu powiedziało kim jest i po co przychodzi. Pokazuje się, że widmem tem jest Tomasz Morus. Ślady męczeństwa noszą się widać na tamtym świecie tak jak na tym wstęgi i gwiazdy, bo Sir Tomasz pokazuje poecie czerwoną na około szyi obwódkę, która świeci i błyszczy bardziej jak rubiny, i donosi mu, że Cranmer nosi w raju całe ubranie z płomieni; prawa rękawiczka, sądzimy, musi szczególnie i prześlicznie się świecić.

Pierwsza wizyta Sir Tomasza trwa krótko, ale obiecuje on nie zaniedbywać miłej znajomości, a prosząc, aby bytność jego zostać mogła tajemnicą dla pani Southey, rozpływa się w powietrzu.

Całą zresztą książkę składają rozmowy pana Southey z duchem o handlu, o obiegu pieniędzy, o emancypacyi katolików, o literaturze peryodycznej, o żeńskich zakonach, o rzeźnikach, o tabace, o katalogach księgarzów i antykwaryuszów, i o tysięcznych innych przedmiotach. Pan Southey z uprzejmą gościnnością oprowadza ducha po okolicy, pokazuje mu jeziora, i zwraca jego uwagę na najpiękniejsze widoki. Dlaczego pan Southey musiał aż ducha wywoływać, żeby mówić o tych rzeczach i pokazywać te widoki, kiedy każdy wikary, każda sawantka z Londynu, każdy podróżny Amerykanin taki za jakiego Pan Southey wziął swego ducha z początku, mógł taką samą oddać usługę, tego pojąć nie możemy wcale. Bo Sir To-

masz nie mówi poecie ani słowa o przyszłych wypadkach, i wypiera się stanowczo daru przewidywania przyszłości. Za to nauczył się mówić dzisiejszym angielskim językiem, przeczytał wszystkie najnowsze publikacye, i lubi żartować tak samo jak za życia, kiedy żartował z kotem, choć nie możemy powiedzieć, żeby rodzaj jego dowcipu był się w raju zmienił na lepsze. Jego rozumowanie także nie jest wcale tak silnem jak wówczas, gdy siadywał na worku wełny; a choć się chwali, że «oczyszczonym jest ze wszystkich namiętności, które zaćmiewają rozumy i wypaczają pojęcia ludzi«, nam, wyznać musimy, wydaje on się daleko mniej stoicznym jak dawniej. Co się zaś tyczy rewelacyi i objawień, oświadcza on panu Southey zaraz na wstępie, że się od niego żadnych nie ma spodziewać. Laureatus występuje z niejakiemi wątpliwościami co do autentyczności Apokalipsy, które zapewne nie podniosą go w opinii naszych wyznawców tysiącletniego królestwa; ale na to wszystko duch odpowiada tylko najzupełniejszem milczeniem. O ile pamiętamy, wymknęło się temu duchowi jedno tylko słowo o zajęciach bezcielesnych duchów. Robi on bowiem panu Southey niejaką nadzieję, że na tamtym świecie znajduje się drukarnia niebieska, na której przedrukowują się wszystkie utwory pana Murray i pana Colburn tak regularnie jak w Filadelfii, i delikatnie daje mu do zrozumienia, że między rzeczami przedrukowanemi jest także Thalaba i przekleństwo Kehamy. Co za różnica między tą niedorzeczną fikcyą a wdzięcznemi powieściami, które umieścił Platon i Cycero na początku swoich dyalogów! Co za ogromny nakład maszyneryi, a jaki efekt mizerny! Duch sprowadzony na to, żeby powiedział co każdy człowiek mógł powiedzieć. Wielki duch słynnego filozofa i polityka, plecie nie wiedzieć co o powieściach i kwartalnych przeglądach, jak stary nabob śledziennik przy źródle u wód, wsuwa się ukradkiem na długie wizyty, robi wycieczki i szuka malowniczych widoków. Doprawdy, scena Świętego Jerzego ze świętym Dyonizym w Pucelu le Voltaira nie jest od tego śmieszniejszą. A wiadomo co Voltaire miał przez nią na myśli. Pana Southey

zaś nikt nie posądzi, żeby chciał sobie żarty stroić z tajemnic innego, wyższego żywota. Poprostu, w dziele, które przed nami leży, jak w swojem Widzeniu Sądu, jak w wielu innych swoich dziełach, traktuje pan Southey najpoważniejsze i najuroczystsze przedmioty w sposób, który tak się różni od sposobu otwartych szyderstw, jak różni się przedstawienie osób i rzeczy w dziwacznem jakiem włoskiem malowidle, od przedstawienia osób i rzeczy w tych karykaturach, które Carlile wystawia za oknami swego sklepu. Podług ogólnego kierunku sądzimy pojedynczy wypadek; a co w oknie znanego bluźniercy nazwalibyśmy bluźnierstwem, to w wielkim ołtarzu wyda nam się tylko niedorzecznem i nie na swojem miejscu.

Ale przejdźmy już do rozmów między panami Southey i Tomaszem Morusem, lub raczej między dwoma Southeyami zarówno wymownymi, zarówno gniewliwymi, zarówno nierozsądnymi, i zarówno skłonnymi do gadania o rzeczach których nie rozumieją. Najlepszym może przykładem tego ducha, który całą książkę ożywia, są to ustępy, w których pan Southey rozwija wyobrażenia swoje o fabrykach i rękodziełach. Są one bowiem przedmiotem najnieubłagańszej jego nienawiści. Podług niego system ten jest bardziej tyrańskim niż system feudalny, jest to system najprawdziwszej, najrzeczywistszej niewoli, który niszczy ciało i poniża umysły tych, którzy mu są poddani. Spodziewa się pan Southey, że konkurencya innych narodów spędzi nas z tego pola, że nasz handel zagraniczny przecież może raz upadnie, i że wtedy cieszyć się będziemy powrotem narodowego zdrowia i siły. Ale, jeżeliby złe w żaden już inny sposób usunąć się nie dało, to pan Southey gotów by był upatrywać największe szczęście i zbawienie w wytępieniu całej ludności fabrycznej i rękodzielniczej.

Na poparcie tego swojego sposobu widzenia rzeczy nie przytacza pan Southey ani jednego faktu; nam zaś, zdawałoby się że jest faktów wiele, które prowadzą do wprost przeciwnych wniosków. Podatek na ubogich naprzód, jest bez porównania niższym w okolicach fabrycznych niż w okolicach rolniczych.

Gdyby pan Southey chciał sobie zadać tę pracę i przejrzeć sprawozdania parlamentarne o tym przedmiocie, przekonałby się, że wysokość zapomóg parafialnych, których potrzebują robotnicy w różnych hrabstwach Anglii, stoi zawsze w stosunku odwrotnym do stopnia rozwoju systemu przemysłowego w tychże hrabstwach. Mamy właśnie przed sobą wykazy takie z lat 1825 i 1828. W pierwszem z tych lat podatek na ubogich najwyższym był w hrabstwie Sussex i wynosił około dwudziestu szylingów w przecięciu na jednego mieszkańca. Po niem szły hrabstwa Buckingham, Essex, Suffolk, Bedford, Hentnigdon, Kent i Norfolk, w których podatek wynosił nad pietnaście szylingów na głowę. Wszystkich rozumie się wyliczać nie będziemy, dodamy tylko, że nawet w Westmoreland i w północnym stoku hrabstwa York, podatek na ubogich wynosi więcej niż ośm szylingów na głowę. W hrabstwach Cumberland i Monmouth, najbogatszych ze wszystkich hrabstw rolniczych, podatek ten wynosi sześć szylingów na głowę. W zachodnim zaś stoku hrabstwa York, wynosi on tylko pięć szylingów, a w hrabstwie Lancaster cztery, to jest jednę piątą część tego, co wynosi w hrabstwie Sussex. Wykazy z roku 1828 są cokolwiek, ale też tylko cokolwiek, mniej pomyślne dla okolic przemysłowych. Hrabstwo Lancaster, nawet w tym roku nędzy, płaciło mniejszy niż wszystkie inne podatek ubogich, a wynosił on mało co więcej jak czwartą część tego, co wynosił w hrabstwie Sussex. Ze wszystkich zaś okręgów rolniczych, jedno tylko hrabstwo Cumberland wyszło tak szczęśliwie jak zachodnia część hrabstwa York. Fakta te zdają się dowodzić, że położenie wyrobnika przemysłowego jest i pomyślniejszem i mniej zależnem niż położenie robotnika rolnego.

Co zaś do wpływu systemu fabrycznego na zdrowie i siły fizyczne robotnika, to ten zmierzyć musimy podług skali zbyt gminnej i poziomej dla umysłu tak bujnego i poetycznego jak pan Southey, to jest podług stosunku śmierci do urodzin. Wiemy, że odkąd wzrastać zaczął ten system okropny, ten nowy rodzaj nędzy, żeby użyć wyrażeń pana Southey, ta nowa

zgroza, ten potwórny płód potwornego wieku, ta zaraza, której ten tylko chyba nie potępi, kto ma serce wyschnięte i umysł przyćmiony, śmiertelność zmniejszała się ciągle i znacznie, a w miastach fabrycznych znaczniej niż gdziekolwiek. Śmiertelność wprawdzie dotąd jak zawsze większa jest po miastach niż na wsi, ale różnica zmalała w stosunku trudnym prawie do uwierzenia. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa zdaje się że około połowy zeszłego wieku średnia śmiertelność w Manchester była jak jeden do dwudziestu ośmiu. Dziś jest ona jak jeden do czterdziestu pięciu. Podobne polepszenie daje się widzieć w Leeds i w Glasgowie. A co więcej, procent śmiertelności w tych trzech stolicach okolic fabrycznych jest dziś o wiele mniejszym, niż był przed laty pięciudziesiąt w całej Anglii z Waliją razem, rachując już wszystkie wsie i wszystkie otwarte miejsca. Zdaje nam się zatem, że możemy twierdzić z niejakiem prawem do słuszności, że ludzie żyją dłużej, gdyż mają lepszy pokarm, lepszą odzież, lepsze mieszkania, lepsze w chorobie starania, i że wszystkie te korzyści zawdzięczamy jedynie wzrostowi narodowego bogactwa, który jest skutkiem systemu fabrycznego.

Możnaby wiele jeszcze więcej o tym przedmiocie powiedzieć, ale po cóż? Nie z wykazów to śmiertelności ani z statystycznych tablic wyciągnął pan Southey swoją polityczną wiarę; nie zniżył on się do poznania historyi tego systemu, który szkaluje, do zważenia złego i dobrego jakie ten system sprowadził, do zestawienia i porównania okolic i pokoleń. Podajemy tu własnemi jego słowy powód, i to jedyny powód, na którym zdanie swoje opiera:

»Staliśmy chwilę w milczeniu, patrząc na rozsypane pod nami ludzkie mieszkania. Tu, i na przyległej wiosce Millbuk, można poznać i porównać skutki fabryk i rolnictwa. Tam dworki i chaty są takie, że malarz i poeta patrzeć na nie może zawsze z rozkoszą. Zbudowane z trwałego rodzimego kamienia bez wapna lub cementu, nie zamazane żadnem białem smarowidłem, długie ich dachy łupkiem pokryte; lutnią czaro-

dziejską jakiegoś ojczystego Amfiona pobudzone, kamienie same nie byłyby mogły ułożyć się w całość piękniejszą, zgodniejszą z otaczającą naturą; a czas zlał wszystko w doskonalszą jeszcze harmoniję, zostawując na murach ślady niepogód i słońca, zasiewając na nich mchy, licheny, trawki, paprocie, i wszelkiego rodzaju murowe rośliny. Ozdobne kominy, okrągłe lub czworograniaste, mniej zapewne strojne od tych, które jak wieżyczki wieńczą chatę portugalskiego wieśniaka, ale nie mniej szczęśliwie do całości zastósowane; przed oknami strzyżone bukszpanowe płoty, krzewy róż przede drzwiami, grzędy kwiatów z wiotką malwą w pośrodku; a za dworkiem ogródek, pasieka, sad, ławeczka obrosła narcyzami i dzwonkami, najrychlejszemi, najobfitszemi w tych stronach, wszystko to wskazuje na zamożność i swobodę właściciela, na dbałość jego o wygodę i wdzięk, dowodzi wreszcie jakiegoś zmysłu naturalnej, zdrowej, niewinnej rozkoszy. Nowe zaś dworki wyrobników fabrycznych wszystkie są na wzór fabryki — nagie, i w jednej linii.«

»Zkądże to, »rzekłem«: Wszystko co tylko styczność ma z przemysłem, takie nosi na sobie piętno nieopisanej brzydoty? Od największej świątyni Mammona aż do najnędzniejszej szopy, w której kryją się Mammona Heloci, wszystkie te budynki jednę noszą cechę. Czas nie rozleje po nich łagodnej swej barwy, natura nie przystroi ich ani zakryje, i zostaną zawsze jak są dzisiaj, rażące zarówno dla oka i umysłu«.

Otóż mądrość! Otóż prawidła, według których rządzić się należy narodami. Róże z podatkiem na ubogich, raczej jak maszyny parowe z niezależnością; śmiertelność i dworki obrosłe paprocią i mchami, raczej jak zdrowie i długie życie przy budynkach, których czas nie może rozlać swej łagodnej barwy! Twierdzi pan Southey, że nasz wiek wynalazł okrucieństwa o jakich nasi ojcowie nie mieli pojęcia, że społeczeństwo nasze jest w takim stanie, że wytępienie co do nogi byłoby dla niego szczęściem, a to wszystko dla tego, że mieszkania rękodzielników są prostokątne i nagie. Pan Southey wynalazł, jak mówi najlepszy sposób porównania skutków rolnictwa ze skutkami

przemysłu, a tym sposobem jest, stanąć na pagórku, spojrzeć na cottage i na fabrykę, i przekonać się, które piękniejsze. Czyż pan Southey myśli, że większość angielskich włościan żyje lub żyła kiedykolwiek, w wygodnych i ozdobnych dworkach z ogrodami, sadami, pasiekami i żywemi płotami? A jeżeli tego nie myśli, to cóż ma znaczyć jego porównanie? Mniemani filozofowie, którzy myślą, że służą sprawie umiejętności tem, że chcą lekceważyć sztuki i literaturę, są zaiste godni pogardy: ale jeżeli może co usprawiedliwić ich ciemny sposób widzenia, to książka taka jak ta. Nic dziwnego, jeżeli jeden fanatyk chce z malowniczości zrobić próbę politycznej pomyślności, że drugi fanatyk zechce zakazywać rozkoszy wyobraźni i smaku.

W ten to sposób rozprawia pan Southey o rzeczach, których doskonale świadomym być mniema. Nie możemy zatem dziwić się, jeżeli w grube wpada pomyłki, mówiąc o rzeczach, których sam nieświadomym się wyznaje. Wyznaje on naprzykład, że w ekonomii politycznej nie jest szczególnie biegłym, że nie ma do niej ani zdolności ani pociągu, a zaraz potem bierze się do nauczania drugich tej samej ekonomii, w sposób który najdoskonalej stwierdza prawdę poprzedniego jego zeznania.

»W dawnych czasach »mówi Sir Tomasz More«, wszelkie bogactwo było dotykalnem; leżało ono w ziemi, w gotówce lub w ruchomościach rzeczywistej lub ogólnie przyjętej wartości«. A Montesinos, (takie nieco wyszukane nazwisko dał sobie pan Southey) odpowiada, co następuje:

— »W klejnotach naprzykład, lub w obrazach, jak w Holandyi, gdzie niegdyś tulipanowe cebulki służyły do tego samego celu.

— »Złudne to oszukaństwo«, odpowiada Sir Tomasz — stało się jednem z tych zaraźliwych szaleństw, którym społeczeństwa podlegają niekiedy. Wszelkie bogactwo było rzeczywistem, dopóki z wzrostem handlu obieg papierów publicznych nie stał się potrzebnym. A papiery te różnią się tem od drogich kamieni i malowideł, że produkcya ich nie ma granic«.

»Uważamy papier« rzecze na to Montesinos, »za przedstawiciela wartości rzeczywistych, i dlatego ograniczony on jest zawsze wysokością tego co ma przedstawiać«.

— »Idąc dalej za tem pojęciem »odpowiada duch«, znajdziemy się zaraz w ciemności. Wasze banknoty prowincyonalne, które w niektórych okolicach stanowią jedyny niemal środek zamiany, dziś mają obieg. Ale niech jutro przyjdzie wiadomość, że dom który je wydał, wstrzymał swoje wypłaty, to cóż one będą wtedy przedstawiać? Będą tylko cieniem cienia«.

Nie wiemy prawdziwie, z którego końca zacząć, żeby rozplątać ten kłębek niedorzeczności. Moglibyśmy zapytać dlaczego przywiązywać wartość do rzadkich tulipanów ma być większym dowodem szaleństwa, jak przywiązywać ją do rzadkich kamieni, które nie są ani piękniejsze ani użyteczniejsze. Moglibyśmy zapytać, jak można mówić, że produkcya pieniędzy papierowych nie jest ograniczoną, kiedy wiesza się każdego, kto papiery takie wydaje w imieniu drugiego, i kiedy w swojem imieniu wydane każdy musi wypłacić? Ale błąd pana Southey tkwi głębiej niż to wszystko. »Całe bogactwo« — twierdzi on — »było dotykalnem i rzeczywistem, dopóki nie puszczono w obieg monety papierowej«. Ależ czy był kiedy, odkąd ludzie wyszli ze stanu zupełnego barbarzyństwa, czas jaki w którym nie byłoby długów? A dług, czyż nie liczy się zawsze jako część majątku wierzyciela, jeżeli wypłacalność dłużnika nie jest wątpliwa? Czy też dalej, ten dług przestaje być częścią majątku dla tego, że ma zabezpieczenie swoje na piśmie? Czy pan Southey czytał kiedy co jest napisane na biletach bankowych? Jeżeli czytał, to musi wiedzieć, że tam stoi napisane uznanie długu i zobowiązanie do wypłaty. Zobowiązanie to może nie być spłaconem, ci którym się ten dług należał, mogą ponieść stratę, ale niebezpieczeństwo to nie jest wyłączną właściwością monety papierowej, jest ono raczej nieodłącznem od wzajemnego stosunku wierzyciela i dłużnika. Każdy kto sprzedaje jakąś wartość za cokolwiek prócz gotowych pieniędzy, naraża się na to, że co dziś uważa za część swojego majątku, jutro

może stać się niczem. Pan Southey mówi o galeryach obrazów w Holandyi. Obrazy były niezaprzeczenie wartościami rzeczywistemi i dotykalnemi, ale niezaprzeczenie także mogło się trafić, że burmistrz jaki flamandzki winien był tysiąc guldenów handlarzowi obrazów za Teniersa. W tym wypadku odpowiada naszej monecie papierowej nie obraz, który jest dotykalnym, ale prawo handlarza obrazów do majątku kupca w wysokości ceny obrazu, a to prawo dotykalnem nie jest. A czy ten handlarz obrazów nie byłby uważał tego prawa za część swojego majątku — czy inny handlarz wiedzący o tej należytości nie dałby mu kredytu tem łatwiej ze względu na tę należytość? Tymczasem burmistrz mógł stracić majątek, a w takim razie nastąpiłyby te wszystkie skutki, które, twierdzi pan Southey przed wynalezieniem monety papierowej, nigdy nie były widziane. Wczoraj należytość handlarza obrazów warta była tysiąc guldenów; dziś czem jest? cieniem cienia.

Prawda, że im łatwiej prawa takie przechodzą z ręki do ręki, tem większe i ogólniejsze będą szkody sprowadzone każdem bankructwem. I dlatego prawa wszystkich narodów pozwalają w niektórych wypadkach przenoszenia na kogoś innego należytości nie objętych jeszcze w posiadanie, Nie życzy sobie zapewne pan Southey, żeby wszystkie weksle żyrowane uznanemi zostały za nieważne? Ale gdyby i do tego nawet przyjść mogło, jeszcze przenoszenie praw i należytości odbywałoby się swoją drogą, nieznacznie może, ale na wielkie rozmiary. Piekarz naprzykład, jeżeli daje na rachunek rzeźnikowi, rachuje w rzeczy choć nie w formie, na tych, którzy od rzeźnika tego kupują. Człowiek, który ma u kupców wielkie weksle, a nie płaci ich, krzywdzi w najwyższym stopniu całe wielkie koło ludzi, z którymi sam nie miał nigdy nic do czynienia.

Jednem słowem to, co pan Southey bierze za różnicę w istocie rzeczy, jest tylko różnicą formy i stopnia. W każdem społeczeństwie ludzie mają pewne prawa do własności drugich; w każdem społeczeństwie zdarzyć się może, że jeden lub drugi dłużnik nie będzie mógł spłacić swoich zobowiązań; a zatem

w każdem społeczeństwie znajdować się muszą wartości, które dotykalnemi nie są, a które mogą stać się cieniem cienia.

Potem przystępuje pan Southey do rozprawy o długu publicznym, który przedstawia mu się w świetle zupełnie nowem i bardzo pocieszającem, jako niezaprzeczony dodatek do narodowych dochodów.

»Pojmujesz, »mówi Sir Tomasz«, że dług stanowi wielką część narodowego bogactwa«.

»Tak wielką« — odpowiada Montesinos — »że w latach urodzajnych i obfitych, procent wynosił tyle co cały dochód z ziemi w W. Brytanii, a dziś wynosi tyle, ile dochody z ziemi, z domów i ze wszystkich nieruchomości w całym kraju razem wzięte«.

Duch i Laureatus zgadzają się na to, że jest rzeczą bardzo do życzenia, aby bogactwo miało depozyt tak pewny i korzystny, jak ten, którym jest dług, a potem Sir Tomasz ciągnie dalej w ten sposób:

— »Nie należy spuszczać z uwagi innej jeszcze ważniejszej korzyści, to jest wydatku tego rocznego procentu, który jak mówisz, wynosi tyle co dochód ze wszystkich własności nieruchomych«.

— »Wydatek ten, »rzecze Montesinos« — dostarcza zajęcia połowie industryi w kraju, i żywi połowę ludności. Gdybyśmy z tej zawiklanej maszyny społecznej wyjęli dług narodowy, wszystkie koła musiałyby stanąć odrazu«.

Z ustępu tego gotowibyśmy wnosić, że dywidenda wydaje się panu Southey darem niebios peryodycznie zsyłanym kapitalistom, jak przepiórki i manna żydom na pustyni, gdyby nie to, że w następnem zaraz pytaniu i odpowiedzi raczył pan Southey dać publiczności objaśnienie jedno, którego wcale nie potrzebowała.

— »Z czegóż się spłacają procenta od długu?« zapytuje Sir Tomasz. — »Z podatków« — odpowiada Montesinos.

Teraz, niech nam pan Southey odpowie, czy zastanowił się kiedy, coby się stało z temi pieniędzmi, gdyby nie

szły jako procent od długu w ręce narodowego wierzyciela? Gdyby chciał chwilkę tylko o tem pomyśleć, to ważna korzyść, o której mówi, zeszłaby, lękamy się do bardzo małych rozmiarów. Kapitalista, przypuśćmy, wydaje corocznie dywidendę wynoszącą pięćset funtów, a dziesięciu jego sąsiadów płaci poborcy podatków po pięćdziesiąt funtów każdy, na zapłacenie procentów od narodowego długu. Gdyby dług został spłaconym, czego bynajmniej nie myślimy zalecać, kapitalista przestałby wydawać pięćset funtów rocznie, nie dostarczałby roboty przemysłowcom, nie karmiłby robotników. Pan Southey widzi w tem straszne złe: ale czyż nie zachodzą tu jakie okoliczności łagodzące? Każdy z sąsiadów owego kapitalisty będzie miał o pięćdziesiąt funtów na rok więcej jak przedtem; każdy z nich na nasz przynajmniej prosty i ograniczony rozum, będzie dostarczał przemysłowi więcej roboty, będzie żywił więcej ludzi jak przedtem. Summa pieniędzy zostanie zupełnie taką samą, będzie ona tylko w innych rękach. A z jakichże powodów chce nam pan Southey wytłómaczyć, że będzie ona w rękach, które użyją jej nie tak hojnie lub nie tak rozsądnie? Sądzi on, jak się zdaje, że kapitalista tylko daje zarobek ubogiemu, że gdyby podatek został zniesionym, to ci, którzy go dotychczas płacili, kopaliby zaraz doły w ziemi i zagrzebywali pieniądze, które dotąd rząd pobierał; że żadne inne pieniądze nie mogą wprawić przemysłu w ruch, tylko takie, które poborca wyjął z kieszeni jednego człowieka i włożył do kieszeni drugiego. Pragniemy szczerze, żeby pan Southey spróbował dowieśdź tej zasady, która jest podstawą całej jego teoryi o skarbie, bo, winniśmy zwrócić na to jego uwagę, nasze pokolenie o sercach zatwardziałych i wyobrażeniach wcale nie bujnych, gotowe żądać jakich dowodów bardziej stanowczych od jedynego, jakim nas pan Southey zaszczycił, to jest, od porównania do wyziewów i rosy.

Ale z tą teoryą i z tym przykładem znamy się zaprawdę oddawna. W każdym czasie niedostatku, jaki sobie przypomnieć możemy, głosił zawsze pan Southey, że kraj powinien spodziewać się ulgi nie od ekonomii, ale od podwyższenia podatków;

a dziś przekonywujemy się, że pokłada on zawsze jeszcze niezachwianą wiarę politycznego Diafoirusa w swojem

Resaignare — repurgare et reclysterizare.

— »Naród« — mówi on — »może być zbytecznie boga»tym, ale rząd nie może nim być nigdy.«

— »Państwo« — mówi — »nie może mieć do rozporzą»dzenia więcej bogactw, niżeli użyć ich zdoła na dobro publi»czne, gdyż hojne wydatki na roboty publiczne są jednym »z najpewniejszych środków podniesienia pomyślności i do»brego bytu narodu; a korzyść takich wydatków na poprawę »bytu narodu, jest jeszcze oczywistszą. Ale naród, może być »zbytecznie bogatym.«

Zgadzamy się zupełnie na to, że państwo nie może mieć do rozporządzenia więcej bogactw, niżeli ich użyć może na cele publicznego dobra. Ale tak samo nie mogą mieć ani indywidua, ani zbiory indywiduów więcej bogactw, niż ich użyć można na takie cele. Jeżeli summa pieniędzy, jaka da się wydać z pożytkiem na publiczne cele i roboty, nie ma granic, to bogactwo, czy zostaje w rękach rządu czy w ręku prywatnych, może zawsze być dobrze użytem, byle właściciele dobrze go użyć chcieli. Jedyną zatem podstawą, na jakiej pan Southey utrzymywać może, że naród może być zbytecznie bogatym, a rząd nie, jest to, że rząd prędzej niż prywatni wydawać będzie pieniądze na cele publicznego dobra.

Ale cóż rozumieć mamy przez pożyteczne wydatki.

— »Hojne wydatki na roboty publiczne« — mówi pan Southey — »są jednym z najpewniejszych środków podniesie»nia dobrego bytu narodu.« Co rozumie pan Southey przez dobry byt narodu? Czy bogactwo państwa? Jeżeli tak, to rozumowanie jego jest następujące: Im więcej bogactw państwo posiada, tem lepiej, bo im więcej ich ma, tem więcej ich mieć będzie. Wygląda to zupełnie na jeden z tych wykrętów, które niegrzecznie przezwano kobiecemi argumentami. A jeżeli przez dobry byt narodu rozumie pan Southey bogactwo ludu, to jakże grubej winnym się staje sprzeczności. Naród, jak mówi,

może być zbytecznie bogatym; rząd nie może, bo rząd może bogactwa swego użyć na to, żeby lud zrobić bogatszym; — trzeba odbierać pieniądze ludowi, bo ich ma za wiele, i wydawać je na przedsięwzięcia, które mu ich dadzą więcej.

Nie wiemy prawdziwie, czy pan Southey dlatego zaleca wielkie podatki, że lud się przez nie zbogaci, czy dlatego, że się przez nie zuboży, ale tego jesteśmy pewni, że jeżeli mu chodzi o zbogacenie ludu, to wybrał sobie do tego drogę najgorszą. Roboty publiczne bowiem podlegają dwom lub trzem zasadom, które doświadczenie tylokrotnie i tak stanowczo stwierdziło, że zawsze trzymać się ich można i należy.

Nie zdarza się nigdy, żeby człowiek prywatny lub spółka ludzi prywatnych włożyła własność swoją w kanał, w tunel lub w most, inaczej, jak w nadziei, że nakład ten przyniesie jakąś korzyść. Żadne przedsięwzięcie tego rodzaju nie może przedsiębiorcy przynieść korzyści, jeżeli publiczność nie będzie chciała płacić za używanie tegoż dzieła; publiczność zaś nie zechce dobrowolnie płacić za rzecz, która jej nie przynosi żadnej korzyści ani wygody. W tem to właśnie leży widoczny i bezpośredni związek między użytecznością przedsięwzięcia i powodem, który skłania pojedynczego człowieka do przedsiębiorstwa.

A teraz popatrzmy na roboty publiczne, wykonywane z ramienia rządu; czy istnieje tam taki związek? Jeżeli przedsięwzięcie jest użyteczne, czy ludzie rządzący krajem staną się przez nie bogatszymi? — jeżeli użytecznem nie jest, czy będą przez to uboższymi? Człowiek publiczny może dbać wielce o swój wpływ i przewagę, ale czyż nie zyska jej więcej stawiając nieużyteczne a pokaźne budynki w wielkich miastach, jak budując najpotrzebniejsze drogi lub kanały w odległych prowincyach? Sława i rozgłos robót publicznych jest daleko gorszym dowodem ich użyteczności, jak wysokość myta z robót tych pobieranego. W wieku zepsutym zajdą przytem umyślne nadużycia i przeniewierstwa, a w wieku najczystszym nie braknie jeszcze na oszustwach. Nie było nigdy w żadnym kraju mężów stanu czulszych na dobre imię i czystszych pod względem

pieniężnym, jak ci, którzy od pewnego już czasu rządzili Anglią; a przecież, popatrzmy tylko na wszystkie publiczne gmachy Londynu. Gdzie rząd sam prowadzi publiczne roboty, tam przeznaczeniem jest publiczności, w złym wieku być wprost rabowaną, a w wieku czystym, mieć rzeczy najgorsze za najdroższe pieniądze.

Rzecz prosta, że państwo samo musi stawiać budowle do celów państwa potrzebne; ale wogóle, zdaniem naszem, na tych powinno przestać. Mamy najsilniejsze przekonanie, że pięć kroć sto tysięcy funtów, podpisane przez prywatnych na budowę kolei żelaznej lub kanału, więcej korzyści przyniesie publiczności, niż pięć kroć sto tysięcy funtów uchwalone na ten sam cel przez Parlament. Jest pewne stare przysłowie o oku pańskiem, i drugie, które mówi, że co mają robić wszyscy, tego nie zrobi nikt, w których bardzo wielką pokładamy wiarę.

Powiedzieliśmy już, że system polityczny pana Southey nie ma żadnej z sobą samym zgodności. Ale jeżeli jest w całym tym systemie jakaś myśl zasadnicza, jeżeli jest jakiś błąd większy od innych, to chyba ten, którego teorya pana Southey o robotach publicznych jest tylko gałęzią. Wyobraża sobie bowiem pan Southey, że obowiązkiem urzędnika jest nietylko czuwać nad całością i bezpieczeństwem osób i własności, ale że winien on jeszcze być jakoby *fac totum*, architektą, inżynierem, bakałarzem, kupcem, teologiem, że urzędnik powinien szpiegować, słuchać pod drzwiami, pocieszać, napominać, wydawać za nas nasze pieniądze, i wybierać za nas nasze opinie. Zasadą pana Southey jest, jeżeli dobrześmy pojęli, że nikt nie może tak dobrze sam myśleć o sobie jak rząd o nim, i że rząd tem bliższym jest doskonałości im więcej się wtrąca do potocznego życia i wyobrażeń pojedynczych ludzi.

Zdaje się on być zupełnie przekonanym, że w mocy jest rządu ulżyć nędzy, która cięży na niższych klasach ludności; wątpliwość w tej mierze wydaje mu się bezbożnością. Nie możemy się wstrzymać od przytoczenia tu jego argumentu, który jest prawdziwie perłą logiki.

»Wieleż to tysięcy ludzi w waszej stolicy« — mówi Sir Tomasz — »budzi się zrana nie wiedząc, z czego żyć będzie »przez dzień, ani gdzie w nocy głowę położy. Wszyscy ludzie, »nawet najgorsi, wiedzą, że występek prowadzi do nędzy, ale »wielu między mądrymi i cnotliwymi nawet, nie wie jeszcze, »że równie często nędza prowadzi do występku.«

»Wielu jest, którzy to wiedzą« — odpowiada Montesinos — »ale myślą, że nie jest w mocy ludzkich instytucyj »nędzy tej zapobiedz. Skutek widzą, ale przyczyna wydaje im »się nieoddzielną od ludzkiej natury.«

»Jak Bóg na niebie« — odpiera Sir Tomasz — »nie ma »na świecie żadnego koniecznego złego. Bo dla umysłów reli»gijnych, choroba, cierpienie i śmierć, nie są złem.«

Jeżeli choroba, cierpienie i śmierć nie są złem, to nie możemy się dopatrzeć, co w tem może być złego, że tysiące ludzi budzi się co rano nie wiedząc, co będą jedli. Głód jest złem tylko dlatego, że sprowadza naprzód cierpienie, potem chorobę, a nareszcie śmierć; gdyby tego wszystkiego nie sprowadzał, nie byłby złem, a jeżeli to wszystko złem nie jest, to i głód nie może być klęską. Postawimy tu dilemma bardzo proste. Cierpienie fizyczne albo jest złem, albo niem nie jest. Jeżeli jest, to jest złem koniecznem na świecie; jeżeli nie jest, to po cóż ubogich od niego uwalniać?

O mądrości rządów ma pan Southey wyobrażenia nie mniej przesadzone, jak o ich wszechmocności. Z największym wstrętem mówi on o opinii publicznej i o tem, że wszyscy teraz mają ją na względzie. Opinii tej, mówi, dowierzać nie można, a lękać się jej trzeba; kiedy sobie za wiele rości, należy stawić jej opór jak najsilniejszy — a zwyczaj ustępowania opinii i przed opinią, zgubi kiedyś państwo. Utrzymywać porządek i bezpieczeństwo, jest podług pana Southey, tylko jednym z celów rządu — bo rządca ma prócz tego obowiązki ojcowskie i patryarchalne. Pierwszem jego zadaniem jest czuwać nad moralnością ludu, ustanowić panującą religią, całe

społeczeństwo w tej religii wychowywać, a wszystkich Dyssydentów uważać za swoich osobistych nieprzyjaciół.

»Nic pewniejszego« — mówi Sir Tomasz — »jak to, że »religia jest tą podstawą, na której spoczywa rząd cywilny; »że z religii płynie powaga władzy, skuteczność praw i nare»szcie z jednej strony gorliwość rządu, z drugiej praw niety»kalność; i dlatego potrzeba jest ustanowionej panującej reli»gii, tak dla bezpieczeństwa państwa, jak dla dobra ludu, bo »inaczej chwiałyby się one tam i sam za każdym wiatrem ka»żdej nowej nauki. Państwo o tyle jest bezpiecznem, o ile lud »przywiązanym jest do jego instytucyi, jest zatem pierwszem »prawidłem zdrowej polityki, żeby nazwyczaić i włożyć lud do »tej drogi, po której ma iść. Państwo, które tego zaniedbuje, »samo sobie zgubę gotuje, a politycy, którzy inaczej lud wy»chowują, do innej wkładają go drogi, podkopują państwo. »W oderwanych umiejętnościach nie ma nic pewniejszego, jak »to twierdzenie.«

— »A przecież« — odpowiada Montesinos — »zaprze»czają temu nasi Professorowie Sztuk Gadatliwych i Piśmidło»wych; jedni w zuchwalstwie złego zamiaru, drudzy w chwa»lebnej podufałości nieprzebitej głupoty.«

Większa część naszych dwóch tomów jest tylko wypełnieniem i amplifikacyą powyższych paragrafów.

Co sobie myśli pan Southey, kiedy mówi, że religia jest oczywiście podstawą rządów cywilnych? Nie może przecież myśleć, że ludzie nie mają innych powodów do ustanowienia i popierania rządów cywilnych, prócz tych powodów, które wypływają z religii, że rządy cywilne nie przynoszą żadnych świeckich korzyści, lub że ludzie nie ponieśliby żadnej szkody w świeckim porządku rzeczy, gdyby żyli w stanie anarchii. Jeżeli pan Southey zgadza się, jak sądzimy że zgadzać się musi, że rządy są dla dobra ludzkości na tym nie na tamtym świecie, i że ogromna większość ludzkości myślała zawsze, że rządy są dla jej dobra na tym świecie, to mamy gotową podstawę rządów różną zupełnie od religii. Prawda, że religia

chrześciańska uświęca rząd, tak jak uświęca wszystko, co się przyczynić może do szczęścia i doskonałości naszego plemienia; ale nie możemy pojąć, w jakiem znaczeniu rzec można o religii, że jest podstawą rządu; możnaby chyba powiedzieć o niej, że jest podstawą zwyczaju jedzenia, picia i palenia w piecu na zimno. Nic pewniejszego w historyi, jak to, że rządy istniały, że miały powagę i dawały opiekę w czasach, kiedy nie miały najmniejszego poparcia od religii, w czasach, kiedy nie było wcale takiej religii, któraby wpływ wywierała na umysły i sposób życia ludzi. Jeżeli Ateńczyk pragnął instytucyj, które przeszkodziłyby Orestowi ukraść mu suknię, lub Mediasowi roztrzaskać mu głowę, to pewnie nie z bojaźni Tartaru, ani z nadziei Elysium. »Religia« — mówi pan Southey — »nadaje władzy powagę, a prawom skuteczność.« Jakaż to religia nadaje powagę władzy naszej nad Hindami, lub skuteczność tym prawom, na mocy których wieszamy Braminów? Rządy cywilne istniały od tysiąców lat w każdym zakątku świata, istniały za czasów teokracyi, fanatyzmu, obojętności, i za czasów oświeconej pobożności; a czy czystą lub nieczystą była wiara ludzi, czy wielbili oni moc dobroczynną czy złą, czy wierzyli lub nie wierzyli w nieśmiertelność duszy, zawsze przecież, skoro tylko wyszli ze stanu zupełnej dzikości, czuli potrzebę rządów cywilnych i rządy te ustanawiali. Jest to fakt tak powszechny, jak gotowanie jadła. A jednak, twierdzi pan Southey, nie ma w porządku rzeczy abstrakcyjnych, nic pewniejszego, jak to, że rząd zasadza się na religii. Chcielibyśmy wiedzieć, jakie pan Southey ma pojęcie o dowodach rzeczy oderwanych; boimy się, że chyba bardzo niejasne.

Autor w ten sposób ciągnie dalej swój dowód. Ponieważ religia jest podstawą rządu, i ponieważ państwo o tyle jest bezpiecznem, o ile lud przywiązany jest do instytucyj tego państwa, »przeto« mówi pan Southey, »pierwszem prawidłem polityki jest, że rząd powinien naprowadzać ludzi na drogę, którą iść powinni; rzecz jasna zatem, że każdy, kto naprowadza ich na drogi inne i do innych wkłada, podkopuje państwo.«

Otóż, nie widzimy wcale, żeby przedewszystkiem chodzić miało o to, by ludzie wierzyli w panującą religią i byli przywiązani do istniejącego rządu. Mogą być fałszywe religie; mogą być złe rządy; a poparcie, które dawałby rząd fałszywej religii, lub religia złym rządom, byłoby oczywistem złem.

Zasada, że rząd powinien naprowadzać ludzi na drogę, którą iść powinni, brzmi bardzo pięknie. Ale czyż jest jakikolwiek powód mniemać, że łatwiej rząd wprowadzi ludzi na dobrą drogę, niż ludzie sami na tę drogę trafią? Czyż nie bywało rządów, które były »ślepemi i wodzami ślepych« — czyż nie ma ich i dziś jeszcze? Czyż da się to postawić jako prawidło powszechne, że ruch prawd religijnych i politycznych idzie z góry na dół od rządu do ludu, a nie z dołu do góry od ludu do rządu. Wszystko to są pytania, które wartoby raz stanowczo rozwiązać. Pan Southey rozprawia wiele przeciw opinii publicznej, która, jak mówi, przywłaszcza sobie najwyższą władzę. Podług niego, rządziły dawniej prawa, dziś rządzi opinia. A czemże są prawa, jeżeli nie wyrazem opinii pewnej klasy, mającej władzę nad resztą społeczeństwa? Cóż rządziło dawniej światem, jeżeli nie opinia jakiejś osoby lub osób? Cóż inego może rządzić nim kiedykolwiek? Czemże są wszystkie systemy, religijne, polityczne, lub naukowe, jeżeli nie opiniami opartemi na mniej lub więcej pewnych dowodach. Sprawa nie toczy się tu między opinią ludzką a jakimś innym, wyższym, pewniejszym sposobem dojścia do prawdy, ale między opinią a opinią, między opiniami dwóch ludzi, dwóch klas, dwóch pokoleń. Opinia publiczna nie jest nieomylną; ale czyż potrafi pan Southey stworzyć instytucye, któreby nam zapewniły kierownictwo opinii nieomylnej? Czy potrafi pan Southey wybrać jakąś rodzinę, jakiś zawód, jakąś klasę, odznaczoną od innych widomem jakiemś znamieniem, której opinia, według wszelkiego prawdopodobieństwa, słuszniejszą byłaby od tej okrzyczanej opinii publicznej. Kogóż wybierze? Czy parów naprzykład — czy dwustu najwyższych ludzi z całego kraju, czy biednych rycerzy z Windsor, lub siódmych synów siód-

mych synów? czy dzieci, które się w czepku rodzą? Nie możemy przypuścić, żeby zalecał wybory, bo te nie są niczem innem, jak odwołaniem się do opinii publicznej. Możnaby rzec, że społeczeństwo winno być rządzonem opinią najlepszych i najmędrszych; to prawda, ale prawda, która się na nic nie zda, bo czyjaż opinia ma rozstrzygać, kto są ci najlepsi i najmędrsi?

Sądzi pan Southey, a z nim wielu zacnych ludzi, że skoro raz dowiedli, że pierwszym celem jest religijne i moralne wychowanie narodu, wynika samo z siebie, iż rząd powinien dążyć do tego celu. Zapominają oni, że tu zważyć potrzeba nie samą tylko dobroć celu, ale jeszcze i stósowność środków. W ciele politycznem jak w ciele fizycznem nie wszystkie członki jedne i te same sprawują czynności, i można powiedzieć bez najmniejszej sprzeczności, że pewna jakaś część społeczeństwa może doskonale zasłaniać własność i osobiste bezpieczeństwo reszty, a nie być właściwą i stosowną do kierowania opinią lub dozorowania domowego życia.

Własne dobro każdego panującego tak silnie nakazuje mu bronić poddanych od wszystkich, oprócz jego własnych zdzierstw i krzywd, a środki któremi cel ten da się dopiąć, są tak proste i widoczne, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa, pod najgorszym rządem jeszcze się ludziom lepiej dziać będzie, niżeli w stanie anarchii. Nawet gdzie urzędników wybierano losem, jak we włoskich republikach, jeszcze rzeczy szły lepiej, niż gdyby wcale żadnych nie było urzędników, i gdyby każdy robił co się jemu dobrem wydaje. Ale nie widzimy, dlaczego zdania urzędników o przedmiotach oderwanych mają być lepsze od zdań innych ludzi. Żaden sposób mianowania urzędników, czy to wybór powszechny, czy los, czy urodzenie, nie daje, ile dostrzedz możemy, najmniejszej rękojmi, że ten urzędnik jest mędrszym od któregokolwiek ze swoich współobywateli. Tem mniejsze prawdopodobieństwo, żeby był mędrszym od wszystkich swoich współobywateli razem wziętych. Nie możemy pojąć, jak można twierdzić, że

jakaś jedna klasa ma prawo i obowiązek kierować zdaniami klas innych, jeżeli nie można dowieść, że klasa ta prędzej niż inne może mieć dobre i słuszne opinie.

Obowiązki rządu byłyby, jak mówi pan Southey, ojcowskiemi, gdyby rząd był koniecznie o tyle mądrzejszym od narodu, o ile najgłupszy ojciec przez czas jakiś mądrzejszym jest od najrozumniejszego dziecka, i gdyby rząd tak ten naród kochał, jak ojcowie zazwyczaj kochają swoje dzieci. Ale nie ma najmniejszego powodu mniemać, żeby rząd miał mieć czy to ojcowską gorącą miłość, czy ojcowską wyższość umysłową. Takim sposobem mógłby pan Southey powiedzieć, że obowiązki szewca są ojcowskie, i że nikt, kto do cechu nie należy, nie ma prawa mówić, że ma złe obówie, ani żądać lepszego. Podział pracy nie byłby korzyścią, gdyby ci, którzy rzecz jakąś robią, musieli zważać na zdanie tych, dla których ją robią. Szewc w Relapse [1]) na przykład, dowodzi Lordowi Foppington, że jego Lordowska Mość się myli, jeżeli myśli, że ją trzewik gniecie: »trzewik nie gniecie, gnieść nie może, »ja znam moje rzemiosło i wiem, że nigdy nie zrobiłem lep»szego trzewika.« Pan Southey chce tedy, żeby w ten sposób obchodził się rząd z ludźmi, którzy przywłaszczają sobie przywilej myślenia. W tem porównaniu nawet miałby przecie szewc więcej nieco za sobą; szewc przestał na tem, że decydował o trzewikach, w którym to fachu miał wiadomości specyalne, a nie ważył się stanowić coś o ubraniu lub o kapeluszu; a pan Southey chce, żeby panujący dyktował narodowi opinią w rzeczach, w których rząd nie posiada żadnych szczególnych źródeł informacyi, i o których pierwszy lepszy człowiek na ulicy może wiedzieć tyle i sądzić tak trafnie, jak król, to jest, w rzeczach religii i moralności.

Nigdy ludzie nie zdołają lepiej sprawy jakiej rozstrzygnąć, jak kiedy swobodnie nad nią rozprawiają. Rząd może na to jedynie wtrącać się w rozprawy, by ją uczynić mniej swobodną

[1]) Recydywa — osoby fikcyjne.

niż byłaby bez jego wmieszania. Nigdy ludzie nie dojdą łatwiej i prędzej do zdań słusznych i prawdziwych, jak kiedy wolni od wszelkiego wpływu nadziei lub obawy, jedynie poznania prawdy żądają. Rząd jako rząd, nie może czem innem zasad i nauk swoich popierać, jak nadzieją lub obawą. W sporze radzi on sobie nie argumentami, ale groźbami i kubanami, a jeżeli używa dowodów i rozumowania, to nie na mocy jakichś przymiotów właściwych jemu jako rządowi, — i tak zamiast sporu między argumentem a argumentem, mamy spór między argumentem a siłą. Zamiast sporu, w którym z natury ludzkiego umysłu prawda ma stanowczą korzyść nad fałszem, mamy spór, z którego prawda przypadkiem jedynie wyjść może zwycięzko.

A jakież to wreszcie bezpieczeństwo daje rządom ten sposób wychowywania ludów? Nie może przecież pan Southey żądać, żeby wolne rozprawy bardziej były zakneblowane a opinia publiczna bardziej wdrożona do posłuszeństwa istniejącym instytucyom, jak w Hiszpanii lub we Włoszech. A przecież, jak wiemy, wszystkie zapory i pętanie nie przeszkodziły duchowi ateizmu rozszerzyć się między klasami oświeconemi we Włoszech i w Hiszpanii, a zwłaszcza między tymi właśnie, do których należy służba bożych ołtarzów. Wszak wiadomo każdemu, jak za Rewolucyi francuzkiej występował ksiądz po księdzu i oświadczał, że jego wyznanie, jego kapłaństwo, całe jego życie, było kłamstwem, komedyą, do której zaledwie zdołał zastósować swoje oblicze, by nie zdradzić swego oszukaństwa. Ale tak, mógłby ktoś powiedzieć, miała się rzecz z religią fałszywą, a co najmniej wielce zepsutą i zeszpeconą. Weźmy więc inny przykład, weźmy ten, który najbardziej sprzyja argumentom pana Southey; weźmy ten system religijny, który ze wszystkich wydaje mu się najczystszym, to jest odcień Arminiański Anglikańskiego Kościoła [1]). Weźmy jeszcze i tę formę

[1]) Arminianie albo Remonstranci, sekta tak nazwana od Arminiusa (właściwie Harmensen) urodzonego 1560, zmarłego 1600.

rządu, którą pan Southey najbardziej wielbi, której najbardziej żałuje, weźmy rząd angielski za czasów Karola I. Czyż można żądać ściślejszego jak wtedy związku między Kościołem a państwem — czy można żądać wszechmocniejszych trybunałów kościelnych, gorliwszego króla, czynniejszego prymasa? Czyż może pan Southey żądać zupełniejszego jak wtedy w rękach panującego Kościoła monopolu publicznego wychowania? Czyż mógł rząd jaki na świecie zrobić więcej, by wychowywać ludzi w tych zasadach, wedle których postępować winien? A na czemże, na czem skończyła się ta edukacya? Sprawozdanie o stanie prowincyi Canterbury, przedłożone królowi przez arcybiskupa Laud pod koniec roku 1639, przedstawia stan Kościoła jako najświetniejszy, najzupełniej zwycięzki. Rząd tak skutecznie prowadził tę politykę, którą pan Southey pragnąłby wskrzesić na nowo, że nie było prawie ani cienia różnic religijnych. Wszyscy niemal biskupi donosili, że w ich owczarniach wszystko idzie jak najlepiej. W dyecezyi Peterborough było siedm lub osiem osób, które zdawały się krnąbrnemi, ale i te poddały się zupełnie Kościołowi. W dyecezyach Suffolk i Norfolk wszyscy ci, których podejrzywano, zrobili wyznanie wiary i posłuszeństwa i dochowywali go ściśle. W Suffolk wprawdzie nie bez trudności dało się doprowadzić niektórych ludzi z pospólstwa do przyjmowania Sakramentu przez balustradę ołtarza, ale też był to jedyny przykład otwartego oporu, jaki odkryć mogło baczne oko Lauda, we wszystkich dwudziestu i jednej dyecezyach swych sufraganów — a to wszystko w wilią Rewolucyi, która zwalić miała prymasa, Kościół, króla i królestwo razem.

W jakimże czasie bezpieczniejszą będzie konstytucya podług pana Southey? Czy w roku 1639, kiedy Laud przedstawiał te sprawozdania królowi, czyli dziś, kiedy miliony dyssydentów zbierają się otwarcie na tysiącach meetyngów, kiedy mówi się głośno o zamiarach zniesienia dziesięciny, kiedy książki obalające nie już Kościół panujący, ale pierwsze zasady chrześciaństwa sprzedają się swobodnie na ulicach? Mówi

pan Southey, że oznaki niezadowolenia silniejsze są dziś w Anglii niż były we Francyi, kiedy zwoływano Generalne Stany, i z tego każe nam wyciągać wniosek, że mamy za pasem Rewolucyę taką jak francuzka. Czyż on nie wie, że niebezpieczeństwo państw sądzić należy nie z tego co wybucha i na jaw wychodzi, ale z tego co tkwi i zostaje w umysłach? Czy może wystawić sobie coś straszliwszego od położenia rządu, który panuje bez obawy nad narodem hypokrytów, któremu prasa głośno pochlebia a który pocichu wszyscy przeklinają, który chwali się miłością i posłuszeństwem poddanych, a nie wie, że ci poddani związani są przeciw niemu wielkiem bractwem nienawiści, którego znaki dają sobie co dnia w wejrzeniu tysięcy oczów, w uścisku tysiąca rąk, w tonie tysięcy głosów. Co za głęboka zaiste i mądra polityka, zamiast leczyć chorobę, usuwać symptomata, po których jedynie poznać może naturę tej choroby: zostawić wężowi zabójcze żądło, a odjąć mu tylko ostrzegające grzechotanie.

Kiedy naród tak usilnie przez Karola w dobrych zasadach chowany, odwdzięczył mu ścięciem głowy ojcowską pieczołowitość, wszedł w modę inny znowu sposób wychowywania. Przyszedł rząd inny, który tak jak poprzedni uważał religię za najpewniejszą swoją podstawę, a religijną karność narodu za pierwszy swój obowiązek. Postanowiono krwawe prawa przeciw rozpuście, palono bezbożne obrazy, nieprzyzwoite posągi osłaniano draperyami, zamykano teatra, zaprowadzono mnogie posty, i uchwalono w Parlamencie, że nikt nie zostanie przyjętym do żadnej służby publicznej, dopóki Izba nie przekona się dostatecznie o jego bogobojności. Wiemy, do czego wychowanie to doprowadziło; do bezbożności, do zmysłowości brudnej i bez serca, do rozwiązania wszystkich węzłów moralności i honoru. Wiemy, że jeszcze dziś wyjątki z Pisma, imiona wzięte z Pisma, a może nawet niektóre Pisma nauki budzą śmiech i odrazę, dlatego tylko, że łączą się w pamięci z przesadzoną surowością owych czasów.

Tak więc dwa razy robiono w Anglii na wielką skalę experyment wychowywania narodu w formie panującej religii, raz robił go Karol I i Laud, drugi raz Purytanie. Ultra-Torysowie naszych czasów żywią jeszcze zawsze niektóre uczucia Lauda i Karola, choć w formie nieco złagodzonej; nie trudno też także dojrzeć między nami i spadkobierców dawnych Purytanów. Byłoby wielce do życzenia, żeby każde z tych stronnictw przypomniało sobie, jak mało odniosło korzyści i zaszczytu ze ścisłego owego związku swego z władzą; że obadwa systemy upadły przez poparcie rządu, a wzrosły przez jego opór, że obadwa, podczas gdy gwałtem lud do nich zmuszano, były u ludu w nienawiści, i że edukacya wysokiego Kościoła skończyła się na panowaniu Purytanów, a edukacya Purytanów na panowaniu nałożnic. I było to wszystko zupełnie naturalnem. Nic tak nie drażni ludu nieprzełamanego do niewoli od urodzenia, jak rząd ojcowski, lub innemi słowy, rząd mieszający się do wszystkiego, rząd, który przepisuje ludziom co mają czytać, co jeść, co pić i jak się ubierać. Nasi ojcowie nie mogli tego znieść przed dwustu laty, i my dzisiaj nie mamy więcej od nich cierpliwości. Pan Southey myśli, że jarzmo Kościoła spada z nas dlatego, że jest zbyt wolne; a my jesteśmy przekonani, że ludzie dlatego tylko jarzmo to noszą, i że zrzuciliby go w chwili, gdyby go ktoś przyciągnąć próbował. I nie byłoby ono ani pierwszem, ani najsilniejszem jarzmem, zgruchotanem i zdeptanem w dniu zemsty pod nogami angielskiego ludu.

Nie możemy odgadnąć, jak daleko i do jakich środków, zdaniem pana Southey, rząd posunąć się winien, by wychowywać ludzi w nauce Kościoła. W jednym ustępie zapytuje Sir Tomasz z niemałym wybuchem namiętności:

»Czy być może, aby wasze prawa dozwalały niewiernym »istnieć jako stronnictwu? *Vetitum est adeo sceleris nihil?*« A Montesinos na to odpowiada: — »Wbrew prawom przyznają »się oni tem czem są, a modną dziś zasadą, którą cała prasa »popiera, jest, że prawa nie powinny mieszać się w takie rzeczy,

»bo każdy człowiek ma prawo mieć takie przekonanie, jak mu »się podoba w rzeczach religijnych, i przekonanie to ogłaszać i rozszerzać.«

Wynika z tego jasno, że pan Southey nie chciałby dać niewiernym zupełnej tolerancyi. A przecież, zauważał sam w innym ustępie, słusznie choć nieco gwałtownie, »że wszelki sto»pień nietolerancyi, oprócz chyba tej nietolerancyi zupełnej, »którą praktykuje Kościół rzymski, gdzie ma władzę po temu, »działa tak na wyobrażenia, które ma przytłumić, jak obcina»nie gałęzi za silne rośliny; rosną one tem bujniej.« Dwa te ustępy zestawione razem, doprowadziłby nas powinny do wniosku, że zdaniem pana Southey należałoby używać w Anglii przeciw różnowiercom największej surowości, jakiej używał kiedykolwiek Kościół rzymski za dni największej swej potęgi, czyli, innemi słowy, że należałoby spalić każdego, kto na wezwanie nie uczyniłby uroczystego wyznania chrześciańskiej wiary. Nie chcemy przecież sądzić, jakoby pan Southey zalecał tę drogę postępowania, choć to co mówi, upoważniałoby nas podług wszelkich prawideł logiki do takiego wniosku. Ale opinie jego nie tworzą żadnego wcale systemu. Z każdej rzeczy tyle tylko na raz on dostrzega, ile z niej wydobyć może materyału do płynnego i pięknie zaokrąglonego okresu; i dlatego byłoby to szczytem niesprawiedliwości oskarżać go o wyznawanie jakiejś zasady, dlatego tylko, że zasada ta wynika z jego założenia podług najściślejszego najsumienniejszego rozumowania. Zatem, o własnych pana Southey wyobrażeniach o tolerancyi nie wiemy, nic zgoła; tem bardziej, że zaledwo skończył powstawać na rząd za to, że nie karze różnowierców, przystępuje do sprawy równouprawnienia katolików, sprawy dziś już dzięki Bogu załatwionej, i powstaje przeciw temuż równouprawnieniu z powodu, że, jak mówi, nauka katolicka z natury dąży do prześladowania, i że katolicy prześladowali, kiedy mieli moc po temu.

— »Katolicy muszą prześladować« — mówi — »jeżeli »wierzą w swoją własną wiarę, ze względów sumienia, a jeżeli

»w nią nie wierzą, to muszą prześladować przez politykę, bo »system tak zepsuty i szkodliwy tylko przez nietolerancyę może »się utrzymać.«

Błogosławiony duch nie może przyjść do siebie z podziwienia na to, że różnowiercy nie są prześladowani, ale twierdzi pomimo tego, że całe jedno wyznanie chrześciańskie ma być wykluczonem od władzy i urzędów, dlatego, że ludzie, którzy kiedyś do wyznania tego należeli, stali się winnymi prześladowania. Powiedzieliśmy już raz, że nie wiemy, jakie są pojęcia pana Southey o tolerancyi, ze wszystkiego jednak wnosząc, sądzimy, iż zasadzają się one na tem, że jego wszyscy tolerować powinni, a on nikogo.

Żadna obawa przekręcenia naszej myśli nie odstraszy nas od wypowiedzenia, że pochwalamy całem sercem mądre, łagodne, prawdziwie chrześciańskie postąpienie rządu i Kościoła względem bluźnierczych publikacyj. Należy im się chwała za to, że nie uznały za potrzebne otoczyć religię czystą, miłosierną i filozoficzną, religię, której oczywistości poddały się najwznioślejsze umysły, szańcami krwawego i fałszywego zabobonu. Arka Przymierza nigdy nie została wziętą, pokąd jej strzedz nie zaczął oręż ziemskich obrońców. Kiedy była w niewoli, świętość jej sama wystarczała, by ją od zniewagi zasłonić, by powalić bezbożnych nieprzyjaciół na progu ich własnej świątyni. Prawdziwe, istotne bezpieczeństwo chrześciaństwa leży w miłościwej jego nauce moralnej, w jego szczególnej zdolności zastósowania się do serc ludzkich, w tej łatwości z jaką nauka jego nagina się do pojęcia każdego ludzkiego umysłu, w pociesze, jaką niesie do domu żałoby, w świetle, jakie rzuca na wielką tajemnicę grobu. Nauka taka nie zyska na tem siły ni godności, że stanie się częścią prawa cywilnego. Nie pierwszy to raz musi ona polegać na sile własnych swoich wewnętrznych dowodów i na własnej wewnętrznej swojej piękności. Szczytna teologia chrześciańska pobiła szkoły greckie w równej walce rozumu z rozumem. Najdzielniejsi, najmędrsi z Cezarów nie mogli nic zradzić swoją bronią ani swoją poli-

tyką, przeciw tej broni nie ziemskiej, przeciw królestwu nie z tego świata. Zwycięztwo, którego nie dopiął Dyoklecyan ani Porfyryusz, nie jest prawdopodobnie przeznaczone dla tych, którzy w naszym wieku szturmy przypuszczają do ostatniej zapory potężnych i ostatniej nadziei nieszczęśliwych. Cała historya chrześciaństwa uczy nas, że większe dla niego niebezpieczeństwo, by się przez zetknięcie z świecką władzą nie zepsuło, aniżeli by nie upadło pod napaścią i prześladowaniem. Ci, którzy Kościołowi narzucić chcą doczesną władzę, obchodzą się z nim jak się obchodzili poprzednicy ich z założycielem tego Kościoła. Klękają przed nim, ale plują mu w oczy. Wołają »bądź pozdrowiony« — a biją w twarz — berło mu dają do ręki, ale to berło jest kruchą trzciną — koronują go, ale cierniem; na rany które mu sami zadali, rzucają purpurę, i przybijają szumne tytuły i napisy na krzyżu, na którym przybili go sami, by skonał w mękach i sromocie.

Przyszłość naszego społeczeństwa widzi pan Southey w świetle nader ponurem; ale pocieszamy się myślą, że pan Southey nie jest prorokiem. Przypominamy sobie, jak w przeddzień zniesienia prawa o przysiędze i prawa o korporacyach przepowiadał on jeszcze, że ohydne te prawa zaginąć nie mogą, i że dlatego jeszcze pobożne dusze będą się radować, widząc jeden z najuroczystszych religijnych obrzędów zbezczeszczonym dlatego, by utrzymać polityczną przewagę Kościoła. W obecnej książce zaręcza pan Southey, że katolicy żadnym sposobem nie wejdą do Parlamentu, chyba, gdyby do władzy dostali się ci ludzie, których Johnson nazywał bezdennymi Whigami. Książka była jeszcze pod prasą, kiedy proroctwu fałsz został zadanym, a najulubieńszy bohater pana Southey, Torys nad Torysami, dostał ten najpiękniejszy z wieńców, wieniec *ob cives servatos*.

Znaki czasu, mówi pan Southey, są bardzo groźne. Obawy jego o przyszłość ojczyzny przeważyłyby zupełnie jego nadzieje, gdyby nie stała jego ufność w miłosierdzie Boga. Co do nas, wiedząc, że Bóg raz już na to pozwolił, by barbarzyńcy zalali cały świat cywilizowany, by chrześciaństwo skalało się naukami,

które na kilka wieków postawiły je na równi niemal z pogaństwem, przypuścić musimy, że gdyby klęski takie spadły na świat po raz drugi, nie byłoby w tem jeszcze nic niezgodnego z przymiotami Boga. Wszelako weselej i z lepszą otuchą zapatrujemy się na stan świata, a tego królestwa w szczególności. Pan Southey mówi z pogardą o tych, którzy stan dzikości uważają za szczęśliwszy od stanu oświaty — pod tym względem, jak mówi, nie otumanił go Rousseau nawet w młodzieńczych jego latach. A przecież, wydaje mu się, że społeczeństwo, które w oświacie mało postąpiło, szczęśliwszem jest od tego, które zaszło w niej daleko. Brytonowie za czasów Cezara szczęśliwszymi byli, jak się domyśla od Anglików w XIX wieku; a wszystko razem wziąwszy, sądzi, że pokolenie, które żyło bezpośrednio przed Reformacyą, najszczęśliwszem było ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przedtem czy potem w kraju tym mieszkały.

Zdanie to, ile dostrzedz możemy, nie polega na niczem, oprócz własnych pana Southey wyobrażeń o szczęściu. Jest on literatem; życie ogołocone z przyjemności i rozkoszy literackich wydaje mu się niesmacznem. Nie cierpi on umysłowego kierunku obecnego pokolenia, jego poważnych nauk, jego śmiałych badań, i tej pogardy, z jaką nasze pokolenie patrzy na pewne przesądy, które w więzach trzymają jego własny umysł. Nie lubi on wieków zupełnie nie oświeconych, ale nie lubi też wieku badań i reform. Pierwsze dwadzieścia lat XVI stólecia byłyby mu odpowiadały najlepiej; dostarczały one właśnie tyle, ile jemu potrzeba umysłowego zajęcia i ruchu. Mała liczba ludzi wykształconych czytała i pisała wiele; uczeni w wielkiem byli poszanowaniu; gmin nie poważał się myśleć, a umysły najniepodleglejsze, najskorsze do badania w klasach oświeconych, większą oddawały cześć władzy, a mniejszą rozmowi niż się to dzieje za naszych czasów. W takim stanie rzeczy byłoby panu Southey zupełnie dobrze; i dlatego wyrokuje on, że był to stan najszczęśliwszy, jaki był kiedykolwiek na świecie.

Dzicy byli nieszczęśliwi, to pan Seuthey przyznaje; ale za dni Tomasza Morusa, mówi, ludzie byli szczęśliwsi od dzikich, i od nas którzy dziś żyjemy. Nam się zaś wydaje, że mamy wyższość nad współczesnymi Tomasza Mora, pod wszystkiemi względami, pod któremi oni mieli wyższość jaką nad dzikimi.

Pan Southey nie próbuje twierdzić, jakoby w w. XVI ludzie lepiej byli mieszkali, lub lepszą mieli odzież jak dzisiaj. Przypuszcza on nawet, że pod tym względem zaszła może niejaka zmiana na lepsze. Rzeczywiście jest to pewność, o której umysły nawet najopaczniejsze wątpić już nie mogą, że maszyny zniżyły ceny wyrobów, i że dziś najuboższy człowiek może mieć pewne wygody, ktorych Sir Tomasz More, ani pan jego, nie byłby dostał za żadne pieniądze.

Ale co się tyczy żywności, utrzymuje pan Southey, że przed laty trzystu klasy robocze lepsze miały pożywienie, jak dzisiaj. Zdaniem naszem, jest on najzupełniej w błędzie. Położenie sług po możnych i bogatych domach, lub uczonych po akademiach, pewnie w owych czasach pomyślniejszem było od położenia wyrobników: a przecież niezawodnie nie było lepszem od położenia dzisiejszych nędzarzów po domach roboczych. Z rejestrów domowych wydatków rodziny Northumberland, dowiadujemy się, że słudzy w jednym z największych dworów ówczesnych, żyli tak, jak dziś żyją najbiedniejsi majtkowie. Położenie uczonych na uniwersytecie w Cambridge za panowania Edwarda VI, opisane jest w najwiarogodniejszych zródłach jak najnędzniejsze. Wielu z nich żyło rosołem, do którego wchodziło mięsa za szeląg, trochę soli i owsianej mąki, a zresztą niczem co do słowa. Opis ten daje współczesny nauczyciel w kollegium ś-go Jana. Dziś, ubodzy po parafialnych szpitalach jedzą chleb pszenny. W XVI wieku robotnik cieszył się, jeżeli dostał trochę jęczmienia, a najczęściej przestawać musiał na lichszej daleko strawie. W przedmowie Harrisona do Hollinshed mamy opis stanu ludności roboczej w naszym kraju »za złotych czasów dobrej królowej Elżbiety« jak je

pan Southey nazywa. »Szlachta« mówi, »zaopatruje się zwykle do»statecznie w pszenicę na swoją własną potrzebę, ale służba »ich i biedniejsi sąsiedzi po niektórych Hrabstwach przestawać »muszą na życie lub jęczmieniu, a w czasach drożyzny, niektórzy »przynajmniej, na chlebie z bobu, albo z grochu, albo z owsa, »albo z tego wszystkiego razem, pomięszanego z żołędziami. »Nie powiem, żeby w czasach urodzaju ostateczność ta tak »często dawała się widzieć, jak w czasach drożyzny, ale mógł»bym łatwo dać dowody, gdyby była tego potrzeba, bo choć »teraz na każdem miejscu więcej się ziemi uprawia i więcej »zbiera jak za dawnych lat, to po wszystkich targach i mia»stach cena zboża jest zawsze taka, że rzemieślnik i biedny »wyrobnik dosięgnąć jej nie może, i musi przestawać na koń«skiem ziarnie.« Radzibyśmy widzieć, coby się stało, gdyby kto spróbował skazać którąkolwiek parafię w Anglii na porcyę »końskiego obroku.« Helotowie Mammona w naszych czasach nie dadzą się tak łatwo byle czem zaspokoić, jak włościanie owego błogosławionego, podług pana Southey, okresu czasu, który upłynął między upadkiem tyranii feudalnej, a powstaniem tyranii handlowej. »Dziś« mówi pan Southey, »ludzie mają gorszą »żywność, niż kiedy byli rybakami« — a w innem znowu miejscu skarży się, że niższe klasy nie chcą jeść ryb. »Nie wiedzieć »zkąd« mówi, »nabrali jakiegoś przesądu przeciw pokarmowi »smacznemu i zdrowemu, którego wszędzie dostać można tanio »i podostatkiem, gdzie tylko pokup nie jest tak wielki jak »być powinien.« To prawda, że lud ma uporczywe jakieś uprzedzenie do ryb, ale głód takich uprzedzeń nie miewa, a jeżeli to co dawniej było codziennem jego pożywieniem, jada dziś lud tylko w czasach wielkiego niedostatku, to wniosek ztąd prosty, że lud musi żywić się pokarmem lepszym niż dawniej, a przynajmniej takim, który mu się lepszym wydaje.

Lekarstwa i pomoc lekarska, którą robotnik dziś w razie choroby lub wypadku dostać może, jest o wiele lepsza niż ta, którą Henryk VIII mógł mieć na rozkazy. Rzadko która znajdzie się w kraju naszym okolica, żeby nie miała lekarzy,

nie o tyle gorszych od Sir Henryka Halford, ile lepszymi są od doktora Butts. Pan Southey przyznaje, że pod tym względem jest wielki postęp, i zaprawdę, tego już nie mógł żadną miarą zaprzeczyć. Ale utrzymuje za to, »że choroby na które »umiejętności te środków i ulgi dostarczają, wzmogły się od »czasów Druidów w stosunku przenoszącym o wiele korzyści »wydoskonalonej therapeutyki.« My nie mamy pojęcia o lekarstwach Druidów, ani o ich chorobach, ale mamy przekonanie, że postęp sztuki lekarskiej w ciągu ostatnich trzech wieków większym był nierównie od wzrostu i rozpowszechnienia chorób, i mamy na to najlepszy jaki być może dowód. Termin ludzkiego życia jest dziś w Anglii niezawodnie dłuższym, niżeli w którymkolwiek z wieków poprzednich, o których mamy wiarogodne w tej mierze wiadomości. Na ten argument nie pomogą żadne na świecie górnolotne frazesy o malowniczych dworkach i świątyniach Mammona. Nie ma bardziej stanowczej próby materyalnego dobrego bytu społeczeństwa, jak listy śmiertelności; statystyka zaś wykazuje z niezawodną pewnością, że życie ludzkie w naszym kraju ciągle się stopniowo przydłuża od kilku pokoleń. Nie można zaś przypuścić, żeby życie ludzkie mogło stawać się coraz dłuższem, a żeby byt materyalny ludzi w tym samym czasie stawał się coraz gorszym.

Niech czytelnik zastanowi się chwilę nad temi okolicznościami, niech weźmie naprzykład dżumę — niech pomyśli o tej strasznej chorobie, która zjawiła się po raz pierwszy w czasach, którym pan Southey oddaje palmę szczęśliwości, a która tak wściekle grasowała po Europie, że lekarze nie wiedzieli co robić a chorzy krociami ginęli. Niech zważy stan hrabstw północnych, tego nieustannego teatru rabunków, gwałtów, rzezi i pożogi, niech do tego wszystkiego doda jeszcze i ten fakt, że za panowania Henryka VIII siedemdziesiąt dwa tysiące ludzi zginęło z ręki kata, a potem niech rozsądzi sprawę między wiekiem XIX-ym a XVI-ym.

Nie twierdzimy wcale, jakoby niższe warstwy w Anglii i dziś jeszcze srogiej nie znosiły nędzy, ale wbrew twierdze-

niom pana Southey, wbrew twierdzeniom pewnej klasy polityków, która różniąc się od pana Southey we wszystkiem, w tem jednem z nim się zgadza, wątpimy przecież, czy klasy robocze u nas większy cierpią niedostatek materyalny, niż te same klasy w najbardziej nawet kwitnących krajach kontynentu.

Nikt przecież nie będzie utrzymywał, że lazzaroni zalegający neapolitańskie portyki, lub żebracy oblegający hiszpańskie klasztory, szczęśliwsi są od angielskiego ludu. Nędza, jakiej doznały niedawno Niemcy północne, jedna z najzamożniejszych i najlepiej rządzonych części Europy, przechodzi wszystko, co u nas w tym rodzaju widziano od dawnego czasu. W Szwecyi i w Norwegii lud wiejski zawsze musi dodawać kory drzew do mąki, z której chleb piecze, a pomimo tego nawet środka ostrożności wymierały niekiedy z głodu całe naraz domy i całe wsie. W Holandyi zrobiono świeżo próbę, którą przytaczano nie raz na dowód, że w jałowych okolicach Anglii dałyby się założyć rolnicze kolonie, a które, naszem zdaniem, dowodzi tylko, że klasy robocze w Holandyi przestawać muszą na nader nędznem i lichem utrzymaniu, lichszem o wiele od utrzymania angielskich wyrobników. Od wieków nie doświadczył nasz lud takiej nędzy, jakiej doznała Francya za naszej już pamięci. Wiosna roku 1817 była czasem wielkiego niedostatku na naszej wyspie, ale stan klas roboczych u nas, był stanem nie obfitości lecz zbytku w porównaniu z tem, co cierpiał lud we Francyi. Znajdujemy w *Journal de Physiologie Experimentale* pana Magendi, artykuł o pewnej kwestyi fizyologicznej, związanej z nędzą owego roku. Pokazuje się z tego artykułu, że mieszkańcy sześciu departamentów, a mianowicie: Aix, Jura, Haute Saone, Vosges i Saine et Loire, przestawać musieli zrazu na owsianej mące i ziemniakach, a nareszcie na pokrzywach, grochowinach i innych trawach, dobrych prawie dla bydła; że kiedy po żniwie następnem mogli sobie pozwolić chleba jęczmiennego, wielu z nich pomarło z przejedzenia tym, jak sądzili, wybornym pokarmem, a nareszcie, że w skutku okropnej strawy powstała w tych

stronach wodna puchlina, osobliwszego jakiegoś gatunku. Po drogach i polach znajdowano trupy; jeden chirurg robił sekcyę sześciu takich trupów, i znalazł żołądek zapadnięty i napełniony niezdrową strawą, które ludzie dzielić musieli z bydlętami, z głodu. O takiej strasznej nędzy nikt nigdy nie słyszał, nietylko w Anglii, ale nawet w Irlandyi. Nie chcemy orzekać stanowczo o rzeczy wymagającej dłuższych i sumienniejszych badań, niżeliśmy jej poświęcić mogli, ale wogóle skłaniamy się do zdania, że klasy robocze w naszym kraju, choć częścią z własnej niedbałości, częścią z winy rządu, mają swoją biedę i nędzę do znoszenia, stoją przecież co do materyalnego bytu o wiele lepiej, jak mieszkańcy jakiejkolwiek równej przestrzeni starego świata. I dlatego właśnie dotkliwiej niedostatek czują i skarżą się nań głośniej, niż się to dzieje w innych krajach. Dodajmy do tego nasze wolne rozprawy, i tę okoliczność, że przeciwnicy każdego ministeryum mają w tem swoje widoki, by zawsze przesadzać rozmiary klęsk i niedostatku. Są kraje, w których lud znosi spokojnie taką nędzę, która u nas wstrząsłaby samemi posadami państwa; są kraje, których mieszkańcy biorą się do jedzenia trawy z narzekaniem mniejszem od tego, któreby podniósł każdy tkacz ze Spitalfields, gdyby dozorca chciał go karmić chlebem jęczmiennym. W tych nowo założonych republikach, gdzie ludność cywilizowana ma na rozkazy niezmierzone obszary najżyźniejszej ziemi, położenie robotnika może być szczęśliwszem, niżeli w jakiemkolwiek od wieków istniejącem społeczeństwie. Ale w starym świecie nie możemy upatrzyć ani przypomnieć sobie takiego narodu w teraźniejszości ani w przeszłości, u którego klasy robocze w pomyślniejszem byłyby były położeniu, niżeli są w Anglii od ostatnich lat trzydziestu. Za czasów, kiedy wyspa ta była mało zaludnioną, była dziką; kapitału było w niej mało, a to mało nie było pewnem. Dziś jest ona krajem najbogatszym i najbardziej w całym świecie cywilizowanym, ale ludność za to jest bardzo gęsta. I dlatego nie zaznaliśmy nigdy tego złotego wieku, którego używają dziś niższe warstwy w Stanach Zjedno-

czonych. My nie znaliśmy nigdy wieku wolności, porządku, oświaty, wieku, w którym umiejętności mechaniczne doszły do szczytu, a w którym zarazem ludność nie wystarczałaby była do uprawy najżyźniejszych nawet równin. Ale, jeżeli porównamy nasze dzisiejsze położenie z położeniem naszych przodków, ujrzymy jasno, że korzyści z postępu cywilizacyi przewyższają o wiele niekorzyści wynikające z wzrostu ludności. Ludność nasza pomnożyła się dziesięć razy, a nasze bogactwo pomnożyło się stokrotnie. Do podziału istniejącego dziś bogactwa jest o tyle więcej głów, niż ich było w w. XVI-ym! a przecież na każdą głowę przypada większy w tem bogactwie udział, niż przypadał na pojedynczych ludzi z tych samych klas w wieku XVI. Król utrzymuje dwór nierównie świetniejszy, zamki wielkich panów są wiele wspanialsze; szlachta po wsiach jest bogatsza, kupcy hurtowni są bogatsi, drobni kupcy są także bogatsi. Służący, rzemieślnik, rolnik, ma pokarm obfitszy i smaczniejszy, lepszą odzież, lepsze naczynia i sprzęty. Nie należy dlatego cierpieć nadużyć ani zaniedbywać środków poprawy bytu uboższych naszych rodaków, ale można im powiedzieć, wbrew temu co nieustannie powtarzają im niektórzy filozofowie, że nie są ludem najnędzniejszym i najnieszczęśliwszym, jaki był kiedykolwiek na świecie.

Napomknęliśmy już cokolwiek o zabawnej teoryi pana Southey o bogactwie narodowem. Państwo nie może być podług niego zbyt bogatem, a lud być takim może. Powody, jakie go doprowadziły do tego mniemania, są bardzo ciekawe:

»Naród może być zbytecznie bogatym, bo wrodzone to »jest systemowi handlowemu, a zwłaszcza systemowi fabrycz»nemu, zbierać pieniądze, a nie trwonić ich. Tam gdzie bo»gactwo wkłada się w spekulacye handlowe, będzie ono wzra»stać w stosunku swojej wielkości. Wielcy kapitaliści stają się »tem, czem szczupaki w sadzawce, pożerają mniejsze ryby; »i rzeczą jest niezawodną, że ubóstwo jednej części narodu »wzrasta w tym samym stosunku, co bogactwo drugiej. Histo»rya daje na to nie mało dowodów. W Portugalii, gdzie wielkie

»wezbranie bogactwa zaczęło się od zdobyczy w Afryce i na »Wschodzie, skutek tego wielkiego przypływu nie więcej był »widocznym po większej świetności dworu i po większych »zbytkach klas wyższych, jak po nędzy prostego ludu.«

Przykład ten nie zbyt jest szczęśliwy. To bogactwo, które Portugalii tak mało zrobiło dobrego, nie było owocem ani fabryk, ani handlu prowadzonego przez ludzi prywatnych. Było ono bogactwem nie ludu, ale rządu i jego kreatur, to jest tych właśnie, którzy, jak pan Southey utrzymuje, nigdy nie mogą być nadto bogatymi. Twierdzenie to pana Southey sprzeciwia się całej historyi i wszystkim faktom, które nas zewsząd otaczają. Anglia jest krajem najbogatszym w Europie, jest krajem najbardziej handlowym, i krajem, w którym fabryki i przemysł na najwyższym stoją stopniu. Polska i Rosya są najuboższymi w Europie krajami. Handlu nie mają prawie żadnego, a fabryki i rękodzieła jeżeli mają, to tylko najpierwotniejsze. A czy bogactwo jest więcej rozpowszechnionem w Polsce i w Rosyi jak w Anglii? Mogą tam być ludzie pojedyńczy z dochodami takiemi, jakie mają najbogatsi z naszych rodaków; być może, że w tych krajach znalazłoby się tyle co u nas majątków po ośmdziesiąt tysięcy funtów rocznego dochodu. Ale czy znajdzie się tam tyle co u nas majątków po dwa tysiące, po tysiącu funtów rocznego dochodu? Są w Anglii parafie, w których więcej znajdzie się ludzi mających od trzechset do trzech tysięcy funtów na rok, jak we wszystkich posiadłościach cesarza Mikołaja. Same te wygodne i ładne domki, które w przeciągu ostatnich trzydziestu lat wzniosły się dla ludzi tej klasy w Londynie i jego najbliższej okolicy, mogłyby złożyć miasto większe od stolicy niejednego europejskiego królestwa. I to ma być stan społeczeństwa, w którym wielcy właściciele pożerają małych!

Lekarstwo, jakie pan Southey mniema, że wynalazł, godne jest bystrości jaką pokazał w odkryciu złego. Klęskom powstałym z nagromadzenia bogactw w ręku wielkich kapitalistów, ma się zapobiedz w ten sposób, że całe bogactwo

zgromadzi się w ręku jednego wielkiego kapitalisty, niemającego najmniejszego powodu używać ich lepiej, niż inni kapitaliści, w ręku wszystko pochłaniającego państwa.

Nic dziwnego, że różniąc się tak znacznie od pana Southey w zapatrywaniu na dokonany już postęp społeczeństwa, różnimy się nie mniej od niego co do domniemanej społeczeństwa tego przyszłości. Pan Southey twierdzi, że ze wszystkiego się zdaje, jakoby kraj nasz pędził do zguby, ale ufa on stale w miłosierdzie boskie. Nie widzimy, jakaby w tem miała być pobożność, lub jaka logika, rachować tak na pewne, że Opatrzność wda się w te sprawy na to, by porwać i powikłać zwykłe następstwa przyczyn i skutków. I my polegamy na miłosierdziu Boga: nie na tem, które się objawiać ma w nadzwyczajnych interwencyach, ale na tem, które objawia się w ogólnych prawach, jakie dla fizycznego i moralnego świata postanowić mu się podobało. Polegamy na wrodzonem ludzkiemu umysłowi pragnieniu prawdy, na wrodzonej ludzkiemu społeczeństwu dążności do postępu. Nie znamy ani jednego dowiedzionego przykładu, żeby naród jakiś był się stanowczo cofnął w cywilizacyi i pomyślności, chyba wskutku klęsk strasznych i gwałtownych, jak te, które zburzyły państwo Rzymskie, lub te, które w początkach XVI wieku zwaliły się na Włochy. Nie słyszeliśmy nigdy o kraju, który pod koniec pięciudziesiąt lat pokoju i znośnych rządów mniej był szczęśliwym i zamożnym, jak przy początku tego okresu czasu. Polityczna przewaga państwa może upadać, jeżeli równowaga władz zachwieje się przez przybytek sił nowych; tak upadła i zmalała przewaga Hiszpanii i Hollandyi. Ale czy Hiszpania i Hollandya uboższe są dziś niż były przedtem? Wątpimy bardzo. Inne narody prześcigły je i wyprzedziły, ale sądzimy przecież, że i one stanowczo, choć nie w stosunku do tamtych, szły naprzód. Sądzimy, że Hollandya bogatsza jest dziś, niż kiedy wysyłała okręty swoje na Tamizę, i że Hiszpania bogatszą jest dziś, niż kiedy król francuzki stawiony był jeńcem u stóp tronu Karola V.

Historya przepełniona jest oznakami tego naturalnego postępu społeczeństwa. Na każdej niemal karcie dziejów ludzkości, widzimy jak przemysł i pilność pojedynczych ludzi, na przekór wojnom, podatkom, głodom, pożogom, nieszczęsnym systemom prohibicyjnym i nieszczęśniejszym jeszcze systemom protekcyjnym, tworzy więcej, niż rządy mogą zmarnować, i odbudowuje co tylko zniszczyć może najezdnik. Widzimy, że bogactwo coraz wzrasta, że wszystkie wygody i przyjemności życia, zbliżają się coraz bardziej do doskonałości, pomimo największego zepsucia i najszaleńszego marnotrawstwa rządzących.

Chwila obecna jest chwilą wielkiego niedostatku. Ale jakże nieznaczącym wyda nam się ten niedostatek, jeżeli spojrzymy na historyą ostatnich lat czterdziestu. Ujrzymy tam wojnę, wobec której wszystkie inne wojny wydają się niczem; ujrzymy podatek, jakiego pojąćby nie mogły dawniejsze pokolenia największym nawet obciążone podatkami; ujrzymy dług większy, niż wszystkie długi publiczne całego świata razem dodane; cenę żywności ubogiego ludu, podnoszoną z umysłu; wartość monety papierowej nieroztropnie zniżoną i nieroztropnie znowu podniesioną. A pomimo tego wszystkiego, czyż kraj uboższym jest jak był w roku 1790? Jesteśmy najmocniej przekonani, że pomimo wszystkich złych rządów, stawał się on nieustannie coraz bogatszym. Tu i owdzie się zatrzymywał — niekiedy cofał się nawet wtył na chwilę, ale co do ogólnego kierunku nie może być najmniejszej wątpliwości; jedna fala może się cofać, ale przypływ postępuje ciągle.

Gdybyśmy chcieli dziś przepowiadać, że w roku 1930 ludność pięciudziesiątmilionowa w lepszych mieszkaniach, lepiej odziana, lepiej żywiona niż my dzisiaj, zamieszkiwać będzie te wyspy, że hrabstwa Sussex i Huntingdon bogatsze będą, niż dziś są najbogatsze okolice zachodniego stoku hrabstwa York, że uprawa ziemi tak doskonała jak w kwiatowym ogrodzie, posunie się aż do Ben-Nevis i Helvellyn, że maszyny zbudowane na zasadach dziś jeszcze nie odkrytych, znajdować się będą w każdym domu, że nie będzie gościńców, ale same

koleje żelazne, że nie będzie się jeździć inaczej, jak za pomocą pary, że nasz dług, który nam wydaje się tak ogromnym, prawnukom naszym wyda się drobniutką zaległością, która w dwóch latach dałaby się spłacić, wielu ludzi posądziłoby nas o szaleństwo. Nie chcemy nic przepowiadać, ale mówimy tylko, co następuje: Gdyby Parlamentowi, który po katastrofie roku 1720 zeszedł się w największej obawie, był kto powiedział, że bogactwo Anglii w roku 1830 przejdzie najszaleńsze owoczesne marzenia, że roczny jej dochód przejdzie kapitał tego długu, który wydawał się ludziom owego czasu ciężarem nie do zniesienia, że na jednego człowieka, mającego podówczas dziesięć tysięcy funtów, będzie dziś pięciu ludzi mających pięćdziesiąt tysięcy funtów, że Londyn będzie dwa razy większym, dwa razy ludniejszym, a że w tym Londynie śmiertelność będzie o połowę mniejszą niż za ich czasów; że poczta sama tyle będzie przynosić do skarbu, ile za Karola II przynosiła akcyza i cło razem; że omnibusy jeździć będą z Londynu do Yorku w dwudziestu czterech godzinach, że ludzie będą żeglować bez wiatru i jeździć bez koni, przodkowie nasi byliby przepowiedni takiej tyle dali wiary, ile podróżom Gullivera. A jednak przepowiednia byłaby była prawdziwą; i nie byłaby się wydała niedorzeczną, gdyby się byli zastanowili, że kraj podnosił za ich czasów rok w rok summę, która byłaby spłaciła kapitał odpowiedni dochodowi Plantagenetów, która była dziesięć razy większą od summy, którą Elżbieta rząd swój opędzała, a trzy razy większą od tej summy podatków, która za Cromvella wydawała się nie do zniesienia uciążliwą. Wszystkim niemal politykom, stan rzeczy, pod którym sami żyć nawykli, wydaje się koniecznym stanem rzeczy. Słyszeliśmy nie raz, że pięć od sta jest naturalną stopą procentu, że liczba dwunastu jest naturalną liczbą sądu przysięgłych, że summa ezterdziestu szylingów jest z natury rzeczy tą summą, która powinna dawać prawo wyboru. I ztąd to pochodzi, że choć w każdym wieku wszyscy wiedzą, że aż do tego wieku postęp nieustannie szedł naprzód, nikt przecież nie przypuszcza

postępu w przyszłem pokoleniu. Nie możemy dowieść matematycznie, że mylą się którzy twierdzą, że społeczeństwo nasze doszło do punktu kulminacyjnego, że niebawem nastąpić musi zwrot, i że przeżyliśmy już najlepsze nasze czasy. Ale możemy przypomnieć, że powtarzali to samo wszyscy ci, którzy żyli przed nami i z równemi pozorami słuszności. »Milion rocznego podatku doprowadzi nas do żebractwa« — mówili patryoci w roku 1648; »dwa miliony podatku zetrze kraj na proch« — wołano w roku 1660; »sześć milionów podatku i pięćdziesiąt milionów długu!« — wołał Swift — »sprzymierzeńcy stali się zgubą Anglii.« »Sto czterdzieści milionów długu!« — wołał Junius [1]) — »zaprawdę rzec możemy, że winniśmy »Lordowi Chatham więcej, niż spłacić zdołamy, kiedy mu taki »zawdzięczamy ciężar.« »Dwieście czterdzieści milionów długu« zawodzili chórem wszyscy politycy w roku 1783 — »jakaż »zdolność, jaka oszczędność ministra mogłaby zbawić kraj tak »przeciążony?« My przecież wiemy, że gdyby od roku 1783 nie było nowych długów przybyło, to zwiększone dochody kraju byłyby nam pozwoliły spłacić ten dług, na którego widok truchlał Fox, Pitt i Burke, co więcej, spłacić go kilkakrotnie nie raz, i to podatkami mniejszemi nierównie od tych, któreśmy ponosili. I z jakiegoż to powodu, na jakiej zasadzie, nie widząc za sobą nic tylko postęp, mielibyśmy przed sobą nie widzieć nic, jak upadek?

Nie bożyszcze to pana Southey, wszechwiedne i wszechmocne państwo, ale mądrość i dzielność narodu posunęły Anglią tak daleko w oświacie i cywilizacyi; i na tę samą mądrość, na tę dzielność oglądamy się dziś z otuchą i nadzieją. Rządcy nasi najlepiej mogą dopomódz pomyślności

[1]) Junius. Pseudonym dotąd niewiadomego autora *Listów*, satyr politycznych zwróconych przeciw Ministeryum Lorda North; rok 1769 do 1772. Domysł najbardziej prawdopodobny jest, że autorem był Filip Francis, sekretarz Lorda Chathama, zmarły w roku 1818.

narodu, jeżeli zamkną się ściśle w obrębie istotnych swych obowiązków, jeżeli zostawią kapitał samemu sobie, żeby sobie najzyskowniejsze wynalazł drogi obiegu; potrzebom życia, żeby sobie same należytą zrobiły cenę; przemysłowi i intelligencyi, żeby sobie same szukały naturalnej swej nagrody; próżniactwu i lekkomyślności, żeby same sprowadziły sobie karę — wreszcie, jeżeli będą strzegli pilnie pokoju, jeżeli będą bronić własności, zmniejszać koszta sprawiedliwości, a w każdym wydziale służby państwa jeżeli ścisłą zaprowadzą oszczędność. Niech rząd to zrobi, a naród niezawodnie resztę zrobić potrafi.

SPIS RZECZY.

	Str.
William Pitt	5
Sir James Mackintosh	77
Samuel Johnson	155
Southey'a rozmowy o społeczeństwie	201

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
37844/2